JURASSIC PARK

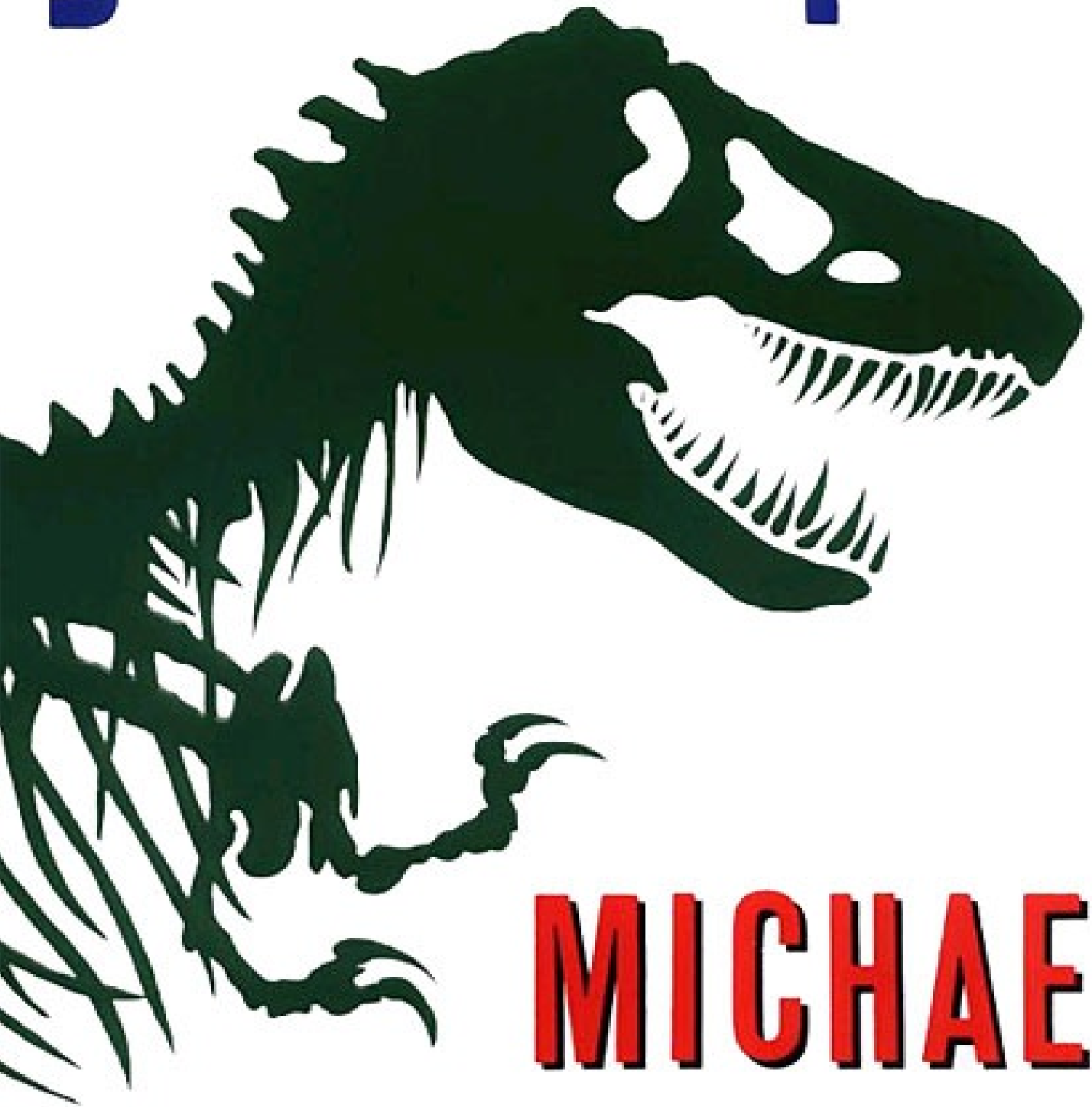

MICHAEL CRICHTON

Michael Crichton

JURASSIC PARK

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

Spis treści:

PODZIĘKOWANIA
WSTĘPPRZYPADEK INGEN
PrologUkąszenie Raptora
PIERWSZA ITERACJA
Prawie raj
Puntarenas
Plaża
Nowy Jork
Stan rzeczy
DRUGA ITERACJA
Brzeg śródlądowego morza
Szkielet
Cowan, Swain & Ross
Plany
Hammond
Choteau
Cel strategiczny
Port lotniczy
Malcolm
Isla Nublar
Witamy
TRZECIA ITERACJA
Jurassic Park
Kiedy dinozaury władały Ziemią
Wycieczka
Stan rzeczy
Wersja 4.4
Stan rzeczy
Przejażdżka
Stan rzeczy
Wielki Rex
Stan rzeczy
Stegozaur
Stan rzeczy
Miejsca lęgowe
CZWARTA ITERACJA
Główna droga

Powrót
Nedry
Bungalow
Tim
Lex
Stan rzeczy
Droga
Stan rzeczy
W parku
Stan rzeczy
Park
Świt
Park
PIĄTA ITERACJA
Poszukiwania
Ptaszarnia
Tyranozaur
Stan rzeczy
SZÓSTA ITERACJA
Powrót
Sieć
Domek myśliwski
Stan rzeczy
SIÓDMA ITERACJA
Zagłada świata
Pod kontrolą
Niemal paradygmat
W jaskini
Hammond
Plaża
Zbliża się ciemność
EpilogSan José

Gady są nadzwyczaj odrażające, a to ze względu na swe zimne ciało, blade ubarwienie, chrząstkowy szkielet, paskudną skórę, gwałtowny charakter, lodowate spojrzenie, wstrętny zapach, ostry glos, plugawy żywot i straszliwy jad; dlatego też Stwórca nie uczynił ich nazbyt licznymi.

LINNEUSZ, 1797

Nie da się stworzyć nowej formy życia.

ERWIN CHARGRAFF, 1972

Dla A–M oraz T

PODZIĘKOWANIA

Przygotowując się do pisania tej powieści korzystałem z prac wielu wybitnych paleontologów, a szczególnie Roberta Bakkera, Johna Homera, Johna Ostroma i Gregory'ego Paula. Bardzo pomocne okazały się także dokonania najmłodszej generacji ilustratorów, między innymi Kennetha Carpentera, Margaret Colbert, Stephena i Sylvii Czerkasów, Johna Gurche, Marka Halletta, Douglasa Hendersona oraz Williama Stouta, którzy w swoich rekonstrukcjach uwzględnili najnowsze teorie dotyczące sposobu, w jaki zachowywały się dinozaury.

Wiele zaprezentowanych przeze mnie poglądów na temat paleo–DNA, to znaczy materiału genetycznego wymarłych zwierząt, zostało po raz pierwszy sformułowanych przez Charlesa Pellegrino, który opierał się głównie na badaniach George'a O. Polnara juniora, oraz Robertę Hess, która utworzyła w Berkeley specjalny zespół zajmujący się tym zagadnieniem. Szczegóły dotyczące teorii chaosu pochodzą w znacznej części z komentarzy Ivara Ekelanda i Jamesa Gleicka, komputerowe programy Boba Grossa przyczyniły się do powstania ilustracji, a prace nieżyjącego już Heinza Pagelsa legły u podstaw teorii głoszonych przez Iana Malcolma.

Pragnę jednak podkreślić, że książka jest dziełem literackim i tylko ja ponoszę odpowiedzialność za zaprezentowane w niej poglądy, podobnie jak za wszelkie błędy formalne, jakie mogły znaleźć się w tekście.

M.C.

WSTĘP
PRZYPADEK INGEN

U schyłku dwudziestego wieku wybuchła, zdumiewająca swymi rozmiarami, naukowa gorączka złota: wszyscy za wszelką cenę starają się skomercjalizować inżynierię genetyczną. Proces ten postępuje tak szybko – przy niewielkiej zewnętrznej kontroli – że nie jesteśmy w stanie ogarnąć jego prawdziwych rozmiarów i wszystkich implikacji.

Biotechnologia może dokonać największego przewrotu w dziejach ludzkości. Pod koniec bieżącej dekady z pewnością będzie wywierała na nasze codzienne życie znacznie większy wpływ niż energia atomowa i komputery. Jak powiada jeden z badaczy tego problemu: *Biotechnologia zmieni wszystkie aspekty życia człowieka – opiekę medyczną, żywienie, zdrowie, rozrywki, nawet nasze dala. Nic nie będzie już takie jak przedtem. Zmianie ulegnie oblicze całej planety.*

Rewolucja biotechnologiczna różni się od dotychczasowych naukowych przemian trzema istotnymi szczegółami.

Po pierwsze, opiera się na solidnych podstawach. Ameryka wkroczyła w epokę atomu dzięki dokonaniom samotnej placówki badawczej w Los Alamos. Erę komputerów zapoczątkowały prace prowadzone w dziesięciu firmach. Badania z dziedziny biotechnologii, tylko na terenie Ameryki, podjęło ponad dwa tysiące laboratoriów, a pięćset korporacji przeznacza na nie co roku pięć miliardów dolarów.

Po drugie, wiele z tych przedsięwzięć można określić mianem bezmyślnych albo co najmniej lekkomyślnych. Starania mające na celu wyprodukowanie jaśniejszych pstrągów, które byłyby lepiej widoczne w strumieniu, drzew o pniach w kształcie prostopadłościanu, ułatwiających składowanie ich, lub też implantowanie komórek zapachowych, które pozwoliłyby każdemu czuć zawsze woń ulubionych perfum, mogą wydawać się marnym żartem, ale wcale nim nie są. Fakt, iż biotechnologia znakomicie nadaje się do wykorzystania w gałęziach przemysłu tradycyjnie uzależnionych od zmieniającej się mody, takich jak produkcja kosmetyków lub organizacja wypoczynku, wywołuje tym większe obawy dotyczące takiego wyzyskania tej nowej, dysponującej ogromnym potencjałem dziedziny wiedzy, że przyniesie ona ludzkości same szkody.

Po trzecie, prace badawcze nie są kontrolowane. Nikt ich nie nadzoruje. Żadne prawo federalne nie określa sposobu, w jaki powinny przebiegać. Żaden rząd na świecie, nie wyłączając amerykańskiego, nie prowadzi w tej dziedzinie spójnej polityki, co zresztą byłoby bardzo trudne, choćby ze względu na to, że produktami biotechnologu mogą być zarówno leki, jak nowe odmiany roślin uprawnych czy sztuczny śnieg.

Jednak najbardziej niepokojący jest fakt, że nawet wśród naukowców nie ma

nikogo, kto mógłby pełnić rolę nadzorcy. Zastanawiające jest to, iż prawie wszyscy uczeni zajmujący się genetyką zaangażowali się także w komercjalizację biotechnologii. Nie ma już neutralnych badaczy. Każdy walczy o jakąś stawkę.

* * *

Komercjalizacja biologii molekularnej, z punktu widzenia etyki, jest najbardziej zdumiewającym wydarzeniem w historii nauki. Proces ten przebiega z niebywałą prędkością. Przez czterysta lat po Galileuszu nauka zapewniała możliwość swobodnego, niczym nie skrępowanego wglądu w tajemnice natury. Uczeni zawsze ignorowali granice państwowe, wznosząc się ponad przejściowe konflikty polityczne, a nawet wojny. Zawsze też protestowali przeciwko utajnianiu swoich badań, nie podobał im się nawet pomysł patentowania odkryć, gdyż uważali, że pracują dla dobra całej ludzkości. I rzeczywiście, przez wiele pokoleń ich działania miały całkowicie bezinteresowny charakter.

Kiedy w roku 1953 dwaj młodzi Anglicy, James Watson i Francis Crick, rozszyfrowali strukturę DNA, ich osiągnięcie zostało uznane za triumf ludzkiego ducha, który przez stulecia kazał uczonym dążyć do naukowego wytłumaczenia świata. Powszechnie uważano, że odkrycie to będzie wykorzystane ku ogólnemu pożytkowi.

Tak się jednak nie stało. Trzydzieści lat później działania niemal wszystkich kolegów po fachu Watsona i Cricka miały już całkowicie odmienny charakter. W badania z dziedziny genetyki molekularnej zaangażowano ogromne, wielomiliardowe sumy. Zaczęło się to w kwietniu 1976 roku.

Właśnie wtedy odbyło się słynne już spotkanie Roberta Swansona, przedsiębiorczego kapitalisty, z Herbertem Boyerem, biochemikiem zatrudnionym w Uniwersytecie Kalifornijskim. Dwaj mężczyźni postanowili założyć firmę, której celem byłoby komercyjne wykorzystanie opracowanej przez Boyera techniki łączenia genów. Nowa firma, Gentech, w krótkim czasie stała się największym i najbardziej ekspansywnym przedsiębiorstwem mającym związek z inżynierią genetyczną.

Wydawało się, że nagle wszyscy zapragnęli być bogaci. Niemal co tydzień powstawały nowe firmy, a uczeni pchali się drzwiami i oknami, aby rozpocząć prace badawcze z dziedziny genetyki. W 1986 roku co najmniej 362 naukowców – w tym 64 członków Akademii Nauk – zasiadało w ciałach doradczych różnych kompanii zajmujących się biotechnologią. Liczba tych, którzy pełnili rolę konsultantów, była wielokrotnie większa.

Należy koniecznie podkreślić znaczenie, jakie miała ta nagła zmiana postaw. W przeszłości uczeni odnosili się ze snobistyczną niechęcią do biznesu, uważając pogoń za pieniędzmi za zajęcie nieciekawe intelektualnie, właściwe dla sklepikarzy. Badania dla przemysłu – nawet w znakomitych laboratoriach Bella lub IBM – prowadzili tylko ci, którym nie udało się dostać na żadną uczelnię. Naukowcy pracujący dla idei wyrażali się bardzo lekceważąco o kolegach zatrudnionych przez przemysł, i o przemyśle w ogóle. Ten długotrwały antagonizm sprawił, że

pracownicy uniwersyteccy nie mieli rąk spętanych więzami kontraktów, a w chwili, kiedy pojawiały się jakieś ogólne problemy natury technologicznej, w ich rozwikłanie angażowali się fachowcy nie zainteresowani tym materialnie.

Obecnie sytuacja diametralnie się zmieniła. Tylko bardzo niewielu biologów molekularnych i jeszcze mniej instytucji badawczych nie ma żadnych powiązań z przemysłem. Dawne układy odeszły bezpowrotnie w przeszłość. Badania genetyczne są prowadzone w dalszym ciągu, może nawet bardziej energicznie niż kiedykolwiek do tej pory, ale odbywa się to potajemnie, w wielkim pośpiechu i dla pieniędzy.

* * *

Chyba należało się spodziewać, że w klimacie powszechnej komercjalizacji prędzej czy później wykiełkuje firma tak ambitna jak International Genetic Technologies z Palo Alto. Równie oczywiste jest to, że kryzys, jaki spowodowała, pozostał właściwie nie zauważony. Bądź co bądź, wszystkie prace prowadzono w głębokiej tajemnicy, wypadek zdarzył się w niedostępnym rejonie Ameryki Środkowej, jego zaś świadkami było niespełna dwadzieścia osób, z których jedynie kilka pozostało przy życiu.

Nawet później, kiedy 5 października 1989 roku InGen złożyła w Sądzie Miejskim San Francisco wniosek o ogłoszenie upadłości, fakt ten nie wzbudził większego zainteresowania prasy. Wydawało się, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego; InGen była trzecią amerykańską firmą bioinżynieryjną, jaka w tym roku dokonała żywota, a siódmą od roku 1986. Opublikowano jedynie niewielką część dokumentów, ponieważ kredytodawcami były japońskie konsorcja inwestycyjne, takie jak Hamaguri i Densaka, które zawsze starały się unikać nadmiernego rozgłosu. Aby uczynić sprawę jeszcze bardziej poufną, Daniel Ross z kancelarii adwokackiej Cowan, Swan & Ross, pełniący obowiązki doradcy prawnego InGen, reprezentował w sądzie japońskich inwestorów, a dość niezwykłe pismo wicekonsula z Kostaryki zostało odczytane za zamkniętymi drzwiami. W związku z tym nie należy się dziwić, że problemy InGen udało się w ciągu miesiąca rozwiązać po cichu i ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych stron.

Następnie strony te, nie wyłączając ich szacownych doradców naukowych, podpisały zgodne oświadczenie, w którym zobowiązały się do zachowania ścisłej tajemnicy. Tak się jednak złożyło, że wielu z tych, którzy odegrali istotną rolę w „przypadku InGen", nie było wśród sygnatariuszy tego oświadczenia, i osoby te zgodziły się opowiedzieć o wszystkim, co poprzedzało zdumiewające wydarzenia, jakie rozegrały się podczas dwóch ostatnich dni sierpnia 1989 roku na samotnej wyspie w pobliżu zachodniego wybrzeża Kostaryki.

Prolog
Ukąszenie Raptora

Tropikalna ulewa łomotała w dach kliniki wykonany z blachy falistej, z rykiem spływała metalowymi rynnami i w postaci spienionych wodospadów rozpryskiwała się na ziemi. Roberta Carter westchnęła, spoglądając przez okno. Deszcz był tak gęsty, że prawie nie mogła dojrzeć plaży i spowitego mgłą oceanu. Nie spodziewała się tego, przyjeżdżając do rybackiej wioski Bahia Anasco, położonej na zachodnim wybrzeżu Kostaryki, aby przez dwa miesiące pracować tu jako lekarz. Po dwóch paskudnych latach na oddziale chirurgii urazowej szpitala Michaela Reese w Chicago Bobbie Carter była spragniona słońca i wypoczynku.

W Bahia Anasco mieszkała już od trzech tygodni. Przez ten czas deszcz padał codziennie.

Poza tym wszystko było w porządku. Podobało jej się odosobnienie wioski oraz przyjazne nastawienie tubylców. Kostaryka ma jeden z dwudziestu najlepszych systemów opieki medycznej na świecie i nawet w tej odległej rybackiej osadzie znajdował się zadbany i bardzo przyzwoicie wyposażony szpitalik. Pielęgniarz, Manuel Aragon, był inteligentny i dobrze wyszkolony. Bobbie właściwie nie odczuwała żadnej różnicy między tym miejscem a szpitalem w Chicago.

Tylko ten deszcz! Ciągły, nie kończący się deszcz.

Siedzący w przeciwległym kącie ambulatorium Manuel nagle przechylił głowę.

– Proszę posłuchać – powiedział.

– Słyszę, możesz mi wierzyć – odparła Bobbie.

– Nie o to chodzi. Proszę posłuchać.

I wtedy to usłyszała: najpierw ledwo uchwytny dźwięk, niemal zlewający się z szumem deszczu, potem głęboki łoskot, który stopniowo narastał, aż wreszcie nie miała już żadnych wątpliwości co do jego pochodzenia. Był to odgłos zbliżającego się śmigłowca. Niemożliwe, żeby ktoś leciał w taką pogodę! – pomyślała.

Jednak dźwięk coraz bardziej przybierał na sile, a potem śmigłowiec rozdarł zasłonę wiszącej nad oceanem mgły, przemknął nad budynkiem szpitala, zatoczył koło i wrócił, by zawisnąć nad plażą, w pobliżu łodzi, zaraz potem przesunął się nad skleconą byle jak z desek przystań, a w chwilę później ponownie wrócił nad plażę.

Szukał miejsca do lądowania.

Była to pękata maszyna typu Sikorsky z błękitnym pasem na kadłubie i napisem „InGen Construction”. Tak właśnie nazywała się firma budowlana wznosząca nowy ośrodek wypoczynkowy na jednej z okolicznych wysepek. Ośrodek miał być jedyny w swoim rodzaju; wielu tubylców znalazło zatrudnienie przy jego budowie, która trwała już sporo ponad dwa lata. Bobbie bez trudu mogła go sobie wyobrazić: jeden z tych wielkich amerykańskich kombinatów wypoczynkowych z basenami i kortami tenisowymi, gdzie goście mogą bawić się i popijać drinki, izolując się od

otaczającego ich świata.

Co mogło zdarzyć się na wyspie, że pilot zaryzykował start przy tak paskudnej pogodzie? Przez zalaną deszczem szybę dostrzegła, że odetchnął z ulgą, kiedy koła maszyny zetknęły się z mokrym piaskiem. Ze śmigłowca wyskoczyli umundurowani ludzie i otworzyli duże boczne drzwi. Krzyczeli coś po hiszpańsku. Manuel trącił ją łokciem.

Wzywali lekarza.

Dwaj czarnoskórzy mężczyźni nieśli w kierunku szpitala bezwładne ciało, a trzeci, biały, chrapliwym głosem wydawał rozkazy. Miał na sobie żółty płaszcz przeciwdeszczowy. Spod baseballowej czapeczki sterczały kosmyki rudych włosów.

– Jest tu jakiś lekarz?! – zawołał do niej, kiedy podbiegła.

– Jestem doktor Carter – odparła. Strugi deszczu spływały jej po głowie i ramionach. Rudowłosy mężczyzna skrzywił się na widok Roberty; miała na sobie dżinsy z obciętymi nogawkami i wojskowy podkoszulek.

– Ed Regis. Mamy tu ciężko rannego człowieka, pani doktor.

– W takim razie powinniście zawieźć go do San José.

Do San José, stolicy kraju, leciało się zaledwie dwadzieścia minut.

– Zrobilibyśmy to, ale przy tej pogodzie nie przedostaniemy się przez góry. Musi pani zająć się nim tutaj.

Bobbie pobiegła wraz z mężczyznami do szpitala. Ranny był jeszcze prawie dzieckiem, liczył sobie nie więcej niż osiemnaście lat. Kiedy uniosła jego przesiąkniętą krwią koszulę, ujrzała wielką, otwartą ranę na barku. Drugą, niemal identyczną, miał na nodze.

– Co mu się stało?

– Wypadek na budowie – wyjaśnił Ed. – Przewrócił się i dostał pod koparkę.

Nieprzytomny chłopak był bardzo blady, a jego ciałem wstrząsały silne dreszcze. Manuel stał przy jaskrawozielonych drzwiach kliniki, ponaglając ich machaniem ręki. Mężczyźni wnieśli chłopca do budynku i położyli go na stole pośrodku pokoju. Manuel natychmiast podłączył kroplówkę, a Bobbie przesunęła lampę nad stół i pochyliła się nad ciałem, aby obejrzeć obrażenia. Były paskudne. Wszystko wskazywało na to, że dzieciak umrze.

Wielka rana o poszarpanych brzegach biegła od barku w dół tułowia. Ramię uległo przemieszczeniu, a z krwawej miazgi sterczały białe kości. Druga rana, na udzie, była tak głęboka, że Roberta wyraźnie widziała pulsującą rytmicznie tętnicę. Wyglądało to tak, jakby tkanki uległy rozerwaniu.

– W jaki sposób do tego doszło? – zapytała.

– Nie widziałem wypadku – odparł Ed. – Później powiedzieli mi, że koparka ciągnęła go przez jakiś czas za sobą.

– Można by przypuszczać, że coś go rozszarpało – powiedziała Bobbie Carter, uciskając ostrożnie brzegi rany. Jak większość lekarzy mających do czynienia z obrażeniami po wypadkach, doskonale pamiętała przypadki, z którymi zetknęła się nawet wiele lat temu. Do tej pory dwukrotnie widziała takie uszkodzenia ciała: u dwuletniego chłopca zaatakowanego przez rottweilera i u pijanego pracownika

cyrku, który nie spodobał się tygrysowi bengalskiemu. Tamte rany, zadane przez zwierzęta, bardzo przypominały te, które teraz widziała na ciele chłopca.

– Rozszarpany? – powtórzył Ed. – Skądże znowu! To była koparka, może mi pani wierzyć.

Co kilka sekund zwilżał językiem wargi i był bardzo spięty, jakby zrobił coś niewłaściwego. O co tu może chodzić? – zastanawiała się Bobbie. Jeżeli przy budowie ośrodka zatrudniali niewykwalifikowanych miejscowych robotników, to wypadki takie jak ten musiały zdarzać się niemal codziennie.

– Przemyć ranę? – zapytał Manuel.

– Tak. Ale najpierw daj mu znieczulenie.

Pochyliła się nad nieprzytomnym chłopcem. Jeżeli dostał się pod koparkę, to rana powinna być bardzo brudna. Jednak zamiast piasku i ziemi Bobbie dostrzegła jedynie coś w rodzaju lepkiego śluzu i jednocześnie poczuła dziwny, zgniły zapach rozkładającego się ciała. Z czymś takim spotkała się po raz pierwszy w życiu.

– Kiedy to się stało?

– Godzinę temu.

Ponownie zwróciła uwagę na niepokój Eda Regisa. Był jednym z tych wiecznie spiętych i nerwowych mężczyzn. Swym wyglądem nie przypominał brygadzisty, mógł raczej zajmować jakieś kierownicze stanowisko. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, ze znalazł się tu wbrew swojej woli i czuje się bardzo niepewnie.

Bobbie Carter ponownie zajęła się pacjentem. Mimo wszystko, myślała, nie jest to uraz spowodowany przez maszynę budowlaną. Zbyt wiele elementów nie pasowało: nie było zmiażdżonych tkanek i zanieczyszczeń. Niemal w każdym wypadku tego rodzaju poszkodowani mieli rany miażdżone, a tutaj skóra i ciało były po prostu rozszarpane.

Najbardziej przypominało to pogryzienie, ale przeciwko tej hipotezie przemawiał fakt, że na ciele nie było żadnych innych śladów, co w przypadku zaatakowania przez zwierzę należało do rzadkości. Bobbie przyjrzała się uważnie głowie, ramionom, rękom...

Ręce. Przez jej ciało przebiegł nagły dreszcz. Na obu dłoniach znajdowały się płytkie skaleczenia, a przeguby i przedramiona były pokryte licznymi siniakami. Pracowała w Chicago wystarczająco długo, aby wiedzieć, co to oznacza.

– W porządku – powiedziała. – Proszę zaczekać na zewnątrz.

– Dlaczego? – zapytał mocno zaniepokojony Ed. Najwyraźniej ten pomysł niezbyt mu odpowiadał.

– Chce pan, żebym mu pomogła, czy nie? – odparła, po czym wypchnęła go za drzwi i natychmiast je zamknęła. Nie bardzo wiedziała, co się właściwie dzieje, ale zupełnie jej się to nie podobało.

– Mam myć? – zapytał niepewnie Manuel.

– Tak.

Bobbie wyciągnęła swój mały olympus z auto focusem i zrobiła kilka zdjęć, przesuwając nieco lampę dla uzyskania lepszego oświetlenia. To naprawdę wygląda na pogryzienie, pomyślała. Nagle chłopak jęknął, więc szybko odłożyła aparat i

nachyliła się nad rannym, który otworzył usta i szepnął, z trudem poruszając obrzmiałym językiem.

– *Raptor... Lo sa raptor...*

Manuel zamarł w bezruchu, po czym wytrzeszczył z przerażeniem oczy i cofnął się o krok.

– Co to znaczy? – zapytała Bobbie. Pielęgniarz potrząsnął głową.

– Nie wiem, pani doktor. *Lo sa raptor – no es español.*

– Naprawdę? – Wydawało jej się, że to jednak jest po hiszpańsku. – W takim razie myj go dalej.

– Nie, pani doktor. – Zmarszczył nos. – Brzydko pachnie. – Przeżegnał się.

Bobbie ponownie spojrzała na śluz oblepiający ranę, wyciągnęła rękę, dotknęła go ostrożnie i roztarta między palcami. Do złudzenia przypominał ślinę...

Ranny chłopiec ponownie poruszył ustami.

– *Raptor...* – szepnął.

– Ugryzł go! – wykrzyknął ze zgrozą Manuel.

– Kto go ugryzł?

– Raptor.

– A co to jest raptor?

– Raptor to *hupia.*

Bobbie z zastanowieniem zmarszczyła brwi. Kostarykańczycy nie byli nadmiernie przesądni, ale zdążyła już kilka razy spotkać się z tym słowem. *Hupie* miały być nocnymi duchami, nieuchwytnymi wampirami porywającymi małe dzieci. Według ludowych wierzeń *hupie* zamieszkiwały niegdyś góry w głębi kraju, ale potem przeniosły się na przybrzeżne wyspy.

Manuel cofał się w kierunku ściany, mamrocząc coś pod nosem i raz za razem czyniąc znak krzyża.

– To zły zapach – wykrztusił. – To *hupia.*

Bobbie miała już zamiar ostro przywołać go do porządku i kazać wrócić do pracy, kiedy nagle ranny chłopiec otworzył oczy i usiadł wyprostowany na stole. Manuel wrzasnął z przerażenia. Chłopak jęknął głośno, rozejrzał się dokoła, po czym zwymiotował wielką ilość krwi. Zaraz potem zaczęły się gwałtowne konwulsje. Bobbie rzuciła się do niego, usiłując przycisnąć go do stołu, ale on runął na betonową posadzkę i ponownie zwymiotował. Otworzyły się drzwi i stanął w nich Ed.

– Co tu się dzieje, do diabła? – zapytał, lecz kiedy zobaczył krew, odwrócił się raptownie, zasłaniając ręką usta. Bobbie próbowała wsadzić drewniany kołek między zaciśnięte zęby, mimo iż zdawała sobie sprawę, że jest już za późno na cokolwiek. Rzeczywiście – ciało wyprężyło się jeszcze raz, po czym znieruchomiało.

Nachyliła się nad chłopcem, aby wykonać sztuczne oddychanie, lecz Manuel chwycił ją za ramiona i gwałtownie odciągnął do tyłu.

– Nie wolno – powiedział. – *Hupia* przejdzie na panią.

– Manuel, na litość boską...

– Nie wolno – powtórzył, wpatrując się w nią z napięciem. – Pani tego nie

rozumie.

Bobbie spojrzała na nieruchome ciało i uświadomiła sobie, że i tak jest już za późno. Manuel zawołał mężczyzn, którzy przywieźli chłopca, żeby zabrali ciało. Zaraz potem pojawił się Ed.

– Jestem pewien, że zrobiła pani wszystko, co było można... – wymamrotał, ocierając usta wierzchem dłoni.

Odprowadziła spojrzeniem małą grupkę niosącą do śmigłowca martwego chłopca. Kilkadziesiąt sekund później maszyna uniosła się z łoskotem w powietrze.

– Tak jest lepiej – powiedział Manuel.

Bobbie wciąż myślała o rękach chłopca. Były pokryte ranami i krwiakami, tak jak ręce wszystkich ofiar broniących się przed atakiem silniejszego napastnika. Teraz nie ulegało dla niej najmniejszej wątpliwości, że chłopak nie uległ wypadkowi przy pracy, lecz został zaatakowany i starał się jakoś obronić przed napastnikiem.

– Gdzie jest ta wyspa, z której przylecieli?

– Na oceanie. Jakieś sto sześćdziesiąt, może sto osiemdziesiąt kilometrów od brzegu.

– Trochę daleko, jak na ośrodek wypoczynkowy – zauważyła. Manuel odprowadzał wzrokiem śmigłowiec.

– Mam nadzieję, że już nigdy tu nie wrócą – powiedział.

Cóż, przynajmniej mam zdjęcia, pomyślała. Kiedy jednak spojrzała na stół, przekonała się, że aparat zniknął.

* * *

Tej nocy wreszcie przestało padać. W swojej sypialni na zapleczu kliniki Bobbie wertowała mocno podniszczony egzemplarz słownika hiszpańsko–angielskiego. Chłopiec powiedział „raptor", a ona, pomimo zapewnień Manuela, przypuszczała, że jest to hiszpańskie słowo. Istotnie, figurowało w słowniku. Oznaczało „złodziej" lub „porywacz".

Dało jej to trochę do myślenia. Znaczenie tego wyrazu było bardzo podobne do znaczenia słowa *hupia*. Rzecz jasna, Bobbie nie wierzyła w żadne gusła, a rany na rękach chłopca z pewnością nie powstały za sprawą jakiegoś ducha. Co ten biedak starał się jej powiedzieć?

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegały donośne jęki. Jedna z mieszkanek wioski zaczynała właśnie rodzić; była przy niej Elena Morales, miejscowa akuszerka. Bobbie zajrzała do pokoju i dała jej znak, aby wyszła na chwilę na zewnątrz.

– Elena...

– *Si*, pani doktor?

– Czy wiesz, co to jest raptor?

Elena była sześćdziesięcioletnią, siwowłosą, silną kobietą o niezwykle praktycznym stosunku do świata. Jednak teraz zapadła noc i akuszerka zmarszczyła czoło.

– Raptor? – powtórzyła poważnym tonem.

– Tak. Znasz to słowo?

Elena skinęła głową.

– *Si*. To człowiek, który zakrada się nocą i zabiera dziecko.

– Porywacz?

– Tak.

– *Hupia*?

Kobieta zareagowała tak, jakby ktoś ukłuł ją szpilką.

– Niech pani nie wymawia tego słowa, pani doktor!

– Dlaczego?

– Teraz nie wolno mówić o *hupii* – stwierdziła kategorycznie Elena, po czym wskazała ruchem głowy w kierunku, z którego dobiegały jęki rodzącej. – To nie byłoby mądre.

– Czy raptor gryzie swoje ofiary?

– Gryzie? – powtórzyła Elena ze zdziwieniem. – Nie, pani doktor. Nic z tych rzeczy. Raptor to człowiek, który zabiera malutkie dziecko. – Sprawiała wrażenie rozdrażnionej rozmową i chyba zależało jej na tym, aby ją jak najprędzej zakończyć. – Zawołam panią, kiedy zacznie się na dobre. Myślę, że za jakąś godzinę albo dwie.

Bobbie spojrzała na gwiazdy, wsłuchując się w cichy szum fal liżących piaszczysty brzeg. W ciemności mogła dostrzec sylwetki rybackich łodzi kołyszących się na wodzie niedaleko od plaży. Sceneria była tak spokojna i jednocześnie tak zwyczajna, że mówienie o wampirach i porywaczach dzieci nagle wydało jej się całkowitym idiotyzmem.

Wróciła do pokoju, ale wciąż nie dawał jej spokoju upór Manuela, który twierdził, że to nie jest hiszpańskie słowo. Wiedziona zwykłą ciekawością zajrzała do małego słownika języka angielskiego i, ku swemu zaskoczeniu, znalazła je także tam:

Raptor, n (od łac. raptor *– rabuś, fr.* raptus*): ptak drapieżny.*

PIERWSZA ITERACJA

[wynik wielokrotnego powtarzania tej samej, dowolnej operacji matematycznej]

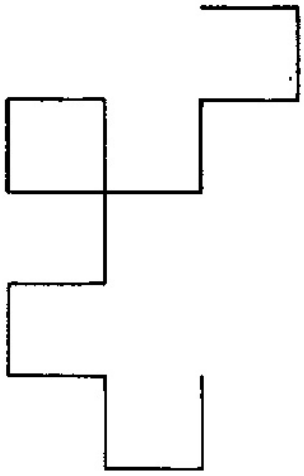

Obserwując początek powstawania skomplikowanej krzywej nie da się powiedzieć zbyt wiele o kryjącej się za nią matematycznej strukturze.

IAN MALCOLM

Prawie raj

Mike Bowman pogwizdywał wesoło jadąc land roverem przez rezerwat Cabo Blanco na zachodnim wybrzeżu Kostaryki. Był piękny lipcowy poranek, a dokoła roztaczał się wspaniały widok, gdyż droga prowadziła krawędzią stromego klifu górującego nad dżunglą i błękitnym Pacyfikiem. Według przewodników rezerwat Cabo Blanco stanowił zupełnie dziewiczy zakątek, prawie raj. Widząc go na własne oczy Bowman czuł, że te wakacje na pewno będą udane.

Mike Bowman, trzydziestosześcioletni pośrednik w handlu nieruchomościami z Dallas, przyleciał z żoną i córką do Kostaryki na dwutygodniowe wakacje. Właściwie na pomysł tej wyprawy wpadła jego żona; już od dłuższego czasu Ellen opowiadała niemal bez przerwy o wspaniałych kostarykańskich parkach narodowych i wspominała mimochodem, jak by to było dobrze, gdyby Tina mogła je obejrzeć. Kiedy już przylecieli, okazało się, że Ellen ma zamówioną wizytę u pewnego chirurga plastycznego w San José. Dopiero wtedy opowiedziała Mike'owi o tutejszych niedrogich, a stojących na najwyższym światowym poziomie usługach z zakresu chirurgii plastycznej oraz o luksusowych prywatnych klinikach w stolicy kraju.

Rzecz jasna, skończyło się awanturą. Mike uważał bowiem, że został oszukany. Zaprotestował także kategorycznie przeciwko jakiejkolwiek operacji. Jego zdaniem zakrawało to na kpinę: Ellen miała zaledwie trzydzieści lat i była bardzo piękną kobietą. Do diabła, niecałe dziesięć lat temu zdobyła tytuł Miss swojego college'u! Zawsze jednak brakowało jej pewności siebie i miała skłonność do wyszukiwania sobie zmartwień, ostatnio zaś najbardziej doskwierała jej myśl o tym, że pewnego dnia po jej urodzie zostaną jedynie wspomnienia.

Przejmowała się też mnóstwem innych rzeczy. Land rover wpadł w dziurę, rozbryzgując we wszystkie strony fontanny błota.

– Mike, jesteś pewien, że jedziemy we właściwym kierunku? – zapytała Ellen siedząca obok męża. – Od kilku godzin nie widzieliśmy żywej duszy.

– Kwadrans temu mijaliśmy samochód – przypomniał jej. – Nie pamiętasz? Ten niebieski.

– Tak, ale on jechał w przeciwną stronę...

– Kochanie, chciałaś znaleźć się na zupełnie pustej plaży, i mam zamiar tam właśnie cię dowieźć.

Ellen pokręciła z powątpiewaniem głową.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– Tak, tato – zawtórowała jej z tylnego siedzenia ośmioletnia Christina. – Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– Możecie mi ufać. – Przez kilka minut jechali w milczeniu. – Pięknie tutaj, co nie? Spójrzcie na ten widok! Jest niesamowity.

– Może być – powiedziała Tina.

Ellen wyjęła z torebki lusterko, przejrzała się, dotykając opuszkami palców worków pod oczami, po czym westchnęła ciężko.

Droga prowadziła ostro w dół, więc Mike skoncentrował się na prowadzeniu samochodu. Nagle tuż przed maską mignął jakiś mały kształt.

– Patrzcie! Patrzcie! – wykrzyknęła Tina, ale zwierzątko zniknęło, zanim ktokolwiek zdążył mu się dokładniej przyjrzeć.

– Co to było? – zapytała Ellen. – Małpa?

– Prawdopodobnie sajmiri – powiedział Mikę.

– Mogę ją zapisać? – Tina trzymała już ołówek w gotowości. Spisywała nazwy wszystkich zwierząt, jakie widziała podczas wakacji, aby później przedstawić w szkole wyniki swoich obserwacji.

– Bo ja wiem... – mruknął z powątpiewaniem ojciec. Tina przyglądała się uważnie zdjęciom w przewodniku.

– To chyba nie była sajmiri, tylko jeszcze jeden wyjec – powiedziała markotnie. Wyjce stanowiły w tej okolicy dość częsty widok. – Wiecie, co tu jest napisane? – zapytała znacznie pogodniejszym tonem. – Według tej książki „plaże Cabo Blanco są odwiedzane przez wiele różnych gatunków zwierząt, między innymi przez wyjce, białogłówki, trójpalczaste leniwce i ostronosy". Tato, myślisz, że uda nam się zobaczyć trójpalczastego leniwca?

– Jestem tego pewien.

– Naprawdę?

– Wystarczy, żebyś spojrzała w lusterko.

– Bardzo zabawne, tato.

Droga cały czas prowadziła w dół, przez dżunglę, ku oceanowi.

* * *

Kiedy wreszcie dotarli do plaży, Mike Bowman poczuł się jak prawdziwy bohater. Przed nimi rozciągał się co najmniej trzykilometrowy, zupełnie pusty pas białego piasku. Zatrzymał land rovera w cieniu palm rosnących na skraju plaży i wytaszczył z samochodu pojemniki z jedzeniem. Ellen tymczasem przebrała się w kostium kąpielowy.

– Naprawdę, nie mam pojęcia, co powinnam zrobić, żeby pozbyć się tej nadwagi.

– Wyglądasz wspaniale, kochanie.

Szczerze mówiąc był zdania, że jest trochę za szczupła, ale zdążył się już nauczyć, że nie należy tego mówić.

Tina biegła przed siebie po plaży.

– Nie zapomnij o kremie! – zawołała za nią matka.

– Później! – odkrzyknęła dziewczynka, oglądając się przez ramię. – Najpierw muszę poszukać leniwca!

Ellen Bowman rozejrzała się dokoła.

– Myślisz, że tu jest bezpiecznie?

– Kochanie, w promieniu kilku kilometrów nie ma żywej duszy.

– A węże?

– Na litość boską, przecież węże nie żyją na plaży!

– Ale mogą przypełznąć...

– Posłuchaj, kochanie: węże są zmiennocieplne. To gady. Nie potrafią kontrolować temperatury ciała. Temperatura tego piasku wynosi kilkadziesiąt stopni. Uwierz mi, tu na pewno nie ma żadnych węży. – Spojrzał w kierunku, w którym pobiegła Tina. Była teraz już tylko ciemnym punkcikiem na białym piasku. – Nie przeszkadzajmy jej. Niech sobie pouży wa.

Objął żonę.

* * *

Tina biegła tak długo, aż zupełnie opadła z sił, po czym rzuciła się na piasek i poturlała w kierunku morza. Woda była ciepła, a fale tak małe, że prawie niezauważalne. Dziewczynka siedziała przez chwilę bez ruchu, łapiąc oddech, a następnie obejrzała się, aby sprawdzić, jak bardzo oddaliła się od rodziców.

Matka nakazywała jej gestami powrót. Tina pomachała w odpowiedzi, udając, że nie rozumie, o co chodzi. Nie chciała smarować się kremem z filtrem przeciwsłonecznym i nie chciała wysłuchiwać matki narzekającej na swoją wyimaginowaną otyłość. Miała zamiar zostać tu, gdzie dotarła, i poszukać leniwca.

Dwa dni wcześniej widziała leniwca w zoo w San José. Przypominał muppeta i wydawał się zupełnie nieszkodliwy. Nie potrafił poruszać się zbyt szybko i w razie potrzeby na pewno udałoby się jej przed nim uciec.

Matka zaczęła coś do niej wołać, więc Tina zdecydowała się wycofać w cień palm rosnących na skraju plaży. Na tym odcinku wybrzeża teren pod palmami opanowały drzewa namorzynowe, broniąc plątaniną korzeni dostępu do wnętrza lądu. Tina usiadła na piasku i rozgarnęła suche liście. Jej uwagę zwróciły liczne ptasie tropy. Kostaryka słynęła z obfitości ptaków; w przewodnikach podawano, że w tym małym kraju zamieszkiwało trzy razy więcej gatunków avifauny niż w Ameryce i Kanadzie razem wziętych.

Niektóre trójpalczaste tropy były małe i słabo widoczne, inne zaś duże, wyraźnie odciśnięte w piasku. Dziewczynka przyglądała się im z zainteresowaniem, kiedy nagle z gęstwiny mangrowców dobiegł do niej świergot, a w chwilę potem szelest.

Czy leniwce wydawały głosy podobne do ćwierkania? Tinie wydawało się, że raczej nie, ale nie była tego całkowicie pewna. Przypuszczalnie to jakiś ptak. Dziewczynka czekała cierpliwie, starając się nie poruszyć; szelest powtórzył się, a w chwilę potem ujrzała jego sprawcę. W odległości kilku metrów od niej spomiędzy korzeni mangrowców wyłoniła się jaszczurka i zaczęła się jej przyglądać.

Tina wstrzymała oddech. Kolejne zwierzątko, które można umieścić na liście! Jaszczurka stanęła na tylnych łapkach, podparła się grubym ogonem i wpatrywała się w nią nieruchomym spojrzeniem. Miała prawie trzydzieści centymetrów wysokości i była ciemnozielona. Niewielkie przednie łapki, zakończone małymi paluszkami, poruszały się bez chwili przerwy. Zwierzątko przekrzywiło łebek, nie spuszczając wzroku z dziewczynki.

Tina uznała, że jest bardzo milutkie. Coś jakby duża salamandra. Wyciągnęła

rękę i pomachała w odpowiedzi palcami.

Jaszczurka wcale się nie wystraszyła. Wręcz przeciwnie: ruszyła w jej kierunku, nadal zachowując pionową postawę. Nie była większa od kurczaka, podobnie jak on, idąc wykonywała głową szybkie ruchy do przodu i do tyłu. Tina pomyślała, że byłoby wspaniale mieć coś takiego w domu.

Zauważyła, że jaszczurka zostawia trójpalczaste ślady, identyczne jak tropy ptaków. Zwierzątko zbliżało się coraz bardziej. Tina siedziała zupełnie nieruchomo, nie chcąc go wystraszyć. Zdziwiło ją, że jaszczurka zupełnie się jej nie boi, ale zaraz przypomniała sobie, iż znajduje się w parku narodowym. Z pewnością wszystkie żyjące tu zwierzęta wiedzą o tym, że są pod ochroną. Może ta jaszczurka spodziewa się czegoś do jedzenia? Niestety, Tina nie miała przy sobie niczego. Powoli, ostrożnie, wyciągnęła przed siebie rękę, aby pokazać, pustą dłoń.

Jaszczurka zatrzymała się, przechyliła głowę i zaświergotała.

– Przepraszam cię, ale naprawdę nic nie mam – powiedziała dziewczynka.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, jaszczurka skoczyła jej na rękę. Tina poczuła małe pazurki wbijające się w jej ciało i zadziwiająco duży ciężar zwierzątka.

Zaraz potem jaszczurka ruszyła po ramieniu, w kierunku twarzy.

* * *

– Wolałabym ją widzieć – powiedziała Ellen Bowman, mrużąc oczy w promieniach słońca. – Tylko tyle. Po prostu wolałabym ją widzieć.

– Na pewno świetnie się bawi – odparł Mike, grzebiąc w pudełku z lunchem przygotowanym przez hotelową restaurację. Był tam niezbyt apetyczny pieczony kurczak i coś w rodzaju pasztetu. Ellen z pewnością nie tknie ani jednego, ani drugiego.

– Chyba nie weszła w las, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– Czuję się tutaj zupełnie odizolowana od reszty świata – poskarżyła się Ellen.

– Wydawało mi się, iż właśnie tego chciałaś – zauważył jej mąż.

– Istotnie.

– Skoro tak, to o co chodzi?

– Po prostu wolałabym mieć ją na oku, to wszystko.

W tej samej chwili usłyszeli niesiony wiatrem krzyk córki.

Puntarenas

– Myślę, że teraz czuje się już znacznie lepiej – powiedział dr Cruz, opuszczając plastikową zasłonę namiotu tlenowego nad śpiącą Tina.

Mike Bowman siedział tuż przy łóżku, blisko córki. Doktor Cruz wywarł na nim bardzo dobre wrażenie: znakomicie mówił po angielsku, odbył staż w Londynie oraz Baltimore i roztaczał wokół siebie aurę fachowości. Klinika Santa Maria w Puntarenas była nowoczesna i utrzymana w nienagannej czystości.

Mimo to Mike Bowman szalał z niepokoju. Nic nie mogło zmienić faktu, że jego jedyna córka była poważnie chora oraz że znajdowali się daleko od domu.

Kiedy, biegnąc co sił w nogach, dotarł do niej na plaży, histerycznie wrzeszczała, a całe jej lewe ramię było zbroczone krwią pochodzącą z niezliczonych ukąszeń wielkości kciuka. Rany pokrywał jakiś lekko spieniony śluz podobny do śliny.

Wziął ją na ręce i ruszył z powrotem w kierunku samochodu. Ramię niemal natychmiast zaczęło puchnąć. Pośpieszna ucieczka od cywilizacji z pewnością pozostanie na długo w jego pamięci; mimo napędu na obie osie land rover z najwyższym trudem wspinał się po śliskiej, błotnistej drodze, podczas gdy dziecko krzyczało ze strachu i bólu, a jej ramię stawało się coraz bardziej sine i opuchnięte. Na długo przedtem, zanim dotarli do granicy parku, opuchlizna sięgnęła karku, a potem Tina zaczęła mieć kłopoty z oddychaniem...

– Nic jej teraz nie będzie? – zapytała Ellen, spoglądając na córkę przez plastikową zasłonę namiotu tlenowego.

– Mam nadzieję – odparł dr Cruz. – Dostała dużą dawkę steroidów, zaczęła normalnie oddychać, a sami państwo widzicie, że obrzęk wyraźnie się zmniejszył.

– Te ugryzienia...

– Nie udało nam się jeszcze zidentyfikować, co to mogło być za zwierzę. Jeśli o mnie chodzi, widzę coś takiego po raz pierwszy w życiu, ale ślady po nich także zaczęły niknąć. Właściwie trudno już je nawet dostrzec. Na szczęście zrobiłem kilka zdjęć i pobrałem trzy próbki tej śliny. Jedną oddam do analizy w naszym laboratorium, drugą poślę do San José, a trzecią zamrozimy na wypadek, gdyby później trzeba było przeprowadzić jakieś dodatkowe badania. Mają państwo obrazek, który narysowała?

– Tak – odparł Mikę Bowman. Wręczył Gruzowi szkic sporządzony przez Tinę na prośbę lekarzy.

– To ma być to zwierzę, które ją pokąsało? – zapytał dr Cruz, spoglądając na kartkę papieru.

– Tak – potwierdził Bowman. – Określiła je jako zieloną jaszczurkę wielkości kurczaka albo wrony.

– Nigdy nie słyszałem o takiej jaszczurce – odparł lekarz. – Narysowała ją stojącą na tylnych łapach...

– Właśnie. Powiedziała, że jaszczurka chodziła na tylnych kończynach.

Dr Cruz zmarszczył brwi i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w rysunek.

– Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie. Poprosiłem doktora Guitierreza, żeby do nas zajrzał. Jest adiunktem w Reserva Biologica de Carara, dokładnie naprzeciwko nas, po drugiej stronie zatoki. Być może uda mu się zidentyfikować to zwierzę.

– Nie mógł pan wezwać kogoś z Cabo Blanco? – zapytał Bowman. – Przecież tam właśnie została pogryziona.

– Niestety, nie. W Cabo Blanco nie ma stałego personelu, a od jakiegoś czasu nikt nie prowadził tam żadnych badań. Przypuszczalnie byliście państwo pierwszymi ludźmi, jacy od wielu miesięcy pojawili się na tej plaży. Jestem jednak pewien, że dr Guitierrez będzie mógł nam pomóc.

Dr Guitierrez był brodaty, miał na sobie szorty w kolorze khaki i taką samą koszulę. Okazało się, że jest Amerykaninem.

– Bardzo miło mi państwa poznać – powiedział z miękkim południowym akcentem zaraz po tym, jak został przedstawiony przez Cruza, a następnie wyjaśnił, że jest biologiem z uniwersytetu Yale i od pięciu lat pracuje w Kostaryce. Marty Guitierrez dokładnie zbadał Tinę; delikatnie uniósł pogryzione ramię, przy świetle ołówkowej latarki przyjrzał się uważnie śladom ukąszeń, a następnie zmierzył je małą, kieszonkową miarką. Kiedy skończył, cofnął się o krok i skinął głową, jakby znalazł dowody potwierdzające jego wcześniejsze przypuszczenia. Na koniec obejrzał fotografie wykonane polaroidem i zadał kilka pytań dotyczących śliny, którą jeszcze analizowano w laboratorium.

Wreszcie zwrócił się do czekających w napięciu Mike'a i Ellen Bowmanów.

– Myślę, że Tinie nic nie będzie, ale chciałbym wyjaśnić kilka szczegółów – powiedział, robiąc jednocześnie notatki pewną ręką. – Pańska córka twierdzi, że została pogryziona przez zieloną jaszczurkę o wysokości mniej więcej trzydziestu centymetrów, która wyszła na tylnych łapach spomiędzy korzeni mangrowców, rosnących na podmokłym terenie zaczynającym się zaraz za skrajem plaży?

– Owszem.

– I jaszczurka ta wydawała jakieś dźwięki?

– Tina powiedziała, że świergotała albo piszczała.

– Tak jak na przykład mysz?

– Chyba tak.

– Wygląda więc na to, że znam tę jaszczurkę – powiedział dr Guitierrez. Wyjaśnił rodzicom Tiny, że spośród trzech tysięcy gatunków jaszczurek żyjących na Ziemi, zaledwie około dziesięciu gatunkom zdarza się poruszać w pozycji wyprostowanej, a tylko cztery z nich występują na terenie Ameryki Łacińskiej. Sądząc po ubarwieniu, egzemplarz, który zaatakował dziewczynkę, należał do jednego z tych czterech. – Jestem niemal pewien, że to jeden z bazyliszków, żyjący zarówno w Kostaryce, jak i w Hondurasie. Kiedy stanie na tylnych kończynach, może mieć nawet trzydzieści centymetrów wysokości.

– Czy jest jadowity?

– Nie, proszę pani. Absolutnie nie. – Zdaniem doktora Guitierreza, opuchlizna

stanowiła rezultat alergicznej reakcji organizmu. – Według fachowej literatury około czternastu procent ludzi jest silnie uczulonych na ślinę gadów – powiedział. – Państwa córeczka należy zapewne do tych czternastu procent.

– Ale ona krzyczała, że bardzo ją boli...

Guitierrez skinął głową.

– Bo zapewne bolało. Ślina gadów zawiera serotoninę, która wywołuje silny ból. – Odwrócił się do Cruza. – Czy po podaniu leków przeciwhistaminowych ciśnienie krwi wróciło do normy?

– Tak – odparł lekarz. – Natychmiast.

– Serotonina – zawyrokował Guitierrez. – Ponad wszelką wątpliwość.

Mimo to Ellen Bowman nadal była niespokojna.

– Ale dlaczego ta jaszczurka ją zaatakowała?

– Przypadki pokąsań przez jaszczurki są bardzo częste – poinformował biolog. – Ludziom pracującym w zoo zdarza się to niemal codziennie. Nie dalej jak wczoraj usłyszałem o przypadku pogryzienia przez jaszczurkę niemowlęcia w Amaloyi, mniej więcej sto kilometrów od miejsca, gdzie państwo byliście. Nie wiem tylko, dlaczego państwa córka została ugryziona aż tyle razy. Co wtedy robiła?

– Nic. Mówi, że siedziała bez ruchu, bo nie chciała jej spłoszyć.

– Siedziała bez ruchu... – powtórzył Guitierrez ze zmarszczonymi brwiami, po czym potrząsnął głową. – Cóż, nie wydaje mi się, żebyśmy mogli ustalić z całą pewnością, jak do tego doszło. Trudno przewidzieć reakcje dzikich zwierząt.

– A co z tą spienioną śliną na jej ramieniu? – nie dawała za wygraną Ellen. – Wciąż myślę o wściekliźnie...

– Nie, nie! – zaprotestował gwałtownie uczony. – Gady nie przenoszą wścieklizny, proszę pani. Pani córeczka zareagowała alergicznie na ukąszenie bazyliszka, i to wszystko.

Mikę Bowman pokazał mu rysunek wykonany przez Tinę. Guitierrez skinął głową.

– W ogólnym zarysie można uznać to za podobiznę bazyliszka. Ma się rozumieć, kilka szczegółów nie zgadza się z rzeczywistością. Szyja jest zdecydowanie zbyt długa, przy tylnych kończynach są tylko trzy palce zamiast pięciu, ogon jest trochę za gruby i zbyt wysoko uniesiony, ale poza tym widzicie państwo przed sobą jaszczurkę należącą bez wątpienia do tego gatunku, o którym mówiliśmy.

– Ale Tina kilka razy wspomniała o tej długiej szyi! – nie rezygnowała Ellen Bowman. – I powiedziała, że jaszczurka miała po trzy palce u każdej stopy.

– Ona jest bardzo spostrzegawcza – dorzucił Mike.

– Nie wątpię – odparł z uśmiechem Marty Guitierrez. – Mimo to nadal uważam, że państwa córka została pogryziona przez zwykłego bazyliszka i to spowodowało gwałtowną reakcję organizmu. Po zastosowaniu właściwego leczenia wszystkie objawy powinny ustąpić w ciągu dwunastu godzin. Jutro rano już nic jej nie będzie.

* * *

Informacja o tym, że dr Guitierrez zidentyfikował zwierzę, które pogryzło

amerykańską dziewczynkę, i że był to nieszkodliwy bazyliszek, dotarła do nowoczesnego laboratorium mieszczącego się w podziemiach kliniki Santa Maria. W związku z tym natychmiast wstrzymano analizę próbki śliny, mimo iż wstępne frakcjonowanie wykazało obecność kilku protein o niezwykle dużym ciężarze cząsteczkowym i nieznanym działaniu. Technik pełniący nocny dyżur miał jednak wiele innych zajęć, więc po prostu wstawił próbki do lodówki.

Nazajutrz rano jego zmiennik sprawdził zawartość lodówki, porównując ją z listą pacjentów wypisanych ze szpitala. Widząc, że BOWMAN CHRISTINA L. ma opuścić klinikę jeszcze tego samego dnia rano, technik wyrzucił wszystkie próbki mające związek z jej przypadkiem. W ostatniej chwili zauważył, że jedna z probówek jest zaopatrzona w czerwoną karteczkę, co oznaczało, że powinna zostać przesłana do laboratorium uniwersyteckiego w San José, wyjął ją więc z kosza i przekazał tam, gdzie należało.

* * *

– No, podziękuj doktorowi Gruzowi – ponagliła córkę Ellen Bowman, popychając ją lekko w kierunku lekarza.

– Dziękuję, panie doktorze – powiedziała dziewczynka. – Czuję się już dużo lepiej. – Wyciągnęła rękę i uścisnęła dłoń mężczyzny, po czym niespodziewanie dodała: – Dzisiaj ma pan inną koszulę.

Przez chwilę dr Cruz wpatrywał się w nią ze zdumieniem, po czym uśmiechnął się.

– To prawda Po nocnym dyżurze zawsze zmieniam rano koszulę.

– Ale me krawat?

– Nie, tylko koszulę.

– Mike mówił panu, że jest bardzo spostrzegawcza – powiedziała Ellen.

– Istotnie. – Dr Cruz mocno potrząsnął małą rączką dziewczynki. – Życzę miłych wakacji w Kostaryce.

– Dziękuję. Na pewno będzie mi się podobało. Bowmanowie zbierali się już do odejścia, kiedy dr Cruz nagle zapytał:

– Tina, czy pamiętasz tę jaszczurkę, która cię pogryzła?

– Aha.

– A jej tylne łapki?

– Aha.

– Miała palce?

– Tak.

– Ile?

– Trzy.

– Skąd wiesz?

– Bo przyjrzałam im się – odparła. – Poza tym, ptaki, które chodzą po piasku, zostawiają zabawne ślady. O, takie: – Podniosła rękę z szeroko rozstawionymi środkowymi palcami. – Tamta jaszczurka zostawiała takie same.

– Jaszczurka zostawiała takie same ślady jak ptak?

– Aha. I chodziła jak ptak. Cały czas poruszała głową, do przodu i do tyłu. – Zrobiła kilka kroków, naśladując ruchy gada.

Po wyjściu Bowmanów Cruz postanowił poinformować Guitierreza o przebiegu rozmowy.

– Muszę przyznać, że relacja dziewczynki jest co najmniej zastanawiająca – powiedział biolog. – Sporo nad tym myślałem i nie jestem już taki pewien, czy naprawdę została pogryziona przez bazyliszka. Szczerze mówiąc, w ogóle nie jestem już tego pewien.

– W takim razie, co to mogło być?

– Nie stawiajmy przedwczesnych hipotez – odparł Guitierrez. – A tak przy okazji: słyszałeś może ostatnio o jakichś innych przypadkach pogryzienia przez jaszczurki?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Gdybyś usłyszał, przyjacielu, daj mi natychmiast znać.

Plaża

Marty Guitierrez siedział na plaży i obserwował słońce zniżające się coraz bardziej nad horyzont; kiedy zawisło tuż nad powierzchnią oceanu, jego promienie dotarły pod korony palm, aż do gęstwiny korzeni drzew namorzynowych na plaży Cabo Blanco. Marty przypuszczał, że udało mu się z dużą dokładnością odnaleźć miejsce, w którym dwa dni wcześniej Tina spotkała tajemniczą jaszczurkę.

Mimo że – zgodnie z tym, co powiedział Bowmanom – przypadki pogryzienia przez jaszczurki nie należały do rzadkości, to jednak jeszcze nigdy nie słyszał, żeby sprawcą ataku był bazyliszek. Nigdy też nie zaistniała konieczność hospitalizacji ofiary. Poza tym, ślady na ramieniu Tiny były trochę za duże jak na ukąszenia bazyliszka. Zaraz po powrocie do stacji naukowej w Carara Guitierrez dokładnie przewertował całą tamtejszą bibliotekę, ale nie znalazł żadnych wzmianek na ten temat. Następnie połączył się z amerykańską komputerową bazą danych International BioSciences Services, ale również ta próba nie przyniosła rezultatów.

Marty zadzwonił więc do lekarza z Amaloyi, który potwierdził, że dziewięciodniowe niemowlę śpiące w kołysce zostało ugryzione w stopę przez jakieś zwierzę. Babka dziecka – jedyna osoba, która widziała to zdarzenie – twierdzi, iż była to jaszczurka. Stopa natychmiast opuchła i niewiele brakowało, żeby niemowlę umarło. Jaszczurka była zielona, ukąsiła dziecko kilka razy, zanim została spłoszona przez kobietę.

– Dziwne... – mruknął Guitierrez.

– Nie bardziej niż pozostałe przypadki – odparł lekarz. Okazało się, że dotarły do niego wiadomości o innych, podobnych zdarzeniach. W Vasquez, najbliższej wiosce na wybrzeżu, dziecko zostało pokąsane w czasie snu, podobnie jak inne w Puerta Sotrero. Wszystkie wypadki miały miejsce w ciągu minionych dwóch miesięcy, wszystkie też zdarzyły się śpiącym niemowlętom lub małym dzieciom.

Po tym, co usłyszał, Guitierrez zaczai podejrzewać, że może tu chodzić o jakiś zupełnie nowy, nie znany do tej pory gatunek jaszczurki. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby pojawił się tutaj. Kostaryka, mierząca w najwęższym miejscu niewiele ponad sto dwadzieścia kilometrów, ustępuje wielkością stanowi Maine, ma jednak bardzo zróżnicowane warunki naturalne: wybrzeża dwóch oceanów, cztery oddzielne łańcuchy górskie – w ich skład wchodzą zarówno szczyty o wysokości przekraczającej cztery tysiące metrów, jak i aktywne wulkany – dżungle zwrotnikowe i podzwrotnikowe, strefy umiarkowane, bagna oraz jałowe pustynie. Tak wielka różnorodność klimatyczna zapewnia idealne warunki bytowania zdumiewającej liczbie gatunków roślin i zwierząt. Samych ptaków spotyka się tu trzy razy więcej niż w całej Ameryce Północnej, a do tego trzeba jeszcze dodać ponad tysiąc gatunków orchidei i pięć tysięcy gatunków owadów.

Nowe gatunki odkrywa się niemal bez przerwy, w ostatnich latach nawet częściej niż do tej pory, a to z bardzo smutnego powodu: w Kostaryce prowadzi się zakrojony

na wielką skalę wyrąb lasów, w związku z czym zwierzęta muszą przenosić się w nowe miejsca, czasem zmieniając także sposób zachowania.

Tak więc pojawienie się nowej, nie znanej do tej pory jaszczurki było całkiem możliwe. Jednak zdarzenie to, oprócz całkiem zrozumiałego podniecenia, musiało także wywoływać obawy dotyczące ryzyka rozprzestrzeniania się nowych chorób. Jaszczurki są nosicielami wielu chorób zakaźnych, w tym także takich, które mogą stać się udziałem człowieka. Najpoważniejszą z nich jest specyficzna forma zapalenia mózgu, powodująca u ludzi i koni coś w rodzaju śpiączki. Guitierrez uznał, że należy koniecznie odszukać nową jaszczurkę, choćby po to, aby sprawdzić, czy nie przenosi żadnych chorób.

Teraz, siedząc na plaży i przyglądając się chylącemu się ku zachodowi słońcu, westchnął ciężko. Może Tina Bowman widziała nowe zwierzę, ale on, Marty Guitierrez, na pewno nie. Z samego rana załadował do wiatrówki kapsułki ze środkiem usypiającym i pełen nadziei udał się na plażę, lecz całodzienne oczekiwanie nie dało żadnych rezultatów. Wkrótce będzie musiał wsiąść do samochodu i ruszyć z powrotem; wolał nie ryzykować jazdy w ciemności krętą, wspinającą się stromo w górę drogą.

Dźwignął się na nogi i skierował się w stronę samochodu. Nieco z przodu dostrzegł wyjca, podążającego w tym samym kierunku skrajem gęstego pasa mangrowców. Guitierrez starał się iść skrajem plaży, nad samą wodą. Wyjce zazwyczaj gromadziły się w duże grupy i miały niemiły zwyczaj oddawania z drzew moczu na intruzów. Ten był sam; szedł powoli, często zatrzymując się i przysiadając. Trzymał coś w pysku. Kiedy Guitierrez podszedł bliżej, zobaczył, że małpa pożera zieloną jaszczurkę. Spomiędzy szczęk wystawał ogon i tylne łapy.

Guitierrez przypadł do ziemi i wycelował z wiatrówki. Małpa, przyzwyczajona do tego, że w rezerwacie nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo ze strony ludzi, spojrzała na niego z zainteresowaniem. Nie uciekła, nawet kiedy pierwsza kapsułka świsnęła jej tuż obok głowy. Druga wbiła się w udo, i dopiero wtedy wyjec wydał zdumiony wrzask, po czym rzucił się do ucieczki, pozostawiając na piasku nie dojedzoną resztkę zdobyczy.

Marty nie obawiał się o los małpy; dawka środka usypiającego była tak mała, że w najgorszym razie mogła spowodować kilkuminutowe oszołomienie. Już teraz zastanawiał się natomiast, co począć ze znaleziskiem. Naturalnie sam zajmie się wstępnymi oględzinami, ale w celu dokładnego zbadania szczątki jaszczurki powinny trafić do Stanów Zjednoczonych. Tylko komu je posłać? Najlepszym ekspertem w tej dziedzinie był Edward H. Simpson, emerytowany wykładowca zoologii z Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku. Ten elegancki, starszy pan starannie zaczesujący do tyłu swoje siwe włosy, był powszechnie uznawanym autorytetem w zakresie taksonomii jaszczurek. Tak, pomyślał Marty. Wyślę to do doktora Simpsona.

Nowy Jork

Dr Richard Stone, szef Laboratorium Chorób Tropikalnych Centrum Medycznego Uniwersytetu Columbia, często mawiał, że ta dumnie brzmiąca nazwa zupełnie nie pasuje do skromnej rzeczywistości. Na początku dwudziestego wieku, kiedy laboratorium zajmowało całe trzecie piętro budynku Wydziału Badań Biomedycznych, pracowały w nim dziesiątki techników starających się pokonać żółtą febrę, malarię i cholerę. Teraz jednak postęp medycyny oraz dokonania podobnych laboratoriów w Nairobi i Sao Paulo sprawiły, że LCT zdecydowanie straciło na znaczeniu. W dużym stopniu ograniczywszy stan posiadania zatrudniało teraz na pełnych etatach jedynie dwóch techników, zajętych głównie diagnozowaniem chorób przywiezionych przez nowojorczyków podróżujących po egzotycznych krajach. Przesyłka, która nadeszła tego dmą rano, zakłóciła spokojną, rutynową pracę.

– Wspaniale – powiedziała laborantka, po czym odczytała na głos treść załączonej do paczki deklaracji celnej: – „Częściowo przeżuty fragment nie zidentyfikowanej kostarykańskiej jaszczurki". – Zmarszczyła nos. – W pańskie ręce, doktorze Stone.

Richard Stone podszedł do stołu, aby obejrzeć przesyłkę.

– Czy to ten materiał z laboratorium Eda Simpsona? – zapytał.

– Owszem. Ale nie mam pojęcia, dlaczego wepchnęli go akurat nam.

– Dzwoniła jego sekretarka – wyjaśnił Stone. – Simpson wyjechał na całe lato na Borneo, a ponieważ istnieje podejrzenie, że ta jaszczurka mogła być nosicielem jakiejś choroby, poprosiła nas, żebyśmy rzucili na nią okiem.

Biały, plastikowy cylinder był wielkości dwulitrowej bańki na mleko. Miał metalowe zatrzaski i zakręcaną pokrywkę. Widniał na nim rzucający się w oczy napis: POJEMNIK NA OKAZY BIOLOGICZNE oraz ostrzeżenia w czterech językach, zakazujące otwierania cylindra nawet podejrzliwym celnikom.

Wszystko wskazywało na to, że spełniły swoją rolę; kiedy Richard Stone włączył silną lampę, wiszącą nad laboratoryjnym stołem, przekonał się, że pieczęcie są nie naruszone. Uruchomił wyciąg, po czym założył gumowe rękawiczki i maskę. Bądź co bądź właśnie w tym laboratorium udało się niedawno zidentyfikować okazy zarażone wenezuelską febrą, japońskim zapaleniem mózgu, wirusem Langata, Kyanasur oraz Mayaro.

Potem odkręcił przykrywkę.

Rozległ się syk uciekającego gazu, z wnętrza cylindra wydobyła się biała para, jego powierzchnia zaś błyskawicznie pokryła się szronem. W środku znajdowała się, zamykana na plastikowy suwak, przezroczysta torebka zawierająca coś zielonego. Stone rozłożył na stole chirurgiczną ceratę i wytrząsnął na nią zawartość torebki. Kawałek zamrożonego mięsa spadł na stół z głuchym łoskotem.

– O jejku – powiedziała laborantka. – Chyba wyszarpnęli to komuś z gardła.

– Ma pani rację – potwierdził Stone. – Czego od nas oczekują? Kobieta zajrzała do dokumentów dostarczonych wraz z cylindrem.

– Wśród miejscowych dzieci zdarzają się przypadki pogryzienia przez jaszczurki. Mamy zidentyfikować gatunek oraz stwierdzić, czy przenosi jakieś groźne choroby. – Wyjęła z plastikowych okładek wykonany dziecięcą ręką rysunek podpisany: TINA. – Jedno z dzieci sporządziło portret zwierzęcia. Stone zerknął na rysunek.

– Wątpię, żeby udało nam się dokonać identyfikacji, ale co do chorób, to nie ma żadnego problemu, oczywiście pod warunkiem, że uda mi się wycisnąć choć trochę krwi z tego kawałka. Jak nazwali tę jaszczurkę?

– Bazyliszek z anomalią genetyczną polegającą na obecności trzech palców zamiast pięciu.

– W porządku – mruknął Stone. – Bierzmy się do pracy. Zanim odtaje, proszę to prześwietlić i zrobić kilka zdjęć do dokumentacji. Po uzyskaniu próbki krwi należy przeprowadzić standardowe testy na obecność antyciał. Proszę mnie zawiadomić, jeżeli pojawią się jakieś problemy.

* * *

Wyniki badań były gotowe jeszcze przed lunchem: w krwi jaszczurki nie stwierdzono obecności żadnych ciał reagujących na antygeny wirusowe lub bakteryjne. Testy toksykologiczne wykazały jedynie niezbyt wyraźną reakcję na jad indyjskiej kobry królewskiej, ale wśród gadów takie przypadki zdarzały się dosyć często, więc dr Stone nie uznał za stosowne zamieścić tej informacji w faksie, który jeszcze tego wieczoru laborantka przesłała doktorowi Martinowi Guitierrezowi.

Jeżeli natomiast chodziło o identyfikację jaszczurki, to problem ten musiał poczekać do powrotu doktora Simpsona. Ponieważ miało to nastąpić dopiero za kilka tygodni, jego sekretarka poprosiła doktora Stone'a, aby Laboratorium Chorób Tropikalnych przechowało szczątki zwierzęcia. Doktor Stone włożył je z powrotem do zapinanej na suwak torebki i wrzucił do zamrażarki.

* * *

Martin Guitierrez przeczytał krótki faks nadesłany przez Laboratorium Chorób Tropikalnych przy Centrum Medycznym Uniwersytetu Columbia:

OBIEKT: Bazyliszek z anomalią genetyczną, dostarczony przez dra Simpsona;

MATERIAŁ: fragment tylnej części tułowia (?) częściowo zjedzonego zwierzęcia;

PRZEPROWADZONE BADANIA: rtg, testy immunologiczne na obecność chorób wirusowych, bakteryjnych oraz pasożytów;

REZULTATY: nie wykryto żadnych histologicznych ani immunologicznych dowodów świadczących o tym, aby ten egzemplarz był nosicielem jakichś chorób groźnych dla człowieka.

(podpis)

dr Richard A. Stone, dyrektor

Na podstawie faksu Guitierrez wyciągnął dwa wnioski. Po pierwsze: naukowcy z Uniwersytetu Columbia potwierdzili słuszność jego przypuszczenia, że zagadkową jaszczurką był zwykły bazyliszek. Po drugie: zwierzę to nie jest nosicielem zakaźnych chorób więc ostatnie przypadki pogryzień nie stanowią żadnego zagrożenia dla zdrowia mieszkańców Kostaryki. Wszystko wskazywało na to, iż wstępna hipoteza Marty'ego była jak najbardziej prawidłowa: widocznie jaszczurki zostały zmuszone do przeniesienia się do nowego, nieznanego środowiska, gdzie po raz pierwszy zetknęły się z ludźmi. Guitierrez był pewien, że za kilka tygodni zwierzęta przyzwyczają się do zmienionych warunków, a przypadki pogryzień przestaną się powtarzać.

* * *

Tropikalny deszcz lał się z nieba nieprzerwanymi strumieniami, bębniąc w pokryty falistą blachą dach kliniki w Bahia Anasco. Zbliżała się północ. Z powodu burzy nastąpiła przerwa w dostawie energii elektrycznej, więc akuszerka Elena Morales pracowała przy świetle latarki, kiedy nagle usłyszała piskliwy, świergoczący odgłos. Podejrzewając, że może to być szczur, położyła zimny kompres na czole zmęczonej porodem matki, po czym szybko przeszła do sąsiedniego pokoju, aby sprawdzić, jak czuje się nowo narodzone dziecko. W chwili kiedy położyła rękę na klamce, odgłos rozległ się ponownie, ona zaś odprężyła się. Z pewnością to tylko jakiś ptak, który wleciał przez okno, aby skryć się przed deszczem. Mieszkańcy Kostaryki powiadają, że to dobry znak, jeśli ptak przyleci w odwiedziny do małego dziecka.

Elena otworzyła drzwi. Noworodek, zawinięty w cienki kocyk, leżał w wiklinowej kołysce. Widać było tylko jego twarz. Dokoła kołyski, niczym chimery, siedziały trzy ciemnozielone jaszczurki. Kiedy Elena weszła do pokoju, przekrzywiły łebki i spojrzały na nią z zainteresowaniem, ale nie rzuciły się do ucieczki. W świetle latarki pielęgniarka ujrzała ich zakrwawione pyszczki. Poćwierkując cicho, jedna z jaszczurek pochyliła się nad kołyską, wgryzła się w ciało dziecka, po czym gwałtownym szarpnięciem oderwała kawałek mięsa.

Elena wrzasnęła przeraźliwie i rzuciła się na pomoc, ale kiedy zobaczyła, co zostało z twarzy noworodka, natychmiast zrozumiała, że jest już za późno na jakąkolwiek pomoc. Jaszczurki, popiskując i poćwierkując, umknęły w noc, pozostawiając po sobie tylko krwawe, trójpalczaste ślady, bardzo podobne do ptasich.

Stan rzeczy

Później, kiedy Elena Morales nieco ochłonęła, postanowiła nikomu nie wspominać o jaszczurkach. Pomimo okropności tego, co widziała, zaczęła się obawiać, że zostanie oskarżona o pozostawienie noworodka bez opieki. Powiedziała więc matce, że dziecko umarło z powodu zatrzymania oddychania, natomiast do władz w San José wysłała zawiadomienie o zgonie na zespół nagłej śmierci noworodków. Bardzo małe dzieci czasem umierały bez żadnych widocznych powodów, nikt więc nie zakwestionował wiarygodności jej raportu.

Laboratorium uniwersyteckie w San José, które przeprowadziło badania próbki śliny pobranej z ramienia Tiny Bowman, dokonało kilku interesujących ustaleń. Zgodnie z oczekiwaniami stwierdzono obecność serotoniny, natomiast wśród protein odkryto prawdziwe monstrum o masie cząsteczkowej l 980 000, czyli jedną z największych protein znanych nauce. Trwały jeszcze badania aktywności biologicznej śliny, ale wszystko wskazywało na to, że był to jad zbliżony działaniem do jadu kobry, choć o znacznie prostszej strukturze.

Natrafiono także na śladowe ilości hydrolazy gamma–aminometioniny. Ponieważ enzym ten zawsze wskazywał na dokonywane uprzednio ingerencje w materiał genetyczny i nie występował u zwierząt żyjących na wolności, technicy uznali, że przyplątał się z zewnątrz, i nie zawiadomili o jego odkryciu doktora Cruza, lekarza z Puntarenas.

Fragment jaszczurki leżał spokojnie w zamrażarce Uniwersytetu Columbia, czekając na powrót doktora Simpsona, którego spodziewano się nie wcześniej niż za miesiąc. I tak by zapewne wszystko pozostało, gdyby nie to, że laborantka nazwiskiem Alice Levin weszła do Laboratorium Chorób Tropikalnych, zobaczyła obrazek Tiny Bowman, po czym zapytała:

– Czyje dziecko narysowało tego dinozaura? Richard Stone odwrócił się powoli w jej kierunku.

– Słucham?

– Tego dinozaura. Mój mały rysuje je bez przerwy.

– To jest jaszczurka – wyjaśnił Stone. – Z Kostaryki. Narysowała ją dziewczynka, która pojechała tam z rodzicami.

Alice Levin pokręciła głową.

– Skądże znowu. Przyjrzyj mu się dobrze. Przecież to wyraźnie widać: duża głowa, długa szyja, stoi na dwóch nogach i ma gruby ogon. To dinozaur.

– Niemożliwe. Miała tylko trzydzieści centymetrów wysokości.

– I co z tego? Przecież wtedy żyły także małe dinozaury. Wierz mi, mając dwóch chłopców jestem specjalistką w tej dziedzinie. Najmniejsze dinozaury mierzyły mniej niż trzydzieści centymetrów. Mikrozaury, czy coś w tym rodzaju... Te nazwy są niemożliwe do zapamiętania. Żeby się ich nauczyć, trzeba mieć najwyżej dziesięć lat.

– Nie zrozumiałaś mnie – odparł Richard Stone. – Ten rysunek przedstawia współcześnie żyjące zwierzę. Przysłano nam jego fragment. Leży teraz w zamrażarce.

Podszedł do zamrażarki, wyjął torebkę i wytrząsnął na stół jej zawartość.

Alice Levin spojrzała na zamarznięty kawałek mięsa, po czym wzruszyła ramionami.

– Ja tam nic nie wiem – powiedziała. – To jednak wygląda jak dinozaur.

Stone potrząsnął głową.

– Niemożliwe.

– Dlaczego? – zapytała Alice. – Przecież to mógł być jakiś relikt, czy jak tam je nazywają.

Stone w dalszym ciągu potrząsał głową. Alice nie była zbyt wykształcona; pracowała jako zwykła laborantka w dziale bakteriologii, mieszczącym się trochę dalej, w tym samym korytarzu. W dodatku miała bujną wyobraźnię. Nie tak dawno wyznała mu, iż podejrzewa, że jeden z posługaczy z chirurgii śledzi ją, kiedy wieczorami wraca do domu...

– Wiesz co, Richard? Gdyby to był dinozaur, mogłaby z tego być bombowa historia.

– Ale to nie jest dinozaur.

– Czy ktoś to sprawdził?

– Nie.

– W takim razie zawieź go do Muzeum Historii Naturalnej albo gdzieś – poradziła mu Alice Levin. – Myślę, że powinieneś się tym zająć.

– Będzie mi głupio.

– Może chcesz, żebym ja to zrobiła?

– Nie – odparł Richard. – Nie chcę.

– A więc nic nie zrobisz?

– Absolutnie nic. – Włożył torebkę z powrotem do zamrażarki i zatrzasnął drzwi. – To nie żaden dinozaur, tylko jaszczurka. A poza tym, cokolwiek to jest, może zaczekać na powrót doktora Simpsona z Borneo. Koniec dyskusji, Alice. Ta jaszczurka nigdzie się stąd nie ruszy.

DRUGA ITERACJA

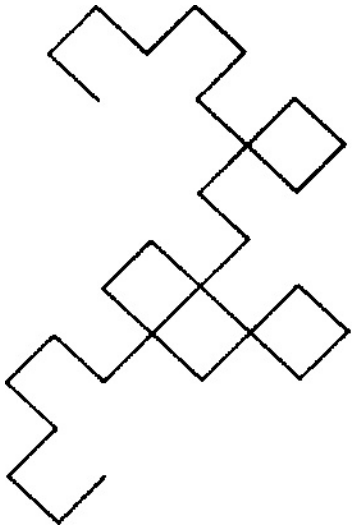

Jednak kiedy proces ten trwa już pewien czas, mogą wystąpić nagle zmiany.

IAN MALCOLM

Brzeg śródlądowego morza

Alan Grant klęczał z nosem oddalonym zaledwie o kilkanaście centymetrów od ziemi. Temperatura przekraczała trzydzieści osiem stopni. Mimo grubych ochraniaczy bolały go kolana, płuca piekły z powodu drażniącego, alkalicznego pyłu, a pot ściekał strużkami po czole, lecz Grant nie zwracał na to wszystko najmniejszej uwagi. Interesował go jedynie skrawek ziemi o wymiarach mniej więcej piętnaście na piętnaście centymetrów.

Manipulując ostrożnie dłutkiem i miękkim pędzlem odsłonił maleńki, przypominający kształtem literę L, fragment kości szczękowej. Miał zaledwie dwa i pół centymetra długości i był grubości najmniejszego palca. Zęby, ułożone w rząd małych punkcików, miały charakterystyczny stożkowy kształt. Kość była bardzo krucha, więc Grant przerwał na chwilę odkopywanie, by pokryć ją warstwą szybko schnącego kleju. Nie ulegało wątpliwości, iż jest to kość szczękowa bardzo młodego drapieżnego dinozaura. Jej właściciel zakończył życie siedemdziesiąt pięć milionów lat temu, w wieku około dwóch miesięcy. Przy odrobinie szczęścia może uda się znaleźć także pozostałą część szkieletu. Gdyby tak się stało, byłby to pierwszy kompletny szkielet młodego...

– Alan!

Alan Grant podniósł głowę i natychmiast zmrużył oczy, oślepione blaskiem słońca. Zsunął na nos ciemne okulary, po czym otarł czoło wierzchem dłoni.

Działo się to na zerodowanym stoku wzgórza na pustkowiu w pobliżu Snakewater w stanie Montana. Jak okiem sięgnąć, pod wielką błękitną kopułą nieba we wszystkich kierunkach ciągnęły się zaokrąglone wzgórza, zbudowane z wietrzejącego wapienia. Ani jednego drzewa albo krzaka – nic, tylko naga skała, gorące słońce i zawodzący wiatr.

Przybywający tu od czasu do czasu goście twierdzili, że krajobraz jest potwornie monotonny, ale Grant widział coś zupełnie innego. To pustkowie stanowiło pozostałość po innym, całkowicie odmiennym świecie, który przestał istnieć sześćdziesiąt pięć milionów lat temu. Alan bez trudu mógł sobie wyobrazić ciepłe bagniste zalewisko, tworzące brzeg wielkiego śródlądowego morza. To morze miało półtora tysiąca kilometrów szerokości, sięgając od niedawno wypiętrzonych Gór Skalistych aż po ostre, poszarpane szczyty Appalachów. Cały zachód Ameryki znajdował się pod wodą.

W tamtych czasach rzadkie obłoki przesuwały się po niebie, ciemnym od dymu buchającego z kraterów pobliskich wulkanów. Atmosfera była bardziej gęsta, z większą zawartością dwutlenku węgla. Wzdłuż całego brzegu bujnie rozwijała się roślinność. W wodzie roiło się od ryb, mięczaków i ślimaków. Pterozaury przelatywały tuż nad powierzchnią morza, wyławiając smakowite algi. Między palmami przemykały od czasu do czasu nieliczne mięsożerne dinozaury, a w niewielkim oddaleniu od brzegu znajdowała się mała wyspa o powierzchni nie

przekraczającej jednego hektara. Obrośnięta dokoła gęstą roślinnością stanowiła coś w rodzaju rezerwatu, gdzie stada roślinożernych dinozaurów składały jaja we wspólnych gniazdach, a następnie opiekowały się skrzeczącym potomstwem.

W ciągu kolejnych milionów lat bladozielone, alkaliczne jezioro stawało się coraz płytsze, aż wreszcie zupełnie zniknęło. Odkryty teren zaczął wypiętrzać się i pękać pod wpływem gorąca, niewielka zaś wysepka z gniazdami dinozaurów stała się zerodowanym zboczem wzgórza w północnej Montanie.

– Alan!

Grant wstał i wyprostował się. Był mocno zbudowanym, brodatym, czterdziestoletnim mężczyzną. Do jego uszu dobiegało sapanie przenośnego kompresora oraz przytłumiony klekot młota pneumatycznego pracującego na sąsiednim wzgórzu. Dokoła uwijali się studenci, poszukując w odwalonych przez młot kawałach wapienia śladów skamielin. U podnóża pagórka stało sześć wigwamów mieszkalnych, jeden duży, pełniący funkcję jadalni, z powiewającymi na wietrze bokami, oraz przyczepa, w której mieściło się polowe laboratorium. Obok przyczepy stała Ellie i machała co sił w jego kierunku.

– Goście! – zawołała, wskazując na wschód.

Grant spojrzał w tamtą stronę i ujrzał najpierw obłok pyłu, a potem niebieskiego forda zbliżającego się powoli wyboistą drogą. Zerknął na zegarek; gość był punktualny. Na sąsiednim wzgórzu studenci przerwali na chwilę pracę, gapiąc się z zainteresowaniem na samochód. Tutaj, w Snakewater, goście należeli do rzadkości, a zapowiedziana wizyta prawnika z Agencji Ochrony Środowiska stała się przyczyną wielu domysłów.

Grant wiedział jednak, że paleontologia, czyli gałąź nauki zajmująca się badaniem wymarłych form życia, w ostatnich latach nabrała zdumiewająco dużego znaczenia. Współczesny świat zmieniał się bardzo szybko, a informacje z przeszłości mogły bardzo pomóc w znajdywaniu odpowiedzi na ważne pytania dotyczące pogody, zagłady lasów, ocieplenia klimatu lub zanikania warstwy ozonu. Informacji tych dostarczali między innymi właśnie paleontolodzy. W ciągu ostatnich kilku lat on sam był już dwukrotnie powoływany na biegłego sądowego.

Grant ruszył w dół wzgórza, na spotkanie samochodu.

* * *

Mężczyzna zatrzasnął drzwi, zakaszlał, nabrawszy w płuca wraz z powietrzem nieco białego, niezwykle lotnego pyłu, po czym wyciągnął rękę.

– Bob Morris z Agencji Ochrony Środowiska. Oddział San Francisco.

Grant przedstawił się, po czym zapytał:

– Napije się pan piwa? Chyba nie jest pan w najlepszej formie.

– Jezu, z przyjemnością.

Morris wyglądał na niespełna trzydzieści lat, miał na sobie białą koszulę, krawat i spodnie od garnituru. Kiedy szli w kierunku przyczepy, kamienie i odłamki skał przeraźliwie chrzęściły pod podeszwami jego eleganckich półbutów. W ręku trzymał teczkę.

– Kiedy minąłem szczyt wzgórza, pomyślałem, że to jakiś indiański obóz – powiedział Morris, wskazując na wigwamy.

– Po prostu są najlepiej przystosowane do tutejszych warunków – odparł Grant, po czym wyjaśnił, że kiedy w 1978 roku rozpoczęto prace wykopaliskowe, przywieziono najnowsze, supernowoczesne namioty, które jednak nie były w stanie oprzeć się silnym podmuchom wiatru. Próby z innymi modelami nie dały żadnych rezultatów, aż wreszcie zdecydowano się na tradycyjne wigwamy, które były wygodniejsze, większe, a przede wszystkim bardziej stabilne. – To wigwamy Czarnych Stóp, z czterema palami. Siuksowie budowali swoje na trzech, ale ponieważ te tereny należą do Czarnych Stóp, więc pomyśleliśmy...

– Tak, oczywiście. Bardzo słusznie. – Morris rozejrzał się po otaczającym ich pustkowiu, skrzywił się i potrząsnął głową. – Jak długo już tu jesteście?

– Jakieś sześćdziesiąt kartonów – odparł Grant, a widząc zdziwione spojrzenie gościa wyjaśnił: – Mierzymy czas piwem. Kiedy zaczynaliśmy w czerwcu, mieliśmy sto kartonów. Do tej pory zużyliśmy około sześćdziesięciu.

– Dokładnie sześćdziesiąt trzy – uściśliła Ellie Sattler, kiedy dotarli do przyczepy. Grant z rozbawieniem obserwował wybałuszającego oczy Morrisa. Ellie miała na sobie dżinsy z obciętymi krótko nogawkami i koszulę zawiązaną pod biustem na duży węzeł. Liczyła sobie dwadzieścia cztery lata, była bardzo opalona, a jasne włosy zaczesała do tyłu i spięła w koński ogon.

– Ellie trzyma nas przy życiu – wyjaśnił Grant, przedstawiwszy dziewczynę. – Jest bardzo dobra w swojej specjalności.

– A jaka jest jej specjalność? – zainteresował się Morris.

– Paleobotanika – powiedziała Ellie. – Oprócz tego przygotowuję znaleziska do transportu.

Otworzyła drzwi i cała trójka weszła do środka.

Nawet przy włączonej klimatyzacji temperatura w przyczepie wynosiła prawie trzydzieści stopni, ale w porównaniu z panującym na zewnątrz skwarem można było to uznać za przyjemny chłód. Wzdłuż ścian ciągnęły się stoły, na których leżały oczyszczone fragmenty kości, opatrzone karteczkami z napisami informacyjnymi. Nieco dalej stały różne ceramiczne naczynia. W powietrzu unosił się wyraźny zapach octu.

Morris popatrzył na kości.

– Wydawało mi się, że dinozaury były bardzo duże – zauważył.

– Bo były – odparła Ellie. – To, co pan tu widzi, stanowi pozostałość po młodych egzemplarzach. Snakewater jest takie ważne przede wszystkim dlatego, że jest tu mnóstwo gniazd dinozaurów. Zanim się tu zjawiliśmy, szkielety młodych dinozaurów należały do rzadkości. Wcześniej natrafiono tylko na jedno gniazdo, na pustyni Gobi. My znaleźliśmy ponad dziesięć gniazd hadrozaurów, łącznie z jajami i szkieletami młodych.

Grant skierował kroki do lodówki, Ellie zaś pokazała gościowi naczynia z roztworem octu, używanym do oczyszczania delikatnych kości z osadów wapnia.

– Wyglądają zupełnie jak kości kurczaka – zauważył Morris, zaglądając do

naczyń.

– Istotnie, bardzo przypominają ptasie.

– A to co? – zapytał Morris, wskazując przez okno na stos znacznie większych kości, zawiniętych w grubą folię.

– Odpadki – wyjaśniła dziewczyna. – Zbyt zniszczone, żebyśmy mieli z nich jakiś pożytek. Dawniej po prostu je wyrzucaliśmy, ale teraz przesyłamy do laboratoriów zajmujących się badaniami genetycznymi.

– Badaniami genetycznymi?

– Proszę, to dla ochłody – powiedział Grant, wciskając mu w rękę puszkę piwa. Drugą dał Ellie, która natychmiast przyłożyła ją do ust, odchyliła głowę do tyłu i opróżniła kilkoma łykami.

– Tutaj nie zawracamy sobie głowy konwenansami – poinformował Grant Morrisa. – Zajrzy pan do mojego gabinetu?

– Jasne.

Poszli na sam koniec przyczepy, gdzie stała wysiedziana kanapa, kulawy fotel i mocno podniszczony stolik. Grant usiadł z rozmachem na kanapie, która zatrzeszczała przeraźliwie i wydmuchnęła obłok białego pyłu, rozparł się wygodnie, oparł nogi na stoliku i wskazał Morrisowi fotel.

– Proszę się rozgościć.

Grant był wykładowcą paleontologii na Uniwersytecie Denver, jednym z najwybitniejszych fachowców w swojej dziedzinie, ale nigdy nie czuł się zbyt pewnie na gruncie towarzyskim. Uważał się za człowieka otwartych przestrzeni, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę, że wszystkich ważnych odkryć paleontologicznych dokonywano w terenie, pracując gołymi rękami. Niecierpliwili go uczelniani teoretycy i kustosze muzeów, których nazywał Podwieczorkowymi Poszukiwaczami Dinozaurów. Przywiązywał dużą wagę do tego, aby różnić się od nich nie tylko zachowaniem, ale także strojem; posunął się nawet tak daleko, że przychodził na wykłady w dżinsach i trampkach.

Morris otrzepał siedzenie fotela z kurzu, a następnie usiadł, otworzył teczkę i zaczął w niej grzebać, od czasu do czasu zerkając na Ellie, która w drugim końcu przyczepy wyjmowała szczypcami kości z kąpieli octowej, nie zwracając najmniejszej uwagi na obu mężczyzn.

– Zapewne zastanawia się pan, po co tu przyjechałem?

Grant skinął głową.

– Odbył pan długą podróż, panie Morris.

– Cóż, aby przejść od razu do rzeczy powiem, że Agencja Ochrony Środowiska interesuje się poczynaniami Fundacji Hammonda. O ile się orientuję, otrzymujecie od nich jakąś dotację?

– Trzydzieści tysięcy dolarów rocznie – odparł paleontolog. – Już od pięciu lat.

– A co pan wie o samej Fundacji? Grant wzruszył ramionami.

– Fundacja Hammonda jest powszechnie szanowaną instytucją wspomagającą badania naukowe na całym świecie oraz indywidualnych uczonych zajmujących się dinozaurami. Jeśli się nie mylę, przyznali stypendia Bobowi Kerry'emu z Alberty i

Johnowi Wellerowi z Alaski. Możliwe, że jeszcze paru innym.

– Czy wie pan także, dlaczego Fundacja Hammonda wspomaga właśnie badania dotyczące dinozaurów?

– Oczywiście. Dlatego, że John Hammond ma świra na tym punkcie.

– Spotkał pan go kiedyś?

Uczony ponownie wzruszył ramionami.

– Ze dwa razy. Czasem wpada tu z krótkimi wizytami. Sam pan rozumie, ma już swoje lata. I jest dość ekscentryczny, jak większość bogaczy, ale zawsze pełen zapału. Dlaczego pan pyta?

– Cóż... – mruknął Morris. – Fundacja Hammonda to w gruncie rzeczy dość tajemnicza organizacja. – Wyjął z teczki kserokopię mapy świata usianą czerwonymi kropkami i podał ją rozmówcy. – To wykopaliska, które finansowała w ubiegłym roku. Nie widzi pan w tym nic niezwykłego? Montana, Alaska, Kanada, Szwecja... Wszystko na północy. Ani jednego miejsca poniżej czterdziestego piątego równoleżnika. – Wydobył z teczki jeszcze kilka map. – Tak samo w latach poprzednich. Wykopaliska prowadzone na południu, w Utah, Colorado albo Meksyku, nigdy nie dostały ani centa. Fundacja Hammonda popiera wyłącznie przedsięwzięcia w chłodniejszych strefach klimatycznych. Chcielibyśmy wiedzieć dlaczego.

Grant szybko przejrzał mapy. Jeżeli Morris mówił prawdę, to było w tym rzeczywiście coś dziwnego, ponieważ wielu znakomitych specjalistów pracowało właśnie w cieplejszych krajach i...

– Jest jeszcze kilka innych zagadek – dodał gość z San Francisco. – Na przykład, co wspólnego mają dinozaury z bursztynem?

– Bursztynem?

– Tak. To skamieniała żywica, która...

– Wiem, co to jest bursztyn – przerwał mu Grant. – Ale dlaczego pan o to pyta?

– Ponieważ w ciągu minionych pięciu lat Hammond nabył w Ameryce, Europie i Azji ogromne ilości bursztynu, w tym także sporo biżuterii o wartości muzealnej. Fundacja wydała na ten cel siedemnaście milionów dolarów, a teraz w jej posiadaniu znajduje się największy prywatny zbiór bursztynu na świecie.

– Nic z tego nie rozumiem...

– Nikt nic z tego nie rozumie – poinformował Granta Morris. – Szczerze mówiąc, to po prostu nie trzyma się kupy. Bursztyn nie ma praktycznie żadnej wartości handlowej czy obronnej. Nie istnieje żaden powód, by go magazynować. Jednak Hammond właśnie to robi, i to już od kilku lat.

– Bursztyn... – mruknął Grant, potrząsając głową.

– Albo, weźmy na przykład tę wyspę w pobliżu Kostaryki – ciągnął Morris. – Dziesięć lat temu Fundacja Hammonda wydzierżawiła ją od tamtejszego rządu, przypuszczalnie w celu utworzenia rezerwatu przyrody.

– Nic o tym nie słyszałem – powiedział Grant ze zmarszczonymi brwiami.

– A ja nie zdołałem dowiedzieć się zbyt wiele. Wyspa leży w odległości stu sześćdziesięciu kilometrów od zachodniego wybrzeża Kostaryki. Jest skalista, a w

tym rejonie oceanu zetknięcie się zimnych prądów morskich z ciepłym powietrzem powoduje powstawanie gęstych, utrzymujących się niemal bez przerwy mgieł. Dlatego nazwano ją Wyspą Mgieł – Isla Nublar. Kostarykańczycy nie mogli się nadziwić, że ktoś ma na nią ochotę. – Morris ponownie sięgnął do teczki. – Wspominam o tym dlatego, że z dokumentów wynika, iż właśnie w związku z tą sprawą został pan zatrudniony jako konsultant.

– Naprawdę?

Morris podał mu pojedynczą kartkę. Była to kserokopia czeku wystawionego w marcu 1984 roku przez InGen, spółkę z siedzibą przy Farallon Road w Palo Alto, w Kalifornii. Czek opiewał na dwanaście tysięcy dolarów, jego beneficjantem zaś był Alan Grant. W prawym dolnym rogu znajdowała się adnotacja: *Usługi konsultacyjne/Kostaryka/Młodzieńcza Hiperprzestrzeń.*

– Ach, rzeczywiście – powiedział Grant. – Pamiętam. Sprawa była dziwaczna jak diabli, ale nie miała nic wspólnego z żadną wyspą.

* * *

Pierwsze skupisko jaj dinozaurów Alan Grant odkrył w Montanie w roku 1979. W ciągu kolejnych dwóch lat natrafił na kilka następnych, ale wyniki badań udało mu się opublikować dopiero w 1983 roku. Artykuł, w którym opisał stado złożone z dziesięciu tysięcy dinozaurów zamieszkujących brzeg wielkiego śródlądowego morza, budujących w błocie wspólne gniazda i również wspólnie wychowujących potomstwo, z dnia na dzień uczynił go sławnym. Teoria, według której wielkie gady dysponowały instynktem macierzyńskim – poparta rysunkami, na których milutkie maluchy wystawiały mordki z popękanych jaj – spotkała się z szerokim oddźwiękiem w świecie. Granta zasypano propozycjami wywiadów, wykładów i książek, lecz on odrzucił je wszystkie, pragnąc spokojnie kontynuować badania. Właśnie wtedy, w połowie lat 80., InGen zaproponowała mu posadę konsultanta.

– Słyszał pan wcześniej o nich? – zapytał Morris.

– Nie.

– W jaki sposób skontaktowali się z panem?

– Przez telefon. Zadzwonił jakiś Gennaro... albo może Gennino, nie jestem pewien.

Morris skinął głową.

– Donald Gennaro. Jest ich doradcą prawnym.

– W każdym razie chciał wiedzieć wszystko o tym, jak odżywiały się dinozaury, i poprosił, żebym napisał mu artykuł na ten temat. – Grant pociągnął łyk piwa, po czym odstawił puszkę na podłogę. – Najbardziej interesowały go młode. Co jadały, jak, kiedy... Przypuszczał, że wiem coś na ten temat.

– A nie wiedział pan?

– Nie. Powiedziałem mu to. Co prawda znaleźliśmy mnóstwo szkieletów, ale dysponowaliśmy bardzo skąpymi danymi dotyczącymi diety dinozaurów. Jednak Gennaro odparł, że wie o tym, iż nie opublikowaliśmy wszystkich materiałów, a on chce uzyskać do nich dostęp. Zaproponował bardzo wysokie wynagrodzenie:

pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Morris wyjął z teczki magnetofon i postawił go na stoliku.

– Ma pan coś przeciwko temu?

– Nie, skądże znowu.

– A więc, Gennaro zadzwonił do pana w 1984 roku. Co było potem?

– Cóż... Widzi pan, jak tutaj działamy. Pięćdziesiąt tysięcy oznacza dla nas możliwość prowadzenia prac przez dwa pełne sezony. Powiedziałem mu, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Czyli zgodził się pan napisać mu ten artykuł?

– Tak.

– Dotyczący odżywiania się młodych dinozaurów?

– Tak.

– Spotkał się pan z nim osobiście?

– Nie. Rozmawialiśmy tylko przez telefon.

– Czy Gennaro wyjaśnił, do czego potrzebuje tych informacji?

– Owszem – odparł Grant. – Miał zamiar otworzyć muzeum dla dzieci, w którym część ekspozycji stanowiłyby właśnie młode dinozaury. Powiedział, że zatrudnił wielu konsultantów z ośrodków uniwersyteckich, i nawet wymienił ich nazwiska. Byli wśród nich paleontolodzy, jak ja, matematyk z Teksasu, niejaki Ian Malcolm, oraz kilku ekologów i analityk systemów komputerowych. Silna ekipa. Morris skinął głową i zapisał coś w notesie.

– Domyślam się, że przyjął pan posadę konsultanta?

– Tak. Zgodziłem się dostarczyć mu wyczerpujące podsumowanie naszych dotychczasowych prac.

– Jakiego rodzaju informacje zawierało?

– Wszystkie: gniazdowanie, sposób traktowania własnego terenu, odżywianie, zachowanie w grupie. Dosłownie wszystko.

– Jak zareagował Gennaro?

– Wydzwaniał bez chwili przerwy, czasem nawet w środku nocy. Czy dinozaury jadły to? A tamto? Czy w ekspozycji powinno znaleźć się to, to i to? Nie mogłem zrozumieć, dlaczego się tym tak przejmuje. Ja też uważam, że dinozaury są ważne, ale nie aż tak ważne. Nie żyją już od sześćdziesięciu pięciu milionów lat, więc chyba nic by się nie stało, gdyby zaczekał z takim telefonem do rana, prawda?

– Rozumiem. A co z tymi pięćdziesięcioma tysiącami dolarów? Grant potrząsnął głową.

– Po pewnym czasie miałem już go dosyć i wycofałem się ze sprawy. Zgodziliśmy się na dwanaście tysięcy. Zdaje się, że było to gdzieś w połowie osiemdziesiątego piątego.

Morris ponownie coś zanotował.

– A co z InGen? Kontaktowali się jeszcze z panem?

– Nie po osiemdziesiątym piątym roku.

– A kiedy Fundacja Hammonda zaczęła finansować wasze badania?

– Musiałbym sprawdzić, ale wydaje mi się, że mniej więcej w tamtym okresie –

odparł Grant. – W połowie lat osiemdziesiątych.

– Zna pan Hammonda wyłącznie jako zamożnego miłośnika dinozaurów?

– Owszem.

Do notesu Morrisa trafiła kolejna informacja.

– Skoro Agencja Ochrony Środowiska tak bardzo interesuje się Hammondem i tym, co on robi – myślę o finansowaniu wykopalisk, zakupach bursztynu i tej wyspie koło Kostaryki – to dlaczego po prostu go o to nie zapytacie?

– W tej chwili nie mamy takiej możliwości.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie dysponujemy żadnymi dowodami świadczącymi o naruszeniu prawa – wyjaśnił Morris. – Jednak jeśli chodzi o moje osobiste zdanie, to jestem pewien, że John Hammond ma co nieco na sumieniu.

– Pierwszy sygnał otrzymałem z Biura Transferu Technologii. Biuro kontroluje wywóz poza granice USA tych technologii, które mogą mieć zastosowanie wojskowe. Według nich InGen przeprowadziła dwie operacje mogące świadczyć o dokonaniu nielegalnego transferu myśli technicznej. Pierwsza z nich polegała na wywiezieniu do Kostaryki dwóch crayów XMP. Co prawda InGen twierdziła, że wysłała je po prostu do swojej filii i nie zamierza ich nikomu sprzedać, ale ludzie z Biura za nic nie mogli zrozumieć, do czego komuś w Kostaryce może być potrzebna tak ogromna moc obliczeniowa.

– Trzy craye... – powtórzył Grant. – Czy to jakieś komputery?

Morris skinął głową.

– Bardzo potężne superkomputery. Aby uzmysłowić panu skalę problemu, powiem tylko tyle, że trzy craye InGen dysponowały w sumie większą mocą obliczeniową niż jakikolwiek inny prywatny ośrodek komputerowy w Stanach. Rzecz jasna, od razu nasuwa się pytanie, dlaczego zostały wysłane do Kostaryki?

– Poddaję się – powiedział Grant. – Dlaczego?

– Nikt tego nie wie, ale nie to jest najgorsze. Znacznie większe obawy budzi sprawa hoodów – ciągnął Morris. – Hoody to automatyczne sekwensery genów, czyli maszyny, które samodzielnie rozpracowują kod genetyczny. Są tak nowe, że jeszcze nawet nie umieszczono ich na liście proskrypcyjnej, ale każde laboratorium genetyczne ma przynajmniej jeden – to znaczy każde, które może sobie pozwolić na wydatek rzędu pół miliona dolarów. – Przerzucił kilka kartek w notesie. – Otóż wygląda na to, że InGen przewiozła na tę wyspę w pobliżu Kostaryki aż dwadzieścia cztery takie urządzenia. Rzecz jasna, w tym przypadku ludzie z biura także stwierdzili, że nie ma mowy o żadnym eksporcie, bo maszyny nadal stanowią własność firmy. Biuro nie mogło nic zrobić w tej sprawie, ponieważ kontrola wykorzystania technologii nie wchodzi w zakres jego obowiązków, ale stało się jasne, że w małym, środkowoamerykańskim kraju InGen tworzy jeden z największych na świecie ośrodków badań genetycznych. W kraju, w którym nie istnieją przepisy regulujące działalność tego rodzaju. Takie rzeczy już się zdarzały.

Morris wyjaśnił Grantowi, że niektóre amerykańskie firmy bioinżynieryjne przenosiły się do państw, których ustawodawstwo w żaden sposób nie ograniczało

ich poczynań. Doprowadziło to do wielu afer, z których najpoważniejsze skutki wywołała sprawa Biosyn.

W roku 1986 Biosyn Corporation testowała na farmie w Chile nową szczepionkę przeciwko wściekliźnie. Nie poinformowano o tym ani chilijskiego rządu, ani miejscowych robotników.

Szczepionka składała się z żywych wirusów wścieklizny zmodyfikowanych genetycznie w taki sposób, że stały się niewirulentne. Wcześniej nie upewniono się jednak, czy tak jest w istocie, a Biosyn nie miała żadnej pewności, czy wirusy te rzeczywiście nie powodują wścieklizny. Co gorsza, same wirusy uległy daleko idącym zmianom. Do tej pory wścieklizną można było się zarazić jedynie po ugryzieniu przez zwierzę, ale zmodyfikowane przez Biosyn wirusy potrafiły przedostawać się przez ściany pęcherzyków płucnych, a więc zarażenie mogło odbyć się nawet drogą oddechową. Pracownicy Biosyn przewieźli żywe wirusy do Chile w fiolce schowanej w zwykłej torbie podróżnej, na pokładzie rejsowego samolotu; Morris często zastanawiał się, co by się stało, gdyby podczas lotu fiolka uległa rozbiciu. Prawdopodobnie wszyscy pasażerowie i załoga zaraziliby się wścieklizną.

Było to odrażające, nieodpowiedzialne i zbrodnicze postępowanie, ale nikt nie wysunął pod adresem Biosyn Corporation żadnych zarzutów. Chilijscy robotnicy rolni, którzy nieświadomie ryzykowali życiem, nie potrafili nawet czytać i pisać, rząd Chile zajmował się walką z poważnym kryzysem ekonomicznym, a władze amerykańskie nie mogły nic zdziałać na terenie obcego kraju. Tak więc Lewis Dodgson, genetyk odpowiedzialny za badania nad nowymi wirusami, nadal pracował w Biosyn Corporation, która z kolei w dalszym ciągu lekceważyła wszelkie zasady bezpieczeństwa, a pozostałe amerykańskie firmy na wyścigi zakładały filie w państwach, gdzie nie obwarowano badań genetycznych surowymi przepisami. Kraje te traktowały inżynierię genetyczną na równi z innymi zaawansowanymi technologiami, i witały z szeroko otwartymi ramionami uczonych prowadzących prace w tej dziedzinie, nie zdając sobie sprawy z grożących niebezpieczeństw.

– Dlatego właśnie, mniej więcej trzy tygodnie temu, zaczęliśmy śledztwo w sprawie InGen – wyjaśnił Morris.

– I co stwierdziliście?

– Niewiele – przyznał pracownik Agencji Ochrony Środowiska. – Po moim powrocie do San Francisco przypuszczalnie będziemy musieli zamknąć sprawę. Od pana również nie udało mi się dowiedzieć zbyt wiele. – Zaczął pakować teczkę. – A tak przy okazji: co właściwie znaczy „młodzieńcza hiperprzestrzeń”?

– Tak zatytułowałem swój raport, żeby wywarł większe wrażenie – odparł Grant. – „Hiperprzestrzeń” oznacza przestrzeń wielowymiarową. Chcąc uwzględnić wszystkie aspekty zachowania zwierzęcia – jego odżywianie się, aktywność ruchową i sen – należałoby wpisać je właśnie w taką wielowymiarową przestrzeń. Niektórzy paleontolodzy twierdzą, że całe życie zwierzęcia toczy się w ekologicznej hiperprzestrzeni. „Młodzieńcza hiperprzestrzeń” oznacza po prostu zachowanie się młodych dinozaurów, tyle tylko, że brzmi to najbardziej pretensjonalnie, jak tylko można sobie wyobrazić.

W drugim końcu przyczepy zadzwonił telefon. Ellie podniosła słuchawkę.

– Ma teraz spotkanie – powiedziała. – Może pani zadzwonić później?

Morris zatrzasnął teczkę i podniósł się z miejsca.

– Dziękuję za pomoc i piwo.

– Nie ma sprawy – odparł Grant.

Razem przeszli przez całą długość przyczepy i zatrzymali się przy drzwiach.

– Czy Hammond kiedykolwiek prosił o jakieś materiały z wykopalisk? Kości, skorupy jaj albo coś w tym rodzaju?

– Nie, nigdy.

– Dr Sattler wspomniała, że prowadzicie tu badania genetyczne nad...

– Niezupełnie – przerwał mu uczony. – Jeżeli jakieś skamieliny są poważnie uszkodzone albo z innych przyczyn nie nadają się do celów muzealnych, odsyłamy je do laboratorium. Tam mielą je, izolują proteiny, a następnie identyfikują i przesyłają nam wyniki.

– Jakie to laboratorium?

– Medical Biologic Services w Salt Lake City.

– Dlaczego wybraliście właśnie ich?

– Zgłosili najkorzystniejszą ofertę.

– Czy mają coś wspólnego z InGen?

– Jeśli nawet tak, to ja nic o tym nie wiem.

Grant otworzył drzwi i do wnętrza przyczepy natychmiast wdarło się gorące powietrze. Morris założył okulary przeciwsłoneczne.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział. – Załóżmy, że InGen nie przygotowuje żadnej ekspozycji muzealnej. Czy w takim przypadku mieliby jakiś pożytek z uzyskanych od pana informacji?

Grant parsknął śmiechem.

– Jasne. Wiedzieliby, jak wykarmić młodego dinozaura.

Morris także się roześmiał.

– Młodego dinozaura, powiada pan... Chciałbym to zobaczyć. Czy były bardzo duże?

– Zależy od gatunku – odparł paleontolog, rozstawiając ręce na dwadzieścia centymetrów. – Niektóre przypominały wielkością wiewiórkę.

– A kiedy stawały się zupełnie dorosłe?

– Po około trzech latach.

Morris wyciągnął rękę.

– Cóż, jeszcze raz dziękuję panu za pomoc.

– Proszę uważać w drodze powrotnej – powiedział uczony. Przez chwilę spoglądał w ślad za mężczyzną zmierzającym w stronę samochodu, po czym zamknął drzwi przyczepy. – I co o nim myślisz? – zapytał.

Ellie wzruszyła ramionami.

– Straszny naiwniak.

– Jak ci się podobał John Hammond jako podstępny arcyłotr? Przecież on jest równie niebezpieczny jak Walt Disney! A tak przy okazji, to kto dzwonił?

– Alice Levin z Centrum Medycznego Uniwersytetu Columbia. Znasz ją?

Grant pokręcił głową.

– Nie.

– Zdaje się, że chodzi o identyfikację jakichś szczątków. Prosiła, żebyś skontaktował się z nią najszybciej, jak tylko będziesz mógł.

Szkielet

Ellie Sattler odgarnęła z twarzy kosmyk jasnych włosów i skoncentrowała na obserwowaniu stojących przed nią naczyń. Było ich sześć, a każde zawierało roztwór octu o stężeniu od 5 do 30 procent. Musiała szczególnie uważać na silniejsze roztwory, ponieważ mogły szybko przegryźć się przez wapień i uszkodzić kości. Kości młodych dinozaurów były bardzo delikatne. Czasem Ellie nie mogła wyjść z podziwu nad tym, że przetrwały aż osiemdziesiąt milionów lat.

Od niechcenia przysłuchiwała się prowadzonej przez telefon rozmowie.

– Panna Levin?... Mówi Alan Grant. Co to za historia z tym... Słucham? Co pani ma? Co takiego? – Parsknął śmiechem. – Bardzo wątpię, panno Levin... Przykro mi, ale naprawdę nie mam czasu... Cóż, ostatecznie mogę rzucić okiem, ale jestem pewien, że to zwykły bazyliszek... Tak, chyba tak właśnie będzie najlepiej. Proszę zaraz to wysłać. – Grant odłożył słuchawkę, po czym potrząsnął głową. – Ach, ci ludzie!

– O co chodzi? – zapytała Ellie.

– Nie może zidentyfikować jakiejś jaszczurki. Ma zaraz przesłać faksem zdjęcie rentgenowskie. – Grant podszedł do urządzenia, czekając, aż transmisja dobiegnie końca. – A tak przy okazji, to mam dla ciebie coś ciekawego.

– Naprawdę?

Skinął głową.

– Trafiłem na niego tuż przed przyjazdem tego młodzieńca. Południowe Wzgórze, poziom cztery. Młody welociraptor: jest szczęka i kompletne uzębienie, więc nie ma najmniejszych wątpliwości. Kto wie, czy nie uda nam się odzyskać całego szkieletu.

– Fantastycznie! – ucieszyła się Ellie. – Jak bardzo młody?

– Bardzo. Dwa, maksimum cztery miesiące.

– I na pewno welociraptor?

– Na pewno. Może nareszcie zacznie nam dopisywać szczęście?

Przez ostatnie dwa lata zespół prowadzący prace wykopaliskowe w Snakewater natrafiał wyłącznie na kości roślinożernych hadrozaurów. Zebrane dowody świadczyły o tym, że rozciągające się wokół śródlądowego morza równiny zamieszkiwały stada tych gadów liczące od dziesięciu do dwudziestu tysięcy osobników. Uczonych wciąż jednak gnębiło jedno pytanie: gdzie podziały się drapieżniki?

Rzecz jasna, wszyscy spodziewali się, że będzie ich niewiele. Sugerowały to wyniki badań przeprowadzonych w parkach narodowych Afryki i Indii; najogólniej rzecz biorąc wynikało z nich, że po to, by utrzymać przy życiu jednego drapieżcę, trzeba aż czterystu roślinożerców. Oznaczało to, że stado składające się z dziesięciu tysięcy hadrozaurów mogło wyżywić zaledwie dwadzieścia pięć tyranozaurów – nic więc dziwnego, że nie udało się tu do tej pory natrafić na szczątki żadnego wielkiego

drapieżnika.

Ale co stało się z mniejszymi? W Snakewater aż roiło się od terenów lęgowych – w niektórych miejscach ziemia była wręcz usłana skorupami jaj – a przecież wiele małych dinozaurów żywiło się właśnie jajami. Należało oczekiwać, że będzie tu wiele szkieletów zwierząt takich jak *Oviraptor*,*Velociraptor* lub *Coelurus*; wszystkie były drapieżnikami mierzącymi od dziewięćdziesięciu do stu osiemdziesięciu i więcej centymetrów.

Jednak na razie nie natrafiono na żaden szkielet.

Odnalezienie szczątków welociraptora mogło oznaczać koniec pecha. W dodatku był młody! Ellie doskonale wiedziała, że Grant marzy o możliwości przeprowadzenia badań nad sposobem wychowywania potomstwa przez mięsożerne dinozaury – miał już za sobą analogiczne badania dotyczące roślinożerców. Może właśnie uczynił pierwszy krok na drodze do spełnienia tego marzenia?

– Na pewno jesteś bardzo podekscytowany – zauważyła.

Grant nie odpowiedział.

– Mówię, że na pewno jesteś bardzo podekscytowany – powtórzyła.

– Mój Boże... – wykrztusił Grant, wpatrując się w przesłane faksem zdjęcie.

* * *

Ellie zajrzała mu przez ramię, nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli.

– Myślisz, że to *amassicus*?

– Tak. Albo *triassicus*. Ma bardzo cienkie kości.

– Ale to nie jest jaszczurka, prawda?

– Nie – odparł Grant.

W pierwszej chwili Ellie pomyślała, że ma do czynienia z mistyfikacją – co prawda bardzo staranną i pomysłową, ale jednak mistyfikacją. Wszyscy biolodzy obawiali się tego. Najsłynniejsza mistyfikacja w historii, tak zwany „człowiek z Piltdown", została zdemaskowana dopiero po czterdziestu latach, a jej autor w dalszym ciągu pozostawał nieznany. Nie tak dawno temu znany astronom Fred Hoyle ogłosił, że eksponowany w British Museum praptak, *Archaeopteryx*, także jest podrobiony. (Później okazało się to nieprawdą).

Dobra mistyfikacja podsuwa uczonym to, co spodziewają się zobaczyć. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że zdjęcie rentgenowskie jest w całkowitym porządku. Trójpalczasta stopa miała właściwe proporcje, środkowy pazur był zdecydowanie najmniejszy, a kostne pozostałości czwartego i piątego palca znajdowały się bliżej stawu śródstopowego. Kości piszczelowe były mocne i znacznie dłuższe od kości udowych. Panewka stawu biodrowego znajdowała się w nie naruszonym stanie, a w ogonie było czterdzieści pięć kręgów. Zdjęcie ponad wszelką wątpliwość przedstawiało młodego *Procompsognathusa*.

– Może to jakieś fałszerstwo?

– Nie wiem – odparł Grant. – Bardzo trudno jest sfałszować zdjęcie rentgenowskie, a *Procompsognathus* to bardzo rzadkie zwierzę. Nawet wielu ludzi zajmujących się na co dzień dinozaurami nigdy o nim nie słyszało.

Ellie przeczytała notatkę dołączoną do zdjęcia.

– „Okaz znaleziony na plaży Cabo Blanco 16 lipca…” Zdaje się, że resztę zjadł jakiś wyjec. Aha, napisali też, że wcześniej jaszczurka zaatakowała dziewczynkę.

– Mocno w to wątpię. Chociaż wszystko możliwe. *Procompsognathus* był tak mały i lekki, że uznaliśmy go za padlinożercę. Fragment tego osobnika – do bioder – mierzył około dwudziestu centymetrów, czyli w sumie mógł mieć około trzydziestu. Zwierzęciu wielkości kurczaka nawet dziecko musi wydawać się bardzo groźnym przeciwnikiem. Przypuszczam, że mógłby ugryźć niemowlę, ale nie kilkuletnią dziewczynkę.

Ellie zmarszczyła brwi.

– Myślisz, że to naprawdę może być ponowne odkrycie pozornie wymarłego gatunku? – zapytała. – Tak samo jak z celakantem?

– Kto wie…

Coelacanth był półtorametrowej długości rybą, o której sądzono, że wyginęła sześćdziesiąt pięć milionów lat temu, dopóki w 1938 roku nie wyłowiono z oceanu żywego egzemplarza. Takich przykładów znalazłoby się znacznie więcej. Australijskiego karłowatego oposa znano wyłącznie z wykopalisk aż do chwili, kiedy natrafiono na niego w śmietniku w Melbourne. Z kolei pewien zoolog opisał wymarłego przed dziesięcioma tysiącami lat nietoperza z Nowej Gwinei, a wkrótce potem otrzymał przesyłkę z żywym zwierzęciem.

– Ale co z jego wiekiem? – nie dawała za wygraną Ellie. Grant skinął głową.

– Rzeczywiście, to spory problem – przyznał.

Zdecydowana większość ponownie odkrytych zwierząt stanowiła niespodziewane dodatki do skamielin sprzed dziesięciu lub dwudziestu tysięcy lat, niektóre gatunki powstały kilka milionów lat temu, a bardzo nieliczne, takie jak *Coelacanth*, nawet przed kilkudziesięcioma milionami lat. Jednak okaz, którego zdjęcie rentgenowskie mieli przed sobą, musiał być znacznie starszy. Dinozaury wyginęły w kredzie, czyli sześćdziesiąt pięć milionów lat temu. Okres ich dominacji na Ziemi przypadał na jurę, czyli sto dziewięćdziesiąt pięć milionów lat temu, po raz pierwszy pojawiły się zaś w triasie, czyli mniej więcej przed dwustu dwudziestu milionami lat.

Procompsognathus żył właśnie we wczesnym triasie. W tych niewyobrażalnie odległych czasach nasza planeta wyglądała zupełnie inaczej niż teraz. Wszystkie kontynenty tworzyły jedną, zwartą masę zwaną Pangeą, ciągnącą się od bieguna północnego do południowego. Był to gigantyczny kontynent porośnięty paprociami i lasami, z nielicznymi pustyniami. Ocean Atlantycki miał wówczas rozmiary wąskiego jeziora wciśniętego między to, co później miało podzielić się na Afrykę i Florydę. Atmosfera była znacznie bardziej gęsta, klimat cieplejszy, działały też setki wulkanów. Właśnie w takim środowisku żył *Procompsognathus*.

– Cóż, niektórym zwierzętom mimo wszystko udało się jakoś przetrwać – zauważyła Ellie. – Przecież krokodyle to właściwie mieszkańcy triasu przeniesieni do współczesności, tak samo rekiny. Takie rzeczy już się zdarzały.

Grant skinął głową.

– Poza tym, jak inaczej można by to wyjaśnić? Albo mamy do czynienia z

mistyfikacją, w co raczej wątpię, albo z ponownym odkryciem. Czy mogłoby to być coś innego?

Ponownie zadzwonił telefon.

– Założę się, że to znowu Alice Levin – powiedział Grant. – Może przyśle nam cały okaz, nie tylko jego zdjęcie. – Podniósł słuchawkę, po czym spojrzał ze zdziwieniem na Ellie. – Tak, oczywiście, że zaczekam na połączenie z panem Hammondem... Tak, naturalnie.

– Hammond? Czego on może chcieć? – szepnęła Ellie. Brodaty uczony potrząsnął głową, po czym powiedział do mikrofonu:

– Tak, to ja, proszę pana... Mnie również bardzo miło pana usłyszeć... Tak... Naprawdę?... Coś takiego! – Zasłonił mikrofon i szepnął do Ellie: – Stary ekscentryk nic się nie zmienił. Musisz tego posłuchać.

Włączył dodatkowy głośnik i wnętrze przyczepy wypełnił skrzeczący głos starego, mówiącego szybko człowieka:

– ...zamieszanie z powodu jakiegoś typka z Agencji Ochrony Środowiska, napalony jak głupi, gania po całym kraju, napastuje ludzi i bruździ, jak tylko może. Mam nadzieję, że nikt tam do was nie przyjeżdżał?

– Szczerze mówiąc, niedawno ktoś przyjechał.

– Właśnie tego się obawiałem! – parsknął Hammond. – Może taki młody cwaniak, Morris?

– Rzeczywiście, nazywał się Morris.

– Zdaje się, że postanowił odwiedzić wszystkich naszych konsultantów. Parę dni temu zjawił się u Iana Malcolma – wie pan, to ten matematyk z Teksasu. Harujemy w pocie czoła, nikt nie zgłasza żadnych zastrzeżeń, nikomu nie sprawiamy kłopotów, a tymczasem jakiś szczeniak wyżywa się na nas za pieniądze podatników! Ale to typowe dla tego rządu. Bardzo panu przeszkadzał w pracy?

– Nie, wcale.

– Hmm, to niedobrze, bo gdyby przeszkadzał, to wtedy miałbym na niego jakiegoś haka. Kazałem naszym prawnikom zadzwonić do Agencji i dowiedzieć się, o co im właściwie chodzi. Niech pan sobie wyobrazi, że ich szef twierdzi, jakoby nie miał o niczym pojęcia! Przeklęta biurokracja! Podejrzewam, że ten gówniarz będzie chciał polecieć do Kostaryki, dostać się na naszą wyspę i zacząć tam węszyć. Wie pan, że mamy tam własną wyspę?

– Nie – odparł Grant, spoglądając na Ellie. – Nic o tym nie wiem.

– Tak, wydzierżawiliśmy ją i zaczęliśmy budowę, chyba jakieś cztery albo pięć lat temu. Nie pamiętam dokładnie kiedy. Nazywa się Isla Nublar. To duża wyspa, około stu sześćdziesięciu kilometrów od brzegu. Urządzimy tam rezerwat biosfery. Piękne miejsce. Tropikalna dżungla. Wie pan co, doktorze Grant? Powinien pan to zobaczyć.

– Brzmi bardzo interesująco, ale chwilowo...

– Wszystko jest już prawie gotowe – przerwał mu Hammond. – Posłałem panu materiały na ten temat. Dostał je pan?

– Niestety, jesteśmy tu dość oddaleni od...

– Może dojdą dzisiaj. Proszę się z nimi zapoznać. Wyspa jest naprawdę piękna. Ma wszystko, czego trzeba. Prowadzimy prace już od trzydziestu miesięcy. Tylko proszę sobie wyobrazić: wielki park, otwarcie we wrześniu przyszłego roku. Naprawdę powinien pan to zobaczyć.

– Rzeczywiście, to musi być wspaniałe, ale...

– Szczerze mówiąc, bardzo mi na tym zależy, doktorze Grant. Jestem pewien, że to pana zainteresuje. Będzie pan zafascynowany.

– Właśnie zacząłem...

– Wie pan co?! – wykrzyknął Hammond, jakby nagle wpadł na znakomity pomysł. – W najbliższy weekend zabieramy tam parę osób, które były naszymi konsultantami. Spędzą na wyspie kilka dni, żeby się wszystkiemu przyjrzeć. Na nasz koszt, ma się rozumieć. Byłoby wspaniale, gdyby pan też mógł podzielić się z nami swoją opinią.

– Przykro mi, ale to niemożliwe.

– Och, przecież chodzi tylko o weekend – nastawał Hammond z pogodnym, potwornie irytującym uporem starego człowieka. – O nic więcej, doktorze Grant. Nie mam zamiaru odrywać pana od pracy, bo wiem, jak bardzo jest dla pana ważna. Słowo honoru. Wyskoczymy tylko na weekend, a w poniedziałek rano będzie pan z powrotem u siebie.

– Niestety, nie mogę. Właśnie natrafiłem na nowy szkielet i...

– To znakomicie, ale nadal uważam, że powinien pan z nami polecieć – odparł Hammond, jakby w ogóle go nie słuchał.

– Oprócz tego, przesłano nam bardzo interesujące znalezisko, które wydaje się szczątkami żyjącego współcześnie procompsognata.

– Czego? – zapytał Hammond, po raz pierwszy okazując coś w rodzaju zainteresowania. – Nie wiem, czy dobrze pana zrozumiałem. Powiedział pan: współcześnie żyjącego procompsognata?

– Tak jest. To fragment zwierzęcia zdobyty w Ameryce Środkowej. Z pewnością jeszcze niedawno było żywe.

– Niesamowite... Żywe zwierzę? To nadzwyczajne.

– Owszem – potwierdził uczony. – My też tak uważamy. Jak więc pan sam widzi, to nie jest najlepsza chwila na...

– Ameryka Środkowa, powiada pan?

– Tak.

– A jaka jej część?

– Plaża zwana Cabo Blanco. Nie wiem, gdzie dokładnie ona leży, ale...

– Rozumiem. – Hammond odchrząknął głośno. – A kiedy ten... eee... okaz trafił w pańskie ręce?

– Dzisiaj.

– Aha. Dzisiaj. Rozumiem... Dzisiaj. Hammond ponownie odchrząknął.

Grant spojrzał na Ellie i zapytał poruszając bezgłośnie ustami:

– Co się dzieje?

Ellie potrząsnęła głową.

– Wydaje się czymś zaniepokojony.

– Zobacz, czy jest jeszcze Morris – szepnął zasłoniwszy słuchawkę.

Podeszła do okna, ale samochód Morrisa już zniknął. W słuchawce rozległo się kolejne chrząknięcie.

– Doktorze Grant... Czy rozmawiał pan już z kimś na ten temat?

– Nie.

– To dobrze. To bardzo dobrze. Powiem coś panu zupełnie szczerze: mam trochę kłopotów z naszą wyspą. Ta cała Agencja Ochrony Środowiska zwaliła nam się na głowę w najmniej odpowiedniej chwili.

– Jak to?

– Cóż, było parę problemów, narobiło się opóźnień... Powiedzmy, że goni mnie czas, i dlatego bardzo zależy mi na tym, żeby rzucił pan okiem na wyspę. Potrzebuję pańskiej opinii. Otrzyma pan normalną stawkę za konsultacje w okresie weekendu w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów dziennie. To oznacza sześćdziesiąt tysięcy za trzy dni.

Byłoby bardzo dobrze, gdyby zabrał pan ze sobą doktor Sattler, naturalnie otrzyma takie samo wynagrodzenie. Przyda nam się botanik. I co pan na to?

Ellie nie spuszczała go z oka.

– Cóż, panie Hammond... – odparł Grant. – Te pieniądze pozwolą nam prowadzić badania jeszcze przez co najmniej dwa sezony.

– Tak? To świetnie. – Hammond był już myślami gdzie indziej. – Wyślę po was samolot na prywatne lotnisko na wschód od Choteau. Wie pan, gdzie to jest? To jakieś dwie godziny jazdy od was. Czekam tam na was jutro o piątej po południu. Polecimy od razu na miejsce. Myśli pan, że zdążycie?

– Chyba tak.

– To dobrze. Tylko nie bierzcie zbyt dużo bagażu. Paszporty nie będą wam potrzebne. Do zobaczenia jutro.

Cowan, Swain & Ross

Promienie stojącego wysoko na niebie słońca wpadały do znajdującego się w San Francisco biura kancelarii adwokackiej Cowan, Swain & Ross, nadając pomieszczeniom radosny wygląd. Donald Gennaro był w zupełnie innym nastroju. Rozmawiał przez telefon, spoglądając od czasu do czasu na swego chlebodawcę, Daniela Rossa, ubranego w ciemny prążkowany garnitur, w którym nieco przypominał przedsiębiorcę pogrzebowego.

– Rozumiem, John – powiedział Gennaro. – I Grant się zgodził?... Tak... Tak, to nawet bardzo dobrze. Moje gratulacje, John. – Odłożył słuchawkę, po czym zwrócił się do Rossa: – Nie możemy już ufać Hammondowi. Jest pod zbyt dużą presją. Agencja Ochrony Środowiska dobiera mu się do skóry, ma poważne opóźnienia w Kostaryce, a inwestorzy zaczynają się niepokoić. Zbyt wiele krążyło plotek o poważnych kłopotach i zginęło zbyt wielu robotników. A teraz jeszcze ten żywy procompsit–coś tam znaleziony na stałym lądzie...

– O czym to świadczy? – zapytał Ross.

– Być może o niczym, ale Hamachi jest jednym z naszych głównych inwestorów – odparł Gennaro. – W ubiegłym tygodniu dostałem raport od jego przedstawiciela w San José, stolicy Kostaryki. Podobno na wybrzeżu pojawił się jakiś nowy gatunek jaszczurki, która atakuje dzieci.

Ross zamrugał raptownie.

– Nowa jaszczurka?

– Właśnie. Nie możemy tego tak zostawić. Trzeba jak najszybciej przeprowadzić inspekcję wyspy. Poprosiłem Hammonda, żeby przez najbliższe trzy tygodnie wysyłał co tydzień niezależne grupy kontrolerów.

– I co on na to?

– Zaklina się, że wszystko jest w całkowitym porządku, i zapewnia, że podjął wszelkie niezbędne środki ostrożności.

– Ale ty mu nie wierzysz – stwierdził Ross.

– Ani trochę.

Kiedy Donald Gennaro podjął pracę w kancelarii adwokackiej Cowan, Swain & Ross, miał za sobą pewne doświadczenia bankowe. Klienci kancelarii często potrzebowali funduszy na nowe inwestycje, on zaś pomagał im je znaleźć. Wtedy, w roku 1982, jedno z jego pierwszych zadań polegało na doradzaniu, wówczas już niemal siedemdziesięcioletniemu Johnowi Hammondowi, przy zdobywaniu środków finansowych na działalność korporacji InGen. W krótkim czasie udało im się zgromadzić prawie miliard dolarów; do dzisiaj Gennaro wspominał to jak jazdę górską kolejką w lunaparku bez zapiętych pasów bezpieczeństwa.

– Hammond to marzyciel – powiedział.

– Potencjalnie niebezpieczny marzyciel – poprawił go Ross. – Nie powinniśmy byli maczać w tym palców. Jak wygląda nasza sytuacja?

– Firma jest właścicielem pięciu procent udziałów.

– W spółce jawnej czy z ograniczoną odpowiedzialnością?

– Jawnej.

Ross potrząsnął głową.

– Popełniliśmy poważny błąd.

– Wówczas wydawało się to najlepszym rozwiązaniem – zaprotestował Gennaro. – Do diabła, przecież to było osiem lat temu! Wzięliśmy te udziały zamiast jakiegoś honorarium, a jeśli pan pamięta, to plan Hammonda wydawał się bardzo atrakcyjny. Nikt nie przypuszczał, że może być z tego taki pasztet.

– Ale wydaje się, że jednak jest – zauważył Ross. – Tak czy inaczej, zgadzam się całkowicie z poglądem, że już dawno powinniśmy przeprowadzić tam inspekcję. Jak tam twoi eksperci?

– Zacząłem od tych, których Hammond zatrudniał wcześniej jako konsultantów. – Gennaro rzucił na biurko szefa listę składającą się z kilku nazwisk. – Pierwszą grupę tworzą paleontolog, paleobotanik i matematyk. Polecą na miejsce jeszcze w ten weekend, a ja razem z nimi.

– Czy powiedzą ci prawdę? – zapytał Ross.

– Myślę, że tak. Żadne z nich nie zaangażowało się w realizację projektu, a jeden – Ian Malcolm, ten matematyk – od samego początku był mu gorąco przeciwny. Twierdził, że coś takiego nie ma prawa działać.

– Kto jeszcze?

– Człowiek z obsługi technicznej: analityk systemów komputerowych. Sprawdzi działanie komputerów i usunie różne drobne wady. Też powinien być tam w piątek.

– Znakomicie. Ty wszystko załatwiasz?

– Hammond uparł się, żebym zostawił to jemu. Widocznie chce za wszelką cenę udawać, że nie ma żadnych kłopotów i że chodzi jedynie o zwykłą wizytę. Zwiedzanie wyspy i tak dalej.

– W porządku – powiedział Ross. – Dopilnuj, żeby wszystko poszło jak należy. Mam nadzieję, że najdalej za tydzień będzie po kłopocie.

* * *

Gennaro wystukał numer i przez chwilę przysłuchiwał się sygnałowi telefonu.

– Grant, słucham?

– Dzień dobry, doktorze Grant, tu Donald Gennaro. Jestem doradcą prawnym InGen. Nie wiem, czy pan sobie przypomina, ale rozmawialiśmy już kilka lat temu...

– Owszem, przypominam sobie.

– Otóż właśnie przed chwilą rozłączyłem się z Johnem Hammondem, który przekazał mi dobrą wiadomość: podobno niebawem ma się pan zjawić na naszej wyspie w pobliżu Kostaryki.

– Tak – potwierdził paleontolog. – Lecimy tam jutro.

– Chciałbym panu serdecznie podziękować, że zgodził się pan zrobić to w tak krótkim terminie. Wszyscy z InGen są panu bardzo wdzięczni. Zaprosiliśmy też Iana Malcolma, który także był kiedyś naszym konsultantem. Zdaje się, że teraz wykłada

matematykę w Austin.

– John Hammond wspomniał mi o tym.

– To dobrze. Nawiasem mówiąc, ja też się wybieram... Aha, tak przy okazji: ten okaz, który pan znalazł... Jak on się nazywa? Pro... procom...

– *Procompsognathus*.

– Właśnie. Ma go pan może ze sobą, doktorze Grant?

– Nie. Widziałem tylko zdjęcie rentgenowskie. Sam okaz znajduje się teraz w Nowym Jorku. Dzwoniła do mnie jakaś kobieta z Uniwersytetu Columbia.

– Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan przekazać mi więcej szczegółów na ten temat – powiedział Gennaro. – Potem mógłbym przesłać pański okaz panu Hammondowi, który jest nim bardzo zainteresowany. Jestem pewien, że pan także chciałby zobaczyć go na własne oczy. Być może udałoby mi się dostarczyć go na wyspę, kiedy wszyscy tam będziecie.

Uczony podzielił się z prawnikiem tym, co wiedział.

– Znakomicie, doktorze Grant. Proszę przekazać wyrazy uszanowania doktor Sattler. Będzie mi bardzo miło spotkać się jutro z państwem. – Powiedział i odłożył słuchawkę.

Plany

– Dostaliśmy to przed chwilą – powiedziała Ellie, wchodząc do przyczepy z dużą, grubą kopertą w ręku. – Któryś ze studentów właśnie wrócił z miasta. To od Hammonda.

Grant rozerwał kopertę ozdobioną błękitno–białym znakiem InGen. W środku znajdował się gruby plik papierów. Po wyjęciu okazało się, że są to zmniejszone kopie planów, złączone z jednej strony w taki sposób, że tworzyły dość opasłą książkę. U góry pierwszej strony znajdował się napis: INWESTYCJE SŁUŻĄCE OBSŁUDZE RUCHU TURYSTYCZNEGO NA ISLA NUBLAR (PEŁNY ZESTAW: DOMEK MYŚLIWSKI).

– Co to ma być, do diabła?

Kiedy otworzył książkę, spomiędzy stron wypadła pojedyncza kartka.

Drodzy Alan i Ellie!

Jak z pewnością sami się domyślacie, nie dysponujemy jeszcze materiałami promocyjnymi z prawdziwego zdarzenia, ale to powinno dać wam jakieś wyobrażenie, czym ma się stać Isla Nublar, Myślę, że to bardzo ekscytujący projekt!

Czekam z niecierpliwością na możliwość podyskutowania z wami na ten temat. Mam nadzieję, że dołączycie do nas.

Pozdrawiam
John

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział Grant. Przekartkował pobieżnie książkę. – To wszystko plany architektoniczne. – Ponownie zaczął przyglądać się pierwszej stronie.

CENTRUM OBSŁUGI OŚRODEK REKREACYJNY
RUCHU TURYSTYCZNEGO / ISLA NUBLAR
DOMEK MYŚLIWSKI

KLIENT: InGen Inc., Palo Alto, Kalifornia.

ARCHITEKCI: Dunning, Murphy i Spółka, Nowy Jork; główny projektant: Theodore Chen; drugi projektant: Richard Murphy; koordynator: Sheldon James.

INŻYNIEROWIE: Harlow, Whitney & Fields, Boston – prace budowlane; A. T. Misikawa, Osaka – instalacje mechaniczne.

KSZTAŁTOWANIE TERENU: Shepperton Rogers, Londyn; A. Ashikiga, H. Ieyasu, Kanazawa.

INST. ELEKTRYCZNE: N. V. Kobayashi, Tokio; A. R. Makasawa – główny konsultant.

INST. KOMPUTEROWE: Integrated Computer Systems, Cambridge,

Massachusetts; Dennis Nedry – kierownik zespołu.

Następnie Grant zainteresował się samymi planami. Znajdowały się na nich stemple: TAJEMNICA PRZEMYSŁOWA, NIE KOPIOWAĆ oraz MATERIAŁY POUFNE, NIE PRZEZNACZONE DO ROZPOWSZECHNIANIA. Wszystkie strony były ponumerowane, a na każdej z nich, u góry, umieszczono informację następującej treści: „Plany te stanowią własność korporacji InGen. Można je udostępniać jedynie osobom, które podpisały dokument 112/4a; każdy, kto tego nie uczynił, a mimo to zapozna się z nimi, naraża się na odpowiedzialność karną".

– To mi wygląda na zwykłą paranoję – zauważył.

– Może istnieje jakiś powód – zauważyła Ellie.

Całą kolejną stronę zajmowała mapa topograficzna przedstawiająca Isla Nublar. Wyspa przypominała kształtem odwróconą łzę: była nieco szersza na północy, węższa zaś na południu. Liczyła sobie trzynaście kilometrów długości i była podzielona na kilka dużych części.

W północnej, opatrzonej napisem: CENTRUM OBSŁUGI RUCHU TURYSTYCZNEGO, zaznaczono między innymi takie miejsca jak: „Recepcja", „Administracja", „Zasilanie/Odsalanie/Zasilanie Awaryjne", „Rezydencja Hammonda" oraz „Domek Myśliwski". Grant dostrzegł zarys basenu, prostokąty kortów tenisowych i owalne plamy oznaczające tereny zielone.

– Rzeczywiście, wygląda na ośrodek wypoczynkowy – zauważyła Ellie.

Na kolejnych stronach znajdowały się szczegółowe plany domku myśliwskiego, łącznie ze szkicami elewacji. Był to niski, długi budynek z czymś w rodzaju małych piramidek na dachu. Brakowało natomiast dokumentacji innych budowli usytuowanych na tym obszarze.

Pozostała część wyspy wydawała się jeszcze bardziej tajemnicza. Stanowiły ją głównie otwarte tereny, poprzecinane siecią dróg i podziemnych tuneli. Gdzieniegdzie stały jakieś budynki, a najbardziej przyciągającym uwagę elementem ukształtowania powierzchni było długie, wąskie jezioro, prawdopodobnie sztuczne, otoczone betonowymi tamami i barierami. Jednak przeważającą część wyspy podzielono na rozległe, nieregularne obszary niemal pozbawione infrastruktury. Każdy obszar oznaczono kodem: /P/PROC/V/2A, /D/TRIC/L/5(4A+1), /LN/OTHN/C/4(3A+1), /VV/HADR/X/11(6A+3+3DB).

– Jest jakieś wyjaśnienie tych kodów? – zapytała Ellie. Grant przerzucił kilkanaście stron, ale bez rezultatu.

– Może celowo go nie dołączyli – zauważyła.

– Mówię ci, to jakaś paranoja – powtórzył Grant, przyglądając się rozległym obszarom o nieregularnych granicach, oddzielonym od siebie drogami. Na całej wyspie znajdowało się ich w sumie sześć, a każdy był oddzielony od drogi betonową fosą oraz ogrodzeniem, przy którym umieszczono mały symbol błyskawicy. Dopiero po dłuższej chwili domyślili się, iż oznacza to, że ogrodzenia są pod napięciem.

– Dziwne – mruknęła Ellie. – Elektryczne płoty w ośrodku wypoczynkowym?

– Ciągną się całymi kilometrami, podobnie jak fosy – dodał Grant. – Zazwyczaj

wzdłuż nich, tak jak w zoo, biegnie także droga.

– Prawie jak w zoo.

Wrócili do mapy topograficznej, by dokładniej przyjrzeć się granicom wyznaczonych obszarów. Zastanowił ich układ traktów komunikacyjnych; główna droga biegła z północy na południe, przez sam środek wzgórz wznoszących się w centralnej części wyspy. Na jednym z odcinków poprowadzono ją wąską półką wykutą w urwistej skale nad rzeką. Wyglądało to tak, jakby projektantowi zależało na tym, aby wydzielone obszary przypominały możliwie duże wybiegi, oddzielone od dróg fosami i ogrodzeniami pod napięciem, same drogi zaś umieszczono na nasypach, by zapewnić dobrą widoczność.

– Wiesz co? – powiedziała Ellie. – Zastanawia mnie skala tych budowli. Na przykład ta fosa ma ponad dziesięć metrów szerokości. Przypomina mi to jakieś fortyfikacje.

– Tak samo jak budynki – odparł Grant. Już wcześniej zauważył, że na każdym wydzielonym terenie znajduje się kilka budowli, najczęściej usytuowanych gdzieś na uboczu. Wszystkie wzniesiono z betonu i każda z nich miała bardzo grube ściany. Patrząc na załączone rysunki można było odnieść wrażenie, że są to bunkry, jakie budowano w czasie drugiej wojny światowej.

W tej chwili rozległ się przytłumiony odgłos eksplozji i Grant odłożył plany na stół.

– Wracamy do pracy – powiedział.

* * *

– Ognia!

Dała się wyczuć lekka wibracja, a przez ekran monitora przebiegły żółte linie. Tym razem ostrość była bez zarzutu; Alan Grant ujrzał zarys doskonale zachowanego szkieletu. Ponad wszelką wątpliwość był to młody welociraptor z długą, wygiętą do tyłu szyją i...

Ekran ściemniał.

– Nienawidzę komputerów – warknął Grant, mrużąc oczy w słońcu. – Co się stało?

– Straciliśmy sygnał wejściowy – wyjaśnił któryś ze studentów. – Jedną chwilkę.

Zaczął grzebać w plątaninie przewodów podłączonych do przenośnego, zasilanego z akumulatorków komputera, ustawionego na kartonie z piwem na szczycie wzgórza numer cztery, w pobliżu urządzenia zwanego dudniarzem.

Grant usiadł na zboczu, spojrzał na zegarek, po czym powiedział do Ellie:

– Będziemy musieli zrobić to po staremu.

Dotarło to do uszu jednego ze studentów.

– O rety, Alan...

– Muszę zdążyć na samolot – przerwał mu Grant – i chcę, żeby przed moim wyjazdem szkielet został odpowiednio zabezpieczony.

Jeżeli zaczęło się odsłaniać jakąś skamielinę, należało doprowadzić rzecz do końca, gdyż w przeciwnym razie ryzykowało się utratę znaleziska. Pozornie mogło

się wydawać, że na tym pustkowiu me zachodzą żadne zmiany, podczas gdy w rzeczywistości erozja postępowała w błyskawicznym tempie. Przez cały dzień do uszu pracujących ludzi docierał stukot toczących się po zboczach kamieni, a poza tym zawsze należało się liczyć z możliwością wystąpienia niespodziewanej ulewy. Nawet krótki deszcz mógł bezpowrotnie zniszczyć delikatne pozostałości. Dlatego szkielet odnaleziony przez Granta znajdował się w poważnym niebezpieczeństwie i powinien zostać bardzo starannie zabezpieczony.

Zazwyczaj rozpościerało się brezent i okopywało stanowisko w celu zapewnienia odpływu wody. Problem polegał głównie na oszacowaniu minimalnych rozmiarów takiego rowu. Aby tego dokonać, posługiwano się komputerową tomografią dźwiękową. Była to nowa technika, polegająca na zdetonowaniu w gruncie przez dudniarza niewielkiego ładunku i przechwyceniu przez specjalne czujniki rozchodzących się fal dźwiękowych. Czujniki przekazywały sygnały komputerowi, który na ich podstawie tworzył coś w rodzaju rentgenowskiego obrazu danego terenu. Techniką tą posługiwano się przez całe lato, choć z różnymi wynikami.

Dudniarz stał w odległości sześciu metrów od grupki badaczy. Była to wielka srebrna skrzynia na kółkach z parasolką na szczycie. Przypominał wózek lodziarza, który z niewiadomych przyczyn zapędził się na to pustkowie. Krzątali się przy nim dwaj studenci, przygotowując do odpalenia kolejny ładunek.

Jak na razie, tomografia dźwiękowa pozwalała na tyle dokładnie określić rozmiar znalezisk, że można było precyzyjnie planować miejsca kolejnych odkrywek. Studenci jednak twierdzili, że za kilka lat uda się osiągnąć tak dobrą jakość obrazu, iż zbędne staną się wszelkie prace wykopaliskowe. Mając do dyspozycji precyzyjny, trójwymiarowy obraz skamielin będzie można zupełnie zrezygnować z tradycyjnych metod. Rozpocznie się nowa era archeologii bez wykopalisk.

Jednak na razie nie zanosiło się na to. Sprzęt, który sprawował się bez zarzutu w warunkach laboratoryjnych, w terenie okazał się niezmiernie delikatny i bardzo zawodny.

– Jak długo jeszcze? – zapytał Grant.

– Już go mamy, Alan. Całkiem niezły.

Grant ponownie spojrzał na ekran i zobaczył kompletny, jaskrawożółty szkielet, ponad wszelką wątpliwość należący do bardzo młodego osobnika. Najbardziej charakterystyczna cecha welociraptora, to znaczy zakrzywiony pazur, który u dorosłego zwierzęcia osiągał długość 15 centymetrów i stanowił niezwykle groźną broń, tutaj nie przekraczał rozmiarów kolca na łodydze róży. Welociraptor w ogóle był dinozaurem o dość delikatnej budowie, przypominającym trochę ptaka, i przypuszczalnie co najmniej równie inteligentnym.

Szkielet wydawał się nienaruszony, tyle tylko, że głowa i szyja były bardzo silnie odgięte do tyłu. Badacze tak często spotykali się z takim właśnie ułożeniem skamieniałych szkieletów, że niektórzy z nich wysnuli nawet teorię, według której do wyginięcia dinozaurów przyczyniło się pojawienie w roślinach trujących alkaloidów. Silne wygięcie szyi miało świadczyć o przedśmiertnych konwulsjach zwierząt. Grant rozprawił się z tym poglądem udowadniając, że u wielu

współczesnych gatunków ptaków i gadów następował po śmierci charakterystyczny przykurcz mięśni karku, powodujący wyraźne odgięcie głowy ku tyłowi. Nie miało to najmniejszego związku z przyczyną śmierci zwierzęcia.

Uwagi Granta nie umknął fakt, że szkielet był także lekko przekręcony w płaszczyźnie bocznej, tak że prawa noga i stopa znalazły się ponad kością ogonową.

– Wygląda trochę dziwnie, ale nie sądzę, żeby to była wina komputera – powiedział jeden ze studentów.

– Nie – odparł Grant. – To wina czasu.

Wiele osób nie potrafiło myśleć kategoriami czasu geologicznego. Ludzkie życie odmierza się na zupełnie innej skali. Jabłko może zbrązowieć nawet w ciągu kilku godzin, srebrna zastawa pokrywa się nalotem w ciągu kilku dni, pryzma kompostu gnije przez rok, dziecko zamienia się w dorosłego człowieka w ciągu kilkunastu lat. Żadne z codziennych doświadczeń nie mogło przygotować ludzi do tego, aby zrozumieli, co to właściwie jest osiemdziesiąt milionów lat – a tyle właśnie czasu minęło od chwili śmierci tego małego zwierzęcia.

Podczas wykładów Grant posługiwał się takim oto porównaniem. Gdyby wyobrazić sobie, że sześćdziesiąt lat przeżytych przez człowieka trwa jeden dzień, to osiemdziesiąt milionów lat zamieniłoby się wtedy w 3652 lata, czyli więcej, niż upłynęło od wzniesienia piramid. Welociraptor nie żył od bardzo, bardzo długiego czasu.

– Nie wygląda zbyt groźnie – zauważył ktoś z niewielkiej grupki.

– Bo nie był groźny – odparł Grant. – W każdym razie dopóki nie wydoroślał.

Ten maluch żywił się prawdopodobnie resztkami pozostawionymi przez dorosłych, a w przerwach między jedzeniem wygrzewał się w ciepłych promieniach słońca. Drapieżniki potrafią zjeść za jednym zamachem porcję o wadze dochodzącej do 25 procent masy ich ciała, więc nic dziwnego, że potem robią się ospałe i ociężałe. Młode wspinały się po ciałach pogrążonych we śnie dorosłych osobników i pożywiały się resztkami pozostałymi po ich uczcie. Musiały być bardzo sprytnymi, ciekawskimi zwierzakami.

Inaczej miała się rzecz z dorosłymi. Welociraptor był najbardziej żarłocznym dinozaurem, jaki kiedykolwiek stąpał po Ziemi. Choć stosunkowo mały – około stu kilogramów wagi i wielkości pantery – wyróżniał się sprytem, inteligencją i zajadłością. Podczas ataku posługiwał się silnie uzębioną paszczą, mocnymi przednimi łapami, a przede wszystkim ostrymi pazurami tylnych nóg.

Welociraptory zawsze polowały gromadnie; musiał to być niesamowity widok, kiedy kilkanaście tych stworzeń rzucało się na znacznie większego dinozaura, szarpiąc go za kark i wbijając szpony w tułów zwierzęcia...

– Nie mamy czasu – przypomniała mu Ellie.

Grant otrząsnął się z zamyślenia i wydał polecenia dotyczące rowu odpływowego. Dzięki komputerowemu obrazowi wiedział, że szkielet zajmuje bardzo niewiele miejsca; rów wykopany wzdłuż brzegów kwadratu o boku dwóch metrów powinien okazać się całkowicie wystarczający. Tymczasem Ellie naciągnęła nad znalezisko dużą nieprzemakalną płachtę, przybijając ją do ziemi drewnianymi kołkami. Alan

pomógł jej przy dwóch ostatnich.

– Dlaczego ten malec zginął? – zapytał jeden ze studentów.

– Wątpię, czy kiedykolwiek się tego dowiemy – odparł Grant. – Wśród dzikich zwierząt śmiertelność młodych osobników jest bardzo wysoka. Jeżeli chodzi o drapieżniki, to w afrykańskich parkach narodowych dochodzi nawet do siedemdziesięciu procent. To mogło być cokolwiek: choroba, oddalenie się od grupy albo coś innego. Nawet atak ze strony jakiegoś dorosłego osobnika. Wiemy, że te zwierzęta polowały stadnie, ale nie wiemy nic na temat ich zachowania w grupie.

Studenci pokiwali głowami. Wszyscy wiele czytali o życiu społecznym zwierząt i wiedzieli, że kiedy na przykład nowy samiec obejmował przodownictwo w stadzie lwów, pierwszą rzeczą, jaką robił, było wymordowanie wszystkich ssących kociąt. Przyczyna takiego zachowania miała zapewne podłoże genetyczne: zadanie samca polegało na przekazaniu jego genów możliwie największej liczbie młodych osobników, a przerwanie laktacji samic powodowało, że wszystkie wchodziły w okres rui, dzięki czemu mógł je zapłodnić. Poza tym nie traciły czasu na wychowywanie potomstwa innego samca.

Być może stadem welociraptorów także rządził jeden samiec. Tak mało jeszcze wiemy o dinozaurach – pomyślał Grant. Po 150 latach prac wykopaliskowych prowadzonych niemal na całym świecie nadal nie było wiadomo nic pewnego na ich temat.

– Musimy już ruszać, jeżeli mamy dotrzeć do Choteau przed piątą – powiedziała Ellie.

Hammond

Sekretarka Donalda Gennaro wpadła do pokoju z nową walizką w ręku. Przy rączce wciąż jeszcze wisiała metka z ceną.

– Wie pan co, panie Gennaro? Sądząc po tym, że zapomniał się pan spakować, wydaje mi się, że wcale nie chce pan tam lecieć.

– Może ma pani rację – odparł Gennaro. – Nie będzie mnie na urodzinach córki.

Na sobotnie przyjęcie ku czci Amandy Elizabeth zaprosiła dwadzieścioro rozwrzeszczanych czterolatków oraz klauna i magika. Nie była zbyt zadowolona, kiedy dowiedziała się, że Gennaro musi wyjechać z miasta. Podobnie Amanda.

– Zrobiłam wszystko, co mogłam, mając do dyspozycji tak mało czasu – ciągnęła sekretarka. – W środku są sportowe pantofle, szorty, koszule, przybory do golenia, para dżinsów i ciepła bluza na wypadek, gdyby zrobiło się chłodno. Samochód czeka na dole. Musi pan już wychodzić, jeśli chce pan zdążyć na samolot.

Wyszła z pokoju, a Gennaro wypadł za nią, walcząc po drodze z metką przyczepioną do rączki walizki. Kiedy mijał salę konferencyjną o przeszklonych ścianach, zza stołu wstał Dan Ross i wychylił głowę na korytarz.

– Szczęśliwej podróży – powiedział. – Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli, Donaldzie. Nie mam pojęcia, jak naprawdę przedstawia się sytuacja, ale jeśli natrafisz na jakiś problem, wyrwij go z korzeniami.

– Mój Boże, Dan... Przecież to ogromne przedsięwzięcie!

– Nie wahaj się i nie zastanawiaj, tylko po prostu zrób to, rozumiesz?

Gennaro skinął głową.

– Rozumiem, ale Hammond...

– Pieprz Hammonda.

* * *

– Jak się miewasz, mój chłopcze? – usłyszał znajomy, chrapliwy głos.

– Bardzo dobrze, John – odparł Gennaro, po czym rozparł się wygodnie w miękkim skórzanym fotelu na pokładzie małego odrzutowca gulfstream II lecącego na wschód, w kierunku Gór Skalistych.

– Ostatnio w ogóle do mnie nie dzwonisz – powiedział z wyrzutem John Hammond. – Brakowało mi ciebie, Donaldzie. Co słychać u twojej uroczej żony?

– Wszystko w porządku. Mamy córeczkę.

– To wspaniale. Dzieci są przecudowne. Na pewno spodoba jej się w naszym parku w Kostaryce.

Gennaro zdążył już zapomnieć, jak niski jest Hammond – siedząc w fotelu nie dotykał stopami podłogi i cały czas wymachiwał nogami w powietrzu. Było w nim coś z dziecka, mimo że liczył sobie już... ile? Siedemdziesiąt pięć? Siedemdziesiąt sześć lat? W każdym razie, coś koło tego. Gennaro widział go w lepszej formie, ale

przecież ich ostatnie spotkanie odbyło się niemal pięć lat temu.

Hammond był krzykliwym człowiekiem, urodzonym showmanem, a wtedy, w 1983 roku, woził wszędzie ze sobą słonia zamkniętego w małej klatce. Słoń miał dwadzieścia dwa centymetry wysokości, trzydzieści długości i był wierną kopią dużego zwierzęcia – tylko ciosy niemal zupełnie mu zanikły. Hammond zabierał go ze sobą na wszystkie spotkania, na których zdobywał pieniądze potrzebne na badania. Gennaro wnosił zwykle do pokoju klatkę przykrytą małą narzutką, Hammond wygłaszał tradycyjną przemowę poświęconą perspektywom tego, co nazywał „konsumpcyjnymi produktami biologicznymi", a w kulminacyjnym punkcie zrywał narzutkę, pokazując zebranym słonia. Zaraz potem prosił o pieniądze.

Za każdym razem słoń wywoływał furorę. Niewiele większy od kota, stanowił przykład, co może wyczarować w przyszłości w swoim laboratorium Norman Atherton, genetyk ze Stanford, partnerując Hammondowi w nowym przedsięwzięciu.

Jednak, rozwodząc się na temat słonia, Hammond wiele spraw pomijał milczeniem – choćby to, że miniaturowy słonik wcale nie powstał w wyniku badań genetycznych. Atherton po prostu pobrał od samicy maleńki embrion, a następnie umieścił w sztucznej macicy, podając starannie wyselekcjonowane hormony. Przedsięwzięcie takie było znacznym osiągnięciem, ale nie miało nic wspólnego z tym, co obiecywał Hammond.

Mimo często powtarzanych prób, Athertonowi nie udało się powtórzyć sukcesu, a każdy, kto zobaczył słonika, chciał mieć takiego na własność. Zwierzę łatwo się zaziębiało, szczególnie zimą; odgłosy kichnięć dobiegające z małej klatki napełniały Hammonda ogromnym niepokojem. Czasem słoń wsuwał trąbę między pręty i pofukiwał gniewnie, jakby próbował wydostać się na zewnątrz, od czasu do czasu zaś w miejscach, w których ciosy wyrastały ze szczęki, pojawiała się nieprzyjemna infekcja. Hammond obawiał się, że zwierzę zdechnie, zanim Atherton zdoła wyprodukować następne.

Hammond ukrywał także przed potencjalnymi inwestorami fakt, że po miniaturyzacji zachowanie słonia uległo daleko idącym zmianom. Nadal wyglądał jak słoń, ale zachowywał się jak złośliwy gryzoń. Wielokrotnie zdarzało się, że próbował zranić głaszczących go ludzi.

Poza tym, mimo że Hammond z dużą dozą pewności mówił o dochodach, które w roku 1993 sięgną siedmiu miliardów dolarów, to jego projekt był w znacznej mierze czystą spekulacją. Hammond miał wizję, promieniował ogromnym entuzjazmem, lecz nie mógł w żaden sposób zagwarantować, że jego plan się powiedzie; szczególnie po tym, jak u Normana Athertona stwierdzono złośliwą postać raka. O tym, rzecz jasna, Hammond także nie zająknął się ani słowem.

Mimo to, z pomocą Gennaro, udało mu się zdobyć pieniądze. Od września 1983 do listopada 1985 John Alfred Hammond zebrał 870 milionów dolarów potrzebne do założenia spółki o nazwie International Genetic Technologies. Z pewnością zebrałby więcej, gdyby nie to, że zależało mu na ścisłej dyskrecji, a w dodatku kapitał miał być zamrożony na co najmniej pięć lat, nie przynosząc w tym czasie

żadnego zysku. Ten warunek odstraszył wielu inwestorów. Ostatecznie na wejście do spółki zdecydowały się głównie wielkie japońskie konsorcja. Jedynie Japończycy mieli wystarczająco dużo cierpliwości.

* * *

Siedząc w skórzanym fotelu na pokładzie odrzutowca, Gennaro rozmyślał o tym, jak trudno było przyprzeć Hammonda do muru.

Starzec całkowicie zignorował fakt, że firma prawnicza Gennaro zmusiła go do tej podróży, i zachowywał się tak, jakby to on sam zorganizował wycieczkę o poznawczo–rozrywkowym charakterze.

– Wielka szkoda, że nie zabrałeś rodziny, Donaldzie – powiedział.

Gennaro wzruszył ramionami.

– W sobotę są urodziny mojej córki. Zaprosiliśmy dwadzieścioro dzieci, zamówiliśmy tort i klauna... Sam wiesz, jak to jest.

– Tak, rozumiem – odparł Hammond. – Dzieciaki uwielbiają takie rzeczy.

– A poza tym, czy Park jest już gotowy na przyjęcie gości? – zapytał Gennaro.

– Oficjalnie jeszcze nie, ale hotel jest już ukończony, więc będzie się gdzie zatrzymać.

– A zwierzęta?

– Zwierzęta są oczywiście na miejscu.

– Pamiętam, że w pierwszych projektach wspominałeś o dwunastu egzemplarzach...

– Och, poszliśmy znacznie dalej, Donaldzie. Mamy teraz dwieście trzydzieści osiem zwierząt.

– Dwieście trzydzieści osiem?! Starzec zachichotał z zadowoleniem.

– Rzeczywiście, aż trudno to sobie wyobrazić. Powiadam ci, całe stada.

– Dwieście trzydzieści osiem... Ile gatunków?

– Piętnaście.

– Niewiarygodne! – wykrztusił Gennaro. – Fantastyczne! A co z pozostałymi projektami? Infrastruktura, komputery...

– Wszystko jest na miejscu. Sam się przekonasz, Donaldzie: to po prostu wspaniałe. Właśnie dlatego wasze... obawy... są całkowicie bezpodstawne. Nie mamy na wyspie absolutnie żadnych kłopotów.

– Czyli nie powinno też być problemu z inspekcją – zauważył Gennaro.

– I nie ma – zapewnił go Hammond. – Tyle tylko, że spowoduje pewne opóźnienia. Na czas oficjalnej wizyty trzeba będzie przerwać wszystkie prace...

– Ale przecież opóźnienia już się zdarzały. Przesunąłeś nawet termin otwarcia.

– Ach, to... – Hammond w zamyśleniu nawijał na palec róg czerwonej jedwabnej chusteczki wystającej z kieszeni jego sportowej marynarki. – Coś takiego musiało się zdarzyć. Po prostu musiało.

– Dlaczego?

– Aby ci to wyjaśnić, muszę wrócić do podstawowej koncepcji naszego ośrodka. Ma to być najnowocześniejsze wesołe miasteczko na świecie, w którym

wykorzystamy najnowsze elektroniczne i biologiczne osiągnięcia. Nie mam na myśli diabelskich młynów i kolejek górskich, bo to możesz zobaczyć wszędzie, choćby na Coney Island. Wszyscy też mają różne animowane atrakcje: gabinet grozy, kryjówka piratów, Dziki Zachód, trzęsienie ziemi i tak dalej. My postanowiliśmy stworzyć atrakcje biologiczne. Żywe atrakcje. Tak zdumiewające, że zwrócą na nas uwagę całego świata.

Gennaro nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu. Była to niemal słowo w słowo ta sama przemowa, którą kilka lat temu on sam raczył potencjalnych inwestorów.

– Oprócz tego nie możemy stracić z oczu podstawowego zadania, jakie ma spełniać nasz projekt, to znaczy zarabiania pieniędzy – dodał Hammond, spoglądając przez okno samolotu. – Mnóstwa pieniędzy.

– Ja też o tym pamiętam.

– Sposobem, w jaki możemy to osiągnąć, jest zredukowanie wydatków na obsługę – ciągnął Hammond. – Dozorcy, bileterzy, sprzątacze, personel techniczny... Należy ograniczyć ich liczbę do minimum. Dlatego właśnie tak dużo zainwestowaliśmy w technologię komputerową, automatyzując wszystko, co tylko dało się zautomatyzować.

– Tak, oczywiście.

– Prawda wygląda jednak w ten sposób, że komputery nie wystarczają, by zapanować nad zachowaniem zwierząt, muszą więc wystąpić różne drobne zakłócenia. Czy komuś udało się kiedyś terminowo uruchomić złożony system komputerowy? Ja o czymś takim nie słyszałem.

– A więc to tylko zwyczajne opóźnienia?

– Tak jest – odparł stary mężczyzna.

– Zwyczajne opóźnienia.

– Słyszałem, że podczas prac budowlanych zdarzyło się sporo wypadków. Podobno zginęli robotnicy...

– Owszem, było kilka wypadków, w tym trzy śmiertelne. Dwaj ludzie zginęli przy budowie drogi, trzeci w styczniu dostał się pod koparkę, ale od kilku miesięcy nie zdarzyły się żadne nieszczęścia. – Hammond położył rękę na ramieniu młodszego mężczyzny. – Donaldzie, zapewniam cię, że na wyspie wszystko posuwa się naprzód zgodnie z planem i że wszystko jest w całkowitym porządku.

– Proszę zapiąć pasy – rozległ się w kabinie głos pilota. – Podchodzimy do lądowania w Choteau.

Choteau

Sucha równina ciągnęła się aż do odległych, ciemnych zarośli. Popołudniowy wiatr gonił na popękanej, betonowej nawierzchni pasa startowego ziarenka piasku i splątane gałązki krzewów. Grant i Ellie stali obok jeepa, przyglądając się schodzącemu do lądowania odrzutowcowi.

– Nienawidzę takiego wyczekiwania na facetów z wypchanymi portfelami – mruknął paleontolog.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nic na to nie poradzisz.

Mimo że wiele gałęzi nauki, a szczególnie fizyka i chemia, uzyskały spore dotacje z budżetu federalnego, paleontologia pozostała w znacznej mierze uzależniona od prywatnych sponsorów. Alan Grant doskonale zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby nie był osobiście zainteresowany tajemniczą wyspą u wybrzeży Kostaryki, to i tak przystałby na propozycję Hammonda. Na tym właśnie polegał mecenat, zarówno teraz, jak w przeszłości.

Mały odrzutowiec wylądował i z dużą prędkością potoczył się w ich kierunku. Ellie zarzuciła torbę na ramię. Samolot zatrzymał się, a w chwilę potem stewardesa ubrana w błękitny mundur otworzyła drzwi.

Wnętrze maszyny, mimo luksusowego wyposażenia, okazało się zaskakująco ciasne. Grant musiał się mocno pochylić, kiedy podawał rękę Hammondowi.

– Doktor Grant i doktor Sattler! Cieszę się, że jesteście z nami. Pozwólcie, że przedstawię wam mojego współpracownika, Donalda Gennaro.

Ten mocno zbudowany, trzydziestokilkuletni mężczyzna w garniturze od Armaniego i okularach w drucianej oprawie natychmiast wydał się Grantowi antypatyczny; uczony postarał się, by uścisk dłoni trwał jak najkrócej.

– Kobieta! – stwierdził ze zdumieniem Gennaro, kiedy przyszła kolej na Ellie.

– To się zdarza – odparła.

Ona też go nie lubi, pomyślał Grant.

– Naturalnie wiesz, czym zajmują się doktor Grant i doktor Sattler – zwrócił się Hammond do Gennaro. – Są paleontologami. Wygrzebują z ziemi dinozaury. – Wybuchnął śmiechem, jakby nagle wydało mu się to bardzo zabawne.

– Proszę zająć miejsca – powiedziała stewardesa, zamykając drzwi. Samolot natychmiast zaczął kołować na początek pasa.

– Proszę nam wybaczyć, ale musimy się śpieszyć – odezwał się Hammond przepraszającym tonem. – Donald uważa, że powinniśmy jak najszybciej znaleźć się na miejscu.

Pilot ogłosił przez interkom, że czeka ich najpierw czterogodzinny lot do Dallas, gdzie wylądują w celu uzupełnienia paliwa, a potem długi przeskok, już bez między lądowań. Powinni dotrzeć na miejsce nazajutrz z samego rana.

– Jak długo zostaniemy w Kostaryce? – zapytał Grant.

– To zależy – odparł Gennaro. – Musimy wyjaśnić kilka rzeczy.

– Może mi pan wierzyć, że zajmie nam to nie więcej niż czterdzieści osiem godzin – zapewnił Hammond Alana.

Grant zapiął pas.

– Nigdy nie słyszałem o tej wyspie. Czy to jakaś tajemnica?

– W pewnym sensie – odparł Hammond. – Zadaliśmy sobie wiele trudu, aby nikt się o niej nie dowiedział aż do chwili, kiedy udostępnimy ją zdumionej i zachwyconej publiczności.

Cel strategiczny

W całej historii korporacji Biosyn z Cupertino w Kalifornii jeszcze nigdy nie zwoływano nadzwyczajnego zebrania rady nadzorczej. Dziesięciu jej członków, siedzących w sali konferencyjnej, było zirytowanych i zniecierpliwionych. Właśnie minęła ósma wieczorem. Przez ostatnie dziesięć minut rozmawiali między sobą, ale rozmowy stopniowo cichły. Teraz już tylko przekładali leżące przed nimi papiery i znacząco spoglądali na zegarki.

– Na co czekamy? – zapytał któryś z nich.

– Na jeszcze jednego – odparł Lewis Dodgson. – Potrzebujemy jeszcze jednego.

On także spojrzał na zegarek. Sekretarka Rona Meyera poinformowała go, że szef przyleci samolotem, który wystartował o szóstej z San Diego. Powinien już tu być, nawet biorąc pod uwagę ewentualne korki, jakie mógł napotkać w drodze z lotniska.

– Musimy mieć quorum? – zapytał inny członek rady nadzorczej.

– Tak – powiedział Dodgson, – Musimy.

To sprawiło, że na chwilę zamilkli. Quorum oznaczało, że będą podejmowane jakieś ważne decyzje. Było tak w istocie, choć Bóg świadkiem, Dodgson wolałby w ogóle nie zwoływać żadnego zebrania. Jednak Steingarten, prezes Biosyn, wyraził się jasno:

– Musisz uzyskać ich zgodę w tej sprawie, Lew – powiedział.

Trzydziestoczteroletni Lewis Dodgson miał twarz o orlich rysach i świdrujące spojrzenie. W zależności od tego, kto wyrażał o nim opinię, przedstawiano go albo jako najbardziej przebojowego, albo najbardziej nieodpowiedzialnego genetyka swojej generacji. Został usunięty na ostatnim roku studiów z Uniwersytetu Johna Hopkinsa za próbę poddania pacjentów terapii genowej bez uzyskania odpowiednich zezwoleń. Zatrudniony przez Biosyn, przeprowadził w Chile kontrowersyjne badania nad nową szczepionką przeciwko wściekliźnie. Teraz stał na czele działu badawczo–produkcyjnego zajmującego się „inżynierią wsteczną”; polegało to na przeprowadzeniu dokładnej analizy produktu konkurencji, zbadaniu zasady jego działania, a następnie stworzeniu własnej wersji. W praktyce wiązało się ze szpiegostwem przemysłowym na sporą skalę, w znacznej części skierowanym przeciwko InGen.

W latach 80. coraz więcej firm bioinżynieryjnych zaczęło zadawać sobie następujące pytanie: „Jaki jest biologiczny ekwiwalent walkmana?” Firmy te nie były zainteresowane farmaceutykami ani zdrowiem, lecz rozrywką, sportem, organizacją czasu wolnego, kosmetykami i zwierzętami domowymi. Spodziewano się, że w latach 90. nastąpi zwiększone zapotrzebowanie na „konsumpcyjne produkty biologiczne”. Zarówno InGen, jak Biosyn, prowadziły intensywne prace w tej dziedzinie.

Biosyn miała już na koncie pewien sukces, gdyż na zamówienie Departamentu Myślistwa i Wędkarstwa stanu Idaho udało jej się wyprodukować nowego, znacznie

jaśniejszego pstrąga, który był dużo lepiej widoczny w górskich strumieniach i rzekomo stanowił znaczny krok naprzód w dziedzinie wędkarstwa. Prawda wyglądała w ten sposób, że po wprowadzeniu tego zmodyfikowanego rodzaju ryb do strumieni Departament przestał otrzymywać skargi od ludzi, którzy płacąc słono za prawo do połowów, nie byli w stanie niczego złapać. Nie zajmowano się takimi drobnostkami jak ta, że nowe pstrągi często ginęły z powodu udaru słonecznego, ani że ich mięso było gąbczaste i pozbawione smaku. Zresztą, Biosyn pracowała już nad tym problemem i...

Drzwi otworzyły się, do pokoju wślizgnął się Ron Meyer i bez słowa zajął miejsce. Dodgson doczekał się quorum. Nie zwlekając wstał z fotela.

– Panowie – zaczai – zebraliśmy się dzisiaj, aby porozmawiać o naszym najnowszym celu strategicznym: InGen.

Najpierw w skrócie przypomniał minione wydarzenia: założenie InGen w roku 1983, przy znacznym udziale japońskich inwestorów, kupno trzech superkomputerów cray XMP, wydzierżawienie Isla Nublar w pobliżu wybrzeży Kostaryki, gromadzenie wielkich zapasów bursztynu, nadzwyczajne dotacje na rzecz ogrodów zoologicznych na całym świecie, od Nowego Jorku poczynając, na indyjskim Parku Safari w Ranthapur kończąc.

– Jednak, pomimo tylu informacji, wciąż nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, czym właściwie zajmuje się InGen. Z pewnością interesowali się głównie zwierzętami oraz zatrudniali wielu specjalistów od przeszłości – paleobiologów, filogenetyków DNA i tak dalej.

Potem, w roku 1987, InGen wykupiła Millipore Plastic Products, małą firmę z Nashville w stanie Tennessee. Było to przedsiębiorstwo zajmujące się produkcją dla rolnictwa. Niedawno opatentowało nowe tworzywo sztuczne o właściwościach bardzo zbliżonych do skorupki ptasiego jaja. Tworzywo to można formować właśnie w kształcie jaj i umieszczać w nich kurze embriony. Od następnego roku InGen zaczęła wykorzystywać dla własnych potrzeb całą produkcję firmy.

– Doktorze Dodgson, to bardzo interesujące, ale...

– W tym samym czasie – mówił dalej Dodgson – rozpoczęto prace budowlane na Isla Nublar. Między innymi na środku wyspy stworzono płytkie jezioro mniej więcej trzykilometrowej długości. Utrzymywane w ścisłej tajemnicy plany dotyczą zbudowania wielkiego ośrodka wypoczynkowego, ale wszystko wskazuje na to, że w rzeczywistości InGen założyła na wyspie prywatne zoo niespotykanych rozmiarów.

– I co z tego, doktorze Dodgson? – zapytał jeden z członków zarządu, pochylając się do przodu w fotelu.

– To nie jest zwyczajne zoo – odparł Dodgson. – Drugiego takiego nie ma na świecie. Wydaje się, że InGen dokonała nie lada sztuki: udało im się odtworzyć dawno wymarłe zwierzęta.

– Jakie zwierzęta?

– Takie, które wykluwają się z jaj i wymagają rozległych przestrzeni.

– Co to za zwierzęta?

– Dinozaury – powiedział Dodgson. – Oni klonują dinozaury.

* * *

Konsternacja, jaką wywołało jego oświadczenie, była w opinii Dodgsona całkowicie nieuzasadniona. Problem z inwestorami polegał na tym, że co prawda dawali pieniądze, ale zupełnie nie interesowali się rozwojem dziedziny, którą wspierali, i nie znali jej możliwości.

Pierwsze wzmianki na temat możliwości klonowania dinozaurów pojawiły się w fachowej prasie już w roku 1982. Wraz z upływem lat manipulowanie DNA stawało się coraz łatwiejsze; zdołano uzyskać materiał genetyczny z egipskich mumii oraz ze skóry kwaggi, spokrewnionego z zebrą afrykańskiego zwierzęcia, które wyginęło u schyłku XIX wieku. W roku 1985 uważano już za możliwe zrekonstruowanie całego kodu genetycznego kwaggi i wyklonowanie żywego osobnika. Gdyby tak się stało, jaki byłby następny krok? Mastodont? Tygrys szablozębny? Ptak dodo?

A może dinozaur?

Rzecz jasna, nigdzie na świecie nie istniało zachowane DNA dinozaurów, ale było całkiem prawdopodobne, że po przemieleniu wielkiej liczby kości uda się uzyskać przynajmniej jego fragmenty. Wcześniej przypuszczano, że w skamielinach nie pozostały najmniejsze ślady kwasu dezoksyrybonukleinowego, ale teraz zaczęto odchodzić od tego poglądu. Gdyby udało się odzyskać wystarczająco dużo fragmentów łańcucha DNA, kto wie, czy nie można by nawet odtworzyć całego żywego zwierzęcia.

W roku 1982 problemy natury technicznej wydawały się nie do przezwyciężenia, lecz nie istniały żadne teoretyczne ograniczenia. Zadanie było tylko trudne i szalenie drogie, ale możliwe do wykonania – naturalnie pod warunkiem, że ktoś zechce spróbować.

Wszystko wskazywało na to, że InGen zechciała.

– Udało im się stworzyć największą atrakcję turystyczną na świecie – mówił dalej Dodgson. – Jak panowie z pewnością wiecie, ogrody zoologiczne cieszą się ogromną popularnością. W ubiegłym roku przyciągnęły więcej Amerykanów niż wszystkie mecze baseballu i futbolu razem wzięte. Japończycy także uwielbiają zoo; mają ich już pięćdziesiąt, a wciąż budują nowe. Za wstęp do swojego ogrodu zoologicznego InGen może zażądać, ile tylko zechce: dwóch tysięcy dolarów za dzień, dziesięciu tysięcy... Do tego dochodzi jeszcze cała otoczka – komiksy, koszulki, gry wideo, czapeczki, zabawki i zwierzęta domowe.

– Domowe?

– Naturalnie. Jeżeli potrafią już robić normalne dinozaury, to co za problem wyprodukować miniaturowe, które można trzymać w domu? Wyobrażacie sobie dziecko, które nie chciałoby mieć własnego dinozaura? Małego zwierzaka, który byłby tylko jego. InGen będzie sprzedawać ich miliony, a przy okazji dokona jeszcze kilku modyfikacji, w wyniku których małe dinozaury będą mogły jeść tylko karmę produkowaną przez InGen, i tak dalej.

– Jezus, Maria... – szepnął jeden z mężczyzn.

Dodgson skinął głową.

– Właśnie. To zoo stanowi oś przedsięwzięcia zaplanowanego na niewiarygodnie szeroką skalę.

– Czy te dinozaury będą opatentowane?

– Tak. Zgodnie z postanowieniem Sądu Najwyższego z roku 1987, zmodyfikowane genetycznie zwierzęta mogą być chronione patentem. InGen stanie się jedynym właścicielem swoich dinozaurów i nikt inny nie będzie mógł ich legalnie wytwarzać.

– A dlaczego nie mielibyśmy stworzyć własnych? – zapytał jeden z zebranych.

– Możemy, tyle tylko, że oni mają nad nami przewagę co najmniej pięciu lat. Bardzo wątpię, czy udałoby nam się zniwelować ją do końca stulecia. – Umilkł na chwilę. – Rzecz jasna, gdybyśmy zdobyli próbki ich okazów, moglibyśmy dokonać wstecznej analizy, a potem skonstruować naszą wersję, z tak dużymi zmianami w DNA, że nikt nie posądziłby nas o plagiat.

– A czy możemy zdobyć takie próbki?

Dodgson ponownie zawiesił głos.

– Myślę, że tak – powiedział wreszcie.

Ktoś odchrząknął niepewnie.

– Ale chyba nie byłoby to nic nielegalnego?

– No cóż... Myślę o niezadowolonym pracowniku, odpadkach wyrzucanych na śmietnik albo czymś podobnym.

– Doktorze Dodgson, czy dysponuje pan dostępem do takiego źródła?

– Owszem. Jednak obawiam się, że nie możemy zwlekać z podjęciem decyzji, ponieważ InGen stanęła właśnie w obliczu małego kryzysu i mój człowiek musiałby przystąpić do działania w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

W pokoju zapadło długie milczenie. Mężczyźni spoglądali to na stenografistkę, to na włączony magnetofon stojący przed nimi na stole konferencyjnym.

– Nie widzę potrzeby głosowania nad żadnym formalnym wnioskiem – powiedział Dodgson. – Wystarczy mi, jeżeli będę miał pewność, że zgadzacie się panowie z moimi intencjami.

Członkowie zarządu skinęli głowami.

Nikt nie odezwał się ani słowem. Nic nie trafiło ani do stenogramu, ani na taśmę magnetofonową.

– Dziękuję wam za przybycie, panowie. Od tej pory ja sam zajmę się tą sprawą.

Port lotniczy

Lewis Dodgson wszedł do baru w hali odlotów dworca lotniczego w San Francisco i rozejrzał się szybko dokoła. Jego człowiek już czekał przy kontuarze. Dodgson usiadł obok niego i postawił teczkę na podłodze między nimi.

– Spóźniłeś się, przyjacielu – powiedział mężczyzna, po czym spojrzał na słomkowy kapelusz Dodgsona i wybuchnął śmiechem. – Co to ma być, przebranie?

– Nigdy nie wiadomo – odparł genetyk, starając się stłumić gniew. Od pół roku obchodził się z tym człowiekiem jak ze śmierdzącym jajkiem, a ten stawał się coraz bardziej nieznośny i arogancki, lecz nic nie można było na to poradzić. Obaj doskonale zdawali sobie sprawę ze stawki, o jaką toczyła się gra.

Poddane bioinżynieryjnym modyfikacjom DNA bez wątpienia stanowiło najcenniejszy materiał na świecie. Nawet pojedyncza, widoczna jedynie pod mikroskopem bakteria, zawierająca gen substancji powodującej natychmiastowy zawał serca czy uodparniającej zboża na działanie niskich temperatur, dla zainteresowanego tym nabywcy mogła mieć wartość nawet pięciu miliardów dolarów.

Ów prosty fakt spowodował powstanie zupełnie nowego, przedziwnego świata szpiegostwa przemysłowego. Dodgson przejawiał szczególne zdolności w tej dziedzinie. W roku 1987 przekonał pewną niezadowoloną panią doktor, aby porzuciła Cetus na rzecz Biosyn, zabierając ze sobą pięć szczepów zmodyfikowanych bakterii. Pani doktor po prostu przeniosła na każdy paznokieć lewej ręki po kropli płynu zawierającego te bakterie, po czym najspokojniej w świecie wyszła z laboratorium.

Jednak InGen stanowiła znacznie poważniejsze wyzwanie. Tym razem Dodgson chciał zdobyć coś więcej niż kilka bakterii; zależało mu na zamrożonych embrionach, a doskonale wiedział, że InGen stosowała do ich ochrony najbardziej wymyślne środki. Musiał dotrzeć do pracownika korporacji, który miał do nich dostęp, który zechciałby je ukraść, i wreszcie, który potrafiłby pokonać system zabezpieczeń. Znalezienie takiej osoby nie należało do łatwych zadań.

Jednak na początku roku Dodgson zdołał wybrać potencjalnego kandydata. Mimo że człowiek ten nie miał bezpośredniego dostępu do materiału genetycznego, to jednak Dodgson podtrzymywał kontakty, spotykając się z nim co miesiąc u „Carlosa & Charliego” w Krzemowej Dolinie. Teraz, kiedy InGen zaprosiła na swoją wyspę konsultantów i dostawców oprzyrządowania, nadszedł moment, na który Dodgson tak długo czekał; właśnie teraz jego człowiek mógł zdobyć pilnie strzeżone embriony.

– Lepiej przejdźmy od razu do rzeczy – powiedział mężczyzna. – Mój samolot odlatuje za dziesięć minut.

– Chce pan jeszcze raz uzgodnić szczegóły operacji?

– Skądże znowu, doktorze Dodgson. Chcę tylko wreszcie zobaczyć te cholerne

pieniądze.

Dodgson otworzył zatrzaski i lekko uchylił teczkę. Jego rozmówca zerknął od niechcenia w dół.

– To ma być wszystko?

– Połowa. Siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Dobra. – Mężczyzna wyprostował się i dopił kawę. – W porządku, doktorze.

Dodgson szybko zamknął teczkę.

– Proszę pamiętać, że chcemy mieć wszystkie piętnaście gatunków.

– Pamiętam. Piętnaście gatunków, zamrożone embriony. Jak mam je przewieźć?

Dodgson wręczył mu duże opakowanie pianki do golenia w sprayu.

– W tym?

– W tym.

– Mogą sprawdzać mi bagaż...

Dodgson wzruszył ramionami.

– Proszę nacisnąć – powiedział.

Mężczyzna zrobił to, i na nadstawioną dłoń wytrysnęła najzwyklejsza pianka do golenia.

– Nieźle. – Wytarł rękę o krawędź kontuaru. – Całkiem nieźle.

– Pojemnik jest tylko nieznacznie cięższy, i to wszystko. – Zespół techniczny Biosyn przygotowywał go bez chwili przerwy przez ostatnie dwa dni. Genetyk szybko zademonstrował mężczyźnie działanie urządzenia.

– Ile jest chłodziwa?

– Wystarczy na trzydzieści sześć godzin. W tym czasie embriony powinny dotrzeć do San José.

– To już zależy od waszego człowieka na łodzi. Lepiej upewnijcie się, czy ma na pokładzie lodówkę.

– Zrobię to.

– A co do warunków...

– Pozostają bez zmian – przerwał mu Dodgson. – Pięćdziesiąt tysięcy za każdy dostarczony embrion, plus dodatkowe pięćdziesiąt tysięcy, jeżeli uda się utrzymać go przy życiu.

– W porządku. Tylko niech łódź na pewno czeka w piątek wieczorem przy nabrzeżu we wschodniej części wyspy. Nie na północy, bo tam przybijają tylko duże statki. Pamiętajcie, wschodnie nabrzeże.

– Zapamiętam – odparł Dodgson. – Kiedy wróci pan do San José?

– Przypuszczalnie w niedzielę.

Mężczyzna wstał z barowego stołka. Dodgson zmarszczył brwi.

– Na pewno da pan sobie radę z...

– Na pewno. Może mi pan wierzyć.

– Przypuszczamy, że wyspa ma stałą łączność radiową z kwaterą główną InGen w Kalifornii, więc...

– Już się tym zająłem – wpadł mu w słowo mężczyzna. – Niech się pan odpręży i zajmie się liczeniem moich pieniędzy. Chcę dostać gotówkę w niedzielę rano na

lotnisku w San José.

– Proszę się nie obawiać, będę na pana czekał – powiedział Dodgson.

Malcolm

Tuż przed północą na lotnisku w Dallas do samolotu wsiadł wysoki, szczupły, łysiejący mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, ubrany w czarną koszulę, czarne spodnie, czarne skarpetki i czarne sportowe pantofle.

– Ach, doktor Malcolm – powiedział Hammond, obdarzając go wymuszonym uśmiechem.

Malcolm także się uśmiechnął.

– Witaj, John. Tak, obawiam się, że odnalazło cię twoje przeznaczenie.

Malcolm uścisnął wszystkim dłonie, przedstawiając się każdemu w ten sam sposób:

– Dobry wieczór, jestem Ian Malcolm. Robię w matematyce.

Grant odniósł wrażenie, że ubrany na czarno mężczyzna jest bardzo rozbawiony możliwością odbycia wycieczki. Jego nazwisko nie było obce paleontologowi; Ian Malcolm należał do najsłynniejszych matematyków młodej generacji, którzy poszukiwali odpowiedzi na pytanie „jak działa świat". Uczeni ci całkowicie zerwali z tradycyjnym pojmowaniem matematyki. Po pierwsze, niemal bez przerwy posługiwali się komputerami; po drugie, zajmowali się prawie wyłącznie równaniami nieliniowymi w nowo powstałej gałęzi matematyki zwanej teorią chaosu; po trzecie, jakby po to, żeby podkreślić swą przynależność do awangardy, ubierali się i zachowywali w sposób, który jeden ze starszych naukowców określił jako „prezentowanie godnego pożałowania przerostu osobowości".

Malcolm zasiadł w jednym z miękkich foteli, a stewardesa zapytała go, czy ma ochotę na drinka.

– Poproszę dietetyczną colę, wstrząśniętą, ale nie mieszaną. Przez otwarte drzwi samolotu napływało wilgotne, ciepłe powietrze.

– Czy nie jest panu trochę za gorąco w tej czerni? – zapytała Ellie.

– Jest pani piękną kobietą, doktor Sattler – powiedział Malcolm. – Mógłbym przez cały dzień nie robić nic innego, tylko gapić się na pani nogi. Czarny kolor jest najlepszy, na wysokie temperatury. Chodzi o najbardziej efektywne oddawanie ciepła. Poza tym, ja i tak noszę rzeczy tylko w dwóch kolorach: czarnym i szarym. – Ellie wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, a Malcolm mówił dalej: – Można się w nich pokazać przy każdej okazji, a w dodatku znakomicie pasują do siebie, nawet jeżeli przez pomyłkę założę szare skarpetki do czarnych spodni.

– A czy nie uważa pan, że to trochę nudno nosić ubrania tylko w dwóch kolorach?

– Skądże znowu. Dzięki temu staję się bardziej wolny. Wierzę, że moje życie stanowi wartość samą w sobie i nie chcę marnować go na zastanawianie się nad doborem kolorów. Nie mam ochoty myśleć, co założę jutro rano. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej nudnego niż moda? No, może jeszcze tylko sport wyczynowy. Dorośli ludzie uganiają się za małą piłką, podczas gdy reszta świata płaci ogromne

pieniądze za to, żeby ich dopingować. Jednak po głębszym zastanowieniu muszę stwierdzić, że moda jest chyba jeszcze bardziej nudna od sportu.

– Doktor Malcolm ma bardzo specyficzne poglądy – wyjaśnił Hammond.

– A w dodatku jest zupełnie postrzelony – dodał pogodnym tonem Malcolm. – Jednak musicie przyznać, że to wcale nie są takie błahe zagadnienia. Żyjemy w świecie pełnym narzuconych nam z góry schematów: należy zachowywać się tak, a nie inaczej, należy troszczyć się właśnie o to, a nie o coś innego... Nikt się nad tym nie zastanawia. Czy to nie jest zdumiewające? W społeczeństwie opartym na informacji nikt nie myśli. Chcieliśmy zaprzestać używania papieru, a zamiast tego przestaliśmy myśleć.

Hammond odwrócił się do Gennaro i rozłożył ręce.

– To pan go zaprosił.

– I bardzo dobrze – podjął ochoczo matematyk. – Chyba narobiliście sobie sporych kłopotów.

– Nie mamy żadnych kłopotów! – stwierdził stanowczo Hammond.

– Zawsze twierdziłem, że ta wyspa nigdy nie będzie funkcjonować jak należy – powiedział Malcolm. – Przewidziałem to od samego początku. – Sięgnął po miękką teczkę z brązowej skóry. – A teraz już chyba wszyscy wiemy, jakie będą konsekwencje: po prostu będziecie musieli zlikwidować całe przedsięwzięcie.

– Zlikwidować! – wykrzyknął gniewnie Hammond. – A to dopiero!

Malcolm wzruszył ramionami. Wybuch milionera w ogóle go nie wzruszył.

– Zabrałem ze sobą kopie moich pierwszych raportów sporządzonych dla InGen, żebyście mogli się z nimi zapoznać. Część matematyczna jest miejscami trochę grząska, ale postaram się was przez nią przeprowadzić... Ty gdzieś wychodzisz?

– Muszę wykonać kilka telefonów – odparł Hammond, po czym zniknął w sąsiedniej kabinie.

– Cóż, czeka nas długi lot – powiedział Malcolm do pozostałych. – Dzięki mnie przynajmniej będziecie się mieli czym zająć.

* * *

Maszyna leciała przez całą noc.

Grant doskonale wiedział, że Malcolm ma wielu przeciwników i był w stanie zrozumieć, dlaczego niektórzy z nich uważali jego styl za nieco zbyt bezpośredni, a zastosowania teorii chaosu za naciągane. Rozmyślał nad tym, kartkując raport i zerkając na liczne równania.

– W swoim raporcie stwierdził pan, że projekt Hammonda zakończy się niepowodzeniem? – zapytał Gennaro.

– Tak jest.

– Uczynił pan to opierając się na teorii chaosu?

– Zgadza się. Dokładniej rzecz biorąc, na prawach rządzących zachowaniami systemu w przestrzeni fazowej.

Gennaro odłożył na bok swoją kopię dokumentu.

– Mógłby pan wyjaśnić wszystko tak, aby stało się dla nas zrozumiałe?

– Naturalnie – odparł matematyk. – Ale najpierw sprawdźmy, od czego powinniśmy zacząć. Wie pan, co to jest równanie nieliniowe?

– Nie.

– A czynniki zakłócające?

– Też nie.

– W takim razie zaczniemy od samego początku. – Malcolm umilkł na chwilę, wpatrując się w sufit. – Fizyka odniosła wielkie sukcesy opisując pewne rodzaje zachowań: ruchu planet krążących po orbitach, statków kosmicznych lecących na Księżyc, wahadeł, sprężyn, zderzających się kulek, i tym podobne. Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o deterministyczne przemieszczanie się ciał. Opisują je rozwiązania równań, z którymi styka się każdy matematyk. Robimy to już od setek lat.

Gennaro skinął głową.

– Istnieją jednak inne rodzaje zachowań, z którymi fizyka nie radzi sobie zbyt dobrze – na przykład wszystko, co ma jakikolwiek związek z zawirowaniami. Woda wypływająca z otworu. Powietrze opływające skrzydło samolotu. Pogoda. Krew przepływająca przez serce. Zjawiska zawirowań są z reguły opisywane przez rozwiązania równań nieliniowych. Jednak znalezienie tych rozwiązań, szczerze mówiąc, bardzo często jest niemożliwe. Dlatego właśnie fizyka nigdy nie zdołała do końca zrozumieć tej kategorii zdarzeń. Przełom nastąpił dopiero mniej więcej dziesięć lat temu wraz z pojawieniem się opisującej je, nowej teorii, zwanej teorią chaosu.

Sięga ona korzeniami lat sześćdziesiątych, kiedy po raz pierwszy próbowano stworzyć komputerowe modele pogody. Pogoda stanowi wielki i niezmiernie skomplikowany system, na który składa się ziemska atmosfera poddawana połączonym wpływom lądu, wody i słońca. Zachowanie takich systemów zawsze wymykało się uporządkowaniu, więc nic dziwnego, że nie potrafiliśmy i nadal nie potrafimy przepowiadać pogody. Ówcześni badacze przekonali się o jednym: nawet zrozumienie nie zapewnia możliwości trafnego przepowiadania. Przewidywanie pogody jest po prostu niemożliwe. Przyczyna leży w tym, iż zachowanie całego systemu jest silnie uzależnione od warunków wyjściowych.

– Zgubiłem się – przyznał Gennaro.

– Jak pan myśli, co się stanie, jeżeli z daną prędkością wystrzelę z armaty ustawionej pod danym kątem pocisk o danej wadze, a w chwilę potem drugi, zachowując dokładnie te same parametry?

– Oba pociski dolecą niemal dokładnie w to samo miejsce.

– Zgadza się. To właśnie jest dynamika liniowa.

– Aha...

– Jeżeli jednak stworzę model pogody, opierając się na pewnej temperaturze, sile wiatru i wilgotności, a potem powtórzę doświadczenie, dobierając prawie identyczne dane wyjściowe, to drugi model wcale nie będzie zachowywał się w taki sam sposób. Różnice pojawią się bardzo szybko, a cały system zupełnie nie będzie przypominał pierwszego. Burze zamiast bezchmurnego nieba. To jest dynamika nieliniowa. Małe początkowo różnice ulegają potem zwielokrotnieniu.

– Zdaje się, że rozumiem... – mruknął Gennaro.

– Nazywa się to „efektem motyla”. Jeśli motyl machnie skrzydełkami w Pekinie, może po pewnym czasie spowodować zmianę pogody w Nowym Jorku.

– A więc chaos jest ślepy i nie uporządkowany? – zapytał Gennaro. – Czy o to właśnie chodzi?

– Wcale nie – odparł Malcolm. – Wewnątrz bardzo skomplikowanej struktury znajdujemy głęboko ukryte regularności. Dlatego teoria chaosu jest teraz tak szeroko wykorzystywana; używa się jej do badania zachowania wolnego rynku, reakcji wzburzonego tłumu i przebiegu fal mózgowych podczas ataku padaczki. Wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia ze złożonymi systemami, których zachowanie wydaje się niemożliwe do przewidzenia, dokładniejsze przyjrzenie się pozwala dostrzec głęboko ukryty, wewnętrzny porządek. Nadąża pan?

– Chyba tak. Ale na czym polega ten porządek?

– W gruncie rzeczy najlepiej wyraża go zachowanie systemu w przestrzeni fazowej.

– Jezus, Maria... – jęknął Gennaro. – Chcę tylko wiedzieć, dlaczego, pańskim zdaniem, pomysł Hammonda jest do niczego.

– Zaraz do tego dojdę – odparł matematyk. – Teoria chaosu mówi nam dwie rzeczy: po pierwsze, że u podstawy wszystkich skomplikowanych zjawisk, takich jak na przykład pogoda, leży jednak jakiś porządek, i po drugie, że nawet bardzo proste systemy mogą dać w efekcie bardzo skomplikowane zjawiska. Weźmy na przykład bilard. Uderza pan bilę, która toczy się, odbijając od band. Pozornie jest to bardzo prosty system. Zna pan siłę, z jaką została uderzona bila, zna pan jej masę, może pan łatwo obliczyć kąty, pod jakimi będzie odbijała się od band... Teoretycznie mógłby pan przewidzieć zachowanie tej bili nawet na wiele godzin naprzód.

Gennaro skinął głową.

– Jednak w rzeczywistości okazuje się, że jest pan w stanie przewidzieć jej poruszenia zaledwie z kilkusekundowym wyprzedzeniem – kontynuował Malcolm. – Nagle zaczynają odgrywać rolę pozornie mało znaczące zjawiska: nierówności powierzchni bili, niedokładne wypoziomowanie stołu i tak dalej, i tak dalej. W bardzo krótkim czasie ich skumulowane działanie staje się tak silne, że wcześniejsze dokładne obliczenia przestają mieć jakąkolwiek wartość. Okazuje się więc, że prosty system, jakim jest stół bilardowy z bilami, może zachowywać się w sposób niemożliwy do przewidzenia.

– Zgadza się.

– Jeżeli zaś chodzi o projekt Hammonda, to jest on bardzo podobnym, pozornie prostym systemem – zwierzęta w kontrolowanym, sztucznym środowisku ogrodu zoologicznego – który jednak w pewnej chwili całkowicie wymknie się spod kontroli.

– A pan wie o tym dzięki...

– ...teorii – dokończył Malcolm.

– A czy nie powinien pan najpierw obejrzeć wyspy i przekonać się, jak została urządzona?

– Nie. To zupełnie niepotrzebne. Szczegóły nie mają znaczenia. Teoria mówi mi, że już w niedługim czasie staniemy się świadkami zaskakujących, nieprzewidzianych zjawisk.

– I wierzy pan swojej teorii?

– O, tak – odparł Malcolm. – Całkowicie. – Rozparł się wygodnie w fotelu. – Ta wyspa przysporzy nielichych problemów. Wkrótce wydarzy się tam nieszczęście.

Isla Nublar

Wirnik zaczął obracać się z przybierającym na sile zawodzeniem, rzucając przesuwające się szybko cienie na płytę lotniska w San José. Grant, w słuchawkach na głowie, przysłuchiwał się rozmowie pilota z wieżą.

W San José czekał na nich jeszcze jeden pasażer, Dennis Nedry. Był bardzo otyły, bez przerwy pochłaniał czekoladowe wafelki, palce miał powalane czekoladą, a na koszuli strzępki aluminiowej folii. Nie podał nikomu ręki, tylko wymamrotał coś o tym, że instalował na wyspie główny system komputerowy.

Usadowiony we wnętrzu pleksiglasowej kapsuły Grant obserwował, jak betonowa płyta lotniska zostaje coraz bardziej w dole, a kiedy maszyna skręciła na zachód, w kierunku gór, dostrzegł przez chwilę jej cień.

– Podróż potrwa około czterdziestu minut – odezwał się Hammond z jednego z tylnych foteli.

Niskie wzgórza szybko zaczęły ustępować miejsca coraz wyższym, a potem śmigłowiec skrył się w chmurach, by już po kilku chwilach znaleźć się powyżej ich warstwy, w pełnym blasku słońca. Przesuwające się w dole zbocza były strome i poszarpane, oraz – co najbardziej zdumiało Granta – niemal zupełnie pozbawione roślinności.

– W Kostaryce udało się wprowadzić znacznie lepszą kontrolę przyrostu naturalnego niż w innych krajach Ameryki Środkowej, ale i tutaj zniszczono ogromne połacie lasów – powiedział Hammond. – Większość w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Po drugiej stronie łańcucha górskiego maszyna zniżyła lot, ponownie przechodząc przez warstwę chmur, i Grant ujrzał piaszczyste plaże Pacyfiku. Śmigłowiec przemknął nad małą osadą.

– Bahia Anasco – poinformował pilot. – Wioska rybacka. – Wskazał na północ. – Tam zaczyna się rezerwat Cabo Blanco, Wspaniałe plaże. – Następnie skierował maszynę nad ocean. Woda zmieniła kolor na zielony, a potem na ciemną akwamarynę. Promienie słońca odbijały się od fal. Zbliżała się dziesiąta rano.

– Niedługo zobaczycie Isla Nublar – powiedział Hammond. Isla Nublar nie była zwykłą wyspą, lecz sterczącym z morza wierzchołkiem wulkanicznego wypiętrzenia.

– Wszędzie widać dowody świadczące o jej wulkanicznym pochodzeniu – mówił dalej Hammond. – W wielu miejscach ze szczelin w gruncie wydobywa się gorąca para, a gdzieniegdzie ziemia parzy w stopy. Właśnie dlatego, a także z powodu opływających ją, zimnych prądów morskich, Isla Nublar jest często spowita mgłą. Wkrótce sami się o tym... O, jesteśmy już na miejscu.

Śmigłowiec leciał nisko nad wodą. Grant ujrzał skalistą, niedostępną wyspę, pędzącą im szybko na spotkanie. Porośnięte lasem wzniesienia były spowite mgłą, która nadawała im tajemniczy wygląd.

– Mój Boże, wygląda jak Alcatraz! – zauważył Ian Malcolm.

– Owszem, tyle tylko, że jest znacznie większa – odparł Hammond. – Trzynaście kilometrów długości i pięć szerokości w najszerszym miejscu, a w sumie ponad trzydzieści pięć kilometrów kwadratowych. To największy prywatny rezerwat przyrody w Ameryce Środkowej.

Śmigłowiec skręcił w kierunku północnego krańca wyspy i jednocześnie zaczął się szybko wznosić. Grant usiłował dojrzeć cokolwiek przez gęstniejącą mgłę.

– Zazwyczaj nie jest aż tak gęsta – powiedział Hammond z cieniem niepokoju w głosie.

Na północy wyspy wzgórza były najwyższe, wznosząc się na ponad sześćset metrów nad powierzchnię oceanu. Ich szczyty spowijała mgła, ale Grant dojrzał poszarpane, urwiste ściany i atakujący je wściekle ocean. Maszyna cały czas pięła się w górę.

– Niestety musimy wylądować z tej strony wyspy – odezwał się ponownie Hammond. – Nie lubię tego robić, ponieważ zakłóca to spokój zwierząt, a w dodatku czasem może być trochę niebezpieczne...

Umilkł, a w chwilę potem w słuchawkach rozległ się głos pilota:

– Uwaga, zaczynamy schodzenie. Radzę się dobrze trzymać.

Zanurzyli się we mgle. Grant słyszał w słuchawkach jakieś elektroniczne popiskiwanie, ale nic nie widział; dopiero po dłuższej chwili zaczął dostrzegać zielone gałęzie sosen, wyłaniające się z mlecznych oparów. Niektóre z nich znajdowały się niebezpiecznie blisko maszyny.

– Jak on to robi, do diabła? – zapytał Malcolm, ale nikt mu nie odpowiedział.

Pilot spokojnie przyglądał się drzewom. Śmigłowiec opadał coraz szybciej.

– Jezu... – wykrztusił Malcolm.

Popiskiwanie wyraźnie przybrało na sile. Grant spojrzał na pilota i dostrzegł, że ten stara się maksymalnie skoncentrować. Uczony popatrzył w dół; niemal tuż pod nogami, widoczny przez przezroczystą podłogę kabiny, znajdował się wielki, błękitny krzyż, oświetlony migającymi światłami. Pilot lekko poruszył sterami, koła maszyny zetknęły się z nawierzchnią lądowiska, a w chwilę potem huk silnika zaczai stopniowo cichnąć.

Grant westchnął głośno i rozpiął pas przytrzymujący go w fotelu.

– Musimy schodzić w dół bardzo szybko, ponieważ na tej wysokości wiatr wieje z dużą prędkością, i... W każdym razie teraz jesteśmy już bezpieczni – powiedział Hammond.

Do maszyny podbiegł rudowłosy mężczyzna w baseballowej czapeczce, otworzył drzwi i zawołał radośnie:

– Cześć, jestem Ed Regis! Witam wszystkich na Isla Nublar. Proszę uważać przy wysiadaniu.

* * *

Ze wzgórza wiodła w dół wąska ścieżka. Powietrze było chłodne i wilgotne. W miarę jak schodzili coraz niżej, mgła wyraźnie rzedła, odsłaniając otaczający ich krajobraz, który Grantowi natychmiast skojarzył się z Półwyspem Olimpijskim na

północy zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych.

– Zgadza się – potwierdził Regis. – Większość tutejszych drzew zrzuca liście na zimę, w przeciwieństwie do rosnących na stałym lądzie, gdzie mamy do czynienia z klasyczną dżunglą. Jednak taki mikroklimat występuje wyłącznie na północnych stokach wzgórz. Większa część wyspy ma klimat tropikalny.

Przed nimi, w dole, pojawiły się białe dachy zabudowań wzniesionych wśród gęstej roślinności. Granta zdumiała ich niezwykle staranna konstrukcja. W chwilę potem zniknęły resztki mgły, pozwalając przybyszom ujrzeć niemal całą wyspę. Tak jak powiedział Regis, w większości była pokryta dżunglą.

Grant dostrzegł samotny, pozbawiony gałęzi pień drzewa, wystający wysoko ponad korony palm. Nagle pień poruszył się i skierował w stronę przybyszów małą, przypominającą narośl, głowę. Grant zrozumiał wtedy, że to, co widzi, wcale nie jest pniem, tylko długą, lekko wygiętą szyją ogromnego zwierzęcia, wznoszącą się na wysokość piętnastu metrów.

Miał przed sobą żywego dinozaura.

Witamy

– Mój Boże – szepnęła Ellie. Wszyscy jak zaczarowani wpatrywali się w widoczny nad drzewami łeb i szyję zwierzęcia. – Mój Boże...

Pierwszą myślą, jaka przyszła jej do głowy, było to, że dinozaur jest po prostu piękny. W książkach przedstawiano je jako wielgachne, niezgrabne stworzenia, ale to zwierzę o niesamowicie długiej szyi poruszało się z dostojnym wdziękiem. Było także szybkie; na pewno nie sprawiało wrażenia ani tępego, ani niezgrabnego. Jaszczur przyglądał im się uważnie przez dłuższą chwilę, po czym wydał niski, donośny odgłos, przypominający trąbienie słonia. Natychmiast nad koronami drzew pojawiła się druga głowa, a zaraz potem trzecia i czwarta.

– Mój Boże... – szepnęła ponownie Ellie.

* * *

Gennaro nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Od dawna wiedział, czego powinien się spodziewać, ale w głębi duszy chyba nigdy nie wierzył, że tak się stanie, więc teraz po prostu zaniemówił ze zdumienia. Dopiero gdy to zobaczył, w pełni zrozumiał, jak gigantyczne możliwości drzemią w nowej technologii, o której do tej pory myślał jako o nieco nadużywanym chwycie reklamowym. Jak wielkie są te zwierzęta! Po prostu ogromne! Jak dom! I tyle ich... Do cholery, prawdziwe dinozaury! Najprawdziwsze na świecie!

Zbijemy na tym fortunę, pomyślał Gennaro. Niesamowitą fortunę.

Pozostało tylko modlić się, żeby wszystko poszło jak należy.

* * *

Grant stał na ścieżce na zboczu wzniesienia, jego twarz była wilgotna od mgły. Obserwował szare szyje wznoszące się nad szczytami palm. Kręciło mu się w głowie i miał wrażenie, jakby ziemia usuwała mu się spod stóp. Łapał z wysiłkiem powietrze, ponieważ patrzył na coś, czego nie spodziewał się ujrzeć nigdy w życiu.

Widział jednak przed sobą najprawdziwsze apatozaury. Przez jego odrętwiały umysł przelatywały informacje na ich temat: północnoamerykańskie gady roślinożerne, żyły pod koniec jury, bardziej znane jako brontozaury. Po raz pierwszy odkryte przez E. D. Cope'a w Montanie w roku 1876, później znajdywane także w Colorado, Utah i Oklahomie. Zwykło się uważać, że *Brontosaurus* spędzał większość czasu w płytkiej wodzie, która zmniejszała ciężar ogromnego tułowia. Jednak te zwierzęta, które Grant widział przed sobą, były za szybkie, ich szyje i głowy poruszały się gwałtownie i nie miało to nic wspólnego z ociężałością...

Alan wybuchnął śmiechem.

– Co się stało? – zapytał z niepokojem Hammond. – Coś nie w porządku?

Grant potrząsnął głową, ale nie był w stanie opanować śmiechu. Nie mógł

przecież im powiedzieć, co go rozbawiło: patrzył na te zwierzęta zaledwie od kilku sekund, a mimo to był już gotów zaakceptować ich istnienie, a nawet dokonywać obserwacji, które mogłyby przyczynić się do rozwiązania problemów gnębiących uczonych od wielu dziesięcioleci.

Wciąż jeszcze śmiał się, kiedy nad wierzchołkami drzew pojawiła się piąta, a potem szósta szyja. Jaszczury obserwowały zbliżających się ludzi. Przypominały Grantowi nadmiernie wyrośnięte żyrafy – miały taki sam, sympatyczny, nieco głupawy wyraz oczu.

– Zakładam, że nie są sztuczne – odezwał się łan Malcolm. – Wyglądają jak żywe.

– Oczywiście, że są żywe – odparł Hammond. – Chyba takie właśnie powinny być, prawda?

Ponownie rozległo się donośne trąbienie. Najpierw odezwało się jedno zwierzę, a po chwili dołączyły do niego pozostałe.

– Witają nas na wyspie – powiedział Ed Regis.

Grant stał bez słowa i słuchał oczarowany.

– Prawdopodobnie chcielibyście wiedzieć, co was czeka w najbliższej przyszłości – zabrał ponownie głos Hammond, ruszając w dalszą drogę. – Najpierw obejrzycie wszystkie najważniejsze urządzenia, a na popołudnie zaplanowaliśmy dla was wycieczkę po wyspie, żebyście mogli obejrzeć zwierzęta. Zobaczymy się przy kolacji, i wtedy odpowiem na wszystkie pytania. A teraz proponuję, żebyście poszli za panem Regisem.

Prowadzona przez Eda Regisa grupa skierowała się do najbliższego budynku. Nad ścieżką wisiał transparent z namalowanym koślawymi literami napisem: „Witamy w Jurassic Park”.

TRZECIA ITERACJA

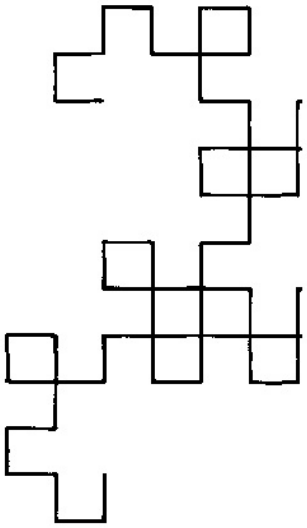

Stopniowo zaczynają pojawiać się szczegóły.

IAN MALCOLM

Jurassic Park

Zagłębili się w zielony tunel o sklepieniu z palmowych koron, wiodący do głównego budynku dla odwiedzających. Wybujała roślinność potęgowała wrażenie, że oto wkraczają do dawnego, prehistorycznego świata, pozostawiając za sobą ten dzisiejszy.

– Wyglądają całkiem nieźle – powiedziała Ellie do Granta.

– Rzeczywiście – odparł. – Chciałbym jednak zobaczyć je z bliska. Chciałbym obejrzeć ich pazury, dotknąć skóry, otworzyć paszczę i przyjrzeć się zębom. Wtedy wiedziałbym na pewno, ale masz rację: naprawdę wyglądają całkiem nieźle.

– Przypuszczam, że to spowoduje małą rewolucję w pańskiej dziedzinie – zauważył Malcolm.

Grant pokręcił głową.

– To wywoła rewolucję w każdej dziedzinie.

Od 150 lat, czyli od czasu, kiedy w Europie po raz pierwszy natrafiono na gigantyczne, skamieniałe kości, nauka o dinozaurach dawała znakomitą okazję do ćwiczenia naukowej dedukcji. Paleontologia przypominała żmudne śledztwo, podczas którego poszukiwano śladów i wskazówek wśród skamieniałych szczątków liczących sobie wiele milionów lat. Najlepszymi paleontologami byli ci, którzy potrafili zdobyć się na najśmielsze pomysły, a następnie mogli przeprowadzić rozumowanie potwierdzające ich słuszność.

Wszystkie wielkie spory odbywały się właśnie na tej zasadzie – łącznie z tym, w którym stroną był Grant. Pytanie brzmiało następująco: czy dinozaury były stałocieplne?

Uczeni zawsze zaliczali dinozaury do gadów, czyli do zmiennocieplnych istot, czerpiących z otoczenia ciepło niezbędne dla funkcjonowania ich organizmów. Ssaki czy ptaki wytwarzają ciepło dzięki przemianie materii, ale gady nie są w stanie tego uczynić. W pewnym momencie nieliczni badacze – prym wśród nich wiedli John Ostrom i Robert Bakker z Yale – ogłosili, że nowe znaleziska nie potwierdzają tradycyjnych wyobrażeń, według których dinozaury były ociężałymi, zmiennocieplnymi gigantami. Przeprowadzili klasyczne rozumowanie dedukcyjne, opierając się na wielu bezsprzecznie potwierdzonych faktach.

Po pierwsze: postawa. Większość gadów chodzi lub wręcz pełza na mocno ugiętych nogach, starając się odzyskać jak najwięcej ciepła z podłoża. Jaszczurki są w stanie utrzymać się na tylnych nogach najwyżej przez kilka sekund. Jednak dinozaury często poruszały się w pozycji wyprostowanej, a niektóre z nich osiągnęły pełną pionizację postawy. Wśród obecnie żyjących zwierząt udało się to jedynie stałocieplnym – niektórym ssakom i ptakom. Tak więc postawa dinozaurów wskazywała na to, że one także były stałocieplne.

Następnie uczeni zajęli się metabolizmem, obliczyli wartość ciśnienia niezbędnego, aby przepchnąć krew przez liczącą ponad dziewięć metrów długości

szyję brachiozaura, i doszli do wniosku, że taką pracę mogło wykonać jedynie serce stałocieplnego zwierzęcia.

Potem przyjrzeli się uważnie zachowanym w skamieniałym błocie odciskom i obliczyli na ich podstawie, że dinozaury potrafiły biegać tak szybko jak człowiek. Dla tak dużej aktywności także była przydatna stałocieplność. Na szczątki dinozaurów natrafiano nawet za kręgiem polarnym, wyniki zaś najnowszych prac z dziedziny zachowania społecznego, opartych głównie na odkryciach Granta, wskazywały na to, iż dinozaury miały złożone życie społeczne i wychowywały swoje młode, czego nie czyni większość gadów. Żółwie po prostu zostawiają jaja w piasku, ale dinozaury prawdopodobnie tak nie robiły.

Spory ciągnęły się przez piętnaście lat, zanim wreszcie zgodzono się – choć nie bez oporów – co do tego, że dinozaury były szybko poruszającymi się, aktywnymi zwierzętami. Nadal jednak podczas zjazdów i konwencji można było zobaczyć uczonych, którzy niegdyś byli kolegami, a teraz nawet ze sobą nie rozmawiali.

Jednak skoro pojawiła się możliwość klonowania dinozaurów, dziedzina wiedzy, w której działał Grant, musiała ulec daleko idącym zmianom. Paleontologia straciła rację bytu. Całe to wielkie przedsięwzięcie – muzealne sale z ekspozycjami ogromnych szkieletów, wypełnione grupami rozgadanych uczniów, uniwersyteckie laboratoria dokonujące analizy skamielin, fachowe czasopisma, artykuły – wszystko musiało odejść do lamusa.

– Nie wydaje się pan zasmucony – zauważył Malcolm. Grant pokręcił głową.

– W gruncie rzeczy spodziewaliśmy się czegoś takiego. Tyle tylko, że nie tak szybko...

Malcolm roześmiał się.

– Jak zawsze. Wszyscy oczekują czegoś niezwykłego, ale nikt nie wierzy, że to zdarzy się za jego życia.

Idąc ścieżką pod gęstym sklepieniem liści nie widzieli już dinozaurów, ale nadal słyszeli ich donośne trąbienie.

– Jedyne, co chciałbym wiedzieć, to skąd zdobyli DNA? – powiedział Grant.

Naturalnie słyszał o poważnych spekulacjach biorących początek w laboratoriach w Berkeley, Tokio i Londynie, według których nie istniały żadne przeszkody uniemożliwiające wyklonowanie jakiegoś dawno wymarłego gatunku – na przykład dinozaura – naturalnie pod warunkiem, że uzyska się dostęp do jego DNA. Problem polegał na tym, że dinozaury dotrwały do naszych czasów jedynie w postaci skamieniałych szkieletów, a proces przemiany w kamień niszczył większość DNA, zmieniając go w materiał nieorganiczny. Naturalnie, gdyby znaleziono jakiegoś dinozaura zamrożonego, zakonserwowanego w torfie lub zmumifikowanego na pustyni, wówczas pojawiłaby się ogromna szansa uzyskania materiału genetycznego.

Jednak, jak do tej pory, nikt nie znalazł takiego dinozaura, a więc klonowanie było niemożliwe. Po prostu nie istniało mc, z czego można by klonować. Cała nowoczesna technologia genetyczna była zupełnie bezużyteczna; co z tego, że jest do dyspozycji nowoczesna kserokopiarka, skoro nie ma z czego robić kopii?

– Nie można odtworzyć prawdziwego dinozaura, ponieważ nie zachowało się prawdziwe DNA dinozaurów – powiedziała Ellie.

– Chyba że istnieje sposób, o którym nie pomyśleliśmy – odparł Grant.

– Na przykład jaki?

– Nie mam pojęcia.

* * *

Minąwszy ogrodzenie dotarli do basenu, łączącego się z kilkoma małymi wodospadami i skalnymi jeziorkami. Wszędzie rosły wielkie paprocie.

– Czy to nie wspaniałe? – zapytał Ed Regis. – W mglisty dzień te rośliny sprawiają, że człowiek czuje się tak, jakby naprawdę cofnął się w czasie o miliony lat. Nawiasem mówiąc, to autentyczne jurajskie paprocie.

Ellie zatrzymała się na chwilę, aby im się dokładniej przyjrzeć. Regis mówił prawdę: to naprawdę była *Serenna veriformans*, której pozostałości znajdowano w ogromnych ilościach w skamielinach liczących ponad dwieście milionów lat. Obecnie występowała jedynie na podmokłych terenach Brazylii i Kolumbii. Jednak ten, kto zdecydował, by przenieść je w to miejsce, najwyraźniej nie wiedział, że w zarodnikach *veriformans* jest bardzo niebezpieczny alkaloid, beta–karbolina. Nawet jedno dotknięcie pięknych, zielonych liści mogło stać się przyczyną poważnych dolegliwości, a gdyby jakieś dziecko zjadło ich kilka, z pewnością skończyłoby się to jego śmiercią, gdyż trucizna, jaką zawierają, działa pięćdziesiąt razy silniej niż ta, którą ma w sobie oleander.

Ludzie są bardzo lekkomyślni, jeśli chodzi o rośliny – pomyślała Ellie. Kolekcjonują je kierując się wyłącznie ich wyglądem, tak jakby wybierali obraz na ścianę. Rzadko kiedy przyjdzie im do głowy, że rośliny są takimi samymi żywymi istotami jak oni, oddychającymi, trawiącymi, wydalającymi, rozmnażającymi się – a także broniącymi się przed niebezpieczeństwem.

Ellie doskonale wiedziała, że ewolucja roślin opierała się na takich samych zasadach współzawodnictwa jak ewolucja zwierząt, a czasem przebiegała nawet w jeszcze bardziej bezwzględny sposób. Trucizna, jaką zawierała *Serenna veriformans*, była niczym w porównaniu z bogactwem broni chemicznych, jakimi dysponowały rośliny. Należały do nich terpeny, którymi rośliny zatruwały otaczającą je glebę, niszcząc w ten sposób konkurentów; alkaloidy, chroniące je przed owadami; a także lotne substancje zapachowe, wykorzystywane jako nośnik informacji. Zaatakowana przez chrząszcze daglezja wydzielała odstraszającą substancję, a niemal jednocześnie z nią robiły to inne daglezje, nawet rosnące w odległej części lasu. Działo się tak dlatego, że drzewo, które pierwsze stało się obiektem ataku, alarmowało drogą chemiczną swoich towarzyszy.

Ludzie, postrzegający życie na Ziemi jako mozaikę ułożoną ze zwierząt poruszających się na tle zieleni, po prostu mylnie interpretowali to, co widzą. Zielone tło kipiało własnym życiem. Rośliny pięły się w górę, gięły się, skręcały i wiły, a wszystko po to, by wywalczyć dla siebie jak najwięcej słonecznych promieni, niektóre współżyły aktywnie ze zwierzętami, odstraszając jedne, zabijając inne, a

wabiąc następne, dzięki którym mogły się rozmnażać, gdyż zwierzęta te roznosiły w przewodzie pokarmowym ich zarodniki i nasiona. Był to bardzo złożony, dynamiczny proces, który Ellie obserwowała z nie słabnącą fascynacją, wiedząc, że większość ludzi po prostu go nie rozumie. Fakt rozsiania trujących paproci wokół basenu mógł świadczyć jedynie o tym, iż twórcy Parku nie zachowali we wszystkich dziedzinach należytej ostrożności.

– Czy to nie wspaniałe? – mówił dalej Ed Regis. – Jeśli spojrzycie prosto przed siebie, dostrzeżecie nasz domek myśliwski. – Ellie ujrzała niski, rozległy budynek z kilkoma szklanymi piramidami na dachu. – Tam właśnie zamieszkacie podczas pobytu w naszym Parku.

* * *

Ściany kwatery Granta zostały pomalowane na beżowo, a trzcinowe, wyścielane meble były ozdobione roślinnymi motywami. W pokoju prowadzono jeszcze ostatnie prace wykończeniowe; w szafie piętrzyła się sterta jakichś gratów, a na podłodze walały się kawałki przewodów elektrycznych. W kącie stał telewizor, na nim zaś kartka następującej treści:

kanał 2: Wyżyna hypsilofodontów
kanał 3: Terytorium triceratopsów
kanał 4: Bagno zauropodów
kanał 5: Królestwo drapieżników
kanał 6: Południowe tereny stegozaurów
kanał 7: Dolina welociraptorów
kanał 8: Szczyt pterozaurów

Nazwy wydały mu się intrygujące, ale zarazem irytujące. Włączył telewizor, lecz ekran wypełniły szaro–białe, migające plamy. Wyłączył odbiornik, przeszedł do sypialni i rzucił walizkę na łóżko. W suficie, dokładnie nad łóżkiem, znajdował się duży świetlik w kształcie piramidy. Patrząc na niego można było odnieść wrażenie, że jest się we wnętrzu namiotu albo że przebywa się na świeżym powietrzu, pod gwiazdami. Złudzenie to psuły jedynie solidne metalowe pręty wzmacniające szkło, których ostre cienie padały na łóżko.

Nagle Grant zamarł w bezruchu. Oglądał plany domku myśliwskiego, ale nie przypominał sobie, żeby zauważył na nich jakieś wzmocnienia świetlików. Pręty dodano zapewne później i dlatego niezbyt pasowały do całości. Po drugiej stronie szklanych tafli wbudowano solidną stalową ramę, a następnie przyspawano do niej kilkanaście prętów.

Zamyślony Grant wrócił do saloniku. Okno pokoju wychodziło prosto na basen.

– Aha, tak przy okazji: te paprocie są trujące – powiedziała Ellie, wchodząc do pomieszczenia. – Nie zauważyłeś niczego dziwnego, Alan?

– Zmienili plany budowli.

– Mnie też się tak wydaje. Okna są bardzo małe, szyby wzmocnione i osadzone w

stalowych ramach, drzwi dodatkowo obite blachą. Nie wiem, do czego to potrzebne. A zwróciłeś uwagę na ogrodzenie?

Grant skinął głową. Domek otoczony był ogrodzeniem ze stalowych prętów dwucentymetrowej średnicy. Co prawda pomalowano je na czarno, aby przypominały kute żelazo, ale nikt nie uczynił najmniejszego wysiłku, aby zamaskować ich grubość lub trzyipółmetrową wysokość całego ogrodzenia.

– Nie wydaje mi się, żeby ten płot znajdował się w oryginalnych planach – powiedziała Ellie. – Odnoszę wrażenie, jakby komuś bardzo zależało, żeby zamienić to miejsce w fortecę.

Grant zerknął na zegarek.

– Wkrótce będziemy mieli okazję zapytać dlaczego. Wycieczka zaczyna się za dwadzieścia minut.

Kiedy dinozaury władały Ziemią

Zebrali się w głównym budynku recepcyjnym. Miał dwa piętra i wzniesiono go niemal wyłącznie ze szkła oraz czarnych wsporników i dźwigarów. Grantowi wydawał się owocem najbardziej zaawansowanej technologii.

Znajdowało się tam małe audytorium, nad którym dominował mechaniczny *Tyrannosaurus rex*, stojący w groźnej pozie przy wejściu na wystawę zatytułowaną: „Kiedy dinozaury władały Ziemią". Dwie kolejne ekspozycje nosiły tytuły: „Co to jest dinozaur?" oraz „Świat mezozoiku", ale nie były jeszcze przygotowane na przyjęcie publiczności, gdyż brakowało niektórych eksponatów, a na podłodze leżała plątanina kabli elektrycznych. Gennaro wszedł na podwyższenie, po czym przemówił do Granta, Ellie i Malcolma. Jego głos odbijał się słabym echem od ścian pomieszczenia.

Hammond siedział z tyłu, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

– Niebawem wyruszymy na zwiedzanie całego kompleksu – powiedział Gennaro. – Jestem przekonany, że pan Hammond i jego załoga pokażą nam wszystko w jak najlepszym świetle, ale zanim wyruszymy w drogę, chciałbym w skrócie przypomnieć, dlaczego się tu znaleźliśmy, oraz powiedzieć, jaką decyzję muszę podjąć przed odlotem. Jak z pewnością zdążyliście się już zorientować, znajdujemy się na wyspie, na której odtworzonym dzięki inżynierii genetycznej dinozaurom dano możliwość bytowania w naturalnych warunkach, mając nadzieję, że staną się atrakcją przyciągającą rzesze turystów. Inwestycja nie jest jeszcze gotowa, ale powinna zostać ukończona w ciągu najbliższego roku.

Pytania, które chcę wam zadać, są bardzo proste: czy wyspa nie stwarza żadnych zagrożeń? Czy jest bezpieczna dla gości i czy przebywające na niej dinozaury są skutecznie oddzielone od świata zewnętrznego? – Gennaro wyłączył oświetlenie audytorium. – Poszukując na nie odpowiedzi, musimy uwzględnić dwa fakty. Mam na myśli przede wszystkim odkrycie doktora Granta, który zidentyfikował w kontynentalnej Kostaryce nie znanego do tej pory dinozaura. Stało się to w lipcu tego roku, bezpośrednio po tym, jak ów dinozaur zaatakował małą dziewczynkę. Później doktor Grant powie wam nieco więcej na ten temat. Poprosiłem, aby przysłano nam jedyny zachowany fragment tego zwierzęcia, który obecnie znajduje się w laboratorium w Nowym Jorku, abyśmy mogli dokładnie mu się przyjrzeć. Tymczasem zajmiemy się drugim faktem.

Kostaryka ma doskonale zorganizowaną służbę zdrowia, dysponującą sprawnie działającym systemem informacyjnym. Poczynając od marca, do szpitali i punktów pierwszej pomocy zaczęły napływać informacje o niemowlętach dotkliwie pogryzionych przez nie zidentyfikowane jaszczurki. Przypadki pogryzień trafiały się także wśród dorosłych. Zwierzęta owe pojawiały się wyłącznie w nadmorskich wioskach, na odcinku wybrzeża od Ismaloyi do Puntarenas. Po pewnym czasie informacje o ugryzieniach przestały napływać, ale w Ministerstwie Zdrowia w San

José udało mi uzyskać wykres obrazujący śmiertelność niemowląt na zachodnim wybrzeżu Kostaryki w pierwszych siedmiu miesiącach tego roku.

ŚMIERTELNOŚĆ NIEMOWLĄT

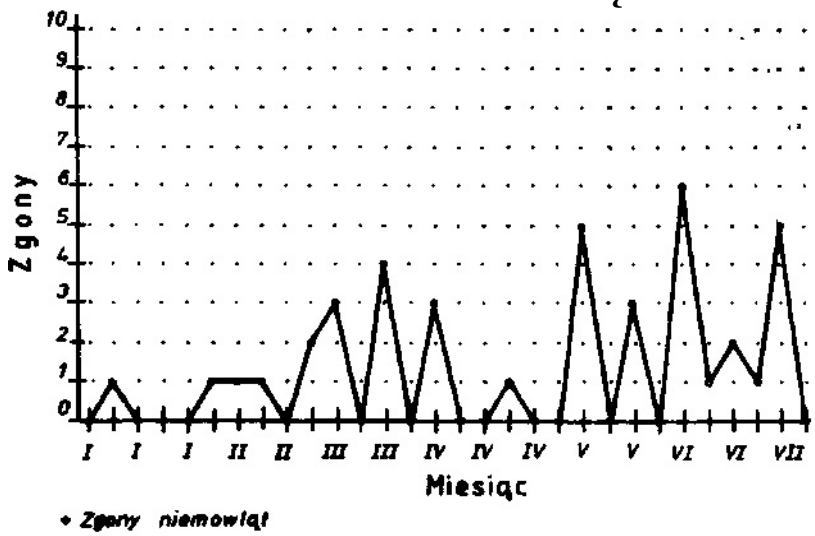

– Chciałbym zwrócić waszą uwagę na dwie charakterystyczne cechy tego wykresu – ciągnął Gennaro. – Po pierwsze, w styczniu i lutym śmiertelność niemowląt jest bardzo niska, wzrasta w marcu, by ponownie spaść w kwietniu. Jednak od maja aż do lipca – przypominam, że amerykańska dziewczynka została zaatakowana właśnie w lipcu – osiąga nie notowaną wcześniej wysokość. Ministerstwo Zdrowia uważa, że pojawił się jakiś nowy czynnik, jeszcze nie zidentyfikowany przez lekarzy i pielęgniarki pracujących w nadmorskich miejscowościach. Drugą charakterystyczną cechą są tajemnicze wahania liczby zgonów w cyklu dwutygodniowym, sugerujące, że ów czynnik oddziałuje ze zmienną aktywnością. – W sali ponownie zapaliły się światła. – To wszystko – zakończył Gennaro. – Czy są jakieś...

– Myślę, że możemy zaoszczędzić sobie mnóstwo fatygi – odezwał się łan Malcolm. – Wyjaśnię wam wszystko już teraz.

– Naprawdę? – zdziwił się Gennaro.

– Oczywiście. Po pierwsze, wiele wskazuje na to, że zwierzętom udało się w jakiś sposób uciec z wyspy.

– Bzdura! – prychnął Hammond z jednego z tylnych rzędów.

– A po drugie, prawie na pewno nie ma to nic wspólnego z wykresem sporządzonym przez Ministerstwo Zdrowia Kostaryki.

– Skąd pan wie? – zapytał Grant.

– Zwróćcie uwagę, że krzywa waha się między stanami niskimi a wysokimi. Jest to charakterystyczna cecha wielu złożonych systemów. Weźmy na przykład wodę kapiącą z kranu; jeżeli odkręcimy trochę kurek, krople będą padały jedna za drugą, cały czas w tym samym tempie. Jeżeli jednak odkręcimy go jeszcze bardziej, pojawią się pewne zaburzenia w przepływie wody, co sprawi, że niektóre krople będą duże, inne małe, a odstępy między nimi nieregularne: kap kap... kap... kap kap kap... Coś w tym rodzaju. Możecie się o tym sami przekonać. Zawirowania powodują nieprzewidywalne zmiany, to pewnik. A taki wykres, jaki teraz widzimy, można by

narysować dla każdej nowej choroby rozprzestrzeniającej się w społeczeństwie.

– Ale na jakiej podstawie opiera pan swoje twierdzenie, że nie ma to nic wspólnego z dinozaurami, którym udało się uciec z wyspy? – zapytał Grant.

– Dlatego, że mamy do czynienia ze zjawiskiem nieliniowym – odparł Malcolm. – Żeby je wywołać, musiałoby uciec kilkaset dinozaurów, a nie sądzę, żeby było to możliwe. Wnioskuję stąd, że zmiany przedstawione na wykresie powoduje jakieś inne zjawisko – na przykład nowy wirus grypy, albo coś w tym rodzaju.

– Uważa pan jednak, że dinozaurom udało się uciec? – wtrącił się Gennaro.

– Najprawdopodobniej tak.

– Dlaczego pan tak myśli?

– Bo widzę, co próbujecie tu zrobić. Staracie się odtworzyć na tej wyspie fragment naturalnego środowiska sprzed milionów lat. Chcecie zbudować odizolowany świat, w którym mogłyby żyć dawno wymarłe zwierzęta. Zgadza się?

– Owszem.

– Otóż, z mojego punktu widzenia, jest to całkowicie niemożliwe. W tym przypadku rachunek jest tak oczywisty, że nie trzeba nawet przeprowadzać żadnych obliczeń. To tak, jakbym was zapytał, czy zarabiając miliard dolarów rocznie musicie płacić podatek. Chyba nie wyciągalibyście kalkulatora, żeby to sprawdzić? Opierając się dokładnie na tej samej zasadzie mogę wam powiedzieć, że nie uda się w ten sposób odtworzyć nie istniejącej rzeczywistości, a tym bardziej odizolować jej od reszty świata.

– Dlaczego? Przecież są ogrody zoologiczne...

– Ogrody zoologiczne nie odtwarzają rzeczywistości. One jedynie trochę ją modyfikują, aby utrzymać zwierzęta w zamknięciu, ale nawet to często kończy się niepowodzeniem i zwierzętom udaje się wyniknąć na wolność. Jednak ten park nie jest wzorowany na ogrodzie zoologicznym. Zakładając go starano się osiągnąć znacznie bardziej ambitny cel: była to prawie próba utworzenia stacji kosmicznej na Ziemi.

Gennaro potrząsnął głową.

– Nie rozumiem.

– To bardzo proste. Z wyjątkiem powietrza, które dociera wszędzie bez żadnych ograniczeń, każda rzecz w Parku miała znaleźć się w całkowitej izolacji. Nic nie dostaje się do środka, nic me może wydostać się na zewnątrz. Tutejszym zwierzętom nie wolno włączyć się w żaden z wielkich ekosystemów Ziemi. Nie wolno im stąd uciec.

– I nigdy nie uciekły! – parsknął Hammond.

– Taka izolacja jest niemożliwa – odparł spokojnie matematyk. – Tego po prostu nie da się zrobić.

– Przeciwnie. Robimy to przez cały czas.

– Proszę mi wybaczyć, ale wydaje mi się, że nie wiesz, o czym mówisz.

– Ty arogancki smarkaczu!

Hammond zerwał się z miejsca i wyszedł z audytorium.

– Panowie, panowie... – przemówił Gennaro uspokajającym tonem.

– Przykro mi, ale prawda pozostaje prawdą – powiedział Malcolm. – To, co nazywamy „naturą”, jest w gruncie rzeczy bardzo złożonym systemem o większej skali komplikacji, niż możemy to sobie wyobrazić. Na własny użytek tworzymy uproszczony model tego systemu, a potem staramy się go byle jak naprawić. Nie jestem ekologiem, ale wy wszyscy musicie wreszcie zrozumieć to, czego nie chcecie pojąć. Ile razy trzeba powtarzać te same argumenty? Ile razy trzeba prezentować te same dowody? Zbudowaliśmy Tamę Asuańską twierdząc, że pozwoli nawodnić ogromne obszary. Tymczasem niezwykle żyzna delta Nilu zamienia się powoli w pustynię, szkodniki niszczą zbiory, a gospodarka Egiptu chyli się ku upadkowi. Zbudowaliśmy...

– Przepraszam, ale wydaje mi się, że słyszę śmigłowiec – przerwał mu Gennaro. – Prawdopodobnie przywiózł resztki okazu znalezionego przez doktora Granta.

Wyszedł z sali, a za nim wszyscy zebrani.

* * *

Gennaro stał u podnóża góry i wrzeszczał co sił w płucach, starając się przekrzyczeć warkot śmigłowca.

– Że co?! Kogo zaprosiłeś?!

– Uspokój się – odparł Hammond.

– Zupełnie ci odbiło?!

– Posłuchaj no – powiedział Hammond, prostując się z godnością. – Myślę, że powinniśmy wyjaśnić sobie kilka...

– Nie, to ty posłuchaj! – przerwał mu Gennaro. – Zrozum, że to nie jest szkolna wycieczka ani popołudniowa herbatka u cioci, i...

– To moja wyspa – wpadł mu w słowo Hammond. – Mogę tu zapraszać kogo zechcę.

– A ja prowadzę na twojej wyspie bardzo poważne śledztwo, ponieważ inwestorzy obawiają się, że sytuacja może wymknąć się spod kontroli. Uważamy, że zrobiło się tu bardzo niebezpiecznie, więc...

– Nie uda ci się zawiesić prac, Donaldzie.

– Na pewno zrobię to, jeżeli uznam za konieczne.

– Tu jest całkowicie bezpiecznie, nie słuchaj tego, co wygaduje ten postrzelony matematyk.

– Obawiam się jednak, że nie.

– Dowiodę ci, iż mam rację.

– A ja chcę, żebyś wsadził je z powrotem do tego śmigłowca! – wrzasnął Gennaro.

– Nie mogę – odparł Hammond, wskazując w górę. – Już odleciał.

Rzeczywiście, huk silnika wyraźnie przycichł.

– Niech to szlag trafi! – wybuchnął Gennaro. – Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że niepotrzebnie ryzykujesz życiem swoich...

Hammond nie pozwolił mu dokończyć.

– Daj spokój. Porozmawiamy o tym później. Nie chcę niepokoić dzieci.

Grant odwrócił się i ujrzał Eda Regisa zbliżającego się stromą ścieżką w towarzystwie dwojga dzieci: mniej więcej jedenastoletniego chłopca w okularach i młodszej o kilka lat dziewczynki z jasnymi włosami upchniętymi pod baseballową czapeczką i przewieszoną przez ramię baseballową rękawicą. Dzieci szły dziarskim krokiem, by po chwili zatrzymać się w pewnej odległości przed czekającymi na nie mężczyznami.

– Cholera... – jęknął Gennaro.

– Tylko spokojnie – ostrzegł go Hammond. – Ich rodzice właśnie się rozwodzą, więc chcę, żeby spędziły tu przyjemny weekend.

Dziewczynka podniosła rękę.

– Cześć, dziadku – powiedziała. – Jesteśmy.

Wycieczka

Tim Murphy natychmiast zorientował się, że coś jest nie w porządku. Dziadek najwyraźniej posprzeczał się ze stojącym obok niego młodszym mężczyzną o nabiegłej krwią twarzy. Pozostali dorośli, zgromadzeni w pewnej odległości, wydawali się niezbyt pewni siebie i jakby czymś zażenowani. Alexis także wyczuła napięcie, ponieważ stała jak wrośnięta w ziemię, podrzucając baseballową piłeczkę. Musiał ją pchnąć, żeby zrobiła krok naprzód.

– Chodź, Lex.

– Sam sobie idź, Timmy.

– Nie bądź taki robal.

Spiorunowała go spojrzeniem, ale właśnie wtedy Ed Regis powiedział wesoło:

– Najpierw przedstawię was wszystkim, a potem pojedziemy na wycieczkę.

– Muszę iść do toalety – poinformowała go Alexis.

– Najpierw was przedstawię.

– Kiedy ja naprawdę muszę.

Ale Ed Regis nie słuchał. Najpierw zaprowadził dzieci do dziadka, który ucałował oboje, a następnie przedstawił je stojącemu obok, mocno zbudowanemu mężczyźnie, który nazywał się Gennaro. Potem nastąpiło ogromne zamieszanie, w którym kolejne nazwiska ginęły jak we wzburzonej wodzie. Tim podawał po kolei rękę jasnowłosej kobiecie w szortach, brodatemu mężczyźnie w dżinsach i hawajskiej koszuli, który wyglądał jak ktoś, kto spędza mnóstwo czasu na świeżym powietrzu, jakiemuś tłuściochowi, który miał coś wspólnego z komputerami, a wreszcie szczupłemu mężczyźnie ubranemu na czarno, który nie uścisnął mu dłoni, tylko skinął głową. Chłopiec starał się uporządkować wrażenia, gapiąc się na nogi blondynki, kiedy nagle uświadomił sobie, że wie, kim jest brodaty mężczyzna.

– Masz otwartą buzię – poinformowała go Lex.

– Znam go – powiedział Tim.

– Jasne. Właśnie przed chwilą go poznałeś.

– Nie, mam jego książkę.

– Co to za książka, Tim? – zapytał brodacz.

– „Zaginiony świat dinozaurów”.

Alexis prychnęła pogardliwie.

– Tatuś mówi, że dinozaury rzuciły się Timowi na mózg.

Tim prawie jej nie słyszał, gdyż pośpiesznie starał się przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o Alanie Grancie. Grant należał do gorących zwolenników teorii, według której dinozaury były stałocieplnymi zwierzętami. Prowadził liczne prace wykopaliskowe na tak zwanym Wzgórzu Jaj w Montanie, gdzie znaleziono mnóstwo jaj dinozaurów. To właśnie on odnalazł większość z nich. Był także dobrym rysownikiem i sam ilustrował niektóre swoje książki.

– Dinozaury rzuciły mu się na mózg? – powtórzył brodaty mężczyzna. – Szczerze

mówiąc, ja mam ten sam problem.

– Tatuś zawsze powtarza, że to głupota, i że Tim powinien częściej wychodzić na dwór i uprawiać jakiś sport – powiedziała Lex.

Chłopcu zrobiło się głupio.

– Zdaje się, że chciałaś iść do toalety – przypomniał siostrze.

– Zaraz – odparła Lex.

– Przed chwilą bardzo ci się śpieszyło.

– Chyba sama wiem najlepiej, dokąd mi się śpieszy, a dokąd nie, prawda, Timothy? – zapytała, stając w rozkroku z rękami opartymi na biodrach. Naśladowała w ten sposób najbardziej irytujący gest swojej matki.

– Coś wam powiem – zaproponował Ed Regis. – Może wszyscy pójdziemy teraz do głównego budynku i od razu udamy się na wycieczkę?

Grupa ruszyła we wskazanym kierunku. Tim usłyszał, jak Gennaro szepnął do jego dziadka:

– Powinienem cię za to zabić!

Kiedy w chwilę potem podniósł głowę, przekonał się, że obok niego idzie doktor Grant.

– Ile masz lat, Tim?

– Jedenaście.

– A od jak dawna interesujesz się dinozaurami?

Tim przełknął ślinę.

– Od dość dawna. – Czuł się trochę niepewnie rozmawiając ze słynnym uczonym. – Czasem chodzimy do muzeum, kiedy uda mi się namówić rodzinę. To znaczy, przede wszystkim mojego tatę.

– Tata ma inne zainteresowania?

Chłopiec skinął głową, po czym opowiedział Grantowi o ostatniej rodzinnej wycieczce do Muzeum Historii Naturalnej. Ojciec popatrzył wtedy na jeden ze szkieletów i powiedział:

– Ale duży!

– Wcale nie, tato – odparł Tim. – To *Camptosaurus*. Był raczej średnich rozmiarów.

– Bo ja wiem... Mnie się wydaje duży.

– Ten nawet nie był dorosły.

Ojciec skrzywił się, patrząc na szkielet.

– Z jakiej on jest epoki? Z jury?

– Coś ty, tato! To kreda.

– Kreda? A jaka jest różnica między jurą a kredą?

– To dwie zupełnie inne epoki, a każda z nich liczyła jakieś czterdzieści milionów lat – wyjaśnił Tim.

– Kreda była dawniej?

– Nie, tato. Dawniej była jura.

– Taak... – mruknął ojciec, po czym odsunął się dwa kroki do tyłu. – Jest naprawdę cholernie duży. – Następnie spojrzał na syna, oczekując potwierdzenia.

Tim wiedział, że nie ma innego wyjścia, jak tylko przyznać ojcu rację, więc wymamrotał coś pod nosem. Zaraz potem przeszli do kolejnego eksponatu.

Tim przez bardzo długi czas stał przed szkieletem tyranozaura, jednego z największych drapieżników, jaki kiedykolwiek żył na Ziemi.

– Na co tak się gapisz? – zapytał wreszcie ojciec.

– Liczę kręgi – odparł Tim.

– Kręgi?

– W kręgosłupie.

– Wiem, co to są kręgi! – warknął rozeźlony ojciec. Przez chwilę stał w milczeniu, po czym zapytał: – Dlaczego je liczysz?

– Wydaje mi się, że ktoś się pomylił. *Tyrannosaurus rex* powinien mieć tylko trzydzieści siedem kręgów ogonowych, a ten ma więcej.

– Chcesz mi powiedzieć, że w Muzeum Historii Naturalnej stoi błędnie zrekonstruowany szkielet? – zapytał ojciec. – Nie wierzę.

– Kiedy to prawda, tato.

Ojciec podszedł do strażnika stojącego w kącie sali.

– Co tym razem narobiłeś? – zapytała matka.

– Nic – odparł Tim. – Powiedziałem tylko, że w tym szkielecie jest błąd.

Po chwili ojciec wrócił z zabawną miną, ponieważ strażnik poinformował go, że tyranozaur ma za dużo kręgów w ogonie.

– Skąd o tym wiedziałeś? – zapytał ojciec.

– Przeczytałem.

– To naprawdę zdumiewające, synu – powiedział ojciec, kładąc mu rękę na ramieniu. – Wiesz, ile kręgów powinien mieć w ogonie dinozaur. Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Te dinozaury naprawdę rzuciły ci się na mózg.

A potem stwierdził, że chciałby obejrzeć w telewizji drugą połowę meczu. Lex dodała, że ona także, w związku z czym cała rodzina opuściła muzeum i Tim nie obejrzał innych dinozaurów, tych, na których najbardziej mu zależało. Ale tak to już jest w jego rodzinie.

Tak było w jego rodzinie – poprawił się w myślach. Teraz, kiedy rodzice się rozwiodą, zapewne wszystko będzie wyglądało zupełnie inaczej. Ojciec już wyprowadził się z domu i choć początkowo Tim czuł się trochę dziwnie, to teraz zdążył już się przyzwyczaić. Przypuszczał, że matka ma jakiegoś przyjaciela, ale nie był tego pewien, a nawet gdyby był, to nigdy nie wspomniałby o tym ani słowem swojej siostrze. Lex bardzo przeżyła rozstanie z ojcem, a w ostatnich tygodniach zrobiła się tak okropna, że aż...

– Czy to był 5027? – zapytał Grant.

– Proszę?

– Ten tyranozaur w muzeum. Czy miał numer 5027?

– Tak. A skąd pan wie?

Grant uśmiechnął się.

– Od paru lat mają go poprawić, ale teraz chyba dadzą sobie spokój.

– Dlaczego?

– Z powodu tego, co się dzieje tutaj, na wyspie twojego dziadka.

Tim pokręcił głową. Nie wiedział, co Grant ma na myśli.

– Mama powiedziała, że to zwyczajny ośrodek wypoczynkowy. Wie pan, z basenami, kortami tenisowymi, i w ogóle...

– Niezupełnie – odparł paleontolog. – Wytłumaczę ci po drodze.

A teraz zostałem cholerną opiekunką do dziecka – pomyślał z rezygnacją Ed Regis, czekając na gości w głównym budynku. „Masz pilnować moich wnucząt jak oka w głowie", powiedział mu Hammond. „Jesteś za nie odpowiedzialny".

Edowi wcale się to nie podobało. Czuł się tak, jakby został zdegradowany. Nie był przecież ani przedszkolanką, ani jakimś zwariowanym przewodnikiem, nawet dla VIP–ów, tylko szefem reklamy i zarazem rzecznikiem prasowym Parku. Do chwili otwarcia pozostał zaledwie rok, a on miał jeszcze mnóstwo pracy. Sama tylko koordynacja poczynań agencji reklamowych z San Francisco, Londynu, Nowego Jorku i Tokio wymagała harówki przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, tym bardziej że żadnej z nich nie wolno było ujawnić, na czym ma polegać główna atrakcja wyspy. Agencje przygotowywały jedynie ramówki standardowych kampanii reklamowych i wcale nie były tym zachwycone. Ludzie o twórczych umysłach wymagają coraz to nowych bodźców, zmuszających ich do podejmowania ambitnych zadań. Ed nie mógł sobie pozwolić na oprowadzanie turystów po Parku.

Jednak na tym właśnie polega największy problem tych, którzy poświęcili się działalności w *public relations*: nikt nie uważa ich za zawodowców. Regis już od siedmiu miesięcy pojawiał się dość często na wyspie i za każdym razem przydzielano mu jakąś niewdzięczną robotę. Tak jak choćby w styczniu. Tamtą sprawą powinien był zająć się Harding albo nawet Owens, główny wykonawca, a tymczasem wszystko zwaliło się na Regisa. Co mógł wiedzieć o udzielaniu pierwszej pomocy rannemu robotnikowi? Teraz, dla odmiany, został przewodnikiem turystycznym i piastunką.

Odwrócił się i policzył głowy. Brakowało jednej. W chwilę potem doktor Sattler wyszła z łazienki i dołączyła do grupy.

– W porządku. Proponuję, żebyśmy zaczęli zwiedzanie od pierwszego piętra.

Tim trzymał się blisko Regisa, wspinając się wraz z innymi po metalowych, podwieszonych schodach prowadzących na piętro. Przy wejściu do korytarza znajdowała się tabliczka z ostrzegawczym napisem:

TEREN ZAMKNIĘTY
NIE UPOWAŻNIONYM
WSTĘP WZBRONIONY

Przez ciało chłopca przebiegł dreszcz emocji. Wycieczka szła korytarzem, którego jedną ścianę stanowiła szklana tafla, pozwalająca podziwiać wysokie, spowite rzadką mgłą palmy, w drugiej ścianie zaś znajdowały się drzwi oznaczone czarnymi napisami: STRAŻNIK PARKU... OBSŁUGA TURYSTÓW... KIEROWNIK...

W połowie korytarza napotkali szklane przepierzenie z dużym, rzucającym się w oczy znakiem:

Poniżej widniały jeszcze inne napisy:

UWAGA

OBECNOŚĆ SUBSTANCJI TERATOGENNYCH
CIĘŻARNYM KOBIETOM ZALECA SIĘ OGRANICZENIE
CZASU PRZEBYWANIA NA TYM TERENIE

NIEBEZPIECZEŃSTWO

RADIOAKTYWNE IZOTOPY
ZWIĘKSZONE RYZYKO
WYSTĘPOWANIA CHORÓB NOWOTWOROWYCH

Podniecenie Tima rosło z każdą chwilą. Substancje teratogenne! Takie, po których rodzą się potwory! Oczekiwał w napięciu na ciąg dalszy, ale spotkało go okrutne rozczarowanie, gdyż Ed Regis powiedział:

– Nie przejmujcie się tymi ostrzeżeniami. Umieściliśmy je tylko dlatego, że takie są przepisy. Możecie mi wierzyć, nikomu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. – Wszedł pierwszy. Po drugiej stronie drzwi stał wartownik. – Być może już zauważyliście, że nie mamy zbyt licznego personelu. Naturalnie po otwarciu zatrudnimy więcej ludzi, ale na razie jest ich tylko dwudziestu. Oto nasza dyspozytornia. Stąd kierujemy działaniem całego Parku.

Zwiedzający zatrzymali się przed oknami, za którymi znajdowała się niewielka, pogrążona w półmroku salka, przypominająca miniaturową wersję Centrum Kontroli Lotów Kosmicznych w Houston. Na pionowej szybie widniała ogromna mapa parku, a przed nią stało kilka foteli oraz komputerowych terminali. Na niektórych ekranach widać było jakieś dane, większość jednak pokazywała obrazki z różnych części parku. W pomieszczeniu stali dwaj zajęci rozmową mężczyźni.

– Ten po lewej to nasz główny inżynier, John Arnold. – Regis wskazał na szczupłego, palącego papierosa człowieka w koszuli z krótkim rękawem i krawacie. – Ten drugi to strażnik zwierzyny, Robert Muldoon, słynny myśliwy z Nairobi. –

Muldoon był krzepkim mężczyzną w spodniach i koszuli w kolorze khaki. Z kieszeni na piersi wystawały mu okulary przeciwsłoneczne. Spojrzał w kierunku grupki stojącej w korytarzu, skinął głową, po czym natychmiast wrócił do przerwanej rozmowy. – Jestem pewien, że chcielibyście zwiedzić to pomieszczenie – powiedział Ed Regis – ale najpierw pokażę wam, w jaki sposób uzyskujemy DNA dinozaurów.

Napis na drzwiach głosił: EKSTRAKCJE, same drzwi zaś – tak jak wszystkie w budynku – miały zainstalowany czytnik kart magnetycznych. Ed Regis wsunął kartę w szczelinę, światełko zamigotało i drzwi otworzyły się.

Tim ujrzał niewielki pokój skąpany w zielonym świetle. Czterej technicy w laboratoryjnych fartuchach oglądali preparaty pod dużymi, dwuokularowymi mikroskopami lub studiowali obrazy widoczne na monitorach o wysokiej rozdzielczości. Dokoła leżało mnóstwo żółtych kamieni. Były wszędzie: na szklanych półkach, w kartonowych pudłach i na metalowych tackach. Każdy kamień miał swoją etykietkę i numer wypisany czarnym tuszem.

Regis przedstawił im Henry'ego Wu, szczupłego, trzydziestokilkuletniego mężczyznę.

– Doktor Wu jest naszym głównym genetykiem. On najlepiej wyjaśni wam, czym się tu zajmujemy.

Henry Wu uśmiechnął się.

– W każdym razie na pewno spróbuję – powiedział. – Genetyka to dość skomplikowana dziedzina wiedzy. Założę się jednak, że zastanawialiście się państwo, skąd bierzemy DNA dinozaurów.

– Rzeczywiście – przyznał mu rację Grant.

– Otóż istnieją dwa dostępne źródła. My uzyskujemy DNA bezpośrednio z kości dinozaurów, dokonując ekstrakcji antyciał techniką Loya.

– Jaka jest skuteczność tej metody? – zapytał Grant.

– Cóż, najłatwiej rozpuszczalne proteiny ulegają zniszczeniu w wyniku skamienienia, ale po dokładnym zmieleniu kości i zastosowaniu techniki Loya odzyskujemy około dwudziestu procent. Doktor Loy po raz pierwszy zastosował tę metodę w celu wyodrębnienia protein wymarłych australijskich torbaczy oraz komórek krwi z ludzkich szczątków. Pozytywne efekty można uzyskać nawet wówczas, gdy się ma do dyspozycji zaledwie pięćdziesiąt nanogramów materiału, czyli pięćdziesiąt miliardowych części grama.

– Więc wykorzystujecie wyłącznie tę metodę?

– Jedynie jako technikę pomocniczą – odparł Wu. – Jak z pewnością zdajecie sobie państwo sprawę, dwudziestoprocentowa skuteczność to dla nas za mało. Żeby przeprowadzić proces klonowania, musimy dysponować całym wzorem DNA, który uzyskujemy stąd. – Wziął do ręki jeden z żółtych kamieni. – Z bursztynu, czyli skamieniałej żywicy prehistorycznych drzew.

Grant spojrzał najpierw na Ellie, a potem na Malcolma.

– Bardzo sprytne – przyznał matematyk, kiwając głową.

– A ja nadal nic nie rozumiem – powiedział Grant.

– Płynna żywica często staje się śmiertelną pułapką dla owadów, które są w niej

zachowane w nienaruszonym stanie – wyjaśnił Wu. – W bursztynie można znaleźć mnóstwo przeróżnych owadów, w tym także te, które żywiły się krwią zwierząt.

– Krwią zwierząt... – powtórzył Grant, po czym wybałuszył oczy na mężczyznę w białym fartuchu. – Ma pan na myśli krew dinozaurów?

– Owszem.

– A ponieważ owady przetrwały do naszych czasów w nienaruszonym stanie... – Grant umilkł na chwilę, a następnie potrząsnął głową. – Niech mnie licho, to może działać!

– Zapewniam pana, że to naprawdę działa. – Wu podszedł do mikroskopu, pod którego okularem jeden z techników umieścił właśnie kawałek bursztynu z uwięzioną muchą. Na ekranie monitora wszyscy mogli obserwować, jak cienka igła przebija się przez warstwę skamieniałej żywicy i zagłębia się w odwłoku owada. – Jeżeli w ciele tej muchy znajdują się jakieś obce komórki krwi, być może uda nam się je wyodrębnić, a następnie uzyskać z nich paleo–DNA, czyli DNA dawno wymarłego zwierzęcia. Rzecz jasna, pewność można mieć dopiero po przeprowadzeniu dokładnych badań. Zajmujemy się tym już od pięciu lat. To długa i żmudna praca, ale przyniosła pożądane efekty.

Szczerze mówiąc, posługując się tą metodą znacznie łatwiej jest uzyskać DNA dinozaurów niż na przykład ssaków. Wynika to z faktu, że czerwone ciałka krwi ssaków nie mają jądra, a tym samym nie zawierają DNA. Po to, by sklonować ssaka, trzeba najpierw odnaleźć przynajmniej jedno białe ciałko, a białych ciałek jest przecież znacznie mniej niż czerwonych. Jednak dinozaury, podobnie jak żyjące obecnie ptaki, mają czerwone ciałka z jądrami komórkowymi. Jest to jedna z przesłanek przemawiających za hipotezą, że dinozaury wcale nie były gadami, tylko wielkimi, pozbawionymi piór ptakami.

Tim bez trudu dostrzegł, że doktor Grant nie wygląda na całkowicie przekonanego, Dennis Nedry – ten niechlujny, otyły mężczyzna – nie przejawiał ani odrobiny zainteresowania, jakby już o tym wszystkim wiedział, i zerkał niecierpliwie w kierunku następnego pomieszczenia.

– Zdaje się, że pan Nedry dostrzegł miejsce, gdzie odbywa się drugi etap naszej pracy – powiedział Wu. – Polega on na identyfikacji uzyskanego DNA. W tym celu posługujemy się potężnymi komputerami.

Przeszli przez rozsuwane drzwi do sąsiedniego pokoju. Panowała w nim znacznie niższa temperatura oraz rozlegało się wyraźne, jednostajne buczenie. Na środku pomieszczenia stały dwie okrągłe, wysokie, niemal dwumetrowe wieże, pod ścianami zaś umieszczono rzędy sięgających do pasa pudeł z nierdzewnej stali.

– Oto nasz automat pralniczy najnowszej generacji – powiedział doktor Wu. – Skrzynie, które widzicie państwo przy ścianach, to automatyczne sekwensery genów sterowane z ogromną prędkością przez superkomputery cray XMP. To te dwie wieże na środku pokoju. W gruncie rzeczy znajdujecie się państwo teraz w samym sercu fabryki genów dysponującej wręcz niewiarygodnym potencjałem.

W pomieszczeniu ustawiono także kilka monitorów, ale obrazy na ich ekranach zmieniały się tak szybko, iż nie sposób było stwierdzić, co przedstawiają. Wu nacisnął jakiś klawisz i obraz na jednym z monitorów znieruchomiał.

– Widzicie państwo przed sobą strukturę niewielkiego fragmentu DNA dinozaura – wyjaśnił Wu. – Proszę zwrócić uwagę, iż tworzą go cztery podstawowe składniki: adenina, tymina, guanina oraz cytozyna. Instrukcje zawarte w tym kawałeczku DNA być może wystarczyłyby do utworzenia jednego białka – na przykład hormonu lub enzymu. Cały łańcuch DNA zawiera trzy miliardy nukleotydów, trzy miliony takich sekwencji. Gdybyśmy przez osiem godzin dziennie patrzyli w ekran, na którym obrazy takie jak ten zmieniałyby się co sekundę, obejrzenie całego zapisu DNA zajęłoby nam ponad sto dni. – Wskazał na monitor. – Mamy przed sobą typowy przykład, ponieważ zapis DNA zawiera błąd – tu, na dole, w linii 1201. Takie błędy i braki zdarzają się bardzo często. Dlatego właśnie przede wszystkim musimy to naprawić, nie tyle my, co komputer. Potnie DNA na mniejsze fragmenty, wykorzystując tak zwane enzymy restrykcyjne. On sam wybierze te, które najlepiej nadadzą się do wykonania zadania.

– Oto ten sam fragment DNA, z zaznaczonymi miejscami wyznaczonymi przez

enzymy restrykcyjne. Zazwyczaj pozwalamy komputerom podjąć decyzję, ale musimy także wiedzieć, jakie pary podstawowe należy wstawić, aby naprawić uszkodzenie. W tym celu trzeba porównać kilka mniejszych fragmentów.

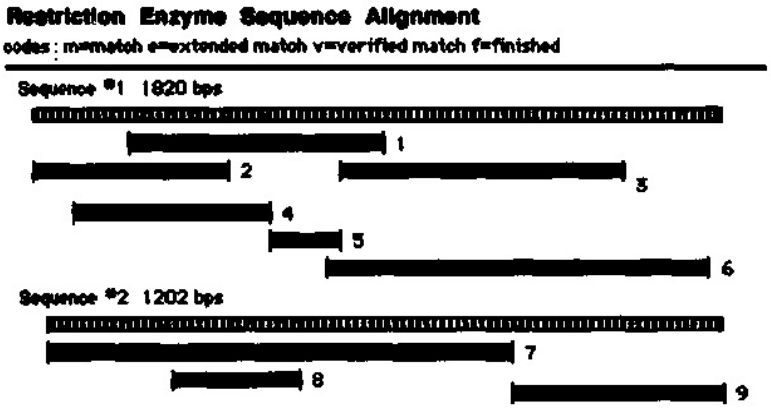

Teraz szukamy wystarczająco dużego fragmentu DNA, dzięki któremu będziemy mogli ustalić, czego właściwie brakuje. Jeżeli go znajdziemy, będziemy mogli dokonać naprawy. Te ciemne kreski, które widzicie państwo na ekranie, to maleńkie kawałeczki DNA dinozaurów, rozbite przez enzymy i poddane dokładnej analizie. Komputer składa je teraz ponownie, szukając powtarzających się fragmentów kodu. Przypomina to trochę puzzle, tyle tylko, że komputer robi to z ogromną prędkością.

Oto odtworzony przez komputer fragment DNA. Operacja, której byliście państwo świadkami, w tradycyjnym laboratorium trwałaby kilka miesięcy, ale my potrzebujemy na nią zaledwie kilku sekund.

– Zajmujecie się całym łańcuchem DNA? – zapytał Grant.

– Skądże znowu – odparł Wu. – To niemożliwe. Co prawda poczyniliśmy znaczne postępy w porównaniu z latami sześćdziesiątymi, kiedy zespół uczonych potrzebowałby aż czterech lat na odszyfrowanie fragmentu, który widzicie państwo na ekranie, ale i tak cząsteczka DNA jest dla nas jeszcze zbyt duża. Sprawdzamy tylko te odcinki, gdzie są zapisane różnice między poszczególnymi gatunkami lub które wyglądają inaczej niż DNA współcześnie żyjących zwierząt. Jest ich bardzo niewiele, ale i tak mamy z tym huk pracy.

Dennis Nedry ziewnął rozdzierająco. Już dawno domyślał się, że InGen robi właśnie coś w tym rodzaju. Kilka lat temu, kiedy korporacja zleciła mu przygotowanie systemu komputerowego sterującego działaniem Parku, zamówiła bazę danych o pojemności $3x10^9$ pól. Nedry uznał to za pomyłkę i zadzwonił do Palo Alto, aby wyjaśnić nieporozumienie, ale tam powiedziano mu, że wszystko się zgadza. Trzy miliardy pól.

Nedry opracował już sporo dużych systemów, a wysoką pozycję w zawodzie zdobył głównie dzięki organizowaniu światowych sieci telekomunikacyjnych dla międzynarodowych koncernów. Systemy te częstokroć miały po kilka milionów pól. Zdążył się już do tego przyzwyczaić, ale InGen żądała czegoś wielokrotnie większego...

Oszołomiony tym Nedry udał się po radę do Barneya Fellowsa z Symbolics, firmy mającej siedzibę w pobliżu MIT w Cambridge.

– Barney, jaka baza danych ma aż trzy miliardy pól?

– To jakaś pomyłka – odparł z uśmiechem Barney. – Pewnie dopisali jedno albo dwa zera.

– Wcale nie. Sprawdziłem. Właśnie tego chcą.

– Ale to przecież szaleństwo! Coś takiego nie może się udać. Nawet gdybyś dysponował najszybszymi procesorami i algorytmami, przeszukiwanie takiej bazy zajęłoby kilka dni, a może nawet tygodni.

– Wiem o tym. Na całe szczęście nie muszę zajmować się algorytmami. Mam tylko przygotować miejsce w pamięci systemu. Do licha, na co komu może być potrzebna taka wielka baza danych?

Barney zmarszczył brwi.

– Czy to poufne zlecenie?

– Tak – odparł Nedry. Większość zleceń, nad którymi pracował, była poufna, a nawet tajna.

– Możesz mi cokolwiek powiedzieć?

– Chodzi o firmę bioinżynieryjną.

– Bioinżynieria... – mruknął Barney. – Cóż, sprawa wydaje się oczywista.

– To znaczy?

– Cząsteczka DNA.

– Daj spokój! – parsknął Nedry. – Nie wierzę, żeby ktoś się tym zajmował.

Co prawda biologowie od dłuższego czasu pracują nad rozszyfrowaniem ludzkiego kodu genetycznego, ale wymagałoby to ogromnego, połączonego wysiłku instytutów badawczych z całego świata. Przedsięwzięcie przerastałoby skalą Projekt Manhattan, który doprowadził do powstania bomby atomowej.

– Przecież to prywatna firma – dorzucił Nedry.

– Z bazą danych o pojemności trzech miliardów pól – odparł Barney. – Nie wydaje mi się, żeby to mogło być cokolwiek innego. Chyba że tworząc system przyjęli optymistyczne założenia.

– Nawet bardzo optymistyczne – mruknął Nedry.

– Albo po prostu analizują fragmenty DNA, tyle tylko, że mają algorytmy

zajmujące dużo miejsca w RAM–ie.

Było to całkiem prawdopodobne. W niektórych bazach danych algorytmy poszukiwania wymagają bardzo dużo pamięci.

– Czy wiesz, kto pisał im programy?

– Nie – odparł Nedry. – W tej firmie ściśle przestrzegają tajemnic służbowych.

– Tak czy inaczej, moim zdaniem zajmują się czymś, co ma związek z DNA – stwierdził Barney. – Jaki mają sprzęt?

– Multi–XMP.

– Multi–XMP? To znaczy więcej niż jednego craya? A niech mnie... – Barney zmarszczył z namysłem brwi. – Możesz powiedzieć mi coś więcej?

– Przykro mi, ale nie.

Prawda przedstawiała się w ten sposób, że to właśnie on zaprojektował systemy kontrolne. Zespół, którym kierował, robił to ponad rok, a zadanie należało do szczególnie trudnych między innymi dlatego, że nie było dokładnie wiadomo, czemu mają służyć poszczególne podsystemy. Instrukcje zawierały jedynie najbardziej ogólne parametry, lecz żadnych szczegółów: „Zaprojektować moduł przechowywania danych", „Zaprojektować moduł wizyjny" itp. Trzeba było pracować w ciemno, a teraz, kiedy system już działał, Nedry'ego wcale nie zaskoczyła informacja o tym, że wyszły na jaw pewne niedociągnięcia. A czego oni się spodziewali, do wszystkich diabłów? W dodatku ściągnęli go tu na łeb, na szyję, przerażeni i wściekli z powodu „jego" błędów. Nedry'emu wcale się to nie podobało.

Wrócił do grupki w samą porę, by usłyszeć pytanie Granta:

– Kiedy komputerowi uda się już dokonać analizy DNA, skąd wiecie, jakiego zwierzęcia dotyczy?

– Stosujemy dwie metody – wyjaśnił Wu. – Pierwsza to sporządzenie drzewa filogenetycznego. DNA, podobnie jak każda inna część składowa żywego organizmu, podlegała zmianom w procesie ewolucyjnym. Mając do dyspozycji fragment DNA możemy za pomocą komputera ustalić jego miejsce w łańcuchu ewolucyjnym. Zajmuje to sporo czasu, ale da się zrobić.

– A drugi sposób?

Wu wzruszył ramionami.

– Przeprowadzić klonowanie i zobaczyć, co wyrośnie. Zazwyczaj tak właśnie postępujemy. Pokażę wam, jak to się robi.

* * *

Wraz z upływem czasu Tima ogarniało coraz większe zniecierpliwienie. Co prawda interesowały go techniczne szczegóły, ale teraz z każdą chwilą zaczynało mu się coraz bardziej nudzić. Grupka zwiedzających podeszła do następnych drzwi, na których widniał napis: ZAPŁADNIANIE. Doktor Wu otworzył drzwi swoją kartą magnetyczną i wszyscy weszli do środka.

Tim ujrzał kolejny pokój, w którym ubrani na biało laboranci siedzieli pochyleni nad okularami mikroskopów. Najbardziej odległa od drzwi część pomieszczenia była skąpana w błękitnym, ultrafioletowym świetle. Doktor Wu wyjaśnił, że praca nad

DNA wymaga przerywania w ściśle określonych momentach podziału komórki, do czego stosuje się najsilniejsze ze znanych trucizn.

– Helotoksyny, kolchicynoidy, beta–alkaloidy... – wymieniał kolejno nazwy, wskazując na strzykawki leżące na tacach pod ultrafioletowymi lampami. – W ciągu sekundy mogą zabić każde znane nam zwierzę.

Tim chętnie dowiedziałby się czegoś więcej o tych truciznach, ale doktor Wu rozpoczął nudny wykład na temat nie zapłodnionych jaj krokodyla, w których wymieniono część DNA, a potem profesor Grant przystąpił do zadawania niezrozumiałych pytań. Wzdłuż jednej ze ścian stały duże pojemniki z napisem: CIEKŁY AZOT, a wzdłuż drugiej ogromne, przypominające szafy, chłodnie z półkami pełnymi zamrożonych embrionów. Każdy znajdował się w małym pakieciku z folii aluminiowej.

Lex nudziła się jak mops, Nedry ziewał rozdzierająco, i nawet doktor Sattler nie wyglądała na zbytnio zainteresowaną. Tim miał już dosyć łażenia po laboratoriach. Chciał jak najprędzej zobaczyć dinozaury.

* * *

Na kolejnych drzwiach znajdował się napis: WYLĘGARNIA.

– W środku jest dość ciepło i wilgotno – poinformował ich doktor Wu. – Utrzymujemy stałą temperaturę trzydziestu siedmiu stopni i wilgotność rzędu stu procent, a zawartość tlenu w powietrzu zwiększyliśmy do trzydziestu trzech procent.

– Jurajska atmosfera... – mruknął Grant.

– Owszem. W każdym razie mamy taką nadzieję. Proszę mi powiedzieć, jeśli komuś zrobi się słabo.

Doktor Wu wsunął kartę magnetyczną w szczelinę i zewnętrzne drzwi rozsunęły się z sykiem.

– Przypominam, że nie wolno niczego dotykać. Niektóre jaja są wrażliwe na wydzielinę ludzkiej skóry. I proszę uważać na głowy, bo czujniki poruszają się bez chwili przerwy.

Otworzył wewnętrzne drzwi i wszyscy weszli do środka. Tim ujrzał obszerne pomieszczenie pogrążone w półmroku rozjaśnionym jedynie blaskiem czerwonych i podczerwonych lamp. Jaja leżały na długich stołach, spowite mgłą wydobywającą się z sykiem ze specjalnych otworów. Wszystkie były w ruchu, kołysząc się lekko na boki.

Doktor Wu poinformował zwiedzających, że na każdym stole znajduje się 150 jaj, po czym zaprowadził ich do pulpitu, na którym ułożono najświeższą partię. Kolejne partie były opatrzone napisami umieszczonymi w widocznych miejscach: STEG–458/2, TRIC–390/4, i temu podobne. Pracujący w wylęgarni ludzie chodzili od stołu do stołu, brodząc w sięgającej do pasa mgle, ostrożnie przekładali jaja z boku na bok i mierzyli ich temperaturę elektronicznymi termometrami. Pod sufitem zainstalowano kamery telewizyjne i czujniki reagujące na wszelki ruch, a inne czujniki, prawdopodobnie temperatury, przesuwały się bez chwili przerwy nad stołami.

– Doczekaliśmy się tutaj już ponad dwunastu wylęgów, co w sumie dało nam dwieście trzydzieści osiem odchowanych zwierząt. Przeżywalność nie jest na razie zbyt wielka, ale, naturalnie, staramy się ją zwiększyć. Nasze komputery analizują jednocześnie około pięciuset różnych czynników: sto dwadzieścia z nich ma charakter zewnętrzny, reszta zaś zależy od samego materiału genetycznego. Skorupki jaj są plastikowe. Umieszczamy w nich embriony, które następnie rozwijają się w tym pomieszczeniu.

– Jak szybko rosną po wykluciu?

– Dinozaury dojrzewają bardzo szybko. Na osiągnięcie maksymalnych rozmiarów potrzebują od dwóch do czterech lat, dzięki czemu mamy już w parku sporo dorosłych osobników.

– A co oznaczają te liczby?

– Są to kody identyfikujące kolejne wylęgi. Pierwsze cztery litery określają rodzaj zwierzęcia. TRIC oznacza *Triceratops*, STEG *Stegosaurus*, i tak dalej.

– A tutaj, na tym stole? – zapytał Grant.

Na tabliczce widniał napis: XXXX–00001/1, pod spodem zaś ktoś dopisał ręcznie: Prawdopodob. *coelu*.

– To najświeższy fragment DNA – wyjaśnił Wu. – Nie wiemy jeszcze, co z niego wyrośnie. Za pierwszym razem nigdy nie ma co do tego całkowitej pewności. To akurat powinien być *Coelurosaurus*, mały dinozaur, o ile mnie pamięć nie myli. Trudno mi spamiętać te wszystkie nazwy. Bądź co bądź znamy już około trzystu gatunków dinozaurów.

– Dokładnie trzysta czterdzieści siedem – poinformował go Tim. Grant uśmiechnął się, po czym zapytał:

– Czy teraz można spodziewać się jakiegoś wylęgu?

– Nie w tej chwili. Okres inkubacji waha się w zależności od gatunku, ale zazwyczaj wynosi około dwóch miesięcy. Staramy się nie doprowadzać do kumulacji wylęgów, żeby oszczędzić pracy ludziom, którzy są tu zatrudnieni. Wyobraźcie sobie, co się dzieje, kiedy w ciągu kilku dni wykluwa się, powiedzmy, sto pięćdziesiąt egzemplarzy – chociaż, ma się rozumieć, przeżywają tylko nieliczne. Zdaje się, że te iksy powinny być gotowe lada dzień. Są jeszcze jakieś pytania? Skoro nie, to przejdziemy do „żłobka", gdzie trzymamy niedawno wyklute osobniki.

* * *

Był to okrągły pokój, cały pomalowany na biało. Znajdowały się w nim inkubatory podobne do tych, jakie można zobaczyć w szpitalach, ale akurat w tej chwili wszystkie były puste. Na podłodze wśród leżących w nieładzie zabawek i szmat siedziała młoda kobieta, odwrócona plecami do zwiedzających.

– Co dzisiaj masz, Kathy? – zapytał Wu.

– Niewiele. Tylko małego raptora.

– W takim razie popatrzmy.

Kobieta wstała z podłogi i odeszła na bok.

– To wygląda jak jaszczurka – powiedział Nedry.

Zwierzę miało około czterdziestu pięciu centymetrów długości i dorównywało rozmiarami niewielkiej małpce. Było ciemnożółte w brązowe pasy, miało łeb jaszczurki i długi pysk, ale stało wyprostowane na silnych tylnych nogach, utrzymując równowagę dzięki grubemu, prostemu ogonowi. Krótkie przednie łapki poruszały się w powietrzu. Zwierzę przechyliło głowę na bok i spojrzało na przypatrujących mu się ludzi.

– Welociraptor – powiedział cicho Alan Grant. Wu skinął głową.

– *Velociraptor mongoliensis*, dokładniej rzecz biorąc. Drapieżnik. Ten ma dopiero sześć tygodni.

– Niedawno znalazłem szkielet raptora.

Grant pochylił się, aby lepiej przyjrzeć się zwierzęciu, kiedy nagle mały dinozaur odbił się od podłogi, przeskoczył mu nad głową i wylądował w objęciach Tima.

– O rety!

– Młode osobniki potrafią skakać – powiedział Wu. – Dorosłe też, nawiasem mówiąc.

Tim przytulił zwierzątko. Ważyło nie więcej niż kilogram. Jego skóra była ciepła i sucha, a mała główka znajdowała się w odległości zaledwie kilku centymetrów od twarzy chłopca. Czarne, przypominające paciorki oczy spoglądały uważnie, a spomiędzy warg w regularnych odstępach czasu wysuwał się rozdwojony język.

– Nie ugryzie mnie? – zaniepokoił się Tim.

– Nie. Jest bardzo przyjacielska.

– Czy aby na pewno? – zapytał Gennaro z obawą w głosie.

– Naturalnie – odparł Wu. – Przynajmniej do chwili, kiedy trochę podrośnie. Poza tym, ona nie ma zębów, nawet tych dziecięcych.

– Dziecięcych? – powtórzył Nedry.

– Większość dinozaurów ma na czubku nosa małe zęby czy też różki, które pomagają im przebić skorupkę jaja, ale raptory są ich pozbawione. Wybijają w skorupce dziurkę swoimi spiczastymi pyskami, ale to wszystko, na co je stać. Potem musi im pomóc personel wylęgarni.

Grant potrząsnął głową.

– A co się dzieje w stanie dzikim? – zapytał.

– W stanie dzikim?

– Na wolności. Kiedy wykluwają się w gnieździe.

– Och, one tego nie robią – odparł Wu. – Żadne z naszych zwierząt nie jest zdolne do rozrodu. Dlatego właśnie mamy ten „żłobek”. To jedyny sposób na uzupełnianie stanu posiadania Parku.

– Dlaczego nie są zdolne do rozrodu?

– Jak z pewnością sam pan rozumie, było dla nas bardzo ważne, aby nie mogły rozmnażać się bez naszej kontroli. W każdym przypadku, kiedy mamy do czynienia z tak istotną kwestią, stosujemy podwójne zabezpieczenie. Nasze zwierzęta są bezpłodne, ponieważ naświetlamy je wszystkie promieniami Roentgena.

– A drugie zabezpieczenie?

– Wszystkie zwierzęta żyjące w Parku są płci żeńskiej – odparł Wu z

zadowolonym uśmiechem.

– Byłbym wdzięczny za nieco bardziej szczegółowe wyjaśnienia dotyczące tej kwestii – odezwał się Malcolm. – Wydaje mi się, że napromieniowywanie nie daje zbyt wielkiej pewności. Zawsze istnieje możliwość, że niewłaściwie obliczono dawkę albo że skierowano ją nie tam, gdzie trzeba, albo...

– Zgadzam się z panem – przerwał mu Wu. – Jednak mimo wszystko jesteśmy całkowicie przekonani, że udało nam się trwale uszkodzić gruczoły płciowe.

– A co się tyczy tego, że wszystkie osobniki są płci żeńskiej... – ciągnął Malcolm. – Czy ktoś to sprawdził? Czy wychodzi pan na pole i... eee... podnosi dinozaurom spódniczki? Poza tym, w jaki sposób można stwierdzić, jakiej płci jest dany dinozaur?

– Wygląd organów płciowych różni się w zależności od gatunku. Czasem odróżnienie płci nie nastręcza żadnych problemów, czasem istotnie mogą wystąpić pewne trudności. Jednak przyczyną, dla której jesteśmy pewni, że mamy w naszym parku wyłącznie samice, jest to, iż zaprogramowaliśmy je właśnie w ten sposób. Kontrolujemy przecież wszystko, poczynając od doboru chromosomów. Z bioinżynieryjnego punktu widzenia znacznie łatwiej jest uzyskać osobnika płci żeńskiej, gdyż jak z pewnością pan wie, wszystkie embriony kręgowców są początkowo właśnie tej płci. My także zaczynamy życie jako kobiety. Embrion wykształca cechy płciowe dopiero pod wpływem ściśle określonego bodźca – może to być na przykład wytworzenie we właściwym czasie odpowiedniego czynnika transkrypcyjnego. Jeżeli nic takiego nie nastąpi, z embriona rozwinie się osobnik płci żeńskiej. Dlatego właśnie wszystkie nasze zwierzęta są samicami. Co prawda niektóre z nich traktujemy jak samców – myślę przede wszystkim o tyranozaurze – ale nawet on jest samicą, a samice bez samców nie są w stanie się rozmnażać. Może mi pan wierzyć.

* * *

Mały welociraptor powąchał Tima, po czym potarł łebkiem o jego kark. Chłopiec zachichotał.

– Chce, żebyś ją nakarmił – wyjaśnił doktor Wu.

– A co ona je?

– Myszy. Dopiero co dostała swoją porcję, więc teraz będzie musiała trochę zaczekać.

Zwierzątko odchyliło nieco głowę do tyłu, zamachało w powietrzu przednimi łapkami, po czym znowu przytuliło się do chłopca.

Grant podszedł do Tima, obrzucił małego dinozaura krytycznym spojrzeniem, przyjrzał się uważnie trójpalczastej łapce, a następnie wziął zwierzątko od chłopca. Welociraptor wił się i popiskiwał, a kiedy Grant podniósł go wysoko, aby spojrzeć na niego z profilu, zaskrzeczał przeraźliwie.

– Chyba nie jest zbyt zachwycona – zauważył Regis. – Nie lubi, kiedy trzyma się ją z dala od ciała.

Raptor wciąż skrzeczał donośnie, lecz Grant nie zwracał na to uwagi. Uciskał

ogon zwierzęcia, starając się wyczuć kształt kręgów i policzyć je.

– Doktorze Grant, jeśli pan pozwoli... – powiedział Ed Regis.

– Nie robię jej nic złego.

– Doktorze Grant, te stworzenia nie pochodzą z naszego świata. Wtedy, kiedy żyły na Ziemi, nie było jeszcze ludzi, którzy miętosiliby je i ugniatali.

– Nikogo nie miętoszę ani nie...

– Doktorze Grant, proszę zostawić ją w spokoju.

– Ale...

– Bardzo pana proszę! – Nie ulegało wątpliwości, że jeszcze chwila, a Ed Regis straci cierpliwość.

Kiedy Grant oddał zwierzątko Timowi, przeraźliwe skrzeczenie natychmiast ucichło. Tim czuł tuż przy swojej piersi łomotanie małego serduszka.

– Proszę mi wybaczyć, doktorze, ale młode dinozaury są niezwykle podatne na stresy – powiedział Regis. – Właśnie z powodu stresu straciliśmy już wiele egzemplarzy. Czasem śmierć następuje nawet w czasie pięciu minut.

Tim pogłaskał raptora.

– Już wszystko w porządku, maluchu – szepnął uspokajającym tonem. – Już wszystko w porządku...

Małe serduszko nadal biło w szaleńczym tempie.

– Przywiązujemy wielką wagę do tego, aby zwierzęta były traktowane w możliwie najlepszy sposób – dodał Regis. – Daję panu słowo, że jeszcze będzie pan miał okazję, aby im się dokładnie przyjrzeć.

Jednak Grant nie był w stanie się opanować. Ponownie zbliżył się do Tima, który trzymał zwierzątko, a raptor natychmiast otworzył pysk i zasyczał z wściekłością.

– Fascynujące... – mruknął paleontolog.

– Czy mogę tu zostać i trochę się z nią pobawić? – zapytał Tim.

– Nie teraz – odparł Ed Regis, spoglądając na zegarek. – Jest już trzecia, a to najlepsza pora na wycieczkę po samym Parku, żebyście mogli zobaczyć dinozaury w środowisku, jakie specjalnie dla nich stworzyliśmy.

Tim wypuścił welociraptora, który pomknął przez pokój, dopadł leżącej na podłodze szmaty, wgryzł się w nią i zaczął szarpać materiał przednimi łapami.

Stan rzeczy

– Mam jeszcze jedno pytanie, panie doktorze – powiedział Malcolm w drodze powrotnej do dyspozytorni. – Ile gatunków udało wam się uzyskać do tej pory?

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że około piętnastu. Zgadza się, Ed?

– Dokładnie piętnaście.

– Nie jest pan pewien? – powtórzył Malcolm ze zdumieniem.

Wu uśmiechnął się.

– Przestałem liczyć, kiedy przekroczyliśmy dziesiątkę – wyjaśnił. – Poza tym musi pan wiedzieć, że czasem jesteśmy przekonani, iż udało nam się prawidłowo zrekonstruować kolejne zwierzę, hodujemy je przez pół roku, a potem nagle wydarza się coś nieprzewidzianego i dowiadujemy się, że popełniliśmy jakiś błąd. Nie zadziałał jeden z genów, nie pojawił się któryś z hormonów, albo coś w tym rodzaju. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak tylko wrócić do deski kreślarskiej i zacząć projektowanie na nowo. – Uśmiechnął się. – Był czas, kiedy wydawało mi się, że mamy ponad dwadzieścia gatunków, ale teraz zostało nam tylko piętnaście.

– Czy jednym z nich jest może... – Malcolm spojrzał na Grań ta. – Jak on się nazywał?

– *Procompsognathus*.

– No więc, zrobiliście tu parę procompsognatusów, czy jak je tam zwą?

– Naturalnie – odparł Wu bez chwili wahania. – Procompy to bardzo charakterystyczne zwierzęta. Wyprodukowaliśmy ich całkiem sporo.

– Dlaczego?

– Cóż, staramy się, żeby nasz Park w możliwie największym stopniu przypominał naturalne środowisko, w jakim niegdyś żyły nasze zwierzęta, a *Procompsognathus* jest autentycznym jurajskim padlinożercą, czymś w rodzaju szakala. Uznaliśmy, że powinno być ich tutaj sporo, żeby utrzymywały porządek.

– Ma pan na myśli usuwanie martwych zwierząt?

– Tak, o ile takie będą. Jednak, ponieważ całkowita populacja zwierząt liczy sobie zaledwie dwieście trzydzieści kilka sztuk, nie ma co robić sobie nadziei na dużo padliny – odparł Wu. – Mówiąc o sanitarnej działalności procompów myślałem o nieco innym jej aspekcie.

– To znaczy?

– Na wyspie żyje sporo wielkich roślinożerców. Celowo staraliśmy się nie rekonstruować największych jaszczurów, ale i tak mamy kilka osobników o masie przekraczającej trzydzieści ton, a kilkanaście mieszczących się w przedziale od pięciu do dziesięciu. Z faktem tym bezpośrednio wiążą się dwa problemy: pierwszy to odżywianie. Rozwiązujemy go sprowadzając co dwa tygodnie znaczne ilości paszy. Tak mała wyspa w żaden sposób nie zdołałaby wykarmić równie wielkich zwierząt.

Drugim problemem są produkty przemiany materii. Nie wiem, czy ktoś z państwa widział kiedyś odchody słonia, ale mogę was zapewnić, że robią one spore

wrażenie. Proszę sobie teraz wyobrazić odchody brontozaura, który przecież jest dziesięciokrotnie większy od słonia. W dodatku te największe zwierzęta nie trawią zbyt dokładnie pożywienia, w związku z czym wydalają ogromne ilości. W ciągu sześćdziesięciu milionów lat, jakie minęły od wyginięcia dinozaurów, zniknęły także bakterie, które specjalizowały się w rozkładaniu ich odchodów.

– Tak, to rzeczywiście spory problem – mruknął Malcolm.

– Zapewniam pana, że tak – odparł poważnie Wu. – Rozwiązanie go nastręczyło nam mnóstwa problemów. Zapewne wie pan, że w Afryce żyje szczególny rodzaj żuka gnojownika, który odżywia się odchodami słoni. Wielu innym dużym zwierzętom towarzyszą wszędzie mniejsze, dla których główne pożywienie stanowią ich odchody. Okazało się, że procompy zjadają także kał dużych roślinożerców i trawią go ponownie, a ich własne odchody są bez trudu rozkładane przez żyjące współcześnie bakterie. Wystarczyło więc wyprodukować odpowiednią ilość procompów, żeby mieć kłopot z głowy.

– A jak wiele ich wyprodukowaliście?

– Nie jestem w stanie podać dokładnej liczby, ale wydaje mi się, że oszacowaliśmy nasze potrzeby na pięćdziesiąt sztuk. Zdaje się, że już udało nam się to osiągnąć. W trzech wylęgach, jeden co pół roku.

– Bardzo trudno jest sprawować kontrolę nad pięćdziesięcioma zwierzętami – zauważył Malcolm.

– Nasza dyspozytornia została zbudowana właśnie po to, żeby ułatwić nam zadanie. Wkrótce sami się o tym przekonacie.

– Nie wątpię – odparł Malcolm. – Co by się jednak stało, gdyby jakiś egzemplarz uciekł z wyspy...

– To niemożliwe.

– Wiem, ale zakładając, że coś takiego jednak by się stało...

– Ma pan na myśli to zwierzę z plaży? – zapytał Wu, unosząc brwi. – To, które pogryzło amerykańską dziewczynkę?

– Powiedzmy.

– Nie wiem, w jaki sposób wytłumaczyć jego zachowanie, ale jestem całkowicie pewien, że nie miało nic wspólnego z nami, a to z dwóch powodów: po pierwsze, istnieje procedura kontrolna. Co kilka minut komputer liczy wszystkie zwierzęta. Gdyby któreś z nich uciekło, dowiedzielibyśmy się o tym niemal natychmiast.

– A drugi powód?

– Od stałego lądu dzieli nas ponad sto sześćdziesiąt kilometrów. Statek płynie tam prawie cały dzień, a poza wyspą żadne z naszych zwierząt nie przeżyłoby nawet dwunastu godzin.

– Skąd pan o tym wie?

– Ponieważ osobiście zastosowałem ten środek ostrożności – odparł Wu. W jego głosie po raz pierwszy pojawiła się nuta irytacji. – Proszę mi wierzyć, my naprawdę nie jesteśmy głupcami. Zdajemy sobie sprawę z tego, że mamy do czynienia z prehistorycznymi zwierzętami, stanowiącymi część składową już nie istniejącego, skomplikowanego ekosystemu. We współczesnym świecie mogłyby nie napotkać

żadnych naturalnych wrogów, którzy regulowaliby ich liczebność. Nie chcemy, żeby żyły na wolności, więc uzależniliśmy je od lizyny. Wprowadziłem do ich DNA gen, który spowodował, że nie są w stanie samodzielnie wytwarzać lizyny i muszą otrzymywać ją z zewnątrz. Podajemy im ją z pokarmem. Jeżeli nie otrzymają odpowiedniej dawki, w ciągu dwunastu godzin zapadają w śpiączkę, a następnie zdychają. Zostały zaprogramowane genetycznie w taki sposób, aby nie zdołały przetrwać w warunkach naturalnych. Mogą żyć tylko tu, na Isla Nublar. Wcale nie są wolne. W gruncie rzeczy są naszymi więźniami.

– Oto dyspozytornia – powiedział Ed Regis. – Teraz, kiedy już wiecie, w jaki sposób wytwarza się zwierzęta, z pewnością zechcecie obejrzeć urządzenia kontrolne Parku, zanim wyruszymy na...

Umilkł raptownie, gdyż pokój, od którego dzieliła ich gruba szyba, był pogrążony w ciemności. Działały tylko trzy monitory; dwa z nich pokazywały zmieniające się szybko kolumny cyfr, na trzecim widoczny był mały statek.

– Co się dzieje? – mruknął Ed Regis. – Cholera, właśnie cumują.

– Cumują?

– Co dwa tygodnie z kontynentu przypływa statek z zaopatrzeniem. Tej wyspie brakuje paru rzeczy, a wśród nich na pewno dobrego portu, albo choćby przyzwoitego nabrzeża. Kiedy morze jest wzburzone, dostarczenie ładunku może być dosyć niebezpieczne. – Zastukał w szybę, ale ludzie zgromadzeni w dyspozytorni nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. – To chyba potrwa jeszcze parę minut.

– Panie doktorze – odezwała się Ellie – wspomniał pan wcześniej, że zdarza się, iż odtwarzacie jakieś zwierzę i wydaje się, że wszystko jest w porządku, ale po pewnym czasie wychodzą na jaw różne wady...

Wu skinął głową.

– Owszem. Obawiam się, że nie ma na to żadnej rady. Potrafimy już odtwarzać DNA, ale w grę wchodzi tak wiele różnorodnych czynników, że nie jesteśmy w stanie wszystkiego skontrolować. Dopiero obserwując rozwój zwierzęcia widzimy, czy nie popełniliśmy żadnego błędu.

– A na jakiej podstawie możecie to stwierdzić? – zapytał Grant. – Przecież do tej pory nikt nawet nie widział tych zwierząt na oczy!

– Ja także często się nad tym zastanawiałem – odparł z uśmiechem Wu. – Wydaje mi się, że mamy do czynienia z czymś w rodzaju paradoksu. Mam nadzieję, że kiedyś nadejdzie taki moment, w którym paleontolodzy tacy jak pan będą mogli porównać nasze zwierzęta z materiałami z wykopalisk, aby dokonać ostatecznej weryfikacji.

– Interesujące – mruknął Grant. – Macie tu może jakieś dorosłe raptory?

– Tak – odparł bez wahania Ed Regis. – Osiem dorosłych samic. Polują w stadach.

– Czy zobaczymy je w trakcie zwiedzania?

– Nie – powiedział Wu z dość niepewną miną.

Zapadło niezręczne milczenie. Przerwał je Regis, który oznajmił wesoło:

– Przynajmniej nie w tej chwili. Raptory nie zdążyły jeszcze zaadaptować się do

warunków panujących w Parku. Na razie trzymamy je w zagrodzie.

– Czy mógłbym je tam obejrzeć? – nie ustępował Grant.

– Naturalnie. – Regis zerknął na zegarek. – Właściwie, skoro i tak musimy czekać, może pan zrobić to nawet teraz.

– Z największą przyjemnością.

– Ja też jestem zainteresowana – oświadczyła Ellie.

– I ja! – przyłączył się Tim.

– W takim razie proszę pójść na zaplecze budynku. Tam właśnie urządziliśmy zagrodę. Ale radzę nie podchodzić za blisko do ogrodzenia. Ty też chcesz tam iść? – zapytał dziewczynkę.

– Nie – odparła Lex, po czym zmierzyła Regisa uważnym spojrzeniem. – Pogramy trochę?

– Jasne. Chodźmy na dół, a potem wszyscy wrócimy do dyspozytorni.

Grant, Ellie, Malcolm i Tim obeszli główny budynek. Grant lubił dzieci – jak zresztą mógłby nie lubić kogoś, kto odnosił się do dinozaurów z największym entuzjazmem? Często obserwował w muzeum dzieciaki gapiące się z szeroko otwartymi buziami na górujące nad nimi szkielety. Zastanawiał się wtedy nad podłożem ich fascynacji. Ostatecznie doszedł do wniosku, iż dzieci lubią dinozaury, ponieważ te gigantyczne stworzenia uosabiają nie podporządkowującą się niczemu siłę budzącego grozę autorytetu. Stanowiły po prostu symbol rodziców. Były jednocześnie fascynujące i przerażające, jak oni. Dzieci kochały dinozaury, podobnie jak kochały rodziców.

Grant przypuszczał także, iż właśnie dlatego nawet małe dzieci szybko uczyły się nazw dinozaurów. Za każdym razem, kiedy jakiś trzylatek wykrzykiwał z entuzjazmem: *Stegosaurus*! Grant nie posiadał się ze zdumienia. Wymawiając skomplikowane nazwy dzieci zyskiwały coś w rodzaju władzy nad potworami.

– Co wiesz o welociraptorach? – zapytał Tima, aby w jakiś sposób nawiązać rozmowę.

– To małe, mięsożerne dinozaury polujące w stadach, tak jak *Deinonychus* – odparł chłopiec.

– Rzeczywiście, choć obecnie przeważa pogląd, że *Deinonychus* to także *Velociraptor*, a wszystkie dowody na to, iż polują stadnie, mają raczej charakter poszlak. Przekonanie o tym wzięło się stąd, że raptory są szybkie i silne, ale stosunkowo małe, gdyż ważą od siedemdziesięciu pięciu do stu pięćdziesięciu kilogramów. Przypuszczamy, że musiały polować w stadzie, jeżeli chciały dopaść jakąś większą zdobycz. Znaleziono także kilka szkieletów dużych zwierząt, a w pobliżu nich sporą ilość raptorów, co wskazywałoby, że działały razem. Poza tym miały stosunkowo duże mózgi, więc przypuszczalnie były bardziej inteligentne od pozostałych dinozaurów.

– To znaczy jak bardzo? – zainteresował się Malcolm.

– Zależy z kim będzie pan rozmawiał na ten temat – odparł Grant. – Od czasu gdy paleontolodzy dopuścili do siebie myśl, że dinozaury mogły być zwierzętami stałocieplnymi, wielu z nas uwierzyło, że mogły wykazywać się dużą inteligencją.

Niestety, nikt nie ma co do tego całkowitej pewności.

Opuścili teren przeznaczony dla zwiedzających i wkrótce usłyszeli pomruk generatorów. W powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny zapach oleju napędowego. Minąwszy skupisko palm ujrzeli obszerne, dość niskie, betonowe ogrodzenie nakryte blaszanym dachem. Hałas wydobywał się właśnie stamtąd. Zajrzeli do środka.

– To chyba jakiś generator – powiedziała Ellie.

– I to całkiem spory – dodał Grant.

Był to nie tyle pojedynczy generator, co cały ich zespół, zagłębiony dwa piętra w ziemię i oświetlony blaskiem odsłoniętych żarówek.

– Żaden ośrodek wypoczynkowy nie zużyje tyle energii – stwierdził stanowczo Malcolm. – Tego, co tutaj wytwarzają, starczyłoby nawet dla małego miasta.

– Może chodzi o komputery?

– Może.

Grant przeszedł kilkanaście metrów na północ, zaintrygowany dobiegającym stamtąd meczeniem. Po dużym, ogrodzonym wybiegu przechadzały się kozy. Mogło ich być pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt.

– A to po co? – zdziwiła się Ellie.

– Nie mam pojęcia.

– Przypuszczalnie karmią nimi dinozaury – mruknął Malcolm. Grupka ruszyła w dalszą drogę, posuwając się wąską ścieżką prowadzącą przez gąszcz bambusowych zarośli. Wkrótce doszli do podwójnego płotu z siatki o wysokości czterech metrów, zwieńczonego spiralą drutu kolczastego. Do ich uszu dotarł wyraźny szum prądu.

Po drugiej strome płotu rosły gęsto półtorametrowe paprocie. Grant usłyszał donośne parsknięcie, a w chwilę później odgłos zbliżających się szybko kroków.

Potem zapadła cisza.

– Nic nie widzę! – szepnął Tim.

– Ciii...

Grant czekał w bezruchu. Minęło kilkanaście sekund. W powietrzu bzyczały muchy.

Ellie dotknęła jego ramienia i wyciągnęła rękę.

Spojrzawszy we wskazanym kierunku, Grant ujrzał wśród paproci łeb zwierzęcia. Był zupełnie nieruchomy. Duże, czarne oczy obserwowały intruzów.

Głowa miała około sześćdziesięciu centymetrów długości, a ze spiczastego pyska na całej długości sterczały ostre zęby. Kończyły się dopiero przy ujściu przewodu słuchowego. Miało się wrażenie, że to łeb dużej jaszczurki albo raczej krokodyla. Zwierzę nie mrugało ani nie wykonywało żadnego innego ruchu. Jego skóra była guzłowata, zbliżona ubarwieniem do skóry młodego osobnika: żółtobrązowa, z czerwonobrązowymi tygrysimi pasami.

Nagle obok głowy pojawiła się przednia łapa i ostrożnie odsunęła na bok liście paproci. Była silnie umięśniona i zakończona trzema palcami o ostrych, zakrzywionych pazurach.

On na nas poluje – pomyślał Grant, czując na plecach i karku gęsią skórkę.

Dla ssaka, takiego jak człowiek, sposób polowania gadów jest odrażający. Nic dziwnego, że ludzie nienawidzą gadów. Całkowity spokój, bezruch, chłód – wszystko to jest obce i wstrętne. Przebywając wśród aligatorów lub jakichś innych dużych gadów można poczuć się jak w zupełnie innym świecie, który zniknął przed wieloma milionami lat. Rzecz jasna, raptor nie miał pojęcia o tym, że został zauważony, i że...

Atak nastąpił zupełnie nieoczekiwanie, jednocześnie z lewa i prawa. Pędzące dinozaury ze zdumiewającą prędkością pokonały odległość dzielącą je od ogrodzenia. Grant zdążył jedynie dostrzec niewyraźne zarysy silnych, prawie dwumetrowej wysokości ciał, wyprostowanych ogonów, kończyn uzbrojonych w zakrzywione pazury i szeroko otwartych paszczy z rzędami ostrych zębów.

Zwierzęta sapnęły głośno, po czym odbiły się mocno od ziemi, celując w ofiary potężnymi dolnymi łapami z szablasto wygiętymi szponami. W ułamek sekundy później wpadły na ogrodzenie; rozległ się donośny trzask, a na ziemię posypały się snopy iskier.

Dinozaury znieruchomiały, wydając ciche, syczące odgłosy. Zafascynowani ludzie zbliżyli się nieco do ogrodzenia, aby lepiej je obejrzeć, i dopiero wtedy do ataku ruszyło trzecie zwierzę – to, które wcześniej wypatrzyli w paprociach. Raptor uderzył w parkan jak pocisk, w powietrze strzeliły iskry, Tim krzyknął przeraźliwie, a potem wszystkie trzy dinozaury zasyczały i zniknęły wśród roślinności, pozostawiając po sobie ledwo uchwytny, nieprzyjemny odór zgnilizny i znacznie wyraźniejszy swąd przypalonej skóry.

– A niech mnie! – szepnął Tim.

– Są nieprawdopodobnie szybkie – zauważyła Ellie.

Grant potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Stadni łowcy – powiedział. – Polują w zorganizowanych grupach. Fascynujące.

– Szczerze mówiąc, nie uznałbym ich za oszałamiająco inteligentne – stwierdził Malcolm.

Po drugiej stronie ogrodzenia ponownie rozległo się parskanie. Spomiędzy liści wychyliło się kilka głów. Grant liczył je po cichu: trzy... cztery... pięć... Zwierzęta obserwowały grupkę ludzi. Ich spojrzenia były zupełnie zimne.

Od strony budynku nadbiegł ciemnoskóry mężczyzna w kombinezonie roboczym.

– Nic wam nie jest?

– Wszystko w porządku – odparł Grant.

– Włączyła się sygnalizacja alarmowa. – Murzyn popatrzył na pogięte, osmalone ogrodzenie. – Zaatakowały was?

– Trzy z nich.

Mężczyzna w kombinezonie skinął głową.

– Ciągle to robią. Skaczą na płot, dostają w skórę cały ładunek, a potem znowu wracają. Wygląda na to, że wcale im to nie przeszkadza.

– Chyba nie są zbyt mądre, prawda? – zapytał Malcolm.

Murzyn przez chwilę wpatrywał się w niego bez słowa.

– Niech pan się cieszy, że było to ogrodzenie, *señor* – powiedział i odszedł

ścieżką w kierunku zabudowań.

* * *

Cały atak trwał nie więcej niż sześć sekund. Grant wciąż jeszcze nie mógł uporządkować wrażeń. Najbardziej zdumiewająca była prędkość – zwierzęta poruszały się tak błyskawicznie, że prawie nic nie zdążył zauważyć.

– Są dosyć szybkie – zauważył Malcolm.

– Owszem – potwierdził paleontolog. – Znacznie szybsze od wszystkich żyjących współcześnie gadów. Samiec aligatora potrafi poruszać się dość żwawo, ale tylko na bardzo krótkim dystansie. Wielkie jaszczurki, takie jak na przykład smoki z Komodo, mogą biec z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, czyli wystarczająco szybko, aby dogonić i zabić każdego człowieka. Robią to zresztą po dziś dzień. Wydaje mi się jednak, że te dinozaury były co najmniej dwukrotnie szybsze.

– Jak gepardy – uzupełnił Malcolm. – Dziewięćdziesiąt, może nawet sto kilometrów na godzinę.

– Właśnie.

– Odniosłem wrażenie, że szybkością reakcji dorównują ptakom.

– Ja też.

W świecie zwierzęcym równie błyskawiczny refleks mają jedynie niewielkie ssaki, takie jak na przykład mangusta oraz, rzecz jasna, ptaki, jak choćby odżywiający się wężami sekretarz lub gadożer.

– A więc te welociraptory wyglądają jak gady, ale poruszają się jak ptaki, mają też ich szybkość oraz inteligencję?

– Rzeczywiście – przyznał Grant. – Powiedziałbym, że wykazują wiele zróżnicowanych cech.

– Czy to pana dziwi?

– Nie bardzo. Raczej potwierdza wniosek, do jakiego paleontolodzy doszli już bardzo dawno temu.

Kiedy w latach 20. i 30. XIX wieku natrafiono po raz pierwszy na gigantyczne skamieliny, uczeni starali się wyjaśnić pochodzenie tych kości twierdząc, iż należały do nadmiernie wyrośniętego, żyjącego także współcześnie zwierzęcia. Takie nastawienie brało się z przekonania, że ani jeden gatunek nie mógł ulec całkowitej zagładzie, ponieważ Bóg nie pozwoliłby wyginąć żadnemu ze Swoich dzieł.

Ostatecznie jednak okazało się, iż kości należały do wymarłych zwierząt. Ale do jakich?

W roku 1842 Richard Owen, czołowy brytyjski anatom tamtego okresu, nazwał je *Dinosauria*, co oznacza „okropne jaszczury". Owen uznał, iż stworzenia te prezentowały połączone cechy jaszczurek, krokodyli oraz ptaków. Szczególnie kości biodrowe przypominały kości ptaków, a w przeciwieństwie do jaszczurek wiele dinozaurów poruszało się w postawie pionowej. Owen wyobrażał je sobie jako szybkie, aktywne istoty, i jego poglądy były powszechnie akceptowane przez następne czterdzieści lat.

Jednak w chwili, kiedy znaleziono naprawdę ogromne szkielety, należące do zwierząt ważących za życia nawet ponad sto ton, uczeni zaczęli propagować wizerunek dinozaurów jako głupich, ociężałych olbrzymów z góry skazanych na wymarcie. Wkrótce taki właśnie obraz na długie lata wyparł pierwotne wyobrażenia, lecz ostatnio niektórzy naukowcy, w tym także Grant, zaczęli skłaniać się ku opinii, według której dinozaury prowadziły znacznie bardziej aktywny tryb życia, niż powszechnie sądzono. Wielu jego kolegów uważało, że przesadza, ale teraz on sam zdumiewał się, iż w zderzeniu z rzeczywistością jego poglądy okazały się jeszcze za mało śmiałe.

– Właściwie chciałem zapytać, czy to zwierzę jest według pana wiernie odtworzone? Czy to na pewno jest dinozaur?

– Tak mi się wydaje.

– A skoordynowany, grupowy atak...

– ...był czymś, czego należało się spodziewać – dokończył Grant. – Według ustaleń dokonanych na podstawie wykopalisk, stada raptorów polowały nawet na zwierzęta ważące ponad pół tony, takie jak *Tenontosaurus*, który mógł biec z prędkością konia. Bez współpracy byłoby to niemożliwe.

– Jak one to robią? Przecież nie posługują się żadnym językiem.

– Po to, żeby wspólnie przeprowadzić polowanie, wcale nie trzeba posługiwać się językiem – odezwała się Ellie. – Dowodem na to są choćby szympansy. Grupa szympansów potrafi osaczyć i zabić mniejszą małpę porozumiewając się wyłącznie wzrokiem.

– Czy te dinozaury rzeczywiście nas zaatakowały?

– Tak.

– Zabiłyby nas i pożarły, gdyby miały taką możliwość? – pytał dalej Malcolm.

– Tak mi się wydaje.

– Pytam dlatego, że powiedziano mi kiedyś, iż wielkie drapieżniki, takie jak lwy i tygrysy, bardzo niechętnie atakują ludzi. Czynią to tylko wtedy, jeśli przy jakiejś okazji przekonają się, jak łatwo jest zabić człowieka.

– Chyba ma pan rację.

– Wydawałoby się, że dinozaury powinny mieć przed człowiekiem jeszcze większy respekt niż lwy i tygrysy. Bóg jeden wie, co myślą sobie na nasz widok. Dlatego właśnie zastanawiam się, czy przypadkiem nie zdążyły się już w jakiś sposób dowiedzieć, że stanowimy dla nich łatwą zdobycz?

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Jakkolwiek jest naprawdę – odezwał się ponownie Malcolm – nie mogę się doczekać wizyty w dyspozytorni.

Wersja 4.4

– Miałeś z nimi jakieś problemy? – zapytał Hammond.

– Żadnych – odparł Henry Wu.

– Przyjęli twoje wyjaśnienia?

– A czemu mieliby ich nie przyjąć? Przecież w ogólnym zarysie wszystko jest w najlepszym porządku, śmierdzą tylko szczegóły. Właśnie o nich chciałbym z tobą porozmawiać. Jeśli masz ochotę, możesz potraktować to jako problem natury estetycznej.

John Hammond zmarszczył nos, jakby poczuł jakiś nieprzyjemny zapach.

– Estetycznej? – powtórzył.

Mężczyźni stali w salonie eleganckiego bungalowu Hammonda, usytuowanego wśród palm w północnej części parku. W klimatyzowanym, obszernym pomieszczeniu znajdowało się kilka monitorów pokazujących zwierzęta przebywające na swoich wybiegach. Na stoliku do kawy leżała teczka opatrzona podpisem: HODOWLA; WERSJA 4.4, którą przyniósł Henry Wu.

Hammond spoglądał na niego z dobroduszną wyrozumiałością. Trzydziestotrzyletni Wu uświadomił sobie nagle, że od początku swojej zawodowej kariery był związany z Hammondem, który zatrudnił go zaraz po studiach.

– Ma się rozumieć, są także praktyczne konsekwencje – dodał Wu. – Jestem całkowicie przekonany, że powinieneś uwzględnić moją opinię. Musimy jak najprędzej przystąpić do realizacji drugiego etapu i zająć się wersją 4.4.

– Chcesz wymienić wszystkie zwierzęta?

– Owszem.

– Ale dlaczego? Czy coś jest z nimi nie w porządku?

– Nic – odparł Wu. – Z wyjątkiem tego, że są prawdziwymi dinozaurami.

– Przecież właśnie o to mi chodziło, Henry – powiedział Hammond z uśmiechem. – A ty dałeś mi dokładnie to, czego oczekiwałem.

– Wiem. Ale, widzisz.... – Zawiesił głos. W jaki sposób ma to wyjaśnić Hammondowi? Milioner bardzo rzadko pojawiał się na wyspie, a sytuacja, o której chciał go poinformować Henry, była szczególnej natury. – Do tej pory nikt na świecie nie miał do czynienia z autentycznymi dinozaurami, więc nikt nie może wiedzieć, jakie one naprawdę są.

– No, tak, ale...

– Nasze dinozaury są najprawdziwsze na świecie – przerwał mu Wu, wskazując na monitory – ale pod wieloma względami nie spełniają oczekiwań. Wydaje mi się, że mógłbym je ulepszyć.

– W jaki sposób?

– Po pierwsze, poruszają się zbyt szybko. Ludzie nie są przyzwyczajeni do tego, żeby wielkie zwierzęta biegały z tak dużą prędkością. Niektórzy mogą podejrzewać, że oglądają kukły poruszające się w przyśpieszonym tempie.

– Przecież sam powiedziałeś, że one są prawdziwe!

– Wiem, ale bez trudu udałoby nam się wyhodować powolniejsze, bardziej udomowione dinozaury.

– Udomowione? – parsknął Hammond. – A komu są potrzebne udomowione dinozaury? Ludzie chcą autentyzmu, Henry.

– Właśnie do tego zmierzam – odparł Wu. – Moim zdaniem jest akurat odwrotnie. Ludzie chcą potwierdzenia swoich oczekiwań, a to jest zupełnie inna sprawa.

Hammond zmarszczył brwi.

– John, sam wielokrotnie powtarzałeś, że ten park ma służyć rozrywce – ciągnął Wu. – Rozrywka nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Zaryzykowałbym wręcz twierdzenie, że stanowi jej antytezę.

Hammond westchnął ciężko.

– Henry, czy koniecznie musimy odbyć kolejną abstrakcyjną dyskusję? Przecież wiesz, że zależy mi na tym, by wszystko było jak najprostsze. Nasze dinozaury są prawdziwe, więc...

– Niezupełnie – wpadł mu w słowo Wu, przechadzając się po salonie. W pewnej chwili przystanął i spojrzał na monitory. – Powinniśmy przestać się oszukiwać, John. Nie udało nam się stworzyć tego, co było w przeszłości. Przeszłość odeszła i już nigdy nie wróci. My tylko zrekonstruowaliśmy jej uproszczoną wersję. Moim zdaniem jest szansa, aby to naprawić.

– Żeby była lepsza niż prawdziwa?

– Dlaczego nie? Przecież te zwierzęta już zostały zmodyfikowane. Wprowadziliśmy nowe geny, żeby móc je opatentować i uzależnić od lizyny, a także po to, by maksymalnie przyśpieszyć ich dojrzewanie.

Hammond wzruszył ramionami.

– To było nie do uniknięcia. Nie mamy czasu. Musimy liczyć się z opinią inwestorów.

– Oczywiście. Dlatego właśnie pytam: dlaczego mielibyśmy zatrzymać się w tym miejscu? Dlaczego nie zrobić jeszcze jednego kroku i stworzyć dokładnie takiego dinozaura, jakiego chcielibyśmy oglądać? Takiego, który bardziej podobałby się zwiedzającym, a nam przysparzałby mniej problemów? Powolniejszego i bardziej łagodnego, w sam raz do naszego Parku.

Hammond ponownie zmarszczył brwi.

– Ale wtedy te dinozaury nie byłyby prawdziwe – zauważył.

– One już teraz nie są prawdziwe – odparł Wu. – Cały czas usiłuję ci to uświadomić. Nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

Wzruszył bezradnie ramionami, gdyż zorientował się, że jego argumenty trafiają w pustkę. Hammond nigdy nie interesował się technicznymi szczegółami, a sprawa była właśnie natury technicznej. W jaki sposób ma mu opowiedzieć o lukach w łańcuchu DNA, które koniecznie trzeba było wypełnić? Wu działał najostrożniej, jak tylko potrafił, niemniej jednak znaczna część jego decyzji opierała się na domysłach – co prawda, miały one solidne podstawy, ale mimo wszystko były to tylko domysły.

DNA dinozaurów przypominało stare fotografie, które poddano starannemu retuszowi: właściwie niczym nie różniły się od oryginału, lecz wiele miejsc zostało dorysowanych i poprawionych, w wyniku czego...

– Daj spokój, Henry – powiedział Hammond, obejmując go ramieniem. – Nie obraź się, ale wydaje mi się, że zupełnie niepotrzebnie wpadasz w panikę. Od bardzo długiego czasu tyrasz jak wół, odwaliłeś kawał dobrej roboty, a teraz wreszcie nadszedł czas, aby zademonstrować paru osobom twoje dokonania. Nic dziwnego, że się denerwujesz i masz różne wątpliwości. Ja jednak jestem całkowicie pewien, że świat będzie zachwycony.

Przez cały czas Hammond delikatnie popychał go w kierunku drzwi. Mimo to Wu nie dawał za wygraną.

– Pomyśl o jednym, John. Pamiętasz, jak w 1987 zaczęliśmy budować wybiegi dla zwierząt? Wtedy nie mieliśmy jeszcze dorosłych osobników, więc musieliśmy opierać się wyłącznie na naszych przewidywaniach. Zamówiliśmy potężne pałki elektryczne, samochody do poganiania bydła z zainstalowanymi ościeniami, strzelby miotające sieci – wszystko zgodnie z obliczeniami. Teraz dysponujemy ogromnym magazynem rzeczy, z których żadna nie działa wystarczająco szybko, aby sprostać sytuacji. Koniecznie musimy temu przeciwdziałać. Wiesz przecież, że Muldoon domaga się wojskowego wyposażenia – bazook i pocisków sterowanych laserem.

– Tylko nie mieszaj w to Muldoona – warknął Hammond. – Nie widzę powodu do obaw, Henry. To po prostu zwykłe zoo.

Zadzwonił telefon i Hammond ruszył do aparatu. Wu rozpaczliwie szukał czegoś, co pozwoliłoby mu przekonać milionera, ale prawda wyglądała w ten sposób, że teraz, po pięciu długich latach, budowa Parku zbliżała się do końca, a John Hammond ogłuchł na wszelkie argumenty.

Dawniej sprawy miały się zupełnie inaczej. Hammond szczególnie chętnie słuchał Henry'ego zaraz po tym, jak go zaangażował; Wu miał wówczas dwadzieścia osiem lat, był świeżo po studiach i pracował nad doktoratem na Uniwersytecie Stanford pod kierunkiem Normana Athertona.

Śmierć Athertona pogrążyła jego współpracowników w rozpaczy, a katedrę w chaosie. Nikt nie wiedział, co się stanie z dotacjami ani z otwartymi już przewodami doktorskimi. Nagle ludzie stracili grunt pod nogami i nikt już nie mógł być pewien przyszłości.

Dwa tygodnie po uroczystościach pogrzebowych do Henry'ego Wu zgłosił się John Hammond. Wszyscy wiedzieli, że Atherton utrzymywał z nim dość. bliskie kontakty, choć ich natura pozostawała tajemnicą. Hammond zwrócił się do Wu z bezpośredniością, której ten nigdy nie zapomniał.

– Norman zawsze powtarzał mi, że jest pan jego najlepszym genetykiem – powiedział. – Jakie ma pan teraz plany?

– Nie wiem. Chciałbym nadal prowadzić pracę naukową.

– Stara się pan o zatrudnienie na uczelni?

– Tak.

– To błąd – stwierdził stanowczo Hammond. – Oczywiście zakładając, że szanuje

pan swoje zdolności.

Wu zamrugał niepewnie.

– Dlaczego?

– Spójrzmy prawdzie w oczy: uniwersytety przestały już pełnić rolę intelektualnych centrów tego kraju. Ten pomysł zresztą od samego początku był całkowicie niedorzeczny. Uczelnie zostały daleko z tyłu. Niech pan nie będzie taki zdziwiony, przecież nie mówię niczego, o czym by pan nie wiedział. Poczynając od drugiej wojny światowej wszystkich ważniejszych odkryć dokonano w prywatnych laboratoriach. Laser, tranzystor, szczepionka przeciwko paraliżowi dziecięcemu, mikroprocesor, holografia, komputer osobisty, badanie metodą rezonansu magnetycznego – tę listę można wydłużać bez końca. Ani jedna z tych rzeczy nie powstała na uniwersytecie. Jeżeli ktoś chce coś osiągnąć w elektronice albo genetyce, na pewno nie wiąże swojej przyszłości z wyższą uczelnią.

Wu chciał coś odpowiedzieć, ale zaniemówił ze zdumienia.

– Dobry Boże, przez co musi pan przejść, kiedy chce pan zacząć jakieś nowe badania? – ciągnął Hammond. – Ile podań o dotacje trzeba napisać, ile zgód uzyskać? Komitet naukowy? Dziekan wydziału? Skarbnik uczelni? A w jaki sposób zdobywa pan nowe pomieszczenia, jeżeli są potrzebne? Albo nowych asystentów? Ile to zajmuje czasu? Wybitny człowiek nie może tracić cennego czasu na wypełnianie formularzy i uczęszczanie na posiedzenia różnych komitetów. Życie jest zbyt krótkie, a łańcuch DNA za długi. Jeżeli chce pan zostawić po sobie jakiś ślad i naprawdę coś osiągnąć, to proszę trzymać się z daleka od uniwersytetów!

W tamtych czasach Henry'emu szalenie zależało na tym, żeby zostawić po sobie jakiś ślad. Słuchał Hammonda z zapartym tchem.

– Ja mówię o prawdziwej pracy, o autentycznych osiągnięciach – parł naprzód Hammond. – Czego uczony potrzebuje do pracy? Czasu i pieniędzy. Proponuję panu pięcioletni kontrakt i dziesięć milionów dolarów rocznie na badania. W sumie pięćdziesiąt milionów, i tylko pan decyduje, na co je wydać. Tylko pan. Nie trzeba się liczyć z nikim ani niczym.

Brzmiało to zbyt pięknie, aby mogło być prawdziwe. Wu milczał przez długą chwilę, po czym zapytał:

– W zamian za co?

– Za próbę porwania się na niemożliwe. Za próbę zrobienia czegoś, czego prawdopodobnie nie da się zrobić.

– W jakiej dziedzinie?

– Na razie nie podani panu żadnych szczegółów, ale zdradzę tyle, że w grę będzie wchodzić klonowanie gadów.

– Nie wydaje mi się, żeby to było niemożliwe – odparł Wu.– Z gadami pójdzie znacznie łatwiej niż z ssakami. Myślę, że powinno się udać już za jakieś dziesięć, może piętnaście lat – naturalnie zakładając, że wcześniej dokona się znaczący postęp w kilku dziedzinach.

– Ja mam tylko pięć lat i mnóstwo pieniędzy dla kogoś, kto odważy się na to porwać już dzisiaj.

– Czy będę mógł opublikować wyniki mojej pracy?
– Po pewnym czasie.
– Nie od razu?
– Nie.
– Ale kiedyś na pewno?
Hammond wybuchnął śmiechem.
– Proszę się nie obawiać. Jeżeli się panu uda, cały świat dowie się o pańskim sukcesie. Obiecuję to panu.

* * *

Wszystko wskazywało na to, że ta chwila właśnie nadeszła. Po pięciu latach nadzwyczajnych wysiłków już tylko rok dzielił ich od chwili, kiedy Park zostanie udostępniony publiczności. Rzecz jasna, nie wszystko w ciągu tych pięciu lat przebiegało zgodnie z obietnicami Hammonda. Wu musiał się liczyć ze zdaniem wielu osób, kilkakrotnie wywierano na niego potężny nacisk, a sama praca także miała nieco inny charakter, niż się spodziewał. Szybko okazało się bowiem, że dinozaury są znacznie bardziej podobne do ptaków niż do gadów. Opracowanie metody klonowania ich było bez wątpienia trudniejszym zadaniem. Na domiar złego przez ostatnie dwa lata Wu właściwie pełnił funkcję administratora, nadzorując zespoły badawcze oraz sterowane komputerowo sekwensery genów. Nie czuł się dobrze w tej roli, tym bardziej że wcale o nią nie zabiegał.

Mimo to odniósł sukces. W krótkim czasie uzyskał efekty, w których osiągnięcie tak naprawdę chyba nikt nie wierzył. W związku z tym uważał, że wszyscy powinni się liczyć z jego zdaniem, a tymczasem przekonywał się, iż jego wpływy słabną z każdym mijającym dniem. Dinozaury już istniały, technologia powoływania ich do życia została opanowana, więc John Hammond nie potrzebował już Henry'ego Wu.

– Bardzo dobrze – powiedział Hammond do telefonu. Przez chwilę słuchał w milczeniu, po czym uśmiechnął się do Henry'ego. – Tak, tak. Znakomicie. – Odłożył słuchawkę. – Na czym skończyliśmy, Henry?
– Mówiliśmy o drugim etapie.
– Ach, tak. Zdaje się, że już parę razy poruszaliśmy ten temat...
– Wiem, ale ty nie zdajesz sobie sprawy, że...
– Jeśli można, Henry – przerwał mu Hammond z nutą niecierpliwości w głosie. – Doskonale zdaję sobie ze wszystkiego sprawę i szczerze mówiąc nie widzę żadnego powodu, dla którego mielibyśmy poprawiać naturę. Zmiany, jakie wprowadziliśmy do tej pory, wynikały wyłącznie z wymagań prawa lub konieczności. Być może w przyszłości wprowadzimy kolejne, na przykład po to, by uodpornić zwierzęta przeciwko jakiejś chorobie, ale nie wydaje mi się, byśmy powinni ingerować tylko dlatego, że sądzimy, iż tak będzie lepiej. Mamy prawdziwe dinozaury i ludzie właśnie je chcą zobaczyć. To właśnie powinni zobaczyć. Musimy się tego trzymać, Henry, jeśli chcemy być uczciwi.
Hammond uśmiechnął się i otworzył przed nim drzwi.

Stan rzeczy

Grant spoglądał na monitory stłoczone w zaciemnionym pokoju i czuł rosnącą irytację. Nie lubił komputerów. Zdawał sobie sprawę, że takie nastawienie czyni go nieco staroświeckim, lecz niewiele go to obchodziło. Niektórzy ze współpracujących z nim studentów mieli prawdziwą smykałkę do tych urządzeń, ale nie on. Zawsze uważał komputery za obce, tajemnicze maszyny. Nie bardzo potrafił nawet dokonać podstawowego rozróżnienia między systemem operacyjnym a programem użytkowym, gdyż szybko tracił orientację w obcym, nieznanym terenie. Zauważył jednak, że Gennaro czuje się w tym pomieszczeniu zupełnie swobodnie, natomiast dla Malcolma było to chyba jego naturalne środowisko, gdyż matematyk spoglądał na wszystko roziskrzonym wzrokiem i posapywał cicho niczym pies myśliwski, który zwietrzył zapach krwi.

– Chcecie dowiedzieć się czegoś o naszych mechanizmach kontrolnych? – zapytał John Arnold, odwracając się w stronę gości na obrotowym fotelu. Główny inżynier był szczupłym, skupionym, palącym jak lokomotywa mężczyzną w wieku około czterdziestu pięciu lat. – Mamy niewiarygodne mechanizmy kontrolne – oznajmił, po czym zapalił kolejnego papierosa.

– Na przykład? – zainteresował się Gennaro.

– Na przykład monitorowanie ruchów zwierząt. – Arnold nacisnął jeden z przycisków na konsolecie i pionowa szklana mapa rozjarzyła się nieregularną siecią błękitnych linii. – To nasz młody t–rex, a dokładniej trasa, jaką pokonał w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin. – Arnold znowu nacisnął guzik. – Dwadzieścia cztery godziny wcześniej. – Nacisnął po raz trzeci. – I jeszcze wcześniej.

Siatka linii stała się bardzo gęsta, ale dzięki temu łatwiej można było zauważyć, że największe ich nagromadzenie znajduje się w pobliżu południowo–wschodniego brzegu laguny.

– Po pewnym czasie można bardzo łatwo określić jego terytorium – powiedział Arnold. – Jest młody, więc trzyma się blisko wody, a jednocześnie stara się nie wchodzić w drogę dorosłemu osobnikowi. Gdybyśmy porównali trasy ich wędrówek, okazałoby się, że nigdy się nie przecinają.

– Gdzie jest teraz duży rex? – zapytał Gennaro.

Arnold wcisnął kolejny guzik. Błękitne linie zniknęły, a zamiast nich na północny zachód od laguny pojawił się samotny, jasny punkt opatrzony literowo–cyfrowym kodem.

– Tutaj.

– A mały?

– Do licha, mogę wam pokazać każde zwierzę, jakie mamy w parku. – Mapa rozjarzyła się jak choinka. Każdemu z dziesiątków kolorowych punkcików towarzyszyła zakodowana informacja dotycząca jego tożsamości. – Dokładnie

dwieście trzydzieści osiem sztuk.

– Na ile precyzyjnie jest określone ich położenie?

– Z dokładnością do półtora metra. – Arnold zaciągnął się dymem. – Ujmijmy to w ten sposób: gdybyście wsiedli teraz do samochodu i pojechali zwiedzać Park, znaleźlibyście wszystkie zwierzaki dokładnie tam, gdzie widzicie je na mapie.

– Jak często uaktualnia się te dane?

– Co trzydzieści sekund.

– Imponujące – stwierdził Gennaro. – Jak to robicie?

– Na terenie Parku są zainstalowane czujniki reagujące na ruch – wyjaśnił główny inżynier. – Większość jest na stałe podłączona do sieci, z niektórymi mamy łączność radiową. Rzecz jasna, czujniki nie rozpoznają gatunku zwierzęcia, ale te dane uzyskujemy z przekazu wizyjnego. Komputer bez przerwy kontroluje monitory i sprawdza, gdzie co jest.

– Czy nigdy się nie myli?

– Tylko wtedy, jeśli chodzi o młode osobniki. Wówczas zdarza się, że popełnia błąd, ale to nie stanowi powodu do obaw, ponieważ młode najczęściej trzymają się w pobliżu dorosłych, więc szybko możemy skorygować pomyłkę. Poza tym cały czas kontrolujemy liczbę zwierząt uwzględniając podział na kategorie.

– To znaczy?

– Co piętnaście minut komputer liczy zwierzęta dokonując jednocześnie podziału gatunkowego. O, proszę.

Całkowita liczba zwierząt			**238**
Gatunek	Powinno być	Jest	Wersja
Tyranozaury	2	2	4,1
Maiazaury	21	21	3,3
Stegozaury	4	4	3,9
Triceratopsy	8	8	3,1
Procompsognaty	49	49	3,9
Otnielie	16	16	3,1
Welociraptory	8	8	3,0
Apatozaury	17	17	3,1
Hadrozaury	11	11	3,1
Dilofozaury	7	7	4,3
Pterozaury	6	6	4,3
Hypsilofodonty	33	33	2,9
Euoplocefale	16	16	4,0
Styracozaury	18	18	3,9
Mikroceratopsy	22	22	4,1
Łącznie	238	238	

– Jak widzicie, w tym przypadku zastosowaliśmy całkowicie odmienną procedurę, nie polegającą na mechanicznym liczeniu egzemplarzy – ciągnął Arnold. – To coś jakby spojrzenie z zupełnie innej strony. Komputer nie może popełnić błędu, ponieważ porównuje dane, które zbiera na dwa różne sposoby. Gdyby okazało się, że brakuje jakiegoś zwierzęcia, wiedzielibyśmy o tym już po pięciu minutach.

– Rozumiem... – mruknął Malcolm. – Czy kiedykolwiek sprawdzono działanie tej metody?

– W pewnym sensie – odparł inżynier. – Z różnych powodów kilka zwierząt padło na wybiegach – jeden ze stegozaurów miał kłopoty z żołądkiem, hypsilofodont

upadł i skręcił sobie kark – i za każdym razem, kiedy dinozaur przestawał się poruszać, komputer wszczynał alarm.

– W ciągu pięciu minut?

– Zgadza się.

– A co oznacza pierwsza kolumna z prawej strony? – zapytał Grant.

– Kolejne wersje zwierząt. Najnowsze to 4.1 i 4.3. Obecnie zastanawiamy się nad przejściem do wersji 4.4.

– Kolejne wersje? Tak jak w programach komputerowych?

– W pewnym sensie nasze dinozaury i programy komputerowe są do siebie bardzo podobne – odparł Arnold. – W miarę jak odkrywamy błędy w zrekonstruowanym łańcuchu DNA, laboratoria doktora Wu wypuszczają nowe, udoskonalone wersje.

Pomysł, żeby traktować żywe istoty jak programy komputerowe, w miarę potrzeb poprawiając je i zmieniając, nie przypadł zbytnio Grantowi do gustu. Co prawda nie potrafiłby powiedzieć dlaczego, niemniej jednak instynktownie czuł, że coś jest nie w porządku. Bądź co bądź to przecież żywe stworzenia...

Arnold chyba zauważył jego zdegustowaną minę, gdyż zwrócił się bezpośrednio do niego:

– Doktorze Grant, nie ma co się roztkliwiać nad tymi zwierzakami. Cały czas powinniśmy pamiętać, że zostały zrekonstruowane przez człowieka. Czasem zdarzają się błędy, więc w miarę ich ujawniania, doktor Wu tworzy nowe, ulepszone warianty, a my musimy mieć pewność, z którymi wersjami mamy aktualnie do czynienia.

– Tak, tak, oczywiście – przerwał mu Malcolm ze zniecierpliwieniem. – Jednak, wracając do tego pomysłu z liczeniem... Zakładam, że podstawową rolę odgrywają tu czujniki reagujące na ruch?

– Zgadza się.

– I te czujniki są zainstalowane na całym obszarze Parku?

– Zasięg ich działania obejmuje 92 procent powierzchni lądowej – odparł Arnold. – Jest kilka miejsc, w których nie możemy ich używać – na przykład wzdłuż biegu rzeki, ponieważ ciągły ruch wody powoduje fałszywe alarmy i wysoką awaryjność – ale poza tym mamy je prawie wszędzie. Jeżeli komputer zarejestruje, że jakieś zwierzę weszło do martwej strefy, zapamięta to i później będzie go szukał. Jeśli nie znajdzie, natychmiast nas o tym zawiadomi.

– Komputer podał, że macie czterdzieści dziewięć procompsognatów. Przypuśćmy, iż podejrzewam, że w rzeczywistości część z nich należy do innego gatunku. Jak przekonalibyście mnie, że się mylę?

– Na dwa sposoby. Po pierwsze, mogę kontrolować ruchy poszczególnych osobników. Procompsognaty są bardzo towarzyskimi zwierzakami, zawsze trzymają się w dużej grupie. Obecnie mamy w Parku dwa stada, a więc każdy z osobników powinien być albo w jednym, albo w drugim.

– Owszem, ale...

– Drugi sposób polega na bezpośredniej wizualnej weryfikacji. – Arnold nacisnął

kilka klawiszy i jeden z monitorów zaczął pokazywać szybko zmieniające się, ponumerowane od 1 do 49, wizerunki dinozaurów.

– Te zdjęcia to...

– Coś w rodzaju najświeższych dowodów tożsamości. Wszystkie wykonano w ciągu minionych pięciu minut.

– A więc możecie zobaczyć na ekranie każde zwierzę, jeśli tylko zechcecie?

– Tak. Kiedy tylko przyjdzie mi ochota, mogę dokonać przeglądu wszystkich zwierząt znajdujących się na terenie parku.

– A co z ograniczeniem swobody poruszania? – zapytał Gennaro. – Czy nie istnieje niebezpieczeństwo, że uda im się wydostać z ich wybiegów?

– W żadnym wypadku – stwierdził stanowczo Arnold. – To są bardzo drogie zwierzęta, panie Gennaro, więc starannie się nimi opiekujemy. Stworzyliśmy kilka systemów zabezpieczeń. Po pierwsze, fosy. – Ponownie dotknął klawiatury i na przezroczystej mapie pojawił się gąszcz pomarańczowych kresek. – Wszystkie mają co najmniej cztery metry głębokości i są wypełnione wodą. Wokół wybiegów większych zwierząt głębokość fos dochodzi do dziewięciu metrów. Po drugie, płoty elektryczne. – Tym razem linie na mapie miały barwę jaskrawoczerwoną. – Osiemdziesiąt kilometrów wysokiego na cztery metry ogrodzenia, w tym trzydzieści osiem dokoła całej wyspy. Napięcie w ogrodzeniach wynosi dziesięć tysięcy woltów.

– Zakładając jednak, że któremuś udałoby się wydostać... – nie ustępował Gennaro.

Arnold parsknął ze zniecierpliwieniem i zdusił niedopałek papierosa.

– Naturalnie, mówimy o czysto hipotetycznej sytuacji – dodał szybko Gennaro. – Co by się wtedy stało?

Muldoon odchrząknął, po czym po raz pierwszy zabrał głos:

– Sprowadzilibyśmy je z powrotem. Mamy swoje sposoby: ogłuszacze, sieci, środki usypiające. Wszystkie zupełnie nieszkodliwe, bo jak powiedział pan Arnold, to są bardzo drogie zwierzęta.

Gennaro skinął głową.

– A gdyby któreś zdołało uciec z wyspy?

– Zdechłoby w ciągu niespełna dwunastu godzin. Te zwierzęta zostały starannie zaprogramowane. Nie mogłyby żyć na wolności.

– Jak przedstawia się sprawa z samym systemem kontrolnym? – zapytał Gennaro. – Czy nie istnieje niebezpieczeństwo ingerencji z zewnątrz?

Arnold potrząsnął głową.

– System został odpowiednio zabezpieczony. Komputer jest całkowicie niezależny od świata zewnętrznego: ma nie tylko własne zasilanie główne, ale i awaryjne. System nie ma żadnych połączeń zewnętrznych, więc nie można się do niego dobrać poprzez modem. – Umilkł na chwilę, wydmuchnął kłąb papierosowego dymu, po czym dodał: – To dobry system. To cholernie dobry system.

– W takim razie należy przypuszczać, że nie macie tu najmniejszych problemów – zauważył Malcolm.

Główny inżynier uniósł brwi.

– Mamy nie kończące się problemy, ale żaden z nich nie dotyczy spraw, które was niepokoją – powiedział. – Odniosłem wrażenie, iż najbardziej obawiacie się tego, że zwierzęta przedostaną się w jakiś sposób na kontynent i narobią tam bigosu. Otóż my zupełnie się tym nie przejmujemy. Traktujemy je jako szalenie delikatne i wrażliwe stworzenia, przywrócone do życia po sześćdziesięciu pięciu milionach lat w świecie, który ogromnie różni się od tego, jaki opuściły i do jakiego były przyzwyczajone. Staramy się otoczyć je jak najbardziej troskliwą opieką.

Ludzie od setek lat trzymają w ogrodach zoologicznych zarówno ssaki, jak i gady. Wiemy, jak należy troszczyć się o słonia albo krokodyla. Tak się jednak składa, że nikt do tej pory nie trzymał w zoo dinozaura. To zupełnie nowe zwierzęta, które mało znamy. Najwięcej problemów sprawiają nam ich choroby.

Gennaro podskoczył jak dźgnięty nożem.

– Choroby? Czyżby istniało niebezpieczeństwo zarażenia zwiedzających?

Arnold ponownie parsknął ze zniecierpliwieniem.

– Panie Gennaro, czy kiedykolwiek złapał pan przeziębienie od aligatora? Dyrektorzy ogrodów zoologicznych nie biorą pod uwagę takiej ewentualności, więc my też nie musimy tego robić. Przejmujemy się natomiast tym, że zwierzęta umierają na różne choroby albo zarażają innych mieszkańców Parku. Chciałby pan zobaczyć kartę zdrowia tyranozaura? Świadectwa szczepień? Weterynarzy czyszczących mu zęby, żeby nie dostał próchnicy?

– Może nie teraz – odparł Gennaro. – Będziecie tu urządzali przejażdżki dla turystów, jak w lunaparku?

– To jest ogród zoologiczny, proszę pana. Wytyczyliśmy trasy, którymi będzie odbywało się zwiedzanie jego poszczególnych części. Objazd takiej trasy nazywamy przejażdżką, i to wszystko.

Grant zmarszczył brwi. Ponownie poczuł trudny do wytłumaczenia niepokój. Nie spodobał mu się pomysł wykorzystywania dinozaurów jako atrakcji w lunaparku.

Tymczasem Malcolm zadawał pytania.

– Czy z tego pomieszczenia można kierować całym Parkiem?

– Owszem – odparł Arnold. – Jeśli zachodzi taka konieczność, mogę to robić nawet zupełnie sam, tyle tu automatyki. Przez 48 godzin komputer potrafi samodzielnie śledzić ruchy zwierząt, sterować ich karmieniem i podawaniem wody.

– Ten system stworzył pan Nedry, prawda?

Dennis Nedry siedział przy terminalu w najdalszym kącie pokoju, zajadał czekoladowy baton i stukał w klawiaturę.

– Zgadza się – powiedział, nie odrywając wzroku od ekranu monitora.

– To wspaniały system – stwierdził z dumą Arnold.

– Zgadza się – powtórzył obojętnie Nedry. – Trzeba tylko naprawić parę drobnych błędów.

– Chyba za chwilę rozpocznie się zwiedzanie samego Parku, więc jeżeli nie macie więcej pytań...

– Jeszcze tylko jedno – przerwał Arnoldowi Malcolm. – Pokazał nam pan, że może śledzić poruszenia procompsognatów oraz obejrzeć każdego z nich na ekranie.

Czy może pan także badać je jako grupę? Na przykład zmierzyć je, albo coś w tym rodzaju. Powiedzmy, że chciałbym poznać ich średnią wagę, wzrost albo...

Nie czekając, aż matematyk skończy, Arnold nacisnął kilka klawiszy. Na ekranie monitora pojawił się wykres.

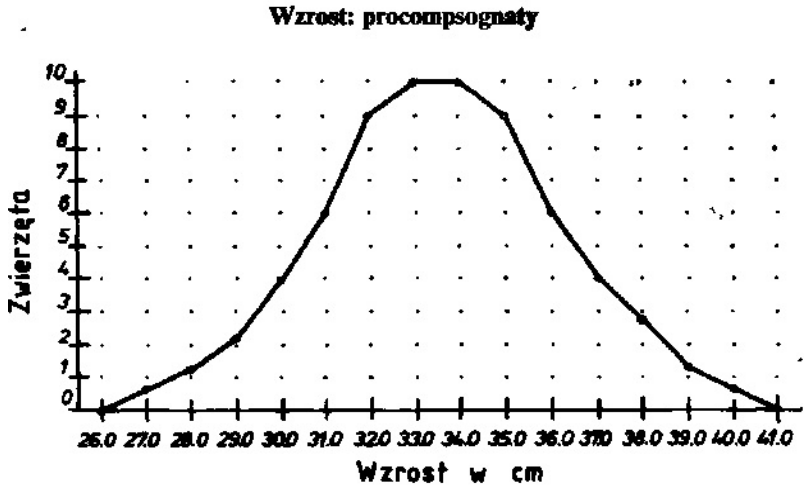

– Możemy to wszystko zrobić w bardzo krótkim czasie – wyjaśnił. – Komputer przeprowadza pomiary za każdym razem, kiedy analizuje obraz z kamer, więc mamy łatwy dostęp do tych danych. Jak widzicie, jest to typowa krzywa dla populacji zwierząt. Z wykresu wynika, że większość osobników mieści się w granicach przeciętnej, a po kilka sztuk jest powyżej albo poniżej.

– Z pewnością oczekiwał pan takiego wyniku – zauważył matematyk.

– Owszem. Każda zdrowa biologicznie populacja daje właśnie taki obraz statystyczny. – Arnold zapalił kolejnego papierosa. – Są jeszcze jakieś pytania?

– Nie – powiedział Malcolm. – Dowiedziałem się wszystkiego, czego chciałem.

– Moim zdaniem to naprawdę całkiem niezły system – powiedział Gennaro, wychodząc z pomieszczenia. – Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, w jaki sposób jakiemuś zwierzakowi mogłoby się udać uciec z wyspy.

– Naprawdę? – zdziwił się Malcolm. – A mnie wydawało się, że to jest oczywiste.

– Czyżby uważał pan, że coś takiego jednak się stało?

– Jestem tego pewien.

– Ale jak? – zdumiał się Gennaro. – Przecież sam pan wszystko widział. Oni mogą w każdej chwili policzyć wszystkie dinozaury, obejrzeć je, sprawdzić, gdzie aktualnie przebywają... W jaki sposób któryś mógłby uciec?

Malcolm uśmiechnął się.

– To proste – powiedział. – Wszystko zależy od przyjętych założeń.

– Od założeń? – powtórzył Gennaro ze zmarszczonymi brwiami.

– Tak jest. Proszę tylko pomyśleć: najważniejsze w całej tej historii z Parkiem jest to, że uczeni i technicy podjęli próbę stworzenia zupełnie nowego, kompletnego pod względem biologicznym, świata, a teraz, siedząc w dyspozytorni, spodziewają się, że będzie taki sam jak ten, który nas otacza. Miał pan przykład z wykresem wzrostu. Tymczasem wystarczy odrobina zastanowienia, aby dojść do wniosku, że akurat na tej wyspie taki typowy wykres stanowi powód do poważnych obaw.

– Naprawdę?

– Tak. Opierając się na tym, co wcześniej usłyszeliśmy od doktora Wu, powinniśmy oczekiwać całkiem innego wykresu.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ten wykres odnosi się do naturalnej populacji, a czegoś takiego tutaj po prostu nie ma. Jurassic Park nie jest prawdziwym światem, tylko sztucznym, mającym jedynie udawać prawdziwy. W tym sensie rzeczywiście przypomina park, a raczej japoński ogród, gdzie wszystko jest z góry zaplanowane i każda rzecz ma swoje miejsce. Jeśli pan woli, możemy też określić to zjawisko jako próbę upiększenia natury w takim stopniu, aby stała się prawdziwsza od samej siebie.

– Obawiam się, że nie nadążam za panem – powiedział Gennaro ze zniecierpliwieniem.

– Jestem pewien, że po zwiedzeniu wyspy wszystko stanie się dla pana jasne – odparł Malcolm.

Przejażdżka

– Tędy proszę, tędy! – powtarzał Ed Regis. Stojąca przy nim kobieta rozdawała uczestnikom wycieczki korkowe hełmy z małym, błękitnym wizerunkiem dinozaura, opatrzone napisem: „Jurassic Park".

Z podziemnego garażu wyjechało bezszelestnie kilka terenowych toyot i zatrzymało się przed budynkiem. Zarówno miejsca dla pasażerów, jak i dla kierowców były puste. Dwaj ciemnoskórzy mężczyźni w tropikalnych strojach otwierali drzwi aut.

– Od dwóch do czterech pasażerów na jeden samochód, od dwóch do czterech pasażerów na jeden samochód... – powtarzał głos z taśmy. – Dzieci do lat dziesięciu muszą podróżować w towarzystwie dorosłych. Od dwóch do czterech pasażerów na jeden samochód...

Do pierwszej toyoty wsiedli Grant, Sattler i Malcolm, a w chwilę później dołączył do nich Gennaro. Tim spojrzał na siostrę, która stała naburmuszona, uderzając zaciśniętą pięścią w rękawicę.

– Mogę się do nich dosiąść? – zapytał chłopiec, wskazując na pierwszy samochód.

– Obawiam się, że będą chcieli omówić na osobności parę problemów – powiedział Ed Regis. – Technicznych problemów, ma się rozumieć.

Tim nie dawał za wygraną.

– Mnie bardzo interesują techniczne problemy. Chętnie bym z nimi pojechał.

– I tak będziesz mógł słyszeć ich rozmowę. Samochody mają ze sobą stałe połączenie radiowe.

Podjechał drugi pojazd. Wsiedli do niego Tim, Lex oraz Ed Regis.

– Samochody mają napęd elektryczny i poruszają się wzdłuż kabla wbudowanego w nawierzchnię drogi – poinformował ich Regis.

Tim ucieszył się, że przypadło mu miejsce z przodu, ponieważ na tablicy przyrządów toyoty znajdowały się dwa monitory oraz skrzyneczka przypominająca napęd dysków optycznych. Chłopiec dostrzegł także przenośny radiotelefon oraz coś w rodzaju nadajnika. Na dachu zainstalowano dwie anteny, a w schowku leżały jakieś dziwne okulary.

Ciemnoskórzy mężczyźni zatrzasnęli drzwi land cruisera, rozległ się szum elektrycznego silnika i samochód ruszył płynnie z miejsca. Daleko z przodu, w swoim pojeździe, trzej uczeni oraz Gennaro dyskutowali z ożywieniem, wymachując rękami.

– Posłuchajmy, o czym mówią – zaproponował Ed Regis, po czym włączył radio.

– Nie mam pojęcia, co pan tu w ogóle robi, do jasnej cholery! – rozległ się podniesiony głos Gennaro.

– Na szczęście ja wiem to bardzo dokładnie – odparł Malcolm.

– Jest pan tu po to, żeby służyć mi radą, a nie rozwiązywać jakieś szarady! Mam

pięć procent udziałów w tym przedsięwzięciu i muszę ustalić, czy Hammond zrobił wszystko jak należy, a tymczasem pan zjawia się tu nie wiadomo skąd i...

Ed Regis pośpiesznie wdusił przycisk nadawania i powiedział:

– Aby spełnić wymagania dotyczące ochrony środowiska, jakie stawiamy sobie tu, w Parku, zamówiliśmy u Toyoty w Osace te specjalne, elektryczne samochody terenowe. Mamy nadzieję, że pewnego dnia będziemy mogli jeździć nimi wśród zwierząt, tak jak to się dzieje w parkach safari, ale tymczasem proponuję, żebyście wszyscy rozsiedli się wygodnie i oddali przyjemnościom zwiedzania. – Umilkł na chwilę, po czym dodał: – A tak nawiasem mówiąc, to słyszymy waszą rozmowę.

– Niech to szlag trafi! – wybuchnął Gennaro. – Tutaj nie można nawet spokojnie porozmawiać! Nie mam pojęcia, po co on ściągnął te cholerne dzieciaki, ale...

Ed Regis uśmiechnął się złośliwie i nacisnął jeden z guzików na tablicy przyrządów.

– Może zaczniemy już zwiedzanie?

Z ukrytych głośników rozległ się dźwięk fanfar, na ekranach monitorów pojawił się migoczący napis: WITAMY W JURASSIC PARK i usłyszeli donośny głos:

– Witamy w Jurassic Park. Właśnie wkraczacie do zaginionego prehistorycznego świata, rządzonego przez potężne istoty, które już dawno zniknęły z powierzchni ziemi, a które wy teraz będziecie mogli ujrzeć po raz pierwszy na własne oczy.

– To Richard Kiley – poinformował Regis. – Nie oszczędzaliśmy na niczym.

Land cruiser minął kępę niskich, przysadzistych palm.

– Przede wszystkim proponuję zwrócić uwagę na otaczającą was roślinność. Drzewa po prawej i lewej stronie drogi to sagowce, dalecy przodkowie palm. Sagowce stanowiły ulubiony pokarm dinozaurów. Możecie także zauważyć kukliki i palmy sezamowe. W świecie zamieszkanym przez dinozaury żyły również inne znane nam rośliny, takie jak sosny, jodły i cyprysy. Je także zobaczycie podczas naszej przejażdżki.

Toyota sunęła powoli przez gęstą roślinność. Tim zwrócił uwagę, że zadano sobie wiele trudu, aby ukryć przed zwiedzającymi fosy i ogrodzenia z siatki, starając się stworzyć iluzję autentycznej dżungli.

– Często wyobrażamy sobie, że świat dinozaurów zamieszkiwali jedynie olbrzymi wegetarianie, metodycznie pożerający rozległe, wilgotne lasy jury i kredy. Tymczasem większość dinozaurów wcale nie osiągała imponujących rozmiarów. Najmniejsze zaledwie dorównywały wielkością domowemu kotu, a przeciętny dinozaur był wzrostu kucyka. Na początek obejrzymy właśnie zwierzęta średniej wielkości, zwane hypsilofodontami. Jeśli spojrzycie w lewo, być może uda wam się je dostrzec.

Wszyscy spojrzeli w lewo.

Samochód zatrzymał się na szczycie łagodnego wzniesienia, skąd roztaczał się widok na pofałdowany, zalesiony teren, za którym zaczynała się rozległa łąka porośnięta żółtą trawą mniej więcej metrowej wysokości. Nigdzie nie było ani śladu dinozaura.

– Gdzie one są? – zapytała Lex.

Tim przeniósł wzrok na tablicę przyrządów. Zamigotały diody, a z napędu dysków optycznych dobiegł cichy szum. Najwyraźniej pokładowy komputer otrzymał jakieś polecenie z zewnątrz. Chłopiec domyślił się, że za pośrednictwem głównego komputera każdy samochód może uzyskać połączenie z czujnikami i kamerami zainstalowanymi na terenie Parku. Ekran monitora ponownie ożył, prezentując hypsilofodonty oraz podstawowe dane na ich temat.

– W świecie dinozaurów zwierzęta te stanowiły odpowiednik dzisiejszych gazeli. Były małe, zwinne i szybkie, a zamieszkiwały tereny ciągnące się od Anglii do Azji Środkowej i Ameryki Północnej. Swój sukces ewolucyjny zawdzięczały prawdopodobnie silnym szczękom, które umożliwiały mi żucie pożywienia niedostępnego dla innych gatunków. Nazwa hypsilofodont *oznacza „ząb o wysokiej krawędzi", co stanowi nawiązanie do charakterystycznej cechy tych zwierząt, to znaczy samoostrzących się zębów. Możecie zobaczyć dinozaury na łące przed wami lub w koronach drzew.*

– W koronach drzew? – zdumiała się Lex. – Dinozaury na drzewach?

Tim już spoglądał przez lornetkę.

– Po prawej – powiedział nagle. – Mniej więcej w połowie tego wysokiego, zielonego drzewa.

W pocętkowanym plamami słońca cieniu, na gałęzi stało nieruchomo ciemnozielone zwierzę wielkości pawiana. Przypominało wyprostowaną jaszczurkę, a równowagę utrzymywało dzięki długiemu ogonowi.

– To otnielia – powiedział Tim.

– Małe zwierzęta, które widzicie, nazywają się othnieliae *na cześć żyjącego w dziewiętnastym wieku poszukiwacza dinozaurów, Othniela Marsha z Yale.*

Nieco wyżej na tym samym drzewie Tim dostrzegł jeszcze dwa osobniki. Były tej samej wielkości, a żaden nie wykonał najmniejszego ruchu.

– Okropnie nudne – jęknęła Lex. – One zupełnie nic nie robią!

– Główne stado przebywa na łące. Wystarczy nadać zew godowy, aby wywołać jego zainteresowanie.

Z głośnika zainstalowanego przy ogrodzeniu popłynął donośny, nosowy dźwięk, przypominający nieco wołanie gęsi. Niemal natychmiast nad trawą pojawiło się, jedna po drugiej, sześć jaszczurczych głów. Efekt był tak komiczny, że Tim wybuchnął śmiechem.

Głowy zniknęły, ale pojawiły się ponownie natychmiast, jak tylko głos rozległ się po raz drugi. Nawet kolejność, w jakiej wychylały się nad trawę, była identyczna.

– Hypsilofodonty nie należą do najbystrzejszych zwierząt. Pod względem inteligencji dorównują co najwyżej krowie.

Głowy były burozielone, z czarnymi i brązowymi przebarwieniami ciągnącymi się wzdłuż smukłych szyj. Sądząc po ich rozmiarach, tułowie mogły mieć długość około dwóch metrów.

Zwierzęta przeżuwały pokarm, ruszając mocno szczękami. W pewnej chwili jedno z nich podrapało się po głowie pięciopalczastą dłonią, przez co wyglądało tak,

jakby się nad czymś głęboko zastanawiało.

– Dinozaury drapią się dlatego, że mają problemy ze skórą. Nasi uczeni sądzą, że w grę może wchodzić jakiś grzybek lub alergia, ale jeszcze nie są pewni. Bądź co bądź, do tej pory nigdy nie mieli okazji zajmować się żywymi dinozaurami.

Elektryczny silnik samochodu ożył i jednocześnie na moment pisnął klakson. W tym samym ułamku sekundy hypsilofodonty wyskoczyły w górę i rzuciły się do ucieczki, podskakując jak kangury. Prezentowały w całej okazałości masywne ciała z potężnymi tylnymi nogami i grubymi ogonami. Wystarczyło kilka susów, aby zniknęły z pola widzenia.

– Teraz, kiedy już napatrzyliśmy się na tych fascynujących roślinożerców, zajmiemy się nieco większymi zwierzętami. Nawet sporo większymi.

Toyoty ruszyły w dalszą drogę, kierując się ku południowej części Parku.

Stan rzeczy

– Samoczynnie włączają się klaksony – powiedział John Arnold do interkomu w pogrążonej w półmroku dyspozytorni. – Niech mechanicy sprawdzą jeszcze dzisiaj stan połączeń elektrycznych w samochodach BB4 i BB5.

– Tak jest, proszę pana.

– To tylko mało istotny szczegół – powiedział Hammond, wchodząc do pokoju. Gdyby spojrzał przez okno w przeszklonym korytarzu, zobaczyłby dwa land cruisery sunące powoli przez park. Milczący Muldoon stał w kącie pomieszczenia, obserwując monitory.

Arnold odepchnął fotel od głównego pulpitu i odwrócił się w kierunku nowo przybyłego.

– Nie ma czegoś takiego jak mało istotne szczegóły, panie Hammond – odparł, po czym zapalił kolejnego papierosa. I tak zwykle dość nerwowy, ostatnio szczególnie łatwo wpadał w irytację. Nie dawała mu spokoju świadomość, że właśnie teraz odbywa się pierwsze oficjalne zwiedzanie Parku. Ani on, ani nikt z jego zespołu nie wychodził zbyt często na zewnątrz. Inaczej wyglądała sprawa z weterynarzem Hardingiem, oraz opiekunami zwierząt, którzy codziennie zaglądali do paśników, ale i oni najwięcej czasu spędzali w dyspozytorni. Teraz, kiedy pierwsi goście wyruszyli na przejażdżkę po parku, główny inżynier bał się, że nastąpi jakaś niemożliwa do przewidzenia awaria.

John Arnold pod koniec lat 60. brał udział w projektowaniu rakiety „Polaris", ale potem, kiedy jego dziecko przyszło na świat, nabrał obrzydzenia do konstruowania broni. W tym samym czasie Disney zaczął budować w swoich lunaparkach niezwykle wyrafinowane atrakcje, które tworzyli także ludzie zatrudnieni do tej pory w przemyśle zbrojeniowym. Arnold uczestniczył w projektowaniu Świata Disneya w Orlando, a następnie przyczynił się do powstania Magicznej Góry w Kalifornii, Świata Przeszłości w Wirginii oraz Astroświata w Houston.

Pracując od długiego czasu wyłącznie w wesołych miasteczkach zaczai patrzeć na otaczającą go rzeczywistość z przymrużeniem oka. Mawiał czasem pół żartem, pół serio, że cały świat zaczyna przypominać lunapark.

– Paryż to też lunapark – powiedział kiedyś po powrocie z wakacji w Europie – choć zdecydowanie zbyt drogi, a obsługa jest niemiła i ponura.

Przez minione dwa lata Arnold uruchamiał Jurassic Park. Jako inżynier był przyzwyczajony do odległych terminów, ale teraz, kiedy wrzesień przyszłego roku zbliżał się coraz większymi krokami, zbyt powolne tempo prac wywoływało jego rosnącą irytację. Wiedział z doświadczenia, że czasem trzeba było kilku lat na wyeliminowanie wszystkich usterek tylko jednej lunaparkowej atrakcji, a tutaj przecież chodziło o znacznie większe przedsięwzięcie.

– Martwi się pan na zapas – powiedział Hammond.

– Nie wydaje mi się – odparł Arnold. – Musi pan zdawać sobie sprawę, że z

punktu widzenia inżyniera, Jurassic Park stanowi najbardziej ambitne przedsięwzięcie tego typu w historii. Turyści nie będą o tym wiedzieć, ale ja tak. Po pierwsze, mamy tu do czynienia ze wszystkimi problemami, jakie spotyka się w każdym wesołym miasteczku: konserwacja urządzeń, transport, dystrybucja żywności, pomieszczenia dla personelu, pozbywanie się odpadków, bezpieczeństwo. Po drugie – ciągnął, odliczając na palcach – spotykamy się z takimi trudnościami, z jakimi borykają się ogrody zoologiczne: opieka nad zwierzętami, karmienie, ochrona przed owadami, pasożytami, alergiami i innymi chorobami, urządzenia ochronne i tak dalej. Wreszcie po trzecie, do tego wszystkiego dochodzą nie spotykane nigdzie indziej problemy związane z obecnością licznej populacji zwierząt, z którymi nikt do tej pory nie miał jeszcze do czynienia.

– Przesadza pan – mruknął Hammond.

– Wcale nie. Pan tego nie dostrzega, ponieważ rzadko pan tu zagląda. Tyranozaury piją wodę z laguny i czasem chorują, nie wiadomo dlaczego. Triceratopsy walczą między sobą o przywództwo, więc musimy dzielić je na grupki liczące nie więcej niż sześć osobników. Też nie wiemy, dlaczego to robią. Stegozaury z nieznanych przyczyn często dostają wrzodów na językach i biegunki. Straciliśmy już dwie sztuki, a mimo to nadal niczego się nie dowiedzieliśmy. Hypsilofodonty cierpią na podrażnienia skóry, natomiast welociraptory...

– Tylko nie zaczynajmy z welociraptorami – przerwał mu Hammond. – Dostaję mdłości, kiedy o nich słyszę. Wszyscy bez przerwy powtarzają, że to najgroźniejsze stworzenia, jakie kiedykolwiek chodziły po ziemi.

– Bo tak jest – odezwał się półgłosem Muldoon. – Powinniśmy je zlikwidować.

– Najpierw chciał pan pozakładać im obroże z mikronadajnikami, na co wyraziłem zgodę – przypomniał mu Hammond.

– A one natychmiast je poprzegryzały – zauważył Arnold. – Myślę, iż musimy zgodzić się z opinią, że Jurassic Park stanowi poważne zagrożenie.

– Bzdura! – warknął Hammond. – A tak w ogóle, to właściwie po czyjej jest pan stronie?

– Mamy piętnaście gatunków zwierząt, większość z nich jest niebezpieczna – ciągnął Arnold. – Z powodu dilofozaurów musieliśmy opóźnić udostępnienie zwiedzającym rzeki, a nieobliczalność pterodaktyli sprawiła, że mamy jeszcze mnóstwo roboty z praptaszarnią. To nie są techniczne opóźnienia, panie Hammond, tylko problemy spowodowane bezpośrednio przez zwierzęta.

– Jeżeli chodzi o techniczne opóźnienia, to nie możecie uskarżać się na ich niedostatek – zauważył Hammond. – Proszę nie zwalać wszystkiego na zwierzęta.

– Rzeczywiście, ma pan rację. Z najwyższym trudem udało nam się przygotować główną atrakcję, to znaczy przejażdżkę po parku. Kilka tygodni pracowaliśmy nad sprzężeniem napędów dysków optycznych zainstalowanych w samochodach z zewnętrznymi czujnikami, a teraz nagle okazuje się, że włączają się klaksony! Klaksony, wyobraża pan sobie!

– Wy uporajcie się z problemami technicznymi. Ze zwierzętami damy sobie radę. Bądź co bądź, można je nauczyć wielu rzeczy.

Twórcy parku od samego początku byli o tym przekonani. Wierzyli głęboko, że zwierzęta, choć niepodobne do innych, prędzej czy później zaczną zachowywać się jak wszystkie zwierzęta w zoo, dostosowując się do wymagań codziennego życia i odpowiednio reagując na powtarzane bodźce.

– A co z komputerem? – zapytał Hammond, zmieniając temat. Pytanie było skierowane do Dennisa Nedry'ego, który siedział przy klawiaturze w kącie pomieszczenia. – Ta cholerna maszyna zawsze przysparzała nam bólu głowy.

– Niedługo wszystko będzie w porządku – odparł Nedry.

– Gdyby od razu zrobił pan wszystko jak należy... – zaczął Hammond, ale umilkł, gdyż Arnold położył mu ostrzegawczo rękę na ramieniu. Główny inżynier zdążył się już przekonać, że nie należy denerwować Nedry'ego podczas pracy.

– To bardzo skomplikowany system – zauważył Arnold. – Zawsze mogą się wkraść drobne błędy.

W rzeczywistości lista błędów liczyła już ponad sto trzydzieści pozycji, w tym sporo bardzo dziwnych i trudnych do wytłumaczenia. Na przykład:

Program odpowiedzialny za karmienie zwierząt zamiast co dwadzieścia cztery godziny odnawiał cykl co dwanaście, a w dodatku nie rejestrował ilości pokarmu wydawanego w niedziele, w związku z czym nie można było stwierdzić, ile właściwie jedzą zwierzęta.

System bezpieczeństwa, kontrolujący wszystkie drzwi otwierane za pomocą kart magnetycznych, odmawiał posłuszeństwa przy każdej awarii zasilania i nie włączał się, mimo natychmiastowego uruchomienia zasilania awaryjnego. Program odpowiedzialny za oszczędność energii, który miał po dziesiątej wieczorem zmniejszać intensywność oświetlenia we wszystkich budynkach, działał jedynie co drugi dzień.

Automatyczny analizator fekaliów we wszystkich odchodach wykazywał stale obecność pasożyta o łacińskiej nazwie *Phagostomum venulosum* i komputer polecał dodać do karmy odpowiednie leki. W rzeczywistości nie było żadnych pasożytów, lecz kiedy po upewnieniu się o tym obsługa ręcznie odłączała dawkowanie leków, rozlegał się alarm, którego nie można było w żaden sposób uciszyć. I tak dalej, i tak dalej.

Przed przyjazdem Dennis Nedry przypuszczał, że wystarczy mu jeden weekend na poprawienie wszystkich usterek, ale kiedy zobaczył, iż spis rzeczy, które trzeba zmodyfikować, zajmuje wiele stron, pobladł i stracił całą pewność siebie. Zaraz potem zadzwonił do Cambridge, by poinformować swoich programistów, iż muszą zmienić plany na najbliższe wolne dni i wziąć się ostro do pracy. Poinformował także Johna Arnolda, że do transmisji danych między komputerami będzie potrzebował wszystkich linii telefonicznych łączących wyspę ze stałym lądem.

Arnold otworzył kolejne okno na ekranie swojego monitora, aby mieć wgląd w to, co robi Nedry przy terminalu. Nie dlatego, żeby mu nie ufał; po prostu lubił wiedzieć, co się dzieje dokoła.

Zaraz potem zerknął na monitor przy stanowisku obok, pokazujący aktualną pozycję land cruiserów. Posuwały się wzdłuż rzeki, na północ od ptaszarni i wybiegu

ornitomimów.

– *Jeśli spojrzycie na lewo, zobaczycie kopułę naszej ptaszarni. Niestety, nie jest jeszcze udostępniona dla zwiedzających*.

Tim dostrzegł lśniącą w promieniach słońca konstrukcję z prętów.

– *A poniżej nas, przy samej drodze, płynie rzeka, w której – jeśli dopisze wam szczęście – być może zobaczycie bardzo rzadkiego drapieżnika z mezozoiku. A więc, miejcie oczy otwarte!*

Na ekranie zainstalowanego w samochodzie monitora pojawiła się, podobna do ptasiej, głowa przyozdobiona jaskrawoczerwonym grzebieniem, lecz nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, gdyż wszyscy spoglądali przez okna. Droga prowadziła grzbietem stromej skarpy, u podnóża której przesuwały się wody szybko płynącej rzeki, niemal zupełnie zasłoniętej przez gęstą roślinność rozwijającą się bujnie na obu jej brzegach.

– *Oto one. Zwierzęta, które widzicie, to dilofozaury*.

Tim dostrzegł tylko jednego osobnika. Dilofozaur przysiadł na tylnych nogach i pił wodę z rzeki. Spoglądając na jego silne łapy i gruby ogon łatwo można było się domyślić, że jest drapieżnikiem. Na mierzącym około trzech metrów ciele miał żółte i czarne plamy, jak lampart.

Jednak uwagę Tima przykuła głowa zwierzęcia. Od oczu aż do nosa biegły dwa wielkie, zakrzywione grzebienie, łącząc się na jej szczycie, gdzie tworzyły wysoko sklepioną literę V. Grzebienie miały czarne i czerwone pasy, kojarzące się z barwami upierzenia papugi lub tukana. Nagle zwierzę wydało przeciągły, głuchy odgłos, przypominający pohukiwanie sowy.

– Bardzo ładne – stwierdziła Lex.

– Dilophosaurus *jest jednym z pierwszych mięsożernych dinozaurów. Do tej pory uczeni sądzili, że miał zbyt słabe szczęki, aby samodzielnie zabijać zdobycz, i uważali go za padlinożercę. Teraz jednak wiemy już, że dysponuje silnie trującym jadem*.

– O rety! – wykrzyknął Tim.

Od strony rzeki ponownie dobiegło pohukiwanie dilofozaura. Lex poprawiła się niespokojnie na siedzeniu.

– Panie Regis, czy one naprawdę są trujące?

– Nie masz się czego obawiać, Lex.

– Ale czy są trujące?

– No... tak.

– *Podobnie jak heloderma arizońska i grzechotniki,* Dilophosaurus *wytwarza hematotoksynę w gruczołach umieszczonych w jamie gębowej. W kilka minut po ukąszeniu ofiara traci przytomność, a wtedy drapieżnik nie śpiesząc się może z nią zrobić wszystko, na co przyjdzie mu ochota. Dlatego* Dilophosaurus *stanowi piękny, ale niezwykle groźny element ekosystemu, jaki stworzyliśmy w Parku*.

Samochód skręcił w prawo, pozostawiając rzekę z tyłu. Tim obejrzał się w nadziei, że zobaczy jeszcze choć kawałek dilofozaura. Niesamowite! Jadowity dinozaur! Najchętniej wysiadłby z samochodu, ale niestety, wszystko było

zautomatyzowane. Byłby gotów iść o zakład, że doktor Grant ma bardzo podobne pragnienia.

– *Jeśli spojrzycie w kierunku szczytu urwiska po prawej stronie, zobaczycie Les Gigantes, naszą znakomitą, trzygwiazdkową restaurację. Alain Richard, szef kuchni, przyjechał do nas prosto ze słynnej na całym świecie paryskiej Le Beaumaniére. Radzimy zarezerwować wcześniej stolik dzwoniąc z hotelowego pokoju.*

Tim spojrzał posłusznie w prawo, a potem do góry, ale nic nie zobaczył.

– Na razie jeszcze nic tam nie ma – wyjaśnił Ed Regis. – Budowa restauracji zacznie się dopiero w listopadzie.

– *Kontynuując nasze prehistoryczne safari zbliżamy się do roślinożerców. Powinniście zobaczyć je po waszej prawej stronie.*

Tim dostrzegł dwa zwierzęta, stojące nieruchomo w cieniu wielkiego drzewa. Triceratopsy: wielkości i barwy słonia, obdarzone wojowniczym charakterem nosorożca. Zakrzywione rogi umieszczone nad oczami mierzyły sobie ponad półtora metra i przypominały odwrócone ciosy słonia. Trzeci róg, niemal identyczny jak u nosorożca, znajdował się w pobliżu nosa. Także pysk przypominał bardzo mordę nosorożca.

– *W przeciwieństwie do innych dinozaurów,* Triceratops serratus *nie widzi zbyt dobrze. Jest krótkowzroczny, jak współczesne nam nosorożce, i reaguje niemal wyłącznie na poruszające się przedmioty. Gdyby zauważyły nasz samochód, z pewnością by go zaatakowały. Możecie jednak być spokojni – nic nam tutaj nie grozi. Przypominające wachlarze grzebienie, które widzicie za ich głowami, są z twardej, bardzo wytrzymałej kości. Zwierzęta te ważą około siedmiu ton i, pomimo groźnego wyglądu, mają dość łagodny charakter. Rozpoznają opiekunów, a czasem nawet pozwalają się głaskać. Szczególnie chętnie nadstawiają wtedy zadnie partie ciała.*

– Dlaczego one się nie poruszają? – zapytała Lex, po czym opuściła szybę i zawołała: – Hej, ty głupi dinozaurze! Rusz się!

– Nie płosz zwierząt, Lex – upomniał ją Ed Regis.

– A dlaczego? Przecież to zupełnie bez sensu. Sterczą tam tylko jak na obrazku w książce.

– *...łagodne olbrzymy z dawno minionej przeszłości, aby udać się na spotkanie z najsłynniejszym drapieżcą w historii naszej planety, potężnym jaszczurem znanym jako* Tyrannosaurus rex.

– Wspaniale! – westchnął Tim.

– Mam nadzieję, że będzie lepszy od tych grubasów – mruknęła Lex, odwracając się ze zdegustowaną miną od triceratopsów.

Toyota potoczyła się powoli naprzód.

Wielki Rex

– Potężny tyranozaur pojawił się w schyłkowym okresie historii dinozaurów. Te wielkie gady władały Ziemią przez sto dwadzieścia milionów lat, ale tyranozaury grasowały jedynie przez ostatnie piętnaście milionów lat tego okresu.

Samochody zatrzymały się na szczycie wzgórza. Zwiedzający mieli przed sobą porośnięty lasem teren opadający łagodnie aż do brzegu laguny. Słońce zachodziło, opuszczając się coraz niżej nad zasnuty mgłą horyzont. Jurassic Park skąpany był w łagodnym blasku, walczącym bez szans na wygraną z wydłużającymi się szybko cieniami. Powierzchnia laguny skrzyła się różowymi refleksami. Nieco dalej na południe pasażerowie land cruiserów dostrzegli pełne wdzięku, długie szyje apatozaurów stojących nad samym brzegiem. Panowała zupełna cisza, w której jedynie od czasu do czasu rozlegało się granie cykad. W chwili takiej jak ta niemal można było uwierzyć, że jakiś niezwykły wynalazek pozwolił ludziom przenieść się miliony lat wstecz, do dawno nie istniejącego świata.

– To robi wrażenie, prawda? – usłyszeli przez interkom głos Eda Regisa. – Czasem przyjeżdżam tu wieczorem, tuż przed zachodem słońca, siadam i po prostu nic nie robię.

Grant nie uległ nastrojowemu widokowi.

– Gdzie jest t–rex?

– Dobre pytanie. Małego można często zobaczyć w lagunie. Mamy w niej ryby, a maluch nauczył sieje łapać. Robi to w interesujący sposób: w ogóle nie używa łap, tylko wsadza pod wodę całą głowę, zupełnie jak ptak.

– Maluch?

– Mały t–rex. Ma dopiero dwa lata i jest mniej więcej o dwie trzecie mniejszy od dorosłego osobnika. Mierzy sobie dwa i pół metra, a waży półtorej tony. Drugi jest w pełni dorosły, ale jakoś nigdzie nie mogę go wypatrzyć.

– Może poluje na apatozaury? – zasugerował Grant.

Z głośnika dobiegł zniekształcony, piskliwy śmiech Regisa.

– Z pewnością zrobiłby to, gdyby tylko mógł. Czasem stoi na brzegu, gapi się na nie przez wodę i z wściekłością macha tymi swoimi krótkimi łapkami. Niestety, całe jego terytorium jest otoczone fosami i ogrodzeniami. Może nie rzucają się zbytnio w oczy, ale znakomicie spełniają swoje zadanie.

– W takim razie, gdzie on się podział?

– Schował się – wyjaśnił Regis. – Jest trochę nieśmiały.

– Nieśmiały? – zdumiał się Malcolm. – Tyranozaur jest nieśmiały?

– Z reguły stara się przebywać w ukryciu. Prawie nigdy nie pokazuje się na odkrytym terenie, a już na pewno nie za dnia.

– Dlaczego?

– Przypuszczamy, że ma wrażliwą skórę i łatwo doznaje oparzeń słonecznych.

Malcolm parsknął śmiechem, a Grant powiedział z głębokim westchnieniem:

– Niszczy pan kolejny mit.

– Mimo to nie sądzę, żebyście byli zawiedzeni – odparł Regis. – Zaczekajcie jeszcze trochę.

Do uszu zwiedzających dobiegło ciche meczenie, a w chwilę potem na środku rozległego, trawiastego terenu pojawiła się klatka, wyniesiona w górę z podziemi na hydraulicznym podnośniku. Pręty rozsunęły się, klatka zniknęła pod ziemią, a na łące pozostała mecząca raz po raz koza.

– Lada chwila – powiedział Regis.

Czekali w milczeniu.

* * *

– Spójrzcie tylko na nich – powiedział Hammond, obserwując ekran monitora w dyspozytorni. – Mało nie powypadają przez okna, tacy są niecierpliwi. Nie mogą się doczekać. Chodzi im o dreszczyk emocji.

– Tego właśnie się obawiam – odparł ponuro Muldoon. Kręcił młynka trzymanym w ręku pękiem kluczy i wpatrywał się z napięciem w ekran. Po raz pierwszy turyści wyruszyli na zwiedzanie parku i Muldoon podzielał obawy Arnolda.

Robert Muldoon był potężnie zbudowanym, 50–letnim mężczyzną o stalowoszarych wąsach i ciemnobłękitnych oczach. Urodzony w Kenii, większą część życia – podobnie jak jego ojciec – przepracował jako przewodnik myśliwych przyjeżdżających do Afryki na grubego zwierza, ale od roku 1980 coraz więcej czasu poświęcał konsultowaniu projektów nowych ogrodów zoologicznych i współpracy z organizacjami zajmującymi się ochroną przyrody. Zyskał międzynarodową sławę, a w londyńskim *Timesie* napisano kiedyś: „Robert Muldoon jest dla ogrodów zoologicznych tym, kim dla klubów golfowych Trent Jones: projektantem o niezrównanej wiedzy i talencie”.

W roku 1986 został zaangażowany przez firmę z San Francisco, budującą na małej wyspie prywatny park zoologiczny. Muldoon przygotował jego podstawowe założenia projektowe, uwzględniając indywidualne potrzeby różnych gatunków zwierząt, między innymi lwów, słoni, zebr i hipopotamów. Wówczas wydawało mu się to czysto rutynowym zajęciem i znacznie więcej uwagi poświęcał pracy przy projektowaniu rezerwatu tygrysów w południowym Kaszmirze.

Rok temu niespodziewanie otrzymał propozycję objęcia stanowiska strażnika zwierzyny w Parku. Ponieważ wynagrodzenie przekraczało jego najśmielsze oczekiwania, a jednocześnie i tak planował wyjazd z Afryki, podpisał umowę na rok. Jakież było jego zdumienie, kiedy przekonał się, że jego podopiecznymi będzie kilkaset prehistorycznych zwierząt, odtworzonych dzięki najnowszym osiągnięciom inżynierii genetycznej.

Praca bez wątpienia była bardzo interesująca, ale podczas długich lat spędzonych w Afryce Muldoon zaczął mieć do zwierząt swoisty, mało romantyczny stosunek, co stało się przyczyną częstych spięć między nim a szefostwem firmy rezydującym w Kalifornii, a już szczególnie tym małym pedantem, stojącym teraz obok niego w dyspozytorni. W opinii Muldoona klonowanie dinozaurów w laboratorium było

jedną sprawą, natomiast utrzymanie ich w stanie zbliżonym do dzikiego zupełnie inną.

Jego zdaniem niektóre dinozaury stwarzały zbyt duże zagrożenie, żeby przebywać w Parku udostępnionym publiczności. Niebezpieczeństwo to wynikało w znacznej części z faktu, że ludzie wciąż jeszcze bardzo mało wiedzieli na ich temat. Na przykład nikt nawet nie podejrzewał dilofozaurów o to, że są jadowite, dopóki nie zaobserwowano, w jaki sposób polują na szczury: po ukąszeniu gryzonia odchodziły na bok, pozwalając mu zdechnąć. A nawet wówczas nie przypuszczano, że potrafią pluć jadem na dużą odległość, dopóki jeden z nadzorców o mało nie stracił wzroku.

Dopiero wtedy Hammond zgodził się na przeprowadzenie analizy jadu, w którym odkryto aż siedem toksycznych składników. Okazało się także, że dilofozaury plują nawet na odległość piętnastu metrów. Ponieważ oznaczało to, że jakiś nieostrożny turysta, który wychyliłby się z okna samochodu, mógłby zostać trafiony śliną zawierającą truciznę i być może nawet oślepnąć, postanowiono usunąć zwierzętom gruczoły jadowe. Weterynarz próbował tej sztuki dwukrotnie, na dwóch różnych osobnikach, jednak bez powodzenia. Nikt nie wiedział, gdzie dokładnie jest wytwarzana trucizna, a dowiedzieć się tego można było jedynie podczas sekcji; niestety, szefostwo firmy nawet nie chciało słyszeć o zabiciu jednego egzemplarza.

Jeszcze więcej obaw Muldoona budziły welociraptory. Były to krwiożercze drapieżniki, które nigdy nie darowały swojej ofierze. Zwierzęta te zabijały nawet wtedy, kiedy nie czuły głodu. Dla samej przyjemności zabijania. Były bardzo zwinne, szybko biegały i zadziwiająco wysoko skakały. Wszystkie cztery kończyny miały uzbrojone w ostre pazury – jedno uderzenie silnej przedniej łapy mogło rozpruć człowieka od gardła do krocza – a dodatkowo dysponowały potężnymi szczękami i ostrymi zębami, służącymi nie tyle do gryzienia, co raczej rozszarpywania zdobyczy. Znacznie przewyższały poziomem inteligencji pozostałe dinozaury i potrafiły wykorzystać każdą sposobność, aby wydostać się z klatki.

Wszyscy fachowcy zajmujący się ogrodami zoologicznymi wiedzą, że są zwierzęta przejawiające niezwykłe zdolności do wydostawania się na wolność; niektóre, jak na przykład małpy i słonie, radzą sobie z zamkami, inne, jak dziki, ryjami wysadzają drzwi z zawiasów. Kto by jednak podejrzewał o takie zdolności wielkiego pancernika albo łosia? Tymczasem pysk łosia niemal dorównuje chwytnością trąbie słonia, a łosie skwapliwie korzystają z tego daru natury, wymykając się na wolność zawsze, gdy tylko nadarzy im się okazja.

Podobnie jak welociraptory.

Raptory były co najmniej równie inteligentne jak szympansy i, podobnie jak one, dysponowały chwytnymi dłońmi pozwalającymi im otwierać drzwi i w precyzyjny sposób manipulować przedmiotami. Wydostanie się z zamknięcia nie przedstawiało dla nich żadnej trudności, a kiedy jeden z nich wreszcie zdecydował się uciec, przed ponownym pojmaniem zdążył zabić dwóch robotników i poważnie zranić trzeciego. Po tym zdarzeniu kwatery przeznaczone dla gości zostały wzmocnione konstrukcją z metalowych prętów, a zwykłe szyby zastąpiono grubszymi, o większej wytrzymałości. Przebudowano także zagrodę raptorów, instalując elektroniczne

czujniki, które miały ostrzegać o wszelkich niemiłych niespodziankach.

Muldoon jednak chciał broni oraz przenośnych wyrzutni sterowanych pocisków rakietowych. Myśliwi doskonale wiedzą, jak trudno jest zwalić z nóg ważącego sześć ton słonia, a przecież niektóre dinozaury ważyły dziesięć razy tyle! Szefostwo firmy było przerażone, protestując przeciwko sprowadzaniu na wyspę jakiejkolwiek broni, ale kiedy Muldoon zagroził odejściem, osiągnięto kompromis: obecnie w zamkniętym pomieszczeniu w piwnicy stały dwie wyrzutnie pocisków sterowanych promieniem lasera. Klucze do tego pomieszczenia miał jedynie Muldoon.

Były to właśnie te klucze, które obracał w dłoni.

– Schodzę na dół – oznajmił.

Arnold skinął głową, nie odrywając wzroku od ekranu. Dwa land cruisery stały na szczycie wzgórza, czekając na pojawienie się tyranozaura.

– Czy przy okazji mógłbyś przynieść mi colę? – zapytał Nedry znad swojego terminalu.

* * *

Grant czekał w samochodzie, rozglądając się uważnie dokoła. Koza meczała coraz głośniej, szarpiąc sznur ograniczający jej swobodę ruchów.

– A co się stanie z tą kozą? – rozległ się z interkomu zaniepokojony głos Lex. – Czy on ją zje?

– Tak mi się wydaje – odpowiedział ktoś, a w chwilę potem Ellie wyłączyła urządzenie. Nagle wszyscy poczuli nieznośny odór zgnilizny, dobiegający gdzieś z dołu wzgórza.

– To on... – szepnął Grant.

– Ona – poprawił go Malcolm.

Koza była uwiązana na środku łąki, mniej więcej trzydzieści metrów od najbliższych drzew. Dinozaur z pewnością ukrył się gdzieś między nimi, ale Grant jeszcze przez długą chwilę nie mógł niczego dojrzeć. Dopiero po pewnym czasie zorientował się, że po prostu patrzy za nisko. Głowa dinozaura, częściowo przesłonięta górnymi gałęziami drzew, znajdowała się co najmniej pięć metrów nad powierzchnią gruntu.

– Mój Boże... – szepnął Malcolm. – Jest wielka jak dom! Grant wpatrywał się bez słowa w ogromną, prostokątną głowę półtorametrowej długości o potężnych szczękach i przeraźliwie ostrych kłach. Szczęki otworzyły się i zamknęły, ale dinozaur nadal nie opuszczał ukrycia.

– Jak długo będzie czekała? – zapytał szeptem Malcolm.

– Trzy, może cztery minuty, ale równie dobrze...

Nie wydając żadnego dźwięku tyranozaur dał ogromnego susa naprzód, trzema kolejnymi skokami pokonał odległość dzielącą go od kozy, błyskawicznie nachylił się i jednym kłapnięciem szczek przegryzł jej kark. Meczenie ucichło. Zapadła cisza.

Dinozaur niespodziewanie jakby się zawahał, popatrywał dokoła, po czym utkwił nieruchome spojrzenie w dwóch samochodach stojących na szczycie wzniesienia.

– Czy ona nas widzi? – zapytał matematyk, nadal nie podnosząc głosu.

– Oczywiście – odparł Regis przez interkom. – Ciekawe, czy zje zdobycz tutaj, na naszych oczach, czy odciągnie ją gdzieś dalej.

Tyranozaur pochylił się i obwąchał martwą kozę. W lesie zaświergotał ptak; wielka głowa błyskawicznie powędrowała w górę, po czym zaczęła wykonywać szybkie, półkoliste ruchy.

– Zupełnie jak ptak – zauważyła Ellie.

Dinozaur nadal nie mógł się zdecydować.

– Czego ona się boi? – zdziwił się Malcolm.

– Przypuszczalnie innego tyranozaura – powiedział szeptem Grant. Wielkie drapieżniki, takie jak lwy i tygrysy, często po zabiciu ofiary stawały się bardzo ostrożne, jakby czuły zagrożenie ze strony innego drapieżcy. Dziewiętnastowieczni zoologowie tłumaczyli sobie to zachowanie rzekomym poczuciem winy, jakiego miały doświadczać te zwierzęta po odebraniu życia innej istocie, lecz współcześni uczeni dowiedli, że w grę wchodzi jedynie obawa przed tym, by jakiś inny drapieżnik nie odebrał im upolowanej z takim trudem zdobyczy. Przypuszczalnie podobnie miała się rzecz także w tym przypadku.

Wielkie zwierzę ponownie nachyliło się nad ofiarą, przytrzymało ją ogromną tylną łapą, i zaczęło szarpać mięso monstrualnymi szczękami.

– Zostanie tutaj – szepnął Regis. – Znakomicie.

Tyranozaur oderwał się na chwilę od zdobyczy i poruszając szczękami spojrzał w kierunku samochodów. Do uszu siedzących w nich ludzi dobiegł obrzydliwy odgłos miażdżonych kości.

– Błeee! – rozległ się z interkomu głos Lex. – Co za ohyda!

W tej samej chwili, jakby doszedłszy do wniosku, że lepiej jednak zachować ostrożność, tyranozaur wbił zęby w to, co jeszcze pozostało z kozy, i zniknął między drzewami.

– Panie i panowie, to był *Tyrannosaurus rex*.

Toyoty ponownie ruszyły naprzód, cicho sunąc drogą wśród bujnej zieleni.

Malcolm z westchnieniem opadł na siedzenie.

– Fantastyczne! – mruknął.

Gennaro bez słowa otarł czoło. Był bardzo blady.

Stan rzeczy

Kiedy Henry Wu wszedł do dyspozytorni, zastał wszystkich siedzących w półmroku i przysłuchujących się transmitowanej przez radio rozmowie.

– Boże, jeśli taki potwór wydostanie się na zewnątrz, nic nie zdoła go powstrzymać! – powiedział Gennaro.

– Rzeczywiście.

– Ogromny, bez żadnych naturalnych nieprzyjaciół...

– Pomyślcie tylko, co by było, gdyby...

– Niech ich szlag trafi! – wybuchnął Hammond. – Na wszystko patrzą z najgorszej strony.

– Wciąż rozprawiają o ewentualnej ucieczce zwierząt? – zdziwił się Wu. – Zupełnie ich nie rozumiem. Chyba zdążyli już przekonać się na własne oczy, że wszystko jest pod kontrolą. Stworzyliśmy te zwierzęta i miejsce, w którym przebywają... – Wzruszył z irytacją ramionami.

Wu nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że Park został prawidłowo zaprojektowany, ani przez chwilę nie dopuszczał też do siebie myśli, że coś mogłoby być nie w porządku z odtwarzanym przez niego paleo–DNA. Problemy, jakie się pojawiały, dotyczyły drugo– i trzeciorzędnych szczegółów, i łatwo dawały się wyeliminować w następnej, nowszej wersji.

Henry Wu wierzył głęboko, iż kłopoty towarzyszące powstawaniu Parku nie sięgają do źródeł samego pomysłu ani też nie mogą stać się przyczyną żadnego poważnego zagrożenia. Ucieczka zwierząt? Bzdura! Wu czuł się osobiście urażony, że ktoś miał czelność choć przez chwilę podejrzewać go o popełnienie tak poważnego błędu.

– To ten Malcolm – mruknął ponuro Hammond. – Wszystko przez niego. Sam przecież wiesz, że od samego początku był przeciwko nam. Ukuł tę swoją teoryjkę, według której systemy o wysokim stopniu komplikacji nie poddają się żadnej kontroli, i że nie uda się skopiować natury, ale Bóg mi świadkiem, że nie wiem, o co mu właściwie chodzi. Do licha, przecież my budujemy tutaj zwyczajne zoo! Na świecie jest ich mnóstwo, i wszystkie jakoś działają. On jednak będzie chciał dowieść słuszności swojej teorii, nawet gdyby miał za to zapłacić życiem. Mam tylko nadzieję, że nie zdoła nastraszyć Gennaro do tego stopnia, żeby ten próbował zwinąć całe przedsięwzięcie.

– A mógłby to zrobić? – zapytał Wu.

– Nie, ale może starać się przekonać japońskich inwestorów, żeby wycofali swoje pieniądze, może też narobić smrodu w San Jose.

Arnold zgasił kolejnego papierosa.

– Na razie zaczekajmy spokojnie i zobaczmy, co się będzie działo – zaproponował. – Wszyscy wierzymy w nasz park, więc przekonajmy się, czy potrafi sam się obronić.

* * *

Muldoon wysiadł z windy, skinął głową strażnikowi pełniącemu dyżur na parterze i zszedł po schodach do piwnicy. Włączył światło. Na podziemnej kondygnacji stało w dwóch rzędach dwadzieścia kilka terenowych land cruiserów; w przyszłości miały kursować bez chwili przerwy, obwożąc turystów po Parku i przywożąc ich z powrotem do centrum obsługi zwiedzających.

W kącie obszernego garażu był zaparkowany jeep z czerwonym pasem biegnącym dokoła karoserii, jeden z dwóch pojazdów na wyspie napędzanych silnikami benzynowymi – drugim z samego rana wyjechał w teren weterynarz – które mogły poruszać się bez żadnych ograniczeń po całym terenie Parku, nawet wśród zwierząt. Czerwony pas namalowano ze względu na triceratopsy; nie wiadomo czemu budził ich respekt i zniechęcał do atakowania samochodu.

Muldoon minął jeepa i skierował się ku tylnej ścianie pomieszczenia. Na stalowych drzwiach prowadzących do arsenału brakowało jakichkolwiek napisów. Otworzył zamek, po czym pchnął ciężkie skrzydło. Pokój był zawalony bronią. Muldoon wybrał przenośną wyrzutnię i dwie szare rakiety, a w drugą rękę wziął duży pojemnik z pociskami zawierającymi środek odurzający. Zamknąwszy starannie drzwi wrzucił cały ładunek na tylne siedzenie jeepa i ruszył z powrotem na górę. W chwili kiedy ponownie mijał strażnika, gdzieś daleko rozległ się głuchy pomruk nadciągającej burzy.

– Zdaje się, że będzie padać – powiedział Ed Regis, spoglądając w niebo.

* * *

Land cruisery zatrzymały się ponownie, tym razem w pobliżu moczarów zamieszkiwanych przez zauropody. Na brzegu laguny pasło się spokojnie duże stado apatozaurów, objadając liście ze szczytów palm. Niedaleko kręciło się też kilka hadrozaurów.

Małe główki apatozaurów, poruszające się na długich, giętkich szyjach, wznosiły się nawet na piętnaście metrów nad ziemię.

– *Te wielkie zwierzęta, które teraz możecie podziwiać, nazywa się często brontozaurami, choć tak naprawdę są to apatozaury. Ważą ponad trzydzieści ton. Oznacza to, że pojedynczy osobnik dorównuje masą kilku słoniom Proszę także zwrócić uwagę, że wcale nie zamieszkują bagien. Wbrew temu, co można przeczytać w książkach, brontozaury najlepiej czują się na suchym lądzie.*

– *Brontosaurus* jest największym znanym dinozaurem – poinformował Regis Lex.

Nie miał racji, ale Timowi nie chciało się go poprawiać. W rzeczywistości *Brachiosaurus* był znacznie większy, a niektórzy uczeni przypuszczali, iż *Ultrasaurus* i *Seismosaurus* były jeszcze większe niż *Brachiosaurus*.*Seismosaurus* prawdopodobnie ważył ponad sto ton!

Mniejsze od apatozaurów hadrozaury musiały wspinać się na tylne łapy, aby

dosięgnąć najbardziej smakowitych liści. Mimo swoich znacznych rozmiarów wcale nie sprawiały wrażenia niezgrabnych. Wśród dorosłych uwijało się kilka młodych, pożerając liście, które wypadły z paszczy większym osobnikom.

– *Dinozaury zamieszkujące Jurassic Park nie rozmnażają się. Młode zwierzęta, które widzicie, zostały dostarczone kilka miesięcy temu, już po wykluciu się z jaj, ale dorosłe dinozaury opiekują się nimi tak, jakby to były ich młode.*

Przez niebo przetoczył się głuchy łoskot grzmotu. Zaczęły nadciągać niskie, ołowiane chmury.

– Tak, na pewno będzie padać – stwierdził Regis.

Samochód ruszył naprzód, a Tim na pożegnanie przyjrzał się jeszcze raz hadrozaurom. Nagle, nieco z boku, dostrzegł jakieś szybko poruszające się, bladożółte zwierzę z brązowymi pasami na grzbiecie. Rozpoznał je niemal natychmiast.

– Zatrzymajcie samochód! – krzyknął.

– Co się stało? – zapytał Ed Regis.

– Szybko, zatrzymajcie samochód!

– *Ruszamy teraz w dalszą drogę, aby obejrzeć ostatnią atrakcję zaginionego świata, to znaczy stegozaury...*

– O co chodzi, Tim?

– Widziałem go! Tam, na tamtym polu!

– Kogo widziałeś?

– Raptora! Na tym polu!

– *Stegozaury żyły w środkowej jurze, a pełnię rozwoju osiągnęły mniej więcej sto siedemdziesiąt milionów lat temu. W naszym Parku mamy kilku przedstawicieli tego zadziwiającego gatunku...*

– Na pewno się mylisz, chłopcze – stwierdził stanowczo Regis. – To nie mógł być raptor.

– Ale był! Niech pan zatrzyma samochód!

Nastąpiła krótka wymiana zdań przez interkom.

– Tim twierdzi, że zobaczył raptora – poinformował Regis Granta i Malcolma.

– Gdzie?

– Na polu, które właśnie minęliśmy.

– W takim razie zawróćmy i sprawdźmy.

– Nie możemy zawrócić – powiedział Ed Regis. – Możemy tylko jechać naprzód. Te samochody są z góry zaprogramowane.

– Nie możemy zawrócić? – zdumiał się Grant.

– Nie. Przykro mi. Rozumiecie, one służą tylko przejażdżkom po ustalonej trasie, więc...

– Tim, tu Malcolm – przerwał mu głos z interkomu. – Mam do ciebie tylko jedno pytanie w sprawie tego raptora: na ile oszacowałbyś jego wiek?

– Na pewno był starszy od tego malucha, którego widzieliśmy w budynku, ale młodszy od dużych osobników na wybiegu. Tamte miały dwa metry wzrostu, a ten mógł być o połowę mniejszy.

– W porządku, chłopcze.

– Widziałem go tylko przez sekundę – dodał Tim, jakby chcąc się usprawiedliwić.

– Jestem całkowicie pewien, że to nie był raptor, bo to po prostu niemożliwe. Prawdopodobnie zobaczyłeś jednego z otysów. One ciągle przeskakują ogrodzenie. Mamy z nimi mnóstwo problemów.

– Wiem, że widziałem raptora – powtórzył z uporem Tim.

– Jestem głodna – oznajmiła Lex płaczliwym tonem.

* * *

– Jak myślisz, co to było? – zapytał w dyspozytorni Arnold Henry'ego Wu.

– Moim zdaniem, otys.

Arnold skinął głową.

– Mamy kłopoty z ich lokalizowaniem, bo większość czasu spędzają na drzewach.

Otnielie był wyjątkiem od żelaznej reguły, w myśl której w każdej chwili należało znać miejsce pobytu każdego zwierzęcia w parku. Komputer bez przerwy gubił je, by wkrótce odnaleźć, kiedy tylko ponownie schodziły na ziemię.

– Cholernie mi przykro, że pracując w pocie czoła stworzyliśmy to wspaniałe miejsce, a tymczasem pierwsi ludzie, którzy mogą je obejrzeć, zachowują się jak księgowi podczas kontroli, szukając dziury w całym. Oni w ogóle nie doceniają tego, co widzą!

– To ich problem – odparł Arnold. – Nie możemy ich tego nauczyć. – Zaświergotał interkom, a w chwilę potem usłyszeli z niego męski głos:

– John, tutaj „Anne B". Nie skończyliśmy jeszcze wyładunku, ale wygląda na to, że od południa zbliża się nielichy sztorm. Wolałbym nie stać przy nabrzeżu, kiedy zacznie dmuchać na dobre.

Arnold odwrócił się w stronę monitora pokazującego statek zaopatrzeniowy przycumowany do nabrzeża we wschodniej części wyspy, po czym wcisnął guzik przy mikrofonie.

– Jak dużo wam zostało, Jim?

– Trzy kontenery z wyposażeniem. Nie sprawdzałem listów przewozowych, ale przypuszczam, że obejdziecie się bez tego ładunku jeszcze przez dwa tygodnie. Sam wiesz, że to nie jest najbezpieczniejsze miejsce, a do brzegu mamy ponad sto mil.

– Chcecie odpłynąć?

– Tak, John.

– Ale my potrzebujemy tego wyposażenia – wtrącił się Hammond. – To sprzęt dla laboratorium.

– Owszem, tyle tylko, że żal ci było pieniędzy na zbudowanie porządnego falochronu, przez co nie mamy portu z prawdziwego zdarzenia. Jeśli sztorm przybierze na sile, fale rozbiją statek o nabrzeże. Widziałem już takie wypadki. Jeśli to się stanie, czekają cię dużo większe wydatki na kupno nowego statku i naprawę nabrzeża, które, nawiasem mówiąc, będzie nieczynne co najmniej przez...

Hammond machnął z rezygnacją ręką.

– Niech się stąd zabierają.

– „Anne B”, macie zgodę na wypłynięcie – powiedział Arnold do mikrofonu.

– Do zobaczenia za dwa tygodnie – odparł głos.

Załoga natychmiast przystąpiła do rzucania cum. Arnold przeniósł wzrok na inny monitor i ujrzał dwie toyoty sunące powoli przez kłęby ścielącej się nisko nad ziemią mgły.

– Gdzie oni teraz są? – zapytał Hammond.

– Chyba na południowym skraju Parku – odparł Arnold. W południowej części wyspy notowano znacznie bardziej wzmożoną aktywność wulkaniczną niż w północnej. – A to znaczy, że zaraz dojadą do zagrody stegozaurów. Idę o zakład, że się tam zatrzymają, żeby przyjrzeć się pracy Hardinga.

Stegozaur

Kiedy samochód zatrzymał się, Ellie Sattler przez dłuższą chwilę przyglądała się stegozaurowi. Stał zupełnie nieruchomo we mgle obok jeepa z czerwonym pasem namalowanym wzdłuż nadwozia.

– Muszę przyznać, że sprawia dość zabawne wrażenie – powiedział Malcolm.

Stegozaur miał sześć metrów długości, beczkowaty tułów i sterczące na grzbiecie pionowe pancerne płytki. Na końcu ogona znajdowały się trzy budzące szacunek kolce, ale groźne wrażenie psuła absurdalnie mała głowa oraz puste spojrzenie, przypominające wyraz oczu wyjątkowo tępego konia.

Zza zwierzęcia wyłonił się jakiś człowiek.

– To nasz weterynarz, doktor Harding – powiedział Regis przez radio. – Dał bydlakowi narkozę, dlatego się nie porusza. Jest chory.

Grant był już na zewnątrz, niemal biegnąc w kierunku nieruchomego stegozaura. Kiedy Ellie także wysiadła z samochodu, podjechała druga toyota i ze środka wyskoczyło dwoje dzieciaków.

– Co mu jest? – zapytał chłopiec.

– Jeszcze nie są pewni – odparła Ellie.

Potężne płytki sterczące z grzbietu zwierzęcia poruszyły się lekko. Stegozaur oddychał powoli, z wysiłkiem, a każdemu zaczerpnięciu powietrza towarzyszył chlupocząco–mlaszczący odgłos.

– Czy to zaraźliwe? – zaniepokoiła się Lex.

Tim ruszył w kierunku małej główki dinozaura. Byli już tam doktor Harding i doktor Grant; obaj klęczeli, starając się zajrzeć zwierzęciu do gardła.

Lex zmarszczyła nos.

– Ten rzeczywiście jest spory – przyznała. – I okropnie cuchnie.

– Masz rację.

Ellie także zwróciła uwagę na szczególną woń, przypominającą odór rozkładających się ryb. Kojarzyło się jej to z czymś znajomym, czego jednak w tej chwili nie mogła sobie uzmysłowić. Bądź co bądź nigdy do tej pory nie wąchała stegozaura. Może one zawsze pachniały w ten sposób? Jednak miała co do tego pewne wątpliwości. Większość roślinożerców nie wydziela tak intensywnej woni – to samo dotyczyło ich odchodów. Prawdziwy smród był zarezerwowany wyłącznie dla mięsożerców.

– Czy to dlatego, że on jest chory? – zapytała dziewczynka.

– Całkiem możliwe.

– Ellie, spójrz na jego język! – zawołał Grant.

Ciemnofioletowy ozór zwisał bezwładnie z otwartej paszczy zwierzęcia. Weterynarz oświetlił go latarką i w jej blasku Ellie dostrzegła drobne srebrzyste bąble.

– Owrzodzenie – stwierdziła. – Interesujące.

– Stegozaury przysparzają nam mnóstwa kłopotów – powiedział weterynarz. – Ciągle chorują.

– Jakie są objawy? – zapytała Ellie i przesunęła paznokciem po języku. Z popękanych pęcherzyków pociekła przezroczysta ciecz.

– Błeee! – jęknęła Lex.

– Zaburzenia równowagi i orientacji, trudności z oddychaniem oraz biegunka. Wydaje się, że nawroty występują mniej więcej co sześć tygodni.

– Czy przez cały czas przyjmują pokarm?

– O, tak – odparł Harding. – Zwierzę tej wielkości musi codziennie zjeść minimum dwieście do trzystu kilogramów tylko po to, żeby utrzymać się przy życiu. To prawdziwe żarłoki.

– W takim razie raczej nie jest to zatrucie pokarmowe. Gdyby w diecie stegozaurów znajdowała się jakaś trująca roślina, zwierzęta chorowałyby cały czas, a nie tylko co sześć tygodni.

– Otóż to – zgodził się weterynarz.

– Pozwoli pan? – Ellie wyjęła mu latarkę z ręki. – Czy ten środek znieczulający wywołuje zmianę odruchu źrenicznego? – zapytała, świecąc stegozaurowi w oko.

– Owszem. Źrenice powinny być zwężone.

– Ale te są rozszerzone.

Harding sprawdził. Rzeczywiście, źrenica stegozaura była silnie rozszerzona i słabo reagowała na światło.

– Niech mnie licho... – wykrztusił. – To efekt farmakologiczny.

– Chyba tak. – Ellie wstała z klęczek i rozejrzała się dokoła. – Jaką powierzchnię ma ich wybieg?

– Około siedmiu kilometrów kwadratowych.

– I cały wygląda w ten sposób?

Znajdowali się na rozległej łące usianej gęsto kamieniami i skałami wychylającymi się spod cienkiej warstwy gleby. Ze szczelin w gruncie wydobywały się kłęby pary. Było późne popołudnie, a na zaróżowionym niebie z każdą chwilą pojawiało się coraz więcej ciężkich, ciemnych chmur.

– Na północ i wschód stąd roślinność jest bardziej obfita, ale zawsze, kiedy chorują, przychodzą właśnie tutaj.

Interesujący problem, pomyślała Ellie. Jak wytłumaczyć regularne nawroty choroby?

– Widzi pan te niskie krzewy o cienkich gałązkach? – zapytała, wskazując kępę roślin po drugiej stronie łąki.

Harding skinął głową.

– Bez azjatycki. Naturalnie wiemy, że jest trujący, ale zwierzęta go nie jedzą.

– Jest pan pewien?

– Tak. Obserwujemy je na monitorach, a ja na wszelki wypadek sprawdziłem także ich odchody. Te stegozaury nigdy nie jadły krzewów bzu.

Melia azedarach, zwany także bzem azjatyckim, zawiera sporo toksycznych alkaloidów. Chińczycy używali go do trucia ryb w rzekach.

– Nawet go nie spróbowały – zapewnił weterynarz.

– To bardzo ciekawe, bo wykazują wszystkie klasyczne objawy zatrucia tym bzem – powiedziała Ellie. – Zaburzenia orientacji, owrzodzenie błon śluzowych i rozszerzenie źrenic. – Podeszła do krzewów i przyjrzała im się dokładnie. – Ma pan rację – stwierdziła. – Nie ma na nich śladów żerowania.

– I jeszcze te sześciotygodniowe przerwy – przypomniał jej Harding.

– Jak często stegozaury odwiedzają to miejsce?

– Mniej więcej raz w tygodniu. Przez cały czas krążą po swoim terytorium, a jedno okrążenie zajmuje im właśnie tydzień.

– Ale chorują tylko co sześć tygodni?

– Zgadza się.

– Jejku, jakie to nudne! – jęknęła Lex.

– Ciii!... – skarcił ją Tim. – Doktor Sattler próbuje coś wymyślić.

– Niestety, bez powodzenia – stwierdziła Ellie. Ruszyła powoli przed siebie, wpatrując się uważnie w ziemię.

– Może ktoś chciałby zagrać? – usłyszała za plecami głos Lex.

Grunt był skalisty, a gdzieś z lewej strony dobiegał odgłos fal rozbijających się o urwisty brzeg. Wśród kamieni leżało sporo jagód. Może zwierzęta jadły jagody? Nie, to nie miało najmniejszego sensu. Jagody bzu azjatyckiego są przeraźliwie gorzkie.

– Znalazłaś coś? – zapytał Grant, podchodząc do niej.

Ellie westchnęła ciężko.

– Tylko kamienie – przyznała. – Musimy chyba być blisko plaży, bo wszystkie są gładkie. Nie wiem czemu, ale leżą w dziwnych, małych stosikach.

– W dziwnych, małych stosikach? – powtórzył Grant.

– O, tam, po prawej stronie. – Wskazała kierunek wyciągniętą ręką.

Niemal w tej samej chwili zrozumiała, co to jest. Kamienie rzeczywiście były wygładzone, ale nie miało to nic wspólnego z działaniem oceanu. Leżały usypane w małe stosiki, jakby ktoś najpierw zebrał je, a potem rzucił w jedno miejsce.

Były to kamienie żołądkowe – gastrolity.

Wiele ptaków, a także krokodyli, połyka od czasu do czasu małe kamienie, które gromadzą się w tak zwanym żołądku mięśniowym. Poruszane mięśniami kamienie pomagają zmiażdżyć pokarm, zanim ten dotrze do właściwego żołądka, a tym samym ułatwiają trawienie. Niektórzy uczeni twierdzili, że także dinozaury korzystały z tego sposobu. Zęby, jakie znajdowano wraz ze szkieletami dinozaurów, były zbyt drobne i stanowczo za mało starte, aby mogły służyć do przeżuwania. Uważano, że dinozaury połykały pokarm w całości, a wstępnej obróbce poddawały go kamienie żołądkowe. Przy niektórych szkieletach natrafiano nawet na małe, gładkie kamyki, ale nigdy nie zdołano jednoznacznie dowieść słuszności tej teorii, więc...

– Kamienie żołądkowe... – szepnął Grant.

– Tak mi się przynajmniej wydaje. Po kilku tygodniach stają się na tyle gładkie, że nie mogą spełniać swej roli, więc dinozaury wydalają je i łykają nowe, a przy okazji zjadając także jagody bzu. Dlatego właśnie chorują.

– Niech mnie licho! – wykrzyknął Grant. – Jestem pewien, że masz rację.

Przykucnął przy małym stosiku i zaczął go uważnie przeglądać, rozgarniając kamienie ręką. Nagle znieruchomiał.

– Spójrz na to, Ellie – powiedział.

* * *

– Dawaj, dawaj! – krzyczała Lex do Gennaro, który przymierzał się do wykonania rzutu. – Ładuj prosto w cel!

Zaraz potem odrzuciła piłeczkę tak mocno, że niewiele brakowało, a wypuściłby ją z ręki.

– Hej, pomału! – zawołał. – Nie mam rękawicy!

– Mazgaj! – stwierdziła z pogardą.

Zirytowany, włożył w kolejny rzut całą siłę i usłyszał donośne plaśnięcie, kiedy piłeczka ugrzęzła w rękawicy.

– No, tak już lepiej – pochwaliła go dziewczynka.

Bawiąc się z Lex, Gennaro rozmawiał ze stojącym obok stegozaura Malcolmem.

– I jak ten chory dinozaur pasuje do pańskiej teorii?

– Wszystko zostało przewidziane.

Gennaro potrząsnął głową.

– Czy jest coś, czego ona nie uwzględnia?

– Naprawdę nie ja ją wymyśliłem – odparł Malcolm. – To teoria chaosu. Odnoszę jednak wrażenie, że nikt nie chce zastanawiać się nad wynikającymi z niej konsekwencjami, choć będą one bardzo poważne – znacznie poważniejsze od tych, jakie przyniosła zasada Heisenberga albo twierdzenie Goedela, o których wszyscy rozprawiają z takim zapałem. Tamte mają znaczenie dla filozofów, podczas gdy teoria chaosu dotyczy codziennego życia. Czy wie pan, dlaczego zbudowano komputery?

– Nie – przyznał Gennaro.

– Daj im łupnia! – wykrzyknęła Lex.

– Zbudowano je dlatego, że pod koniec lat 40. matematycy tacy jak John von Neumann przypuszczali, iż mając do dyspozycji komputer – a więc maszynę zdolną uwzględnić w obliczeniach wiele zmiennych jednocześnie – będą w stanie przepowiadać pogodę. Ludzie wierzyli w ten sen przez następne czterdzieści lat. Wierzyli, że przewidywanie jest związane w bezpośredni sposób z gromadzeniem informacji. Jeśli wiesz wystarczająco dużo, możesz wszystko przewidzieć. Od czasów Newtona przekonanie to pielęgnowali niemal wszyscy uczeni świata.

– I co?

– Teoria chaosu rozbija je w pył, gdyż twierdzi, że pewnych zjawisk nigdy nie uda się przewidzieć. Na przykład pogoda: można ją przewidzieć tylko na kilka dni naprzód. Wszystkie pieniądze, jakie przeznaczono na opracowywanie długoterminowych prognoz – a przez ostatnie dziesięciolecia było tego co najmniej pół miliarda dolarów – zostały wyrzucone w błoto. To równie bezsensowne zajęcie jak zamienianie ołowiu w złoto. Czytając o dawnych alchemikach śmiejemy się z ich

wysiłków, ale nasi potomkowie potraktują nas dokładnie tak samo. Chcieliśmy osiągnąć coś, czego nie da się uzyskać, a przy okazji wywaliliśmy na to mnóstwo forsy. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że istnieją pewne kategorie zjawisk nie poddających się żadnym przewidywaniom.

– Tak twierdzi teoria chaosu?

– Owszem, a najbardziej zdumiewające jest, jak mało ludzi chce o niej słyszeć. Przekazałem wszystko Hammondowi na długo przed tym, zanim po raz pierwszy wbito łopatę w tę ziemię. Chcecie wyprodukować gromadę prehistorycznych zwierzaków i wypuścić je na wyspie? Wspaniale. Piękne marzenie. Wręcz urocze. Niestety, nic nie potoczy się zgodnie z planem, bo tego nie da się zaplanować ani przewidzieć, tak samo jak pogody.

– Powiedział mu pan to?

– Tak. Powiedziałem też, gdzie może spodziewać się pierwszych odchyleń. Na pierwszy ogień pójdzie z pewnością dostosowanie zwierząt do współczesnych warunków. Ten stegozaur żył przed stoma milionami lat i po prostu nie będzie umiał zaadoptować się w naszym świecie. Inne jest nie tylko powietrze, ale także promieniowanie słoneczne, ukształtowanie terenu, owady, dźwięki, roślinność... Po prostu wszystko. Znacznie zmniejszyła się zawartość tlenu w atmosferze, więc to biedne zwierzę czuje się jak człowiek na wysokości trzech i pół tysiąca metrów nad poziomem morza. Proszę posłuchać, jak sapie.

– Gdzie jeszcze dostrzega pan zagrożenia?

– Najogólniej rzecz biorąc, w niemożności kontrolowania nowo wprowadzonych do ekosystemu form życia. Historia ewolucji uczy nas, że życie potrafi pokonać wszelkie bariery, aby rozprzestrzenić się na nowych terenach. Nieważne, jakim kosztem, ale zawsze znajdzie jakiś sposób. – Malcolm potrząsnął głową. – Nie chciałem wdawać się w filozofowanie, ale tak właśnie jest.

Gennaro obejrzał się. Ellie i Grant stali po drugiej stronie łąki, machając rękami i wołając coś do nich.

* * *

– Przyniosłeś mi colę? – zapytał Dennis Nedry, kiedy Muldoon wrócił do dyspozytorni.

Muldoon nie odpowiedział, tylko skierował się prosto do monitora. Przez radio dobiegał zniekształcony głos Hardinga.

– ...stegozaur... nareszcie będziemy... radę z...

– Co się dzieje? – zapytał Muldoon.

– Są blisko południowej granicy Parku, stąd te zakłócenia – wyjaśnił Arnold. – Zaraz przełączę ich na inny kanał. Wreszcie wyjaśnili, dlaczego chorują stegozaury. Podobno żrą jakieś jagody, czy coś w tym rodzaju.

Hammond skinął głową.

– Byłem pewien, że prędzej czy później uporamy się z tym problemem – powiedział.

* * *

– Nie wygląda to zbyt imponująco – stwierdził Gennaro, trzymając dwoma palcami mały biały przedmiot, niewiele większy od znaczka pocztowego. – Jesteś pewien, Alan?

– Całkowicie – odparł Grant. – Zwróć uwagę na wzór po wewnętrznej stronie krzywizny. Składa się z delikatnych linii tworzących trójkąty.

– Rzeczywiście, jest coś takiego.

– Otóż w Montanie znalazłem dwa skamieniałe jaja z dokładnie takim samym wzorem.

– Chcesz powiedzieć, że trzymam w ręku kawałek skorupki jaja dinozaura?

– Właśnie.

Harding potrząsnął głową.

– Ale te zwierzęta nie mogą się rozmnażać!

– Najwidoczniej jednak mogą.

– To musi być jajo jakiegoś ptaka – upierał się weterynarz. – Mamy ich mnóstwo na wyspie.

Tym razem Grant potrząsnął głową.

– Za mała krzywizna. Ten kawałek jest prawie płaski, więc jajo musiało być ogromne. Poza tym zauważ, jaki jest gruby. Jeżeli nie hodujecie tu strusi, na pewno oglądamy jajo dinozaura.

– Ale to niemożliwe! – nie dawał za wygraną Harding. – Mamy tu tylko samice!

– Ja wiem tylko tyle, że ten kawałek pochodzi z jaja dinozaura – odparł Grant.

– Potrafisz może określić gatunek?

– Owszem. To jajo welociraptora.

Stan rzeczy

– Bzdura! – wykrzyknął Hammond, przysłuchując się rozmowie przez radio. – To na pewno ptasie jajko!

W radiostacji coś zatrzeszczało, po czym rozległ się głos Malcolma:

– Przeprowadźmy małe doświadczenie, zgoda? Proszę poprosić pana Arnolda, żeby zechciał wydać komputerowi polecenie policzenia wszystkich zwierząt.

– Teraz?

– Tak, teraz. Przypuszczam, że istnieje możliwość przekazania obrazu do monitora zainstalowanego w samochodzie doktora Hardinga. Jeśli tak, to także proszę to zrobić.

– Nie ma sprawy – odparł Arnold. W chwilę później na monitorze pojawiła się tabela:

Całkowita liczba zwierząt			**238**
Gatunek	Powinno być	Jest	Wersja
Tyranozaury	2	2	4,1
Maiazaury	21	21	3,3
Stegozaury	4	4	3,9
Triceratopsy	8	8	3,1
Procompsognaty	49	49	3,9
Otnielie	16	16	3,1
Welociraptory	8	8	3,0
Apatozaury	17	17	3,1
Hadrozaury	11	11	3,1
Dilofozaury	7	7	4,3
Pterozaury	6	6	4,3
Hypsilofodonty	33	33	2,9
Euoplocefale	16	16	4,0
Styracozaury	18	18	3,9
Mikroceratopsy	22	22	4,1
Łącznie	238	238	

– Mam nadzieję, że to panu wystarczy – powiedział Hammond. – Widzicie to na swoim monitorze?

– Widzimy.

– Wszystko się zgadza, jak zwykle – dodał Hammond, nawet nie starając się ukryć satysfakcji.

– Czy może pan teraz kazać komputerowi, żeby postarał się odnaleźć inną liczbę zwierząt? – zapytał Malcolm.

– To znaczy ile?

– Na przykład dwieście trzydzieści dziewięć.

Arnold zmarszczył brwi.

– Jedną chwilkę.

Wkrótce potem na ekranie pojawiła się nowa tabela:

Gatunek	Powinno być	Jest	Wersja
Tyranozaury	2	2	4.1
Maiazaury	21	21	3,3
Stegozaury	4	4	3,9
Triceratopsy	8	8	3,1
Procompsognaty	49	59	? ?
Otnielie	16	16	3,1
Welociraptory	8	8	3,0
Apatozaury	17	17	3,1
Hadrozaury	11	11	3,1
Dilofozaury	7	7	4,3
Pterozaury	6	6	4,3
Hypsilofodonty	33	33	2,9
Euoplocefale	16	16	4,0
Styracozaury	18	18	3,9
Mikroceratopsy	22	22	4,1
Łącznie	238	239	

Hammond podskoczył na fotelu.

– Co to ma być, do diabła?!

– Znaleźliśmy dodatkowego procompa.

– A skąd on się wziął, do jasnej cholery?

– Nie mam pojęcia.

– Czy teraz mógłby pan poprosić komputer, żeby poszukał, powiedzmy, trzystu zwierząt? – zatrzeszczało radio.

– O czym on mówi? – zapytał Hammond podniesionym głosem. – Trzysta zwierząt? Co to ma właściwie znaczyć?

– Chwileczkę – powiedział Arnold. – Trzeba będzie zaczekać parę minut.

Nacisnął kilka klawiszy na klawiaturze. Na ekranie pozostał jedynie ostatni wiersz tabeli.

Łącznie.....239

– Nie rozumiem, do czego on zmierza – poskarżył się Hammond.

– Obawiam się, że ja wiem – odparł Arnold, wpatrując się w ekran, na którym pojawiały się coraz większe liczby.

Łącznie.....244

– Dwieście czterdzieści cztery?! – wykrzyknął Hammond. – Co to ma znaczyć, do cholery?

– Komputer liczy zwierzęta przebywające na terenie parku – wyjaśnił Wu. – Wszystkie zwierzęta.

– Myślałem, że zawsze to robił. – Hammond odwrócił się gwałtownie. – Nedry, czy ty znowu coś spieprzyłeś?

– Nie – odparł programista, podnosząc głowę znad swojego terminala. – Komputer pozwala człowiekowi wprowadzić spodziewaną liczbę zwierząt, co bardzo przyśpiesza proces liczenia, ale to jest zwykłe ułatwienie, me żaden błąd.

– On ma rację – wtrącił się Arnold. – Zawsze podawaliśmy komputerowi liczbę dwieście trzydzieści osiem, bo byliśmy pewni, że nie może być więcej.

Łącznie.....262

– Zaczekajcie chwilę – warknął Hammond. – Przecież te dinozaury nie są w stanie się rozmnażać! Wasz komputer liczy pewnie polne myszy, albo coś w tym rodzaju!

– Ja też tak myślę – powiedział Arnold. – Zapewne chodzi o jakiś błąd w interpretacji obrazu, ale wkrótce będziemy wiedzieli na pewno.

Hammond odwrócił się w stronę Wu.

– One nie mogą się rozmnażać, prawda?

– Oczywiście, że nie.

Łącznie.....270

– W takim razie, skąd się wzięły? – zapytał Arnold.

Wu wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem?

W milczeniu obserwowali zmieniające się szybko liczby.

Łącznie.....283

– Cholera, ile jeszcze? – usłyszeli przez radio głos Gennaro.

– Jestem głodna – oznajmiła dziewczynka. – Kiedy wrócimy do domu?

– Już niedługo, Lex.

Na ekranie pojawiła się nowa informacja:

ERROR: Search Params; nie znaleziono 300 zwierząt

– Błąd – stwierdził z satysfakcją Hammond, kiwając głową. – Wiedziałem. Od początku byłem pewien, że musi być jakiś błąd.

Jednak sekundę później ekran wypełniła nowa tabela:

Całkowita liczba zwierząt			292
Gatunek	Powinno być	Jest	Wersja
Tyranozaury	2	2	4,1
Maiazaury	21	22	? ?
Stegozaury	4	4	3,9
Triceratopsy	8	8	3,1
Procompsognaty	49	65	? ?
Otnielie	16	23	? ?
Welociraptory	8	37	? ?
Apatozaury	17	17	3,1
Hadrozaury	11	11	3,1
Dilofozaury	7	7	4,3
Pterozaury	6	6	4,3
Hypsilofodonty	33	34	? ?
Euoplocefale	16	16	4,0
Styracozaury	18	18	3,9
Mikroceratopsy	22	22	4,1
Łącznie	238	292	

– Teraz sami widzicie, na czym polegał wasz błąd – powiedział przez radio

Malcolm. – Szukaliście tylko tych zwierząt, o których wiedzieliście. Obawialiście się jedynie utraty któregoś z nich, więc stworzyliście program, który miał was informować natychmiast, jak tylko okazałoby się, że jest mniej dinozaurów niż powinno. Jednak problem polega na tym, że ich jest więcej.

– O Boże... – wyszeptał Arnold.

– To niemożliwe – stwierdził kategorycznie Wu. – Dokładnie wiemy, ile sztuk wyprodukowaliśmy.

– Obawiam się, że nie masz racji, Henry – odparł Malcolm. – One się rozmnażają.

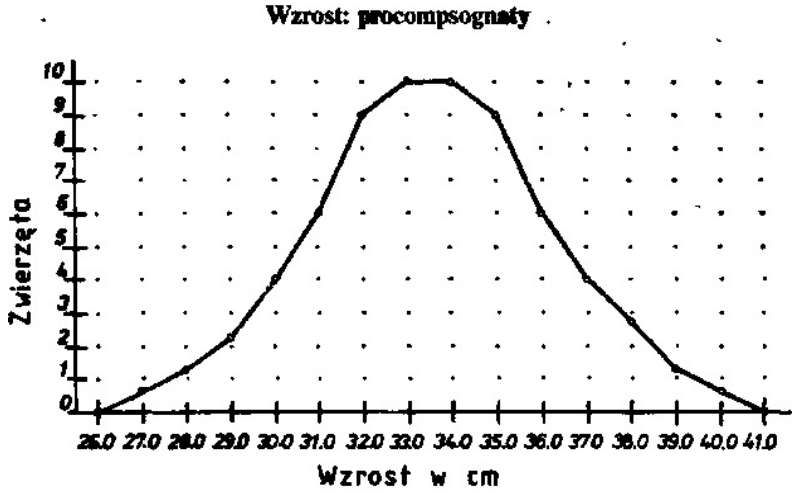

– Nie!

– Nawet jeśli nie wierzysz, że Grant znalazł fragment skorupy jaja, możesz przekonać się o tym na podstawie własnych danych. Spójrz na wykres wzrostu procompsognatów. Arnold da ci go na monitor.

– Zauważyłeś coś interesującego?

– To zupełnie normalna krzywa – odparł Wu.

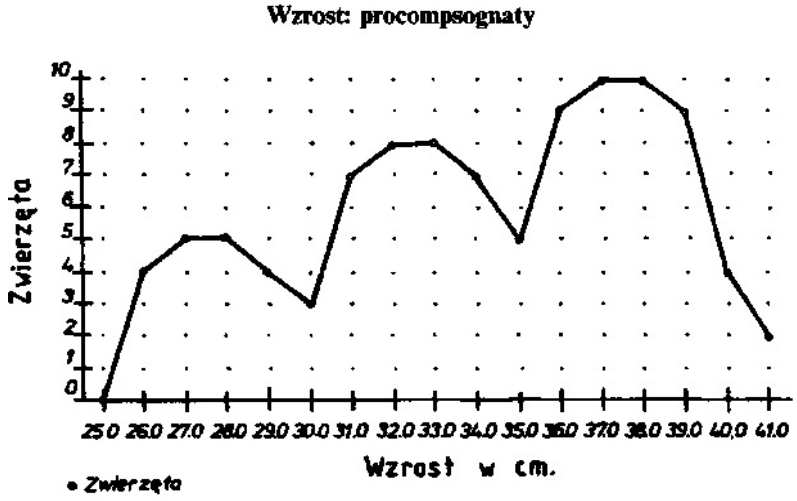

– Czy nie wspomniałeś, że wprowadzałeś procompy w trzech seriach, w sześciomiesięcznych odstępach?

– Owszem...

– A więc na twoim wykresie powinny znaleźć się trzy szczyty, po jednym dla

każdego wylęgu – powiedział Malcolm, stukając szybko w klawiaturę terminala zainstalowanego w samochodzie Hardinga. – Coś w tym rodzaju.

– Tak się jednak nie stało – ciągnął Malcolm. – Wykres, który pokazał wam komputer, odnosi się do normalnej, rozmnażającej się populacji. Wasze procompy są zdolne do rozrodu.

– Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób – powiedział Wu, kręcąc głową.

– Rozmnażają się, podobnie jak wiele innych gatunków... W tym także welociraptory.

– O Boże! – wykrztusił Muldoon.

– Nie jest tak źle – stwierdził Hammond, przyglądając się uważnie ekranowi – zanotowaliśmy wzrost tylko w trzech... no, pięciu kategoriach, w tym w dwóch bardzo nieznaczny, więc...

– Co ty wygadujesz? – zapytał Wu podniesionym głosem. – Czy naprawdę nie rozumiesz, co to znaczy?

– Oczywiście, że rozumiem, Henry – odparł Hammond. – To znaczy tyle, że spieprzyłeś swój kawałek roboty.

– W żadnym wypadku!

– Tam są dinozaury, które się rozmnażają.

– Ale to przecież wyłącznie samice! – wykrzyknął Wu. – Gdzieś musi być błąd. Zresztą, spójrz na liczby: minimalny przyrost wśród wielkich zwierząt, a bardzo duży wśród małych. To po prostu nie trzyma się kupy. Gdzieś musi być jakiś błąd...

– Obawiam się, że jednak nie – zatrzeszczał przez radio głos Granta. – Te liczby potwierdzają tylko, że na wyspie wylęgają się młode dinozaury. W siedmiu różnych miejscach lęgowych.

Miejsca lęgowe

Robiło się coraz ciemniej, a z oddali raz po raz dobiegał odgłos grzmotów. Grant wraz z pozostałymi uczestnikami wycieczki stał przy drzwiach jeepa, spoglądając na monitor zainstalowany na tablicy przyrządów.

– Miejsca lęgowe? – powtórzył Wu przez radio.

– Albo po prostu gniazda – odparł paleontolog. – Jeśli przyjmiemy, że za jednym razem wykluwa się przeciętnie od ośmiu do dwunastu dinozaurów, to wynikałoby z tego, że procompy mają na wyspie dwa gniazda, podobnie jak raptory, natomiast trzy pozostałe rozmnażające się gatunki po jednym.

– A gdzie one mogą być?

– Musimy je znaleźć. Zazwyczaj dinozaury zakładały gniazda w bardzo odosobnionych miejscach.

– Ale dlaczego wykluwa się tak mało dużych dinozaurów? – zastanawiał się głośno Wu. – Jeżeli w gnieździe maiazaurów jest osiem do dwunastu jaj, to powinno się wykluć osiem do dwunastu młodych zwierząt, a nie jedno.

– Słusznie – odparł Grant. – Tyle tylko, że raptory i procompy ganiają po całym Parku, pożerając jaja większych gatunków, a prawdopodobnie także ich młode.

– Nigdy nic takiego nie zauważyliśmy – zaoponował Arnold.

– Raptory prowadzą nocny tryb życia – przypomniał mu Grant. – Czy ktoś obserwuje Park nocą?

Odpowiedziało mu długie milczenie.

– Tak właśnie myślałem – westchnął paleontolog.

– Ale to nadal nie ma sensu! – nie dawał za wygraną Wu. – Przecież pięćdziesiąt zwierząt nie wyżywi się jajami i młodymi z kilku gniazd...

– Oczywiście – zgodził się Grant. – Na pewno jedzą coś oprócz tego, na przykład małe gryzonie, takie jak myszy i szczury.

W eterze ponownie zapadła cisza.

– Niech zgadnę... – podjął po pewnym czasie Grant. – Kiedy przybyliście na tę wyspę, mieliście poważne problemy ze szczurami, ale potem, z biegiem czasu, problemy zniknęły...

– Zgadza się.

– I nigdy nie przyszło wam do głowy zbadać dlaczego?

– Cóż, wyszliśmy z założenia, że... – zaczął Arnold, ale Wu przerwał mu w pół zdania.

– Cała ta gadanina nie zmienia jednak faktu, że wszystkie zwierzęta są samicami, a więc nie mogą się rozmnażać.

Grant od jakiegoś czasu zastanawiał się nad tą sprawą. Niedawno przeczytał o intrygującym odkryciu dokonanym w Niemczech, które powinno pomóc rozwiązać zagadkę.

– Pracując nad odtworzeniem sekwencji DNA dinozaurów macie początkowo do

dyspozycji tylko jego fragmenty, zgadza się? – zapytał.

– Tak – odparł Wu.

– Czy po to, by uzyskać pełen łańcuch, musieliście kiedykolwiek korzystać z fragmentów DNA innych zwierząt?

– Od czasu do czasu – przyznał genetyk. – Inaczej nie dalibyśmy sobie rady. Czasem włączaliśmy odcinki DNA ptaków, ale najczęściej płazów.

– Na przykład żab?

– Całkiem możliwe, ale musiałbym sprawdzić.

– Więc zrób to – powiedział Grant. – Wydaje mi się, że wtedy wszystko stanie się jasne.

– Żaby? – zdziwił się Malcolm. – A co tu mają do rzeczy żaby?

– Słuchajcie, to wszystko jest bardzo interesujące – wtrącił się ze zniecierpliwieniem Gennaro – ale wydaje mi się, że przede wszystkim powinniśmy zająć się głównym problemem, czyli tym, czy jakieś zwierzęta uciekły z wyspy...

– Na pewno nie uda nam się tego stwierdzić na podstawie danych, którymi obecnie dysponujemy – odparł Grant.

– W takim razie, w jaki sposób możemy się o tym przekonać?

– Trzeba będzie znaleźć wszystkie gniazda, zbadać je dokładnie i policzyć fragmenty jaj. Na tej podstawie uda nam się w przybliżeniu stwierdzić, ile osobników się wykluło, a wtedy będziemy mogli zacząć je liczyć.

– Ale nawet jeśli okaże się, że jakiegoś brakuje, to i tak nie będziemy wiedzieli, czy przypadkiem nie został zjedzony zaraz po wykluciu albo czy nie zginął później z jakiegoś innego powodu – zauważył matematyk.

– Rzeczywiście, ale przynajmniej będziemy mieli od czego zacząć. Oprócz tego wydaje mi się, że uzyskamy znacznie więcej informacji, jeśli przyjrzymy się uważnie wykresom populacyjnym.

– A jak znajdziemy gniazda?

– W tym także pomoże nam komputer.

– Czy możemy już wracać? – zapytała Lex. – Jestem okropnie głodna.

Grant uśmiechnął się do niej.

– Tak, oczywiście. I tak byłaś bardzo cierpliwa.

– Za dwadzieścia minut będziesz przy stole – zapewnił ją Ed Regis, ruszając w kierunku land cruiserów.

– Zostanę tu jeszcze chwilę, żeby zrobić stegozaurowi parę zdjęć aparatem doktora Hardinga – powiedziała Ellie. – Przypuszczam, że to owrzodzenie zniknie do jutra bez śladu.

– Ja pojadę z dziećmi – oznajmił Grant.

– Ja też – przyłączył się Malcolm.

– A ja chyba zostanę i wrócę później jeepem z doktor Sattler i doktorem Hardingiem – postanowił Gennaro.

– W porządku. W takim razie chodźmy.

Kiedy od jeepa dzieliło ich już kilka metrów, Malcolm zapytał:

– Dlaczego właściwie nasz prawnik nie wraca z nami?

Grant wzruszył ramionami.

– Myślę, że to ma coś wspólnego z doktor Sattler.

– Naprawdę? Może przez te szorty?

– Nic nowego pod słońcem.

– Teraz chcę siedzieć z przodu, obok doktora Granta – oświadczył Tim, kiedy doszli do land cruiserów.

– Przykro mi, ale chciałbym porozmawiać z doktorem Grantem – odparł Malcolm.

– Będę tylko siedział i słuchał. Nie odezwę się ani słowem – obiecywał chłopiec.

– Niestety, to będzie prywatna rozmowa.

– Wiesz co, Tim? – odezwał się Ed Regis. – Niech oni dwaj idą do drugiego samochodu, a my pojedziemy pierwszym. Usiądziesz z przodu obok mnie, a ja dam ci założyć gogle noktowizyjne, zgoda?

– W porządku – powiedział chłopiec i skierował się do pierwszej toyoty.

– Hej, ja też chcę popatrzeć! – zawołała Lex.

– Nic z tego – odparł Tim.

– To nie fair! Ty zawsze zabierasz wszystko dla siebie!

Ed Regis odprowadził spojrzeniem dwoje kłócących się dzieci, po czym mruknął do Granta:

– Zdaje się, że wiem, jak będzie wyglądała droga powrotna. – Grant i Malcolm wsiedli do samochodu. Na przedniej szybie rozbiły się pierwsze krople deszczu. – Ruszamy – powiedział Regis. – Mnie też już burczy w brzuchu. Poza tym chętnie napiłbym się trochę likieru bananowego. Co wy na to, panowie? – Poklepał maskę toyoty, po czym pobiegł do pierwszego samochodu i wskoczył do środka.

Na tablicy przyrządów zamrugało czerwone światełko, rozległ się szum elektrycznego silnika i oba land cruisery ruszyły z miejsca.

Podczas podróży w zapadającym zmierzchu Malcolm wydawał się dziwnie przygnębiony.

– Powinieneś triumfować – zauważył Grant. – Twoja teoria okazała się słuszna.

– Szczerze mówiąc, mam niedobre przeczucia. Podejrzewam, że czeka nas sporo niebezpieczeństw.

– Dlaczego tak myślisz?

– Intuicja.

– Czyżby matematycy wierzyli w coś takiego?

– Oczywiście. Intuicja jest bardzo ważna. A tak naprawdę, to myślałem o fraktalach. Wiesz, co to takiego?

Grant pokręcił głową.

– Nie bardzo.

– Geometrię fraktali stworzył człowiek nazwiskiem Mandelbrot. W przeciwieństwie do tradycyjnej geometrii euklidesowej, której wszyscy uczymy się w szkole – tej z kwadratami, sześcianami i kulami – geometria fraktali opisuje autentyczne przedmioty występujące w prawdziwym świecie, takie jak góry i obłoki, a więc jest bardziej związana z rzeczywistością.

Otóż ten Mandelbrot dokonał niezwykłego odkrycia: przekonał się mianowicie, że te same przedmioty, oglądane w różnej skali, wyglądają niemal identycznie.

– Jak to, w różnej skali?

– Weźmy na przykład górę. Widziana z pewnej odległości ma charakterystyczny, poszarpany kształt. Jeżeli podejdziemy bliżej i przyjrzymy się tylko jej wierzchołkowi, przekonamy się, że ma on ten sam kształt, co cała góra. Gdybyśmy kontynuowali doświadczenie, kończąc na maleńkim kawałku kwarcu oglądanym pod mikroskopem, zobaczylibyśmy, że on też właściwie niczym nie różni się od wielkiej góry.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego cię to niepokoi – przyznał Grant, po czym ziewnął szeroko. W powietrzu unosił się wyraźny zapach siarki, jaką zawierają wulkaniczne opary wydobywające się ze szczelin w gruncie. Zbliżali się do odcinka drogi, który biegł krawędzią urwiska wznoszącego się nad piaszczystą plażą i oceanem.

– To zupełnie nowy sposób patrzenia na świat – powiedział Malcolm. – Mandelbrot stwierdził, że wszystko, poczynając od najmniejszego, a kończąc na największym, wygląda tak samo. Identyczne zjawisko występuje w świecie wydarzeń.

– Wydarzeń?

– Weźmy na przykład ceny bawełny. Notuje się je od ponad stu lat, więc stanowią dobry materiał badawczy. Analizując ich zmiany, bardzo szybko stwierdzisz, że wykres obrazujący wahania ceny w ciągu dnia jest niemal taki sam, jak wykres dotyczący tygodnia, który z kolei prawie niczym nie różni się od rocznego, a ten z kolei od dziesięcioletniego... Tak to właśnie wygląda: jeden dzień jest jak całe życie. Zaczynasz go robiąc jedno, lecz kończysz zajęty zupełnie czym innym, planujesz gdzieś pojechać, ale nie udaje ci się tam dotrzeć... A pod koniec życia przekonujesz się, że wszystko potoczyło się właśnie w taki, nie uporządkowany sposób. Całe twoje życie wyglądało jak jeden, dowolnie wybrany dzień.

– Wydaje mi się, że to dość jednostronne spojrzenie... – zauważył ostrożnie Grant.

– Wcale nie. To jedyne słuszne spojrzenie – w każdym razie wtedy, jeśli chcesz być lojalny wobec rzeczywistości. Widzisz, idea jednakowości zawiera także pewien aspekt okresowości, czy też zapętlania się wydarzeń, co z kolei oznacza, że nie sposób ich przewidzieć. Zmiany mogą nastąpić w każdej chwili, bez ostrzeżenia.

– W porządku, ale...

– My jednak lubimy się łudzić, że wszystkie nagłe zmiany stanowią odstępstwo od normalnego, uporządkowanego biegu wydarzeń. Nie mamy wpływu ani na zaistnienie wypadku samochodowego, ani na pojawienie się śmiertelnej choroby, uznajemy więc, że te niespodziewane, brzemienne w skutki zjawiska znajdują się jakby obok naszej rzeczywistości. Tymczasem one stanowią jej nieodłączną część. Teoria chaosu uczy nas, że determinizm, który nauczyliśmy się uważać za coś oczywistego we wszystkich dziedzinach życia, od fizyki poczynając, na literaturze kończąc, po prostu nie istnieje. Determinizm stanowi sztuczny sposób postrzegania

świata. Tak naprawdę życie wcale nie jest łańcuchem zazębiających się ze sobą wydarzeń występujących jedno za drugim, jak kamienie w naszyjniku, lecz serią przypadkowych spotkań, z których każde może wpłynąć na przebieg następnych w niemożliwy do przewidzenia, a nawet destrukcyjny sposób. – Matematyk opadł na siedzenie, wpatrując się w podążającego kilka metrów z przodu land cruisera. – Tak przedstawia się najgłębsza prawda o strukturze naszego wszechświata. My jednak, z jakiegoś powodu, nie chcemy przyjąć jej do wiadomości.

W tej samej chwili samochody zatrzymały się z gwałtownym szarpnięciem.

– Co się stało?

W pierwszym samochodzie dzieci wskazywały z ożywieniem w kierunku oceanu. Grant spojrzał w tamtą stronę i ujrzał ciemny kształt statku zaopatrzeniowego, płynącego szybko w kierunku Puntarenas.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? – zapytał Malcolm. Grant włączył radio.

– Patrz, Timmy! – rozległ się podekscytowany głos dziewczynki. – On tam jest!

Malcolm wytężył wzrok.

– Czy ona mówi o statku?

– Chyba tak.

Z pierwszej toyoty wyskoczył Ed Regis i podbiegł do samochodu Granta i Malcolma.

– Przepraszam, ale dzieciaki mało nie wyszły ze skóry – wy sapał. – Macie może lornetkę?

– Po co?

– Dziewczynka twierdzi, że zobaczyła coś na pokładzie statku. Podobno jakieś zwierzę.

Grant chwycił lornetkę, przyłożył ją do oczu, oparł łokcie na drzwiach samochodu i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ciemną sylwetkę statku. Niespodziewanie na pokładzie zapaliły się światła pozycyjne, jarząc się żywymi barwami w ciemnofioletowym mroku.

– Widzisz coś? – zapytał Regis.

– Nic.

– Są nisko, nad samą wodą – powiedziała Lex przez radio. Grant uważnie przypatrywał się pokładowi, w centralnej części statku wznoszącemu się niewiele nad linię zanurzenia. Było już jednak tak ciemno, że miał trudności z odróżnieniem szczegółów.

– Nic tam nie ma...

– Ale ja je widzę! – wykrzyknęła Lex ze zniecierpliwieniem. – Z tyłu, niech pan patrzy z tyłu!

– Jak ona może cokolwiek zobaczyć przy takim świetle? – zdziwił się Malcolm.

– Dzieci mają znacznie lepszy wzrok – odparł Grant. – My też go mieliśmy, tyle tylko, że o tym nie pamiętamy.

Skierował lornetkę na rufę statku... i nagle zobaczył zwierzęta. Chyba bawiły się, biegając między urządzeniami pokładowymi. Widział je niezbyt dokładnie, i tylko przez krótką chwilę, ale w gęstniejącym szybko mroku zdołał stwierdzić, że

poruszają się na tylnych łapach, mają około pół metra wzrostu i zachowują równowagę dzięki grubym ogonom.

– Widzi pan? – zapytała Lex.

– Tak, widzę.

– I co to jest?

– Raptory. Co najmniej dwa, a może trzy. Młode osobniki.

– O Boże! – wykrztusił Regis. – Statek płynie na kontynent!

Malcolm wzruszył ramionami.

– Nie ma się czym podniecać. Trzeba połączyć się z dyspozytornią i powiedzieć im, żeby zawrócili go z drogi.

Regis natychmiast włączył nadajnik. Rozległy się głośne trzaski, a potem wyraźne pstryknięcia, kiedy zmieniał kanały.

– Chyba coś nawaliło – powiedział. – Spróbuję od siebie. – Podbiegł do pierwszej toyoty, przez chwilę manipulował przy tablicy przyrządów, a potem wysiadł i uniósł bezradnie ręce. – Coś jest nie w porządku z oboma nadajnikami! – zawołał. – Nie mogę połączyć się z dyspozytornią.

– W takim razie ruszajmy w drogę – powiedział Grant.

* * *

W dyspozytorni Muldoon stał przed wielkimi oknami i przyglądał się parkowi. Punktualnie o siódmej wieczorem na wyspie zapaliły się sodowe lampy, zamieniając ją w roziskrzony, ogromny klejnot. Tę właśnie porę dnia Muldoon lubił najbardziej.

Odwrócił się, gdyż z głośników zaczął wydobywać się głośny szum.

– Znowu ruszyli – oznajmił Arnold. – Wracają.

– Ale dlaczego w ogóle się zatrzymywali? – denerwował się Hammond. – I dlaczego nie możemy się z nimi połączyć?

– Nie mam pojęcia – przyznał Arnold. – Może wyłączyli odbiorniki w samochodach?

– To raczej z powodu burzy – odezwał się Muldoon. – Zakłócenia elektryczne.

– Powinni tu być za dwadzieścia minut – stwierdził Hammond. – Upewnijcie się, czy czekają na nich z kolacją. Dzieciaki na pewno są głodne.

Arnold podniósł słuchawkę, ale zamiast sygnału usłyszał w niej tylko jednostajny szum.

– Co to jest? Co się tutaj dzieje?

– Jezu, odłóż to! – wykrzyknął Nedry. – Zakłócasz transmisję danych!

– Zająłeś wszystkie linie? Nawet wewnętrzne?

– Zająłem linie łączące wyspę ze światem, ale wewnętrzne telefony powinny działać normalnie.

Arnold kolejno naciskał klawisze na konsolecie, jednak bez rezultatu.

– Wygląda na to, że jednak zająłeś wszystkie.

– W takim razie, przepraszam. Przed następną transmisją zwolnię wam kilka. Musicie wytrzymać jeszcze jakieś piętnaście minut. – Ziewnął rozdzierająco. – Zapowiada mi się pracowity weekend. Chyba wreszcie pójdę po tę colę. – Zarzucił na

ramię swoją sportową torbę i skierował się do drzwi. – Nie naciskajcie beze mnie żadnych guzików, dobrze? – powiedział i zniknął w korytarzu.

– Obleśny typ – warknął Hammond.

– Rzeczywiście – przyznał mu rację Arnold. – Ale wygląda na takiego, który wie, co robi.

Jaskrawe światło sodowych lamp załamywało się w wulkanicznych oparach, buchających ze szczelin po obu stronach drogi, tworząc miniaturowe tęcze.

– Ile czasu potrzebuje statek na dopłynięcie do Puntarenas? – zapytał Grant przez interkom.

– Około siedemnastu godzin – odparł Ed Regis. – Zazwyczaj tyle płynie. – Zerknął na zegarek. – Powinien być na miejscu o jedenastej jutro rano.

Grant zmarszczył brwi.

– Nadal nie możesz połączyć się z dyspozytornią?

– Nie.

– A co z Hardingiem?

– Próbowałem, ale nic z tego. Prawdopodobnie wyłączył radio.

Malcolm pokręcił głową.

– A więc tylko my wiemy o obecności zwierząt na statku.

– Robię, co mogę! – odpowiedział Regis podniesionym tonem. – Przecież nikt z nas nie chce, żeby dostały się na kontynent.

– Kiedy będziemy w bazie?

– Za jakieś szesnaście, może siedemnaście minut.

Droga na całej długości była rzęsiście oświetlona. Grantowi wydawało się, że jadą przez długi tunel o ścianach i sklepieniu z jaskrawozielonych liści. O przednią szybę rozbijały się wielkie krople deszczu.

Nagle land cruiser zwolnił, a potem zupełnie znieruchomiał.

– Co tym razem?

– Nie chcę się zatrzymywać – oświadczyła Lex. – Dlaczego stanęliśmy?

W sekundę później wszystkie światła zgasły i drogę spowiła ciemność.

– Hej! – wykrzyknęła dziewczynka.

– To tylko chwilowa przerwa w dostawie energii – powiedział Regis. – Jestem pewien, że za minutę wszystko będzie w porządku.

* * *

– Co się dzieje, do cholery?! – wrzasnął Arnold, wybałuszając oczy na monitory.

– O co chodzi? – zaniepokoił się Muldoon. – Brak energii?

– Tak, ale tylko w terenie. Tutaj jest w porządku, natomiast w Parku wszystko przestało działać. Światła, kamery, czujniki... Po prostu wszystko.

– A land cruisery?

– Zatrzymały się gdzieś w pobliżu wybiegu tyranozaura.

– Cóż, połącz się z dyżurnym technikiem i każ mu uruchomić zasilanie awaryjne – powiedział Muldoon.

Arnold podniósł słuchawkę jednego z aparatów, ale ponownie usłyszał jedynie

komputerowy szum.

– Nie mam jak, telefony nie działają. Ten przeklęty Nedry! Gdzie on się podziewa, do diabła?

* * *

Dennis Nedry pchnął drzwi opatrzone tabliczką z napisem ZAPŁADNIANIE. Z powodu braku energii wszystkie zamki na karty magnetyczne przestały działać i wystarczyło lekkie dotknięcie ręką, aby wejść do dowolnego pomieszczenia w budynku.

Kłopoty z systemem bezpieczeństwa zajmowały jedną z czołowych pozycji na liście wykrytych błędów w oprogramowaniu Parku. Nedry często zastanawiał się, czy komuś przyszło do głowy, że to akurat wcale nie był błąd, tylko klasyczne ukryte wejście, pozostawione przez programistę. Tylko niewielu ludzi tworzących oprogramowanie dla wielkich systemów komputerowych miało dość silnej woli, aby oprzeć się pokusie pozostawienia sobie możliwości dyskretnych „odwiedzin" w systemie. Za tym, aby jednak jej ulec, przemawiał częściowo zdrowy rozsądek: jeśli niesprawny użytkownik doprowadził do zablokowania systemu, zawsze pozostawała furtka, przez którą można było wślizgnąć się do środka i naprawić szkody. Najczęściej jednak chodziło o pozostawienie czegoś w rodzaju podpisu: BYŁEM TUTAJ.

Czasem natomiast stanowiło to zabezpieczenie na przyszłość. Nedry miał serdecznie dość całej tej hecy; już pod koniec prac nad programem InGen zaczęła się nagle domagać daleko idących zmian, nie miała natomiast zamiaru płacić za dodatkową robotę, argumentując, że są to tylko drobne korekty, a te, w myśl kontraktu, zleceniobiorca zobowiązał się wykonać w ramach ustalonej zapłaty. Zagrożono mu procesem, a jego klienci zaczęli otrzymywać listy, w których kwestionowano fachowość Nedry'ego. Był to jawny szantaż, na tyle skuteczny, że w końcu Nedry musiał położyć uszy po sobie i wprowadzić wszystkie zmiany, jakich żądał Hammond.

Jednak później tym chętniej nadstawił ucha, kiedy skontaktował się z nim Lewis Dodgson z Biosyn. Zgodnie z prawdą stwierdził, że owszem, może ominąć wszystkie systemy zabezpieczeń i dostać się do dowolnego pomieszczenia na terenie Parku, ponieważ pozostawił w programie lekko uchyloną furtkę. Tak na wszelki wypadek.

Teraz wszedł do pokoju, na którego drzwiach wisiała tabliczka z napisem: ZAPŁADNIANIE. Zgodnie z jego przypuszczeniami był pusty; wszyscy laboranci poszli na kolację. Nedry rozpiął turystyczną torbę, wyjął z niej pojemnik z pianką do golenia, odkręcił spód, a po wyjęciu go przekonał się, że wnętrze metalowego cylindra jest podzielone na kilka części.

Następnie założył grube ochronne rękawice i otworzył wielką lodówkę. Na drzwiach nalepiono kartkę z napisem: MATERIAŁ BIOLOGICZNY, UTRZYMYWAĆ W TEMPERATURZE MINIMUM – 10°C. Lodówka dorównywała rozmiarami ściennej szafie, w jej wnętrzu zaś znajdowało się mnóstwo półek. Leżały na nich przezroczyste woreczki z jakimiś płynami, natomiast w prawej górnej części

umieszczono mały, chłodzony ciekłym azotem zamrażalnik o ciężkich ceramicznych drzwiczkach. Nedry otworzył je i wyjął ze środka spowity gęstym oparem stojak z kilkoma rzędami probówek.

Embriony posegregowano według gatunków: *Stegosaurus*,*Apatozaurus*,*Hadrosaurus*,*Tyrannosaurus*... Każdy embrion znajdował się w małym plastikowym woreczku, który włożono do probówki, zatkanej następnie korkiem z polietylenu. Nedry błyskawicznie wyjął po dwa embriony każdego gatunku i wsunął je do przegródek w pojemniku, po czym przykręcił z powrotem dno i wykonał jeden pełny obrót górną częścią cylindra. Rozległ się donośny syk uwalnianego gazu, pojemnik zaś błyskawicznie pokrył się szronem. Dodgson zapewniał, że chłodziwa wystarczy na trzydzieści sześć godzin; więcej niż trzeba, żeby dostarczyć towar do San Jose.

Nedry włożył zdobycz do torby, zapiął suwak i wyszedł z laboratorium. Cała operacja zajęła mu niespełna dwie minuty. Wyobrażał sobie konsternację, jaka zapanowała na górze, w dyspozytorni, kiedy zgromadzeni tam ludzie zaczęli sobie uświadamiać rozmiary awarii. Cały system bezpieczeństwa rozpadł się na kawałki, a wszystkie linie telefoniczne zostały zablokowane. Bez jego pomocy uporządkowanie tego chaosu zajęłoby wiele godzin, ale już za kilka minut, kiedy ponownie zasiądzie za terminalem, wszystko wróci do normy.

I nikt nie będzie podejrzewał, że to jego sprawka.

Uśmiechnięty Dennis Nedry minął rząd elektrycznych toyot, podszedł do stojącego przy ścianie garażu jeepa i usiadł za kierownicą. Jego uwagę zwrócił dziwny przedmiot leżący na tylnym siedzeniu, przypominający nieco przenośną wyrzutnię pocisków rakietowych. Nedry uruchomił silnik, po czym spojrzał na zegarek. Trzy minuty jazdy do nabrzeża po wschodniej stronie wyspy, trzy minuty z powrotem do dyspozytorni.

Bułka z masłem.

– Niech to szlag trafi! – wykrzyknął Arnold, naciskając kolejno klawisze na konsolecie. – Wszystko się spieprzyło!

Muldoon stał przy oknie, spoglądając na pogrążony w ciemności park. Światła zgasły na całej wyspie, z wyjątkiem kilku lamp w bezpośrednim otoczeniu głównych zabudowań. Mignęło mu kilka sylwetek ludzi uciekających przed deszczem, ale poza tym wyglądało na to, że nikt nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Muldoon przeniósł wzrok na hotel dla zwiedzających, gdzie także paliły się wszystkie światła.

– Cholera, tym razem naprawdę mamy kłopoty – powiedział Arnold.

– To znaczy? – Muldoon odwrócił się od okna, nie zauważył więc jeepa, który wyjechał z podziemnego garażu i pomknął na wschód, w głąb parku.

– Ten idiota Nedry wyłączył cały system bezpieczeństwa. Wszystkie drzwi w budynku stoją otworem.

– Zawiadomię strażników – zaofiarował się Muldoon.

– To akurat najmniejszy problem – odparł ponuro główny inżynier. – Dużo gorsze jest to, że wysiadło zasilanie płotów elektrycznych.

– Jak to?

– Na całej wyspie nie ma napięcia w ogrodzeniach.

– Czy to znaczy...

– Tak, to właśnie to znaczy. Zwierzęta mogą uciec z wybiegów. – Arnold zapalił papierosa. – Nie przypuszczam, żeby coś się stało, ale nigdy nic nie wiadomo.

Muldoon ruszył do drzwi.

– Lepiej pojadę po tych wycieczkowiczów – powiedział. – Tak na wszelki wypadek.

Niepokoiło go, co mogą zrobić ludzie w unieruchomionych land cruiserach. Lepiej, żeby z nich nie wysiadali, gdyż jak tylko zostanie włączone zasilanie, samochody ruszą w dalszą drogę, bez względu na to, czy będą puste, czy nie. Co prawda padał deszcz, więc raczej nikt nie powinien mieć ochoty na przechadzkę, ale...

Wpadł do garażu i popędził w kierunku jeepa. Całe szczęście, że wcześniej zapakował do niego wyrzutnię. Dzięki temu będzie mógł od razu ruszyć w drogę, nie tracąc czasu na...

Miejsce, w którym jeszcze niedawno stał jeep, było puste.

– Co jest, do diabła? – wykrztusił Muldoon, wybałuszając ze zdumieniem oczy.

Jeep zniknął!

Co tu się właściwie dzieje?

CZWARTA ITERACJA

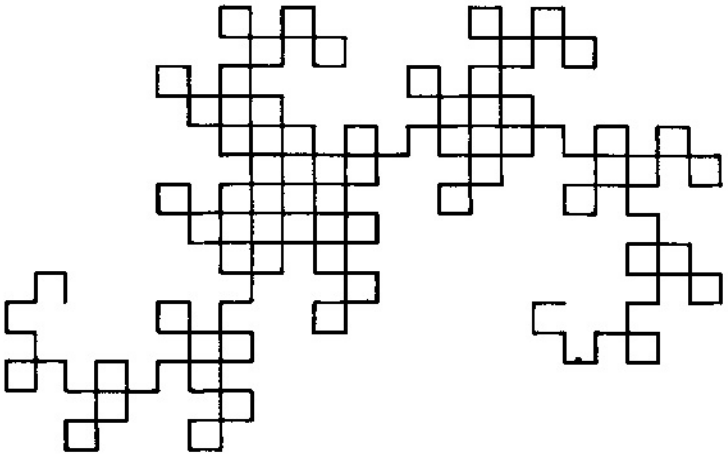

Prędzej czy później uwidacznia się ukryty do tej pory brak stabilności.

IAN MALCOLM

Główna droga

Deszcz bębnił głośno o dach land cruisera. Tim czuł na czole ucisk noktowizyjnych gogli. Poruszył małym pokrętłem przy uchu, w chwilę potem przed oczami rozbłysło mu coś jakby flara i ujrzał w elektronicznych odcieniach czerni i zieleni drugi samochód, stojący kilka metrów z tyłu, a w nim doktora Granta i doktora Malcolma. Całkiem nieźle!

Doktor Grant wypatrywał ich przez przednią szybę. Tim zobaczył, jak sięgnął po mikrofon. Z głośnika dobiegł szum, a zaraz potem usłyszeli Granta:

– Widzicie nas?

– Ja was widzę – odparł Tim.

– Wszystko w porządku?

– Nic nam nie jest, doktorze.

– Nie ruszajcie się z samochodu.

– Proszę się nie obawiać, nawet nie mamy zamiaru.

– Przecież leje jak z cebra! – parsknął Regis. – Jasne, że nawet nie wystawimy nosa na zewnątrz.

Tim popatrzył na roślinność ciągnącą się po obu stronach drogi. Drzewa i krzewy oglądane przez gogle miały intensywnie zielony kolor, pomiędzy nimi zaś można było dostrzec fragmenty metalowego ogrodzenia. Samochody zatrzymały się na odcinku drogi prowadzącym w dół zbocza, co oznaczało, że znajdowali się gdzieś w pobliżu wybiegu tyranozaura.

Może uda mi się zobaczyć go przez gogle, pomyślał Tim. Byłby to z pewnością niesamowity widok. Chłopiec zastanawiał się, czy ślepia zwierzęcia będą świeciły w ciemności. Gdyby tak, byłoby wręcz wspaniale.

Jednak, mimo że rozglądał się bardzo uważnie, niczego nie dostrzegł i po pewnym czasie zrezygnował. W obu samochodach panowało milczenie. Gęste krople bębniły w metalowe dachy, a strużki wody ściekały po szybach. Nawet uzbrojony w gogle Tim miał poważne kłopoty z zobaczeniem czegokolwiek na zewnątrz.

– Jak długo już tu siedzimy? – przerwał milczenie Malcolm.

– Nie wiem. Cztery, może pięć minut.

– Ciekawe, co się stało.

– Zwarcie spowodowane przez deszcz?

– Awaria nastąpiła jeszcze zanim zaczęło na dobre padać. Ponownie zapadła cisza.

– Ale nie będzie burzy, prawda? – zapytała Lex niezbyt pewnym tonem. Zawsze bała się burzy i teraz nerwowo miętosiła swoją baseballową rękawicę.

– Możecie powtórzyć? – poprosił Grant. – Niezbyt dobrze was odbieramy.

– To tylko moja siostra gada coś do siebie.

– Aha.

Tim rozejrzał się uważnie dokoła, ale nic nie zauważył, a już z pewnością nie widział tyranozaura. Zaczai się zastanawiać, czy tyranozaury prowadziły dzienny, czy też nocny tryb życia. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby coś czytał na ten temat. Wydawało mu się, że dla zwierzęcia takiego jak tyranozaur ani pora dnia, ani pogoda nie powinny mieć większego znaczenia.

Nadal lało jak z cebra.

– Niezły deszcz – mruknął Ed Regis. – Nie wygląda na to, żeby miał zaraz przestać.

– Jestem głodna – poskarżyła się Lex.

– Wiem o tym, złotko, ale chwilowo nie możemy się stąd ruszyć. Samochody są zasilane prądem, który dociera do nas kablami biegnącymi wzdłuż drogi.

– Jak długo będziemy tu stać?

– Dopóki nie naprawią uszkodzenia.

Wsłuchując się w odgłos padającego deszczu Tim poczuł, że chce mu się spać. Ziewnął i spojrzał na palmy po lewej stronie drogi, kiedy nagle rozległo się donośne łupnięcie, grunt zadygotał, a kiedy chłopiec spojrzał, aby sprawdzić, co spowodowało ten hałas, kątem oka dostrzegł jakiś ciemny kształt, który przemknął przez drogę między dwoma samochodami.

– O Jezu!

– Co to było?

– Coś dużego, co najmniej takie jak samochód...

– Tim, jesteś tam?! Wziął do ręki mikrofon.

– Tak, jestem.

– Widziałeś to?

– Nie – odparł chłopiec. – Nie zdążyłem się odwrócić.

– Co to mogło być, do diabła? – gorączkował się Malcolm.

– Tim, masz na oczach gogle?

– Tak, teraz będę uważał.

– Czy to był tyranozaur? – zapytał Ed Regis.

– Nie wydaje mi się. Coś przeszło przez drogę.

– Ale nie zauważyłeś, co to było?

– Nie.

Tim miał do siebie pretensje o to, że nie zidentyfikował zwierzęcia. Nagle niebo przecięła jaskrawa wstążka błyskawicy i jego gogle rozbłysły oślepiającą zielenią. Chłopiec zacisnął powieki.

– Tysiąc sto jeden... Tysiąc sto dwa...

Grzmot był potwornie głośny. Piorun uderzył gdzieś blisko. Lex rozpłakała się.

– Nie bój się, kochanie – starał się ją uspokoić Ed Regis. – To tylko burza.

Tim uważnie przyglądał się skrajowi drogi. Liście i gałęzie poruszały się jak żywe, chłostane strugami deszczu. Chłopiec obserwował najbliższą okolicę, powoli obracając głowę...

W pewnej chwili znieruchomiał. Coś kryło się za liśćmi.

Popatrzył wyżej.

Za pasem roślinności, tuż za ogrodzeniem, ujrzał potężne ciało o pofałdowanej, chropawej skórze, przypominającej korę drzewa. To jednak nie było drzewo. Tim coraz bardziej zadzierał głowę, aż wreszcie...

...zobaczył ogromną głowę tyranozaura. Zwierzę stało nieruchomo, przypatrując się samochodom. Kiedy niebo przecięła kolejna błyskawica, olbrzym odchylił głowę do tyłu i zaryczał przeraźliwie. Potem znowu zapadła ciemność, w której słychać było jedynie bębnienie deszczu.

– Tim?

– Słucham, doktorze?

– Widziałeś to?

– Tak, doktorze Grant.

Chłopiec domyślił się, że Grant stara się posługiwać ogólnikami, żeby nie przestraszyć jego siostry.

– Co teraz się dzieje?

– Nic – odparł Tim, przyglądając się tyranozaurowi – Po prostu stoi po drugiej stronie ogrodzenia.

– Ja stąd prawie nic nie widzę.

– A ja mam bardzo dobrą widoczność, doktorze. Tylko stoi i nic nie robi.

– To dobrze.

Lex pochlipywała cichutko.

W ciszy, która zapadła, Tim obserwował tyranozaura. Ależ ma wielką głowę! Dinozaur spoglądał to na jeden samochód, to na drugi. W pewnej chwili chłopiec odniósł wrażenie, że drapieżnik patrzy wprost na niego.

Jego oczy lśniły jaskrawą zielenią.

Przez ciało chłopca przebiegł niemiły dreszcz, lecz zaraz potem Tim zapomniał o wszystkim, gdyż zobaczył, jak tyranozaur wyciąga krótką przednią łapę i zaciska ją na prętach ogrodzenia.

– Jezu Chryste... – jęknął Ed Regis, przyglądający się temu przez okno.

NAJWIĘKSZY DRAPIEŻNIK, JAKI KIEDYKOLWIEK STĄPAŁ PO ZIEMI. NAJBARDZIEJ OKRUTNY ATAK W HISTORII LUDZKOŚCI...

Przez głowę Eda Regisa przemykały gazetowe slogany, co jednak nie zmieniało faktu, że czuł, jak potwornie trzęsą mu się nogi. Bał się tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Oddałby wszystko, żeby znaleźć się gdzieś indziej. Spośród pasażerów obu samochodów tylko on wiedział, czym grozi atak dinozaura. Widział, co stało się z ludźmi, których zaatakował raptor. W każdej chwili mógł bez trudu przywołać na pamięć okropne sceny. A to przecież jest tyranozaur, wielokrotnie większy od raptora! Największy morderca na przestrzeni dziejów...

– Boże – szepnął sparaliżowany lękiem.

Ryk tyranozaura zabrzmiał w ciemności jak przerażający zew z innego świata. Regis poczuł rozszerzające się szybko ciepło na udach. Zlał się w spodnie. Był zawstydzony i przerażony, ale wiedział, że koniecznie musi coś zrobić. Nie może tu siedzieć i czekać. Musi coś zrobić. Cokolwiek. Trzęsły mu się już nie tylko nogi, ale i

ręce.

– Jezu Chryste... – wyszeptał ponownie.

– Niełądnie – powiedziała Lex i pogroziła mu palcem.

Kiedy Tim usłyszał odgłos otwieranych drzwi, odwrócił się gwałtownie i zdążył jeszcze zobaczyć Eda Regisa, jak wyskakuje z samochodu, z głową wtuloną w ramiona.

– Dokąd pan idzie?! – zawołała za nim Lex.

Regis bez słowa rzucił się do ucieczki i zniknął między drzewami po przeciwnej stronie drogi niż ta, gdzie stał dinozaur. Przez otwarte drzwi do wnętrza toyoty zacinały strugi deszczu.

– Uciekł! – wykrzyknęła dziewczynka. – Zostawił nas samych!

– Zamknij drzwi – polecił Tim, ale Lex tymczasem zaczęła krzyczeć:

– Zostawił nas! Zostawił!

– Tim, co się u was dzieje? – zapytał przez radio Grant.

Tim wyciągnął się najbardziej jak mógł, żeby zatrzasnąć drzwi, ale z tylnego siedzenia nie był w stanie dosięgnąć klamki. Obejrzał się na tyranozaura dokładnie w tym samym ułamku sekundy, kiedy uderzył kolejny piorun, oświetlając ogromne zwierzę jaskrawym, upiornym blaskiem.

– Co się dzieje, Tim?

– Zostawił nas, zostawił!... – zawodziła Lex.

Chłopiec zamrugał raptownie, aby usunąć sprzed oczu jasne plamy. Kiedy odzyskał zdolność widzenia, tyranozaur nadal stał w tym samym miejscu, nieruchomy i ogromny. Woda ściekała mu po łbie, przednia łapa była zaciśnięta na ogrodzeniu...

Dopiero po sekundzie lub dwóch Tim zdał sobie sprawę z tego, co to oznacza.

Ogrodzenie nie było już pod prądem!

– Lex, zamknij te drzwi!

– Tim, odezwij się! – zaskrzeczało radio.

– Jestem, doktorze Grant.

– Co się stało?

– Regis uciekł.

– Co takiego?

– Po prostu uciekł. Chyba zorientował się, że ogrodzenie nie jest pod napięciem.

– Czy on powiedział, że ogrodzenie nie jest pod napięciem? – dobiegł zniekształcony głos Malcolma.

– Zamknij drzwi, Lex! – powtórzył chłopiec po raz kolejny, ale jego siostra zawodziła monotonnie bez przerwy te same dwa słowa „Zostawił nas, zostawił nas!”, więc Timowi nie pozostało nic innego, jak tylko wysiąść z samochodu, obiec go i zatrzasnąć drzwi z zewnątrz. Ponownie rozległ się odgłos grzmotu, a kiedy Tim podniósł głowę, zobaczył w blasku błyskawicy, jak tyranozaur miażdży ogrodzenie potężną tylną łapą.

– Timmy!

Wskoczył do środka i zatrzasnął za sobą drzwi, ale huk grzmotu był znacznie

donośniejszy.

– Tim, jesteś tam? – zaskrzeczało radio.

Chłopiec złapał mikrofon.

– Jestem. – Odwrócił się do Lex. – Zablokuj drzwi. Usiądź dokładnie pośrodku kabiny. I zamknij się.

Tyranozaur odchylił głowę i niezdarnie stąpnął naprzód. Pazury dolnej łapy uwięzły mu w siatce ogrodzenia. Lex dopiero teraz zobaczyła go i natychmiast umilkła, wpatrując się w zwierzę szeroko otwartymi oczami.

Znowu ożyło radio.

– Tim?

– Tak, doktorze?

– Zostańcie w samochodzie. Spróbujcie się schować za siedzeniami. Bądźcie cicho. Nie ruszajcie się i nie róbcie hałasu.

– Dobra.

– Wszystko będzie w porządku. Nie sądzę, żeby udało mu się dostać do środka.

– Aha.

– Najważniejsze, żebyście byli cicho, żeby nie wzbudzić jego zainteresowania.

– Dobra. – Tim wyłączył radio. – Słyszałaś, Lex?

Dziewczynka bez słowa skinęła głową, nie odrywając wzroku od dinozaura. Zwierzę zaryczało przeraźliwie. W blasku błyskawicy oboje zobaczyli, że tyranozaur uwolnił się z resztek ogrodzenia i ruszył naprzód.

Teraz stał dokładnie między dwoma samochodami. Tim nie mógł dostrzec land cruisera doktora Granta, ponieważ zasłaniało go potężne ciało zwierzęcia. Po chropowatej, pokrytej guzłowatymi nierównościami skórze tylnej łapy ściekały strumyki wody. Głowa tyranozaura była niewidoczna, gdyż znajdowała się znacznie powyżej linii dachu.

Dinozaur przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, a potem ruszył w stronę samochodu Tima i Lex. Zatrzymał się ponownie w miejscu, w którym z toyoty najpierw wysiadł Ed Regis, a potem chłopiec. Zwierzę pochyliło wielką głowę nad błotnistą nawierzchnią drogi.

Tim zerknął w kierunku drugiej toyoty i ujrzał za przednią szybą pobladłe z przejęcia twarze obu mężczyzn.

Ogromna głowa uniosła się nieco; w niesamowitym blasku błyskawic dzieci zobaczyły tuż przy bocznej szybie pozbawione wyrazu, gadzie oko.

Tyranozaur zaglądał do wnętrza samochodu.

Lex zaczęła rozpaczliwie łapać powietrze krótkimi, płytkimi łykami. Tim zacisnął rękę na jej ramieniu w nadziei, że to ją uspokoi. Dinozaur nadal przyglądał się im przez boczną szybę. Może on nas wcale nie widzi – przemknęła chłopcu przez głowę rozpaczliwa myśl. Wreszcie łeb podniósł się, znikając z pola widzenia.

– Timmy... – szepnęła dziewczynka.

– Wszystko w porządku – odparł także szeptem chłopiec. – Myślę, że nas nie zauważył.

Miał zamiar obejrzeć się na samochód doktora Granta, kiedy nagle rozległ się

potworny huk, land cruiser zakołysał się gwałtownie, przednia szyba rozprysła się na tysiąc kawałków, a w powstałym otworze pojawiła się paszcza tyranozaura. Pod wpływem uderzenia Tim rozciągnął się jak długi na tylnym siedzeniu, przy okazji gubiąc gogle. Pozbierał się jednak szybko, mrugając w ciemności. W ustach czuł smak krwi.

– Lex?

Nigdzie nie mógł dostrzec siostry.

Tyranozaur wyprostował się, stojąc tuż przed maską land cruisera. Jego pierś poruszała się w rytmie oddechu, a przednie kończyny wykonywały gwałtowne ruchy.

– Lex! – szepnął Tim. Zaraz potem usłyszał jęk siostry. Chyba leżała na podłodze gdzieś pod przednimi fotelami.

Wielka głowa ponownie opadła na maskę samochodu, wypełniając sobą miejsce po przedniej szybie. Land cruiser zakołysał się tak gwałtownie, że Tim musiał chwycić się kurczowo oparcia fotela, aby nie spaść na podłogę. Tyranozaur jeszcze dwa razy zabujał toyotą, po czym okrążył ją, chwycił w zęby zapasowe koło umocowane na pokrywie tylnej klapy i oderwał je potężnym szarpnięciem. Tył samochodu uniósł się na chwilę w powietrze, by zaraz opaść z donośnym łomotem na ziemię.

– Tim, Lex, nic wam nie jest?! – wykrzyknął z niepokojem Grant.

Tim złapał mikrofon.

– Wszystko w porządku – powiedział.

Ostre pazury przesunęły się po dachu samochodu z przeraźliwym, skrzypiącym odgłosem. Serce chłopca biło w oszałamiającym tempie. Przez okna po prawej stronie widać było jedynie pomarszczoną skórę gigantycznego ogona. Tyranozaur oparł się ciężko o samochód, który z okropnym trzeszczeniem kołysał się przy każdym jego oddechu.

Ponownie rozległ się jęk dziewczynki. Tim odłożył mikrofon i zaczął gramolić się na przednie siedzenie, ale w tej samej chwili tyranozaur zaryczał przejmująco, a w dachu pojawiło się głębokie wgniecenie. Tim poczuł ostry ból w głowie i runął najpierw na dźwignię hamulca ręcznego, a potem na podłogę samochodu, obok Lex. Z przerażeniem stwierdził, że jego siostra ma zakrwawioną głowę i chyba jest nieprzytomna.

Toyota zakołysała się pod wpływem kolejnego uderzenia, a do środka posypało się jeszcze więcej odłamków szkła. Na twarz Tima spadły krople deszczu. Podniósłszy głowę stwierdził, że przez dziurę po przedniej szybie wpatruje się w niego oko tyranozaura.

Prosto w niego.

Ciałem chłopca wstrząsnął nagły dreszcz, a ułamek sekundy później uzębiona paszcza runęła na niego z siłą parowozu. Rozległ się zgrzyt metalu; Tim poczuł najpierw cuchnący oddech dinozaura, potem zaś mokre dotknięcie ogromnego jęzora. Tyranozaur ryknął przeraźliwie, po czym cofnął głowę.

Tim podniósł się ostrożnie z podłogi, uważając, żeby nie rozbić sobie głowy o wgnieciony dach. Po stronie pasażera zostało jeszcze dość miejsca, żeby usiąść w

fotelu. Dinozaur stał przy zderzaku, sprawiając wrażenie lekko zdezorientowanego; krwawił z paszczy i języka, poranionych odłamkami szkła. Przez jakiś czas przyglądał się uważnie Timowi, a następnie pochylił się i przysunął oko do bocznej szyby, jakby zainteresowały go drobniejsze, niedostrzegalne z daleka, szczegóły. Jego zmieszana z deszczem krew spływała na maskę samochodu.

Nie może się do mnie dobrać – pomyślał Tim. Jest za duży.

Głowa cofnęła się raptownie i w świetle błyskawicy chłopiec ujrzał, jak dinozaur podnosi ogromną tylną nogę. Zaraz potem cały świat zakołysał się, kiedy land cruiser otrzymał potężne kopnięcie w bok nadwozia. Okna posypały się na ziemię, a Tim zdążył jeszcze tylko zauważyć, jak jego siostra odbija się od drzwi, po czym sam runął na podłogę obok niej, uderzając się boleśnie w głowę. Kiedy otworzył oczy, widział jak przez mgłę, ale nawet w takim stanie bez trudu dostrzegł uzbrojone w ostre zęby szczęki tyranozaura, które zacisnęły się na bocznych słupkach i dachu. Dinozaur szarpnął, oderwał samochód od ziemi i zaczął nim potrząsać jak zabawką.

– Timmy! – wrzasnęła przeraźliwie Lex tak blisko jego ucha, że aż poczuł ból. Odzyskała przytomność; chwycił ją mocno, a już w następnej chwili dinozaur cisnął toyotę na ziemię. Tim poczuł ostre ukłucie w boku, siostra przygniotła go swoim ciałem, ale nie trwało to długo, gdyż zaraz potem land cruiser znowu poszybował w górę.

– Timmy! – wrzasnęła ponownie Lex.

Chłopiec dostrzegł kątem oka, jak otwierają się drzwi i Lex wypada na błotnistą nawierzchnię drogi, ale nie mógł odpowiedzieć, gdyż wszystko wokół niego tańczyło jakiś przedziwny, zwariowany taniec: mignęły pędzące mu na spotkanie pnie palm, gdzieś w dole zobaczył wirującą ziemię, usłyszał okropny ryk tyranozaura, przez ułamek sekundy spoglądał prosto w jego błyszczące oko, ze zdumieniem zauważył, że przelatuje nad wierzchołkami palm...

...a potem, z hukiem i zgrzytem, samochód wysunął się ze szczęk dinozaura i runął w dół. Tim poczuł jeszcze, jak jego żołądek wywija koziołka, w ułamek sekundy później świat zniknął za zasłoną ciemności i ciszy.

* * *

– Mój Boże! – wykrzyknął Malcolm w drugim land cruiserze. – Co się stało z samochodem?

Grant wytężył wzrok, usiłując dostrzec cokolwiek w ciemności rozświetlanej od czasu do czasu upiornym blaskiem błyskawic.

Samochód zniknął.

Grant nie mógł w to uwierzyć. Pochylił się do przodu, niemal przylepiając twarz do zalewanej strugami deszczu przedniej szyby. Dinozaur był tak wielki, że prawdopodobnie zasłaniał sobą...

Nie. W świetle kolejnej błyskawicy Grant zobaczył wyraźnie, że po samochodzie, którym jechały dzieci, nie pozostał żaden ślad.

– Co się stało? – zapytał Malcolm.

– Nie mam pojęcia.

Poprzez łomot deszczu uderzającego w dach land cruisera Grant usłyszał słaby krzyk dziewczynki. Dinozaur stał w ciemności kilkanaście metrów przed samochodem, lecz mimo to obu mężczyznom wydawało się, że pochylił się i uważnie obwąchuje ziemię.

Albo pożera coś, co na niej leżało.

– Widzisz coś? – zapytał Malcolm, mrużąc z wysiłkiem oczy.

– Niewiele – przyznał Grant. Deszcz walił coraz głośniej. Dwaj mężczyźni siedzieli bez ruchu, nasłuchując.

– Czy to była dziewczynka? – zapytał wreszcie matematyk. – Wydawało mi się, że to ona.

– Mnie też.

– Więc?...

– Naprawdę nie wiem.

Grant poczuł nagle, że jest mu wszystko jedno i że okropnie chce mu się spać. Poprzez zalaną deszczem przednią szybę zobaczył zbliżającego się powoli dinozaura.

– Wiesz co? – powiedział Malcolm. – W chwilach takich jak ta nabieram przekonania, że nie powinno się ożywiać wymarłych zwierząt. Zgadzasz się ze mną?

– Tak – odparł Grant. Serce waliło mu jak młotem.

– No, właśnie. Czy masz może jakieś... eee... sugestie, co powinniśmy teraz zrobić?

– Nic nie przychodzi mi do głowy.

Malcolm szarpnął za klamkę, otworzył gwałtownie drzwi i rzucił się do ucieczki. Tyranozaur był już jednak za blisko. Grant obserwował wytrzeszczonymi z przerażenia oczami, jak oświetlony blaskiem błyskawic tyranozaur otworzył paszczę i dał ogromnego susa.

Potem wydarzenia potoczyły się w błyskawicznym tempie. Malcolm biegł co sił w nogach, rozchlapując wodę z kałuż, ale dinozaur dopędził go dwoma skokami, pochylił potężną głowę, wykonał nią gwałtowny ruch i Malcolm wyleciał w powietrze niczym szmaciana lalka.

W tej samej chwili Grant wyskoczył z samochodu. Wystarczyło kilka sekund, żeby przemókł do suchej nitki. Tyranozaur był odwrócony do niego tyłem; ogromny ogon poruszał się w lewo i prawo. Grant miał już zamiar rzucić się do ucieczki, kiedy nagle gigantyczne zwierzę zwróciło się w jego stronę i zaryczało przeraźliwie.

Grant zamarł w bezruchu.

Kompletnie przemoczony i bezbronny stał obok drzwi po stronie pasażera, a dinozaur przyglądał mu się z odległości najwyżej dwóch metrów. Zwierzę ponownie zaryczało. Było tak blisko, że hałas wydawał się nie do zniesienia. Grant trząsł się z zimna i zmęczenia. Położył ręce na krawędzi drzwi, żeby choć trochę zmniejszyć ich drżenie.

Tyranozaur zaryczał po raz trzeci, ale nie zaatakował. Przechylił głowę na bok, spoglądając na samochód to jednym okiem, to znowuż drugim... i nadal stał jak wmurowany.

Po prostu stał, i już.

Co się stało?

Groźne szczęki otworzyły się i zamknęły, zwierzę ponownie zaryczało, po czym uniosło tylną łapę i z wielką siłą opuściło ją na dach samochodu. Ostre pazury zachrobotały o metal, mijając Granta dosłownie o centymetry.

Dinozaur opuścił głowę nad samą ziemię i począł uważnie obwąchiwać samochód. Przesuwając pysk w kierunku tyłu toyoty zatrzasnął drzwi. Ogromna, uzębiona paszcza znalazła się dosłownie kilkanaście centymetrów od Granta, który, sparaliżowany strachem, nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Poczuł ohydny zapach zgnilizny i zacisnął powieki, oczekując tego, co wydawało się nieuchronne...

Wielki łeb minął go i przesunął ku tylnej części samochodu. Grant zamrugał z niedowierzaniem.

Co się działo?

Czy możliwe, żeby tyranozaur po prostu go nie zauważył? Trudno było w to uwierzyć, choć wszystko wskazywało na to, że tak właśnie się stało. Grant zerknął ostrożnie do tyłu, gdzie dinozaur właśnie uważnie obwąchiwał koło zapasowe. Zaraz potem ogromna głowa ponownie zbliżyła się do niego, ale tym razem zatrzymała się dosłownie kilka centymetrów od jego twarzy. Tyranozaur nie węszył już jak pies, tylko normalnie oddychał, sprawiając wrażenie nieco zdziwionego.

Tak, z pewnością go nie widział, i nie mógł zobaczyć przynajmniej tak długo, dopóki Grant nie wykona jakiegoś ruchu. W jakimś odległym zakątku umysłu, w którym wciąż jeszcze zachodziły procesy myślowe, Grant znalazł wyjaśnienie tego fenomenu. Wytłumaczenie, które pozwoliłoby...

Tyranozaur otworzył paszczę i uniósł głowę. Grant zacisnął pięści i zagryzł wargi, starając się ze wszystkich sił zapanować nad instynktem, który nakazywał mu natychmiast rzucić się do ucieczki.

W ciemnościach nocy rozległ się potworny ryk bestii.

Grant nareszcie zrozumiał zachowanie zwierzęcia. Co prawda nie mogło go zobaczyć, ale wiedziało, że gdzieś tu jest, więc starało się go spłoszyć, aby jakimś poruszeniem albo odgłosem ujawnił swoje położenie. Dopóki tego nie zrobi, będzie bezpieczny.

Sfrustrowany dinozaur ponownie uniósł tylną łapę i z ogromną siłą kopnął samochód. Land cruiser przewrócił się na bok, a Grant poczuł straszne uderzenie, po czym stwierdził ze zdumieniem, że unosi się w powietrze. Lecąc, zdążył jeszcze przyjrzeć się wirującemu w szaleńczy sposób światu, a potem uważnie obejrzeć biegnącą mu na spotkanie ziemię.

Powrót

– Cholera! – zaklął Harding. – Proszę tylko spojrzeć.

Siedzieli w jeepie weterynarza, spoglądając na drogę przez przednią szybę, z której pracujące w szybkim tempie wycieraczki zgarniały strumienie wody. Żółty blask reflektorów padał na wielkie drzewo leżące w poprzek drogi.

– Chyba uderzył w nie piorun – powiedział Gennaro. – Jest bardzo duże.

– Nie przedostaniemy się tędy. Zawiadomię Arnolda w dyspozytorni. – Harding wziął do ręki mikrofon i włączył nadajnik. – Halo, John? Jesteś tam?

Odpowiedział mu tylko jednostajny szum.

– Nie rozumiem... – mruknął. – Zapewne siadła łączność.

– To pewnie przez tę burzę – zauważył Gennaro.

– Chyba tak.

– Proszę spróbować połączyć się z land cruiserami – odezwała się Ellie.

Weterynarz sprawdził inne kanały, ale na żadnym nie uzyskał odpowiedzi.

– Nic – oznajmił. – Przypuszczalnie wrócili już do bazy, a my mamy za słaby nadajnik. Wydaje mi się jednak, że nie powinniśmy tu zostać. Może minąć kilka godzin, zanim zjawi się ktoś, żeby usunąć drzewo z drogi.

Wyłączył radio i wrzucił wsteczny bieg.

– Co ma pan zamiar zrobić? – zapytała Ellie.

– Spróbuję wrócić na główną drogę pomocniczą. Na szczęście mamy tu dwa niezależne systemy komunikacyjne – wyjaśnił Harding. – Mniej więcej równolegle do drogi dla zwiedzających biegnie druga, przeznaczona dla obsługi technicznej, ciężarówek z żywnością i tak dalej. Jest trochę dłuższa i nie tak malownicza, ale myślę, że może się wam spodobać. Jeśli deszcz przestanie padać, być może uda nam się zobaczyć jakieś zwierzęta. Powinniśmy dotrzeć do bazy za trzydzieści lub czterdzieści minut. – Harding umilkł, a po chwili dodał: – Jeżeli się nie zgubię, ma się rozumieć.

Zawrócił jeepa i ruszył z powrotem na południe.

* * *

Uderzył kolejny piorun i nagle wszystkie monitory zgasły. Arnold wyprostował się gwałtownie w fotelu. Boże, tylko nie teraz! Nie teraz. Tylko tego jeszcze brakowało – żeby w środku burzy wysiadły wszystkie obwody. Co prawda system zasilania został wyposażony w odpowiednie zabezpieczenia, lecz Arnold nie miał zaufania do modemów, których używał Nedry. Wielu ludzi nie zdawało sobie sprawy, jak łatwo jest zniszczyć komputer za pośrednictwem modemu; wystarczy, żeby impuls elektryczny wywołany uderzeniem piorunu dostał się do komputera po linii telefonicznej, a wtedy trzask i koniec. Nie ma płyty głównej. Nie ma RAM–u. Nie ma twardego dysku.

Ekrany zamigotały, a potem, jeden po drugim, ożyły.

Arnold westchnął z ulgą i opadł na fotel.

Gdzie mógł się podziać Nedry? Pięć minut temu Arnold wysłał strażników, żeby poszukali go w budynku. Ten tłusty drań prawdopodobnie zamknął się w łazience i czytał komiksy. Jednak, jak na razie, strażnicy nie wrócili z żadnym meldunkiem.

Pięć minut. Jeżeli Nedry przebywa na terenie budynku, powinni byli już go znaleźć.

– Ktoś zabrał jeepa – oznajmił Muldoon, wchodząc do pokoju. – Rozmawiałeś już z ludźmi z land cruiserów?

– Nie mogę się z nimi połączyć – odparł Arnold. – Muszę używać zapasowego nadajnika, bo główny trafił szlag, razem z centralnym systemem zasilania. Jest słabszy, ale powinien wystarczyć. Próbowałem na wszystkich sześciu kanałach. Nie odpowiadają, choć przecież mają w samochodach odbiorniki.

– To niedobrze... – mruknął Muldoon.

– Jeśli chcesz do nich pojechać, musisz wziąć któryś z wozów technicznych.

– Już bym to zrobił, gdyby nie to, że wszystkie stoją we wschodnim garażu, ponad półtora kilometra stąd. A gdzie jest Harding?

– Przypuszczam, że w drodze tutaj.

– W takim razie na pewno sprawdzi, co się dzieje z land cruiserami.

– Też tak myślę.

– Czy ktoś powiedział Hammondowi, że dzieciaki jeszcze nie wróciły?

– Nie – odparł Arnold. – Nie chcę, żeby ten sukinsyn miotał mi się za plecami. Na razie wszystko jest w porządku; land cruisery po prostu utknęły gdzieś po drodze. Zaczekają, aż dotrze do nich Harding, a może wcześniej znajdziemy Nedry'ego i każemy draniowi uruchomić główny system.

– A ty nie możesz tego zrobić? – zapytał Muldoon.

Arnold pokręcił głową.

– Próbowałem, ale Nedry wprowadził tam coś dziwnego. Nie mam pojęcia, co to jest, a żeby się przekonać, musiałbym zacząć grzebać w samym programie, co zajęłoby mi co najmniej parę godzin. Potrzebujemy Nedry'ego. Musimy znaleźć tego sukinsyna.

Nedry

Napis na płocie głosił: OGRODZENIE POD NAPIĘCIEM 10000V, NIE DOTYKAĆ, lecz Nedry otworzył kłódkę gołymi rękami, pchnął szeroko oba skrzydła bramy, wsiadł do jeepa, przejechał na drugą stronę, po czym ponownie wysiadł, aby zamknąć bramę za sobą.

Znajdował się na terenie właściwego parku, zaledwie półtora kilometra od przystani na wschodnim brzegu wyspy. Wcisnął pedał gazu do samej podłogi i zgarbił się za kierownicą, wpatrując się przez zalewaną strumieniami wody przednią szybę jeepa w biegnącą mu na spotkanie wąską drogę. Jechał szybko, nawet bardzo szybko, ale nie miał wyboru: musiał zmieścić się w czasie. Ze wszystkich stron otaczała go mroczna dżungla, lecz już wkrótce po lewej stronie powinien zobaczyć ocean i plażę.

Przeklęta burza, pomyślał. Przez nią cały plan może szlag trafić. Jeżeli w przystani nie będzie na niego czekała łódź przysłana przez Dodgsona, wtedy wszystko przepadnie. Nedry nie mógł czekać zbyt długo, żeby jego nieobecność w dyspozytorni nie wzbudziła czyichś podejrzeń. Podstawowym założeniem, na jakim opierał się plan, było to, że uda mu się wykraść embriony, zawieźć je na przystań i wrócić do dyspozytorni, zanim ktokolwiek zauważy, że go tam nie ma. Plan był dobry, dopracowany w najdrobniejszych szczegółach. Nedry przygotowywał go bardzo starannie, gdyż miał mu przynieść półtora miliona dolarów wolnych od podatku, czyli tyle, ile mógłby zarobić przez dziesięć lat. Zachował daleko idące środki ostrożności: tuż przed odlotem umówił się z Dodgsonem na lotnisku w San Francisco pod pozorem, że chce zobaczyć przygotowane pieniądze. W rzeczywistości zależało mu na nagraniu rozmowy, w której wyraźnie padłoby nazwisko Dodgsona. Gdyby potem pracownik Biosyn „zapomniał” wypłacić mu należność, Nedry prześle mu kopię taśmy.

Jednym słowem, pomyślał o wszystkim.

Nie przewidział tylko tej przeklętej burzy.

Coś przemknęło przez drogę, błysnąwszy biało w świetle reflektorów. Wielkością przypominało dużego szczura. Zniknęło pośpiesznie w zaroślach, ciągnąc za sobą gruby ogon. Opos. Zdumiewające, że oposom udało się tu przeżyć. Wydawałoby się, że dinozaury powinny wytępić je w okamgnieniu.

Gdzie jest ta cholerna przystań?

Minęło już ponad pięć minut i jadąc z taką prędkością powinien dawno do niej dotrzeć. Czyżby gdzieś po drodze skręcił w niewłaściwą stronę? Raczej nie. Nie mijał przecież żadnego rozwidlenia ani skrzyżowania.

W takim razie, gdzie podziała się przystań?

Trudno opisać wstrząs, jakiego doznał, kiedy za następnym zakrętem ujrzał przed sobą zamykającą drogę szarą betonową barierę, wysoką na prawie dwa metry i mokrą od deszczu. Wdepnął hamulec, jeep wpadł w poślizg, sunąc po błotnistej

nawierzchni z zablokowanymi kołami, a Nedry w ułamku sekundy zrozumiał, że zaraz uderzy w betonowy mur, że na pewno nie uda mu się tego uniknąć, więc rozpaczliwie zakręcił kierownicą... i jeep znieruchomiał z przednim zderzakiem zaledwie dwadzieścia centymetrów od bariery.

Nedry co najmniej przez minutę siedział za kierownicą jak posąg, wsłuchując się w rytmiczny szelest wycieraczek. Wreszcie wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze z płuc i obejrzał się za siebie. Tak, wszystko wskazywało na to, że jednak skręcił w niewłaściwą stronę. Mógłby wracać po własnych śladach, ale to zajęłoby mu zbyt dużo czasu.

Musi czym prędzej ustalić, gdzie właściwie jest, do wszystkich diabłów!

Wysiadł z samochodu. Deszcz zamienił się tymczasem w prawdziwą tropikalną ulewę; wielkie krople uderzały z taką siłą, że aż bolała skóra. Nedry zerknął na podświetlony zegarek; minęło już sześć minut. Przeszedł na drugą stronę bariery, a tam, poprzez szum deszczu, do jego uszu dobiegł szelest i bulgot płynącej wody. Czyżby ocean? Pobiegł przed siebie, wytężając wzrok. Zewsząd otaczała go gęsta dżungla.

Bulgotanie przybierało na sile, więc biegł coraz szybciej, aż wreszcie wypadł spomiędzy drzew i nagle poczuł, że grzęźnie po kolana w rozmiękłej ziemi. Jednocześnie przed sobą dostrzegł ciemny nurt rzeki. Rzeka! Dotarł do rzeki!

Dobrze, ale w którym miejscu? Rzeka miała przecież kilka kilometrów długości. Ponownie spojrzał na zegarek: siedem minut.

– Masz kłopoty, Dennis – powiedział na głos.

Jakby w odpowiedzi, w lesie za jego plecami rozległo się pohukiwanie sowy.

Nedry nie zwrócił na to uwagi, gdyż głowę zaprzątał mu wyłącznie plan dotarcia do przystani. Fakty przedstawiały się w taki sposób, że musiał z niego zrezygnować. Nie miał wyboru, gdyż stracił już zbyt wiele czasu. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to wrócić do dyspozytorni, uruchomić komputer i spróbować jakoś skontaktować się z Dodgsonem, aby przełożyć spotkanie na następną noc. Co prawda będzie musiał zdrowo kombinować, żeby nikt go nie zdemaskował, ale był pewien, że da sobie z tym radę. Komputer automatycznie rejestrował wszystkie rozmowy telefoniczne, co wiązało się z koniecznością częściowego skasowania pamięci, lecz jedno nie ulegało najmniejszej wątpliwości: jeżeli Nedry zostanie w Parku choć odrobinę dłużej, ktoś na pewno zwróci uwagę na jego nieobecność.

Ruszył z powrotem w kierunku świateł reflektorów. Był przemoczony do suchej nitki i wściekły. W dżungli ponownie rozległo się pohukiwanie sowy, lecz tym razem Nedry przystanął nasłuchując. Czy to aby na pewno była sowa? Odgłos dobiegał z bliska, z prawej strony.

W chwilę potem rozległ się trzask łamanych gałęzi, a później nastała cisza. Nedry czekał bez ruchu. Wkrótce ponownie usłyszał ten sam odgłos. Wyglądało na to, że coś dużego podąża przez dżunglę w jego kierunku.

Coś bardzo dużego. Bardzo blisko.

Wielki dinozaur.

Znikaj stąd, pomyślał spłoszony.

Nedry rzucił się do ucieczki. Biegnąc czynił mnóstwo hałasu, ale i tak wyraźnie słyszał odgłos zbliżającej się szybko pogoni.

Potykając się o wystające korzenie i przedzierając między szarpiącymi jego ubranie gałęziami, dostrzegł wreszcie przed sobą czarną barierę otoczoną łuną blasku bijącego z reflektorów jeepa, i od razu poczuł się lepiej. Za chwilę znajdzie się w samochodzie i odjedzie stąd pełnym gazem. Ominął barierę... i stanął jak wryty.

Zwierzę już na niego czekało.

Ale wcale nie było bardzo blisko. Dinozaur stał w odległości około dwunastu metrów, na skraju obszaru oświetlonego reflektorami. Nedry nie brał udziału w wycieczce po Parku, więc nie miał okazji obejrzeć wszystkich zamieszkujących go dinozaurów, ten jednak wydał mu się bardzo dziwny: trzymetrowe żółte cielsko było pokryte czarnymi plamami, na głowie zaś pyszniły się dwa czerwone, tworzące literę V, grzebienie. Dinozaur nie poruszył się, tylko ponownie wydał odgłos przypominający pohukiwanie sowy.

Nedry czekał na atak, ale ten nie nastąpił. Być może światło budziło lęk w zwierzęciu, zmuszając je do zachowania dystansu.

Dinozaur przez chwilę wpatrywał się w niego, po czym wykonał nagły ruch głową i Nedry poczuł, jak coś mokrego uderzyło go w pierś. Spojrzawszy w dół ujrzał spływającą po koszuli lepką pianę. Zdumiony, dotknął jej ostrożnie...

To była ślina.

Gad napluł na niego.

Obrzydliwość, pomyślał Nedry. Kiedy ponownie przeniósł wzrok na dinozaura, zobaczył, jak ten znowu poruszył głową i niemal jednocześnie kolejna porcja śliny wylądowała na torsie Dennisa – lecz tym razem znacznie wyżej, nad kołnierzykiem koszuli. Starł ją z odrazą.

Boże, co za świństwo. Niemal natychmiast zaczęła go piec skóra na szyi i ręce, zupełnie jakby ktoś polał go dość silnym roztworem kwasu.

Nedry otworzył drzwi samochodu i zerknął jeszcze raz na zwierzę, aby upewnić się, czy nie szykuje się do skoku. Nagle przestał widzieć cokolwiek; okropny, świdrujący ból oczu promieniował na całą czaszkę, niemal rozsadzając ją od środka. Nedry odruchowo złapał się rękami za twarz... i poczuł gęstą ślinę, ściekającą mu z czoła po obu stronach nosa.

Dinozaur napluł mu w oczy.

Jeszcze zanim to sobie w pełni uświadomił, ból tak bardzo przybrał na sile, że Nedry z jękiem osunął się na kolana i padł na bok, wtulając policzek w mokrą ziemię. Łapał powietrze płytkimi łykami, a pod zaciśniętymi powiekami przesuwały mu się plamy jaskrawego światła.

Ziemia zadrżała pod ciężkimi krokami. Dinozaur zbliżał się, pohukując niezbyt głośno. Pomimo okropnego bólu Nedry zmusił się, by otworzyć oczy, ale nadal widział tylko migoczące plamy światła. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, co to oznacza.

Był ślepy.

Kiedy pohukiwanie przybrało na sile, Nedry dźwignął się na nogi i oparł plecami

o bok samochodu. Stracił orientację, kręciło mu się w głowie, ale wiedział, że zwierzę jest już bardzo blisko, gdyż czuł smród jego gorącego oddechu.

Ale nadal nic nie widział.

Jego przerażenie nie miało granic.

Zaczął rozpaczliwie machać wyciągniętymi przed siebie rękami, aby odeprzeć atak, o którym wiedział, że nastąpi lada chwila.

Zaraz potem poczuł nowy, okropny ból, jakby ktoś wsadził mu nóż w podbrzusze; zatoczył się do tyłu, opuścił ręce, dotknął najpierw poszarpanego dołu koszuli, a następnie jakiejś śliskiej, ciepłej masy; ze zgrozą uświadomił sobie, że to jego własne wnętrzności. Dinozaur rozszarpał mu brzuch.

Nedry osunął się na ziemię, ale tym razem zamiast w grząskim błocie spoczął na czymś twardym i zimnym. Była to stopa dinozaura. W chwilę później zdał sobie sprawę, że coś ściska mu głowę z obu stron. W następnym ułamku sekundy wiedział już, że to wielki gad powoli zaciska paszczę, i z ulgą pomyślał, że zaraz nadejdzie koniec.

Bungalow

– Jeszcze trochę kawy? – zapytał uprzejmie Hammond.

– Nie, dziękuję – odparł Henry Wu, odchylając się do tyłu w fotelu. – Nie mógłbym już nic przełknąć.

Siedzieli w bungalowie Hammonda, położonym na uboczu Parku niedaleko od laboratoriów. Wu musiał przyznać, że budynek jest bardzo elegancki, utrzymany w niemal surowym, japońskim stylu. Kolacja była wyśmienita, mimo iż nie skompletowano jeszcze pełnej obsługi.

Wu nie zdołał jednak się odprężyć, ponieważ dostrzegł w Hammondzie coś, co go zaniepokoiło. Stary człowiek wyraźnie się zmienił. Wu przez cały czas trwania posiłku myślał, na czym to polegało. Hammond miał skłonność do czczej gadaniny, bezustannego powtarzania tych samych starych historyjek, brakowało mu też emocjonalnej stabilności, co objawiało się szybko następującymi po sobie atakami wściekłości i ckliwego sentymentalizmu. To wszystko jednak można było wytłumaczyć podeszłym wiekiem; bądź co bądź, Hammond liczył sobie już niemal siedemdziesiąt siedem lat.

Oprócz tego cechował go niewzruszony upór, przekonanie o słuszności swoich racji oraz całkowita niezdolność obiektywnej oceny sytuacji, w jakiej znalazł się Park.

Wu nie mógł odzyskać równowagi po odkryciu, że zamieszkujące Jurassic Park dinozaury rozmnażają się w sposób naturalny; jednak nie zdobył się jeszcze na to, aby uznać ten fakt za ostatecznie udowodniony. Po tym jak Grant zapytał go o DNA żab, Wu miał zamiar pójść do laboratorium i sprawdzić zapisy w pamięci komputera. Jeżeli dinozaury rzeczywiście były zdolne do rozrodu, wówczas należało zakwestionować wszystko, co legło u podstaw powstania Parku: metody badań genetycznych, sposoby klonowania, dosłownie wszystko. Nawet uzależnienie od lizyny mogło okazać się równie wątpliwe jak cała reszta. A jeżeli dinozaury mogły się rozmnażać i jeżeli były zdolne do życia na wolności, to wówczas...

Henry Wu chciał natychmiast sprawdzić wszelkie dostępne dane, lecz Hammond uparł się, żeby uczony towarzyszył mu podczas kolacji.

– Daj spokój, Henry, przecież będą jeszcze lody! – powiedział Hammond, odsuwając się z fotelem od stołu. – Maria robi najwspanialsze lody imbirowe na świecie.

– W porządku, spróbuję. – Wu odprowadził spojrzeniem śliczną, milczącą służącą, a potem jego wzrok spoczął na zainstalowanym wysoko na ścianie monitorze. Ekran był ciemny. – Twój monitor nie działa.

– Naprawdę? – Hammond zerknął od niechcenia na urządzenie. – To widocznie przez te burzę. Zawiadomię Johna w dyspozytorni – dodał, sięgając po słuchawkę. Wu usłyszał jednostajny szum, przerywany głośnymi trzaskami. Hammond odłożył słuchawkę na widełki. – Albo nawaliła łączność, albo Nedry zajął wszystkie linie na

transmisję danych – powiedział gospodarz. – Ma pracowity weekend. Jest prawdziwym geniuszem w swojej dziedzinie, ale pod koniec musieliśmy go zdrowo przycisnąć, żeby zrobił wszystko zgodnie z naszymi życzeniami.

– Może pojadę sprawdzić? – zaproponował Wu.

– Nie trzeba – odparł Hammond. – Gdyby były jakieś kłopoty, na pewno by nas zawiadomili. O, są już lody.

Maria weszła do pokoju z dwiema miseczkami.

– Spróbuj choć trochę, Henry. Robi je ze świeżego imbiru, zbieranego we wschodniej części wyspy. Lody to pokusa dla starych ludzi, ale...

Wu posłusznie zanurzył łyżeczkę w deserze. Na zewnątrz błysnęło, a w chwilę potem rozległ się huk grzmotu.

– Blisko – zauważył Wu. – Mam nadzieję, że dzieci nie boją się burzy.

– Nie wydaje mi się – odparł Hammond. – Szczerze mówiąc, Henry, dręczą mnie pewne obawy co do przyszłości Parku.

Wu poczuł ogromną ulgę. A więc jednak starzec zdecydował się stawić czoło nieprzyjemnym faktom.

– O jakich obawach mówisz?

– Jak wiesz, Jurassic Park został stworzony przede wszystkim z myślą o dzieciach. Dzieci na całym świecie uwielbiają zwierzęta i z pewnością spodoba im się to miejsce, ale ja obawiam się... że tego nie dożyję, Henry. Mogę nie doczekać chwili, kiedy zaczną tu przyjeżdżać i oglądać wszystko z rozdziawionymi buziami.

– Myślę, że mamy też parę innych problemów – zauważył Wu, marszcząc brwi.

– Ale żaden z nich nie jest dla mnie równie wielkim ciężarem. Wyobraź sobie: mogę nigdy nie ujrzeć ich zachwyconych twarzyczek! Ten park stanowi nasz wielki triumf. Osiągnęliśmy dokładnie to, co chcieliśmy. Poza tym, jak sobie zapewne przypominasz, jednym z naszych celów było wykorzystanie rozwijającej się inżynierii genetycznej do robienia pieniędzy. Wielkich pieniędzy.

Wu zorientował się, że Hammond za chwilę wygłosi kolejną wersję jednego ze swych starych przemówień, więc szybko podniósł rękę.

– John, ja doskonale wiem o tym wszystkim, więc...

– Od czego byś zaczął, gdybyś chciał uruchomić wielką firmę bioinżynieryjną? Czy od wytwarzania produktów, które służyłyby całej ludzkości, pomagając zwalczyć głód i choroby? Na Boga, nie. To okropny pomysł i bardzo głupi sposób wykorzystania nowej technologii. – Hammond potrząsnął ze smutkiem głową. – A jednak, jak sobie może przypominasz, pierwsze firmy zajmujące się inżynierią genetyczną, takie jak Genentech i Cetus, zostały utworzone głównie w celu produkowania farmaceutyków. Nowe leki dla ludzkości. Bardzo szlachetny cel, nie ma dwóch zdań. Niestety, tak się niefortunnie składa, że rozpowszechnianie leków napotyka wiele barier. Samo testowanie przez Komisję Żywności i Leków trwa od pięciu do ośmiu lat – a i to tylko wtedy, gdy masz sporo szczęścia. Potem dochodzą do głosu jeszcze inne siły. Przypuśćmy, że udało ci się stworzyć nowy cudowny lek na raka i choroby serca, tak jak zrobili to ludzie z Genentech. Przypuśćmy, że chcesz sprzedawać go po tysiąc lub po dwa tysiące dolarów za fiolkę. Wydawałoby się, że

masz do tego pełne prawo – bądź co bądź, to przecież ty wynalazłeś ten lek, ty pokrywałeś wszystkie koszty badań i doświadczeń, więc powinieneś mieć możliwość ustalenia takiej ceny, jaka ci się spodoba, prawda? Otóż nie, mój drogi Henry, nic z tego. Chorzy nie zapłacą tysiąca dolarów za lekarstwo. Mało tego, zamiast być ci wdzięczni, będą oburzeni. Czerwony Krzyż też nie zapłaci, tylko od razu zacznie krzyczeć o rozboju w biały dzień. Coś się więc stanie. Odrzucą twój wniosek o opatentowanie leku. Nie będziesz mógł się doczekać zgody na wprowadzenie go do sprzedaży. Coś zmusi cię do zmiany stanowiska i ustalenia dużo niższej ceny. Z finansowego punktu widzenia pomaganie ludziom to bardzo ryzykowny interes, Henry. Jeśli o mnie chodzi, nigdy bym się na to nie zdecydował.

Wu słyszał już wcześniej te argumenty i wiedział, że Hammond ma rację. Istotnie, wiele leków powstałych dzięki inżynierii genetycznej miało ogromne kłopoty z wejściem na rynek i uzyskaniem patentów.

– A teraz pomyśl, jak zupełnie inaczej przedstawia się sprawa, kiedy zajmujesz się rozrywką – ciągnął Hammond. – Nikt nie musi korzystać z rozrywek, więc rząd nigdy nie będzie interweniował w tej dziedzinie. Kto będzie mógł mnie powstrzymać, jeśli zażyczę sobie pięć tysięcy dolarów za każdy dzień spędzony w Parku? Poza tym drogie bilety wstępu tylko zwiększą zainteresowanie moją ofertą. Odwiedziny w Parku staną się symbolem statusu społecznego, a Amerykanie przecież to uwielbiają, zresztą podobnie jak Japończycy, którzy w dodatku mają znacznie więcej pieniędzy.

Hammond dokończył lody i Maria w milczeniu zabrała miseczkę.

– Ona nie jest stąd – wyjaśnił gospodarz. – Przyjechała z Haiti, a jej matka jest Francuzką. Ale wróćmy do rzeczy: pamiętasz zapewne, że podstawowym powodem, dla którego w taki właśnie sposób ukierunkowałem działania mojej firmy, było uniezależnienie się, teraz i w przyszłości, od nacisków jakiegokolwiek rządu na świecie.

– Skoro już mówimy o świecie, to...

Hammond uśmiechnął się. – Wydzierżawiliśmy już znaczny teren na Azorach, gdzie powstanie Jurassic Park Europe, a dość dawno temu kupiliśmy wyspę w pobliżu Guam, gdzie utworzymy Jurassic Park Japan. Prace przy budowie tych dwóch parków ruszą na początku przyszłego roku, a za cztery lata przyjmiemy tam pierwszych gości. Czysty zysk powinien wówczas przekroczyć dziesięć miliardów dolarów rocznie, drugie tyle zaś uzyskamy ze sprzedaży praw reklamowych, transmisji telewizyjnych i produkcji pamiątek. W takiej sytuacji nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy sobie zaprzątać głowę wytwarzaniem miniaturowych domowych dinozaurów, czym podobno tak bardzo niepokoi się Lew Dodgson.

– Dwadzieścia miliardów dolarów rocznie... – szepnął Wu, kręcąc głową.

– I to licząc bardzo ostrożnie, Henry – odparł z uśmiechem Hammond. – Lepiej nie folgować zanadto wyobraźni. Jeszcze jedną porcję lodów?

* * *

– Znaleźliście go? – warknął Arnold, kiedy do dyspozytorni wpadł zziajany

strażnik.

– Nie, proszę pana.

– Więc go znajdźcie!

– Wydaje mi się, że jego nie ma w budynku, proszę pana.

– W takim razie szukajcie w domku myśliwskim, w magazynach, gdzie tylko chcecie, ale macie go znaleźć!

– Proszę pana... – Strażnik zawahał się. – Pan Nedry jest dość gruby, prawda?

– Zgadza się, jest gruby. To wstrętny, tłusty drań.

– Bo Jimmy, ten z parteru, mówi, że widział, jak jakiś gruby gość schodził do garażu.

Muldoon odwrócił się gwałtownie.

– Do garażu? Kiedy?

– Jakieś dziesięć, piętnaście minut temu.

– Jezu... – jęknął Muldoon.

* * *

Jeep zatrzymał się z szurgotem opon.

– Przepraszam – powiedział Harding.

W świetle reflektorów Ellie ujrzała przechodzące przez drogę stado apatozaurów. Składało się z sześciu dorosłych zwierząt, z których każde było wielkości domu, oraz jednego młodego, dorównującego rozmiarami dużemu koniowi. Apatozaury podążały przed siebie w całkowitej ciszy, nie zwracając najmniejszej uwagi ani na jeepa, ani na jego włączone reflektory. W pewnej chwili młody osobnik przystanął, napił się wody z kałuży, po czym ruszył dalej.

Podobnej wielkości stado słoni z pewnością przestraszyłoby się samochodu, zaczęłoby trąbić i otoczyłoby młode ochronnym pierścieniem, ale te zwierzęta nie okazywały żadnego strachu.

– Czy one nas nie widzą? – zapytała Ellie.

– Widzą, ale po prostu nie zwracają na nas uwagi – odparł weterynarz. – Bardzo rzadko zapuszczamy się tu nocą samochodami, więc stanowimy dla nich jedynie dziwny, cuchnący przedmiot stojący na drodze. Nie jesteśmy żadnym zagrożeniem, więc nie wzbudzamy też zainteresowania. Czasem, kiedy jechałem nocą do jakiegoś chorego zwierzęcia, musiałem czekać ponad godzinę, zanim te krasnale usunęły mi się z drogi.

– Jak pan sobie wtedy radził?

Harding uśmiechnął się. – Puszczałem z taśmy nagrany ryk tyranozaura. To je trochę ożywia, choć wcale nie dlatego, żeby się bały tyranozaurów. Te zwierzęta są tak ogromne, że właściwie nie mają żadnych wrogów. Machnięciem ogona mogą złamać kark każdemu tyranozaurowi, i doskonale o tym wiedzą. Tyranozaury zresztą też.

– Ale jednak nas widzą, więc gdybyśmy wysiedli z samochodu... Weterynarz wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie zignorowałyby nas. Dinozaury mają bardzo dobry wzrok, ale,

podobnie jak wiele innych zwierząt, najlepiej widzą przedmioty, które się poruszają. Nieruchomych często w ogóle nie są w stanie dostrzec.

Apatozaury szły wolno przed siebie. Ich mokra skóra błyszczała w świetle reflektorów. Harding wrzucił bieg.

– Myślę, że możemy jechać dalej.

* * *

– Już wkrótce możesz się przekonać, że podlegasz takim samym naciskom jak Genentech, która zaczęła od produkcji leków – powiedział Wu. Przeszli z Hammondem do salonu i siedzieli w fotelach, obserwując burzę szalejącą za zajmującymi niemal całą ścianę oknami.

– Nie bardzo wiem, jak miałoby to nastąpić – odparł gospodarz.

– Niektórzy uczeni będą starali się przeszkodzić ci, a nawet powstrzymać cię za wszelką cenę.

– To na pewno im się nie uda. – Hammond wycelował w Henry'ego Wu wskazujący palec. – A wiesz, czemu mogą tego próbować? Bo zależy im wyłącznie na prowadzeniu badań. Nie na osiągnięciu czegokolwiek, nie na dokonaniu autentycznego postępu, tylko na prowadzeniu nie kończących się badań. Cóż, czeka ich spora niespodzianka.

– Szczerze mówiąc, nie to akurat miałem na myśli.

Hammond westchnął głęboko.

– Jestem pewien, że takie badania mogą być bardzo interesujące, ale w pewnej chwili zwierzęta stają się po prostu zbyt drogie, żeby używać ich do tego celu. Wdrożyliśmy wspaniałą technologię, Henry, ale to jest bardzo kosztowna technologia. Tak kosztowna, że szybko musi zacząć na siebie zarabiać. – Hammond wzruszył ramionami. – Tak właśnie przedstawia się prawda.

– Ale jeśli próby storpedowania przedsięwzięcia będą się powtarzać, to...

– Posłuchaj mnie, Henry – przerwał mu lekko poirytowany Hammond. – Nie jesteśmy w Stanach ani nawet w Kostaryce, tylko na mojej wyspie. Nikt ani nic nie powstrzyma mnie przed udostępnieniem jej wszystkim dzieciom świata. – Niespodziewanie zachichotał. – W każdym razie, tym najbogatszym. I powiadam ci, będą zachwycone.

* * *

Ellie Sattler spoglądała przez okno z tylnego siedzenia jeepa. Już dwadzieścia minut jechali przez skąpaną w deszczu dżunglę, ale od chwili kiedy przez drogę przeszło stado apatozaurów, nie udało jej się dostrzec żadnego zwierzęcia.

– Jesteśmy teraz blisko rzeki – poinformował ich Harding zza kierownicy. – Powinna być gdzieś po lewej stronie. – Nagle gwałtownie wdepnął hamulec; samochód przejechał jeszcze kilkanaście metrów z zablokowanymi przednimi kołami i znieruchomiał przed gromadką niezbyt dużych zielonych zwierząt. – Macie dziś co oglądać – stwierdził weterynarz. – To są procompy.

Procompsognaty, pomyślała Ellie, żałując, że nie ma z nią Granta. Zdjęcie rentgenowskie właśnie takiego zwierzęcia przesłano im faksem do Montany. Małe zielone dinozaury świergocząc głośno przebiegły na drugą stronę drogi, przystanęły tam na chwilę, by przyjrzeć się samochodowi, po czym zniknęły w ciemnościach.

– Dziwne... – mruknął Harding. – Ciekawe, dokąd się tak śpieszą? One raczej nie przemieszczają się nocą, tylko włażą na drzewa i czekają świtu.

– W takim razie, dlaczego teraz zachowują się inaczej?

– Nie mam pojęcia. Procompy to nie tylko drapieżniki, ale także czyściciele, jak kruki. Dysponują niezwykle czułym zmysłem powonienia. Potrafią zwietrzyć zdychające zwierzę z odległości wielu kilometrów.

– A więc gdzieś w parku zdycha jakieś zwierzę?

– Zdycha, albo już zdechło.

– Może powinniśmy pojechać za nimi?

– Czemu nie? – odparł Harding. – Jestem bardzo ciekaw, co to może być.

Zakręcił kierownicą i ruszył w ślad za procompsognatami.

Tim

Tim Murphy leżał we wnętrzu land cruisera z policzkiem przyciśniętym do klamki. Powoli wracał do przytomności. Ogromnie chciało mu się spać. Poruszył się i poczuł ból w kości policzkowej, dotykającej do metalowych drzwi. Zaraz potem stwierdził, że boli go właściwie całe ciało – ręce, nogi, a przede wszystkim głowa, w której coś mu nieprzyjemnie pulsowało. Tym bardziej chciał jak najprędzej zapaść w sen, żeby zapomnieć o bólu.

Podniósł się na łokciu, otworzył oczy i zwymiotował, brudząc sobie cały przód koszuli. Otarł usta wierzchem dłoni. Nieznośne pulsowanie nie zmniejszyło się ani odrobinę. Kręciło mu się w głowie, a w dodatku męczyły go nudności, jakby płynął kołyszącą się na falach łódką.

Tim jęknął głośno i odwrócił się na plecy, aby znaleźć się trochę dalej od kałuży wymiocin. Ból głowy był tak silny, że chłopiec nie mógł głębiej odetchnąć, a w dodatku wciąż miał wrażenie, że cały świat wiruje bez przerwy. Rozejrzał się dokoła.

W dalszym ciągu był w land cruiserze, ale samochód chyba przewrócił się na bok, ponieważ Tim stwierdził, że leży na drzwiach po stronie pasażera, nad sobą ma kierownicę, a jeszcze wyżej poruszane wiatrem gałęzie drzewa. Deszcz już prawie ustał, lecz przez dziurę po wybitej szybie do wnętrza samochodu wpadały grube krople spływające z liści.

Chłopiec przyglądał się ze zdumieniem rozmiarom zniszczeń. Za nic nie mógł sobie uzmysłowić, w jakich okolicznościach została wybita przednia szyba. Nie mógł sobie nic przypomnieć, z wyjątkiem tego, że siedzieli w unieruchomionym samochodzie, gdy tyranozaur ruszył w ich stronę. Nie miał pojęcia, co się działo potem.

Ponownie chwyciły go nudności, więc zacisnął powieki, czekając, aż atak minie. Do jego uszu docierał rytmiczny, powtarzający się odgłos, przypominający skrzypienie pokładu łodzi. Wciąż jeszcze był porządnie oszołomiony i miał wrażenie, jakby naprawdę kołysał się wraz z całym samochodem. Kiedy ponownie otworzył oczy, zobaczył, że to prawda: toyota rzeczywiście kołysała się w górę i w dół.

Tim ostrożnie podniósł się, stanął na drzwiach, pełniących teraz funkcję podłogi, i wyjrzał przez dziurę po przedniej szybie. Początkowo dostrzegł tylko poruszane podmuchami wiatru liście, ale potem, w przerwach między nimi...

Od ziemi dzieliło go co najmniej sześć metrów.

Wybałuszył oczy ze zdumienia. Land cruiser leżał na boku w gałęziach potężnego drzewa, sześć metrów nad ziemią, kołysany lekko przez podmuchy wiatru.

– Cholera... – wykrztusił chłopiec. Co robić? Wspiął się na palce, oparł na kierownicy i wychylił na zewnątrz, ale kierownica obróciła się gwałtownie, a samochód z donośnym trzaskiem opadł o kilkanaście centymetrów. Tim spojrzał z przerażeniem w dół, na ziemię widoczną przez roztrzaskaną szybę po stronie pasażera.

– Cholera – powtórzył. – Cholera...

Ponownie rozległ się głośny trzask i toyota obsunęła się o kolejne dwadzieścia lub trzydzieści centymetrów.

Musi jak najszybciej wydostać się z samochodu.

Zauważył, że stoi na klamce. Przykucnął ostrożnie, żeby jej się przyjrzeć. W ciemności nie widział zbyt dokładnie, ale wydawało mu się, że drzwi są dość mocno wygięte do wewnątrz, co uniemożliwia przekręcenie klamki. Na pewno nie będzie mógł ich otworzyć ani opuścić szyby. Zaraz potem przypomniał sobie, że przecież toyota ma dużą tylną klapę. Może tam pójdzie mu lepiej? Wychylił się za oparcie fotela; samochód natychmiast zareagował na przesunięcie środka ciężkości i obsunął się ćwierć metra w dół.

Tim ostrożnie wyciągnął rękę i nacisnął klamkę.

Też była zablokowana.

Co mu więc pozostało?

Usłyszał parsknięcie i spojrzał w dół. Obok drzewa przesunął się jakiś cień, ale z pewnością nie był to tyranozaur, gdyż miał kształt baryłkowaty i głośno fukał. Tim dostrzegł ogon zakończony dwoma długimi kolcami.

A więc stegozaur poczuł się już lepiej i wyruszył w poszukiwaniu pożywienia. Tim zastanawiał się, gdzie podziali się Gennaro, doktor Sattler i weterynarz. Ostatnio widział ich przy chorym stegozaurze, ale kiedy to właściwie było? Spojrzał na zegarek, lecz okazało się, że szkiełko jest stłuczone i nie można odczytać cyfr. Tim zdjął bezużyteczny przedmiot i cisnął go na podłogę.

Stegozaur fuknął jeszcze kilka razy, po czym odszedł. Po chwili w ciemności słychać było jedynie szum wiatru w koronach drzew i poskrzypywanie gałęzi uginających się pod ciężarem land cruisera.

Muszę stąd jak najszybciej zniknąć, pomyślał Tim.

Złapał za klamkę i nacisnął ją z całej siły, ale bez powodzenia. Dopiero w chwilę później uświadomił sobie, że drzwi po prostu są zablokowane od wewnątrz! Nie zwlekając odblokował je i ponownie nacisnął klamkę; klapa natychmiast uchyliła się i znieruchomiała na gałęziach.

Otwór był dość wąski, lecz Tim przypuszczał, że uda mu się wyślizgnąć na zewnątrz. Wstrzymując oddech zaczął powoli pełznąć ku tyłowi samochodu. Rozległ się głośny trzask, ale tym razem toyota nie zmieniła położenia. Chłopiec ostrożnie położył się na ukośnie uchylonych drzwiach, wysunął nogi na zewnątrz i niemal natychmiast poczuł, że jego stopy trafiły na jakieś solidne oparcie. Przeniósł na nie ciężar ciała...

Gałąź uciekła gdzieś w bok, drzwi raptownie otworzyły się szerzej, chłopiec wypadł z samochodu i runął w dół, obijając się o konary, zawadzając o nie potwornie bolącą głową i równie obolałymi kończynami. Nagle poczuł silne uderzenie w żołądek, przez chwilę nie mógł złapać powietrza, a kiedy doszedł do siebie, przekonał się, że wisi na grubej gałęzi.

Rozległo się donośne skrzypienie; Tim spojrzał w górę i półtora metra nad sobą zobaczył land cruisera.

Skrzypienie przybrało na sile i samochód przesunął się o kilka centymetrów.

Tim zacisnął zęby i nie zważając na ból zaczął schodzić z drzewa, które miało silne konary wyrastające z głównego pnia w regularnych odstępach, tak że szło się po nich prawie jak po schodach.

Krrrrk...

Samochód zaczął się zsuwać.

Tim schodził najszybciej jak mógł, ześlizgując się po mokrych gałęziach, ale znajdował się dopiero w połowie drogi, kiedy rozległo się donośne trzaśniecie i land cruiser runął maską w dół ku ziemi. Chłopiec zobaczył z przerażeniem, jak wielka, wyszczerzona osłona chłodnicy zbliża się do niego w zastraszającym tempie, a potem samochód uderzył z łomotem w gruby konar, na którym przed chwilą znajdował się chłopiec, i znieruchomiał, ze zderzakiem dosłownie kilka centymetrów od jego twarzy. Wielka, powyginana atrapa przypominała pokiereszowane usta, a reflektory wyglądały jak oczy. Tim poczuł na twarzy ciepłe krople oleju. Od ziemi wciąż jeszcze dzieliły go co najmniej trzy metry. Ostrożnie postawił stopę na kolejnej gałęzi, ale w tej samej chwili ujrzał, jak konar, na którym oparł się samochód, pęka, a ogromny land cruiser zsuwa się wprost na niego. W ułamku sekundy zrozumiał, że nie zdoła uciec przed masą żelastwa, więc po prostu odepchnął się od gałęzi i runął w dół.

Koziołkował w powietrzu, przez cały czas słysząc, jak tuż za nim spada potężne stalowe pudło, a potem upadł na miękką ziemię, natychmiast odtoczył się w bok i przywarł całym ciałem do pnia drzewa. Ułamek sekundy później land cruiser spadł z łoskotem tuż obok niego; ziemia zatrzęsła się od uderzenia, a iskry, które strzeliły we wszystkie strony, jeszcze przez kilka chwil gasły z cichym sykiem w kałużach.

Tim powoli dźwignął się na nogi. W ciemności rozległo się zaintrygowane fukanie i koło drzewa ponownie zjawił się stegozaur, którego zapewne zwabił odgłos upadku samochodu. Dinozaur zachowywał się jak niezbyt rozgarnięty, ogromny żółw: podążał powoli przed siebie z nisko opuszczoną głową, prawie wcale nią nie poruszając.

Tim rzucił w niego kamieniem.

– Uciekaj!

Kamień odbił się od grubych płyt sterczących na grzbiecie zwierzęcia. Stegozaur parł naprzód, nie zwracając na nic uwagi.

– Uciekaj stąd! Idź sobie!

Następny kamień trafił w głowę. Stegozaur chrząknął, zawrócił dostojnie i odszedł w kierunku, z którego przed chwilą przybył.

Tim oparł się o wrak land cruisera i rozejrzał dokoła. Musiał jak najprędzej dołączyć do pozostałych uczestników wycieczki, ale byłoby dobrze, gdyby przy okazji udało mu się nie zgubić do końca. Wiedział, że znajduje się gdzieś na terenie właściwego Parku, przypuszczalnie niezbyt daleko od głównej drogi. Gdyby tylko mógł dokładnie ustalić swoje położenie! Co prawda ciemności mocno ograniczały widoczność, ale...

Wślizgnął się do wnętrza toyoty przez dziurę po rozbitej przedniej szybie. Bez

trudu znalazł radio i noktowizyjne gogle; radio było roztrzaskane, ale gogle na szczęście działały. Nie zwlekając założył je, włączył, i natychmiast ujrzał świat w znajomych, zielono–czarnych barwach.

Dzięki goglom bez trudu zlokalizował po lewej strome zniszczone ogrodzenie i podszedł do niego. Miało ponad trzy i pół metra wysokości i było zbudowane z potężnych stalowych prętów, lecz mimo to tyranozaur zdeptał je bez trudu, Tim przeszedł przez wyrwę w ogrodzeniu, pokonał pas gęstych zarośli i znalazł się na głównej drodze.

Drugi land cruiser leżał przewrócony na bok. Chłopiec podbiegł do niego, zaczerpnął głęboko powietrza i zajrzał do środka. Samochód był pusty. Ani śladu doktora Granta i doktora Malcolma.

Gdzie oni zniknęli?

Gdzie wszyscy zniknęli?

Nagle, kiedy tak stał w środku dżungli przy pustym przewróconym samochodzie, ogarnęła go panika. Zaczął szybko kręcić się w kółko, patrząc jednocześnie we wszystkie strony. Jego uwagę zwrócił jakiś mały, jasny przedmiot leżący na poboczu drogi: baseballowa piłeczka Lex. Podniósł ją i wytarł z błota.

– Lex! – zawołał najgłośniej jak mógł, nie przejmując się tym, że może go usłyszeć jakieś zwierzę. Przez długą chwilę stał bez ruchu, nasłuchując uważnie, lecz do jego uszu docierał jedynie szum wiatru oraz szelest kropli spadających z liści drzew.

– Lex!

Wydawało mu się, że w momencie ataku jego siostra siedziała w land cruiserze. Czy została w samochodzie? A może uciekła? Nie pamiętał, co działo się potem i nie mógł sobie przypomnieć. Stał na skraju drogi, czując coraz większe przerażenie.

– Lex!

Wydawało mu się, że noc ogarnia go ze wszystkich stron. Zrozpaczony, usiadł w kałuży i popłakał przez chwilę nad swoim losem, a kiedy przestał, zdał sobie sprawę, że nadal słyszy czyjś szloch. Był bardzo słaby i dobiegał z pewnej odległości.

* * *

– Jak długo to już trwa? – zapytał Muldoon, wchodząc do dyspozytorni z metalową, czarną skrzynką.

– Pół godziny.

– Harding powinien już być z powrotem.

Arnold zgasił niedopałek papierosa.

– Jestem pewien, że zjawią się lada chwila.

– A co z Nedrym?

– Wciąż ani śladu.

Muldoon otworzył skrzynkę, w której znajdowało się sześć przenośnych krótkofalówek.

– Rozdam je ludziom, którzy zostali w budynku – powiedział, wręczając jedną Arnoldowi. – Weź też ładowarkę. Te radia miały nam służyć w razie awarii, ale

naturalnie nikt nie pomyślał o tym, żeby naładować akumulatory. Podłącz swoje na dwadzieścia minut, a potem spróbuj skontaktować się z którymś z samochodów.

* * *

Henry Wu otworzył drzwi z tabliczką: ZAPŁADNIANIE i wszedł do pogrążonego w półmroku laboratorium. Było puste, gdyż wszyscy technicy jedli jeszcze kolację. Wu skierował się wprost do końcówki komputera i wystukał na klawiaturze polecenie otwarcia dostępu do zapisów operacji przeprowadzanych podczas prac nad odtworzeniem łańcucha DNA. Łańcuch ten był tak długi, że zapis wszystkich operacji zajmował dziesięć gigabajtów dysku optycznego. Wu miał zamiar sprawdzić wszystkie piętnaście gatunków, co oznaczało konieczność skontrolowania ogromnej liczby informacji.

Nadal nie bardzo rozumiał, dlaczego, zdaniem Granta, DNA żab mogło odgrywać w tej sprawie jakąś znaczącą rolę. Przecież budowa chemiczna cząsteczki DNA jest taka sama dla wszystkich żywych istot. Wprost trudno sobie wyobrazić, jak wiekową substancją jest kwas dezoksyrybonukleinowy. Ludzie tłoczący się na ulicach wielkich miast i wychowujący swoje dzieci nie zdawali sobie sprawy, że związek stanowiący esencję wszelkiego życia jest niemal równie stary jak sama Ziemia. Ewolucja cząsteczki DNA dobiegła końca jakieś dwa miliardy lat temu. Od tamtej pory pojawiło się w niej bardzo mało zmian.

Porównując DNA człowieka z DNA najbardziej prymitywnej bakterii, możemy odnaleźć znaczące podobieństwa. Ośmielony tym niewiarygodnym konserwatyzmem przyrody, Wu korzystał z DNA wszystkich zwierząt, jakie nawinęły mu się pod rękę. Rekonstruując dinozaury posługiwał się różnymi cząsteczkami kwasu dezoksyrybonukleinowego w taki sam sposób, w jaki rzeźbiarz posługuje się różnymi rodzajami marmuru lub granitu.

Uruchomił program poszukiwania, a ponieważ wiedział, że wyniku może spodziewać się nie wcześniej niż po dwóch lub trzech minutach, wstał z fotela i, wiedziony starym nawykiem, zaczął sprawdzać wskazania różnych przyrządów. Jego uwagę zwrócił wyraźny skok temperatury zapisany w rejestratorze przy wielkiej lodówce. Zdziwiło go to, gdyż taki skok oznaczał, że ktoś w ciągu minionej pół godziny zaglądał do środka. Ale komu chciałoby się przychodzie tu w środku nocy?

Rozległ się elektroniczny sygnał, oznaczający, że komputer skompletował pierwsze dane. Wu pośpiesznie wrócił do monitora, a kiedy zobaczył, co się znajduje na jego ekranie, natychmiast zapomniał o wszystkim innym.

ALGORYTM WYSZUKIWANIA DNA

DNA: kryterium wyszukiwania : *RANA*	
DNA zawierające fragmenty DNA *RANAE*	**Wersje**
Maiazaury	2,1–2,9
Procompsognaty	3,0–3,7
Otnielie	3,1–3,3
Welociraptory	1,0–3,0
Hypsilofodonty	2,4–2,7

Rezultat był oczywisty: wszystkie rozmnażające się gatunki dinozaurów miały w swoim DNA fragmenty DNA żab. Nie zwlekając pobiegł na górę, do dyspozytorni.

Lex

Siedziała skulona w rurze kanalizacyjnej ponad metrowej średnicy, przecinającej w poprzek drogę pod jej powierzchnią. Dziewczynka zacisnęła zęby na baseballowej rękawicy i kołysała się do przodu i do tyłu, uderzając rytmicznie głową w wewnętrzną powierzchnię rury. Dzięki swoim goglom Tim bez trudu dostrzegł siostrę w głębokiej ciemności. Z ulgą stwierdził, że wygląda na całą i zdrową.

– To ja, Tim.

Nie odpowiedziała, tylko w dalszym ciągu uderzała głową w rurę.

– Wyjdź stamtąd.

Potrząsnęła głową. Była przerażona.

– Jeśli wyjdziesz, pozwolę ci założyć gogle.

Ponownie potrząsnęła głową.

– Spójrz, co mam – powiedział, wyciągając rękę w jej stronę. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że jest za ciemno, aby cokolwiek zobaczyła. – To twoja piłka, Lex. Znalazłem twoją piłkę.

– I co z tego?

Postanowił spróbować z innej strony.

– Założę się, że tam jest okropnie zimno i niewygodnie. Może jednak byś wyszła?

Znowu zaczęła kołysać się na piętach.

– Dlaczego nie chcesz wyjść?

– Bo tam są zwierzemta.

Tim aż drgnął z zaskoczenia. Jego siostra przestała mówić „zwierzemta", kiedy miała cztery albo pięć lat.

– One już sobie poszły – powiedział.

– Jest taki wielki. Tyranozaur.

– On też już sobie poszedł.

– A dokąd?

– Nie wiem, ale tutaj na pewno go nie ma – odparł Tim, modląc się w duchu, żeby to była prawda.

Lex nadal nie wychodziła. Chłopiec usiadł na trawie u wylotu rury, tak żeby mogła go widzieć. Ziemia była mokra. Podkulił kolana i czekał. Nie miał pojęcia, co innego mógłby zrobić.

– Posiedzę sobie tutaj i odpocznę – powiedział.

– Czy tatuś jest z tobą?

– Nie – odparł, czując się dość dziwnie. – On został w domu, Lex.

– A mamusia?

– Ona też została w domu.

– W ogóle nie ma żadnych dorosłych?

– Na razie nie, ale jestem pewien, że zaraz się zjawią. Założę się, że są już w drodze.

W rurze coś zaszeleściło, a w chwilę potem Lex wypełzła z otworu. Trzęsła się z zimna i miała całe czoło pokryte zaschniętą krwią, ale wydawało się, że poza tym wszystko jest w porządku.

– Gdzie się podział doktor Grant? – zapytała, rozglądając się dokoła ze zdziwieniem.

– Nie wiem.

– Przecież był tu jeszcze niedawno.

– Naprawdę? To znaczy kiedy?

– No, niedawno. Kiedy siedziałam w rurze.

– I dokąd poszedł?

– A skąd ja mam wiedzieć? – prychnęła Lex, marszcząc nos, po czym zaczęła nawoływać: – Halo, doktorze Grant! Doktooorze!

Tim obawiał się, że jej krzyki mogą ponownie sprowadzić im na kark tyranozaura, ale w chwilę potem usłyszał odpowiedź. Nadeszła z prawej strony, mniej więcej z tego miejsca, z którego chłopiec przyszedł kilka minut temu. Niebawem Tim z ulgą ujrzał zbliżającego się Granta. Paleontolog miał rozdartą koszulę, ale na szczęście chyba nic mu się nie stało.

– Dzięki Bogu – powiedział. – Właśnie was szukałem.

* * *

Drżąc na całym ciele Ed Regis podniósł się z ziemi i otarł zimne błoto z twarzy i rąk. Ostatnie pół godziny spędził w bardzo mało wygodnej pozycji, wciśnięty między głazy na zboczu wzgórza położonego w pewnej odległości od drogi. Co prawda zdawał sobie sprawę, iż nie jest to dobra kryjówka, ale paniczne przerażenie, jakie go ogarnęło, nie pozwoliło mu wziąć się w garść na tyle, aby poszukać lepszej. Leżąc w obrzydliwym, zimnym błocie starał się zapanować nad rozdygotanymi nerwami, lecz przed oczami wciąż miał obraz atakującego dinozaura.

Ed nie bardzo pamiętał, co wydarzyło się potem. Zdaje się, że Lex coś do niego wołała, ale on nie zatrzymał się, bo po prostu nie mógł tego zrobić. Zaraz za krawędzią drogi potknął się, stracił równowagę i potoczył się w dół po kamienistym zboczu, a potem przemknęła mu przez głowę niewyraźna myśl, że może wczołgać się między głazy i ukryć wśród nich, więc zrobił to, zadyszany i przerażony. Miał tylko jeden cel: zniknąć z oczu tyranozaurowi. Kiedy wreszcie wślizgnął się niczym szczur między skalne bloki, uspokoił się trochę, ale natychmiast ogarnęły go potworne wyrzuty sumienia, gdyż uświadomił sobie, że uciekł, aby ratować własną skórę, pozostawiwszy dzieci na pastwę potwora. Zdawał sobie sprawę, iż powinien natychmiast wrócić, aby je ratować, ponieważ zawsze uważał się za odważnego człowieka, który nie traci zimnej krwi nawet w obliczu największego niebezpieczeństwa, lecz za każdym razem, kiedy chciał wstać i pobiec im na pomoc... po prostu nie mógł. Przerażenie powracało ze zdwojoną siłą, a on nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

Powtarzał sobie wtedy, że to i tak nie miałoby żadnego sensu. Jeżeli dzieci zostały na drodze, to już nic nie mogło ich uratować, więc on, Ed Regis, równie

dobrze może pozostać tutaj, w ukryciu. Tylko on będzie wiedział, co się naprawdę stało. Tak więc przez pełne pół godziny leżał między głazami na zboczu wzgórza, walcząc z ogarniającą go paniką, starając się nie myśleć ani o dzieciach, ani o tym, co powiedziałby Hammond, gdyby poznał prawdziwy przebieg wydarzeń. Tym, co wreszcie skłoniło go do wyjścia z kryjówki, było wrażenie, że coś dziwnego dzieje się z jego policzkiem. Odrętwienie, połączone z czymś w rodzaju łaskotania, mogło zostać spowodowane uderzeniem o coś twardego. Regis ostrożnie dotknął policzka palcami i poczuł podłużne obrzmienie. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że nie jest to wcale żadne obrzmienie, tylko ogromna pijawka. Szarpnął ją gwałtownie, odrywając sobie jednocześnie kawałek skóry z policzka, i z obrzydzeniem cisnął jak najdalej. W chwilę potem ujrzał kolejną pijawkę, tym razem na przedramieniu. Po usunięciu jej został krwawy, długi ślad. Boże, oblazły go całego! W dżungli roiło się od pijawek, a teraz okazało się, że jest ich pełno także między kamieniami na odkrytych zboczach. Zaraz, zaraz, co opowiadali robotnicy? Pijawki lubią ciemne, wilgotne miejsca, więc często wpełzały pod bieliznę i próbowały dostać się do...

– Halo, doktorze Grant!

Regis znieruchomiał, nasłuchując.

– Doktooorze!

Boże, to przecież głos dziewczynki!

Nie wydawała się przerażona, nic też nie wskazywało na to, żeby coś ją bolało. Po prostu wołała tak, jak to zwykle czynią dzieci. Regis domyślił się, że musiało się stać coś niezwykłego; prawdopodobnie tyranozaur zrezygnował z ataku i wszyscy ludzie, którzy byli w land cruiserach, ocaleli. Także Grant i Malcolm. Uświadomiwszy to sobie, natychmiast oprzytomniał i odzyskał jasność umysłu, tak jak dzieje się w chwili, kiedy na autostradzie zatrzymuje cię gliniarz. Od razu poczuł się lepiej, gdyż teraz przynajmniej wiedział, co robić. Wybierając ostrożnie drogę między głazami, planował, co i komu powinien powiedzieć.

Przede wszystkim najdokładniej jak mógł starł błoto z rąk i twarzy, usuwając w ten sposób dowody świadczące o tym, że starał się ukryć. Wcale się tego nie wstydził, ale musiał przygotować się na odparcie ewentualnych zarzutów. Wyszedłszy na drogę stwierdził z niepokojem, że nie bardzo wie, gdzie jest; w zasięgu wzroku nie było żadnego land cruisera. Znajdował się u podnóża wzniesienia, więc samochody powinny chyba być na szczycie.

Nie zwlekając ruszył w tamtą stronę. W dżungli panowała niezwykła cisza, zakłócana jedynie odgłosem jego kroków, kiedy z chlupotem pokonywał kolejne kałuże. Dziewczynka także umilkła. Dlaczego? Czyżby coś jej się stało? Jeśli tak, to chyba nie powinien tam iść. Może tyranozaur jednak nie odszedł daleko? Może lepiej pójść w kierunku bazy, tym bardziej że chyba nie dzieliła go od niej zbyt duża odległość?

Skąd ta niezwykła cisza?

Ed Regis zawrócił i pomaszerował w przeciwną stronę.

* * *

Alan Grant obejrzał szybko dziewczynkę, aby upewnić się, że nie doznała żadnych poważniejszych obrażeń. Zdumiewające, ale wykpiła się rozcięciem skóry na czole.

– Przecież mówiłam panu, że nic mi nie jest.

– Tak, ale wolałem sprawdzić.

Chłopiec miał mniej szczęścia. Złamał sobie nos, który opuchł i bardzo bolał, oraz poważnie stłukł prawy bark, ale na szczęście nogi były w porządku. Dzieci mogły chodzić, a w tej chwili to właśnie miało największe znaczenie.

Grant także znajdował się w niezłej formie, jeśli nie liczyć głębokiego zadrapania biegnącego przez całą pierś, pozostawionego przez pazur tyranozaura. Piekło przy każdym oddechu, ale w żaden sposób nie utrudniało poruszania się.

Usiłował sobie przypomnieć, czy kopnięcie przez dinozaura nie pozbawiło go na jakiś czas przytomności, gdyż nie pamiętał nic z tego, co działo się potem, aż do chwili, kiedy z jękiem usiadł w zaroślach jakieś dziesięć metrów od land cruisera. Początkowo zadrapanie trochę krwawiło, więc zrobił sobie okład z liści, który szybko zatamował krwotok. Zaraz potem zaczął chodzić dokoła samochodu, szukając Malcolma i dzieci. Wciąż nie mógł uwierzyć, że żyje, a im dłużej myślał o niedawnych wydarzeniach, tym więcej sobie przypominał. Tyranozaur powinien z łatwością zabić ich wszystkich. Dlaczego tego nie zrobił?

– Jestem głodna – oświadczyła Lex.

– Ja też – odparł Grant. – Musimy jak najprędzej wrócić do bazy i powiedzieć o statku.

– Tylko my o tym wiemy? – zapytał Tim.

– Tak. Trzeba jak najszybciej ostrzec pozostałych.

– W takim razie chodźmy drogą w stronę hotelu – zaproponował chłopiec, wskazując przed siebie. – W ten sposób spotkamy ich, kiedy wyruszą na poszukiwania.

Grant zastanowił się nad tym, co powiedział chłopiec. Jedna rzecz wciąż nie dawała mu spokoju: ten ciemny kształt, który przeniknął między samochodami jeszcze przed spotkaniem z tyranozaurem. Co to było za zwierzę? Tylko jedna odpowiedź przychodziła mu do głowy: mały tyranozaur.

– To chyba nie jest dobry pomysł, Tim. Po obu stronach drogi są wysokie ogrodzenia. Jeżeli spotkamy któregoś tyranozaura, nie będziemy mieli żadnych szans na ucieczkę.

– Chce pan czekać tutaj?

– Tak. Zaczekajmy, aż ktoś po nas przyjedzie.

– Jestem głodna – powtórzyła Lex.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa długo – powiedział Grant.

– Nie chcę tu zostać.

W tej samej chwili z ciemności szczelnie otulającej podnóże wzniesienia dobiegło czyjeś pokasływanie.

– Zostańcie tutaj! – szepnął Grant i pobiegł naprzód, aby zobaczyć, co to jest.

– Nie ruszaj się stąd! – szepnął Tim i pognał za nim.

Lex ruszyła za bratem.

– Nie zostawiajcie mnie samej, wy paskudne...

Grant zasłonił jej usta ręką. Zaczęła się wyrywać, wydając oburzone piski, ale uczony potrząsnął głową i wskazał jej scenę rozgrywającą się na drodze.

* * *

Ed Regis stał jak wrośnięty w ziemię, nie wykonując najmniejszego ruchu. W dżungli zapanowała nagle śmiertelna cisza. Nawet cykady i żaby umilkły jak na komendę. Słychać było jedynie delikatny szelest liści i szum wiatru.

Lex otwierała już usta, żeby coś powiedzieć, lecz Grant gwałtownym szarpnięciem pociągnął ją za pień najbliższego drzewa. Tim skoczył zaraz za nimi i cała trójka przypadła do ziemi, kryjąc się między odsłoniętymi grubymi korzeniami. Paleontolog przyłożył palec do ust, nakazując im milczenie, po czym ostrożnie wysunął głowę.

Oświetlona jedynie blaskiem księżyca droga była pełna cieni rzucanych przez poruszane wiatrem gałęzie. Ed Regis zniknął. Dopiero po dłuższej chwili Grantowi udało się dostrzec go, przyciśniętego do pnia wielkiego drzewa. Regis nie poruszał się.

W lesie nadal panowała niezwykła cisza.

Zniecierpliwiona Lex pociągnęła Granta za rękaw; chciała wiedzieć, co się właściwie dzieje. W tej samej chwili, gdzieś niedaleko od nich, rozległo się coś w rodzaju cichego prychnięcia, niewiele głośniejszego od szumu wiatru. Dziewczynka także je usłyszała, gdyż natychmiast zamilkła.

Odgłos powtórzył się, delikatny jak westchnienie. Grantowi skojarzył się z oddechem konia.

Paleontolog ponownie spojrzał na Regisa, ukrytego w ruchomych pręgach i plamach cieni rzucanych przez gałęzie drzew, i nagle uświadomił sobie, że jeden z cieni wcale się nie porusza; zobaczył potężną, prostokątną głowę i gruby kark...

Rozległo się kolejne prychnięcie.

Tim wychylił się ostrożnie, aby lepiej widzieć. Lex uczyniła to samo.

Trzasnęła łamana gałąź i na drogę wyszedł młody tyranozaur. Miał około dwóch i pół metra wysokości, poruszał się zaś równie niezgrabnie jak szczeniak. Szedł bardzo powoli, zatrzymując się co chwila i węsząc tuż nad ziemią. Minął drzewo, za którym ukrył się Regis, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi. Grant dostrzegł wyraźnie, jak Regis odprężył się i pozwolił sobie nawet na lekki ruch głową, aby nie stracić z oczu poruszającego się powoli dinozaura.

Po chwili tyranozaur zniknął w ciemnościach. Ed Regis odsunął się od drzewa, ale pozostał w jego cieniu, gdyż w dżungli nadal panowała martwa cisza. Dopiero po dłuższej chwili las zaczai powoli ożywać: najpierw rozległo się rechotanie nadrzewnej żaby, potem zagrała cykada, a wreszcie odezwał się cały chór. Regis wyszedł na drogę, spoglądając w kierunku, w którym odszedł dinozaur, i rozprostował zdrętwiałe ramiona.

Atak nastąpił z lewej strony.

Młody tyranozaur ryknął przeraźliwie, wyskoczył z ciemności i uderzył Regisa

głową, przewracając go na ziemię. Mężczyzna wrzasnął ze strachu i spróbował natychmiast podnieść się, ale zwierzę doskoczyło ponownie i chyba przycisnęło mu nogi tylną łapą, gdyż Regis tylko usiadł i zaczął krzyczeć na tyranozaura, waląc go pięściami po pysku. Dinozaur, zdumiony agresywnością niewielkiego stworzenia, obwąchiwał je z zainteresowaniem, nie zwracając uwagi na ciosy.

– Uciekaj! – darł się Regis co sił w płucach. – Idź sobie! Idź stąd! – Zdezorientowane zwierzę cofnęło się o krok i człowiek natychmiast zerwał się na równe nogi. – Tak, idź sobie! Uciekaj stąd! – krzyczał wciąż, cofając się powoli. Młody tyranozaur przypatrywał się z zaciekawieniem małej, hałaśliwej istocie, poczekał, aż Regis odsunie się na kilka kroków, po czym dopadł go jednym susem i ponownie przewrócił na ziemię.

Bawi się z nim, pomyślał Grant.

– Hej! – wrzasnął Regis, gdy dinozaur pozwolił mu ponownie wstać na nogi. – Zostaw mnie, idioto! Słyszałeś? Zostaw mnie! Tyranozaur ryknął, ale nie zaatakował. Regisowi udało się już prawie dotrzeć do bujnych zarośli po prawej stronie drogi. Jeszcze kilka kroków i znajdzie się wśród gęstych liści, niknąc zwierzęciu z oczu. – Uciekaj! Uciekaj stąd! – krzyknął, lecz w tej samej chwili dinozaur dał ogromnego susa i przewrócił go na plecy. – Zostaw mnie!

Tyranozaur pochylił się nad leżącym bezradnie człowiekiem, a zaraz potem Regis zaczął przeraźliwie wrzeszczeć; żadnych słów, tylko okropny, mrożący krew w żyłach wrzask.

Nagle ucichł, a kiedy tyranozaur podniósł głowę, ukryci wyżej na zboczu ludzie zobaczyli, że trzyma w pysku poszarpany kawał mięsa.

– O, nie... – jęknęła Lex. Tim odwrócił się gwałtownie, gdyż poczuł, że robi mu się niedobrze. Gogle zsunęły mu się z głowy i spadły na ziemię, wydając metaliczny dźwięk.

Tyranozaur spojrzał w kierunku szczytu wzgórza.

Tim chwycił gogle, a Grant złapał dzieci za ręce i cała trójka rzuciła się do ucieczki.

Stan rzeczy

Procompsognaty biegły skrajem drogi, a jeep Hardinga podążał niezbyt daleko za nimi. W pewnej chwili Ellie wyciągnęła przed siebie rękę.

– Czy to światło? – zapytała.

– Chyba tak – odparł weterynarz. – Wygląda na reflektory samochodu.

Nagle ożyło radio. Najpierw rozległy się szumy i trzaski, a potem usłyszeli głos Johna Arnolda.

– ...jesteście tam?

– Nareszcie! – mruknął Harding, po czym wziął do ręki mikrofon, nacisnął guzik i powiedział: – Tak, John, jesteśmy. Jedziemy wzdłuż rzeki za stadem procompów. Zdaje się, że wyczuły coś interesującego.

Odpowiedziały mu trzaski, a potem:

– ...ujemy wasz samochód...

– Co on mówi? – zapytał Gennaro.

– Coś o samochodzie – powiedziała Ellie. W Montanie to ona obsługiwała przenośną radiostację i nabrała pewnej wprawy w domyślaniu się treści zniekształconych przekazów. – Zdaje się, że potrzebują naszego samochodu.

Harding wcisnął guzik.

– John, jesteś tam? Nie słyszymy cię zbyt dobrze. John, odezwij się!

Niebo przecięła błyskawica, z głośnika dobiegł szum, a potem rozległ się pełen niepokoju głos Arnolda:

– ...emy gdzie.....teście...

– Jesteśmy półtora kilometra na pomoc od wybiegu hypsilofodontów, w pobliżu rzeki. Jedziemy za stadem procompów.

– Słyszę was.....brze.....tychmiast wracajcie!

– Zdaje się, że mają jakieś kłopoty – powiedziała Ellie marszcząc brwi. – Nie wiem, czy nie powinniśmy wracać.

Harding wzruszył ramionami.

– John wszędzie dopatruje się kłopotów. Sama pani wie, jacy są inżynierowie. Chcą, żeby wszystko odbywało się zgodnie z tym, co jest opisane w instrukcji. – Nacisnął guzik. – John, czy mógłbyś powtórzyć?

Szum, donośne trzaski, a potem przerywany, niewyraźny głos:

– Muldoo.....usi natychmiast mieć twój.....ochód...

Tym razem Gennaro zmarszczył brwi.

– Czy on mówi, że Muldoon musi natychmiast mieć mój samochód?

– Na to wygląda – odparła Ellie.

– Ale to nie ma żadnego sensu! – zaprotestował Harding.

– ...yoty utknęły w... Muldoon... twój wóz!

– Rozumiem! – oznajmiła Ellie. – Toyoty utknęły w Parku, a Muldoon musi mieć twój wóz.

Weterynarz wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie weźmie drugiego? – Wcisnął klawisz nadawania. – John, powiedz Muldoonowi, żeby wziął z garażu drugiego jeepa.

– Dlaczego mnie.....chasz.....aniu? ...imy mieć twój.....ochód!

– Powiedziałem, że drugi samochód jest w garażu. W garażu, John!

Znowu szum.

– ...edry go.....brał...

– Obawiam się, że w ten sposób do niczego nie dojdziemy – mruknął Harding. – W porządku, John, już wracamy. – Wyłączył radio, zatrzymał samochód i wrzucił wsteczny bieg. – Ciekawe, o co im właściwie chodzi.

Cofnął jeepa, wrzucił jedynkę i samochód ruszył w kierunku, z którego przed chwilą przybył. Po dziesięciu minutach ujrzeli światła domku myśliwskiego, a kiedy jeep zatrzymał się przed głównym budynkiem, zobaczyli biegnącego im na spotkanie Muldoona. Myśliwy krzyczał coś i wymachiwał ramionami.

* * *

– Arnold, ty sukinsynu, masz natychmiast zrobić tu porządek i sprowadzić moje wnuki! Natychmiast, rozumiesz?!

John Hammond stał pośrodku dyspozytorni, wrzeszczał i tupał swoimi małymi stopami. Zachowywał się w ten sposób już od dwóch minut. Henry Wu, nieco oszołomiony, obserwował go z kąta.

– Panie Hammond, Muldoon właśnie pojechał do parku, żeby zrobić to, o czym pan mówi – powiedział Arnold, kiedy Hammond przerwał na chwilę dla zaczerpnięcia powietrza, po czym odwrócił się od niego i zapalił kolejnego papierosa. Hammond zachowywał się dokładnie tak samo jak wszyscy szefowie na całym świecie. Obojętne, czy to była Marynarka Wojenna, czy Disneyland, oni nieodmiennie uważali, że najlepszą metodą osiągnięcia celu jest wrzeszczeć co sił w płucach. Może i mieli rację, pod warunkiem że darli się na sekretarkę, by sprowadziła im samochód.

Jednak problemów, które piętrzyły się przed Arnoldem, nie dało się rozwiązać krzykiem. Ani komputera, ani systemu zasilania w najmniejszym stopniu nie obchodziło, czy ktoś na nie wrzeszczy. Gwałtowne ludzkie emocje nie miały żadnego wpływu na funkcjonowanie urządzeń technicznych – jeśli już, to raczej działały destrukcyjnie na samych ludzi. Teraz, kiedy Arnold był już niemal pewien, że Nedry nie wróci, zdawał sobie sprawę, że będzie musiał sam zagłębić się w program, aby znaleźć miejsce, w którym został popełniony błąd. Wszystko wskazywało na to, że będzie to trudne i niewdzięczne zajęcie, tym bardziej więc powinien zachować spokój i rozwagę.

– Może zejdzie pan na dół i napije się kawy? – zaproponował Hammondowi. – Powiadomimy pana, jak tylko dowiemy się czegoś nowego.

– Nie chcę tutaj żadnego „efektu Malcolma”! – wykrzyknął Hammond.

– I nie będzie go. Czy teraz pozwoli mi pan zająć się pracą?

– Niech cię szlag trafi!

– Zawiadomię pana natychmiast, jak tylko otrzymamy informacje od Muldoona.
Nacisnął kilka klawiszy i na ekranie monitora pojawił się zupełnie nowy obraz:

**/Jurassic Park Main Modules/*
**/*
**/Call Libs*
Include: biostat.sys
Include: sysrom.vst
Include: net.sys
Include: pwr.mdl
**/*
**/Initialize*
*SetMain[42]2002/9A {total CoreSysop %4 [vig. 7*tty]}*
*if ValidMeter(mH) (**mH).MeterVis return*
*Term Cali 909 c.lev {void MeterVis $303} Random(3 # *MaxFid)*
on SetSystem(!Dn) set shp_val.obj to lim(Val{d}SumVal
*if SetMeter(mH) (**mH).ValdidMeter(Vdd) return*
on SetSystem(!Telcom) set mxcpl.obj to lim(Val{pd})NextVal

Arnold nie znajdował się już w środowisku programu użytkowego, lecz zszedł głębiej, aby przyjrzeć się kodowi, czyli szczegółowym instrukcjom informującym komputer, jak ma postępować w danej sytuacji. Niestety, zdawał sobie sprawę, że cały program kierujący działaniem Parku liczy sobie ponad pół miliona wierszy, a znaczenia większości z nich będzie mógł się jedynie domyślać.

– Co robisz, John? – zapytał Wu.

– Sprawdzam kod.

– Na piechotę? Przecież to zajmie ci całą wieczność!

– A masz jakiś lepszy pomysł? – mruknął Arnold.

Droga

Muldoon wszedł w zakręt z dużą prędkością. Jeep wpadł w kontrolowany poślizg, a siedzący obok myśliwego Gennaro nerwowo zacisnął pięści. Pędzili drogą prowadzącą szczytem stromej skarpy, wysoko nad skrytą w ciemnościach rzeką. Muldoon z zaciśniętymi zębami coraz mocniej wduszał w podłogę pedał gazu.

– Ile jeszcze? – zapytał Gennaro.

– Trzy, może cztery kilometry.

Ellie i Harding zostali w bazie, natomiast Gennaro zgłosił się na ochotnika do pomocy Muldoonowi. Samochód ponownie wpadł w poślizg.

– Minęła już godzina – powiedział Muldoon. – Od godziny nie odezwali się ani słowem.

– Ale przecież mają nadajniki?

– Nie odpowiadali na nasze wezwania.

Gennaro zmarszczył brwi. – Gdybym musiał tyle czasu siedzieć w unieruchomionym samochodzie, na pewno spróbowałbym połączyć się z kimś przez radio.

– Ja też – odparł Muldoon.

Prawnik potrząsnął głową.

– Naprawdę myśli pan, że mogło im się coś stać?

– Wszystko powinno być w porządku, ale uspokoję się dopiero wtedy, kiedy zobaczę ich na własne oczy. Lada chwila powinniśmy dotrzeć na miejsce.

Droga skręciła, a następnie zaczęła wspinać się na łagodne wzniesienie. U jego podnóża Gennaro dostrzegł wśród rosnących na poboczu paproci jakiś biały przedmiot.

– Proszę zatrzymać się na chwilę – powiedział.

Muldoon zahamował, Gennaro zaś wyskoczył z samochodu i pobiegł naprzód, aby w blasku reflektorów zobaczyć, co to jest. Wyglądało na fragment ubrania, tyle tylko, że...

Gennaro stanął jak wryty. Z odległości dwóch metrów nie miał już żadnych wątpliwości. Odetchnął głęboko kilka razy, a następnie powoli ruszył naprzód.

– I co to? – zapytał Muldoon, wystawiwszy głowę z samochodu.

– Noga – odparł Gennaro.

Ciało było błękitnoszare, a tuż nad kolanem z czerwonej miazgi sterczała kość. Biała skarpetka sięgała do połowy łydki, na stopie zaś tkwił brązowy mokasyn – taki, jakie nosił Ed Regis.

Muldoon wyskoczył z jeepa, podbiegł i przyklęknął przy nodze.

– O, Boże... – wykrztusił.

Podniósł ją ostrożnie, aby obejrzeć dokładniej w świetle reflektorów, a wtedy ze zmiażdżonego kikuta pociekł mu na rękę strumień krwi. Gennaro, przyglądający się temu z odległości niespełna metra, schylił się szybko, położył ręce na kolanach i

mocno zacisnął powieki, starając się opanować nudności.

– Gennaro! – syknął Muldoon.

– Co?

– Przesuń się. Zasłaniasz światło.

Prawnik odetchnął głęboko i posłusznie odsunął się na bok. Kiedy otworzył oczy, ujrzał Muldoona przyglądającego się z uwagą nodze.

– Oderwana w stawie kolanowym – powiedział myśliwy. – Nie odgryzł jej, tylko złapał, przekręcił i szarpnął. Po prostu urwał mu nogę.

Muldoon wyprostował się, trzymając oderwaną kończynę stopą do góry, aby resztki krwi mogły swobodnie spłynąć na ziemię. Jego zakrwawiona ręka zostawiła na białej skarpetce wyraźne czerwone ślady. Gennaro poczuł, że znowu chce mu się wymiotować.

– Nie ma dwóch zdań, to robota t–rexa – stwierdził Muldoon, po czym spojrzał na prawnika, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o jego obecności. – Nic ci nie jest? Możemy jechać?

– Oczywiście, możemy – odparł Gennaro, szczękając zębami.

Muldoon ruszył do samochodu.

– Myślę, że powinniśmy to zabrać – powiedział, wskazując kończynę ruchem głowy. – Jakoś nie wydaje mi się właściwe zostawiać w krzakach kawałek człowieka. Cholera, zaświni cały samochód. Zerknij do tyłu, czy nie ma tam jakiejś folii albo chociaż papieru.

Gennaro otworzył klapę bagażnika i zaczai grzebać za tylnym siedzeniem. Był zadowolony, że choć przez chwilę może myśleć o czymś innym. Problem, w co należy zawinąć oderwaną nogę, aby nie zabrudziła samochodu, zaprzątnął go bez reszty. Znajdował kolejno skrzynkę z narzędziami, zapasowe koło, jakieś tekturowe pudło, a wreszcie...

– Dwa foliowe worki – oznajmił.

– Daj mi je. – Muldoon zawinął kończynę, po czym wręczył mu bezkształtny pakunek. Gennaro zdziwił się, że zawiniątko jest aż tak ciężkie. – Połóż to gdzieś z tyłu – powiedział myśliwy. – Postaraj się jakoś ją zablokować, żeby nie latała po całym wozie.

– Jasne.

Gennaro ułożył tobołek za tylnym siedzeniem, po czym zajął miejsce na fotelu pasażera, a Muldoon wskoczył za kierownicę i gwałtownie ruszył z miejsca. Koła zabuksowały w grząskim błocie, ale po chwili odzyskały przyczepność i jeep popędził pod górę. Kiedy dojeżdżali do szczytu wzniesienia, reflektory przez chwilę świeciły w nocne niebo, by zaraz za szczytem skierować się z powrotem na drogę. W ich blasku Gennaro i Muldoon ujrzeli wstrząsający widok.

– Jezu... – szepnął myśliwy.

Na środku drogi leżał przewrócony na bok land cruiser.

– A gdzie drugi wóz?

Muldoon rozejrzał się szybko i wskazał ruchem głowy w lewo.

– Tam.

Drugi samochód znajdował się jakieś sześć metrów od drogi, pod rozłożystym drzewem.

– A skąd on tam się wziął?

– T–rex go rzucił.

– Rzucił? – powtórzył Gennaro z niedowierzaniem.

Twarz Muldoona przypominała gradową chmurę.

– Chodźmy – powiedział, wysiadając z jeepa. – Im prędzej będziemy mieli to za sobą, tym lepiej.

Ruszyli w kierunku samochodu, który znalazł się kilka metrów od drogi. W świetle latarek przekonali się, jak poważnych doznał uszkodzeń. Gennaro pozostał nieco z tyłu, aby Muldoon zajrzał do środka pierwszy.

– Nie masz się czego obawiać – powiedział myśliwy. – Wątpię, żebyśmy kogoś znaleźli.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Wyjaśnił prawnikowi, że mieszkając i pracując w Afryce, kilka razy miał okazję oglądać miejsca, w których zwierzęta zaatakowały człowieka. Raz sprawcą była pantera, która w nocy wdarła się do namiotu i porwała trzyletnie dziecko, dwa razy lwy, a raz krokodyl, na północy, w pobliżu Meru. Najbardziej zdumiewające było to, jak mało pozostało śladów.

Ktoś niedoświadczony mógłby się spodziewać, że dzikie zwierzę zostawi po sobie prawdziwą jatkę: poodrywane kończyny, kałuże krwi, strzępy ubrania rozwleczone w okolicy. Tymczasem nie sposób było znaleźć czegokolwiek, szczególnie jeśli ofiarą padło dziecko lub niemowlę. Człowiek po prostu znikał, jakby wszedł w busz i nagle wyparował. Duży drapieżnik mógł zabić dziecko jednym potrząśnięciem głowy, łamiąc mu kark i nie rozlewając ani kropli krwi.

Najczęściej nie znajdowano także resztek ofiary – czasem co najwyżej guzik od koszuli albo sznurowadło – ale zazwyczaj nic. Zupełnie nic.

Drapieżniki zabierały dzieci – najczęściej właśnie je atakowały – i nie zostawiały żadnych śladów. Dlatego Muldoon przypuszczał, że tym razem będzie podobnie.

Jednak w land cruiserze czekała na niego niespodzianka.

– Niech mnie licho! – mruknął.

* * *

Muldoon usiłował odtworzyć przebieg wydarzeń. Toyota nie miała przedniej szyby, ale potłuczone kawałki szkła nie leżały obok samochodu, lecz na drodze, a więc szyba została wybita właśnie tam, zanim tyranozaur rzucił samochód na drzewo. Land cruiser doznał także wielu innych uszkodzeń. Muldoon oświetlił latarką wnętrze.

– Pusty? – zapytał z niepokojem Gennaro.

– Niezupełnie.

W blasku latarki myśliwy ujrzał rozbite radio, a na podłodze samochodu dostrzegł jakiś czarny, niewielki przedmiot. Drzwi były zatrzaśnięte, więc wszedł do

środka przez tylną klapę i podniósł go.

– Zegarek... – mruknął. Tani kwarcowy zegarek z bransoletą z tworzywa sztucznego. Wydawało mu się, że widział go na ręku chłopca, ale nie był tego całkowicie pewien. W każdym razie takie zegarki nosiły zazwyczaj dzieci.

– Co to jest? Zegarek? – dopytywał się Gennaro.

– Tak. Znalazłem też rozbite radio.

– Czy to o czymś świadczy?

– Owszem. Chyba jest coś jeszcze... – Muldoon pociągnął nosem, gdyż odniósł wrażenie, że czuje charakterystyczną, kwaśną woń. Nie pomylił się; na drzwiach po stronie pasażera znajdowała się plama świeżych wymiocin. – Przynajmniej jedno z dzieci prawdopodobnie jeszcze żyje.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytał Gennaro z niedowierzaniem.

– Dowodzi tego ten zegarek.

Muldoon podał go prawnikowi, który przyjrzał mu się dokładnie w świetle latarki.

– Jest stłuczony – zauważył.

– Słusznie. Ale bransoleta nie została zerwana.

– Co to znaczy?

– Że dzieciak sam go zdjął.

– Równie dobrze mógł to zrobić przed atakiem – zauważył Gennaro.

– Na pewno nie – stwierdził stanowczo Muldoon. – Te wyświetlacze są bardzo odporne, trzeba naprawdę silnego uderzenia, żeby je rozbić. Zegarek został zniszczony podczas ataku.

– A nawet jeśli masz rację, to co z tego?

– Pomyśl tylko: czy zaprzątałbyś sobie głowę zdejmowaniem zegarka, gdybyś został zaatakowany przez tyranozaura?

– Może sam się zsunął?

– Co najwyżej mógłby go ktoś zedrzeć, ale wtedy oderwałby też rękę. Ponieważ bransoleta jest nietknięta, uważam, że dzieciak sam ścignął zegarek. Spojrzał na niego, przekonał się, że nie działa, więc go wyrzucił. Co najważniejsze, miał czas, żeby to zrobić.

– Kiedy?

– Na pewno po ataku. Zostawił nie tylko zegarek, ale także radio, ponieważ nie nadawało się do użytku. To bystry chłopak.

– Jeżeli jest taki bystry, to dokąd poszedł? – zapytał Gennaro. – Ja zostałbym tutaj i czekał na pomoc.

– Ja też, ale on widocznie nie mógł tego zrobić – odparł Muldoon. – Może znowu pojawił się tyranozaur, albo jakieś inne zwierzę? W każdym razie coś zmusiło go do odejścia.

– Skoro tak, to dokąd poszedł? – powtórzył pytanie Gennaro.

– Zobaczmy, czy uda nam się to ustalić – powiedział myśliwy, kierując się z powrotem ku drodze.

* * *

Gennaro obserwował nisko pochylonego Muldoona, który w świetle latarki badał nawierzchnię drogi z twarzą oddaloną zaledwie o kilkanaście centymetrów od błota. Myśliwy naprawdę wierzył, że przynajmniej jedno z dzieci pozostało przy życiu, choć Gennaro miał co do tego poważne wątpliwości. Szok wywołany znalezieniem oderwanej nogi ustąpił, pozostawiając po sobie niewzruszone przekonanie, że należy jak najszybciej zamknąć Park i zniszczyć wszystkie zwierzęta. Bez względu na to, co mówi Muldoon, gdyż Gennaro w głębi duszy podejrzewał go o niczym nie uzasadniony optymizm i...

– Widzisz te ślady? – zapytał Muldoon, wciąż pochylony nad ziemią.

– Jakie ślady?

– Ślady butów. O, tutaj. Jakiś dorosły nadszedł z tamtej strony. Miał buty na gumowej, głęboko rzeźbionej podeszwie.

Gennaro wytężył wzrok, ale wciąż widział tylko rozmiękłą, błotnistą nawierzchnię drogi.

– W tym miejscu do jego śladów dołączają dwa inne, małe i średniej wielkości – ciągnął Muldoon. – Zataczają kręgi, przecinają się... Zupełnie jakby rozmawiali ze sobą... A potem nagle rzucili się do ucieczki. – Wskazał zarośla na poboczu drogi. – Tam, w głąb Parku.

Gennaro potrząsnął głową.

– W tym błocku możesz zobaczyć, co tylko ci się spodoba. Muldoon wyprostował się, cofnął o krok, rozejrzał dokoła i głęboko westchnął.

– Mów co chcesz, ale ja jestem gotów iść o zakład, że jedno z dzieci przeżyło. Może nawet oboje. Niewykluczone, że także któryś z dorosłych, naturalnie jeśli te duże ślady pozostawił ktoś inny niż Regis. Musimy przeszukać Park.

– Teraz, w nocy?

Muldoon nie odpowiedział, gdyż zobaczył coś interesującego na szczycie nasypu, którym biegła droga, w pobliżu ujścia dużej rury odpływowej. Podszedł tam i przykucnął.

– W co była ubrana dziewczynka?

– Boże, a skąd mam wiedzieć?

Myśliwy posuwał się powoli coraz dalej. W pewnej chwili usłyszeli coś jakby chrapliwy oddech.

Gennaro poczuł, jak ponownie ogarnia go fala paniki.

– Słuchaj, wydaje mi się, że powinniśmy...

– Ciii!...

Muldoon znieruchomiał nasłuchując.

– To tylko wiatr – szepnął Gennaro.

Charczenie rozległo się ponownie. Tym razem nie ulegało wątpliwości, że nie jest to szum wiatru. Dobiegało z kępy krzewów rosnących przy drodze. Nie przypominało odgłosów wydawanych przez jakiekolwiek zwierzę, niemniej jednak Muldoon zachowywał daleko idącą ostrożność. Oświetlił krzaki latarką i krzyknął, a

kiedy charczenie znów się odezwało, delikatnie rozchylił gałęzie.

– Co to jest? – zapytał Gennaro.

– Malcolm – odparł Muldoon.

* * *

Ian Malcolm leżał na plecach, blady jak papier, z lekko rozchylonymi ustami. Oddychał z dużym trudem, a od czasu do czasu z jego gardła wydobywał się przeciągły charkot. Myśliwy podał latarkę Gennaro, a sam nachylił się nad matematykiem, by stwierdzić, jakich doznał obrażeń.

– Nie mogę znaleźć żadnej rany – odezwał się po chwili. – Głowa w porządku, tak sarno klatka piersiowa, ramiona...

Gennaro skierował snop światła na nogi.

– Założył sobie opaskę uciskową.

Pasek Malcolma był zaciśnięty na prawym udzie. Gennaro poświecił niżej. Prawa stopa sterczała z nogawki pod dziwnym kątem, a cały dół spodni był przesiąknięty krwią. Kiedy Muldoon delikatnie dotknął kostki, Malcolm jęknął przeraźliwie.

Myśliwy cofnął się o krok, myśląc, co począć. Malcolm mógł doznać jeszcze innych obrażeń – kto wie na przykład, czy nie ma złamanego kręgosłupa? Próba poruszenia go mogła spowodować śmierć, ale jeśli tu zostanie, umrze w wyniku wstrząsu. Przed pewną śmiercią ocaliło Malcolma jedynie to, że miał dość przytomności umysłu, aby zdjąć pasek i zrobić z niego opaskę uciskową. Nie zmieniało to jednak faktu, że i tak ma bardzo mało szans na przeżycie. Przeniesienie matematyka nie będzie więc zbyt wielkim ryzykiem.

Kiedy Gennaro i Muldoon dźwignęli bezwładne ciało, Malcolm jęknął, po czym wyszeptał:

– Lex poszła... Lex...

– Kto to jest Lex? – zapytał myśliwy.

– To ta dziewczynka – wyjaśnił Gennaro. Zanieśli Malcolma do jeepa i wepchnęli na tylne siedzenie. Gennaro zacisnął mocniej pasek na udzie matematyka, który ponownie jęknął rozdzierająco. Kiedy Muldoon ostrożnie podwinął mu nogawkę, ujrzał krwawą miazgę i sterczące z niej białe odłamki kości.

– Musimy natychmiast zawieźć go do bazy – powiedział.

– Bez dzieci?

– Jeśli uciekły do Parku, mielibyśmy do przeszukania ponad trzydzieści kilometrów kwadratowych. Jeżeli w ogóle ma nam się udać je znaleźć, to tylko dzięki czujnikom, które wychwycą ruch i zameldują nam o tym. Gdybyśmy zostawili tu doktora Malcolma, na pewno by umarł.

– W takim razie trzeba wracać.

– Ja też tak uważam.

Kiedy wsiedli do samochodu, Gennaro zapytał:

– Powiesz Hammondowi, że nie znaleźliśmy dzieci?

– Nie – odparł Muldoon. – Ty to zrobisz.

Stan rzeczy

Donald Gennaro wpatrywał się ze zdumieniem w Hammonda, siedzącego w opustoszałej kafejce i spokojnie zajadającego lody.

– A więc Muldoon przypuszcza, że dzieci są gdzieś na terenie parku?

– Tak.

– W takim razie jestem pewien, że je znajdzie.

– Mam nadzieję.

Patrząc na starca, który najspokojniej w świecie pałaszował lody, Gennaro poczuł zimny dreszcz.

– Z pewnością nic im się nie stanie. Bądź co bądź nie na darmo powtarzam wszystkim, że Park został stworzony właśnie dla dzieci.

– Proszę pana, chciałbym, żeby pan zdał sobie sprawę z tego, że one zaginęły...

– Zaginęły? – parsknął Hammond. – Doskonale wiem, że zaginęły. Nie jestem nienormalny. – Westchnął głęboko, a następnie ponownie zmienił ton: – Posłuchaj, Donaldzie: nie dajmy się zwariować. Mieliśmy małą awarię spowodowaną przez burzę, albo coś w tym rodzaju, w wyniku czego wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. I to wszystko. Właśnie opanowujemy sytuację. Arnold zajął się komputerem, Muldoon odszuka dzieci, a ja nie mam wątpliwości, że dotrą tutaj, zanim jeszcze skończę tę porcję lodów. Proponuję więc, żebyśmy spokojnie zaczekali, dobrze?

– Jak pan sobie życzy – odparł Gennaro.

* * *

– Dlaczego? – zapytał Henry Wu, spoglądając na ekran monitora.

– Ponieważ wydaje mi się, że Nedry zmajstrował coś w samym kodzie – powiedział Arnold. – Dlatego postanowiłem go sprawdzić.

– A wykorzystałeś już wszystkie inne możliwości?

– Na przykład jakie?

– No, bo ja wiem... Może działają jakieś systemy zabezpieczeń? Na przykład keychecks, albo coś w tym rodzaju.

Arnold strzelił palcami.

– No pewnie! Można je wyłączyć tylko z głównego stanowiska.

– Jeżeli keychecks działały przez cały czas, to będziesz mógł sprawdzić, co wstukiwał Nedry.

– Jasne.

Arnold zaczął pośpiesznie naciskać klawisze. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Przecież sprawa była aż nadto oczywista. Wszystkie komputery działające w Parku miały zainstalowane kilkustopniowe systemy zabezpieczeń. Jednym z nich był program rejestrujący wszystkie polecenia przekazywane za pośrednictwem klawiatury przez osoby mające dostęp do systemu. Początkowo

korzystano z niego w celu łatwiejszego odszukiwania błędów, potem jednak pełnił już wyłącznie funkcję kontrolną.

Po chwili w oknie pojawiła się poszukiwana informacja:

13,42,121,32,88,77,19,13,122,13,44,52,77,90,13,99,13,100,13,109,55,103
144,13,99,87,60,13,44,12,09,13,43,63,13,46,57,89,103,122,13,44,52,88,9
31,13,21,13,57,98,100,102,103,13,112,13,146,13,13,13,77,67,88,23,13,13
system
nedry
goto command level
nedry
040/#xy/67&
mr goodbytes
security
keycheck off
safety off
sl off
security
whte_jbt.obj

– I to wszystko? – zdziwił się Arnold. – Przecież siedział tutaj parę godzin!

– Widocznie czekał na właściwy moment.

Trzy górne wiersze zawierały kody ASCII znaków, które Nedry wprowadził do komputera ze swojego terminala. Oznaczało to, że początkowo korzystał z komputera jak zwykły użytkownik, nie zagłębiając się w sam program, lecz badając go ostrożnie z zewnątrz. Było to dość dziwne zachowanie jak na kogoś, kto sam zaprojektował cały system.

– Może chciał się zorientować, czy ktoś nie wprowadził jakichś zmian? – mruknął Wu.

– Może. – Arnold wpatrywał się w listę komend, które miały pozwolić mu odtworzyć krok za krokiem drogę, jaką wybrał Nedry, aby zagłębić się w system. – Przynajmniej wiemy dokładnie, co robił.

Dzięki komendzie system Nedry opuścił program, wchodząc w strukturę kodu. Komputer zapytał go o nazwisko, na co uzyskał odpowiedź nedry, po czym dopuścił go do systemu. Następnie Nedry zażądał dostępu do najwyższego poziomu zarządzania komputerem. Wymagało to specjalnych uprawnień, dlatego maszyna ponownie zapytała go o nazwisko, a także o szyfr i hasło.

nedry
040/#xy/67&
mr goodbytes

Następnie Nedry wydał polecenie security, a ponieważ udowodnił już, że ma wszelkie potrzebne pełnomocnictwa, komputer natychmiast spełnił jego żądanie.

Znalazłszy się w systemie bezpieczeństwa, wydał jeden po drugim trzy rozkazy:

keycheck off
safety off
sl off

– Chciał wyłączyć systemy kontrolne, żeby nikt nie mógł potem ustalić, o co mu właściwie chodziło – powiedział Wu.

– Tak jest – potwierdził Arnold. – Nikt mu jednak nie powiedział, że można je wyłączyć tylko ręcznie, przestawiając mikro–przełączniki na płycie głównej.

Po tych trzech błędnych poleceniach komputer nabrał podejrzeń w stosunku do Nedry'ego, ale ponieważ wcześniej podał wszystkie wymagane hasła i szyfry, maszyna uznała, że po prostu popełnił błąd, próbując zrobić coś, czego z miejsca, w którym się znajdował, nie dało się zrobić. Dlatego komputer ponownie zapytał Nedry'ego, gdzie chciał się znaleźć, a ten znów odpowiedział: security. Maszyna pozwoliła mu tam pozostać.

– Mam cię! – wykrzyknął Arnold, wskazując ostatnie polecenie wydane przez Nedry'ego.

whte_rbt.obj

– Co to ma być, do diabła? – zdumiał się. – White rabbit? Co za biały królik? Czy to ma być jakiś dowcip?

– Jest określony jako obiekt – zauważył Wu.

W terminologii komputerowej „obiekt" stanowi fragment kodu, który może być przesuwany w dowolne miejsce i tam używany, tak jak krzesło, które przestawia się w różne miejsca pokoju. Obiektem może być zestaw komend nakazujących komputerowi sporządzenie rysunku, oczyszczenie ekranu lub wykonanie jakichś obliczeń.

– Sprawdźmy, gdzie go wstawił – powiedział Arnold. – Może wtedy dowiemy się, na czym polega jego działanie.

Nie zwlekając wystukał na klawiaturze:

FIND WHTE_RBT.OBJ

Na ekranie natychmiast pojawiła się odpowiedź:

OBJECT NOT FOUND IN LIBRARIES

– Nie ma czegoś takiego – stwierdził Arnold.

– Spróbuj listowania – poradził mu Wu.

FIND/LISTINGS: WHTE_RBT.OBJ

Przez ekran z wielką prędkością zaczęły przesuwać się kolejne wiersze programu. Trwało to prawie minutę, aż wreszcie obraz znieruchomiał.

– Jest! – stwierdził triumfalnie Wu. – To nie żaden obiekt, tylko zwykłe polecenie.

Migająca strzałka wskazywała pojedynczy wiersz programu:

curV = GetHandl {ssm.dt} tempRgn {itm.dd2}.
curH = GetHandl {ssd.itl} tempRgn2 {itm.dd4}.
on DrawMeter(!gN) set shp_val.obj. to lim(Val{d})–Xval.
*if ValidMeter(mH) (**mH).MeterVis return.*
if Meterhandl(vGT) ((DrawBack(tY)) return.
limitDat.4 = maxBits (%33) to (limit .04} set on.
limitDat.5 = setzero, setfive, o{limit .2 – var(szh)}.
on whte_rbt.obj cali link.sst {security, perimeter} set to off.
vertRange = {maxRange + setlim} tempVgn(fdn – &bb + $404).
horRange = {maxRange – setlim/2} tempHgn(fdn–&dd + $105).
void DrawMeter send_screen.obj print.

– Sukinsyn... – wycedził Arnold przez zęby.

Wu potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– A więc to wcale nie był błąd w programie.

– Oczywiście, że nie. To najzwyklejsze tajne wejście do systemu. Ten tłusty drań wprowadził do programu coś, co pozornie wygląda na obiekt, a w rzeczywistości jest poleceniem wyłączającym cały system bezpieczeństwa Parku. W ten sposób mógł uzyskać dostęp do każdej jego części.

– Musimy jak najszybciej znowu uruchomić system!

– Tak, musimy... – Arnold wpatrywał się w ekran ze zmarszczonymi brwiami. – Trzeba tylko trafić na odpowiednie polecenie. Spróbuję uruchomić program testujący. Zobaczymy, co nam to da.

Wu podniósł się z fotela.

– Tymczasem zejdę na dół i policzę moje embriony – powiedział. – Zdaje się, że niedawno ktoś zaglądał do chłodziarki.

* * *

Ellie właśnie zamierzała zdjąć przemoczone ubranie, kiedy ktoś zapukał do drzwi jej pokoju.

– To ty, Alan? – zapytała, ale kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła Muldoona z jakimś zawiniętym w foliowe torby pakunkiem pod pachą. Myśliwy także był przemoczony do suchej nitki, a jego ubranie nosiło ślady częstych kontaktów z ziemią.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale potrzebujemy pani pomocy – powiedział rzeczowym tonem. – Godzinę temu oba land cruisery zostały zaatakowane przez zwierzęta. Przywieźliśmy Malcolma, ale jest w bardzo kiepskim stanie. Ma paskudnie zmiażdżoną nogę. Jeszcze nie odzyskał przytomności. Położyłem go w pokoju. Harding też zaraz tu będzie.

– Harding? A co z pozostałymi?

– Nie znaleźliśmy nikogo więcej, proszę pani – powiedział bardzo powoli Muldoon.

– Och, mój Boże!

– Ale przypuszczamy, że doktor Grant i dzieci żyją. Prawdopodobnie uciekli w głąb Parku.

– W głąb Parku?...

– Na to wygląda. Doktor Malcolm pilnie potrzebuje pomocy, dlatego wezwałem Hardinga.

– Czy nie powinien pan raczej wezwać lekarza?

– Na wyspie nie ma lekarza. Harding to jedyna siła medyczna, jaką dysponujemy.

– Ale przecież może pan wezwać lekarza z kontynentu...

Muldoon pokręcił głową.

– Niestety, nic z tego. Nie działają telefony. Straciliśmy łączność ze światem.

Poprawił pakunek pod pachą.

– Co to jest?

– Nic takiego. Jeśli pani może, to proszę pójść do pokoju doktora Malcolma i pomóc Hardingowi – powiedział myśliwy, po czym odwrócił się i odszedł.

Wstrząśnięta Ellie usiadła na łóżku. Co prawda nie należała do kobiet łatwo wpadających w panikę, a w dodatku wiedziała, że Grant wychodził już cało z różnych niebezpiecznych sytuacji; kiedyś zaginął na pustkowiu na cztery dni, kiedy pod jego jeepem obsunęła się ziemia i samochód zjechał po trzydziestometrowej stromiźnie, a Grant złamał nogę. Nie miał wody, lecz mimo to dotarł do obozu.

Grant być może da sobie radę, ale dzieci...

Potrząsnęła głową, odpychając od siebie złe przeczucia. Dzieci na pewno są z Grantem, a jeżeli tak, to... Kto lepiej może przeprowadzić je przez Jurassic Park niż specjalista od dinozaurów?

W parku

– Jestem zmęczona – oświadczyła Lex. – Doktorze Grant, czy może pan wziąć mnie na ręce?

– Jesteś za duża – skarcił ją Tim.

– Możliwe, ale jestem zmęczona.

– W porządku – powiedział Grant. – Uff, rzeczywiście sporo ważysz.

Zbliżała się dziewiąta wieczorem. Okrągły księżyc przesłaniały kłęby rozwiewanej przez wiatr mgły, a dwoje dzieci i mężczyzna podążali za swymi niewyraźnymi, rozmytymi cieniami w poprzek rozległej łąki, ku zaczynającej się za nią dżungli. Pogrążony głęboko w myślach Grant starał się określić ich położenie. Ponieważ na samym początku ucieczki przedostali się przez wyrwę w ogrodzeniu, którą pozostawił dorosły tyranozaur, należało przypuszczać, że są gdzieś na wybiegu tego właśnie zwierzęcia, a więc dokładnie tam, gdzie nie powinni się znaleźć. Grant przez cały czas miał przed oczami mapę z zaznaczoną przez komputer trasą wędrówek tyranozaura; właśnie teraz przemierzał wraz z dziećmi teren, na którym nagromadzenie pomarańczowych linii było największe.

Pamiętał jednak także, iż terytorium tyranozaura było starannie oddzielone od wybiegów zajmowanych przez inne zwierzęta. Jeżeli natrafią na ogrodzenie lub fosę – albo na jedno i drugie – będą wiedzieli, że po drugiej stronie przeszkody będą względnie bezpieczni.

Jak do tej pory nie napotkali jednak żadnych barier.

Dziewczynka oparła mu głowę na ramieniu, wplotła palce we włosy i szybko zasnęła. Chłopiec dzielnie maszerował obok niego.

– Jak tam, Tim?

– Wszystko w porządku. Tyle tylko, że chyba jesteśmy na wybiegu tyranozaura.

– Nawet na pewno. Mam nadzieję, że wkrótce się stąd wydostaniemy.

– Chce pan iść przez dżunglę? – zapytał Tim. Las, do którego zbliżali się w szybkim tempie, wydawał się groźny i ponury.

– Tak. Myślę, że uda mi się zorientować w terenie dzięki numerom na czujnikach.

Czujniki były to zielone skrzynki umieszczone na wysokości około stu dwudziestu centymetrów nad ziemią. Niektóre stały samodzielnie, inne przytwierdzono do drzew. Każda skrzynka miała pośrodku szklany obiektyw, a poniżej tabliczkę znamionową z literowym kodem i numerem. Czujnik, do którego właśnie dotarli, opatrzony był symbolem: T/S/04.

Weszli w las. Ze wszystkich stron otoczyły ich potężne drzewa. Snująca się tuż nad ziemią mgła czepiała się poskręcanych, odsłoniętych korzeni. W blasku księżyca wyglądało to bardzo pięknie, ale niezmiernie utrudniało wędrówkę. Grant rozglądał się w poszukiwaniu czujników. Miały coraz niższe numery: T/S/03, T/S/02, a wreszcie: T/S/01. Ciężar dziewczynki dawał mu się już mocno we znaki; miał

nadzieję, że czujnik z numerem jeden będzie znajdował się blisko granicy terytorium tyranozaura, ale okazało się, że jest to po prostu jeszcze jedna zielona skrzynka w środku dżungli. Następna opatrzona była symbolem: T/N/01, kolejna zaś: T/N/02. Grant domyślił się, że numery rosną poczynając od centralnego punktu danego obszaru, dodatkowe oznakowanie zaś dotyczy stron świata. Posuwali się z południa na północ.

– Przynajmniej wiemy, że idziemy we właściwym kierunku – zauważył Tim.

– Bardzo słusznie.

Tim uśmiechnął się, po czym zawadził nogą o korzeń, którego nie zauważył we mgle, i rozciągnął się jak długi na ziemi. Natychmiast wstał i przez chwilę szedł w milczeniu obok Granta.

– Moi rodzice się rozwodzą – powiedział wreszcie.

– Aha – mruknął paleontolog.

– Tata opuścił nas już w ubiegłym miesiącu. Ma swój dom w Mill Valley.

– Aha.

– On już od dawna nie nosi mojej siostry. Nawet nie bierze jej na ręce.

– I mówi, że dinozaury rzuciły ci się na mózg – dodał Grant.

Tim westchnął głęboko.

– Właśnie.

– Tęsknisz za nim?

– Chyba nie. Może czasem. Ona bardziej za nim tęskni.

– A twoja mama?

– Nie, tylko Lex. Mama ma przyjaciela. Poznała go w pracy.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Minęli T/N/03 i T/N/04.

– Znasz go? – zapytał Grant.

– Tak.

– I jaki jest?

– W porządku. Młodszy od taty, ale za to łysy.

– Jak się do ciebie odnosi?

– Czyja wiem?... Chyba dobrze. Myślę, że stara się pokazać z jak najlepszej strony. Nie wiem, co teraz będzie. Czasem mama mówi, że będziemy musieli sprzedać dom i przeprowadzić się, a czasem kłóci się z nim do późna w nocy. Siedzę w swoim pokoju i gram z komputerem, ale i tak wszystko słyszę.

– Aha.

– Pan jest rozwiedziony?

– Nie – odparł Grant. – Moja żona umarła dawno temu.

– A teraz jest pan z doktor Sattler?

Grant uśmiechnął się w ciemności.

– Skądże znowu. To moja studentka.

– Ona jeszcze się uczy?

– W pewnym sensie.

Grant zatrzymał się na chwilę, żeby zmienić rękę podtrzymującą Lex, po czym ruszyli w dalszą drogę, mijając T/N/05, a zaraz potem T/N/06. Gdzieś z oddali

dobiegło basowe dudnienie grzmotu. Burza przesunęła się na południe. W lesie panowała cisza, wypełniona jedynie graniem cykad i rechotem nadrzewnych żab.

– Ma pan dzieci? – zapytał Tim.

– Nie.

– Ożeni się pan z doktor Sattler?

– Nie. Ona już w przyszłym roku ma wyjść za mąż za pewnego bardzo sympatycznego lekarza z Chicago.

– Aha. – Chłopiec wydawał się zaskoczony tą wiadomością. – W takim razie, z kim pan się ożeni?

– Myślę, że z nikim.

– To tak jak ja – stwierdził poważnie Tim. Przez jakiś czas milczeli. – Czy będziemy szli całą noc? – zapytał wreszcie chłopiec.

– Wątpię, czy dam radę – odparł Grant. – Raczej nie obejdzie się bez kilkugodzinnego odpoczynku. – Zerknął na zegarek. – Na razie mieścimy się w czasie. Mamy prawie piętnaście godzin do chwili, kiedy statek dopłynie do stałego lądu.

– A gdzie się zatrzymamy?

Grant zadawał sobie to samo pytanie. Początkowo doszedł do wniosku, że powinni wejść na drzewo, ale potem uświadomił sobie, że po to, by zabezpieczyć się przed niepożądanymi gośćmi, musieliby chyba wspiąć się na wierzchołek najwyższego drzewa, a kiedy już by tam zasnęli – o ile w ogóle by im się to udało, gdyż gałęzie są bardzo twarde i niewygodne – któreś z nich łatwo mogłoby spaść.

Potrzebowali bardziej bezpiecznego miejsca. Wrócił myślą do planów, które przeglądał w samolocie w czasie podróży na wyspę. Pamiętał wyraźnie, że na każdym z wydzielonych obszarów znajdowały się jakieś budynki. Nie wiedział, jak wyglądały ani gdzie dokładnie są, ale wydawało mu się, że były rozrzucone po całym Parku. Przy odrobinie szczęścia może trafią na któryś z nich...

Jednak odnalezienie budynku było czymś zupełnie innym od prostego zadania polegającego na przejściu w poprzek wybiegu tyranozaura. Jak wszystkie poszukiwania, wymagało zastosowania jakiejś strategii, a najlepszą strategią jest przecież...

– Tim, możesz przez chwilę potrzymać swoją siostrę? Wdrapię się na któreś z tych drzew i rozejrzę dokoła.

Z wierzchołka drzewa roztaczał się wspaniały widok na cały las. Okazało się, że dotarli bardzo blisko jego krawędzi; prosto przed nimi zaczynała się rozległa polana, której skrajem biegło metalowe ogrodzenie oraz betonowa fosa. Sąsiedni, bezdrzewny wybieg należał chyba do jakichś ziemnowodnych gadów, jeszcze dalej zaś widać było skrawek dżungli, a tuż za nim migoczące lustro oceanu.

Gdzieś z daleka dobiegł ryk dinozaura. Grant założył gogle Tima i ponownie rozejrzał się dokoła. Za szczególną uwagą przyglądał się bladej wstędze fosy, aż wreszcie ujrzał to, czego szukał: ciemny pas drogi prowadzący do jakiejś budowli nakrytej płaskim dachem. Dach ledwo co wystawał nad powierzchnię gruntu, ale to w niczym nie zmieniało faktu, że był całkiem niedaleko, najwyżej pół kilometra od

drzewa.

Kiedy Grant zszedł na ziemię, do jego uszu dotarło pochlipywanie Lex.

– Co się stało?

– Usłyszałam jakieś zwierzę.

– Nic nam nie zrobi. Nie śpisz już? W takim razie chodźmy.

Zaprowadził dzieci do ogrodzenia. Miało trzy i pół metra wysokości, a zwieńczone było spiralą z drutu kolczastego. Kiedy spoglądali na nie w świetle księżyca, wydawało im się, że sięga do samego nieba. Zaraz po jego drugiej stronie zaczynała się fosa.

Lex popatrzyła na ogrodzenie wzrokiem pełnym powątpiewania.

– Będziesz mogła na to wejść? – zapytał Grant.

– Jasne. – Wręczyła mu rękawicę i piłeczkę, po czym zaczęła się wspinać. – Ale nie wiem, czy Timmy da radę.

– Zamknij się! – parsknął z wściekłością chłopiec.

– On boi się wysokości.

– Wcale nie!

– Właśnie, że tak.

– Nieprawda!

– Więc dogoń mnie tutaj!

W świetle księżyca Grant zobaczył pobladłą twarz chłopca.

– Dasz sobie radę, Tim?

– Pewnie.

– Pomóc ci?

– Timmy się boi, Timmy się boi! – wykrzyknęła z góry Lex.

– Co za głupia makolągwa! – mruknął chłopiec i rozpoczął wspinaczkę.

– Okropnie tu zimno! – oświadczyła Lex. Cala trójka stała na dnie fosy, po pas w cuchnącej wodzie. Przeprawa przez ogrodzenie odbyła się bez problemów, jeśli nie liczyć tego, że Tim rozdarł koszulę o drut kolczasty na szczycie. Potem jedno za drugim ześlizgnęli się do fosy, a teraz Grant zastanawiał się, jak się z niej wydostać. – Dzięki mnie Timmy przelazł przez ten płot – powiedziała Lex. – Normalnie nigdy by tego nie zrobił.

– Piękne dzięki za pomoc – odparł z przekąsem chłopiec.

Po powierzchni wody pływały kępki jakichś roślin. Tim przesuwał się powoli wzdłuż betonowej ściany, ale nigdzie nie mógł dostrzec żadnych nierówności, które pomogłyby im wydostać się z fosy.

– Błeee! – skrzywiła się Lex, kiedy przypadkiem dotknęła kępki oślizgłych wodorostów.

– Nie bój się, to nie gryzie.

Grant wreszcie znalazł miejsce, w którym beton pękł, a w szczelinie wyrosły pnącza sięgające do samej wody. Chwycił je oburącz i szarpnął mocno; wydawały się wystarczająco silne, żeby utrzymać jego ciężar.

– Idziemy, dzieciaki.

Ruszył w górę pierwszy.

Pokonanie odkrytego terenu i dotarcie do biegnącej w zagłębieniu drogi zajęło im zaledwie kilka minut. Minęli jeszcze dwa czujniki. Grant stwierdził z niepokojem, że nadal nie działają, podobnie jak światła, mimo że od awarii minęły już ponad dwie godziny.

Gdzieś daleko zaryczał tyranozaur.

– Czy on tutaj przyjdzie? – zaniepokoiła się Lex.

– Nie – zapewnił ją Grant. – Jesteśmy już w innej części Parku. Zsunęli się po porośniętym trawą nasypie, po czym ruszyli drogą w kierunku betonowego budynku. W ciemności rozjaśnionej jedynie blaskiem księżyca sprawiał odpychające wrażenie, bardziej przypominając bunkier niż cokolwiek innego.

– Co to właściwie jest? – zapytała dziewczynka.

– Nie wiem, ale przynajmniej będziemy tu bezpieczni – powiedział paleontolog. Miał nadzieję, że się nie myli.

Wykonane z grubych metalowych prętów drzwi były na tyle duże, że mogłaby przez nie przejechać nawet półciężarówka. We wnętrzu budynku znajdowało się tylko jedno obszerne pomieszczenie, wypełnione stertami siana i sprasowanymi belami słomy.

Drzwi były zamknięte na potężną kłódkę. Podczas gdy Grant przypatrywał się jej z powątpiewaniem, Lex bez trudu prześlizgnęła się między prętami.

– Za mną, chłopcy.

Tim poszedł w jej ślady.

– Myślę, że panu też się uda, doktorze Grant.

Rzeczywiście, udało się, choć z trudem. Kiedy tylko znalazł się w środku, poczuł, że ogarnia go niemożliwe do przezwyciężenia zmęczenie.

– Ciekawe, czy jest tu coś do jedzenia? – powiedziała Lex.

– Tylko siano i słoma.

Grant rozerwał jedną z zapakowanych w folię bel i rozesłał słomę na podłodze. Położyli się, czując jej ciepło. Tim przytulił się do zwiniętej w kłębek Lex, obejmując ją ramieniem. Gdzieś z daleka dobiegało przytłumione trąbienie dinozaurów.

Dzieci zasnęły niemal natychmiast. Grant spojrzał na zegarek, ale w budynku było zbyt ciemno, żeby mógł cokolwiek dojrzeć.

Zamknął oczy i także zasnął.

Stan rzeczy

W chwili kiedy Muldoon i Gennaro weszli do dyspozytorni, Arnold klasnął w dłonie i wykrzyknął:

– Mam cię, sukinsynu!

– O co chodzi? – zapytał Gennaro.

Arnold wskazał na ekran.

Vg1 = GetHandl {dat.dt} tempCall {itm.temp}
Vg2 = GetHandl {dat.itl} tempCall {itm.temp}
if Link(Vgl,Vg2) set Lim(Vgl,Vg2) return
if Link(Vg2,Vgl) set Lim(Vg2,Vgl) return
on whte_rbt.obj link set security (Vgl), perimeter (Vg2)
limitDat.l = maxBits (%22) to {limit .04} set on
limitDat.2 = setzero, setfive, o{limit .2–var(dzh)}
on fini.obj call link.sst {security, perimeter} set to on
on fini.obj set link.sst {security, perimeter} restore
on fini.obj delete line rf whte_rbt.obj, fini.obj
Vg1 = GetHandl {dat.dt} tempCall {itm.temp}
Vg2 = GetHandl {dat.itl} tempCall {itm.temp}
limitDat.4 = maxBits (%33) to {limit .04} set on
limitDat.5 = setzero, setfive, o{limit .2 – var(szh)}

– Właśnie o to – stwierdził z zadowoloną miną.

– To znaczy o co? – dopytywał się prawnik.

– Wreszcie znalazłem polecenie przywracające poprzednie własności wszystkich parametrów. Po komendzie „fini.obj” wraca zasilanie, a ogrodzenia znowu są pod napięciem.

– To wspaniale – stwierdził Muldoon.

– Dzieje się też coś jeszcze: zaraz potem ulegają skasowaniu te wiersze programu, które były odpowiedzialne za całe zamieszanie, a wraz z nimi znikają dowody na to, że coś takiego w ogóle miało miejsce. Bardzo sprytne.

Gennaro potrząsnął głową.

– Nie wiem zbyt dużo o komputerach – przyznał.

Wiedział jednak wystarczająco wiele, aby domyślać się, że to, o czym mówi Arnold, oznacza duże kłopoty.

– W takim razie popatrzcie na to – powiedział Arnold, po czym wystukał na klawiaturze:

FINI.OBJ

Ekran zamigotał i natychmiast zmienił wygląd.

Vg1 = GetHandl {dat.dt} tempCall {itm.temp}
Vg2 = GetHandl {dat.itl} tempCall {itm.temp}
if Link(Vgl,Vg2) set Lim(Vgl,Vg2) return
if Link(Vg2,Vgl) set Lim(Vg2,Vgl) return
limitDat.l = maxBits (%22) to {limit .04} set on
limitDat.2 = setzero, setfive, o{limit .2–var(dzh)}
Vg1 = GetHandl {dat.dt} tempCall {itm.temp}
Vg2 = GetHandl {dat.itl} tempCall {itm.temp}
limitDat.4 = maxBits (%33) to {limit .04} set on
limitDat.5 = setzero, setfive, o{limit .2 – var(szh)}

– Spójrzcie! – wykrzyknął Muldoon, wskazując na zewnątrz. Za oknami w całym Parku zapalały się potężne sodowe światła.

– Niech mnie licho... – mruknął Arnold.

– Czy to oznacza, że płoty elektryczne są znowu pod napięciem? – zapytał Gennaro.

– Jasne. Na osiągnięcie maksymalnego napięcia trzeba będzie trochę poczekać, bo przecież mamy ponad siedemdziesiąt pięć kilometrów ogrodzeń, a generator musi jeszcze naładować mnóstwo kondensatorów, ale za jakieś pół minuty wszystko będzie jak trzeba.

Na przezroczystej mapie Parku zaczęły pojawiać się czerwone linie, sięgając coraz dalej od głównego generatora.

– A co z czujnikami?

– One też już działają. Minie kilka minut, zanim komputer policzy zwierzęta, ale teraz nie powinno już być żadnych problemów – odparł Arnold. – Popatrzcie sami: dopiero wpół do dziesiątej, a maszyna znowu gra jak należy.

* * *

Grant otworzył oczy. Przez zakratowane wejście do wnętrza budynku przedostawało się jaskrawobłękitne światło; generator znowu działał! Lekko nieprzytomny, spojrzał na zegarek: dokładnie wpół do dziesiątej. Spał zapewne bardzo krótko. Po namyśle doszedł do wniosku, że zdrzemnie się jeszcze trochę, a potem wyjdzie na pole, stanie przed którymś z czujników i zacznie wymachiwać rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ktoś w dyspozytorni na pewno go zauważy i wyśle po nich samochód. Potem powiedzą Arnoldowi, żeby zawrócił z drogi statek, a pozostałą część nocy i on, i dzieci spędzą we własnych łóżkach.

Tak, zrobi to zaraz, za chwilkę, tylko jeszcze trochę się prześpi. Ziewnął szeroko i ponownie zamknął oczy.

* * *

– Całkiem nieźle – stwierdził Arnold, przypatrując się mapie. – W całym Parku mamy tylko trzy martwe miejsca w płotach elektrycznych. Znacznie lepiej, niż się

spodziewałem.

– Martwe miejsca? – powtórzył Gennaro.

– Tam, gdzie z jakiegoś powodu wystąpiło zwarcie, jest automatycznie wyłączane zasilanie. Największa przerwa powstała w sektorze numer dwanaście, przy głównej drodze.

– Tam, gdzie duży rex przewrócił ogrodzenie – powiedział Muldoon.

– Dokładnie. Drugą przerwę widać w sektorze jedenastym, w pobliżu budynku technicznego.

– A co tam się mogło stać? – zapytał Gennaro.

– Jeden Bóg raczy wiedzieć – odparł główny inżynier. – Może uderzył piorun, a może zwaliło się drzewo? Niedługo sprawdzimy to na podglądzie. Trzecia przerwa jest przy samej rzece. Też nie mam pojęcia, co ją mogło spowodować.

Nagle na mapie pojawiło się mnóstwo zielonych punktów, którym towarzyszyły cyfrowo–literowe oznaczenia.

– Co to jest?

– Zwierzęta. Czujniki znowu pracują, a komputer zaczął lokalizować poszczególne egzemplarze. Rejestruje zresztą nie tylko zwierzęta.

– Czy to znaczy, że Grant i dzieci...

– Tak. Kazaliśmy komputerowi odszukać ponad czterysta osobników, więc jeśli zaczną się poruszać, zostaną zidentyfikowani jako nowe zwierzęta. – Arnold przez chwilę przyglądał się uważnie mapie. – Ale na razie jakoś nie widzę nic nowego.

– Dlaczego to trwa tak długo? – zapytał Gennaro.

– Proszę nie zapominać, że w warunkach naturalnych mamy do czynienia z mnóstwem poruszających się obiektów, choćby takich jak gałęzie drzew, trawa czy ptaki. Komputer musi wyeliminować wszystkie nieistotne czynniki, żeby... Aha, właśnie skończył.

– Widzi pan gdzieś dzieci?

Arnold pochylił się do przodu w fotelu i uważnie przyjrzał się mapie.

– Nie – odparł wreszcie. – Na razie komputer nie znalazł żadnych dodatkowych zwierząt. Wszystkie osobniki zaznaczone na mapie zostały zidentyfikowane jako dinozaury. Zapewne dzieciaki siedzą gdzieś na drzewie albo w jakimś innym miejscu, gdzie nie możemy ich zobaczyć. Moim zdaniem na razie nie ma powodu do niepokoju. Brakuje także kilku zwierząt, w tym dużego rexa. Prawdopodobnie uciął sobie drzemkę, i dlatego jest niewidoczny dla czujników. Dzieciaki i doktor Grant też mogą spać.

Muldoon pokręcił głową.

– Wolałbym załatwić wszystko jak najszybciej – powiedział. – Musimy przecież naprawić ogrodzenia i umieścić zwierzęta z powrotem na ich wybiegach. Według komputera pięć sztuk wydostało się poza swoje tereny. Zaraz wyślę ekipy.

– Może zobaczyłby pan, jak czuje się doktor Malcolm? – zaproponował Arnold prawnikowi. – Przy okazji proszę powiedzieć doktorowi Hardingowi, że za jakąś godzinę będzie potrzebny Muldoonowi przy przewożeniu zwierząt. Ja tymczasem zawiadomię pana Hammonda, że wzięliśmy się do usuwania skutków awarii.

* * *

Kiedy Gennaro wszedł do domku myśliwskiego, zobaczył Ellie Sattler idącą korytarzem z ręcznikami i miską pełną gorącej wody.

– Znalazłam kuchnię – oznajmiła. – Gotujemy tam wodę do zmiany opatrunków.

– Jak on się czuje? – zapytał Gennaro.

– Zaskakująco dobrze.

Przed drzwiami pokoju Malcolma Gennaro ze zdumieniem usłyszał donośny śmiech. Matematyk leżał na wznak na łóżku, Harding zaś podłączał mu kroplówkę.

– A wtedy ten drugi mówi: „Wiesz, Bill, uznałem, że coś jest nie w porządku i zdecydowałem się jednak na papier toaletowy".

Weterynarz ponownie parsknął śmiechem.

– Niezłe, prawda? – zapytał Malcolm. – Ach, pan Gennaro. Przyszedł pan w odwiedziny? Ma pan teraz okazję przekonać się na własne oczy, co się dzieje, kiedy ktoś próbuje dać nogę, ale robi to nie tak szybko, jak należy.

Gennaro ostrożnie wszedł do pokoju.

– Dałem mu dość dużą dawkę morfiny – wyjaśnił Harding.

– Chyba jednak nie dość dużą – powiedział Malcolm. – Straszna z niego sknera – dodał na użytek nowo przybyłych. – Czy znaleźliście już pozostałych?

– Jeszcze nie – odparł Gennaro. – Cieszę się, że jest pan w tak dobrej formie.

– A w jakiej, pańskim zdaniem, mam być formie, ze skomplikowanym, otwartym złamaniem nogi, która najprawdopodobniej już niedługo zacznie pachnieć... powiedzmy, dość intensywnie? Ja jednak zawsze powtarzam: jeśli nie potrafisz w każdej sytuacji zachować poczucia humoru, to...

Gennaro uśmiechnął się.

– Pamięta pan, co się wydarzyło?

– Oczywiście, że tak. Uważa pan, że można zostać ugryzionym przez tyranozaura i natychmiast ulec amnezji? Zapewniam pana, że pamięta się o tym do końca życia, a więc w moim przypadku chyba niezbyt długo. O, tak, nie zapomniałem żadnego szczegółu. – Opowiedział o swojej ucieczce z land cruisera. – To moja wina, bo rex był za blisko, ale wpadłem w panikę. W każdym razie dopadł mnie i złapał w pysk.

– Jak? – zapytał Gennaro.

– Za tułów. – Malcolm uniósł koszulę, odsłaniając rząd sinych zadrapań biegnących półkoliście od barku do pępka. – Podniósł mnie, potrząsnął tak, że zagrzechotały mi wszystkie kości, i wypuścił. Do tego momentu byłem jeszcze w porządku. Złamałem nogę dopiero przy upadku. – Pokręcił głową. – W porównaniu z tym samo ugryzienie nie było takie najgorsze.

– Większość drapieżników wcale nie ma mocnych szczęk – wyjaśnił Harding. – Prawdziwa siła drzemie w mięśniach karku. Szczęki tylko przytrzymują ofiarę, podczas gdy zwierzę rozszarpuje ją na kawałki. Jednak w przypadku tak małej zdobyczy, jaką był doktor Malcolm, rex tylko potrząsnął nim, a potem rzucił na ziemię.

– Tak właśnie było, niestety – potwierdził matematyk. – Wątpię, czybym to przeżył, gdyby mój nowy przyjaciel podszedł do sprawy z większym zapałem. Szczerze mówiąc, odniosłem wrażenie, że tak naprawdę zainteresowałoby go tylko coś wielkości domku jednorodzinnego, albo przynajmniej sporego samochodu.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że nie poświęcił panu całej uwagi?

– Ze wstydem muszę przyznać, że chyba tak właśnie było. Rzecz jasna, ja myślałem wyłącznie o nim, ale to stosunkowo łatwo zrozumieć, jeśli weźmie się pod uwagę, że on waży osiem ton, a ja, niestety, nie.

– Zaczęli już naprawiać wyrwy w ogrodzeniach – poinformował Gennaro Hardinga. – Arnold prosił, aby panu przekazać, że Muldoon będzie potrzebował pańskiej pomocy przy przewożeniu zwierząt na wybiegi.

– W porządku.

– Możecie się tym zajmować, pod warunkiem że zostawicie mi tutaj doktor Sattler wraz ze sporym zapasem morfiny – powiedział Malcolm. – I że nie wystąpi efekt Malcolma.

– Co to jest efekt Malcolma? – zapytał Gennaro.

– Wrodzona skromność nie pozwala mi wdawać się w dywagacje dotyczące szczegółów zjawiska, które ochrzczono moim nazwiskiem – odparł matematyk, po czym zamknął oczy i niemal natychmiast zasnął.

– Niech pan nie da mu się oszukać – powiedziała Ellie do Gennaro, kiedy wyszli razem na korytarz. – Bardzo to przeżył. Kiedy sprowadzicie śmigłowiec?

– Śmigłowiec?

– Doktor Malcolm musi być natychmiast operowany. Proszę dopilnować, żeby jak najszybciej przysłano śmigłowiec i zabrano go z wyspy.

Park

Przenośny generator zakrztusił się, po czym zaczął jednostajnie terkotać. Reflektory umieszczone na końcach długich wysięgników rozbłysły jaskrawym światłem. Do uszu Muldoona docierał szmer płynącej kilka metrów od niego rzeki. Kiedy odwrócił się w stronę ciężarówki, zobaczył, że jeden z robotników nadchodzi z potężną piłą spalinową.

– Nie trzeba, Carlos – powiedział. – Wystarczą same liny. Nie musimy go ciąć.

Ponownie spojrzał na ogrodzenie. Przez dłuższy czas nie mogli znaleźć uszkodzenia, gdyż spowodowało je małe drzewo akacjowe, które przechyliło się mocno, opierając o płot. Zasadzono ich sporo w tej części Parku, gdyż dzięki gęstym liściom znakomicie pełniły funkcję parawanu zasłaniającego ogrodzenie przed wzrokiem zwiedzających.

Ponieważ akurat to drzewo rosło w pobliżu stromego brzegu rzeki, było podtrzymywane stalowymi linkami przywiązanymi do wkopanych w ziemię pali. Jedna z linek pękła i spadła na ogrodzenie, powodując zwarcie. Naturalnie nic takiego nie powinno się zdarzyć, gdyż robotnicy mieli w pobliżu ogrodzenia zakładać wyłącznie linki okryte grubą izolacją oraz ceramiczne napinacze, ale jednak się zdarzyło.

Tak czy inaczej, nie zanosiło się na poważną robotę. Należało tylko ściągnąć drzewo z ogrodzenia, usunąć metalowe mocowania i oznaczyć wyraźnie, aby z samego rana ogrodnicy mogli je znaleźć i umocować na nowo, tym razem już jak należy. Powinno to zająć nie więcej niż dwadzieścia minut. I bardzo dobrze, ponieważ Muldoon wiedział, że dilofozaury zawsze trzymają się blisko wody. Mimo że robotnicy byli oddzieleni od rzeki metalowym płotem, rozdrażniony dilo mógłby opluć ich nawet z odległości kilku metrów.

Do myśliwego podszedł Ramon, jeden z robotników.

– *Señor* Muldoon, widział pan światła? – zapytał.

– Jakie światła?

Ramon wskazał na wschód.

– Zobaczyłem je, jak wysiadaliśmy z ciężarówki. Są bardzo słabe. Wyglądają jak reflektory samochodu. Widzi pan?

Muldoon wytężył wzrok. Prawdopodobnie Ramon zauważył jakieś oświetlone urządzenie techniczne.

– Później się tym zajmiemy – powiedział. – Na razie trzeba jak najprędzej ściągnąć drzewo z ogrodzenia.

* * *

Arnold był w wyśmienitym nastroju. Park funkcjonował już prawie normalnie. Muldoon naprawiał ogrodzenia, Hammond zaś pojechał z Hardingiem, aby

dopilnować przewożenia zwierząt na właściwe wybiegi. Choć bardzo zmęczony, główny inżynier czuł się znakomicie. Znalazł w sobie nawet tyle ochoty, żeby porozmawiać z Gennaro o jego niepokojach.

– A więc obawia się pan efektu Malcolma? – zapytał pobłażliwie.

– Jestem po prostu ciekaw, na czym to polega.

– Inaczej mówiąc: chce pan, żebym panu wyjaśnił, dlaczego Ian Malcolm nie ma racji?

– Właśnie.

Arnold zapalił kolejnego papierosa. – To sprawy techniczne.

– Mimo wszystko spróbuję.

– W porządku. Teoria chaosu opisuje systemy nieliniowe. Obecnie bardzo zyskała na popularności, w związku z czym stosuje się ją do badania dosłownie wszystkiego, od zachowania wolnego rynku poczynając, na biciu serca kończąc. To bardzo modna teoria. Do dobrego tonu należy zwłaszcza wykorzystywanie jej w złożonych systemach, gdzie należy liczyć się z wystąpieniem czynnika nieprzewidywalności. Czy na razie wszystko jasne?

Gennaro skinął głową.

– Ian Malcolm jako matematyk specjalizuje się właśnie w teorii chaosu. Jest niezmiernie sympatycznym oryginałem, ale oprócz tego, że ubiera się na czarno, tworzy komputerowe modele zachowań systemów o dużej skali złożoności. John Hammond uwielbia wszelkie naukowe nowinki, dlatego też zlecił Malcolmowi stworzenie komputerowego modelu Parku, co ten uczynił. Modele Malcolma wyglądają na ekranie monitora jak kształty umieszczone w przestrzeni fazowej. Widział je pan?

– Nie.

– Przypominają zniekształcone śruby okrętowe. Według Malcolma zachowanie każdego systemu przebiega po krzywiźnie tożsamej z powierzchnią takiej śruby. Nadąża pan?

– Nie za bardzo – przyznał prawnik.

Arnold wyciągnął przed siebie rękę.

– Powiedzmy, że na wierzch mojej dłoni spadnie kropla wody. Naturalnie spłynie ona na ziemię – może w kierunku przegubu, może kciuka, a może między palcami. Nie wiem, gdzie się skieruje, ale mogę być pewien, że będzie przemieszczać się po powierzchni dłoni, bo po prostu nie ma innej możliwości.

– Zgadza się.

– Teoria chaosu traktuje zachowanie całego systemu tak, jakby był on kroplą wody poruszającą się po skomplikowanej powierzchni zdeformowanej śruby. Kropla może od razu skierować się spiralnie w dół, ale może też popłynąć ku krawędzi lub zrobić jedną z dziesięciu innych rzeczy. To zależy. Wiadomo tylko tyle, że zawsze będzie poruszać się po powierzchni śruby.

– Rozumiem.

– Modele Malcolma zazwyczaj mają coś w rodzaju bruzdy, czy też głębokiego zagłębienia, gdzie kropla wody osiąga wielką prędkość. Z właściwą sobie

skromnością nazwał to przyśpieszenie efektem Malcolma. Cały system może nagle przestać istnieć. Jego zdaniem tak właśnie ma się stać z naszym parkiem, który jako całość był niestabilny już w momencie powstawania samego pomysłu.

– Co zrobiliście, kiedy dostarczył wam swój raport? – zapytał Gennaro.

– Nie zgadzaliśmy się z nim, więc po prostu go zignorowaliśmy.

– Czy to było rozsądne?

– Jak najbardziej – stwierdził stanowczo Arnold. – Przecież mamy do czynienia z żyjącym systemem. To życie, a nie komputerowe modele.

* * *

W ostrym świetle jupiterów zielona głowa hypsilofodonta zwisała bezwładnie poza skórzane pasy podtrzymujące grubą płachtę. Z uchylonego pyska wysuwał się język, a zamglone oczy wpatrywały się bezmyślnie w nicość.

– Ostrożnie! Ostrożnie! – zawołał Hammond, kiedy liny naprężyły się i dźwig zaczął podnosić uśpione zwierzę. Harding pośpiesznie położył głowę dinozaura na pasach, aby uniknąć ucisku tętnicy szyjnej, co z kolei mogło doprowadzić do poważniejszych zaburzeń krążenia. Dźwig powoli przeniósł zwierzę na czekającą obok półciężarówkę. Hypsilofodont był niedużym dinozaurem długości około dwóch metrów, ważącym niewiele ponad dwieście pięćdziesiąt kilogramów. Jego skóra miała kolor ciemnozielony, z rozrzuconymi po całym ciele brązowymi plamami. Oddychał bardzo powoli, ale chyba był w dobrej formie. Kilka minut temu Harding trafił go pociskiem ze środkiem usypiającym i wszystko wskazywało na to, że idealnie dobrał dawkę. W przypadku tych potężnych zwierząt istniało niebezpieczeństwo dwojakiego rodzaju: jeśli dało się za mało środka, dinozaur uciekał w głąb lasu i zasypiał na krótko gdzieś, gdzie nie można było go znaleźć, za duża zaś dawka powodowała fatalne w skutkach zatrzymanie akcji serca. Ten egzemplarz jednak po trafieniu zrobił parę kroków, postał jeszcze chwilę, a potem powoli osunął się na ziemię.

– Ostrożnie! Uważajcie! – wykrzykiwał bez przerwy Hammond.

– Panie Hammond, bardzo proszę... – upomniał go po raz kolejny Harding.

– Wiem, wiem, ale oni naprawdę powinni bardzo uważać.

– Przecież uważają – odparł weterynarz. Wspiął się na skrzynię półciężarówki, zaczekał, aż dźwig przeniesie tam dinozaura, po czym zapiął na kończynach zwierzęcia ochronną uprząż i wsunął mu na szyję specjalną obrożę, w której zainstalowano czujniki kontrolujące pracę serca. Następnie wyjął wielki elektroniczny termometr i wsunął końcówkę do odbytnicy dinozaura. Termometr niemal natychmiast pisnął, a weterynarz wyjął go i odczytał wskazanie: 35,6^{o}C.

– I co? – zapytał Hammond z niepokojem.

– Wszystko w porządku – odparł Harding. – Temperatura spadła tylko o sześć dziesiątych stopnia.

– To za dużo! – jęknął Hammond. – Stanowczo za dużo!

– Chyba nie chce pan, żeby obudził się i zeskoczył z samochodu! – warknął

Harding.

Przed przybyciem do Parku Harding był głównym weterynarzem zoo w San Diego, jednym z najlepszych na świecie specjalistów od opieki nad ptakami. Podróżował po całym świecie, doradzając dyrekcjom ogrodów zoologicznych w Europie, Indiach i Japonii, jak należy postępować z rzadkimi okazami ptaków. Nie przejawił szczególnego zainteresowania propozycją tego małego człowieczka, który zjawił się pewnego dnia i zaoferował mu posadę w swoim prywatnym zoo. Kiedy jednak dowiedział się, jakie ma być to zoo... Nie był w stanie oprzeć się pokusie. Harding miał zacięcie naukowe, a perspektywa napisania fundamentalnej pracy pod tytułem: *Podręcznik chorób wewnętrznych dinozaurów* okazała się niezwykle nęcąca. Pod koniec dwudziestego wieku weterynarze mieli do dyspozycji najnowsze zdobycze medycyny, a wiele ambulatoriów w czołowych ogrodach zoologicznych prawie niczym nie różniło się od najlepiej wyposażonych szpitali. Tylko podręczniki były stare, a w najlepszym razie nieznacznie uzupełniane. Wszystko zostało już opisane. Specjalista najwyższej klasy właściwie nie miał możliwości rozwinięcia skrzydeł; taką szansę mogło dać jedynie opracowanie zasad leczenia zupełnie nowej, nieznanej do tej pory grupy zwierząt.

Harding nigdy nie żałował podjętej decyzji. Obcując z tymi zwierzętami zdążył je dość dokładnie poznać, i dlatego nie miał najmniejszej ochoty wysłuchiwać uwag Hammonda.

Hypsilofodont parsknął i poruszył się gwałtownie. Wciąż jeszcze oddychał bardzo płytko, nie pojawił się też odruch powiekowy, ale wszystko wskazywało na to, że należy się pośpieszyć.

– Do wozów! – wykrzyknął Harding. – Wieziemy kolesia do domu.

* * *

– Naturalne systemy pod żadnym względem nie przypominają sztucznych, przede wszystkim dlatego, że nigdy nie znajdują się w stanie idealnej równowagi – ciągnął Arnold. – One już z samego założenia są niestabilne, nawet jeżeli na pierwszy rzut oka wydaje się, że jest inaczej. Wszystko w nich porusza się i zmienia, albo, ujmując rzecz nieco inaczej, bez przerwy balansuje na krawędzi katastrofy. Gennaro zmarszczył brwi.

– Wydaje mi się, że wiele rzeczy wcale się nie zmienia. Na przykład temperatura ciała, albo mnóstwo innych...

– Temperatura ciała zmienia się bez ustanku – przerwał mu Arnold. – Przede wszystkim w cyklu 24–godzinnym, kiedy minimum przypada na rano, a maksimum na popołudnie. Zależy też od nastroju, od stanu zdrowia, wysiłku, temperatury otoczenia, ilości i rodzaju pokarmu. Bez przerwy albo rośnie, albo maleje. W każdej chwili działają siły powodujące jej wzrost, które są neutralizowane przez inne, wpływające na jej obniżenie. Równie mało stabilne są wszystkie inne składowe systemów naturalnych.

– A więc chce pan powiedzieć, że...

– ...Ian Malcolm jest po prostu jeszcze jednym teoretykiem. Siedząc w gabinecie

wymyślił bardzo zgrabny matematyczny model, ale nawet nie przyszło mu na myśl, że to, co uznał za defekty, jest w rzeczywistości nieodzowną koniecznością. Proszę posłuchać: podczas pracy nad rakietami mieliśmy, do czynienia z czymś, co nazywa się „rozziewem rezonansowym". Oznaczało to tylko tyle, że jeśli podczas lotu pocisku pojawiły się choćby najmniejsze nieprawidłowości, to prędzej czy później rakieta musiała całkowicie wymknąć się spod kontroli. Nie było na to żadnej rady, bo taka jest charakterystyczna cecha wszystkich systemów mechanicznych. Maleńka skaza staje się z czasem coraz większa, aż wreszcie cały system trafia szlag. Jednak te same maleńkie skazy są nieodzowne dla istnienia systemów naturalnych, gdyż ich obecność świadczy o tym, że dany system jest zdrowy i reaguje na bodźce z otoczenia. Malcolm w ogóle nie wziął tego pod uwagę.

– Czy jest pan pewien? Odniosłem wrażenie, że doskonale wychwytuje różnicę między systemami naturalnymi a sztucznymi...

– Dowód ma pan właśnie przed sobą – przerwał mu Arnold, wskazując na ekrany monitorów. – Najdalej za godzinę Park będzie znowu funkcjonował tak, jakby nic się nigdy nie stało. Właściwie została nam do załatwienia już tylko sprawa telefonów. Z jakiegoś powodu nadal nie działają. Jednak poza tym już wkrótce wszystko będzie w porządku. I to nie jest teoria, proszę pana, tylko fakt.

* * *

Igła zagłębiła się w szyję i Harding wstrzyknął dinozaurowi dawkę medryny. Leżące na boku zwierzę zareagowało niemal natychmiast, prychając głośno i wierzgając silnymi tylnymi nogami.

– Cofnąć się! – rzucił weterynarz, podnosząc się szybko z klęczek i odskakując do tyłu. – Wszyscy cofnąć się!

Dinozaur stanął chwiejnie na nogach, potrząsnął jaszczurczą głową, popatrzył na otaczających go ludzi i zamrugał raptownie, oślepiony jaskrawym światłem reflektorów.

– Kapie mu ślina! – zauważył z niepokojem Hammond.

– Wkrótce przestanie – zapewnił go Harding.

Dinozaur zakasłał, po czym odszedł niezbyt pewnym krokiem, kierując się ku pogrążonej w ciemności ścianie lasu.

– Dlaczego nie skacze?

– Najdalej za godzinę odzyska pełnię sił – powiedział weterynarz. – Wtedy znowu zacznie skakać. Dobra, chłopcy, jedziemy po stegozaura!

* * *

Muldoon przyglądał się, jak robotnicy wbijają w ziemię ostatnie kołki, a w chwilę potem liny napięły się i przechylone drzewo zostało odciągnięte od ogrodzenia. Na metalowej siatce widać było czarne smugi – pozostałość po zwarciu, które tu nastąpiło. Popękało także sporo ceramicznych izolatorów. Należało je wymienić, ale najpierw Arnold musiał wyłączyć zasilanie płotów elektrycznych.

– Dyspozytornia, tu Muldoon. Możemy przystąpić do usuwania uszkodzeń.

– W porządku. Wyłączam wasz sektor.

Muldoon zerknął na zegarek. Gdzieś z daleka dobiegło przytłumione pohukiwanie. Przypominało odgłos, jaki wydają sowy, ale myśliwy wiedział, że to dilofozaury.

– Pośpieszcie się – powiedział do Ramona. – Chcę, żeby wkrótce wszystko znowu działało jak należy.

* * *

Minęła godzina. Donald Gennaro wpatrywał się w szklaną mapę rozjarzoną mnóstwem zapalających się i gasnących światełek.

– Co się dzieje?

– Staram się uruchomić telefony, żebyśmy mogli wezwać pomoc dla Malcolma – odparł Arnold ze swego stanowiska przy głównym pulpicie.

– Nie, chodzi mi o to miejsce.

Arnold spojrzał na mapę.

– Wygląda na to, że już prawie skończyli ze zwierzętami i naprawili uszkodzone w dwóch miejscach ogrodzenie. Mówiłem panu, że opanowaliśmy sytuację. Nie było żadnego okropnego efektu Malcolma. Zostało jeszcze tylko jedno uszkodzone miejsce...

– Arnold! – To był głos Muldoona.

– Tak?

– Widziałeś ten cholerny płot?

– Chwileczkę.

Na jednym z monitorów pojawiło się panoramiczne ujęcie rozległej łąki porośniętej falującą trawą. W oddali widać było dach jakiegoś niskiego betonowego budynku.

– To magazyn na wybiegu hadrozaurów – wyjaśnił Arnold. – Jeden z budynków, których używamy do przechowywania paszy i różnych urządzeń. Są porozrzucane po całym parku. – Obraz zaczął się przesuwać. – Teraz obracamy kamerę, żeby obejrzeć ogrodzenie...

Gennaro ujrzał wysoką, lśniącą w blasku reflektorów siatkę. Jeden segment został przewrócony i niemal wdeptany w ziemię. W pobliżu stał jeep Muldoona i uwijali się jego ludzie.

– A niech mnie! – mruknął Arnold. – Wygląda na to, że rex przedostał się na wybieg hadrozaurów.

– Będzie miał dzisiaj niezłą kolację – zauważył przez radio Muldoon.

– Musimy go stamtąd zabrać.

– W jaki sposób? – zapytał myśliwy. – Nie ma tu nic, co mogłoby podziałać na takiego bydlaka. Naprawię teraz ogrodzenie, ale aż do świtu nie mam najmniejszego zamiaru wchodzić na tamten teren.

– Hammond chyba nie będzie zachwycony.

– Pogadamy o tym, jak wrócę – zakończył rozmowę Muldoon.

* * *

– Ile hadrozaurów zabije tyranozaur? – zapytał Hammond, chodząc nerwowo po dyspozytorni.

– Prawdopodobnie tylko jednego – odparł Harding. – Są bardzo duże. Jedno zwierzę wystarczy rexowi na kilka dni.

– Trzeba go stamtąd wyciągnąć jeszcze dziś w nocy.

Muldoon pokręcił głową.

– Ja mogę tam wejść dopiero rano.

Hammond kołysał się na piętach, tak jak zawsze, kiedy coś go rozzłościło.

– Zapomina pan, że pracuje dla mnie?

– Nie, nie zapomniałem o tym, ale mówimy teraz o dorosłym tyranozaurze. W jaki sposób chce się pan do niego dobrać?

– Mamy przecież pociski ze środkiem usypiającym.

– Owszem, tyle tylko, że największe z nich zawierają dwadzieścia centymetrów sześciennych tego środka. To w zupełności wystarczy dla zwierzęcia ważącego dwieście lub dwieście pięćdziesiąt kilogramów, ale tyranozaur waży osiem ton. Nic by nie poczuł.

– Sprowadził pan trzy rodzaje ciężkiej broni...

– Zamówiłem trzy rodzaje ciężkiej broni, ale pan sprowadził tylko jeden, który zresztą zniknął. Nedry zabrał ze sobą wyrzutnię rakiet.

– To niewybaczalna głupota. Kto do tego dopuścił?

– Moja praca nie polega na pilnowaniu Nedry'ego.

– Czy chce mi pan powiedzieć, że nie ma żadnego sposobu, aby powstrzymać tego tyranozaura? – zapytał Hammond.

– Dokładnie to chcę powiedzieć.

– Przecież to śmieszne!

– Może pan to zawdzięczać wyłącznie sobie. Bał się pan, żeby ktoś broń Boże nie uszkodził któregoś z cennych zwierząt, więc teraz ma pan na jednym wybiegu tyranozaura i hadrozaury, i nie może na to nic poradzić.

Muldoon wyszedł z pokoju, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

– Zaraz, chwileczkę! – zawołał Hammond, biegnąc za nim.

Gennaro przez chwilę przysłuchiwał się dobiegającej z korytarza kłótni, po czym powiedział do Arnolda:

– Wygląda na to, że mimo wszystko nie odzyskał pan pełnej kontroli nad parkiem.

– Myli się pan – odparł główny inżynier, zapalając papierosa. – Sytuacja została opanowana. Za kilka godzin nadejdzie świt. Być może stracimy parę dinozaurów, zanim zagonimy rexa z powrotem do jego zagrody, ale poza tym wszystko znajduje się pod naszą kontrolą.

Świt

Granta obudziło donośne zgrzytanie, które w chwilę potem zamieniło się w mechaniczny klekot. Kiedy otworzył oczy, ujrzał belę siana jadącą w górę na taśmociągu W ślad za nią podążyły jeszcze dwie bele, po czym hałas ustał równie nagle, jak się pojawił, i w budynku ponownie zapadła cisza.

Grant ziewnął szeroko, przeciągnął się, skrzywił z bólu, a wreszcie usiadł.

Przez małe boczne okienka sączyło się łagodne żółte światło. Przespali całą noc! Spojrzał szybko na zegarek: piąta rano. Od chwili, kiedy statek dotrze do stałego lądu, dzieliło ich jeszcze sześć godzin.

Ostrożnie przekręcił się na plecy i aż jęknął głośno. Potwornie łupała go głowa, całe ciało miał tak obolałe, jakby wczoraj ktoś spuścił mu tęgie lanie. Zza załomu ściany dobiegło jakieś dziwne poskrzypywanie, a w chwilę potem rozległ się chichot Lex.

Paleontolog wstał powoli i rozejrzał się po budynku. W dziennym świetle okazało się, że jest to magazyn, w którym przechowywano paszę oraz jakieś sprzęty. Na umieszczonej w połowie wysokości ściany metalowej skrzynce dostrzegł napis: TRIC/MAG/04. A więc, tak jak przypuszczał, znajdowali się na wybiegu hadrozaurów. Otworzył skrzynkę i zobaczył telefon, ale po podniesieniu słuchawki usłyszał tylko jednostajny szum. Łączność nadal nie działała.

– Gryź porządnie – powiedziała Lex. – Nie bądź świnką, Ralph.

Grant minął narożnik i ujrzał dziewczynkę stojącą przy wejściu do budynku i podającą przez pręty pęczki siana jakiemuś zwierzęciu przypominającemu dużą różową świnię; to ono właśnie wydawało dziwne skrzypiące odgłosy, które zwróciły uwagę Granta. Był to mały triceratops. Nie miał jeszcze rogów, a tylko kostne zgrubienia na czaszce za dużymi oczami. Wpychał pysk między pręty, nie spuszczając spojrzenia z dziewczynki.

– No, tak już lepiej – powiedziała Lex. – Nie bój się, mamy tu mnóstwo siana. – Poklepała malca po głowie. – Ty lubisz siano, prawda, Ralph? – Odwróciła się, usłyszawszy kroki Granta. – To jest Ralph – poinformowała go. – Zaprzyjaźniliśmy się. Bardzo lubi siano.

Grant skrzywił się i złapał za bok.

– Marnie pan wygląda – zauważyła dziewczynka.

– Bo marnie się czuję.

– Tim też. Ma spuchnięty nos.

– A gdzie on jest?

– Sika – poinformowała go Lex. – Chce pan pomóc mi karmić Ralpha?

Mały triceratops spojrzał na uczonego, przeżuwając z zapałem siano, które sterczało mu z obu stron pyska i sypało się obficie na posadzkę.

– W ogóle nie potrafi zachować się przy stole – stwierdziła Lex. – I jest okropnie głodny.

Malec przełknął ostatni kęs, po czym oblizał się i otworzył pysk, czekając na więcej. Grant ujrzał zęby i wysoko sklepione górne podniebienie, jak u papugi.

– W porządku, jedną chwilkę – powiedziała dziewczynka, zbierając siano z betonowej posadzki. – Słowo daję, Ralph, zachowujesz się tak, jakby twoja marna nie dawała ci nic do jedzenia.

– Dlaczego nazywa się Ralph?

– Bo wygląda jak Ralph z mojej szkoły.

Grant podszedł bliżej i ostrożnie dotknął szyi zwierzęcia.

– Śmiało, może go pan pogłaskać – zachęciła go Lex. – On lubi, kiedy go głaszczą, prawda, Ralph?

Skóra triceratopsa była ciepła i sucha, a w dotyku przypominała piłkę futbolową. Ralph zaskrzeczał z zadowoleniem i zaczął zamaszyście wywijać ogonem.

– Jest bardzo łagodny. – Ralph spoglądał to na dziewczynkę, to na Granta, nie okazując żadnych oznak strachu. Paleontolog zauważył, że dinozaury nie reagują na widok ludzi w taki sposób jak większość dzikich zwierząt. – Może mogłabym na nim pojeździć?

– Lepiej nie.

– Założę się, że by mi pozwolił. Ale byłoby świetnie, pojeździć na dinozaurze!

Grant rozejrzał się po rozległym, odkrytym terenie. Z każdą chwilą stawało się coraz jaśniej. Powinienem wyjść na zewnątrz i zasygnalizować naszą obecność przed którymś z czujników, pomyślał. Ludzie z dyspozytorni będą potrzebowali co najmniej godziny, żeby ich stąd ściągnąć. Niepokoiło go trochę, że jeszcze nie uporali się z awarią telefonów...

Nagle rozległo się donośne basowe parsknięcie, przypominające odgłos, jaki mógłby wydać jakiś ogromny koń. Mały triceratops natychmiast się ożywił i chciał wyciągnąć głowę spomiędzy prętów, lecz zahaczył o nie kostnymi wyrostkami. Przestraszony, zaskrzeczał głośno. Parsknięcie rozległo się ponownie, tym razem znacznie bliżej.

Ralph zaparł się w ziemię wszystkimi czterema kończynami i szarpał się rozpaczliwie, usiłując uwolnić głowę z pułapki.

– Nie denerwuj się, Ralph – starała się go uspokoić dziewczynka.

– Wypchnijmy go – zarządził Grant, po czym, nie czekając na Lex, naparł całym ciężarem ciała na głowę Ralpha. Zwierzę szarpnęło się po raz kolejny, głowa wysunęła się spomiędzy prętów, a mały dinozaur stracił równowagę i przewrócił się na bok. W chwilę potem padł na niego wielki cień, przed wejściem zaś do budynku pojawiła się potężna noga, grubsza od pnia drzewa.

Ralph spojrzał w górę i zaskrzeczał donośnie, a duży triceratops pochylił głowę ozdobioną trzema rogami: dwa znajdowały się za oczami, trzeci zaś, nieco mniejszy, niemal na czubku nosa. Zwierzę spojrzało na Granta i Lex, zamrugało kilka razy, po czym skoncentrowało uwagę na Ralphie. Spomiędzy zrogowaciałych warg wysunął się wielki język i przejechał po grzbiecie malucha. Ralph zaskrzeczał z zadowoleniem, po czym zaczął ocierać się o nogę dorosłego osobnika.

– Czy to jego mamusia? – zapytała Lex.

– Na to wygląda.

– Czy ją też powinniśmy nakarmić?

Duży triceratops najwyraźniej zbierał się do odejścia, odpychając Ralpha pyskiem od metalowych prętów.

– Chyba nie.

Maluch wreszcie odwrócił się i ruszył za matką, która od czasu do czasu przystawała, pochylała głowę i poganiała dziecko, kierując je we właściwą stronę.

– Do widzenia, Ralph! – zawołała Lex, machając ręką.

* * *

Z pogrążonej w cieniu części budynku wyłonił się Tim.

– Wiecie co? – powiedział Grant. – Pójdę teraz na wzgórze i uruchomię któryś z czujników, żeby ktoś po nas przyjechał. Wy zaczekacie tutaj.

– Nie – odparła stanowczo Lex.

– Dlaczego? Przecież nic wam tu nie grozi.

– Nie zostaniemy sami. Prawda, Timmy?

– Prawda.

– Jak chcecie – mruknął z rezygnacją Grant.

Cała trójka przecisnęła się między prętami i wyszła na zewnątrz.

* * *

Wstawał świt.

Powietrze było ciepłe i wilgotne, a niebo fioletoworóżowe. Tuż nad ziemią snuła się biała mgła. W oddali duży i mały triceratops zmierzały w kierunku stada hadrozaurów – kaczodziobych dinozaurów objadających liście z drzew nad brzegiem laguny.

Niektóre hadrozaury stały po kolana w wodzie i piły, dotykając jej lustra płaskimi pyskami, od czasu do czasu podnosząc głowy i rozglądając się uważnie dokoła. Jedno z małych odważyło się także wejść do wody, ale natychmiast cofnęło się, piszcząc przeraźliwie, podczas gdy dorosłe osobniki przyglądały się temu wyrozumiale.

Dalej na południe widać było inne hadrozaury, które oskubywały z liści niskie krzewy. Od czasu do czasu unosiły głowy, aby dosięgnąć smakowitych gałązek. Jeszcze dalej, niemal na granicy widoczności, wysoko nad pióropuszem palm sterczała zwieńczona maleńką główką długa szyja gigantycznego apatozaura. Widok był tak sielankowy, że Grant przez chwilę nie mógł uwierzyć, że jemu i dzieciom może grozić jakiekolwiek niebezpieczeństwo.

– Ojejku! – krzyknęła Lex, schylając się gwałtownie. Dwie olbrzymie czerwone ważki o skrzydłach prawie dwumetrowej rozpiętości przemknęły im nad głowami. – Co to było?

– Ważki – wyjaśnił Grant. – W jurze żyło wiele ogromnych owadów.

– Czy one gryzą? – dopytywała się Lex.

– Nie sądzę.

Tim wyciągnął rękę i jeden z owadów przysiadł na niej na chwilę. Chłopiec wyraźnie czuł jego ciężar.

– Uważaj, bo cię ugryzie! – ostrzegła go Lex.

Jednak ważka tylko poruszyła kilka razy swoimi ogromnymi, przezroczystymi skrzydłami, a kiedy Tim podniósł rękę, zerwała się do lotu.

– Którędy idziemy? – zapytała Lex.

– Tędy.

Ruszyli na przełaj przez pole, by wkrótce dotrzeć do czarnej skrzynki umieszczonej na solidnym metalowym trójnogu. Grant zamachał dłonią przed obiektywem czujnika, ale nic się nie stało. Jeżeli telefony jeszcze nie działały, to możliwe, że nie uporano się także z awarią czujników.

– Spróbujemy z następnym – powiedział, wskazując przed siebie. W tej samej chwili gdzieś daleko rozległ się ryk wielkiego zwierzęcia.

* * *

– Do diabła! – zaklął Arnold. – Nie mogę tego znaleźć. Pociągnął łyk kawy, wpatrując się przekrwionymi oczami w ekran monitora. Nie tylko na tym jednym, ale także na wszystkich pozostałych monitorach widniały listingi programów. Arnold dosłownie padał z nóg, gdyż pracował nieprzerwanie od dwunastu godzin.

– To znaczy czego? – zapytał Wu, który właśnie wrócił z laboratorium.

– Tego, co Nedry zrobił telefonom. Nadal nie działają.

Wu podniósł słuchawkę i przez chwilę wsłuchiwał się w modulowany szum.

– To mi wygląda na modem.

– Ale nie jest, ponieważ zszedłem do piwnicy i wyłączyłem wszystkie, co do jednego – odparł główny inżynier. – To, co słyszysz, to po prostu biały szum modulowany w taki sposób, że przypomina transmisję danych przez modem.

– A więc wszystkie linie są zablokowane?

– Tak, i to na amen. Nedry umieścił w programie jakąś blokadę, której teraz nie mogę zlokalizować, ponieważ wcześniej wydałem polecenie kasujące część programu. Wygląda jednak na to, że komenda nakazująca zablokowanie telefonów została w pamięci.

Wu wzruszył ramionami.

– W takim razie wyłącz system i uruchom go na nowo, a będziesz miał czystą pamięć.

– Nigdy do tej pory tego nie robiłem i wolałbym nie robić – odparł Arnold. – Kto wie, czy zgłoszą mi się wszystkie funkcje systemu? Ani ty, ani ja nie jesteśmy specjalistami od komputerów, i nawet nie możemy skonsultować się z kimś, kto nim jest, bo nie działają te cholerne telefony!

– Jeżeli komenda siedzi w RAM–ie, to nie zobaczysz jej na listingu. Mógłbyś zrobić wydruk pamięci, ale to też niewiele by ci dało, bo nie wiesz, czego szukać. Moim zdaniem pozostaje ci tylko reset.

Do pokoju wpadł Gennaro.

– Wciąż nie mamy telefonów!

– Właśnie nad tym pracujemy.

– Pracujecie nad tym już od północy, a Malcolm czuje się coraz gorzej. Musi jak najszybciej trafić do szpitala.

– To oznacza, że istotnie nie mam wyjścia – stwierdził Arnold. – Tyle tylko, że nie wiem, czy nie pogorszę sytuacji.

– Posłuchajcie mnie – powiedział powoli i wyraźnie Gennaro. – W domku myśliwskim leży poważnie chory człowiek. Jeżeli wkrótce nie otrzyma pomocy lekarskiej, prawdopodobnie umrze. Żeby wezwać lekarza, musimy mieć telefon. Do tej pory zginęło już czterech ludzi, przestańcie więc gadać, wyłączcie to wszystko w cholerę, i uruchomcie telefony!

Arnold zawahał się.

– No więc? – nie ustępował Gennaro.

– No, właściwie... Tyle tylko, że układ zabezpieczający nie pozwoli na wyłączenie komputera, ponieważ...

– Więc wyłączcie ten przeklęty układ zabezpieczający! Czy pan naprawdę nie jest w stanie zrozumieć, że ten człowiek umrze, jeżeli szybko nie sprowadzimy pomocy?

– W porządku – powiedział Arnold. Wstał z fotela, podszedł do jednostki centralnej, zdjął fragment obudowy i odłączył przewody prowadzące do układu zabezpieczającego. – Macie to, czego chcieliście – dodał, i przerzucił główny wyłącznik.

Pokój pogrążył się w ciemności. Zgasły wszystkie monitory. Trzej mężczyźni przez jakiś czas stali w milczeniu.

– Jak długo musimy czekać? – zapytał wreszcie Gennaro.

– Trzydzieści sekund.

* * *

– O kurczę! – wykrzyknęła w pewnej chwili Lex.

– Co się stało? – zapytał Grant.

– Okropnie cuchnie. Jakby gnijące śmieci, albo coś w tym rodzaju. Grant zawahał się. Przez chwilę przyglądał się odległej krawędzi lasu, ale nie zauważył nic podejrzanego. Wiatr ustał, więc nie poruszały się nawet gałęzie drzew. Był spokojny, cichy poranek.

– Chyba coś ci się zdaje – powiedział.

– Właśnie, że...

Dziewczynka nie dokończyła, gdyż przerwało jej donośne trąbienie. Hałas dobiegał od strony stada hadrozaurów, które zostawili w sporej odległości za sobą. Zaczęło jedno zwierzę, a potem kolejno dołączały do niego pozostałe, aż wreszcie trąbiły wszystkie, rozglądając się nerwowo i formując ochronny pierścień wokół młodych.

One też to poczuły, pomyślał Grant.

Tyranozaur wypadł, rycząc, z kępy drzew rosnących mniej więcej pięćdziesiąt metrów od nich, bliżej brzegu laguny, i popędził przez łąkę wielkimi susami. Nie

zwrócił na ludzi najmniejszej uwagi, kierując się prosto ku stadu hadrozaurów.

– A nie mówiłam?! – wykrzyknęła Lex. – Nikt nigdy mnie nie słucha!

Hadrozaury rzuciły się do ucieczki. Grant poczuł, jak ziemia trzęsie mu się pod stopami.

– Dzieciaki, szybko!

Złapał Lex, podniósł ją jak piórko i z Timem u boku pognał przez wysoką trawę. Kątem oka dostrzegł jeszcze, jak tyranozaur dopadł stada hadrozaurów, które broniły się przed nim wymachując potężnymi ogonami. Rozległ się trzask łamanych drzew i krzewów, a kiedy Grant ponownie zerknął przez ramię, zobaczył stado ogromnych, ogarniętych paniką zwierząt, galopujące na oślep w ich kierunku.

* * *

W pogrążonej w ciemnościach dyspozytorni John Arnold spojrzał na zegarek. Minęło trzydzieści sekund. Pamięć powinna być już czysta. Przerzucił wyłącznik.

Nic.

Żołądek podszedł mu do gardła. Poruszył jeszcze kilka razy wyłącznikiem, ale bez rezultatu. Po jego czole zaczęły ściekać grube krople potu.

– Co się stało? – zaniepokoił się Gennaro.

– Niech to cholera!

Arnold dopiero teraz przypomniał sobie, że przed włączeniem zasilania koniecznie należy uruchomić system zabezpieczający. Zamocował kable, umieścił pokrywę na miejscu, po czym wstrzymał oddech i pstryknął wyłącznikiem.

W pokoju zapaliły się światła.

Komputer pisnął i powrócił do życia.

Zaszumiały wentylatory monitorów.

– Dzięki Bogu! – mruknął Arnold i zasiadł przed głównym monitorem, na którym pojawiło się początkowe menu.

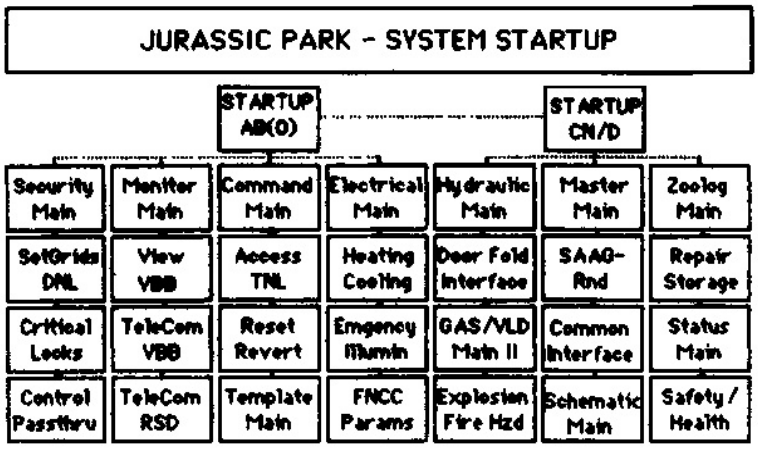

Gennaro podniósł słuchawkę, ale tym razem usłyszał jedynie głuchą ciszę. Żadnego szumu, po prostu nic.

– Co jest?

– Jedną chwileczkę – powiedział Arnold. – Po włączeniu systemu wszystkie

moduły muszą zostać uruchomione ręcznie. – Natychmiast przystąpił do dzieła.

– A dlaczego?

– Na litość boską, czy pozwoli mi pan spokojnie pracować?

– Komputer wie o tym, że powinien pracować non stop, więc kiedy jednak nastąpi jakaś przerwa, zakłada, że miała miejsce poważna awaria. Dlatego poszczególne części systemu muszą być uruchamiane ręcznie, żeby uniknąć powtórzenia awarii – wyjaśnił Wu. – Gdyby gdzieś wystąpiło zwarcie, a system wystartował automatycznie, natychmiast znowu by się wyłączył, potem włączył, znowu wyłączył, i tak w kółko, bez końca.

– W porządku – odezwał się Arnold znad klawiatury. – Ruszamy. Gennaro chwycił słuchawkę i zaczął wystukiwać numer, lecz nagle znieruchomiał, wpatrując się wybałuszonymi oczami w ekran jednego z monitorów.

– Jezu, spójrzcie na to! – wykrztusił.

Jednak Arnold nawet go nie usłyszał, gdyż przyglądał się mapie, na której zgromadzone przy brzegu laguny punkciki zaczęły szybko przemieszczać się w jednym kierunku.

– Co się dzieje? – zapytał Gennaro.

– Hadrozaury wpadły w panikę – powiedział głucho Arnold.

* * *

Hadrozaury biegły z zadziwiającą prędkością. Szły ławą, w powietrzu rozbrzmiewało ogłuszające trąbienie, młode skrzeczały przeraźliwie, starając się uniknąć stratowania przez dorosłych. Nad stadem unosił się gęsty obłok żółtego pyłu. Grant nigdzie nie mógł dostrzec tyranozaura.

Zwierzęta biegły prosto na nich.

Wciąż trzymając Lex pod pachą, ruszył z Timem w stronę skalistego pagórka, na którym wyrosło kilka dużych drzew. Pędzili co sił w nogach, czując, jak ziemia drży pod ich stopami. Zbliżające się stado czyniło co najmniej tyle hałasu co startujący odrzutowiec. Nieprawdopodobny zgiełk ogłuszał ich do bólu. Lex chyba coś krzyczała, lecz Grant nie mógł jej zrozumieć, a poza tym chciał jak najszybciej wspiąć się na niewysokie skałki.

Kiedy zerknął przez ramię, dostrzegł potężne, przypominające słupy, nogi biegnącego na przedzie hadrozaura, a potem ważące po pięć ton zwierzęta zaczęły przebiegać galopem po obu stronach wzniesienia, wzbijając w powietrze tumany kurzu, które wkrótce zmniejszyły widzialność do zera. Grant słyszał tylko łomot ciężkich stąpnięć, łoskot uderzających o siebie ciał oraz przeraźliwe trąbienie i ryki; w pewnej chwili jedno ze zwierząt zderzyło się z dużym głazem, który przetoczył się tuż obok trojga uciekinierów.

Przywarli do skał, ogłuszeni potwornym hałasem. Lex przytuliła się mocno do Granta, wbijając mu palce w ramię.

Inny hadrozaur rąbnął ogonem w ostre kamienie, opryskując ich fontanną gorącej krwi. Grant zaczekał, aż ogarnięte paniką zwierzęta przesuną się nieco w bok, po czym wraz z dziećmi zaczął wspinać się na najwyższe drzewo. Kiedy dotarli

na wysokość około sześciu metrów, Lex przywarła do Granta i powiedziała, że nie ruszy się ani odrobinę dalej. Tim także był bardzo zmęczony, a poza tym wydawało się, ze są tu bezpieczni. W dole, przez kłęby żółtego pyłu, widzieli szerokie grzbiety dinozaurów. Grant oparł się o chropawy pień drzewa, zamknął oczy i pokasłując od czasu do czasu czekał, aż skończy się to zamieszanie.

* * *

Kiedy stado przemierzyło sporą odległość, Arnold poprawił ostrość w kamerze. Pył powoli opadał. Według wskazań mapy hadrozaury rozproszyły się, a tyranozaur nie przemieszczał się, co oznaczało, że polowanie zakończyło się sukcesem. Drapieżnik był teraz w pobliżu laguny. Główny inżynier spojrzał na monitor, po czym powiedział:

– Niech Muldoon pojedzie tam, żeby oszacować rozmiary zniszczeń.

– Zawiadomię go – odparł Gennaro i wyszedł z pokoju.

Park

Granta obudził odgłos łamanych gałązek, a zaraz potem coś ciepłego i miękkiego dotknęło jego kostki. Otworzywszy oczy ujrzał tuż pod sobą ogromną szarą głowę z pyskiem przypominającym do złudzenia dziób kaczki. Oczy były wielkie i wilgotne, zupełnie jak u krowy. Dziobopodobny pysk przeżuwał liście z gałęzi, na której siedział paleontolog. Grant dostrzegł duże płaskie zęby, w chwilę potem miękkie wargi zwierzęcia ponownie musnęły jego nogę.

Kaczodzioby dinozaur. Uczony nie mógł się nadziwić, że może oglądać olbrzyma z tak bliska. Nie bał się, gdyż wszystkie hadrozaury były roślinożerne, ten zaś zachowywał się dokładnie tak samo jak krowa; mimo iż wielki, był jednocześnie tak łagodny, że Grant ani przez chwilę nie czuł zagrożenia. Trzymał się tylko mocno gałęzi, siedział nieruchomo i obserwował pasące się zwierzę. Grant miał emocjonalny stosunek do tego stworzenia, gdyż natychmiast rozpoznał w nim maiazaura. Szkielet identycznego egzemplarza odkopał kiedyś w Montanie, a następnie, wraz z Johnem Hornerem, jako pierwszy opisał ten gatunek. Maiazaury miały wywiniętą górną wargę, co sprawiało, że wyglądały tak, jakby się uśmiechały. Sama nazwa oznaczała „dobra matka jaszczur"; uważano, że maiazaury opiekują się złożonymi przez siebie jajami, a następne młodymi aż do chwili, kiedy te są w stanie same zatroszczyć się o siebie.

Paleontolog usłyszał natarczywe popiskiwanie i wielka głowa natychmiast schyliła się ku ziemi. Grant wychylił się ostrożnie i ujrzał drugie, bardzo młode zwierzę, plączące się między nogami dorosłego osobnika. Maluch był szary w czarne plamy. Matka przez dłuższą chwilę trzymała łeb nieruchomo tuż nad ziemią, czekając cierpliwie, aż młode wyskubie smakowite, miękkie gałązki sterczące z jej pyska. Kiedy malec zaspokoił apetyt, ogromna głowa ponownie znalazła się tuż obok Granta.

Podczas kiedy hadrozaur spokojnie pałaszował liście i gałęzie, Grant ze zdziwieniem obserwował jego wielkie nozdrza; choć znajdowały się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niego, zwierzę najwyraźniej nie było w stanie go zwęszyć. Z jakiegoś powodu nie mogło go także dostrzec, mimo że lewe oko spoglądało wprost na niego.

Przypomniawszy sobie, że podobnie miała się rzecz z tyranozaurem, uczony postanowił przeprowadzić eksperyment.

Zakasłał.

Hadrozaur natychmiast przestał żuć i zamarł w bezruchu. Poruszało się jedynie oko, poszukując źródła dźwięku. Zwierzę zaczęło jeść dopiero po dłuższej chwili, kiedy nabrało przekonania, że nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo.

Zdumiewające, pomyślał Grant.

Lex, która przez cały czas spała przytulona do jego piersi, nagle otworzyła oczy i wykrzyknęła:

– O rety, a co to takiego?

Przestraszony hadrozaur zatrąbił tak głośno, że niewiele brakowało, a dziewczynka spadłaby na ziemię. Wielkie zwierzę wycofało głowę spomiędzy liści i zatrąbiło raz jeszcze.

– Nie denerwuj go – odezwał się Tim, siedzący na wyższej gałęzi. Młode zapiszczało zniepokojem i czmychnęło między nogi matki, która odsunęła się na kilka kroków od drzewa, po czym przechyliła głowę i z namysłem zaczęła przyglądać się gałęzi, na której przycupnęli Grant i Lex. Ze swoim uśmiechniętym pyskiem hadrozaur sprawiał komiczne wrażenie.

– Czy on jest głupi? – zapytała dziewczynka.

– Nie – odparł Grant. – Po prostu czuje się niezbyt pewnie.

– Pozwoli nam zejść, czy będzie tak tutaj stał do końca świata?

Hadrozaur cofnął się jeszcze o kilka metrów i ponownie zatrąbił. Grant przypuszczał, że zwierzę chce przestraszyć potencjalnego przeciwnika, choć jest nieco zdezorientowane i nie za bardzo wie, co powinno zrobić. Hadrozaur wahał się mniej więcej minutę, po czym zbliżył się do drzewa i podniósł głowę, najwyraźniej mając zamiar wrócić do przerwanego posiłku.

– Nawet nie ma mowy! – oświadczyła stanowczo Lex. – Ja tutaj nie zostanę.

Zaczęła schodzić z drzewa. Hadrozaur ponownie cofnął się i zatrąbił głośno.

Grant był autentycznie zdumiony. On naprawdę nas nie widzi, jeśli nie wykonujemy najmniejszego ruchu, pomyślał. A zaraz potem zapomina o naszym istnieniu. Zachowuje się podobnie jak tyranozaur, co stanowi kolejny dowód na to, jak widzą gady i płazy. Badania nad żabami dowiodły, że dobrze widzą jedynie poruszające się obiekty, takie jak na przykład owady. Coś, co się nie porusza, jest dla nich trudno dostrzegalne. Wszystko wskazywało na to, że podobnie przedstawia się sprawa z dinozaurami.

Tak czy inaczej, maiazaur uznał, że lepiej nie zadzierać z dziwnymi nadrzewnymi istotami, zatrąbił głośno, delikatnie popchnął pyskiem swoje małe i oddalił się dostojnym krokiem. Zatrzymał się tylko raz, by obrzucić ich pożegnalnym spojrzeniem, po czym ruszył w dalszą drogę.

Zaraz potem cała trójka zeszła na ziemię. Lex otrzepała ubranie. Wszyscy byli potwornie zakurzeni. Trawa w okolicy została dokładnie zdeptana, a w powietrzu czuć było zapach krwi i jakaś dziwną, kwaśną woń.

Grant spojrzał na zegarek.

– Idziemy, dzieciaki.

– Beze mnie – oznajmiła Lex. – Nigdzie się stąd nie ruszę.

– Musimy.

– Dlaczego?

– Dlatego, że trzeba zawiadomić załogę statku. Ponieważ czujniki nie rejestrują naszej obecności, musimy sami dostać się do dyspozytorni. To jedyny sposób.

– A może popłyniemy tratwą? – zaproponował Tim.

– Jaką tratwą?

Chłopiec wyciągnął rękę w kierunku magazynu, w którym spędzili noc. Od

budynku dzieliło ich nie więcej niż dwadzieścia metrów.

– Widziałem tam tratwę – powiedział. Grant natychmiast zorientował się, jak wiele mogliby w ten sposób zyskać. Była już siódma rano, a oni mieli do pokonania co najmniej trzynaście kilometrów. Rzeką dotarliby do celu znacznie szybciej niż lądem.

– Spróbujmy – zadecydował.

* * *

Arnold włączył funkcję automatycznego przeszukiwania wizyjnego i obserwował ekrany monitorów, na których obrazy zmieniały się co dwie sekundy. Było to bardzo męczące i wymagało wielkiego napięcia uwagi, ale w ten sposób najszybciej mogli odnaleźć jeepa Nedry'ego, a to, według Muldoona, było w tej chwili najważniejsze. Myśliwy pojechał z Gennaro, żeby oszacować rozmiary zniszczeń spowodowanych przez stado ogarniętych paniką hadrozaurów, lecz na odchodnym uczulił Arnolda na ten problem.

Muldoon koniecznie chciał odzyskać ciężką broń.

Zaświergotał interkom.

– Panie Arnold, chciałbym zamienić z panem kilka słów – powiedział John Hammond głosem, który równie dobrze mógł należeć do Boga.

– Oczywiście, proszę pana. Przyjdzie pan do dyspozytorni?

– Nie – odparł Hammond. – To pan przyjdzie tutaj. Jestem w laboratorium genetycznym z doktorem Wu. Czekamy na pana.

Arnold westchnął ciężko i wstał z fotela.

* * *

Grant buszował w tylnej, pogrążonej ciągle w półmroku części budynku, przeciskając się między puszkami ze środkiem chwastobójczym, stertami opon do jeepa, zwojami drutu kolczastego, wielkimi foliowymi workami z nawozami, zapasowymi izolatorami, kablami, pustymi bańkami po oleju silnikowym i reflektorami.

– Nie widzę żadnej tratwy.

– Niech pan idzie dalej.

Worki z cementem, miedziane rury, brezentowe płachty... i dwa plastikowe wiosła wiszące na hakach wbitych w betonową ścianę.

– Wiosła są, ale co z tratwą?

– Na pewno musi gdzieś tam być – odparł Tim.

– A więc wcale jej nie znalazłeś?

– Nie, ale pomyślałem sobie, że skoro są wiosła, to gdzieś musi być tratwa.

Grant jednak nie mógł jej odszukać. Natrafił natomiast na gruby rulon map, wetkniętych do metalowej szafki na ścianie i lekko spleśniałych. Rozłożył mapy na podłodze, zgonił zabłąkanego pająka i przez dłuższą chwile przyglądał im się uważnie.

– Jestem głodna...

– Chwileczkę.

Były to niezwykle dokładne, topograficzne mapy środkowej części wyspy, w której właśnie się znajdowali. Według nich laguna w pewnym miejscu bardzo się zwężała, by wkrótce przejść w rzekę, ta z kolei płynęła na północ, przez ptaszarnię, omijając domek myśliwski w odległości niespełna kilometra.

Grant przerzucił kilka arkuszy. Jak dotrzeć do laguny? Według mapy w tylnej ścianie magazynu powinny znajdować się drugie drzwi. Uczony podniósł głowę i rzeczywiście zobaczył je, wpuszczone głęboko w betonową ścianę. One także miały taką szerokość, że mógł przez nie przejechać samochód. Otworzywszy drzwi ujrzał wyłożoną betonowymi płytami drogę prowadzącą prosto ku lagunie. Droga biegła w płytkim wykopie, dzięki czemu z większej odległości była zupełnie niewidoczna. Łączyła magazyn z krótkim umocnionym nabrzeżem, na którym stał słupek z tabliczką opatrzoną wyraźnym napisem: PRZYSTAŃ DLA TRATEW.

– Proszę na to spojrzeć – powiedział Tim, podając Grantowi metalową skrzynkę.

W środku znajdował się pistolet na sprężone powietrze oraz płócienny pas z sześcioma nabojami. Miały kształt strzałek do rzucania i były grubości małego palca. MORO–709, głosiły umieszczone na nich napisy.

– Dobra robota, Tim. – Grant zapiął pas na biodrach i wetknął pistolet do kieszeni spodni.

– Czy to są pociski usypiające?

– Tak mi się wydaje.

– A co z tratwą?

– Myślę, że stoi przy nabrzeżu. – Ruszyli drogą prowadzącą do laguny. Grant niósł na ramieniu oba wiosła.

– Mam nadzieję, że będzie duża, bo ja nie potrafię pływać – powiedziała Lex.

– Nie ma się czego obawiać – zapewnił ją.

– Może uda nam się złapać parę ryb?

Wykop, którym biegła droga, stawał się coraz głębszy. W pewnej chwili usłyszeli donośne posapywanie, ale Grant nie był w stanie stwierdzić, skąd ono dochodzi.

– Jest pan pewien, że tam będzie jakaś tratwa? – zapytała Lex, marszcząc nos.

– Mam nadzieję.

Rytmiczne posapywanie stawało się coraz bardziej głośne, a towarzyszyło mu coś w rodzaju donośnego bzyczenia. Kiedy dotarli do końca drogi i wyszli na niewielkie betonowe nabrzeże, stanęli jak wryci, nie wierząc własnym oczom.

Tyranozaur był niemal dokładnie przed nimi. Siedział w cieniu drzewa z wyciągniętymi przed siebie tylnymi łapami. Miał otwarte oczy, ale nie poruszał się; jedynie wielka głowa wznosiła się i opadała w rytmie chrapliwego oddechu. Źródłem jednostajnego bzyczenia okazał się gęsty rój much otaczający drapieżnika oraz leżącego tuż obok niego mocno nadjedzonego hadrozaura.

Od tyranozaura dzieliło ich nie więcej niż dwadzieścia metrów. Grant był pewien, że zwierzę musiało zobaczyć troje ludzi, ale na razie nie zareagowało na ten widok. Nadal siedziało bez ruchu, posapując głośno. Dopiero po chwili zrozumiał, że

dinozaur po prostu zasnął.

Dał znak dzieciom, żeby zostały na miejscu, a sam ruszył na palcach w kierunku krawędzi nabrzeża. Tyranozaur w dalszym ciągu pochrapywał rytmicznie.

Niemal nad samą wodą stała pomalowana na zielono drewniana szopa. Grant najciszej jak mógł otworzył drzwi i wślizgnął się do środka. Najpierw zobaczył kilka pomarańczowych kamizelek ratunkowych wiszących na ścianie, parę zwojów drutu kolczastego i liny, a na samym końcu dwa wielkie sześciany spięte mocno gumowymi pasami.

Tratwy pneumatyczne.

Obejrzał się za siebie i napotkał spojrzenie Lex.

– Nie ma łodzi? – zapytała dziewczynka, tylko poruszając ustami.

– Jest – odparł w taki sam sposób.

Tyranozaur machnął przednią łapą, aby odgonić natarczywe muchy włażące mu do pyska, po czym znowu znieruchomiał. Grant wyciągnął na zewnątrz jeden z sześcianów, który okazał się zaskakująco ciężki, rozpiął gumowe pasy i wyszarpnął zawleczkę z cylindra zawierającego sprężone powietrze. Tratwa zaczęła szybko pęcznieć z donośnym sykiem, a potem podskoczyła gwałtownie i, już całkowicie napełniona, opadła na betonową nawierzchnię. Grant odniósł wrażenie, że hałas, jaki temu towarzyszył, rozsadzi mu bębenki w uszach.

Odwrócił się i spojrzał na dinozaura.

Olbrzym chrząknął, parsknął i poruszył się niespokojnie. Grant napiął już mięśnie, by rzucić się do ucieczki, ale tyranozaur tylko umościł się wygodniej, po czym głośno beknął.

Lex skrzywiła się z odrazą i zaczęła wachlować się ręką.

Grant czuł, jak po grzbiecie spływają mu strużki potu. Przeciągnął tratwę na krawędź nabrzeża, po czym rzucił ją na wodę. Wylądowała z donośnym pluskiem.

Dinozaur nadal spał, głośno pochrapując.

Grant uwiązał ponton, przyniósł z szopy dwie kamizelki ratunkowe, a następnie dał dzieciom znak ręką, żeby przybiegły do niego.

Blada jak ściana Lex pokręciła przecząco głową.

Grant zamachał gwałtowniej, nakazując im, żeby się pośpieszyli.

Tyranozaur wciąż był pogrążony we śnie.

Paleontolog pogroził dziewczynce palcem i to wreszcie poskutkowało; Lex pokonała na palcach dzielącą ich odległość i weszła do tratwy. To samo uczynił Tim, po czym oboje założyli kamizelki. Grant najciszej jak mógł zszedł do pontonu, odepchnął go od brzegu, umocował wiosła w dulkach i delikatnie zanurzył je w wodzie.

Lex rozsiadła się wygodnie, westchnęła z ulgą, po czym natychmiast wyprostowała się z wybałuszonymi z przerażenia oczami i przycisnęła dłoń do ust, starając się stłumić kaszel.

Zawsze łapał ją w najmniej odpowiedniej chwili.

– Lex! – syknął Tim, zerkając przez ramię na brzeg. Dziewczynka potrząsnęła rozpaczliwie głową i wskazała na gardło.

Wiedział, co to oznacza: okropne, nie dające spokoju łaskotanie. Potrzebowała łyka wody. Ponieważ Grant był zajęty wiosłowaniem, Tim wychylił się za burtę, nabrał w złożone dłonie wody i podał ją siostrze.

Lex zaniosła się kaszlem. Timowi wydawało się, że jest on równie głośny jak eksplozje armatnich pocisków.

Tyranozaur ziewnął szeroko i podrapał się tylną łapą jak pies. Zaraz potem znowu ziewnął. Po obfitym posiłku był bardzo ociężały i rozleniwiony.

Lex nadal krztusiła się, wydając przytłumione, chrapliwe odgłosy.

– Zamknij się! – syknął Tim.

– Kiedy nie mogę! – szepnęła, i ponownie zaniosła się kaszlem. Grant wiosłował najprędzej jak mógł, kierując tratwę ku środkowi laguny.

Tyranozaur podniósł się na nogi.

– To nie moja wina, Timmy! – pisnęła dziewczynka. – To naprawdę nie moja wina!

– Ciii!

Grant wiosłował jak szalony.

– Poza tym to i tak nie ma znaczenia – dodała Lex. – Jesteśmy już daleko, a on przecież nie umie pływać.

– Oczywiście, że umie, ty idiotko! – wrzasnął chłopiec. Jakby na potwierdzenie jego słów, tyranozaur wszedł do wody i ruszył za oddalającą się tratwą.

– Skąd mogłam wiedzieć...

– Wszyscy wiedzą, że tyranozaury potrafią pływać! Możesz o tym przeczytać w każdej książce! Wszystkie gady pływają.

– Ale nie węże.

– Węże też, ty kretynko!

– Uspokójcie się i złapcie się czegoś – nakazał Grant, obserwując zbliżającego się dinozaura. Woda sięgała zwierzęciu do piersi, z czego wynikało, że drapieżnik nie płynie, tylko idzie po dnie. W chwilę potem zanurzył się znacznie głębiej, tak że nad powierzchnię wystawały jedynie oczy i nozdrza, przez co tyranozaur upodobnił się do krokodyla. Płynął też jak krokodyl, rytmicznie poruszając ogonem w lewo i w prawo. Woda bulgotała i burzyła się tak, jakby była młócona okrętową śrubą.

Tak, dokładnie jak krokodyl, przemknęła Graniowi przez głowę niewesoła myśl. Największy krokodyl świata.

– Przepraszam, doktorze Grant! – załkała Lex. – Ja naprawdę nie chciałam!

Paleontolog obejrzał się przez ramię. Laguna miała w tym miejscu szerokość około stu metrów, oni zaś już prawie dotarli do jej środka. Gdyby dalej płynęli w tym samym kierunku, głębokość wody zaczęłaby się zmniejszać, a to pozwoliłoby dinozaurowi poruszać się jeszcze szybciej.

Niewiele myśląc, Grant skręcił na północ.

– Co pan robi?!

Tyranozaur był już tylko kilka metrów za nimi. Grant słyszał coraz głośniejsze parskanie zwierzęcia. Spojrzał na wiosła, zastanawiając się, czy nie uda mu się wykorzystać ich jako broni, ale były wykonane z lekkiego plastiku, więc raczej nie

miałby z nich większego pożytku.

Tyranozaur nagle wystawił głowę z wody, otworzył szeroko paszczę, prezentując przerażający garnitur ostrych zębów, po czym rzucił się naprzód, mijając rufę dosłownie o centymetry, i zniknął pod wodą. Ponton przez chwilę kołysał się jak szalony, ale wkrótce fale rozeszły się i powierzchnia laguny ponownie stała się gładka jak lustro.

– Czy on utonął? – zapytała Lex, rozglądając się dokoła z dłońmi zaciśniętymi na lince biegnącej wokół tratwy.

– Wątpię – odparł Grant. W następnej chwili dostrzegł wydobywające się z głębiny bańki, na wodzie pojawiła się niewielka zmarszczka, pędząca im na spotkanie...

– Trzymajcie się! – krzyknął. Zaraz potem głowa dinozaura uderzyła w dno tratwy. Uderzenie było tak silne, że ponton podskoczył na kilkadziesiąt centymetrów w górę, po czym spadł z donośnym pluskiem na wodę.

– Niech pan coś zrobi! – zawodziła Lex. – Proszę pana, niech pan coś zrobi!

Grant wyciągnął z kieszeni pistolet. Broń wydawała się żałośnie mała, ale gdyby udało mu się trafić w jakieś czułe miejsce, na przykład w nos albo oko...

Tyranozaur z przeraźliwym rykiem wyłonił się z wody tuż obok tratwy, Grant niewiele myśląc wycelował i nacisnął spust. Pocisk trafił drapieżnika w policzek. Zwierzę tylko potrząsnęło głową i ryknęło ponownie.

Niespodziewanie od strony lądu odpowiedział mu inny ryk.

Grant obejrzał się przez ramię i ujrzał młodego t–rexa stojącego nad zabitym hadrozaurem. Drapieżnik nachylił się, oderwał potężny kawał mięsa, po czym podniósł głowę i zaryczał jeszcze raz, oznajmiając wszem i wobec, że obejmuje zdobycz w posiadanie. Reakcja dorosłego osobnika była natychmiastowa: błyskawicznie zawrócił i popłynął szybko w stronę brzegu, aby bronić łupu.

– Ucieka! – pisnęła Lex, klaszcząc w dłonie. – Ucieka, ucieka! Ha, ha, ha, głupi dinozaur!

Młody tyranozaur ryknął ponownie, ale tym razem znacznie mniej pewnie. W chwilę potem duży osobnik wyłonił się z wody i pognał najszybciej jak potrafił w kierunku intruza. Młody t–rex nie czekał na ciąg dalszy, oderwał jeszcze jeden kawał mięsa i rzucił się do ucieczki.

Wielki rex nie zatrzymał się przy odzyskanej zdobyczy, tylko kontynuował pogoń. Niebawem dinozaury zniknęły za wzniesieniem terenu, skąd od czasu do czasu dobiegały ich ryki, a tratwa skręciła na północ, ku rzece.

Wyczerpany wiosłowaniem Grant osunął się bez sił na dno i leżał tam, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami.

– Nic panu nie jest, doktorze? – zapytała Lex.

– Czy możesz mi obiecać, że od tej pory będziesz bez dyskusji robiła wszystko, co ci każę?

– Dobrze, dobrze... – mruknęła takim tonem, jakby właśnie usłyszała największą niedorzeczność w życiu, po czym przez jakiś czas siedziała z nadętą miną, przewiesiwszy rękę za burtę i zanurzywszy ją w wodzie. – Przestał pan wiosłować –

zwróciła mu uwagę po kilku minutach.

– Bo jestem zmęczony.

– W takim razie dlaczego wciąż płyniemy?

Grant wyprostował się. Dziewczynka miała rację: ponton dryfował na północ.

– Widocznie trafiliśmy na jakiś prąd.

Znosiło ich na północ, w kierunku hotelu. Spojrzawszy na zegarek Grant stwierdził ze zdumieniem, że jest dopiero piętnaście po siódmej. Minął zaledwie kwadrans, choć jemu wydawało się, że co najmniej dwie godziny. Ułożył się wygodnie na dnie, oparł głowę o burtę, zamknął oczy i zasnął.

PIĄTA ITERACJA

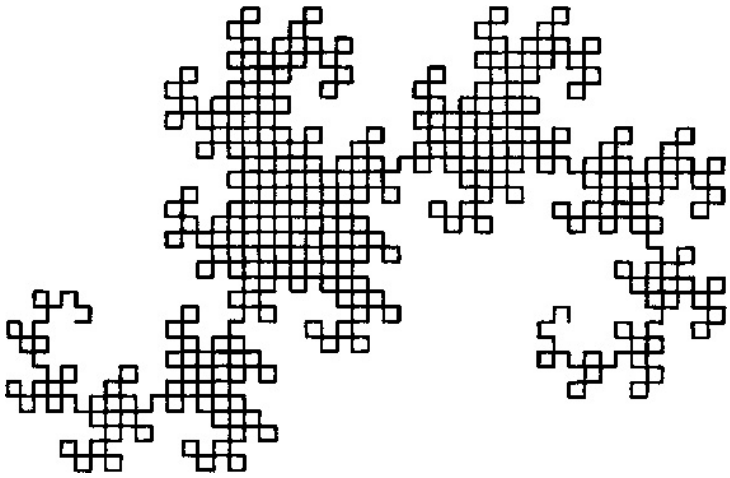

Wady systemu stają się coraz bardziej widoczne.

IAN MALCOLM

Poszukiwania

Gennaro siedział w jeepie, wsłuchując się w bzyczenie much i patrząc na pióropusze palm. Zrobiło się już tak gorąco, że powietrze falowało nad rozgrzaną ziemią, zamazując kontury odległych przedmiotów. Dokoła rozciągało się pole bitwy; w promieniu stu metrów trawa została wdeptana w ziemię, jedna z palm była wyrwana z korzeniami, wszędzie zaś rzucały się w oczy wyraźne ślady krwi, szczególnie na skalistym wzgórku po prawej strome.

– Nie ma najmniejszej wątpliwości – stwierdził Muldoon. – Rex dobrał się do hadrozaurów. – Pociągnął kolejny łyk whisky, po czym zakręcił butelkę. – Cholerne muchy – dodał. Siedzieli w milczeniu.

Wreszcie Gennaro zabębnił palcami w tablicę przyrządów i zapytał:

– Na co właściwie czekamy? Muldoon nie odpowiedział od razu.

– Gdzieś tam jest tyranozaur – mruknął, mrużąc oczy w porannym słońcu. – A my nie mamy żadnej porządnej broni.

– Ale mamy jeepa.

– Dogoniłby nas z łatwością, panie Gennaro – odparł myśliwy, potrząsając głową. – Jeżeli opuścimy drogę i pojedziemy na przełaj, to z napędem na cztery koła damy radę wyciągnąć pięćdziesiąt, najwyżej sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Dla niego to żaden problem. – Muldoon westchnął głośno. – Ale na razie nie widzę, żeby cokolwiek się poruszało. Jak tam, jest pan gotów na odrobinę niebezpieczeństwa?

– Jasne.

Muldoon uruchomił silnik i wrzucił bieg. Spłoszone warkotem dwie małe otnielie czmychnęły z kępy nie zdeptanej trawy. Myśliwy najpierw okrążył stratowany teren, a potem zaczął zataczać samochodem coraz ciaśniejsze kręgi, by wreszcie zatrzymać się w miejscu, w którym przed chwilą były otnielie. Kiedy wysiadł z jeepa i zbliżył się do kępy trawy, otoczył go rój wściekle bzyczących much.

– Co jest? – zapytał Gennaro.

– Proszę przynieść radio – powiedział Muldoon.

Gennaro złapał krótkofalówkę, wyskoczył z samochodu i podbiegł do myśliwego. Już z daleka poczuł ohydny, słodko–kwaśny odór rozkładającego się ciała. Podszedłszy bliżej ujrzał rozciągnięty w trawie ciemny, pokryty krwią kształt.

– Młody hadrozaur – poinformował go Muldoon, wpatrując się w zwłoki zwierzęcia. – Kiedy stado ogarnęła panika, ten malec odłączył się od dorosłych i padł ofiarą tyranozaura.

– Skąd pan wie, że zabił go rex?

– Odchody. Widzi pan te małe białe bobki? To odchody hadrozaurów. Są białe w wyniku działania kwasu moczowego. Te duże, brązowe – wskazał na pokaźną stertę, sięgającą niemal kolan – zostawił tyranozaur.

– A czy nie mógł przyjść później i znaleźć martwego hadrozaura?

– Nie, bo wtedy inaczej wyglądałby układ śladów po ugryzieniach – odparł

Muldoon. – Te małe, na brzuchu, zostawiły otnielie. Jak pan widzi, nie wystąpiło krwawienie, ponieważ hadrozaur był już martwy. Otnielie to padlinożercy. Malec zginął w wyniku tego ukąszenia w kark. – Rzeczywiście, na karku zwierzęcia widniała wielka, krwawa rana. – Nie ma wątpliwości, że to dzieło tyranozaura.

Gennaro nachylił się nad martwym dinozaurem, przyglądając się z niedowierzaniem nieruchomym, rozrzuconym bezwładnie kończynom. Muldoon włączył krótkofalówkę.

– Dyspozytornia?

– Tak, jestem – zgłosił się natychmiast John Arnold.

– Znaleźliśmy martwego hadrozaura. – Sprawdził numer wytatuowany na prawej tylnej nodze zwierzęcia. – Egzemplarz HD/09.

– Ja też coś znalazłem – odparł główny inżynier.

– Tak? A co to jest?

– Nedry.

* * *

Jeep przedarł się przez pas drzew rosnących wzdłuż głównej trasy i dotarł do nieco węższej drogi dla obsługi technicznej, prowadzącej w kierunku rzeki. W tej części parku było gorąco i parno. Muldoon przyhamował na chwilę i połączył się z komputerem. Na ekranie monitora pojawiła się dokładna mapa poszatkowana gęstą siecią linii.

– Zauważyli go na automatycznym podglądzie – powiedział. – Sektor 1104 jest tuż przed nami.

Kilka sekund później Gennaro ujrzał betonową barierę i stojącego obok niej jeepa.

– Widocznie skręcił w niewłaściwą stronę – mruknął myśliwy. – Sukinsyn.

– Zabrał coś? – zapytał Gennaro.

– Wu nie mógł doliczyć się piętnastu embrionów. Wie pan, ile to jest warte?

Prawnik pokręcił głową.

– Od dwóch do dziesięciu milionów. – Muldoon cmoknął z uznaniem. – Drań grał o dużą stawkę.

Kiedy zbliżyli się do bariery, Gennaro ujrzał ciało leżące na poboczu drogi. Wokół zwłok zgromadziły się jakieś zielonkawe cienie, które jednak uciekły natychmiast, jak tylko jeep zatrzymał się z szurgotem opon.

– Oho! – mruknął myśliwy. – Znalazły go procompy. Około dziesięciu procompsognatów, małych drapieżników wielkości kurczaków, zatrzymało się na krawędzi lasu, wydając podekscytowane odgłosy.

Dennis Nedry leżał na plecach. Jego tłusta, chłopięca twarz była teraz czerwona i opuchnięta. Wokół otwartych ust uwijały się muchy. Ciało znajdowało się w okropnym stanie: niemal wszystkie wnętrzności zostały wywleczone na ziemię, a jedna noga była prawie zupełnie odgryziona. Gennaro pośpiesznie odwrócił się i skoncentrował uwagę na procompsognatach, które przycupnęły w niezbyt dużej odległości i przypatrywały się ludziom ze zdziwieniem. Zauważył, że małe dinozaury

mają pięciopalczaste przednie łapy. Ocierały sobie nimi twarze i brody, co bardzo upodabniało je do ludzi, gdyż...

– Niech mnie licho! – wykrzyknął Muldoon. – Jego nie zabiły procompy.

– Słucham?

Myśliwy potrząsnął głową.

– Widzi pan te plamy na jego twarzy i koszuli? Czuje pan słodkawy zapach, coś jakby starych wymiocin?

Gennaro skrzywił się z obrzydzeniem. Nie sposób było tego nie poczuć.

– To ślina dilofozaura – wyjaśnił Muldoon. – Dostała mu się też do oczu, bo ma je czerwone jak królik. W takim przypadku trzeba w ciągu dwóch godzin zrobić płukanie oczu antytoksyną. Na wszelki wypadek mamy w bazie spory zapas. Co prawda jemu i tak by to nie pomogło, bo został najpierw oślepiony, a potem rozpruty jak szmaciana lalka. Paskudna śmierć. Chyba jednak na tym świecie istnieje jakaś sprawiedliwość.

Muldoon otworzył tylne drzwi jeepa i wyjął z samochodu Nedry'ego długi, szary cylinder i metalową skrzynkę. Obserwujące go procompy podskakiwały nerwowo, szczebiocząc z ożywieniem.

– Wygląda na to, że nic nie zginęło – powiedział, wręczając prawnikowi dwa pociski.

– Co to jest?

– Dokładnie to, na co wygląda. Rakiety. Proszę uważać – dodał, kiedy Gennaro cofnął się o krok. – Może pan wdepnąć w coś niemiłego.

Gennaro ostrożnie ominął ciało programisty, a Muldoon zaniósł broń do swojego jeepa i ułożył ją na tylnym siedzeniu. Zaraz potem wskoczył za kierownicę.

– Jedziemy.

– A co z nim? – zapytał Gennaro, wskazując na zwłoki.

– A co ma być? Teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Zakręcił kierownicą i skierował samochód w stronę, z której niedawno przybyli. Kiedy Gennaro obejrzał się, zobaczył, że procompsognaty wróciły już do przerwanej uczty. Jeden z nich wskoczył Nedry'emu na twarz i zaczął obgryzać mu nos.

* * *

Rzeka stawała się coraz węższa, aż wreszcie korony drzew rosnących na obu jej brzegach zaczęły stykać się ze sobą, tworząc sklepienie zatrzymujące większość promieni słońca. Od czasu do czasu odezwał się jakiś ptak, a Tim kilka razy dostrzegł przemykające wśród gałęzi małe, świergoczące dinozaury, ale najczęściej płynęli w ciszy, oddychając ciężko w nieruchomym, gorącym powietrzu pod parasolem liści.

Grant spojrzał na zegarek: minęła ósma.

Sunęli spokojnie przed siebie, chyba nawet odrobinę szybciej niż do tej pory. Grant leżał na plecach i patrzył na przesuwające się w górze gałęzie. W pewnej chwili jego uwagę zwróciło jakieś poruszenie na rufie; to Lex wyprostowała się i wyciągnęła rękę w górę.

– Hej, co robisz?

– Myśli pan, że można to jeść? – zapytała dziewczynka, wskazując kiście soczystych owoców. Zwieszały się tak nisko, że wystarczyło sięgnąć po nie ręką.

– Nie.

– Dlaczego? Przecież te małe dinozaury jedzą je bez przerwy.

– Nie, Lex.

Westchnęła, rozczarowana jego kategorycznym tonem.

– Szkoda, że nie ma z nami tatusia. On zawsze wie, co robić.

– Co ty wygadujesz? – zdziwił się Tim. – On właśnie nigdy nie wie, co robić!

– Właśnie, że wie. – Przez chwilę Lex przyglądała się poskręcanym korzeniom drzew, spomiędzy których woda wymyła ziemię. – Mówisz tak tylko dlatego, że nie ciebie lubi najbardziej.

Chłopiec odwrócił się bez słowa.

– Ale nie martw się, ciebie też trochę lubi. Mimo że masz świra na punkcie komputerów, a nie sportu.

Uczony skinął głową, obserwując jasnożółte dinozaury, wysokości może pół metra, przeskakujące zwinnie z drzewa na drzewo. Miały dzioby przypominające nieco dzioby papug.

– Wiesz, jak się nazywają? – zapytał Tim siostrę.

Dziewczynka wydęła pogardliwie wargi.

– Wielka sprawa!

– Myślałem, że może cię to zainteresować.

– Tylko bardzo mali chłopcy interesują się dinozaurami.

– Kto tak powiedział?

– Tatuś.

Tim otworzył już usta, żeby odpowiedzieć, ale Grant uniósł ostrzegawczo rękę.

– Cicho bądźcie, dzieciaki!

– A niby dlaczego? – zapytała buntowniczo Lex. – Mogę robić, co mi się podoba, bo...

Jednak urwała w pół zdania, ponieważ tym razem ona także usłyszała mrożący krew w żyłach krzyk, który rozległ się gdzieś w dole rzeki.

* * *

– Dobra, ale gdzie jest ten cholerny rex? – powiedział Muldoon do mikrofonu. – Tutaj nigdzie go nie widać.

Wrócili na wybieg hadrozaurów, do miejsca, gdzie stado ogarniętych paniką zwierząt pozostawiło po sobie jedynie zdeptaną ziemię. Tyranozaur zniknął bez śladu.

– Właśnie go szukam – odparł przez radio Arnold i przerwał połączenie.

Muldoon odwrócił się do Gennaro.

– „Właśnie go szukam”! – powtórzył z przekąsem. – A dlaczego nie zrobił tego wcześniej? Przede wszystkim, dlaczego przez cały czas nie miał go na oku?

– Nie wiem – odparł prawnik.

Mniej więcej po minucie krótkofalówka ponownie ożyła.

– Nie ma go – oznajmił Arnold.

– Jak to nie ma?

– Nie widzę go na żadnym monitorze, a czujniki też są bezradne.

– Do diabła! – zaklął Muldoon. – Nie na wiele się przydały. A co z Grantem i dziećmi?

– Ich także nie możemy zlokalizować.

– Więc co mamy twoim zdaniem robić?

– Czekać – odparł główny inżynier.

* * *

– Patrzcie! Patrzcie!

Zza zakrętu rzeki wyłoniła się ogromna kopuła ptaszarni. Do tej pory Grant widział ją jedynie z oddali, teraz jednak uświadomił sobie, że naprawdę jest gigantyczna. Jej średnica wynosiła z pewnością co najmniej pięćset metrów. Kłaczki rzadkiej mgły czepiały się stalowych dźwigarów tworzących konstrukcję. W pierwszej chwili Grant pomyślał, że każda ze szklanych tafli musi ważyć co najmniej tonę, ale wkrótce przekonał się, że nie ma żadnego szkła; przestrzeń między stalowymi belkami była pusta.

– Jeszcze nie skończyli – domyśliła się Lex.

– A mnie się wydaje, że to ma być właśnie tak, jak jest – powiedział Grant.

– Przecież wszystkie ptaki wylecą na zewnątrz!

– Na pewno nie, jeżeli to będą naprawdę duże ptaki.

Niesieni przez rzekę, niedługo znaleźli się we wnętrzu monumentalnej konstrukcji. Zadarli głowy, ale budowla była tak wysoka, że w rzadkiej mgle nie mogli dostrzec jej sklepienia.

– O ile sobie przypominam, gdzieś w pobliżu powinien być drugi domek myśliwski – powiedział Grant. Jak na zawołanie, między drzewami pojawił się dach budynku.

– Chce się pan tutaj zatrzymać? – zapytał Tim.

– Tak. Może znajdziemy jakiś działający telefon, albo chociaż czujnik. – Grant skierował tratwę do brzegu. – Musimy skontaktować się z dyspozytornią. Robi się późno.

Ślizgając się w błocie wspięli się na brzeg, a Grant wyciągnął ponton z wody. Następnie przywiązali go do drzewa i ruszyli w drogę, przedzierając się przez gęstą tropikalną dżunglę.

Ptaszarnia

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział John Arnold do telefonu. – Nigdzie nie mogę znaleźć ani rexa, ani Granta i dzieciaków.

Siedział przed głównym pulpitem, a przed nim stał kolejny kubek kawy. Dokoła walały się plastikowe talerze i nie dojedzone kanapki. Arnold dosłownie leciał z nóg. Była ósma rano w sobotę; w ciągu czternastu godzin, jakie minęły od chwili, kiedy Nedry zablokował komputer kierujący działaniem systemu Parku, Arnold zdołał krok po kroku uruchomić je wszystkie.

– Wszystko działa jak należy, nawet telefony. Wezwałem już lekarza do pana.

Malcolm, unieruchomiony na łóżku w swoim pokoju, zakasłał słabo.

– Ale ma pan kłopoty z czujnikami?

– Tak. Nie mogę znaleźć tego, czego szukam.

– Na przykład rexa?

– Zniknął bez śladu. Dwadzieścia minut temu ruszył na północ wzdłuż brzegu laguny, a potem straciłem go z oczu. Nie mam pojęcia, dlaczego – no, chyba że znowu położył się spać...

– Nie ma też Granta i dzieci?

– Nie.

– Cóż, sprawa jest bardzo prosta – powiedział Malcolm. – Po prostu czujniki obejmują swoim zasięgiem niewystarczający obszar.

– Niewystarczający? Przecież to dziewięćdziesiąt dwa...

– Tak, pamiętam. Dziewięćdziesiąt dwa procent powierzchni lądowej Parku – przerwał mu Malcolm. – Jednak jeżeli spojrzałby pan na mapę, przekonałby się pan, że pozostałe osiem procent stanowi topograficzną całość. W gruncie rzeczy każde zwierzę przebywające na terenie parku może pozostać nie wykryte przez czujniki, pod warunkiem że będzie poruszać się w obrębie dróg dla zaopatrzenia technicznego, rzeki i plaż.

– Na szczęście zwierzęta są zbyt głupie, żeby się tego domyślić.

– Na pańskim miejscu nie byłbym tego taki pewien.

– Czy przypuszcza pan, że tak właśnie postąpił doktor Grant? – zapytał Arnold.

– Na pewno nie. Grant nie jest idiotą. Najbardziej zależy mu na tym, żebyście ich jak najprędzej zauważyli, więc pewnie i on, i dzieciaki podskakują przed każdym czujnikiem, jaki tylko uda im się znaleźć, ale być może mają jakieś kłopoty, o których nic nie wiemy... Albo idą wzdłuż rzeki.

– Nie bardzo potrafię to sobie wyobrazić. Brzegi są tak urwiste, że prawie nie sposób się tamtędy poruszać.

– Czy rzeka doprowadziłaby ich z powrotem do bazy?

– Owszem, ale to nie jest najbezpieczniejsza droga, ponieważ przecina ptaszarnię.

– Dlaczego ptaszarnia nie została włączona do zwiedzania? – zapytał Malcolm.

– Napotkaliśmy tam małe problemy. W pierwotnych planach Parku znajdował się domek myśliwski zbudowany nad wierzchołkami drzew, z którego turyści mogliby oglądać latające pterodaktyle. Mamy je już cztery... Właściwie to są cearadaktyle, odżywiające się wyłącznie rybami.

– I co?

– Wpuściliśmy je do ptaszarni, żeby się zaaklimatyzowały, jeszcze zanim zakończyliśmy prace przy wznoszeniu domku. Okazało się, że popełniliśmy poważny błąd. Nasze cearadaktyle mają silnie wykształcone poczucie przynależności terytorialnej.

– Co to znaczy?

– Walczą między sobą o teren i atakują każde stworzenie, które wejdzie na obszar, który zaanektowały.

– Atakują?

– To niesamowity widok. Wzbijają się pod samą kopułę, składają skrzydła i spadają w dół jak pociski. Zwierzę o wadze piętnastu kilogramów potrafi narobić masę szkód. Kilku robotników doznało bardzo poważnych obrażeń.

– A same daktyle?

– Nic im nie jest.

– A więc, jeżeli dzieci są w ptaszarni...

– Na pewno ich tam nie ma – przerwał mu Arnold. – W każdym razie mam taką nadzieję.

* * *

– To ma być domek myśliwski? – zapytała Lex, wydymając pogardliwie wargi. – Ale rudera!

Budowla, wzniesiona na wysokich słupach w zagajniku ogromnych paproci, była jeszcze nie ukończona. Okna zabito deskami, a zarówno na nie pomalowanych ścianach, tarasie, jak i na okolicznych drzewach znajdowało się mnóstwo białych smug.

– Wygląda na to, że z jakiegoś powodu przerwano budowę – powiedział Grant, starając się nie okazać rozczarowania, po czym zerknął na zegarek. – Wracamy na tratwę.

Pojawiło się słońce, co bardzo poprawiło nastroje. Grant obserwował regularne cienie rzucane przez konstrukcję ptaszarni i spostrzegł, że ziemia oraz pnie drzew w wielu miejscach pokryte są tą samą białą substancją, którą zauważył niedawno na ścianach nie dokończonego budynku. W powietrzu czuć było nieprzyjemny, kwaśny zapach.

– Strasznie tutaj śmierdzi – stwierdziła Lex. – A tak w ogóle, to co to za białe paskudztwo?

– Wygląda na odchody pterodaktyli.

– Dlaczego nie dokończyli budowy domku?

– Nie mam pojęcia.

Weszli na łąkę porośniętą niską trawą, z której tu i ówdzie wychylały się

kolorowe kwiaty. Nagle usłyszeli przeciągły, donośny gwizd, a w chwilę potem drugi, taki sam, dobiegający z większej odległości.

– Co to?

– Nie wiem.

Sekundę lub dwie później na trawiastej łące pojawił się ogromny, poruszający się szybko cień. Kiedy Grant uniósł głowę, zobaczył wielki, czarny kształt szybujący nad nimi z szeroko rozłożonymi skrzydłami.

– O rety! – wykrzyknęła Lex. – Czy to pterodaktyl?

– Tak – odparł Tim.

Grant milczał, oczarowany dostojnym wdziękiem latającego stworzenia. Wysoko w górze pterodaktyl znowu zagwizdał, po czym zakręcił majestatycznie, kierując się ponownie w ich stronę.

– Ciekawe, dlaczego nie włączyli ich do programu zwiedzania? – powiedział Tim.

Grant także się nad tym zastanawiał. Były przecież takie piękne... Wkrótce na niebie pojawił się drugi, potem trzeci, a wreszcie czwarty pterodaktyl.

– Może dlatego, że nie zdążyli dokończyć domku? – zastanawiała się głośno Lex.

Grant doszedł do wniosku, że to nie są zwykłe pterodaktyle, lecz cearadaktyle, ogromne latające gady żyjące we wczesnej kredzie. Szybując wysoko w powietrzu, przypominały małe samoloty. Miały skrzydła o rozpiętości czterech i pół metra, porośnięte sierścią tułowie i krokodyle głowy. Z tego, co pamiętał, odżywiały się rybami, a ich skamieniałe szczątki znajdowano w Ameryce Południowej i Meksyku.

Lex spojrzała w górę, osłaniając oczy ręką.

– Czy mogą zrobić nam krzywdę?

– Nie wydaje mi się. Ich pokarm stanowią ryby.

Jeden z gadów zataczając szerokie kręgi obniżył lot i przemknął tuż nad ich głowami, tak że poczuli uderzenie fali ciepłego powietrza i intensywny, kwaśny odór.

– Ojejku! – wykrzyknęła Lex. – Ale wielki! Naprawdę myśli pan, że nic nam nie zrobią?

– Jestem tego pewien.

Drugi pterodaktyl poszedł w ślady pierwszego, ale spadał ze znacznie większą prędkością. Nadleciał od tyłu, z szeroko otwartą paszczą. Przypominał ogromnego nietoperza. Paleontologa najbardziej zdumiała delikatność budowy tych stworzeń: błony lotne były tak cienkie, że niemal przezroczyste, a kości, na których były rozpięte, sprawiały wrażenie niezmiernie kruchych i podatnych na uszkodzenia.

– Hej! – pisnęła dziewczynka i złapała się za głowę. – Ugryzł mnie!

– Co takiego?

– Ugryzł mnie! Ugryzł!

Pokazała mu palce zbroczone krwią. Dwa kolejne pterodaktyle stuliły skrzydła i z przeraźliwym wrzaskiem runęły ku ziemi.

– Szybko! – wykrzyknął Grant, po czym chwycił dzieci za ręce i pobiegł z nimi przez łąkę, słysząc narastające skrzeczenie cearadaktyli i gwizd rozcinanego powietrza. W ostatniej chwili rzucił się na ziemię, pociągając dzieci za sobą, i

latające gady przemknęły tuż nad nimi. Jeden z nich rozszarpał pazurami koszulę na grzbiecie uczonego.

W następnym ułamku sekundy znowu poderwali się do ucieczki, ale zdążyli przebiec tylko kilka metrów, gdyż zaatakowały ich dwa kolejne gady. Ponownie przywarli do ziemi.

– A fuj! – parsknęła Lex z obrzydzeniem. Całe ubranie miała powalane białymi odchodami.

– Biegniemy! – wykrzyknął Grant, zrywając się na nogi, lecz w tej samej chwili usłyszał przeraźliwy krzyk dziewczynki. Odwróciwszy się zobaczył, że jeden z pterodaktyli złapał ją pazurami za ramię. Półprzeźroczyste, skórzaste skrzydła gada trzepotały jak szalone. Pterodaktyl próbował wzbić się do lotu, ale ciężar okazał się zbyt duży, więc tylko z furią atakował twarz dziewczynki, próbując dobrać się do niej ostrymi zębami.

Lex wrzeszczała co sił w płucach, machając rozpaczliwie rękami. Grant zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała: rozpędził się i rzucił całym ciałem na skrzydlatego gada, powalając go na ziemię, po czym przygniótł sobą porośnięte sierścią ciało. Pterodaktyl zaskrzeczał donośnie i starał się go ugryźć, młócąc powietrze ogromnymi skrzydłami, ale paleontolog trzymał głowę z dala od uzbrojonej w zęby paszczy. Czuł się tak, jakby przebywał w namiocie podczas burzy piaskowej: nic nie widział i nic nie słyszał oprócz łoskotu wielkich skórzastych skrzydeł. Ostre pazury raz po raz orały mu pierś, a Lex ani na chwilę nie przestała krzyczeć. Grant odskoczył od napastnika, który czynił rozpaczliwe próby, aby odwrócić się na brzuch. Wreszcie udało mu się to, ale, ku zdumieniu uczonego, wcale nie stanął na łapach, lecz na podkulonych, zwiniętych skrzydłach.

A więc Lederer miał rację! Pterodaktyle używały skrzydeł także do chodzenia po ziemi! Jednak Grant nie miał czasu, żeby zastanawiać się nad tym faktem, gdyż kolejne latające gady ruszyły do ataku, a on nie mógł nic zrobić, oszołomiony i wyczerpany niedawną walką. Z przerażeniem obserwował, jak Lex biegnie na oślep przed siebie, zasłaniając głowę rękami. Tim krzyknął coś z całej siły...

Dziewczynka odwróciła się raptownie i rzuciła czymś w nadlatującego pterodaktyla, który wydał przeciągły gwizd i natychmiast wzbił się w górę. Pozostałe dwa gady puściły się za nim w pogoń, a po chwili dołączył również trzeci, któremu po krótkim rozbiegu udało się niezgrabnie wzbić w powietrze. Grant zmrużył oślepione blaskiem słońca oczy, patrząc na rozgrywającą się w górze potyczkę.

Na łące został tylko on i dwoje dzieci.

– Co się stało? – zapytał uczony.

– Zabrały mi rękawicę – poinformowała go z goryczą Lex. – To była pamiątka.

Nie zwlekając ruszyli w dalszą drogę. Po pewnym czasie Tim objął siostrę i zapytał:

– Nic ci nie jest?

Odtrąciła jego ramię.

– Oczywiście, że nie, głupolu. – Popatrzyła groźnie w górę. – Mam nadzieję, że udławi się nią i zdechnie.

– Ja też – powiedział Tim.

Wkrótce dotarli do tratwy. Grant spojrzał na zegarek: było wpół do dziewiątej. Pozostało im już tylko dwie i pół godziny.

* * *

Kiedy wypłynęli poza kopułę ptaszarni, Lex wydała triumfalny okrzyk. Zaraz potem rzeka znowu zwęziła się tak bardzo, że korony drzew stykały się nad nią. W niektórych miejscach szerokość koryta nie przekraczała trzech metrów; miała bardzo bystry nurt. Lex próbowała chwytać przesuwające się w górze i po bokach gałęzie.

Grant usiadł wygodnie, wsłuchując się w bulgotanie wody za rozgrzaną gumową burtą pontonu. Płynęli teraz w znacznie szybszym tempie, dzięki czemu ich spocone twarze chłodził ożywczy powiew. Oznaczało to, że powinni dotrzeć do bazy o czasie.

Paleontolog nie był w stanie stwierdzić, jaką odległość przebyli już od magazynu, w którym spędzili minioną noc, ale musiało to być co najmniej sześć lub siedem kilometrów, a może nawet więcej. Wynikało z tego, że kiedy rozstaną się z rzeką, od hotelu będzie dzieliła ich zaledwie godzina drogi. Jednak po przygodzie, jaka spotkała ich w ptaszarni, Grant nie miał zamiaru zbyt prędko porzucać tratwy.

– Ciekawe, jak się miewa Ralph – powiedziała Lex. – Pewnie nie żyje, albo coś w tym rodzaju.

– Na pewno jest zdrów i cały.

– Ciekawe, czy pozwoliłby mi pojeździć na sobie... – mruknęła sennie. – Ale byłoby fajnie!

– Pamięta pan, co wczoraj wieczorem mówił pan przy tym chorym stegozaurze? – zapytał Tim.

– Tak.

– Dlaczego zapytał ich pan o DNA żab?

– Chodzi o rozmnażanie – odparł Grant. – Nie są w stanie wyjaśnić, dlaczego dinozaury się rozmnażają, mimo że były napromieniowywane, a w dodatku wszystkie są samicami.

– Właśnie, dlaczego?

– Cóż, sterylizacja promieniami X nigdy nie była stuprocentowo skuteczna, natomiast trochę inaczej przedstawia się sprawa z płcią dinozaurów. W jaki sposób mogą się rozmnażać, skoro wszystkie są jednej płci?

– No właśnie?

– W świecie zwierząt mamy do czynienia z ogromną różnorodnością sposobów reprodukcji.

– Oho, Tim, wreszcie coś dla ciebie – wtrąciła się Lex, lecz została zignorowana.

– Wiele zwierząt rozmnaża się w ogóle bez tego, co nazywamy aktem płciowym – ciągnął uczony. – Samiec wytwarza spermatofory zawierające nasienie, które następnie znajdują samice. Po to, żeby zaszedł ów proces, różnice w budowie płci nie muszą być tak wielkie, jak na przykład ma to miejsce u ludzi.

Tim skinął głową.

– Ale dlaczego akurat żaby?

Nagle w koronach drzew rozległy się przerażone piski, mikroceratopsy rozpierzchły się we wszystkie strony, trzasnęły łamane gałęzie i z gęstwiny po lewej stronie rzeki wyłoniła się ogromna głowa tyranozaura. Lex wrzasnęła ze strachu, a Grant chwycił wiosła i skierował tratwę ku przeciwległemu brzegowi, ale w tym miejscu rzeka miała zaledwie trzy metry szerokości. Na szczęście tyranozaur ugrzązł w gęstej roślinności; przez chwilę szarpał się bezskutecznie, po czym ryknął przeraźliwie i cofnął głowę.

Poprzez zasłonę liści widzieli ogromną, czarną sylwetkę drapieżnika podążającego na północ równolegle do tratwy. Tyranozaur najwyraźniej poszukiwał przerwy między drzewami, by swobodnie dostać się do rzeki. Wszystkie mikroceratopsy uciekły na drugi brzeg, gdzie wszczęły niesamowity harmider, wrzeszcząc jak szalone. Grant, Lex i Tim mogli tylko przyglądać się bezsilnie, jak tyranozaur wyprzedza ich i ponownie próbuje przedrzeć się przez gęsty szpaler drzew, łamiąc gałęzie i trzęsąc z wściekłością potężnymi pniami.

Jednak tym razem także mu się nie udało, więc szybko zrezygnował i ruszył dalej w dół rzeki.

– Nienawidzę go! – pisnęła Lex.

Grant długo nie mógł dojść do siebie. Gdyby tyranozaur przedarł się przez parawan z drzew, byłoby już po nich. Rzeka na tym odcinku była niewiele szersza od pneumatycznej tratwy. Płynęli w soczyście zielonym tunelu, a od czasu do czasu gumowe dno szorowało o piaszczyste łachy. Na szczęście prąd był tak silny, że ani razu nie osiedli na mieliźnie.

Zerknął na zegarek; prawie dziewiąta. Ponton płynął szybko w dół rzeki.

– Posłuchajcie! – zawołała Lex.

Do ich uszu dotarło najpierw parskanie, a potem bardzo głośne pohukiwanie. Hałas dobiegał z przodu, zza zakrętu rzeki. Po chwili pohukiwanie rozległo się ponownie.

– Co to może być? – zapytała dziewczynka.

– Nie mam pojęcia – przyznał Grant – ale wygląda na to, że odbywa się tam jakieś zgromadzenie.

Skierował ponton do brzegu i złapał zwieszającą się nad wodą gałąź, aby zatrzymać tratwę. Parskanie powtórzyło się, a po nim znowu pohukiwanie.

– Zupełnie jak stado sów – zauważył Tim.

* * *

– Czy nie powinienem znowu dostać morfiny? – jęknął Malcolm.

– Jeszcze nie – odparła Ellie.

Matematyk westchnął z rezygnacją.

– Jak dużo mamy tu wody?

– Nie wiem. W kranie jest ile pan zechce, wystarczy tylko odkręcić...

– Chodzi mi o zapasy. Są jakieś?

W odpowiedzi Ellie wzruszyła ramionami.

– W takim razie proszę przejść się po piętrze i napełnić wszystkie wanny.

Ellie zmarszczyła brwi.

– Potem proszę poszukać krótkofalówek, latarek, zapałek, kuchenek spirytusowych i innych takich rzeczy.

– Rozejrzę się. Spodziewa się pan trzęsienia ziemi?

– Czegoś w tym rodzaju. Efekt Malcolma pociąga za sobą katastroficzne następstwa.

– Ale Arnold twierdzi, że wszystko działa jak należy...

– To właśnie najbardziej mnie niepokoi – odparł Malcolm.

– Chyba nie ma pan o nim najlepszego zdania?

– Jest w porządku. To inżynier, tak samo jak Wu. Obaj w gruncie rzeczy znają się tylko na technice, więc nie mają inteligencji, tylko coś, co ja nazywam „cienteligencją". Dostrzegają tylko aktualną sytuację i myślą jednokierunkowo, choć nazywają to „specjalizacją". Nie widzą niczego, co dzieje się dokoła, i nie potrafią przewidywać konsekwencji swoich działań. Właśnie dzięki „cienteligentnemu" myśleniu powstają wyspy takie jak ta. Przecież nie można stworzyć żywego zwierzęcia i liczyć na to, że nie będzie zachowywało się właśnie jak żywe zwierzę, to znaczy w sposób niemożliwy do przewidzenia, i że nie będzie starało się uciec. Niestety, oni tego nie rozumieją.

– A czy nie uważa pan, że po prostu taka jest natura człowieka? – zapytała Ellie.

– Mój Boże, skądże znowu! – zaprotestował gwałtownie Malcolm. – Równie dobrze mogłaby pani powiedzieć, że jajecznica na bekonie jest naturą człowieka. Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Odpowiedzialne jest wyłącznie wychowanie w zachodniej kulturze – większa część świata na myśl o jajecznicy dostaje mdłości. – Skrzywił się z bólu. – Zdaje się, że po morfinie zaczynam filozofować.

– Podać panu wody?

– Nie, dziękuję. Powiem pani, na czym polega problem z inżynierami i naukowcami. Naukowcy lubią powtarzać wierutne bzdury o tym, jak dążą do poszukiwania prawdy o naturze. Zgadza się, ale wcale nie to jest dla nich główną motywacją. Takie abstrakcje jak „poszukiwanie prawdy" w ogóle nie mogą stanowić żadnej motywacji.

Uczonym chodzi przede wszystkim o osiągnięcia. Bez przerwy zadają sobie pytanie, czy mogą zrobić to lub owo, ale nigdy nie przyjdzie im do głowy, żeby się zastanowić, czy powinni to robić. Najwygodniej jest uznać takie rozważania za bezproduktywne i powiedzieć, że jeśli ja czegoś nie zrobię, na pewno uczyni to ktoś inny. Oni uważają, że nie można uniknąć kolejnych odkryć, więc każdy z nich stara się być pierwszy. Na tym polega cała gra. Nawet najczystsze odkrycie stanowi brutalny akt agresji, gdyż oprzyrządowanie, jakie jest niezbędne do prowadzenia badań, zmienia otaczający nas świat. Akceleratory niszczą krajobraz, produkując radioaktywne odpady. Astronauci zostawiają śmieci na Księżycu. Zawsze można znaleźć jakiś dowód świadczący o tym, że byli tu uczeni, którzy dokonywali swoich wynalazków. Każde odkrycie jest gwałtem na naturze. Absolutnie każde.

Uczonym wcale to nie przeszkadza. Oni muszą wtykać wszędzie swoje

instrumenty, muszą zostawiać po sobie ślady. Nie potrafią tylko obserwować. Nie są w stanie podziwiać. Nie mogą wpasować się w naturalny porządek rzeczy, gdyż bezustannie pragną dokonać czegoś, co zburzy ów porządek. Na tym polega ich praca, a teraz doczekaliśmy się całych społeczeństw, które próbują stosować tę metodę.

Malcolm opadł na łóżko, wyczerpany długą przemową.

– Nie wiem, czy nie przecenia pan... – zaczęła Ellie, lecz matematyk nie pozwolił jej dokończyć.

– Jak wyglądają po roku miejsca, w których prowadziliście prace wykopaliskowe?

– Nie najlepiej – przyznała.

– Nie sadzicie tam żadnych roślin, nie staracie się naprawić szkód, jakie wyrządziliście?

– Nie.

– Dlaczego? Wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że nie ma pieniędzy...

– Pieniądze są na to, żeby kopać, ale nie na to, żeby zasypywać doły?

– Zazwyczaj pracujemy na nieużytkach, które...

Malcolm potrząsnął głową.

– Zawsze to samo. To przecież tylko nieużytki. Tylko efekty uboczne. Tylko odpadki... Staram się pani uzmysłowić, że uczeni chcą, by wszystko odbywało się właśnie w taki sposób. Chcą odpadków, efektów ubocznych, blizn i zniszczeń, bo w ten sposób znajdują uzasadnienie swojego działania. Takie podejście tkwi głęboko w samej istocie nauki, powodując coraz większe zagrożenia.

– Jak można to rozwiązać?

– Pozbyć się „cienteligentów". Pozbawić ich władzy.

– Ale wtedy stracimy wszystkie korzyści...

– Jakie korzyści? – przerwał jej Malcolm ze zniecierpliwieniem. – Pomimo niezliczonych udogodnień liczba godzin poświęcanych przez kobiety na pracę w domu nie zmieniła się od lat trzydziestych naszego stulecia. Proszę tylko pomyśleć: te wszystkie odkurzacze, zmywarki, pralki, suszarki, środki czyszczące... Dlaczego posprzątanie domu zajmuje nadal tyle samo czasu, co w roku 1930?

Ellie nie odpowiedziała.

– Dlatego, że w rzeczywistości nie dokonał się żaden postęp. Trzydzieści tysięcy lat temu, kiedy ludzie wykonywali malowidła na ścianach jaskiń w Lascaux, musieli pracować dwadzieścia godzin tygodniowo, żeby zapewnić sobie pożywienie, ubranie i schronienie. Cały pozostały czas mogli spędzić śpiąc, bawiąc się, albo robiąc cokolwiek, na co tylko mieli ochotę. W dodatku żyli w nie skażonym świecie, oddychali czystym powietrzem, pili czystą wodę, oglądali wspaniałe drzewa i piękne zachody słońca. Proszę tylko pomyśleć: dwadzieścia godzin tygodniowo. Trzydzieści tysięcy lat temu.

– Chciałby pan odwrócić bieg czasu? – zapytała Ellie.

– Nie – odparł matematyk. – Chciałbym, żeby ludzie wreszcie się obudzili. Mamy

za sobą czterysta lat nowoczesnej nauki i powinniśmy już się zorientować, ile jest warta. Najwyższa pora na zmiany.

– Zanim zniszczymy naszą planetę?

Matematyk ponownie westchnął i zamknął oczy.

– Mój Boże... – mruknął. – To akurat najmniejsze zmartwienie.

* * *

W mrocznym tunelu utworzonym przez rosnące po obu stronach rzeki drzewa Grant przesuwał ostrożnie tratwę naprzód, chwytając zwisające nad wodą gałęzie. Po pewnym czasie zobaczyli dinozaury.

– Czy to nie są te jadowite? – zapytała szeptem Lex.

– Tak – odparł również szeptem paleontolog. – *Dilophosaurus*.

Dwa dilofozaury stały na brzegu rzeki. Ich trzymetrowej wysokości ciała były pokryte czarno–żółtymi pręgami, z wyjątkiem brzuchów, które były zielone, jak u jaszczurek. Od nosa do oczu biegły dwa krwistoczerwone, połączone na końcach grzebienie, tworzące nad głowami coś w rodzaju hełmu. Podobieństwo do ptaków podkreślał jeszcze sposób poruszania się obu zwierząt; na zmianę pochylały się nad wodą, piły przez krótką chwilę, by szybko wyprostować się, parsknąć i zahuczeć jak sowa.

– Może powinniśmy pójść pieszo? – szepnęła Lex.

Grant pokręcił głową. Dilofozaury były znacznie mniejsze od tyranozaura, a co za tym idzie, także szybsze i bardziej zwrotne.

– Ale przecież nie uda nam się przepłynąć obok nich! – upierała się dziewczynka. – One mają truciznę!

– Musimy – odparł Grant – Nie wiem jak, ale musimy.

Dilofozaury w dalszym ciągu zaspokajały pragnienie. Uczony odniósł wrażenie, że w ich zachowaniu można dostrzec powtarzający się schemat: zwierzę po prawej stronie pochylało się nad wodą, piło, po czym prostowało się, odchylało głowę do tyłu, obnażało ostre zęby i wydawało charakterystyczny odgłos. Zaraz potem drugi dinozaur powtarzał jego ruchy, po czym sekwencja zaczynała się od początku, w nie zmieniony sposób.

Grant zwrócił też uwagę, że osobnik po prawej stronie jest mniejszy, ma mniej jaskrawe pręgi oraz lekko wyblakły grzebień...

– Niech mnie licho! – wykrztusił. – To rytuał godowy.

– Damy radę przepłynąć obok nich? – zapytał Tim.

– Nie, dopóki będą stały tak jak teraz. – Grant wiedział, że u niektórych gatunków godowy taniec mógł trwać nawet kilka godzin. Zwierzęta nie przyjmowały wówczas żadnych pokarmów, zupełnie nie zwracały też uwagi na otoczenie... Spojrzał na zegarek: dwadzieścia dziewięć po dziewiątej.

– Więc co robimy?

Paleontolog westchnął cicho.

– Nie mam pojęcia.

Usiadł na dnie tratwy, lecz w tej samej chwili dilofozaury zaczęły na przemian

trąbić i ryczeć. Kiedy spojrzał w ich kierunku, przekonał się, że oba zwierzęta odwróciły się tyłem do rzeki.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Lex.

Grant uśmiechnął się.

– Chyba wreszcie zaczęło nam sprzyjać szczęście. – Odepchnął ponton od brzegu. – Kładźcie się płasko na dnie. Spróbujemy przepłynąć obok nich najszybciej jak się da, ale pamiętajcie: cokolwiek się zdarzy, bądźcie cicho i nie ruszajcie się, dobrze?

Niesiona bystrym nurtem tratwa zaczęła dryfować w kierunku hałasujących dilofozaurów. Lex leżała u stóp Granta, wpatrując się w niego przerażonym wzrokiem. Zbliżali się coraz szybciej. Paleontolog wyjął zza paska pistolet i sprawdził, czy jest załadowany pociskiem usypiającym.

Kiedy znaleźli się już bardzo blisko zwierząt, poczuli słodkawy, nieprzyjemny zapach, przypominający smród zaschniętych wymiocin. Tratwa minęła kolejny zakręt i Grant wstrzymał oddech; płynęli niemal tuż obok dinozaurów, które stały przodem do ściany lasu i ryczały głośno.

Zgodnie z jego domysłami, zaniepokoiło je pojawienie się tyranozaura, który ponownie usiłował przedrzeć się przez zaporę z gęsto rosnących drzew. Podekscytowane dilofozaury pohukiwały i przestępowały z nogi na nogę. Smród był wręcz odurzający. Tyranozaur ryknął przeraźliwie, prawdopodobnie dlatego, że zauważył tratwę, ale...

Łup!

Ponton znieruchomiał. Płynąc z dużą prędkością uderzyli w brzeg na zakręcie rzeki, zaledwie kilka metrów od dilofozaurów.

– Wspaniale! – szepnęła Lex.

Nagle rozległ się głośny chrobot, kiedy gumowe dno tratwy szorowało o piasek i kamienie, a w chwilę później znowu ruszyli. Tyranozaur zaryczał po raz ostatni, po czym dał za wygraną, a dwa mniejsze dinozaury jeszcze przez jakiś czas pohukiwały na zmianę, jakby zdziwione brakiem agresji wielkiego drapieżnika. Gdzieś daleko odezwał się trzeci przedstawiciel ich gatunku.

Tymczasem tratwa płynęła spokojnie w dół rzeki.

Tyranozaur

Prowadzony przez Muldoona jeep podskakiwał na nierównościach terenu. Jechali rozległą, trawiastą równiną, oddalając się od gęstwiny drzew rosnących wzdłuż biegu rzeki. Kiedy znaleźli się na szczycie płaskiego wzniesienia, myśliwy zatrzymał samochód.

– Boże, jak gorąco! – mruknął, ocierając czoło wierzchem dłoni. Z butelki, którą podczas jazdy trzymał między kolanami, pociągnął solidny łyk whisky i podał ją Gennaro, ale ten pokręcił głową.

Przypatrywał się okolicy skąpanej w gorących promieniach przedpołudniowego słońca, po czym spojrzał na zainstalowany w jeepie monitor. Na ekranie zmieniały się obrazy przekazywane przez zdalnie sterowane kamery z różnych rejonów Parku. W dalszym ciągu nie udało się natrafić na żaden ślad Granta i dzieci. Ani tyranozaura.

– Muldoon – zachrypiało radio.

Myśliwy wziął do ręki krótkofalówkę.

– Tak?

– Odbierasz przekaz? Znalazłem rexa. Jest w kwadracie 442, przesuwa się w kierunku 443.

– Chwileczkę. – Muldoon przełączył monitor na odbiór sygnałów z komputera. – Tak, widzę go. Idzie wzdłuż rzeki.

– Tylko uważaj na niego. Wystarczy, jeśli go unieruchomisz.

– Nie obawiaj się – odparł Muldoon, mrużąc oczy oślepione blaskiem słońca. – Nie zrobię mu krzywdy.

– Pamiętaj, że tyranozaur jest naszą główną atrakcją turystyczną.

Muldoon gwałtownym ruchem wyłączył radio.

– Przeklęci głupcy! – wycedził. – Wciąż jeszcze myślą o turystach. – Uruchomił silnik. – Wyjedziemy mu naprzeciwko i zaaplikujemy odpowiednią dawkę.

Jeep podskakiwał na wyboistym terenie.

– Zdaje się, że ma pan na to wielką ochotę – zauważył Gennaro.

– Już od dawna chciałem wbić mu igłę w zadek – odparł myśliwy. – Proszę, oto i on.

Samochód zatrzymał się raptownie. Gennaro zobaczył przez przednią szybę wielkie zwierzę podążające wzdłuż linii drzew rosnących nad rzeką.

Muldoon opróżnił do końca butelkę, rzucił ją na tylne siedzenie i sięgnął po broń. Gennaro spoglądał to na drapieżnika, to na monitor, na którym widać było zarówno ich jeepa, jak i tyranozaura. Gdzieś w pobliskich drzewach musiała być ukryta kamera.

– Jeśli chce pan pomóc, to proszę przygotować pociski – powiedział myśliwy. – Są w tej skrzynce pod pańskimi nogami.

Gennaro schylił się i otworzył skrzynkę wykonaną z nierdzewnej blachy.

Wewnątrz, na wyściółce z gąbki, leżały cztery metalowe cylindry wielkości ćwierćlitrowych buteleczek do śmietany. Wszystkie były opatrzone napisem MORO–709. Wyjął jeden z nich.

– Trzeba oderwać czubek i wkręcić igłę – wyjaśnił Muldoon.

W skrzynce znajdowały się także zapakowane w foliowe torebki igły o średnicy niewiele mniejszej od palca. Prawnik zamontował igłę według wskazówek Muldoona. Przy okazji zwrócił uwagę, że dno metalowego cylindra jest wykonane z ołowiu.

– To tłok – powiedział myśliwy, widząc jego zdziwienie. – Po trafieniu w cel pod wpływem siły bezwładności przesuwa się do przodu i wypycha zawartość z cylindra.

Muldoon trzymał na kolanach specjalną wiatrówkę, którą wydobył z przypominającego grubą rurę pojemnika. Gennaro nigdy by się nie domyślił, że to wiatrówka; jego zdaniem broń bardziej przypominała bazookę albo małą wyrzutnię rakiet. – A co to jest MORO–709?

– Standardowy środek do usypiania zwierząt. Używa się go w ogrodach zoologicznych na całym świecie. Na początek zobaczymy, jak zareaguje na tysiąc centymetrów sześciennych. – Muldoon otworzył zamek; komora była tak duża, że zmieściłaby się tam jego pięść. Włożył metalowy cylinder i zatrzasnął zamek. – To powinno wystarczyć. Słoń dostaje około dwustu centymetrów sześciennych, ale waży tylko 5–7 ton. Tyranozaur to osiem ton żywej wagi, a w dodatku ma znacznie bardziej paskudny charakter. To też ma znaczenie.

– Dlaczego?

– Dawkę, jakiej wymaga dane zwierzę, określa się częściowo na podstawie jego wagi, a częściowo zależnie od charakteru. Załóżmy, że zaaplikujemy taką samą dawkę MORO–709 słoniowi, hipopotamowi i nosorożcowi – słoń zostanie w miejscu i nawet nie drgnie, hipopotam będzie się poruszał trochę wolniej niż zwykle, a nosorożec niczego nie zauważy. Jednak z drugiej strony, gdyby ścigał pan samochodem nosorożca dłużej niż pięć minut, zwierzak padłby martwy z powodu szoku adrenalinowego. To naprawdę przedziwne połączenie twardości i delikatności.

Muldoon skierował jeepa ku rzece. Jechali powoli, zbliżając się do tyranozaura.

– Ale to są wszystko ssaki. Wiemy bardzo dużo o ssakach, ponieważ w każdym zoo główną atrakcję stanowią właśnie wielkie ssaki: lwy, tygrysy, niedźwiedzie albo słonie. O gadach wiemy znacznie mniej, a o dinozaurach prawie nic. To zupełnie nowe zwierzęta.

– Uważa je pan za gady?

– Nie – odparł myśliwy, zmieniając bieg. – Dinozaury nie pasują do istniejących kategorii. – Zakręcił gwałtownie kierownicą, by ominąć duży kamień. – Szczerze mówiąc, przekonaliśmy się, że dinozaury różnią się między sobą tak bardzo, jak różnią się żyjące współcześnie z nami ssaki. Niektóre są łagodne i miłe, inne okrutne i wredne. Niektóre mają świetny wzrok, inne nie, jedne są głupie, a inne bardzo, ale to bardzo inteligentne.

– Na przykład raptory?

Muldoon skinął głową.

– Raptory są sprytne. Nadzwyczaj sprytne. Proszę mi wierzyć: wszystkie problemy, jakie mieliśmy do tej pory, okazałyby się niczym, gdyby raptorom udało się wydostać z zagrody... Zdaje się, że nie zdołamy już podjechać bliżej.

Tyranozaur wpychał głowę między gałęzie drzew, usiłując przedostać się między nimi do rzeki. Kiedy próby nie dały rezultatów, przeniósł się kilka metrów dalej.

– Ciekawe, co on tam widzi? – mruknął Gennaro.

– Trudno powiedzieć. Możliwe, że zawziął się na mikroceratopsy. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów od tyranozaura Muldoon zawrócił i zatrzymał samochód, nie wyłączając jednak silnika.

– Niech pan siada za kierownicą – powiedział do Gennaro. – I proszę zapiąć pas.

Sam wziął jeszcze jeden cylinder, wsadził go do kieszeni na piersi i wysiadł z jeepa.

Prawnik posłusznie wślizgnął się na miejsce kierowcy.

– Często pan to robił?

Muldoon czknął.

– Nigdy. Spróbuję trafić go tuż za otwór słuchowy. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Odszedł na jakieś dziesięć metrów od jeepa, przyklęknął w trawie na jedno kolano, po czym położył sobie broń na ramieniu i zaczął ustawiać celownik. Dinozaur nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

W chwilę później rozległa się ledwo słyszalna eksplozja uwalnianego raptownie powietrza i pocisk, ciągnąc za sobą białą smugę, poszybował w kierunku drapieżnika. Przez kilka sekund nic się nie działo.

Potem tyranozaur odwrócił się powoli i spojrzał ze zdziwieniem na dwóch mężczyzn i samochód. Obracał głowę to w lewo, to w prawo, jakby pragnął przyjrzeć im się obojgiem oczu.

Muldoon zaczął ładować drugi pocisk.

– Trafił go pan? – zapytał Gennaro.

Myśliwy pokręcił głową.

– Chybiłem. Przeklęte laserowe celowniki... Niech pan sprawdzi, czy w skrzynce jest zapasowa bateria.

– Co takiego?

– Bateria. Szara, mniej więcej długości wskazującego palca.

Gennaro pochylił się i zaczął grzebać w skrzynce. Czuł lekką wibrację nadwozia spowodowaną pracą silnika. Baterii nie było. Nagle rozległ się przeraźliwy ryk tyranozaura; prawnik wyprostował się gwałtownie i zacisnął ręce na kierownicy, gotów w każdej chwili wrzucić bieg i wcisnąć do oporu pedał gazu. Z krótkofalówki dobiegł zniekształcony głos Arnolda:

– Muldoon, uciekaj stamtąd!

– Wiem, co robię – warknął myśliwy.

Tyranozaur ruszył do ataku.

Muldoon jakby nigdy nic podniósł broń, wycelował i nacisnął spust. Gennaro zobaczył, jak kolejny pocisk mknie w kierunku szarżującego zwierzęcia, ciągnąc za sobą białawą smugę.

Żadnego efektu. Tyranozaur nie zmniejszył prędkości.

Muldoon dopiero teraz poderwał się na równe nogi i popędził w kierunku jeepa, krzycząc co sił w płucach:

– Ruszaj! Ruszaj!

Gennaro wrzucił bieg, Muldoon wskoczył przez otwarte drzwi, a w następnej sekundzie samochód wystartował jak rakieta, wyrzucając spod kół fontanny ziemi. Mimo to ogromny drapieżnik błyskawicznie zmniejszał dystans.

– Szybciej, do cholery! – wrzasnął myśliwy.

Gennaro wcisnął gaz do oporu. Samochód wyskoczył w górę na jakiejś nierówności terenu, tak że przez ułamek sekundy dwaj mężczyźni widzieli tylko niebo, po czym opadł z łoskotem na koła i zaczął szybko nabierać prędkości. Skierowali się w stronę kępy drzew po lewej stronie. Zwolnili dopiero wtedy, kiedy dinozaur ryknął przeraźliwie i zrezygnował z pogoni.

– Jezus, Maria... – wyszeptał prawnik, ocierając pot z czoła.

Muldoon pokręcił głową.

– Mógłbym przysiąc, że za drugim razem trafiłem go tam, gdzie chciałem.

– Wygląda na to, że jednak pan spudłował.

– Może złamała się igła?

– Lepiej niech się pan przyzna do pudła.

– Taaaak... – Muldoon westchnął żałośnie. – Spudłowałem. Nie działał ten cholerny celownik laserowy, bo wyczerpała się bateria. Moja wina, powinienem był to sprawdzić. Dobra, wracamy do bazy po pociski.

Jeep skręcił na północ, w kierunku hotelu. Muldoon wziął do ręki krótkofalówkę.

– Dyspozytornia?

– Jestem – zgłosił się natychmiast Arnold.

– Jedziemy do was.

* * *

Rzeka była tak wąska i płynęła tak szybko, że podróż tratwą zaczynała przypominać przejażdżkę kolejką górską w lunaparku.

– Ale ekstra! – wykrzyknęła Lex, trzymając się mocno linki biegnącej dokoła pontonu. – Szybciej, szybciej!

Grant spoglądał z niepokojem w przód. Dopływali do miejsca w którym ciemny tunel drzew urywał się nagle, a rzeka, oświetlona jaskrawymi promieniami słońca, w tajemniczy sposób kończyła się jakby prostą poziomą kreską. Do jego uszu docierał narastający, trwający bez przerwy huk...

Tratwa przyśpieszała coraz bardziej.

Grant chwycił za wiosła.

– Co to jest?

– Wodospad.

Wypadli z cienistego tunelu i w pełnym blasku przedpołudniowego słońca popędzili wprost ku wodospadowi. Ryk wody zagłuszał wszelkie inne odgłosy. Grant wiosłował ze wszystkich sił, ale dało to tylko taki skutek, że ponton kręcił się wokół

własnej osi, zmierzając ku huczącej kipieli.

– Nie umiem pływać! – krzyknęła Lex co sił w płucach.

Grant zauważył, że dziewczynka ma nie zapiętą kamizelkę ratunkową, ale nie mógł już nic zrobić, gdyż z przerażającą szybkością zbliżali się do nieuchronnej zagłady. Ryk wodospadu zdawał się wypełniać cały świat. Grant z całej siły wepchnął wiosła do wody i nagle poczuł, że zahaczyły o kamienie, gdyż ponton zadrżał i zatrzymał się w spienionej wodzie. Uczony ostrożnie zerknął za burtę; rzeka spadała pionowo z wysokości co najmniej pięciu metrów, rozbryzgując się w płytkim skalnym basenie.

A tam czekał na nich tyranozaur.

Lex także go zobaczyła, gdyż wrzasnęła przeraźliwie. W tej samej chwili jedno wiosło ześlizgnęło się z kamienia, tratwa obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, po czym runęła w dół. Grant spadał machając rozpaczliwie ramionami, a potem znalazł się w zimnym, cichym świecie, gdzie wszystko poruszało się znacznie wolniej niż normalnie.

Wydawało mu się, że leci całymi minutami. Miał dość czasu, aby zobaczyć Lex lecącą obok i Tima, spoglądającego w dół. Zdążył też przyjrzeć się dziwnie nieruchomym, srebrzystym kaskadom wody oraz spienionej powierzchni basenu, ku któremu spadał. A potem z donośnym pluskiem Grant wpadł do zimnej, wzburzonej wody, poszedł na dno, został wypchnięty w górę, przemknął obok nogi dinozaura i, niesiony prądem, znalazł się w wypływającym z basenu strumieniu. Młócąc wodę rękami i nogami, starał się dotrzeć do brzegu. Dwukrotnie silny nurt oderwał go od ogrzanych słońcem skał, do których kurczowo przywarł, ale za trzecim razem udało mu się wyczołgać na kamienie. Łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami, obejrzał się w samą porę, aby ujrzeć przemykającą obok tratwę, a w chwilę potem zobaczył niesionego przez wzburzoną wodę Tima. Chwycił chłopca za ubranie i z najwyższym trudem wyciągnął go, drżącego z zimna i zanoszącego się kaszlem, na brzeg.

Następnie spojrzał w stronę wodospadu. Tyranozaur szybko zanurzył głowę w wodzie, jakby coś tam zobaczył, i potrząsnął nią mocno. Kiedy wyprostował się, trzymał w paszczy pomarańczową kamizelkę ratunkową Lex.

Sekundę później dziewczynka pojawiła się na powierzchni tuż obok długiego ogona dinozaura. Leżała na powierzchni twarzą w dół, a prąd szybko unosił jej drobne ciało. Grant błyskawicznie wskoczył do wody, popłynął za nią i wyniósł na brzeg. Miała popielatoszarą twarz, nie dawała znaku życia, a z jej ust wyciekał mały strumyczek.

Uczony zamierzał już wykonać sztuczne oddychanie, ale dziewczynka nagle zakasłała, zakrztusiła się, zwymiotowała wielką ilość wody zmieszanej z zawartością żołądka, po czym otworzyła oczy i uśmiechnęła się słabo.

– Cześć – powiedziała. – Udało nam się.

Tim rozpłakał się. Lex ponownie zaniosła się kaszlem.

– Możesz przestać? A właściwie dlaczego płaczesz?

– Bo płaczę.

– Martwiliśmy się o ciebie – powiedział uczony. Rzeką płynęły kawałki kamizelki, którą tyranozaur rozdzierał właśnie na strzępy. Wciąż jeszcze był zwrócony przodem do wodospadu, a tyłem do nich, ale lada chwila mógł się odwrócić, a wtedy... – Idziemy, dzieciaki.

– A dokąd? – zapytała Lex.

– Po prostu idziemy.

Należało jak najszybciej znaleźć jakąś kryjówkę. Przed nimi, w dole rzeki, rozciągała się porośnięta trawą równina, za nimi był tyranozaur. Grant dostrzegł wąską, wydeptaną ścieżkę, prowadzącą w bok i do tyłu, w kierunku wodospadu. Na ścieżce widniał świeży odcisk czyjegoś buta.

Tyranozaur wreszcie ryknął, odwrócił głowę i spojrzał w kierunku trawiastej równiny. Chyba domyślił się, że zdobycz ponownie mu umknęła, i szukał jej w dole rzeki. Grant skrył się wraz z dziećmi w cieniu wielkich paproci rosnących na brzegu, po czym ostrożnie poszedł w stronę wodospadu.

– Przecież my wracamy! – zaprotestowała Lex.

– Wiem.

Ryk spadającej wody z każdą chwilą przybierał na sile. Skały byty śliskie, a ścieżka błotnista. W powietrzu unosiła się lekka mgiełka. Mieli wrażenie, jakby szli przez chmurę. Wydawało się, że ścieżka prowadzi prosto w huczącą kipiel, ale kiedy podeszli bliżej, okazało się, że skręca za srebrzystą zasłonę wody.

Grant zajrzał tam i ze zdziwieniem spostrzegł małą skalną wnękę, niewiele obszerniejszą od szafy, pełną pomp, filtrów i rur. Metal był zimny i wilgotny.

– Nie zobaczył nas? – Lex musiała krzyczeć, żeby ktokolwiek usłyszał ją w nieustającym huku. – Gdzie jesteśmy? Co to za maszyny?

– Chwileczkę – odparł paleontolog, przyglądając się urządzeniom. Ponad wszelką wątpliwość zostały one zamontowane przez budowniczych Parku. Ponieważ działały na elektryczność, można było się spodziewać, że w ich pobliżu zainstalowano także telefon. Grant zaczął uważnie rozglądać się dokoła.

– Co pan robi?

– Szukam telefonu.

Była już prawie dziesiąta. Na skontaktowanie się ze statkiem zostało im niewiele ponad sześćdziesiąt minut.

W tylnej ścianie wnęki znajdowały się metalowe drzwi z napisem: ZAPL. TECHN. 04. Niestety, były zamknięte na głucho. Obok umieszczono czytnik kart magnetycznych, jeszcze dalej zaś rząd metalowych skrzynek. Grant otwierał jedną po drugiej, ale zawierały jedynie przełączniki i regulatory czasowe. Ani śladu telefonu.

Niewiele brakowało, a nie zauważyłby jeszcze jednej, mniejszej skrzyneczki, zainstalowanej po lewej strome drzwi. Otworzywszy ją zobaczył klawiaturę z przyciskami ponumerowanymi od 0 do 9. Była pokryta zielonkawym, wilgotnym osadem, ale ponad wszelką wątpliwość służyła do otwierania drzwi, a Grant miał przeczucie, że po ich drugiej stronie znajduje się telefon. Na wewnętrznej powierzchni drzwiczek ktoś wy drapał numer 1023. Uczony wystukał go i drzwi

otworzyły się z cichym sykiem, ukazując betonowe schodki prowadzące w dół, w nieprzeniknioną ciemność. Na ścianie umieszczono napis: ŁAD. POJ. TECHN. 04/22 oraz strzałkę wskazującą w dół. Czyżby naprawdę był tam jakiś pojazd?

– Dzieciaki, idziemy.

– Nawet nie ma mowy – stwierdziła stanowczo dziewczynka. – Na pewno tam nie zejdę.

– Daj spokój, Lex...

– Nie ma mowy – powtórzyła z uporem. – Nie ma tam światła, i w ogóle. Nie idę.

– W porządku – powiedział Grant. Nie mieli czasu na kłótnie. – Zostańcie tutaj i poczekajcie na mnie.

– A kiedy pan wróci? – zapytała z niepokojeni Lex.

W chwili kiedy Grant przekroczył próg, rozległo się elektroniczne piśniecie i drzwi zamknęły się za nim, pozostawiając go w całkowitej ciemności.

Zaskoczony paleontolog przez kilka sekund stał bez ruchu, a potem odwrócił się i zaczął przesuwać dłońmi po wilgotnej powierzchni drzwi, lecz nie mógł znaleźć żadnej klamki, zatrzasku ani niczego w tym rodzaju. Następnie zbadał futrynę i ściany po prawej i lewej stronie, spodziewając się natrafić na jakiś przycisk albo dźwignię – niestety, bez rezultatu.

Nic.

Zaczęła go już ogarniać panika, kiedy nagle jego palce zacisnęły się na niewielkim, rozszerzającym się na jednym końcu i płasko zakończonym cylindrze. Latarka! Włączył ją, po czym skierował na drzwi zaskakująco silny snop światła. Nie ma mowy, z tej strony nic się nie da zrobić. Dzieci będą musiały otworzyć je z zewnątrz. A tymczasem...

Ruszył w dół po schodach. Były wilgotne i śliskie, więc szedł bardzo ostrożnie. W pewnej chwili usłyszał odgłos węszenia i skrobanie pazurów po betonie, więc wyjął zza paska pistolet z pociskami usypiającymi i podwoił ostrożność.

Kiedy minął zakręt schodów, snop światła z latarki padł na coś dużego; Grant rozpoznał to dopiero po kilku sekundach: samochód elektryczny! Niemal taki sam jak wózki golfowe, ustawiony przodem do wylotu długiego tunelu, który sprawiał wrażenie, jakby ciągnął się całymi kilometrami. Na tablicy przyrządów żarzyło się czerwone światełko, więc prawdopodobnie pojazd był gotowy do drogi.

Grant ponownie usłyszał wyraźne węszenie, a kiedy odwrócił się w stronę, z której dobiegł ten odgłos, zobaczył, że coś leci na niego z ciemności. Mignęła mu szeroko otwarta, uzębiona paszcza, więc odruchowo podniósł broń i nacisnął spust; w następnej chwili napastnik uderzył go w pierś i przewrócił na betonową posadzkę. Przerażony Grant odtoczył się na bok i natychmiast zerwał na nogi, natomiast zwierzę, które go zaatakowało, pozostało na betonie.

Kiedy uczony obejrzał je dokładniej w blasku latarki, zrobiło mu się głupio.

Był to bardzo młody welociraptor. Z pewnością nie skończył jeszcze roku, gdyż liczył sobie nie więcej niż sześćdziesiąt centymetrów wysokości. Leżał nieruchomo, łapiąc ciężko powietrze, z pociskiem usypiającym tkwiącym w szyi. Spoglądał na Grania szklistym wzrokiem.

Patrząc na to stworzenie, uczony wyraźnie wyczuwał drzemiącą w nim inteligencję oraz jakąś dziwną miękkość, zupełnie nie pasującą do agresji, jaką przejawiały dorosłe osobniki trzymane w zagrodzie. Pogłaskał raptora po głowie, mając nadzieję, że w ten sposób trochę uspokoi zestresowane, drżące na całym ciele zwierzę, i w tej samej chwili zauważył, że ma do czynienia z samcem.

I to bardzo młodym samcem. Mogło to oznaczać tylko jedno: welociraptory rozmnażały się w stanie dzikim.

Podekscytowany odkryciem wrócił biegiem na górę i świecąc latarką zbadał jeszcze raz powierzchnię drzwi oraz ścian pomieszczenia. Im dłużej to jednak robił, tym wyraźniej uświadamiał sobie, że znalazł się w pułapce i pozostanie w niej tak długo, dopóki dzieci nie domyśla się, w jaki sposób go z niej uwolnić. Z drugiej strony docierały do niego ich mocno przytłumione głosy.

* * *

– Doktorze Grant! – zawołała Lex, bębniąc pięściami w drzwi. – Doktorze Grant!

– Uspokój się – powiedział Tim. – Na pewno wróci.

– Dobrze, ale dokąd poszedł?

– Doktor Grant wie, co robi – zapewnił ją brat. – Zaraz będzie z powrotem.

– Powinien być tu już teraz.

Dziewczynka stanęła w rozkroku, oparła ręce na biodrach i tupnęła ze złością.

W ułamek sekundy później rozległ się potężny ryk i głowa tyranozaura przebiła wodną zasłonę.

Tim z przerażeniem wybałuszył oczy na szeroko rozdziawioną paszczę, Lex zaś wrzasnęła głośno i padła płasko na ziemię. Głowa przesunęła się w prawo, potem w lewo, a wreszcie cofnęła się, lecz Tim wyraźnie widział na wodnej ścianie cień czatującego zwierzęcia.

Ledwo zdążył pociągnąć siostrę w głąb wnęki, kiedy drapieżnik ponownie wsadził łeb za wodospad, próbując dosięgnąć zdobyczy długim, silnym ozorem. Kiedy nic nie wskórał, wycofał się poza ruchomą, huczącą kurtynę. Drżąca na całym ciele Lex przytuliła się do brata.

– Nienawidzę go! – wykrztusiła, szczękając zębami.

Dzieci starały się cofnąć jak najdalej w głąb niszy, ale nie dość, że była ona płytka, to jeszcze wypełniona różnymi urządzeniami.

Głowa pojawiła się po raz trzeci, lecz teraz dinozaur wsunął jedynie pysk, położył go na podłodze wnęki i zaczął głośno wdychać powietrze. Oczy były za zasłoną strumieni wody.

On nas nie widzi, pomyślał Tim. Wie, że tu jesteśmy, ale nie może nic zobaczyć, bo zasłania nas woda.

Tyranozaur wciąż węszył.

– Co on robi? – zapytała Lex.

– Ciiii!...

Spomiędzy potężnych szczęk wysunął się język. Był gruby, granatowoczarny i lekko rozdwojony na końcu. Ponieważ miał na pewno ponad metr długości, bez

najmniejszego trudu sięgnął do tylnej ściany wnęki i dotknął stalowych cylindrów. Tim i Lex przywarli do umieszczonych nieco z boku rur.

Potem język przesunął się najpierw w lewo, po chwili zaś w prawo i zaczął obmacywać zakamarki maszynerii. Tim zwrócił uwagę, że bardzo przypominało to poruszenia trąby słonia. W swej wędrówce język tyranozaura prześlizgnął się po nogach Lex.

– Błeee... – jęknęła dziewczynka.

Język znieruchomiał, zwinął się, a następnie rozprostował i począł pełznąć w górę po ciele dziecka.

– Nie ruszaj się! – szepnął niemal bezgłośnie Tim.

Ozór przejechał po twarzy Lex, by potem przenieść się na ramię Tima, a wreszcie owinąć się wokół jego głowy. Chłopiec zacisnął powieki, czując na twarzy obrzydliwe, oślizgłe dotknięcie. Język dinozaura był gorący, wilgotny i cuchnął uryną.

Tim poczuł, że jest powoli ciągnięty w stronę monstrualnego pyska.

– Timmy...

Nie mógł odpowiedzieć, gdyż usta zakrywał mu ohydny czarny jęzor. Widział wszystko, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Lex uczepiła się jego ramienia.

– Uciekaj, Timmy!

Język ciągnął go coraz mocniej. Chłopiec czuł już na nogach gorący oddech zwierzęcia. Lex szarpała go z całych sił, ale nie miała żadnych szans w zmaganiach z potworem. Tim wyrwał rękę z jej uścisku i naparł oburącz na język, próbując zepchnąć go z twarzy, ale bez rezultatu. Zapierał się nogami jak mógł, lecz mimo to czuł, że centymetr po centymetrze zbliża się do otwartej paszczy uzbrojonej w olbrzymie, ostre zęby.

Lex złapała go w pasie i ciągnęła tak mocno jak tylko potrafiła, ale nie dawało to żadnych rezultatów. Chłopiec nagle poczuł, że ogarnia go przedziwny spokój; był gotów pogodzić się z tym, co i tak wydawało się nieuniknione...

– Timmy?!

Język niespodziewanie zwiotczał, po czym bezwładnie osunął się na wykutą w skale podłogę. Tim spojrzał w dół i zobaczył, że jest cały pokryty obrzydliwą, białą śliną. Dinozaur raptownie zatrzasnął szczęki, przygryzając sobie język; ciemna krew trysnęła obfitym strumieniem, mieszając się z wodą. Zwierzę oddychało chrapliwie, jakby z coraz większym wysiłkiem.

– Co on robi? – krzyknęła Lex. A potem powoli, bardzo powoli, głowa zaczęła się cofać, aż wreszcie zupełnie zniknęła za zasłoną spadającej z wysoka wody.

Stan rzeczy

– W porządku – powiedział Arnold. – Wreszcie padł.

Odepchnął się wraz z fotelem od pulpitu, uśmiechnął szeroko, wyjął z paczki ostatniego papierosa, zapalił go i zmiął puste pudełko. Nareszcie. Ostatni krok na drodze do przywrócenia normalnego funkcjonowania parku. Pozostało tylko pojechać po nieprzytomnego tyranozaura i przewieźć go na wybieg.

– Sukinsyn – mruknął Muldoon, spoglądając na monitor. – A więc jednak go trafiłem. – Odwrócił się do Gennaro. – Tyle tylko, że musiała minąć godzina, żeby to poczuł.

Henry Wu zmarszczył z niepokojem brwi.

– Czy on aby się nie utopi?

– Na pewno nie – odparł Muldoon. – Jeszcze nie widziałem zwierzaka, którego trudniej byłoby ukatrupić.

– Chyba powinniśmy zabrać go stamtąd.

– Zrobimy to. – W głosie myśliwego nie było nadmiernego entuzjazmu.

– To bardzo cenne zwierzę.

– Wiem, że to bardzo cenne zwierzę.

Arnold odwrócił się do Gennaro i powiedział, nie kryjąc zadowolenia: – Chciałbym zwrócić panu uwagę, że wszystko znowu działa jak należy. Matematyczny model Malcolma okazał się diabła wart. Park znajduje się pod naszą kontrolą.

– A co to jest? – zapytał Gennaro, wskazując na monitor za plecami Arnolda.

Główny inżynier odwrócił się i spojrzał na ekran. W prawym górnym rogu znajdowało się zawsze okienko informujące o aktualnym stanie systemu. Zazwyczaj było puste, teraz jednak Arnold ze zdziwieniem stwierdził, że w okienku pojawił się żółty, migający napis: AUX PWR LOW. Przez chwilę nie mógł tego zrozumieć. Dlaczego komputer ostrzega o niskim poziomie zasilania rezerwowego? Przecież działa zasilanie główne, a nie rezerwowe. Może to jakaś rutynowa kontrola zbiorników paliwa albo stanu naładowania akumulatorów...

– Henry, spójrz na to – zwrócił się do Henry'ego Wu. – Dlaczego włączyłeś zasilanie awaryjne?

– Nic takiego nie zrobiłem.

– Wygląda na to, że jednak zrobiłeś.

– Niemożliwe.

– Zrób wydruk stanu systemu z ostatnich kilkunastu godzin. Arnold wydał komputerowi stosowne polecenie i natychmiast ożyła stojąca w kącie drukarka. Wu podszedł do niej.

Główny inżynier wpatrywał się w ekran nic nie rozumiejącym wzrokiem. Napis w okienku przestał mrugać, zmienił kolor z żółtego na czerwony, i głosił teraz: AUX PWR FAIL. Komputer zaczął wsteczne odliczanie od liczby dwadzieścia.

– Co się dzieje, do cholery? – wyszeptał Arnold.

* * *

Bardzo ostrożnie i powoli Tim ruszył z powrotem błotnistą ścieżką. Kiedy wyjrzał zza wodospadu, zobaczył dinozaura leżącego nieruchomo na boku w skalnym basenie, do którego wpadała spieniona rzeka.

– Mam nadzieję, że zdechł – powiedziała Lex.

Tim wiedział jednak, że tak nie jest, ponieważ pierś tyranozaura podnosiła się i opadała, a jedną z przednich kończyn wstrząsało nie kontrolowane drżenie. Ale co się mogło z nim stać? Dopiero po chwili chłopiec dostrzegł metalowy cylinder sterczący z ciała zwierzęcia tuż za otworem usznym.

– Trafił go pocisk usypiający – poinformował siostrę.

– I bardzo dobrze. O mało nas nie zjadł.

Tim przyglądał się oddychającemu z wysiłkiem dinozaurowi. Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że czuje się bardzo nieswojo, będąc świadkiem upokorzenia tak ogromnego zwierzęcia. Nie chciał, zęby tyranozaurowi coś się stało.

– To nie jego wina – powiedział.

– Jasne – odparła Lex. – Prawie nas zeżarł, a ty mówisz, że to nie jego wina.

– Jest drapieżnikiem. Robi to, do czego stworzyła go natura.

– Nie wygadywałbyś takich rzeczy, gdybyś siedział teraz w jego brzuchu.

Nagle zmienił się odgłos spadającej z wysokości kilku metrów wody. Z ogłuszającego huku przycichł do intensywnego szumu, który jednak z każdą chwilą słabł coraz bardziej. Biała zasłona spienionej wody stawała się coraz cieńsza i cieńsza...

Aż wreszcie zniknęła.

– Timmy... – odezwała się dziewczynka niepewnym głosem. – Wodospad się zepsuł.

Woda kapała już tylko tak, jak czasem kapie z nie dokręconego kranu. Powierzchnia basenu u podnóża urwistej skały natychmiast uspokoiła się i wygładziła. Dzieci stały na wąskiej ścieżce w pobliżu szczytu urwiska, spoglądając z niedowierzaniem w dół.

– Wodospady nie powinny się psuć – zauważyła Lex.

Tim potrząsnął głową.

– To musi być coś z zasilaniem. Ktoś wyłączył prąd.

W niszy, którą niedawno opuścili, kolejno przestawały pracować wszystkie pompy i filtry. Wreszcie ucichł ostatni z mechanicznych odgłosów, po czym rozległo się donośne pyknięcie solenoidowego bezpiecznika i otworzyły się drzwi prowadzące do wnętrza skały.

Ze środka wyszedł Grant, mrużąc oczy oślepione dziennym blaskiem.

– Dobra robota, dzieciaki. Jednak udało się wam je otworzyć.

– Niczego nie otwieraliśmy – poinformowała go Lex.

– Za to ktoś wyłączył zasilanie – dorzucił Tim.

– Nieważne – odparł paleontolog. – Chodźcie zobaczyć, co znalazłem.

* * *

Arnold patrzył z niedowierzaniem.

Jeden po drugim wyłączały się kolejne monitory, a potem zgasły także światła. Dyspozytornię ogarnęła ciemność i zamieszanie. Wszyscy zaczęli jednocześnie krzyczeć i wydawać polecenia, aż wreszcie Muldoon podniósł żaluzje, wpuszczając do pomieszczenia nieco dziennego światła, zaś Wu przyniósł wydruk.

– Spójrz tylko – powiedział.

Time	Event	System Status
5:12:44	Safety 1 Off	Operative
5:12:45	Safety 2 Off	Operative
5:12:46	Safety 3 Off	Operative
5:12:51	Shutdown Command	Shutdown
5:13:48	Startup Command	Shutdown
5:13:55	Safety 1 Off	Shutdown
5:13:57	Safety 2 Off	Shutdown
5:13:59	Safety 3 Off	Shutdown
5:14:08	Startup Command	Startup — Aux Power
5:14:18	Monitor-Main	Operativ — Aux Power
5:14:19	Security-Main	Operativ — Aux Power
5:14:22	Command-Main	Operativ — Aux Power
5:14:24	Laboratory-Main	Operativ — Aux Power
5:14:29	TeleCom-VBB	Operativ — Aux Power
5:14:32	Schematic-Main	Operativ — Aux Power
5:14:37	View	Operativ — Aux Power
5:14:44	Control Status Chk	Operativ — Aux Power
5:14:57	Warning: Fence Status [NB]	Operativ — Aux Power
9:11:37	Warning: Aux Fuel (20%)	Operativ — Aux Power
9:33:19	Warning: Aux Fuel (10%)	Operativ — Aux Power
9:53:19	Warning: Aux Fuel (1%)	Operativ — Aux Power
9:13:39	Warning: Aux Fuel (0%)	Shutdown

– Wyłączyłeś cały system dziś rano o piątej trzynaście, a kiedy ponownie go włączyłeś, zaczął działać na zasilaniu awaryjnym.

– Boże... – wykrztusił Arnold. Od tamtej pory główne zasilanie było przez cały czas odłączone. Dziwne, że nie zaczęło działać natychmiast po ponownym uruchomieniu systemu... Nie, w tym nie było nic dziwnego. Tak właśnie powinno się stać. Zapasowy generator ruszył pierwszy, gdyż do uruchomienia głównego potrzeba było sporo energii. Tak właśnie zostało to zaprojektowane.

Arnold jeszcze nigdy nie wyłączał głównego zasilania, więc kiedy komputer znowu zaczął działać, nawet nie przeszło mu przez myśl, że główny generator nie podjął natychmiast pracy.

Jednak tak właśnie przedstawiała się sytuacja. Przez cały czas, kiedy byli zajęci poszukiwaniami tyranozaura i robili dziesiątki innych rzeczy, wszystkie instalacje Parku były zasilane przez zapasowy generator, co, niestety, nie wyszło mu na zdrowie. Dopiero teraz główny inżynier zaczął sobie uświadamiać następstwa takiego stanu rzeczy...

– Co to znaczy? – zapytał Muldoon, wskazując jeden wiersz wydruku.

05:14:57 Warning:Fence Status[NB] Operative – Aux Power[AV09]

– To znaczy, że układ zabezpieczający wysłał na wszystkie monitory ostrzeżenie dotyczące płotów elektrycznych.

– Zauważyliście je?

Arnold pokręcił głową.

– Widocznie rozmawiałem z tobą przez radio. Nie, ja tego nie widziałem.

– A co konkretnie oznacza?

– Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, ale przez cały czas działał tylko generator awaryjny, a on nie wytwarza wystarczająco dużo energii, żeby utrzymać pod napięciem ogrodzenia między sektorami, więc komputer automatycznie je wyłączył.

Muldoon skrzywił się, jakby skosztował octu.

– Więc w ogrodzeniach nie było prądu?

– Tak jest.

– We wszystkich? Od piątej rano? Przez ostatnie pięć godzin?

– Tak.

– Łącznie z ogrodzeniem wokół wybiegu welociraptorów?

Arnold westchnął bezradnie.

– Niestety.

– O, Boże... – wykrztusił myśliwy. – Pięć godzin! One już dawno mogły uciec!

W tej samej chwili gdzieś daleko rozległ się mrożący krew w żyłach krzyk. Muldoon natychmiast przystąpił do działania: wręczył każdemu przenośną krótkofalówkę, wydając jednocześnie polecenia spokojnym, opanowanym głosem:

– Arnold pójdzie do siłowni, żeby włączyć główny generator. Doktorze Wu, pan zostanie w dyspozytorni, bo oprócz Arnolda tylko pan potrafi obsługiwać te komputery. Panie Hammond, proszę wracać do domku myśliwskiego. Nie, żadnych dyskusji. Proszę zaniknąć wszystkie drzwi i nie otwierać ich, dopóki nie dam panu znać. – Spojrzał na Gennaro. – Ma pan ochotę na jeszcze trochę niebezpieczeństw?

– Nie bardzo – przyznał prawnik. Był bardzo blady.

– W porządku. W takim razie, proszę zostać z panem Hammondem. – Muldoon podniósł głos. – Słyszeliście wszyscy? Ruszać się!

– Ale co pan zrobi z moimi zwierzętami? – zapytał Hammond – płaczliwym tonem.

– To nie jest właściwe pytanie, panie Hammond. Należałoby raczej zapytać: co one zrobią z nami?

Myśliwy wyszedł z dyspozytorni i szybkim krokiem skierował się do swego biura. Na korytarzu dogonił go zadyszany Gennaro.

– Zmienił pan zdanie? – warknął Muldoon.

– Przyda się panu pomoc.

– Całkiem możliwe.

Muldoon otworzył drzwi z napisem: NADZORCA ZWIERZĄT, złapał przenośny miotacz pocisków rakietowych i otworzył ścienną szafkę. Znajdowało się w niej sześć rakiet oraz sześć pojemników.

– Największy problem z tymi cholernymi dinozaurami polega na tym, że mają kilka ośrodków zawiadujących układem nerwowym; nawet po bezpośrednim

trafieniu w mózg śmierć nie jest natychmiastowa. Jakby tego jeszcze było mało, mają bardzo mocną budowę; w serce nie ma co strzelać, bo chronią je grube żebra, a uszkodzenie nogi lub kręgosłupa też nie załatwia jeszcze sprawy. Powoli krwawią i powoli umierają. – Rzucił prawnikowi szeroki parciany pas. – Proszę to założyć. – Kiedy Gennaro zapiął pas, Muldoon zaczął podawać mu pociski. – Można liczyć tylko na to, że rozwali się je na strzępy pierwszym strzałem. Niestety, mamy jedynie sześć rakiet, a w zagrodzie było osiem raptorów. Chodźmy. Proszę trzymać się blisko mnie, bo będzie pan podawał mi amunicję.

Wybiegli z pokoju, popędzili korytarzem, pognali po schodach na parter i wypadli na zewnątrz przez szklane drzwi.

Nagle Muldoon stanął jak wryty, a zaraz za nim zatrzymał się zadyszany Gennaro.

Arnold stał oparty plecami o ścianę siłowni. Trzymał w ręku kij i machał nim jak szalony, usiłując odstraszyć trzy zbliżające się raptory. Dinozaury poruszały się w skoordynowany sposób: jeden został pośrodku, podczas gdy dwa pozostałe starały się zajść ofiarę z boków. Ciałem Gennaro wstrząsnął dreszcz.

Instynkt stadnych drapieżców.

Muldoon przyklęknął na jedno kolano i oparł wyrzutnię na ramieniu.

– Ładuj – polecił.

Gennaro wsunął od tyłu pocisk. Myśliwy nacisnął spust, rozległo się pstryknięcie elektrycznego przełącznika, i nic więcej.

– Boże, wsadził go pan na odwrót!

Muldoon przechylił miotacz, pocisk wypadł Gennaro na ręce, a ten załadował go ponownie. Raptory przygotowywały się już do skoku, kiedy zwierzę zbliżające się z lewej strony dosłownie przestało istnieć; eksplozja rakiety rozerwała je na strzępy, rozrzucając krwawe ochłapy w promieniu kilkunastu metrów.

– To powinno dać im do myślenia – powiedział myśliwy.

Arnold dopadł drzwi siłowni i wbiegł do środka, natomiast dwa pozostałe drapieżniki odwróciły się i skierowały ku Muldoonowi i Gennaro. Z daleka dobiegły czyjeś przerażone okrzyki.

– Robi się nieciekawie – zauważył prawnik.

– Ładuj – polecił Muldoon.

Kiedy Henry Wu usłyszał wybuch, odruchowo spojrzał na szklane drzwi dyspozytorni i okrążył główny pulpit, ale potem znieruchomiał. Chciał wyjść na zewnątrz, lecz wiedział, że musi zostać. Jeżeli Arnoldowi uda się jeszcze choć na chwilę włączyć awaryjne zasilanie, wtedy on, Wu, będzie mógł uruchomić główny generator.

Tak, musi tu zostać.

W chwilę potem ktoś zaczął krzyczeć. Henry Wu odniósł wrażenie, że poznaje głos Muldoona.

* * *

Muldoon poczuł przeszywający ból w kolanie, potknął się, stoczył po skarpie,

natychmiast zerwał się na nogi i rzucił do ucieczki. Zerknąwszy przez ramię, zobaczył Gennaro umykającego w przeciwną stronę, w kierunku lasu. Oba raptory zignorowały prawnika i pogoniły za Muldoonem. Były nie dalej niż dwadzieścia metrów z tyłu. Muldoon krzyczał co sił w płucach, i gorączkowo usiłował znaleźć odpowiedź na pytanie, dokąd powinien uciekać. Myśliwy zdawał sobie sprawę, że zostało mu jeszcze najwyżej dziesięć sekund.

Dziesięć.

A może mniej.

* * *

Ellie musiała pomóc Malcolmowi odwrócić się na bok, żeby Harding mógł zrobić mu kolejny zastrzyk z morfiny. Matematyk z ciężkim westchnieniem opadł z powrotem na poduszkę. Słabł z każdą chwilą. Przez włączone radio słyszeli stłumione odgłosy wybuchów dobiegające z głównego budynku.

Do pokoju wszedł Hammond.

– Jak on się czuje? – zapytał.

– Jeszcze się trzyma – odparł Harding. – Tylko trochę majaczy.

– Nic podobnego – zaprotestował Malcolm. – Jestem całkowicie przytomny. – Przez chwilę słuchał dźwięków wydobywających się z krótkofalówki. – Mamy jakąś wojnę?

– Raptory wydostały się na wolność – poinformował go Hammond.

– Doprawdy? – zdziwił się uprzejmie Malcolm. – Jak to możliwe?

– Błąd systemu. Arnold nie wiedział, że korzysta z awaryjnego generatora, a komputer wyłączył zasilanie ogrodzeń.

– Cóż za niefortunny zbieg okoliczności.

– Idź do diabła, ty zarozumiały sukinsynu!

– O ile sobie przypominani, to przewidziałem właśnie taki, a nie inny, rozwój wydarzeń.

Hammond westchnął i usiadł ciężko w fotelu.

– Niech to szlag trafi! – zaklął, kręcąc głową. – Chyba zdajecie sobie wszyscy sprawę, że w gruncie rzeczy to, czego staramy się tutaj dokonać, opiera się na niezwykle prostym pomyśle. Wiele lat temu wraz z kilkoma przyjaciółmi doszedłem do wniosku, że powinno udać się odtworzyć DNA dawno wymarłych zwierząt i poprzez klonowanie wyhodować żywe osobniki. Pomysł wydał nam się wspaniały także dlatego, że pozwalał na zrealizowanie marzenia o podróży w czasie. A ponieważ był wspaniały, i wierzyliśmy głęboko, że uda się go zrealizować, postanowiliśmy przeć twardo naprzód. Wydzierżawiliśmy tę wyspę i rozpoczęliśmy badania. Widzicie, jakie to proste?

– Proste? – powtórzył Malcolm. Zebrał w sobie jeszcze tyle sił, żeby usiąść na łóżku. – Proste? Jesteś jeszcze większym głupcem, niż przypuszczałem, a muszę ci powiedzieć, że zawsze uważałem cię za pokazowy okaz idioty.

– Doktorze Malcolm! – powiedziała Ellie z przyganą w głosie. Usiłowała pomóc mu znowu oprzeć głowę na poduszce, lecz matematyk nie zwrócił na nią

najmniejszej uwagi. Wskazał na radio, z którego nadal dobiegały okrzyki.

– Jak myślisz, co to jest? – zapytał. – To właśnie twój prosty pomysł. Tworzycie nowe formy życia, o których nic nie wiecie. Twój doktor Wu nie pamięta nawet nazw zwierząt, które produkuje. Takie szczegóły po prostu go nie obchodzą. Klonujecie tyle gatunków i tak wiele egzemplarzy, że sami pozbawiacie się szansy, by się czegoś o nich dowiedzieć, a mimo to oczekujecie, iż będą się zachowywać tak jak zaplanowaliście, ponieważ to wy je stworzyliście i sądzicie, że stanowią waszą własność. Przecież to są żywe istoty, dysponujące własną inteligencją, i ograniczenia, jakie próbujecie im narzucić, mogą im wcale nie przypaść do gustu. Zapominacie też o własnej niekompetencji, utwierdzając się wzajemnie w przekonaniu, że to, co robicie, jest takie p r o s t e... Dobry Boże...

Zaniósł się gwałtownym kaszlem i opadł bez sił na łóżko.

– Wiecie, na czym polega problem z wiedzą naukową? – zapytał, kiedy nieco odpoczął. – Dziedziczy się ją z pokolenia na pokolenie, jak bogactwo, a w historii ludzkości największymi kretynami byli zawsze bogacze.

– O czym on mówi? – zdziwił się Hammond.

Harding wykonał gest, który miał oznaczać, że matematyk bredzi w malignie, Malcolm spojrzał zaś spod oka na milionera.

– Zaraz ci wytłumaczę – powiedział. – Większość rodzajów władzy wymaga istotnych poświęceń od tych, którzy pragną ją zdobyć. Zawsze najpierw przez wiele lat jesteś czeladnikiem i pracujesz ciężko, zmuszony do przestrzegania surowej dyscypliny, niezależnie od tego, kim chcesz zostać – prezesem zarządu, mistrzem świata w karate czy duchowym przywódcą sekty religijnej. Niezależnie co chcesz osiągnąć, musisz temu poświęcić swój czas i zdolności. Po prostu musisz z siebie coś dać. A kiedy już osiągniesz cel, nikt nie odbierze ci tego, co zdobyłeś, gdyż nosisz to w sobie.

Najbardziej interesujące w owym procesie jest to, że ktoś, kto nauczył się zabijać gołymi rękami, niejako przy okazji dojrzał na tyle, aby wiedzieć, że nie należy nadużywać tej umiejętności. Ten rodzaj władzy ma niejako wbudowany system kontroli. Dyscyplina, jakiej podlegałeś dążąc ku szczytowi, zmieniła cię, stałeś się ostrożny.

Jednak wiedza naukowa jest jak odziedziczone bogactwo, gdyż zdobycie jej nie wymaga żadnej dyscypliny. Czytasz, co inni zrobili przed tobą, i po prostu robisz następny krok. Możesz go zrobić będąc bardzo młodym i błyskawicznie dokonywać postępu. Nie ma nauki rzemiosła trwającej wiele dziesięcioleci, nie ma pasowania na mistrza; wręcz przeciwnie – starzy mistrzowie idą w zapomnienie. Nie ma pokory wobec natury. Jest tylko filozofia zrobienia w krótkim czasie jak największych pieniędzy i zdobycia możliwie największego rozgłosu. Oszukujesz, kłamiesz, dopuszczasz się fałszerstw? Nieważne, to bez znaczenia zarówno dla ciebie, jak i dla twoich kolegów. Nikt nie będzie cię krytykował, gdyż nikt nie przestrzega żadnych reguł. Wszyscy dążą do zrobienia czegoś wielkiego, i to jak najszybciej. A ponieważ wolno ci wspinać się na ramiona olbrzymów, często naprawdę udaje ci się coś osiągnąć. Zazwyczaj nawet nie wiesz dokładnie, co

takiego, ale na wszelki wypadek już to ogłosiłeś, opatentowałeś i sprzedałeś. Ten, kto to od ciebie kupił, będzie miał jeszcze mniej skrupułów. On po prostu kupił wiedzę, tak jak kupuje się wiele innych towarów. Nawet nie przyjdzie mu do głowy, że przydałaby się jakaś dyscyplina.

– Czy wy wiecie, o czym on mówi? – zapytał Hammond.

Ellie skinęła głową.

– Ja nie mam zielonego pojęcia – mruknął milioner.

– Przedstawię ci całe zagadnienie najprościej, jak tylko można – podjął Malcolm. – Mistrz karate nie zabija ludzi gołymi rękami. Nie traci panowania nad sobą i nie maltretuje na śmierć swojej żony. Człowiek, który zabija, to człowiek bez żadnych hamulców moralnych. Nabył on swoją siłę tak, jak kupuje się towar dzwoniąc pod numer telefonu podawany w reklamie telewizyjnej. Tego rodzaju siły dostarcza nauka, i dlatego właśnie uważasz, że zbudowanie Parku było prostą sprawą.

– Bo było! – powtórzył z uporem Hammond.

– Jeżeli tak, to dlaczego się nie udało?

* * *

Prawie nieprzytomny z emocji John Arnold gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi siłowni i wpadł w zaczynającą się zaraz za nimi ciemność. Boże, nic tu nie widać! Powinien był się domyślić, że nie będzie działało oświetlenie. Łapał otwartymi ustami zimne powietrze, zdając sobie sprawę z tego, że gdzieś niedaleko przed nim zaczyna się dwupiętrowa przepaść. Musi znaleźć metalową kładkę, i musi być bardzo ostrożny, bo w przeciwnym razie skręci sobie kark.

Kładka.

Wyciągnął przed siebie ręce jak ślepiec, ale szybko zdał sobie sprawę, że w ten sposób nic nie osiągnie. Musi znaleźć jakiś sposób na oświetlenie wnętrza budowli. Cofnął się do drzwi i uchylił je na dziesięć centymetrów; przez szparę wpadało wystarczająco dużo światła, ale w jaki sposób nie dopuścić do ich ponownego zamknięcia? Po krótkim namyśle ściągnął jeden but i wcisnął go między krawędź drzwi a futrynę.

Ruszył w kierunku doskonale widocznej kładki i wszedł na nią, posuwając się w stronę metalowych schodów prowadzących do generatorów. Jeszcze dziesięć metrów.

Ciemność.

Arnold zatrzymał się, spojrzał do tyłu i zobaczył, że w wejściu do budynku stanął dorosły welociraptor, zasłaniając sobą światło. Zwierzę schyliło się i uważnie obwąchało but.

* * *

Henry Wu chodził nerwowo po dyspozytorni, co jakiś czas dotykając klawiatur i ciemnych ekranów monitorów. Znajdował się w ciągłym ruchu, gdyż tylko w ten sposób mógł sobie poradzić z potwornym napięciem, które powoli doprowadzało go

do szaleństwa.

Po raz kolejny powtarzał w pamięci czynności, które musi błyskawicznie wykonać. Jak tylko włączy się pierwszy monitor, natychmiast naciśnie...

– Wu! – zaskrzeczało radio. Uczony złapał krótkofalówkę.

– Tak, jestem!

– Macie już zasilanie? – To był Muldoon, ale mówił jakimś dziwnym, głuchym głosem.

– Nie – odparł Wu. Odetchnął, szczęśliwy, że myśliwemu nic się nie stało.

– Wydaje mi się, że Arnold dobiegł do siłowni, ale nie mam pojęcia, co było potem – powiedział Muldoon.

– A gdzie teraz jesteś? – zapytał Wu.

– W rurze.

– Gdzie?!

– W cholernej rurze. I mam bardzo żywiołową publiczność.

* * *

Utknąłem w tej przeklętej rurze jak gówno w kanalizacji, pomyślał Muldoon. W pobliżu głównego budynku leżała sterta rur odpływowych metrowej średnicy, a on wlazł tyłem do pierwszej z nich. Było tu trochę ciasno, ale za to dinozaury nie mogły się do niego dobrać.

Pierwszemu, który zaczął węszyć koło wylotu rury, odstrzelił nogę. Raptor uciekł, wyjąc przeraźliwie, a pozostałe od razu nabrały szacunku. Muldoon żałował tylko, że nie poczekał z naciśnięciem spustu do chwili, kiedy w otworze pojawiła się głowa drapieżnika.

Być może jednak będzie miał szansę naprawić błąd, gdyż niedaleko kręciły się jeszcze trzy albo cztery prychające wściekle dinozaury.

– Cholernie żywiołową – powtórzył do mikrofonu.

– Czy Arnold ma przy sobie krótkofalówkę? – zapytał Wu.

– Chyba nie. Najlepiej siedź u siebie i staraj się to wszystko przeczekać.

Nie wiedział, jak wygląda drugi koniec rury, gdyż w chwili, kiedy się do niej chował, nie interesowały go takie szczegóły, a teraz nie miał już możliwości, żeby się o tym przekonać. Utkwił jak korek w butelce. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że nie ma tam dość miejsca, aby któryś z tych drani wpełzł do środka i odgryzł mu zadek.

* * *

Arnold cofał się po metalowej kładce, a welociraptor podążał za nim w odległości zaledwie trzech metrów, coraz bardziej zagłębiając się w półmrok panujący we wnętrzu budynku. Arnold wyraźnie słyszał chrobot, z jakim straszliwe pazury przesuwały się po metalu.

Mimo to poruszał się bardzo powoli, gdyż wiedział, że co prawda dinozaur z pewnością znakomicie widzi w ciemności, ale obecność mnóstwa obcych zapachów i

nieznane otoczenie sprawiły, że zwierzę nie czuło się zbyt pewnie. Arnold upatrywał w tym swojej jedynej szansy. Gdyby udało mu się dotrzeć do schodów i zejść na dół, na poziom generatorów...

Przecież welociraptory nie potrafią chyba chodzić po schodach, a już szczególnie po tak wąskich i stromych.

Arnold obejrzał się ostrożnie. Od schodów dzieliło go już tylko kilka kroków...

Nareszcie! Kiedy jego wyciągnięta do tyłu ręka trafiła na poręcz, natychmiast odwrócił się i czym prędzej zbiegł po niemal pionowych schodkach. Kiedy znalazł się już na betonowej posadzce, sześć metrów nad nim rozległo się wściekłe parsknięcie raptora.

– Nic z tego, koleś – mruknął Arnold.

Zapasowy generator powinien być gdzieś w pobliżu. Słabo widział w tym półmroku, ale na pewno zaraz znajdzie urządzenie, a wtedy...

Za jego plecami rozległo się donośne łupnięcie.

Arnold odwrócił się raptownie.

Welociraptor stał za nim, szczerząc ostre zęby.

Zeskoczył z kładki.

Inżynier rozejrzał się szybko w poszukiwaniu jakiejś broni, ale nagle poczuł potworne uderzenie, a w chwilę potem przekonał się, że leży na wznak, czując na piersi jakiś olbrzymi ciężar. Potrzebował kilku sekund, aby uświadomić sobie, że dinozaur stoi na nim, zagłębiając w jego ciało przeraźliwie ostre pazury. Zaczai krzyczeć jednak dopiero wtedy, kiedy poczuł na twarzy cuchnący oddech raptora.

* * *

Ellie ściskała oburącz radio, wsłuchując się w dobiegające z niego odgłosy. Do domku myśliwskiego dotarli jeszcze dwaj robotnicy, którzy widocznie także doszli do wniosku, że tutaj będą najbezpieczniejsi. Na zewnątrz zrobiło się jakby ciszej.

– Ile czasu już minęło? – zapytał Muldoon przez radio.

– Jakieś cztery, może pięć minut – odparł Wu.

– Arnold powinien już włączyć generator – powiedział myśliwy. – Masz może jakiś pomysł?

– Żadnego.

– Wiesz, co się dzieje z Gennaro?

Prawnik nacisnął guzik.

– Jestem tutaj – powiedział do mikrofonu.

– To znaczy gdzie, do diabła? – warknął Muldoon.

– W domku myśliwskim. Spróbuję dotrzeć do siłowni. Trzymajcie za mnie kciuki.

Gennaro przycupnął w krzakach i cały zamienił się w słuch.

Bezpośrednio przed sobą widział wysadzaną ozdobnymi roślinami dróżkę prowadzącą do głównego budynku. Z tego, co wiedział, wynikało, że siłownia powinna znajdować się trochę dalej na wschód. W koronach drzew świergotały ptaki, a wraz z podmuchami wiatru napływała rzadka mgła. W pewnej chwili rozległ

się ryk raptora, ale dobiegał z dość znacznej odległości, bardziej z prawej strony. Gennaro wystartował jak sprinter, przebiegł kilkanaście metrów i ponownie skrył się w zaroślach. Przypomniał sobie wymianę zdań z Muldoonem:

Ma pan ochotę na trochę niebezpieczeństw?

Nie za bardzo.

To prawda, nie miał ochoty, ale za to wydawało mu się, że ma plan, który przy odrobinie szczęścia może się powieść. Gdyby przez cały czas trzymał się na północ od głównego kompleksu budynków, wtedy zbliżyłby się do siłowni od tyłu, podczas gdy wszystkie raptory najprawdopodobniej zgromadziły się wokół zabudowań w południowej części sektora. Nie istniał żaden powód, dla którego miałyby pozostać w dżungli.

W każdym razie Gennaro miał taką nadzieję.

Poruszał się najciszej jak potrafił, zdając sobie jednak sprawę z tego, że czyni mnóstwo hałasu. Zmusił się do zwolnienia kroku, aby uspokoić walące w szalonym rytmie serce. Gęste zarośla ograniczały widoczność do zaledwie dwóch–trzech metrów, tak że w pewnej chwili zaczął się obawiać, czy nie minął już budynku siłowni, ale niemal w tej samej sekundzie dostrzegł po prawej stronie jego dach.

Ruszył w tamtym kierunku, przemknął wzdłuż ściany, znalazł drzwi, otworzył je i wślizgnął się do środka. We wnętrzu budynku panowała niemal całkowita ciemność. Nagle Gennaro potknął się o coś, nachylił i obmacał tajemniczy przedmiot.

Był to męski but.

Prawnik zmarszczył brwi, po czym otworzył szerzej drzwi i zaczął ostrożnie posuwać się naprzód. Wkrótce dotarł do metalowej kładki, ale nagle uświadomił sobie, że przecież właściwie nie wie, dokąd powinien się skierować, a swoją krótkofalówkę zostawił w domku myśliwskim.

Niech to szlag trafi!

A nuż uda mu się gdzieś znaleźć drugie radio? Poza tym może przecież po prostu poszukać generatora. Jeśli go znajdzie, na pewno rozpozna. Na zdrowy rozum powinien być na najniższej kondygnacji.

Kładka zaprowadziła Gennaro do metalowych schodków wiodących w dół, w jeszcze bardziej gęstą ciemność. Widoczność była tutaj tak słaba, że szedł przed siebie niemal po omacku, trzymając wyciągnięte w górę ręce, aby nie rozbić sobie o coś głowy.

Nagle usłyszał parsknięcie jakiegoś zwierzęcia i zamarł w bezruchu, nasłuchując, lecz odgłos już się nie powtórzył. Ponownie ruszył ostrożnie naprzód. Coś ciepłego kapnęło mu na odkryte ramię. Woda? Dotknął mokrego miejsca na skórze.

Palce natychmiast zaczęły mu się lepić. Powąchał je.

Krew.

Spojrzał w górę. Rozkraczony raptor stał na rurach zaledwie półtora metra nad jego głową. Ze szponów kapała krew. Gennaro zareagował z opóźnieniem: najpierw przemknęła mu przez głowę myśl, czy przypadkiem dinozaur nie jest ranny, a dopiero potem rzucił się do ucieczki. Zwłoka okazała się jednak fatalna w skutkach, gdyż welociraptor dał potężnego susa i wylądował mu na plecach, powalając go na

podłogę.

Gennaro nie był ułomkiem; błyskawicznie odwrócił się na wznak, strącając z siebie drapieżnika, i odtoczył się na bok. Kiedy spojrzał w kierunku raptora, przekonał się, że chyba rzeczywiście coś jest z nim nie w porządku, gdyż zwierzę leżało na boku, ciężko oddychając. Miało chyba kłopoty z jedną z tylnych łap.

Zabić.

Prawnik zerwał się na nogi, rozglądając się w poszukiwaniu czegoś, co mogło mu posłużyć jako broń. Kiedy ponownie spojrzał na dinozaura, przekonał się, że zwierzę zniknęło.

W ciemności rozległo się głośne parsknięcie.

Gennaro zatoczył szerokie koło, badając teren wyciągniętymi rękami. Nagle w prawym ramieniu poczuł ostry, przeszywający ból.

Zęby.

Raptor wbił zęby w jego ciało. Dinozaur szarpnął gwałtownie i Gennaro zwalił się z nóg.

* * *

Leżąc w przesiąkniętej potem pościeli, Malcolm przysłuchiwał się odgłosom dobiegającym z radia.

– Macie coś? – zapytał Muldoon.

– Nic – odparł Wu.

– Cholera! – zaklął myśliwy.

Nastąpiła długa cisza. Przerwało ją dopiero westchnienie Malcolma.

– Nie mogę się doczekać, jaki będzie jego kolejny plan – powiedział matematyk.

– Chciałbym, żeby wszyscy znaleźli się w domku myśliwskim, ale nie bardzo wiem, jak to zrobić – odezwał się ponownie Muldoon.

– Przed wejściem do głównego budynku stoi jeep – poinformował go Wu. – Myślisz, że zdążyłbyś do niego wskoczyć, gdybym przyjechał po ciebie?

– Może. Ale wtedy nikt nie zostanie w dyspozytorni.

– I tak nie ma tu wiele do roboty.

– Słuszna uwaga – zgodził się Malcolm. – Dyspozytornia bez elektryczności to raczej dość marna dyspozytornia.

– W porządku, spróbujmy – powiedział Muldoon. – Nie wygląda mi to najlepiej.

– Rzeczywiście, jak każda katastrofa – mruknął Malcolm.

– Raptory pójdą za nami – zauważył Wu.

– Mimo wszystko i tak jesteśmy tu w lepszej sytuacji – stwierdził matematyk. – Ruszajcie.

Zamknął oczy i oddychał głęboko, chcąc zebrać siły.

– Proszę się odprężyć – poradziła Ellie. – Powinien pan się oszczędzać.

– Wie pani, o czym my tu właściwie rozmawiamy? – zapytał. – Te wszystkie próby odzyskania panowania nad sytuacją... Rozmawiamy o liczącym sobie już pięćset lat zachodnim nastawieniu do życia. Zaczęło się to wtedy, kiedy Florencja była najważniejszym miastem na świecie. Podstawowe założenie nauki – że istnieje

nowy, obiektywny sposób patrzenia na rzeczywistość, racjonalny i niezależny od jakichkolwiek zewnętrznych czynników – było wówczas jeszcze nowe i niezmiernie ekscytujące, gdyż dawało nadzieję na przyszłość, niszcząc jednocześnie stary, liczący sobie wiele stuleci średniowieczny sposób patrzenia na życie, w którym dominowały feudalna polityka, religijne dogmaty i znienawidzone przesądy. Tak naprawdę chodziło jednak o to, że średniowieczny świat po prostu przestał już funkcjonować, gdyż nie pasował do nowych, nadchodzących właśnie czasów.

Malcolm przerwał na chwilę, gdyż jego ciałem wstrząsnął kaszel.

– Teraz jednak – podjął na nowo – to nauka jest tym systemem, który ma za sobą kilka wieków historii i, podobnie jak dawniej średniowieczne poglądy na świat, przestaje pasować do zmieniającej się rzeczywistości. Nauka zyskała tak ogromną potęgę, że nagle stały się jasne jej ograniczenia. W znacznej mierze właśnie z jej powodu żyjemy na małej, przeludnionej planetce, nie mogąc dojść do porozumienia, co dalej począć. Nauka nie potrafi nam w tym pomóc. Pozwoliła, byśmy zbudowali reaktor jądrowy, ale nie ostrzegła nas przed konsekwencjami. Dzięki niej wyprodukowaliśmy środki owadobójcze, ale nie zwróciła nam uwagi, że byłoby lepiej, gdybyśmy nie stosowali ich na tak ogromną skalę. Potworne zanieczyszczenie środowiska, z jakim mamy do czynienia, także zostało pośrednio spowodowane przez naukę. – Westchnął ciężko. – Wszyscy o tym wiedzą.

Zapadło milczenie. Malcolm leżał na wznak z zamkniętymi oczami i oddychał z wysiłkiem. Kiedy Ellie była już niemal pewna, że zasnął, niespodziewanie otworzył oczy i usiadł w łóżku.

– Niemal jednocześnie dokonały żywota wielkie intelektualne uzasadnienia sensu nauki. Od czasów Newtona i Kartezjusza podsuwano ludziom wizję całkowitego zapanowania nad światem. Nauka miała kontrolować wszystko, ponieważ rozszyfrowała prawa natury, lecz w dwudziestym wieku to twierdzenie legło w gruzach. Najpierw zasada nieoznaczoności Heisenberga określiła granice tego, czego możemy dowiedzieć się o subatomowej strukturze świata. Nie ma sprawy, przecież nikt z nas nie żyje w subatomowym świecie. Potem twierdzenie Goedela wyznaczyło podobne granice matematyce, która przecież jest oficjalnym językiem nauki. Do tej pory matematycy sądzili, iż ten język zawiera w sobie jedyną w swoim rodzaju stosowność, wywodzącą się bezpośrednio z uniwersalnych praw logiki. Teraz jednak wiemy, że to, co nazywamy „rozsądkiem”, jest tylko subiektywną grą, nie mającą w sobie naprawdę nic nadzwyczajnego.

A teraz teoria chaosu udowodniła, że niemożność przewidywania przyszłości stanowi nieodzowny składnik naszego codziennego życia. Ponieważ nie możemy przewidzieć nadejścia zwykłej burzy, cała wielka wizja nauki, licząca sobie wiele stuleci, cały ten wspaniały sen o zapanowaniu nad wszystkim, co nas otacza, rozsypały się w pył, a z nimi także wiara w dokonania nauki oraz przekonanie, że powinniśmy jej okazywać posłuszeństwo. Uczeni zawsze powtarzali, że może na razie jeszcze nie wiedzą wszystkiego, ale kiedyś na pewno się dowiedzą. Teraz jednak wiemy, że to były jedynie czcze przechwałki głupich dzieci, które są gotowe skoczyć z dachu wysokiego budynku tylko dlatego, iż wierzą, że potrafią latać.

– To bardzo surowa ocena – zauważył Hammond.

– Jesteśmy świadkami końca ery nauki. Nauka, podobnie jak inne przestarzałe systemy, niszczy samą siebie, gdyż zyskując coraz większą potęgę, okazuje się jednocześnie całkowicie niezdolna do sprawowania nad nią kontroli. Wydarzenia następują jedno po drugim z oszałamiającą prędkością. Pięćdziesiąt lat temu wszyscy mówili tylko o bombie atomowej, bo to była wówczas prawdziwa potęga. Nikt nie potrafił sobie wyobrazić nic groźniejszego. Mimo to, zaledwie dekadę później, zaczęto przebąkiwać o inżynierii genetycznej, która stanowi tysiąckroć poważniejsze zagrożenie, gdyż może stać się powszechnie dostępna. I stanie się. Zestawy do samodzielnego majsterkowania, eksperymenty w szkołach, tanie laboratoria dla terrorystów i dyktatorów. Wkrótce wszyscy zaczną sobie zadawać to samo pytanie: Co mam począć z władzą, która trafiła w moje ręce? Tak się składa, iż jest to właśnie pytanie, na które nauka nie potrafi udzielić odpowiedzi.

– Co wtedy nastąpi? – zapytała Ellie.

Malcolm wzruszył ramionami.

– Zmiana.

– Jaka zmiana?

– Wszystkie poważne zmiany przypominają śmierć – odparł. – Nie wiesz, co cię czeka na drugim brzegu, dopóki się na nim nie znajdziesz.

Zamknął oczy.

– Biedny człowiek... – westchnął Hammond, potrząsając głową.

Malcolm westchnął z rezygnacją.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak małe są szansę na to, żeby komukolwiek z nas udało się ujść stąd z życiem? – zapytał.

SZÓSTA ITERACJA

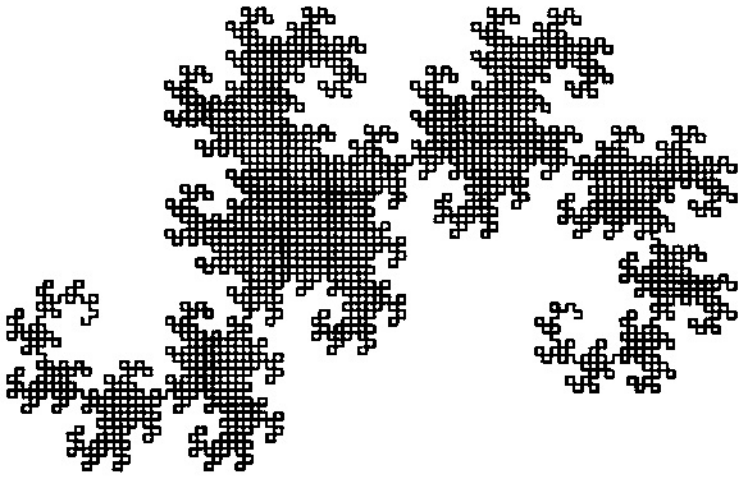

Powrót systemu do normalności może okazać się niemożliwy.

IAN MALCOLM

Powrót

Z wyciem elektrycznego silnika samochód pędził przed siebie podziemnym tunelem. Grant siedział za kierownicą, wciskając w podłogę akcelerator. Tunel na całej długości wyglądał dokładnie tak samo; jedyne urozmaicenie stanowiły pojawiające się od czasu do czasu otwory sięgających na powierzchnię przewodów wentylacyjnych, ale ponieważ ich sterczące na zewnątrz wloty były zabezpieczone przed deszczem, do środka przedostawało się bardzo mało światła. Uczony zdołał jednak w wielu miejscach dostrzec nagromadzone zwierzęce odchody. Nie ulegało wątpliwości, że tunel był często odwiedzany przez czworonożnych gości.

Siedząca obok niego Lex oświetliła latarką tył pojazdu, gdzie leżał młody welociraptor.

– Dlaczego on tak ciężko oddycha?

– Bo trafiłem go pociskiem usypiającym.

– Czy on umrze?

– Mam nadzieję, że nie.

– Po co go zabraliśmy?

– Aby udowodnić wszystkim, że dinozaury naprawdę się rozmnażają.

– Skąd pan wie, że się rozmnażają?

– Ponieważ ten osobnik jest bardzo młody, a w dodatku to samczyk – wyjaśnił Grant.

– Naprawdę? – zainteresowała się Lex i ponownie skierowała snop światła na uśpione zwierzę.

– Tak. Czy mogłabyś oświetlać drogę przed nami? – Nie odrywając wzroku od drogi, wyciągnął rękę w stronę dziewczynki. – Co widzisz na zegarku?

– Dziesięć... i piętnaście.

– W porządku.

– To znaczy, że mamy tylko czterdzieści pięć minut na skontaktowanie się ze statkiem – odezwał się Tim.

– Powinniśmy być niedaleko – powiedział Grant. – Wydaje mi się, że lada chwila dotrzemy na miejsce.

Nie był tego pewien, ale już jakiś czas temu odniósł wrażenie, iż tunel wznosi się łagodnie ku powierzchni.

– O rety! – wykrzyknął Tim.

Z oszałamiającą prędkością wypadli z ciemności w środek dnia. Wiatr rozwlekał strzępki rzadkiej mgły, częściowo zasłaniając wznoszący się bezpośrednio przed nimi budynek. Grant zorientował się natychmiast, że dotarli do głównego kompleksu zabudowań i znaleźli się przed samym garażem.

– Hura! – zawołała Lex. – Udało się!

Kiedy Grant wprowadzał pojazd do garażu, dziewczynka podskakiwała na siedzeniu jak piłka. Wzdłuż ścian stały puste klatki; w jednej z nich umieścili

nieprzytomnego welociraptora, wstawili miskę z wodą, po czym ruszyli po schodach na parter.

– Zaraz zjem hamburgera z frytkami i koktajlem czekoladowym! Koniec z dinozaurami! Hura!

Otworzyli drzwi do głównego holu i stanęli jak wryci.

Szklane drzwi prowadzące na zewnątrz budynku zostały roztrzaskane, a przez otwór do środka sączyła się biaława mgła. Tablica z napisem: KIEDY DINOZAURY WŁADAŁY ZIEMIĄ wisiała na jednym haku, kołysząc się w podmuchach wiatru. Wielki sztuczny tyranozaur runął na podłogę, prezentując swoje wypełnione metalowymi częściami wnętrze. Za szklanymi ścianami majaczyły sylwetki palm, ledwo widoczne za przesuwającą się powoli mgłą.

Dzieci skuliły się za przewróconym metalowym biurkiem, natomiast Grant włączył porzuconą przez kogoś krótkofalówkę i zaczął sprawdzać po kolei wszystkie kanały.

– Halo, tu Grant. Słyszy mnie ktoś? Halo, tu Grant...

Lex spojrzała w prawo i zobaczyła nieruchome nogi strażnika.

– Halo, tu Grant. Halo...

Dziewczynka wychyliła się zza biurka, ale paleontolog zatrzymał ją.

– Nie ruszaj się.

– Czy on nie żyje? A to na podłodze to krew?

– Tak.

– A dlaczego nie jest czerwona?

– Nie bądź turpistką! – skarcił ją brat.

– Wcale nie jestem. A co to znaczy?

Radio nagle ożyło.

– Mój Boże, Grant! Czy to naprawdę pan?

A potem:

– Alan!

To był głos Ellie.

– Tak, to ja.

– Dzięki Bogu! – wykrzyknęła Ellie. – Nic ci nie jest?

– Nic.

– A co z dziećmi? Widziałeś je?

– Są ze mną, całe i zdrowe.

– Dzięki Bogu.

Lex ponownie próbowała wychylić się zza biurka, i znów została za to skarcona.

– Wracaj na miejsce! – syknął uczony.

– Gdzie jesteście? – zatrzeszczało radio.

– W holu na parterze głównego budynku.

– A niech to! – zaklął Wu.

– Alan, słuchaj uważnie – powiedziała Ellie. – Raptory uciekły z zagrody. Potrafią otwierać drzwi. Możliwe, że są teraz w tym samym budynku co wy.

– Wspaniale. A gdzie wy jesteście? – zapytał uczony.

– W domku myśliwskim.

– A pozostali? Muldoon, wszyscy inni?

– Straciliśmy kilku ludzi, ale resztę udało się ściągnąć tutaj.

– Czy telefony już działają?

– Nie. Cały system szlag trafił. Nic nie działa.

– W jaki sposób można uruchomić komputer?

– Próbowaliśmy już, ale...

– Musimy natychmiast to zrobić – przerwał jej Grant. – Jeśli nam się nie uda, za pół godziny raptory dotrą na kontynent.

Zaczął wyjaśniać, co się stało, ale tym razem to jemu nie pozwolono dokończyć.

– Problem polega na tym, doktorze Grant, że my tutaj nie mamy nawet pół godziny – powiedział Muldoon.

– Dlaczego?

– Kilka raptorów poszło za nami i dwa z nich siedzą teraz na dachu.

– I co z tego? Przecież budynek jest zabezpieczony.

Muldoon chrząknął z irytacją.

– Wygląda na to, że jednak nie do końca. Nikt nie przypuszczał, że jakieś zwierzę zdoła dostać się na dach. – Coś zatrzeszczało w głośniku. – ...posadził drzewo za blisko ogrodzenia, a raptory wdrapały się na nie i weszły na dach. Stalowe osłony świetlików powinny być pod prądem, ale nie są, bo przecież nie ma energii. Raptory właśnie przegryzają pręty.

– Przegryzają pręty? – powtórzył Grant z niedowierzaniem. – Jak szybko?

– Mają potwornie silne szczęki – wyjaśnił myśliwy. – Siedem ton na centymetr kwadratowy. Mogą przegryźć nawet stal i...

Szum zagłuszył jego słowa.

– Jak szybko? – powtórzył Grant.

– Wydaje mi się, że mamy jeszcze dziesięć do piętnastu minut, zanim przegryzą wszystkie pręty i wedrą się do budynku – odparł Muldoon. – A kiedy już tu się znajdą... Chwileczkę, doktorze Grant.

Radio umilkło.

* * *

Raptory przegryzły pierwszy pręt w świetliku nad łóżkiem Malcolma. Jeden z dinozaurów chwycił za koniec pręta i odgiął go, po czym opuścił potężną tylną łapę na szklaną taflę, która z trzaskiem rozpadła się na niezliczone kawałki. Sporo z nich wylądowało na pościeli Malcolma. Ellie starannie zebrała największe, a mniejsze strząsnęła na podłogę.

– Boże, jakież to paskudztwa! – powiedział matematyk, spoglądając w górę.

Zgromadzeni w pokoju ludzie mogli teraz wyraźnie słyszeć parsknięcia raptorów oraz zgrzytanie ich zębów o metal. Z góry co chwila spadały cienkie metalowe wióry, a pienista ślina kapała na łóżko i stojący przy nim stolik.

– Na razie nie mogą wejść – powiedziała Ellie. – Dopiero kiedy przegryzą jeszcze jeden pręt...

– Może Grantowi uda się dostać do siłowni? – mruknął Wu z nadzieją.

– Już to widzę – warknął Muldoon. Przechadzał się nerwowo po pokoju, utykając nieco z powodu nadwerężonej kostki. – Ma za mało czasu. Nie zdąży uruchomić generatora.

Malcolm zakasłał słabo.

– Tak... – szepnął.

– Co on mówi? – zapytał myśliwy.

– Tak – powtórzył Malcolm. – Może...

– Co może?

– Odwrócić uwagę. – Skrzywił się z bólu.

– W jaki sposób?

– Podejść do... ogrodzenia...

– Tak? I co dalej?

– Wystawić rękę... i pomachać...

– O Jezu!

Muldoon odwrócił się z irytacją.

– Zaraz, chwileczkę! – wykrzyknął Henry Wu. – On ma rację. Na dachu są tylko dwa raptory, z czego wynika, że po terenie muszą się kręcić jeszcze co najmniej cztery. Moglibyśmy wyjść na zewnątrz, żeby odwrócić ich uwagę.

– I co?

– Wtedy Grant mógłby spokojnie wejść do siłowni, żeby uruchomić generator.

– A potem wrócić do dyspozytorni i włączyć komputer?

– Właśnie.

– Nie ma czasu – powtórzył Muldoon. – Nie ma czasu...

– Ale gdybyśmy zajęli czymś raptory, a może nawet zmusili je do zejścia z dachu... – nie dawał za wygraną Wu. – Moim zdaniem, warto spróbować.

– Przynęta?

– Otóż to.

– Kto ma nią zostać? Ja się nie nadaję. Ledwo chodzę.

– Ja zaryzykuję – oznajmił genetyk.

– Nic z tego. Ty jeden wiesz, jak obsługiwać ten cholerny komputer. Będziesz potrzebny Grantowi.

– W takim razie ja pójdę – zgłosił się Harding.

– Pan musi opiekować się Malcolmem – zaprotestowała Ellie.– Zobaczę, może mnie się uda.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odparł myśliwy. – Będzie pani otoczona ze wszystkich stron drapieżnikami...

Lecz Ellie już zajęła się sznurowaniem swoich sportowych pantofli.

– Tylko nic nie mówcie Grantowi – poprosiła. – Na pewno by się zdenerwował.

* * *

W wypełnionym mgłą holu panowała cisza. Radio milczało już od kilku minut.

– Dlaczego nic do nas nie mówią? – zapytał Tim.

– Jestem głodna – oznajmiła jego siostra.

– Na pewno starają się obmyślić jakiś plan – powiedział paleontolog.

Nagle krótkofalówka ożyła.

– Grant, jest pan tam? Mówi ...ry Wu. Jest pan tam?

– Jestem.

– W takim razie proszę mnie uważnie wysłuchać. Czy z miejsca, w którym teraz jesteście, widać tylną ścianę budynku recepcyjnego?

Grant wyjrzał na zewnątrz, gdzie między palmowymi drzewami wiatr przesuwał mleczne strzępy mgły.

– Tak.

– Tam właśnie zaczyna się ścieżka prowadząca prosto do siłowni. Zdaje się, że był pan tam wczoraj?

– Owszem – odparł Grant. Czy to naprawdę było dopiero wczoraj? Wydawało mu się, iż od tamtej pory minęły całe lata.

– Przypuszczamy, że uda nam się zwabić wszystkie raptory do domku myśliwskiego, ale nie jesteśmy tego pewni, więc proszę zachować ostrożność. Potrzebujemy pięciu minut.

– W porządku.

– Może pan zostawić dzieci w kafejce, powinny być tam bezpieczne. Aha, proszę koniecznie zabrać ze sobą krótkofalówkę!

– W porządku – powtórzył Grant.

– Przed wyjściem niech ją pan wyłączy, żeby nie narobiła na zewnątrz hałasu. Zamelduje się pan dopiero wtedy, kiedy uda się panu wejść do siłowni.

– Dobra.

Kiedy uczony wyłączył krótkofalówkę, natychmiast podpełzła do niego Lex.

– Idziemy do kafejki? – zapytała.

– Owszem.

Podnieśli się i ruszyli przez ścielącą się nisko nad podłogą, chłodną mgłę.

– Mam ochotę na hamburgera – oświadczyła dziewczynka.

– Obawiam się, że nic z tego nie będzie, bo nie ma prądu.

– W takim razie lody.

– Tim, zostaniesz z siostrą, żeby się nią opiekować.

– W porządku.

– Ja będę musiał wyjść na chwilę.

– Wiem.

Dotarli do kafejki. W środku znajdowały się kwadratowe stoliki, bufet ze słodyczami, kasa, a w przeciwległej ścianie jeszcze jedne, uchylne drzwi z nierdzewnej stali.

– W porządku, dzieciaki. Macie tu siedzieć bez względu na to, co się będzie działo. Rozumiecie?

– Niech pan zostawi nam radio – poprosiła Lex.

– Nie mogę. Będzie mi potrzebne. Siedźcie tu i nigdzie się nie ruszajcie, a ja wrócę najdalej za pięć minut, dobrze?

– Dobrze.

Grant wyszedł, zamykając za sobą drzwi. W pomieszczeniu zrobiło się zupełnie ciemno. Lex uczepiła się kurczowo ręki brata.

– Włącz światło – powiedziała.

– Nie mogę – odparł Tim. – Nie ma prądu. – Założył swoje noktowizyjne gogle.

– Tobie dobrze, bo coś widzisz, a co ze mną?

– Trzymaj mnie mocno za rękę. Pójdziemy wziąć sobie coś do jedzenia.

Poprowadził ją w kierunku bufetu, lawirując między stolikami i krzesłami. Kiedy dotarli na miejsce, podał siostrze garść słodyczy.

– Przecież mówiłam ci, że chcę lody, a nie cukierki! – zaprotestowała Lex.

– Weź to, co jest.

– Ja chcę loda!

– Już dobrze, dobrze. – Wepchnął cukierki do kieszeni i ruszył dalej. Lex pociągnęła go za rękę.

– Nic nie widzę! – poskarżyła się głośno.

– Trzymaj się mnie, to na pewno na nic nie wpadniesz.

– Dobrze, ale nie idź tak szybko.

Podwójne, uchylne drzwi z małymi okrągłymi szybkami najprawdopodobniej prowadziły do kuchni. Tim pchnął jedno skrzydło, które otworzyło się przed nimi szeroko.

* * *

Kiedy Ellie Sattler wyszła głównymi drzwiami przed domek myśliwski, natychmiast poczuła na twarzy i nogach liźnięcia chłodnej mgły. Serce biło jej w szaleńczym tempie, mimo iż zdawała sobie sprawę, że po tej strome ogrodzenia jest całkowicie bezpieczna. Przed sobą dostrzegła grube pręty, do których przywarły kłaczki mlecznobiałej mgły.

Jednak już dwadzieścia metrów dalej ściana mgły ograniczała widoczność do zera. Ellie rozglądała się uważnie dokoła, lecz nigdzie nie mogła dojrzeć rap torów.

– Hej! – zawołała półgłosem.

Muldoon oparł się o futrynę.

– Wątpię, czy to coś da – powiedział. – Musi pani narobić porządnego hałasu. – Utykając zniknął we wnętrzu budynku, a po chwili wrócił z metalowym prętem, pozostawionym przez robotników prowadzących prace budowlane, i zaczął walić nim w ogrodzenie. – Halo, podano do stołu! Zapraszamy na obiad!

– Bardzo zabawne! – mruknęła Ellie, zerkając nerwowo na boki. Ani śladu raptorów.

Muldoon uśmiechnął się.

– Przypuszczam, że nie znają angielskiego, ale chyba powinny domyślić się z kontekstu...

Ellie była bardzo zdenerwowana i wcale me bawiły jej żarty myśliwego. Spojrzała w kierunku skrytego za zasłoną mgły budynku recepcyjnego. W chwili kiedy Muldoon zaczął ponownie walić w pręty, na granicy pola widzenia dostrzegła

poruszającą się niczym zjawa sylwetkę zwierzęcia.

– Pierwszy gość – powiedział Muldoon.

Dinozaur zniknął, by zaraz zjawić się ponownie, lecz nie zbliżał się. Wydawał się dziwnie mało zainteresowany hałasem dobiegającym sprzed wejścia do domku myśliwskiego. Ellie ogarnął lęk, że jeśli nie uda jej się zwabić wszystkich drapieżników, Grant może znaleźć się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Robi pan za dużo hałasu.

– Dobre sobie! – parsknął myśliwy.

– Mówię panu.

– Kto jak kto, ale ja znam te zwierzaki i...

– Jest pan pijany – przerwała mu. – Proszę pozwolić mi spróbować.

– A jak się pani do tego zabierze?

Nie odpowiedziała, tylko podeszła do bramy.

– Podobno velociraptory są bardzo inteligentne?

– Co najmniej tak samo jak szympansy.

– I mają dobry słuch?

– Znakomity.

– W takim razie może rozpoznają ten dźwięk.

Ellie uchyliła bramę. Zardzewiałe zawiasy skrzypnęły przeraźliwie. Dziewczyna powtórzyła operację i zostawiła bramę otwartą.

– Na pani miejscu nie robiłbym tego – ostrzegł ją Muldoon. – A jeśli już, to proszę zaczekać, aż przyniosę miotacz.

– Więc proszę go przynieść. Myśliwy machnął z rezygnacją ręką.

– Nic z tego. Wszystkie pociski zabrał Gennaro.

– W takim razie proszę mieć oczy szeroko otwarte – powiedziała Ellie i wyszła na zewnątrz. Serce waliło jej jak młotem. Już po kilku krokach ogrodzenie zniknęło w gęstniejącej mgle.

Tak jak się spodziewała, Muldoon zaczął wrzeszczeć na nią z pijackim podnieceniem:

– Do jasnej cholery, dziewczyno, wracaj natychmiast!

– Proszę nie nazywać mnie dziewczyną! – odkrzyknęła.

– Będę cię nazywał jak tylko mi się spodoba!

Ellie zignorowała go. Obracała się powoli dokoła własnej osi, penetrując wzrokiem otaczający ją teren. Od ogrodzenia dzieliło ją co najmniej dwadzieścia metrów. Niesiona słabymi podmuchami wiatru mgła sprawiła, że świat stracił swoje zwykłe barwy, przywdziewając w zamian różne odcienie szarości. Bezwiednie napięła wszystkie mięśnie, aż poczuła ból w nogach i grzbiecie.

– Słyszysz mnie, do cholery?! – ryczał Muldoon.

Jak sprytne są te zwierzęta? – zastanawiała się. Czy aż tak sprytne, żeby okrążyć mnie, odcinając drogę ucieczki? Do ogrodzenia nie było wcale tak bardzo daleko, więc chyba...

Atak nastąpił w całkowitej ciszy.

Pierwsze zwierzę wyskoczyło z kępy krzewów rosnących wokół dużego drzewa po

lewej stronie. Ellie rzuciła się do ucieczki, lecz w tej samej chwili drugi raptor zaatakował z prawej strony, najwyraźniej z zamiarem odcięcia jej drogi odwrotu. Ellie przyśpieszyła gwałtownie, zakrzywione pazury tylko zadrasnęły jej nogę, a drapieżnik wylądował ciężko w miejscu, w którym jeszcze przed ułamkiem sekundy znajdowała się jego ofiara. Dziewczyna biegła co sił w nogach, nie oglądając się za siebie. Muldoon otworzył bramę, krzyknął coś, złapał ją za ramię, pociągnął mocno i rzucił na ziemię, po czym natychmiast zatrzasnął wejście. Ellie odwróciła się w samą porę, aby zobaczyć, jak trzy pędzące tuż za nią dinozaury uderzają z impetem w ogrodzenie i parskają wściekle, szczerząc ostre zęby.

– Dobra robota! – pochwalił ją Muldoon. Drażnił zwierzęta, pokrzykując na nie i naśladując odgłosy, jakie wydawały, co doprowadzało je do szału. Jeden z raptorów próbował sforsować ogrodzenie; podskoczył tak wysoko, że prawie mu się to udało. – A niech mnie licho! – wykrzyknął myśliwy. – Te dranie potrafią całkiem nieźle skakać!

Ellie podniosła się z ziemi, przyglądając się z niepokojem głębokiemu zadrapaniu na nodze, z którego sączyła się krew. Trzy raptory i przy ogrodzeniu, dwa na dachu... Oznaczało to, że gdzieś musi być jeszcze jeden. – Pomóż mi! – zawołał Muldoon. – Musimy je tu zatrzymać.

Grant wyszedł z budynku w gęstniejącą mgłę, znalazł ścieżkę prowadzącą miedzy palmami i skierował się nią na północ. Wkrótce dostrzegł przed sobą prostokątny zarys siłowni.

Nigdzie natomiast nie mógł znaleźć drzwi. Minąwszy narożnik budynku, znalazł się przy rampie wyładowczej dla ciężarówek, ale opuszczane stalowe wrota były zamknięte. Grant zeskoczył z powrotem na ziemię. Za następnym rogiem zobaczył wreszcie normalne drzwi; były uchylone i zabezpieczone przed zamknięciem męskim butem, który ktoś wsunął między ich krawędź a futrynę.

Uczony wszedł do środka i zmrużył oczy, usiłując dojrzeć cokolwiek w ciemności. Przez chwilę nasłuchiwał uważnie, ale w budynku panowała cisza. Włączył krótkofalówkę i podniósł ją do ust.

– Tu Grant – powiedział. – Jestem w środku.

* * *

Henry Wu spojrzał w górę na świetlik. Raptory nadal zaglądały do pokoju Malcolma, ale były wyraźnie zaintrygowane hałasami dobiegającymi sprzed głównego wejścia do budynku. Wu podszedł do okna; na zewnątrz trzy welociraptory bez przerwy szturmowały ogrodzenie. Ellie biegała w tę i z powrotem, bezpieczna za grubymi prętami, lecz zwierzęta sprawiały wrażenie, jakby przestało im zależeć na tym, żeby się do niej dostać. Można było wręcz pomyśleć, iż bawią się z nią, podążając wzrokiem za jej ruchami, parskając ze złością i od czasu do czasu skacząc bez większego przekonania na przeszkodę. Z pewnością nie był to już autentyczny atak, a raczej tylko przedstawienie na użytek publiczności.

– Zupełnie jak ptaki – zauważył Muldoon. – Popisują się.

Wu skinął głową.

– Są inteligentne i wiedzą, że nie uda im się przedostać przez ogrodzenie, więc nawet za bardzo nie próbują.

Nagle zatrzeszczało radio.

– ...dku.

Wu szybko złapał krótkofalówkę.

– Proszę powtórzyć, doktorze Grant.

– Jestem w środku.

– W siłowni?

– Tak – odparł paleontolog, po czym dodał: – Proszę mówić mi Alan.

– W porządku, Alan. Jeżeli wszedłeś przez drzwi we wschodniej ścianie, to widzisz teraz mnóstwo rur i zaworów. – Wu zamknął oczy, starając się odtworzyć w pamięci wnętrze budynku. – Prosto przed tobą znajduje się dwupiętrowa studnia, a po lewej stronie metalowa kładka z poręczami.

– Zgadza się.

– Wejdź na nią.

– Wchodzę.

Przez radio zaczai dobiegać zniekształcony odgłos dźwięczących kroków.

– Po mniej więcej ośmiu metrach powinieneś zobaczyć drugą kładkę, prowadzącą w prawo.

– Widzę ją.

– Skręć tam.

– W porządku.

– Lada chwila dotrzesz do drabiny, która będzie po lewej stronie.

– Jestem już przy niej.

– Zejdź na sam dół.

Nastąpiła długa cisza. Wu nerwowo przyczesywał ręką włosy, a Muldoon zmarszczył brwi.

– Dobra, jestem na dole – odezwał się wreszcie Grant.

– Znakomicie – odparł Henry Wu. – Bezpośrednio przed tobą powinny być dwa wielkie żółte zbiorniki z napisami: OSTROŻNIE Z OGNIEM.

– Są. Pod spodem jest napisane coś jeszcze, ale po hiszpańsku.

– Zgadza się. To zbiorniki z paliwem dla generatora. Jeden z nich jest już pusty, więc musimy podłączyć drugi. Jeśli przyjrzysz się ich dolnej części, zobaczysz białą rurę wychodzącą z dna jednego i drugiego.

– Czterocalowa z PCV?

– Tak jest. Idź wzdłuż niej.

– Dobra, idę... O, cholera!

– Co się stało?

– Nic. Walnąłem się w głowę.

Cisza.

– Wszystko w porządku, Alan?

– Tak, tylko zdrowo się grzmotnąłem.

– Idź wzdłuż rury.

– Dobrze, dobrze... – W głosie paleontologa pojawiła się nuta irytacji. – Rura dochodzi do dużej aluminiowej skrzyni z otworami wentylacyjnymi w bocznych ściankach. Na skrzyni jest napis: HONDA. Wygląda mi na generator.

– Bo to jest generator – odparł Wu. – Z boku znajdziesz małą tablicę kontrolną z dwoma przyciskami.

– Mam ją. Żółty i czerwony?

– Zgadza się. Naciśnij teraz żółty, przytrzymaj go i naciśnij czerwony.

– Dobra.

Tym razem cisza trwała prawie minutę. Wu i Malcolm wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Alan?

– Nic z tego – odparł Grant.

– Przytrzymałeś najpierw żółty, i dopiero później nacisnąłeś czerwony? – zapytał Wu.

– Tak, do diabła! – warknął paleontolog. – Zrobiłem dokładnie to, co kazałeś. Coś zaszumiało, zaterkotało, a potem zrobiło się cicho.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Już spróbowałem – poinformował go Grant. – Żadnego efektu.

– Dobra, zaczekaj chwilę. – Wu zmarszczył brwi. – Wygląda na to, że generator chce wystartować, ale z jakiegoś powodu nie może... Alan?

– Tak?

– Obejrzyj miejsce, w którym plastikowa rura łączy się z generatorem.

– Dobra. – A po krótkiej przerwie: – Jest tu taki czarny cylinder, który wygląda na pompę paliwową.

– Zgadza się. Poszukaj na wierzchu małego zaworu.

– Zaworu?

– Powinien trochę wystawać nad powierzchnię i mieć małe metalowe pokrętło.

– Znalazłem, tyle że z boku, nie na wierzchu.

– W porządku. Odkręć go.

– Ucieka powietrze.

– To dobrze. Zaczekaj, aż...

– A teraz wypływa coś mokrego. Śmierdzi jak ropa.

– Znakomicie. Zakręć zawór. – Wu spojrzał na Muldoona i potrząsnął głową. – Zapowietrzona pompa, Alan?

– Słucham?

– Spróbuj jeszcze raz z guzikami.

Chwilę później Wu usłyszał wyraźne prychnięcie, a potem jednostajny terkot generatora.

– Działa! – oznajmił Grant.

– Dobra robota, Alan!

– Co teraz? – zapytał po kilku sekundach Grant bez cienia entuzjazmu w głosie. – Nie zapaliła się ani jedna żarówka.

– Wracaj do dyspozytorni, to powiem ci, jak uruchomić ręcznie cały system.

– To właśnie będziemy teraz robić?
– Tak.
– Dobra. Odezwę się, jak tam dojdę. Rozległo się pstryknięcie i zapadła cisza.
– Alan?
Radio milczało jak zaklęte.

* * *

Tim wszedł do kuchni przez uchylne drzwi łączące ją z salą jadalną. Pośrodku stał wielki stół ze stali nierdzewnej, po lewej stronie znajdował się ogromny piec z mnóstwem palników, a nieco dalej kilka sięgających od podłogi do sufitu lodówek. Chłopiec zaczął otwierać jedną po drugiej, szukając lodów.
– Dlaczego piec jest włączony? – zapytała Lex, uwalniając rękę brata z uścisku.
– Nie jest.
– Wszędzie palą się małe niebieskie ogniki.
– To zapalarki.
– Co to jest zapalarka?
Lex znała tylko kuchenki elektryczne.
– Nieważne – odparł Tim, otwierając kolejną lodówkę. – Ale z tego wynika, że będę mógł coś ugotować.
W następnej znalazł prawdziwe skarby – mleko, warzywa, steki – ale żadnych lodów.
– Wciąż jeszcze masz ochotę na lody?
– Chyba ci powiedziałam, prawda?
Ostatnia lodówka była większa od innych. Miała szerokie drzwi zaopatrzone w pokrętło z chromowanej stali. Kiedy otworzył je, okazało się, że za nimi znajduje się właściwie mały pokój, w którym panuje bardzo niska temperatura.
– Timmy...
– Możesz choć na chwilę przestać marudzić? – parsknął ze zniecierpliwieniem. – Przecież szukam tych twoich lodów!
– Timmy... Tu coś jest.
Wyszeptała to tak cicho, że dopiero po sekundzie lub dwóch znaczenie jej słów utorowało sobie drogę do świadomości chłopca. Tim wybiegł z chłodni i ujrzał siostrę stojącą nieruchomo przy wielkim stole i wpatrzoną w drzwi wejściowe do kuchni.
W ciszy, jaka zapanowała w pomieszczeniu, dało się słyszeć ledwo uchwytne syczenie. Mógł to być dobiegający z zewnątrz odgłos wiatru, ale Tim wiedział, że tak nie jest.
– Timmy? – szepnęła Lex. – Ja się boję...
Chłopiec podkradł się na palcach do uchylnych drzwi i ostrożnie spojrzał przez szparę między skrzydłami z nierdzewnej stali.
W sali jadalnej dostrzegł majaczące w ciemności kwadraty stolików oraz przesuwającego się między nimi welociraptora. Można było wziąć go za zjawę, gdyby nie cichy syk, z jakim w regularnych odstępach nabierał powietrza w płuca.

* * *

Grant szedł ostrożnie wzdłuż rur, kierując się z powrotem ku metalowej drabinie. W ciemności mógł się posługiwać tylko dotykiem, a orientację utrudniał mu jeszcze bardziej odgłos pracy generatora. Kiedy wreszcie dotarł do drabiny i ruszył w górę, uświadomił sobie, że oprócz rytmicznego terkotu urządzenia słyszy coś jeszcze.

Znieruchomiał, nasłuchując. Czyjeś wołanie.

Chyba Gennaro.

– Gdzie pan jest? – krzyknął Grant.

– Tutaj! – odparł Gennaro. – W samochodzie!

Grant nigdzie nie mógł dostrzec żadnego samochodu. Wytężył wzrok, usiłując dojrzeć cokolwiek w ciemności. Na granicy pola widzenia zamajaczyły mu jakieś zielonkawe, poruszające się kształty, i niemal jednocześnie zauważył samochód. Nie zwlekając skierował się w stronę pojazdu.

* * *

Cisza była tak przerażająca, że Timowi włosy zjeżyły się na głowie.

Welociraptor miał około dwóch metrów wysokości i był potężnie zbudowany. Stoliki zasłaniały jego silne nogi i gruby ogon. Tim widział jedynie umięśniony tułów oraz dwie przednie łapy zakończone ostrymi pazurami. Raptor nie czuł się zbyt pewnie, gdyż bez przerwy wykonywał głową gwałtowne ruchy, obracając ją na boki. Jednocześnie głowa, wraz z całą szyją, poruszała się w górę i w dół, co upodabniało go do ogromnego ptaka.

W sali było ciemno, lecz drapieżnikowi chyba zbytnio to nie przeszkadzało, gdyż powoli, ale stale, szedł naprzód. Od czasu do czasu pochylał się, kryjąc głowę za stolikami, a do uszu Tima docierał wtedy wyraźny odgłos węszenia. Zaraz potem głowa pojawiała się ponownie, w dalszym ciągu wykonując szybkie, ptasie ruchy.

Chłopiec obserwował go tak długo, aż nabrał pewności, że welociraptor kieruje się w stronę kuchni. Czyżby wyczuł ich zapach? Co prawda autorzy książek twierdzili zgodnie, że dinozaury nie miały zbyt czułego węchu, ale ten radził sobie całkiem nieźle. Poza tym, jakie znaczenie może mieć to, co jest w książkach, gdy rzeczywistość przedstawiała się zupełnie inaczej?

I zbliżała się z każdą sekundą.

Tim cofnął się chyłkiem w głąb kuchni.

– I co, jest tam coś? – zapytała szeptem Lex.

Chłopiec nie odpowiedział, tylko wepchnął ją pod stojący w kącie mniejszy stolik, tuż obok kosza na śmieci, nachylił się, szepnął jej do ucha „Nie ruszaj się!”, i pobiegł do lodówki, gdzie złapał kilka zamrożonych befsztyków, wrócił szybko do drzwi, położył jeden na podłodze, cofnął się kilka kroków, położył drugi...

Lex wychyliła ostrożnie głowę zza kosza, więc nakazał jej gestem, żeby natychmiast się schowała. Trzeci befsztyk... Czwarty...

Syczenie stawało się coraz głośniejsze, aż wreszcie drzwi uchyliły się i do kuchni

wsunęła się ostrożnie wielka głowa.

Welociraptor zatrzymał się w wejściu.

Tim zamarł w półprzysiadzie blisko przeciwległej ściany pomieszczenia, tuż obok stalowej nogi ogromnego stołu. Nie zdążył się schować, więc jego głowa i ramiona znalazły się w polu widzenia dinozaura. Chłopiec powoli ugiął nogi w kolanach, żeby ukryć się za stołem...

Raptor wykonał gwałtowny ruch głową i spojrzał wprost na niego. Tim ponownie znieruchomiał jak skała. Nie wolno ci drgnąć, powtarzał w duchu.

Welociraptor stał jak posąg w drzwiach kuchni.

I węszył.

Tutaj jest jeszcze ciemniej, pomyślał Tim. On nie ma dobrego wzroku, dlatego jest taki ostrożny. Nagle poczuł obrzydliwy, stęchły zapach wielkiego gada i ujrzał przez noktowizyjne gogle, jak raptor bezgłośnie otworzył szeroko długi pysk, prezentując w całej okazałości ostre jak brzytwa zęby. Zaraz potem drapieżnik ruszył naprzód, rozglądając się uważnie dokoła i poruszając gałkami ocznymi umieszczonymi w oczodołach otoczonych kostnymi naroślami.

Timowi serce waliło głośno w piersi. Spotkanie z takim przeciwnikiem w małym, zamkniętym pomieszczeniu było jeszcze bardziej niebezpieczne niż na otwartym terenie. Potężna budowa, szybkie ruchy, odrażający zapach, syczący oddech...

Oglądany z bliska, welociraptor budził znacznie większe przerażenie niż tyranozaur. Tamten był duży i silny, ale nie za bardzo bystry, podczas gdy raptor, niewiele przewyższający rozmiarami człowieka, odznaczał się inteligencją i szybkością. Dzikie oczy wywoływały niemal taki sam lęk jak ostre zęby.

Welociraptor wciągnął głośno powietrze i... skierował się prosto w stronę Lex! Prawdopodobnie poczuł jej zapach. Krew uderzyła Timowi do głowy.

Nagle drapieżnik zatrzymał się i pochylił.

Znalazł befsztyk!

Tim marzył o tym, żeby jak najszybciej schować się za stołem, ale nie śmiał się poruszyć. Stał jak skamieniały w niewygodnym półprzysiadzie, wsłuchując się w odgłosy chrupania i mlaskania. Dinozaur pożerał zamarznięty befsztyk.

Raptor wyprostował smukłą szyję, rozejrzał się szybko i wciągnął głośno powietrze. Zwęszył drugi befsztyk, gdyż postąpił dwa kroki naprzód, schylił się...

Cisza.

Nie zjadł przynęty. Głowa pojawiła się ponownie. Tim nie czuł już napiętych mięśni, ale w dalszym ciągu nie wykonał najmniejszego ruchu.

Dlaczego dinozaur nie pożarł drugiego befsztyka? Chłopcu jedno za drugim przelatywały przez głowę najróżniejsze wytłumaczenia: nie smakował mu ten pierwszy, nie lubił zimnych potraw, nie spodobało mu się, że pożywienie przed nim nie ucieka, domyślił się, że to pułapka, zwęszył Lex, zwęszył Tima, zobaczył Tima...

Teraz zwierzę zaczęło poruszać się bardzo szybko. Znalazło trzeci befsztyk, przyjrzało mu się, podniosło głowę i ruszyło naprzód.

Chłopiec wstrzymał oddech. Dinozaur był zaledwie kilka kroków od niego. Tim wyraźnie widział drżenie mięśni zwierzęcia, zakrzepniętą krew na jego pazurach,

skomplikowany wzór ciemnych linii tworzących pręgi na grzbiecie oraz fałdy skóry na szyi pod dolną szczęką.

Welociraptor wciągnął głośno powietrze i spojrzał prosto na chłopca. Niewiele brakowało, a Tim wrzasnąłby ze strachu. Stojąc wciąż nieruchomo jak posąg, obserwował zwierzę, które, wciąż wpatrując się w niego, ponownie zaczęło głośno węszyć.

Ma mnie, pomyślał Tim.

Niespodziewanie raptor gwałtownym ruchem odwrócił głowę i ruszył w kierunku piątego befsztyka. – Lex, błagam cię, nie ruszaj się! – modlił się w duchu chłopiec. – Nie ruszaj się, bez względu na to, co się stanie, nie ruszaj się...

Welociraptor dotarł już do otwartych drzwi chłodni. Z zimnego wnętrza wydobywały się kłęby pary, ścieląc się nisko na podłodze kuchni. Dinozaur zawahał się. Za zimno, pomyślał Tim. Nie wejdzie tam, bo jest za zimno, za zimno, za zimno...

Dinozaur wszedł do chłodni.

Najpierw w środku zniknęła głowa, potem tułów, a na końcu gruby, sztywny ogon.

Chłopiec wystartował jak wystrzelony z procy, naparł na drzwi całym ciężarem ciała i zatrzasnął je, ale uczynił to ułamek sekundy za wcześnie, gdyż przyciął koniec ogona drapieżnika. Raptor ryknął przeraźliwie, Tim odruchowo zwolnił nacisk, koniec ogona schował się do lodówki, i drzwi zamknęły się szczelnie.

– Lex! Lex!!!

Z wnętrza chłodni dobiegał potworny łomot. Chłopiec wiedział, że dinozaur zaatakuje teraz drzwi z nierdzewnej stali, i jeśli przypadkiem trafi na podłużny, szeroki przycisk zwalniający zatrzask, otworzy je bez najmniejszego trudu.

Dziewczynka znalazła się u jego boku.

– Czego chcesz?

Tim starał się zablokować długą, poziomą klamkę.

– Gdzieś tu powinna być zatyczka! Metalowa zatyczka! Poszukaj jej!

Welociraptor zaryczał jak lew i rąbnął w drzwi całym ciężarem ciała.

– Nic nie widzę! – poskarżyła się płaczliwie Lex.

Zawleczka kołysała się pod klamką na krótkim łańcuszku.

– Jest tutaj!

– Nie widzę! – wrzasnęła dziewczynka i Tim dopiero wtedy uświadomił sobie, że przecież jego siostra nie ma gogli.

– Wymacaj ją!

Zobaczył, jak wyciąga drobną, trzęsącą się rączkę, próbując złapać rozkołysaną zatyczkę, i poczuł, jak bardzo się boi; usłyszał, że Lex chwyta powietrze szybkimi, płytkimi oddechami, ale zaraz potem przestał zwracać na to uwagę, gdyż drapieżnik ponowił atak i drzwi otworzyły się – mój Boże, otworzyły się!!! – ale na szczęście dinozaur nie spodziewał się tego, gdyż natychmiast cofnął się, by nabrać rozpędu, i Tim zdążył je ponownie zatrzasnąć.

– Mam ją! – wykrzyknęła triumfalnie Lex. Wsunęła zatyczkę w otwór, ale

metalowy bolec natychmiast się wysunął.

– Z góry! Wsadź ją z góry!

Znalazła ją po omacku, drugą ręką ustaliła położenie otworu w górnej części klamki i jeszcze raz wsunęła zatyczkę, tym razem od właściwej strony.

Klamka została zablokowana.

Dzieci cofnęły się o krok. Zamknięty w chłodni welociraptor ryczał wściekle i co kilka sekund rzucał się na drzwi, które groźnie trzeszczały, ale nie ustępowały ani na centymetr. Tim miał nadzieję, że dinozaurowi nie uda się ich sforsować.

Znalazł się w pułapce.

Chłopiec westchnął z ulgą.

– Znikamy stąd – powiedział.

Wziął siostrę za rękę i poprowadził ją z powrotem do jadalni.

* * *

– Szkoda, że ich pan nie widział – powiedział Gennaro, zmierzając wraz z Grantem w kierunku wyjścia z siłowni. – Było ich co najmniej dwadzieścia sztuk. Procompy. Musiałem schować się przed nimi w samochodzie. Obsiadły maskę i czekały jak sępy, ale uciekły, jak tylko pan się pojawił.

– To padlinożercy – odparł Grant. – Atakują tylko wtedy, jeśli są pewne, że ofiara nie żyje albo jest bliska śmierci.

Zaczęli wspinać się po metalowej drabinie.

– Co się stało z raptorem, który pana zaatakował? – zapytał Grant.

– Nie mam pojęcia.

– Uciekł?

– Nie widziałem, bo sam przed nim uciekałem. Udało mi się tylko dlatego, że był ranny. Muldoon chyba trafił go w nogę, bo mocno krwawił. Nie wiem, co zrobił potem. Może wyszedł na zewnątrz, może zdechł tutaj? Nie mam pojęcia.

– A może jeszcze tu jest? – mruknął Grant.

Wu przyglądał się przez okno raptorom biegającym po drugiej stronie ogrodzenia. Wydawały się bawić w najlepsze, pozorując ataki na Ellie. Zachowywały się w ten sposób już od dłuższego czasu – chyba nawet od zbyt długiego. Zupełnie jakby to nie Ellie starała się zaprzątnąć ich uwagę, tylko one jej.

Do tej pory Wu nigdy nie zawracał sobie głowy zachowaniem dinozaurów. Miał do tego pełne prawo, bo przecież zachowanie stanowiło zaledwie wtórny efekt działania DNA, a poza tym nie można było go ani przewidzieć, ani efektywnie kontrolować. Namiastkę sprawowania prawdziwej kontroli stanowiło uzależnienie zwierząt od podawania w pokarmie jakiegoś składnika niezbędnego dla prawidłowego funkcjonowania ich organizmów, ale, ogólnie rzecz biorąc, behawior zwierząt wymykał się jednoznacznemu rozumieniu. Patrząc na cząsteczkę DNA, nie sposób było przewidzieć, jak będzie zachowywać się dane zwierzę.

Dlatego właśnie Wu traktował swoją pracę jako zadanie czysto empirycznej natury. Rekonstruując łańcuch DNA, czuł się jak majsterkowicz grzebiący w zepsutym budziku dziadka, gdyż miał do czynienia z czymś niezmiernie starym,

zrobionym ze starych materiałów i działającym według bardzo starych zasad. Nikt właściwie nie wiedział, jak funkcjonuje ten mechanizm, w dodatku na przestrzeni milionów lat wielokrotnie udoskonalany i zmieniany siłami samej natury. Wu, niczym majsterkowicz, który po dokonaniu drobnego ulepszenia nakręca budzik, aby sprawdzić, czy zacznie dokładniej odmierzać czas, zmieniał to lub owo, a następnie czekał, aby przekonać się, jak modyfikacja wpłynie na zachowanie zwierząt. Interweniował jedynie w najpoważniejszych przypadkach, takich jak ustawiczne niszczenie ogrodzeń albo zadawanie sobie głębokich ran w wyniku długotrwałego ocierania się o pnie drzew. Jeżeli takie zdarzenia miały miejsce, on, Henry Wu, dokonywał niezbędnych poprawek w projekcie.

Poruszając się przez cały czas po terenach położonych bardzo blisko granicy ludzkiej wiedzy, miał do swoich dinozaurów stosunek nacechowany szczyptą niepewności, gdyż nie był w stanie zaręczyć, że zachowują się one dokładnie tak, jak zachowywali się ich kuzyni z przeszłości.

Choć nigdy by się do tego przed nikim nie przyznał, to wyjście na jaw faktu, że zwierzęta zamieszkujące Isla Nublar są zdolne do rozrodu, sprawiło mu ogromną radość, gdyż potwierdziło jednoznacznie, iż udało mu się prawidłowo poskładać wszystkie cegiełki. Stworzył na nowo wymarłe przed milionami lat zwierzęta z taką precyzją, że zaczęły się rozmnażać.

Mimo to, przyglądając się dokazującym za oknem dinozaurom, doznawał mieszanych uczuć. Raptory były inteligentne, a inteligentne zwierzęta powinny się prędko znudzić mało urozmaiconą zabawą. Inteligentne zwierzęta są także zdolne do tworzenia skomplikowanych planów, które...

Z pokoju Malcolma wyszedł Harding.

– Gdzie Ellie?

– Jeszcze na zewnątrz.

– Lepiej niech wraca. Raptory odeszły od świetlika.

– Kiedy? – zapytał z niepokojem Wu, kierując się do drzwi.

– Przed chwilą.

Wu otworzył frontowe drzwi.

– Ellie, wracaj!

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Dlaczego? Przecież wszystko jest pod kontrolą.

– Szybko!

Potrząsnęła głową.

– Wiem, co robię – odparła.

– Ellie, do cholery!

Muldoonowi zupełnie nie podobało się, że Wu stoi w otwartych drzwiach. Miał już mu to powiedzieć, kiedy nagle zobaczył spadający z góry cień i w ułamku sekundy zrozumiał, co się stało. Genetyk zniknął, jakby trafił go jakiś ogromny pocisk, a niemal jednocześnie rozległ się przeraźliwy krzyk Ellie. Muldoon podbiegł do drzwi, wyjrzał na zewnątrz i zobaczył Wu leżącego na plecach z rozpłatanym brzuchem. Uczony jeszcze żył, ale raptor już zdążył wyszarpnąć mu większość

wnętrzności; Wu próbował odepchnąć potężny pysk, lecz bez efektu, bo drapieżnik pożerał go żywcem. Ellie przestała krzyczeć i rzuciła się do ucieczki, a oszołomiony i przerażony Muldoon zatrzasnął drzwi. Boże, wszystko rozegrało się tak szybko!

– Zeskoczył z dachu? – zapytał Harding.

Myśliwy skinął głową. Podbiegł do okna i zobaczył, że trzy raptory przebywające po drugiej stronie ogrodzenia biegną z ogromną prędkością, ale wcale nie za Ellie. Skierowały się prosto ku głównemu budynkowi.

* * *

Grant podszedł do drzwi i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. We mgle rozległo się zbliżające się szybko parskanie raptorów. W chwilę potem ujrzał troje zwierząt pędzących w stronę budynku mieszczącego między innymi dyspozytornię i główny punkt recepcyjny dla turystów.

Paleontolog spojrzał pytająco na Gennaro, ale ten pokręcił głową.

Grant nachylił się do niego i szepnął:

– Nie mamy wyboru. Trzeba uruchomić komputer.

Wszedł w kłębiącą się mgłę, a chwilę później uczynił to także Gennaro.

* * *

Ellie nie zastanawiała się ani przez moment. Gdy tylko raptory zeskoczyły z dachu domku myśliwskiego i dopadły Wu, odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Biegła co sił w nogach ku drugiemu końcowi budynku. Między ścianą a ogrodzeniem znajdował się tam przesmyk mniej więcej pięciometrowej szerokości. Biegła, słysząc tylko własny oddech, a kiedy wypadła zza rogu i zobaczyła drzewo rosnące tuż przy budynku, niewiele myśląc złapała za najniższą gałąź. Wspinając się nie czuła paniki, tylko coś w rodzaju dającego ogromne siły podniecenia.

Od ziemi dzieliły ją już cztery metry, a nadal nie widać było pogoni. Ellie odprężyła się nieco, ale w chwilę potem pod drzewem pojawił się pierwszy raptor. Był cały zbroczony krwią, a z pyska zwisały mu jakieś obrzydliwe strzępy. Dziewczyna natychmiast ruszyła wyżej, przechodząc z gałęzi na gałąź najszybciej jak tylko mogła, aż wreszcie niemal zrównała się z poziomem dachu. Dopiero wtedy pozwoliła sobie na krótką przerwę i spojrzała w dół.

Dwa rap tory wspinały się za nią po drzewie.

Znajdowała się niewiele ponad metr od krawędzi dachu. Nieco dalej z mgły wyłamały się szklane piramidki świetlików. Na dach prowadziło także awaryjne wyjście, którym teraz powinno jej się udać dostać do środka. Złapała się oburącz gałęzi wyrastającej z pnia pół metra nad jej głową, rozhuśtała się i w momencie największego wychylenia zwolniła uchwyt. Rozciągnęła się na dachu jak długa, zdrapując skórę z kolan i twarzy, ale niczego nie poczuła. Natychmiast zerwała się na równe nogi i podbiegła do drzwi. Za plecami słyszała gniewne parskania i trzeszczenie gałęzi. Raptory były jeszcze na drzewie.

Szarpnęła klamkę.

Drzwi były zamknięte od środka.

Minęła dłuższa chwila, zanim znaczenie tego faktu utorowało sobie drogę do jej świadomości poprzez niczym nie uzasadnioną euforię. Drzwi były zamknięte, ona zaś stała na dachu i nie mogła wejść do środka.

Drzwi były zamknięte.

Zaczęła łomotać w nie pięściami, a potem pobiegła na drugi koniec dachu, mając nadzieję, że uda się jej zeskoczyć. Niestety, w dole ujrzała majaczący przez mgłę zarys basenu otoczonego betonowym chodnikiem. Odległość wynosiła co najmniej cztery metry. Zdecydowanie za dużo, żeby skakać, a zejść nie bardzo jest po czym. Żadnych schodów, drabin ani drzew.

Po prostu nic.

Ellie odwróciła się gwałtownie, tylko po to jednak, aby zobaczyć, jak raptory bez wysiłku przeskakują z drzewa na dach. Czując, że ogarnia ją coraz większe przerażenie, rozejrzała się dokoła, ale nie dostrzegła niczego, co mogłoby okazać się w jakikolwiek sposób pomocne.

Dinozaury powoli ruszyły w jej stronę. Ellie spojrzała w dół, ku betonowemu obrzeżu basenu.

Cztery metry...

Za wysoko.

Raptory zbliżały się coraz bardziej, starając się zajść ofiarę z dwóch stron. Czy wszystko musi kończyć się właśnie w taki sposób, przez jakiś głupi, mało istotny błąd? Podniecenie jeszcze nie opuściło Ellie i jakoś nie mogła uwierzyć, że za chwilę padnie ofiarą prehistorycznych stworzeń. Wydawało się, że to po prostu niemożliwe. Przecież jest pełna energii, nie poddaje się, więc dlaczego coś miałoby się jej stać?

Raptory parsknęły wściekle, a Ellie cofnęła się o krok, po czym nabrała w płuca powietrza i wystartowała w kierunku krawędzi dachu. W ostatnim ułamku sekundy zobaczyła gdzieś hen, w dole, otulony mgłą basen i choć wiedziała, że dzieli ją od niego zbyt duża odległość, to pomyślała: „A co mi tam", i odbiła się najmocniej, jak potrafiła.

Miała wrażenie, że leci nieprawdopodobnie długo, a potem nagle znalazła się w paraliżującym chłodzie. Była pod wodą. Udało się! Wypłynąwszy na powierzchnię, spojrzała szybko w górę i zobaczyła dwa wpatrzone w nią welociraptory. Natychmiast zrozumiała, że jeśli jej udała się taka sztuka, to może się ona powieść także raptorom. Chyba że nie potrafią pływać? – pomyślała, ale zaraz dała spokój pobożnym życzeniom. Oczywiście, że potrafią. Pływają jak krokodyle.

Nagle drapieżniki zniknęły z jej pola widzenia, a w chwilę potem z góry dobiegł głos Hardinga.

– Doktor Sattler?

Ellie domyśliła się, że weterynarz otworzył drzwi awaryjne i że dinozaury natychmiast ruszyły w jego stronę.

Najprędzej jak mogła wyszła z basenu i pobiegła w kierunku budynku.

* * *

Harding pędził po schodach przeskakując po dwa stopnie. Bez zastanowienia otworzył drzwi na oścież.

– Doktor Sattler? – zawołał.

Nad dachem przesuwały się smugi mgły. Ani śladu raptorów.

– Doktor Sattler!

Kiedy uświadomił sobie, że popełnił błąd, było już za późno. Powinienem był lepiej się rozejrzeć, przemknęła mu przez głowę rozpaczliwa myśl, kiedy zza drzwi wyłoniła się zakończona potwornymi szponami łapa i uderzyła go w pierś. Ostatkiem sił zdążył chwycić za klamkę i pociągnąć drzwi ku sobie.

– Jest tutaj! – krzyknął z dołu Muldoon. – Już weszła!

Weterynarz szarpnął drzwi jeszcze raz, domknął je, po czym osunął się na stopnie.

* * *

– Dokąd idziemy? – zapytała Lex.

Znajdowali się na pierwszym piętrze głównego budynku, w korytarzu o szklanych ścianach.

– Do dyspozytorni.

– A gdzie to jest?

– Gdzieś tutaj.

Mijając kolejne drzwi, Tim odczytywał umieszczone na nich napisy: STRAŻNIK ZWIERZYNY... KIEROWNIK OBSŁUGI... DYREKTOR GENERALNY... GŁÓWNY KSIĘGOWY...

Po jakimś czasie dotarli do przegradzających korytarz szklanych drzwi opatrzonych ostrzeżeniem:

TEREN ZAMKNIĘTY
OSOBOM NIE UPOWAŻNIONYM
WSTĘP WZBRONIONY

Obok znajdował się czytnik kart magnetycznych, ale chłopiec po prostu pchnął drzwi, a one stanęły otworem.

– Jak to zrobiłeś?

– Nie ma zasilania – wyjaśnił Tim.

– W takim razie po co idziemy do dyspozytorni?

– Żeby znaleźć radio. Musimy wezwać pomoc.

Korytarz ciągnął się jeszcze dalej. Tim pamiętał, że prowadzono ich tędy w czasie zwiedzania. Lex dreptała u jego boku. Gdzieś daleko rozległo się parskanie raptorów. Kiedy niedługo potem powtórzyło się, dobiegało ze znacznie mniejszej odległości, a w chwilę później z parteru doleciał głuchy łomot, jakby ktoś próbował rozbić grube szklane tafle.

– Już tu są... – szepnęła Lex.

– Nic się nie bój.

– Czego one chcą?

– Nieważne.

KOORDYNACJA... DYSPOZYTORNIA...

– To tutaj – powiedział Tim i otworzył drzwi. Dyspozytornia wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał. Pośrodku pokoju stał główny pulpit kontrolny zaopatrzony w cztery monitory. Pomieszczenie zalegały ciemności i tylko na ekranach widać było jakieś kolorowe prostokąty.

– Gdzie to radio? – zapytała Lex.

Ale Tim już zapomniał o radiu. Ruszył naprzód, wpatrując się jak zaczarowany w monitory. Działały! Mogło to oznaczać tylko jedno.

– Jest już prąd...

– Oj! – pisnęła Lex i odskoczyła w bok.

– Co jest?

– Stanęłam na czyimś uchu!

Wchodząc do dyspozytorni, Tim nie zauważył żadnego ciała. Spojrzał na podłogę i przekonał się, że jest to odcięte lub oderwane ucho.

– Obrzydlistwo! – stwierdziła Lex.

– Nie przejmuj się – mruknął chłopiec, ponownie koncentrując uwagę na monitorach.

– Ciekawe, co stało się z resztą?

– Powiedziałem ci, żebyś się nie przejmowała.

Przyglądał się uważnie głównemu monitorowi. Na ekranie widać było kilka rzędów kolorowych prostokącików.

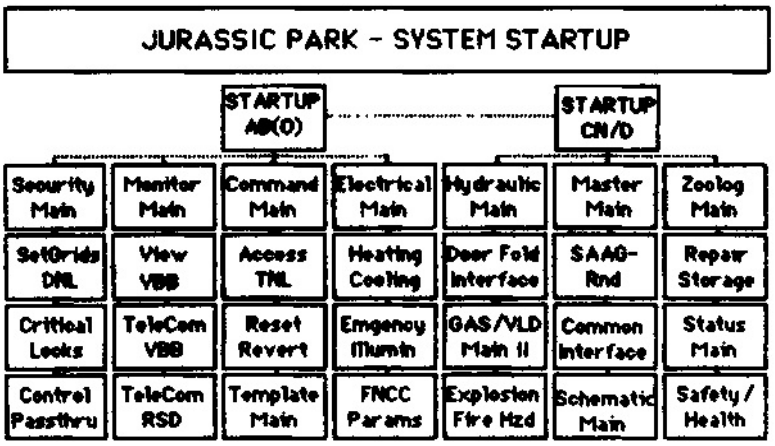

– Lepiej nic przy tym nie majstruj, Timmy.

– Nie bój się.

Chłopiec widział już wcześniej duże komputery, choćby takie, jakie zainstalowano w biurowcu, w którym pracował jego ojciec. Te komputery kontrolowały wszystko – od wind i zamków począwszy, na ogrzewaniu i klimatyzacji skończywszy. Wyglądały bardzo podobnie, tyle że łatwiej było zrozumieć to, co pokazywały na monitorze. A ten, kto wiedział, jak to zrobić, mógł skorzystać z wielostopniowej pomocy. Tutaj jednak taka możliwość nie istniała. Tim jeszcze raz popatrzył uważnie na monitor.

Jego uwagę zwróciły cyferki zmieniające się w lewym górnym rogu ekranu. 10:47:22. Czas! Za trzynaście minut statek dopłynie do brzegu... Jednak chłopca znacznie bardziej obchodził los ludzi uwięzionych w domku myśliwskim.

Usłyszał głośne trzaski i szum, odwrócił się i zobaczył Lex trzymającą przenośną krótkofalówkę. Dziewczynka poruszała po kolei wszystkimi pokrętłami.

– Jak ona działa? – zapytała. – Nie mogę tego włączyć.

– Daj.

– To moje! Ja to znalazłam!

– Dawaj ją natychmiast!

– Zaczekaj, tylko sobie porozmawiam...

– Lex!

Nagle radio zatrzeszczało głośno i przemówiło głosem Muldoona:

– Co tam się dzieje, do diabła?

Zaskoczona Lex upuściła krótkofalówkę na podłogę.

* * *

Schylony nisko Grant cofnął się między palmy. Przez mlecznobiałą mgłę widział raptory, które, wściekle parskając, podskakiwały jak szalone i uderzały ciałami w szklane tafle tworzące ściany głównego budynku. Jednak od czasu do czasu zwierzęta milkły i stojąc nieruchomo z przekrzywionymi głowami, przez kilka sekund zdawały się czegoś nasłuchiwać, po czym wydawały ciche, jęczące dźwięki.

– Co one robią? – zapytał szeptem Gennaro.

– Wygląda na to, że próbują dostać się do kafejki – odparł Grant w taki sam sposób.

– A dlaczego?

– Zostawiłem tam dzieci...

– Czy uda im się rozbić szybę?

– Chyba nie.

Nagle do uszu Granta dotarło przytłumione przez odległość trzeszczenie radia. Rzecz jasna, dinozaury także to usłyszały i zaczęły podskakiwać z podnieceniem coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie jednemu z nich udało się dosięgnąć tarasu na piętrze, skąd przez uchylone drzwi bez trudu wszedł do wnętrza budynku.

* * *

Tim błyskawicznie schylił się, złapał upuszczone przez Lex radio i nacisnął guzik.

– Halo? Halo?

– ...ty, Tim? – rozległ się głos Muldoona.

– Tak, to ja.

– Gdzie jesteś?

– W dyspozytorni. Mamy tu prąd.

– Świetnie.

– Mógłbym włączyć komputer, ale ktoś musiałby mi powiedzieć, jak to zrobić.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Halo, słyszy mnie pan?

– Widzisz... – odparł z wahaniem Muldoon. – Akurat z tym mamy pewien problem. Nikt... eee... z nas nie wie, jak to zrobić.

Tim nie wierzył własnym uszom.

– Żartuje pan?

Wydawało mu się to nieprawdopodobne.

– Niestety, nie. – Znowu przeciągające się milczenie. – Zdaje się, że chodziło o włączenie jakiejś głównej sieci... Tim, znasz się trochę na komputerach?

Chłopiec milczał, wpatrując się w ekran. Siostra trąciła go w bok.

– Powiedz mu, że nie, Timmy.

– Troszeczkę... – wykrztusił.

– W takim razie spróbuj – powiedział Muldoon. – I tak niczym nie ryzykujemy, bo nikt tu nie ma o tym zielonego pojęcia, a Grant wcale nie jest mądrzejszy od ciebie.

– W porządku, spróbuję.

Nie spuszczając wzroku z ekranu, Tim wyłączył krótkofalówkę.

– Timmy, przecież ty zupełnie się na tym nie znasz!

– Właśnie, że się znam.

– Skoro tak, to zrób, co trzeba.

– Za chwilę.

Na początek przysunął się do komputera i nacisnął klawisze przesuwające kursor po ekranie, ale nic się nie stało. Potem wcisnął inne klawisze, ale także bez efektu.

– No i co?

– Coś tu jest nie tak... – mruknął Tim, marszcząc brwi.

– Po prostu nie masz o tym pojęcia, Timmy.

Chłopiec przyjrzał się uważnie klawiaturze. Miała na samej górze rząd klawiszy funkcyjnych, tak jak w każdym komputerze osobistym, zaś monitor był duży i kolorowy. Niezwykle wyglądała tylko jego przednia część, gdyż wzdłuż wszystkich czterech krawędzi ekranu znajdowały się rozmieszczone w regularnych odstępach czerwone świetliste punkciki. Czerwone światełka wokół całego ekranu... Co to może być? Tim wyciągnął palec, przeciął nim jedną z czerwonych nitek i dotknął ekranu. Rozległo się elektroniczne piśniecie, obraz zaś uległ zmianie.

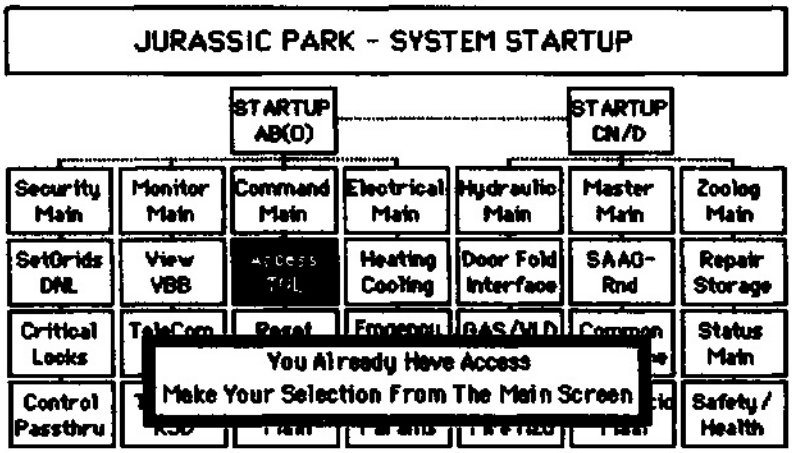

Kilka sekund później okno zniknęło i obraz wrócił do poprzedniej postaci.

– Co się stało? – zdziwiła się Lex. – Co zrobiłeś? Dotknąłeś czegoś?

Jasne, pomyślał chłopiec. Ekran dotykowy! Czerwone światełka to z pewnością czujniki podczerwieni. Tim jeszcze nigdy nie widział takiego ekranu, ale czytał o nim w fachowych czasopismach. Dotknął RESET/REVERT.

Obraz natychmiast uległ zmianie. Tym razem w oknie pojawiła się inna wiadomość:

KOMPUTER ZOSTAŁ ZRESETOWANY
WYBIERZ OPCJĘ Z GŁÓWNEGO MENU

Przez szum radia przebijały się parsknięcia raptorów.

– Chcę coś zobaczyć – oświadczyła Lex. – Powinieneś dotknąć VIEW.

– Lepiej nie.

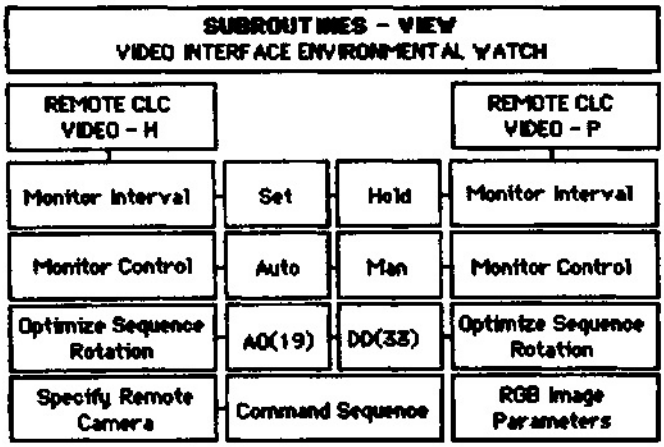

– A ja chcę właśnie VIEW.

Nim zdążył zareagować, wyciągnęła rękę i dotknęła prostokąta z tym napisem. Tym razem na ekranie pojawiło się coś zupełnie nowego.

– O kurczę! – mruknęła zaskoczona dziewczynka.

– Lex, czy mogłabyś przestać?

– Zobacz, zobacz! – wykrzyknęła z triumfem. – Działa!

Na sąsiednich monitorach pojawiły się zmieniające się szybko obrazy przekazywane przez kamery z różnych części Parku. Z powodu mgły większość nie

była zbyt wyraźna, lecz mimo to dzieci przez chwilę widziały fragment domku myśliwskiego, na którego dachu czaił się raptor, a potem ujrzały oświetlony promieniami słońca dziób statku zmierzającego w stronę lądu...

– Co to było? – wykrzyknął Tim, pochylając się do przodu w fotelu.

– Co?

– Ten obraz!

Teraz jednak na ekranie pojawiały się i znikały wnętrza kolejnych pomieszczeń domku myśliwskiego. W pewnej chwili mignął im leżący na łóżku Malcolm...

– Zatrzymaj to! – zawołała Lex. – Widzę ich!

Tim dotknął ekranu, wszedł na niższy poziom menu, dotknął jeszcze raz, i uzyskał jeszcze niższy.

– Zaczekaj, wszystko mieszasz...

– Zamknij się, dobrze? Nie masz pojęcia o komputerach.

Na ekranie pojawiła się lista wszystkich kamer. Jedna z nich była oznaczona jako DOMEK MYŚLIWSKI: LV2–4, inna jako STATEK. Tim ponownie zbliżył palec do ekranu.

Jeden z monitorów pokazał pokład statku oraz panoramiczny widok wybrzeża z licznymi zabudowaniami portowymi. Chłopiec natychmiast rozpoznał port, gdyż nie dalej niż wczoraj przelatywał nad nim śmigłowcem. Było to Puntarenas. Za kilka minut statek powinien przybić do brzegu.

Uwagę chłopca przykuł jednak drugi monitor, na którym było widać częściowo zasnuty mgłą dach domku myśliwskiego oraz raptory. Zwierzęta kryły się za piramidkowymi świetlikami, ale od czasu do czasu wystawiały głowy, by rozejrzeć się czujnie po okolicy.

Na ekranie trzeciego monitora pojawiło się wnętrze pokoju. Malcolm leżał na łóżku, obok niego zaś stała Ellie; oboje z niepokojem spoglądali w górę. Do pokoju wszedł Muldoon i skierował zatroskane spojrzenie w to samo miejsce.

– Widzą nas – powiedziała Lex.

– Chyba nie.

Z radia dobiegły głośne trzaski. Muldoon podniósł krótkofalówkę do ust.

– Halo, Tim?

– Jestem.

– Wygląda na to, że nie mamy zbyt wiele czasu – stwierdził ponuro myśliwy. – Lepiej włącz szybko tę główną sieć.

Zaraz potem Tim usłyszał wściekłe parsknięcie raptora i w górnej części ekranu mignął długi pysk z wyszczerzonymi zębami. Raptory forsowały kraty świetlika.

– Pośpiesz się, Timmy! – ponagliła go Lex. – Włącz to, co masz włączyć.

Sieć

Próbując wrócić do głównego menu, Tim zaplątał się w labiryncie pomniejszych. W większości systemów wystarczyło wydać jedną komendę, lub nawet tylko nacisnąć jeden klawisz, ale nie w tym – a może on po prostu nie znał tej komendy, albo nie potrafił znaleźć właściwego klawisza. Chłopiec był pewien, że system mógłby mu w tym pomóc, lecz nie miał pojęcia, w jaki sposób dostać się do menu pomocniczego. W dodatku Lex przez cały czas podskakiwała za jego plecami i poganiała go okrzykami, co z pewnością nie pomagało w koncentracji.

Wreszcie udało mu się przywołać główne menu. Nie był pewien, jak to osiągnął, ale ważne było tylko to, że się udało. Teraz wypadało zastanowić się, co robić dalej.

– Zrób coś, Timmy!

– Zatkasz się wreszcie?

Dotknął TEMPLATE–MAIN. Na ekranie pojawił się skomplikowany wykres, pełen nachodzących na siebie prostokątów i strzałek.

Nic z tego.

Spróbował COMMON INTERFACE. Obraz natychmiast uległ zmianie.

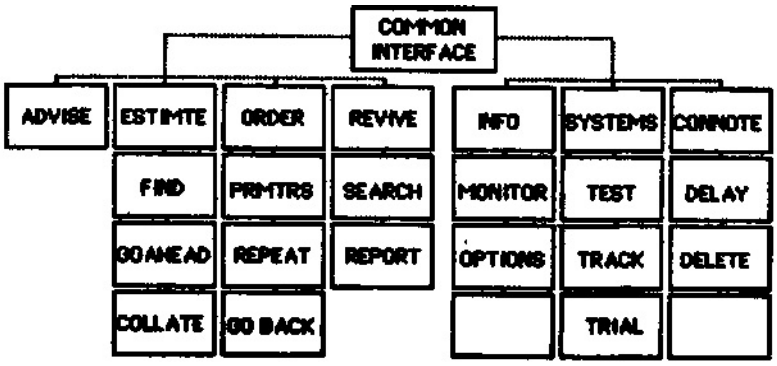

– Co to jest? – zapytała Lex. – Dlaczego nie chcesz włączyć głównej sieci?

Chłopiec zignorował ją. Może w tym systemie poziom help krył się pod nazwą info? Dotknął INFO.

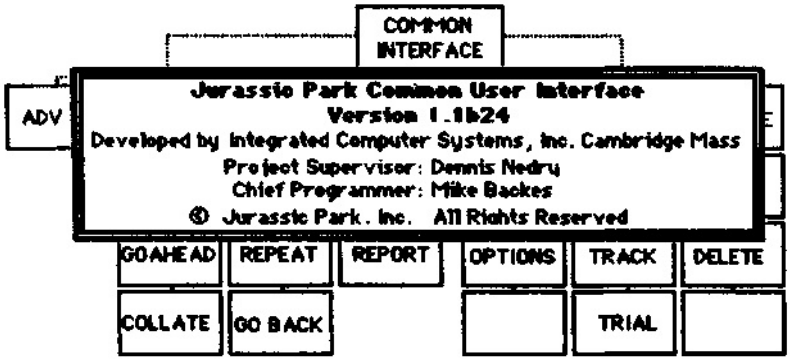

– Timmy! – jęknęła Lex, ale on już niemal wsadził palec w FIND. W odpowiedzi uzyskał jakieś zupełnie bezużyteczne okno, więc szybko pstryknął w GO BACK.

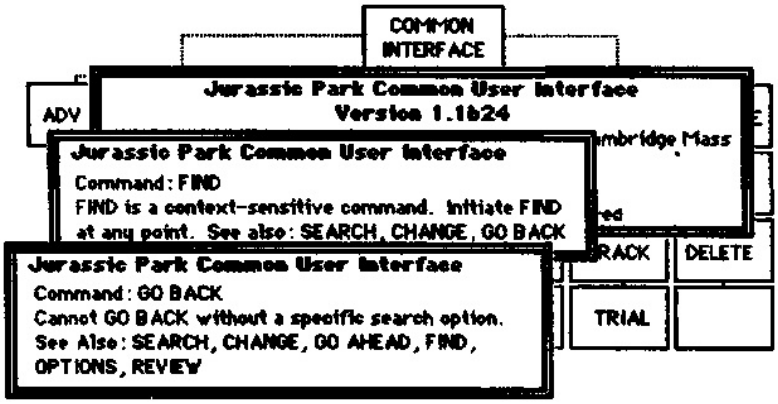
COMMON INTERFACE
Jurassic Park Common User Interface
Version 1.1b24
ADV
Jurassic Park Common User Interface
Command: FIND
FIND is a context-sensitive command. Initiate FIND at any point. See also: SEARCH, CHANGE, GO BACK
Jurassic Park Common User Interface
Command: GO BACK
Cannot GO BACK without a specific search option.
See Also: SEARCH, CHANGE, GO AHEAD, FIND, OPTIONS, REVIEW
DELETE
TRIAL

– Jak ci idzie, Tim? – zapytał Muldoon przez radio. Chłopiec nie odpowiedział, w pośpiechu dotykając jednego prostokąta za drugim.

Nagle znowu pojawiło się główne menu.

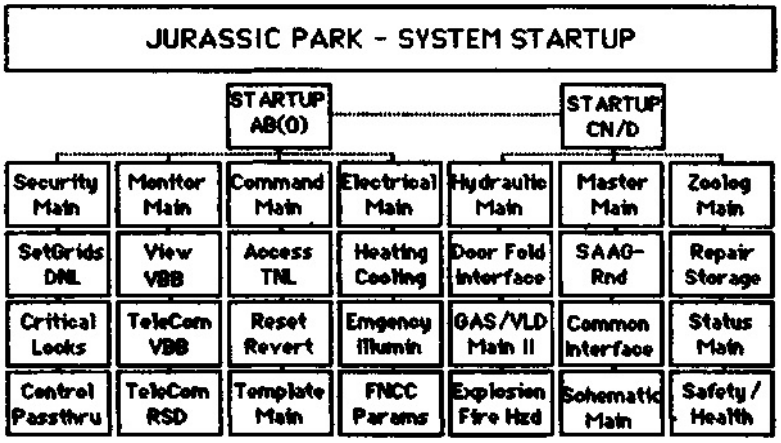

Tim przyglądał się uważnie ekranowi. Wyglądało na to, że ELECTRICAL MAIN i SETGRIDS DNL mają coś wspólnego z główną siecią. Dość ważne mogły też być SAFETY/HEALTH i CRITICAL LOCKS. Z włączonego radia dobiegały coraz głośniejsze parskania raptorów. Należało szybko podjąć jakąś decyzję. Chłopiec dotknął SETGRIDS DNL, po czym aż jęknął.

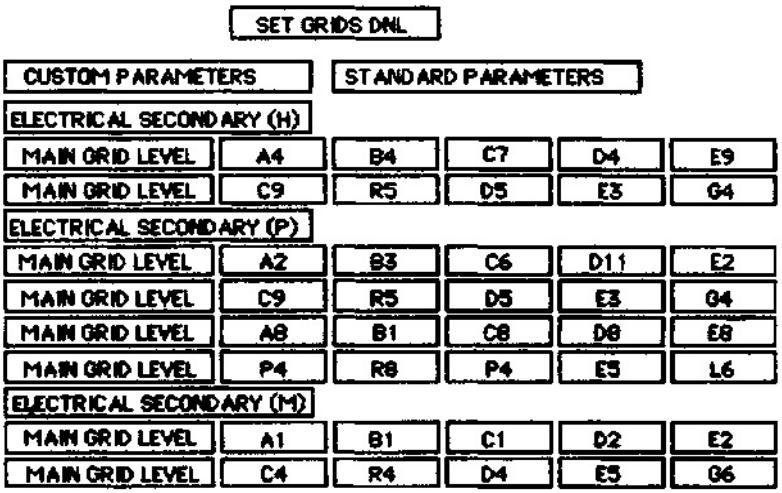
SET GRIDS DNL
CUSTOM PARAMETERS
STANDARD PARAMETERS
ELECTRICAL SECONDARY (H)
MAIN GRID LEVEL A4 B4 C7 D4 E9
MAIN GRID LEVEL C9 R5 D5 E3 G4
ELECTRICAL SECONDARY (P)
MAIN GRID LEVEL A2 B3 C6 D11 E2
MAIN GRID LEVEL C9 R5 D5 E3 G4
MAIN GRID LEVEL A8 B1 C8 D8 E8
MAIN GRID LEVEL P4 R8 P4 E5 L6
ELECTRICAL SECONDARY (M)
MAIN GRID LEVEL A1 B1 C1 D2 E2
MAIN GRID LEVEL C4 R4 D4 E5 G6

Nie miał pojęcia, co począć. Zaryzykował STANDARD PARAMETERS.

STANDARD PARAMETERS
Park Grids B4–C6 Outer Grids C2–D2
Zoological Grids BB–07 Pen Grids R4–R4
Lodge Grids F4–D4 Maint Grids E5–L6
Main Grids C4–G7 Sensor Grids D5–G4
Utility Grids AH–B5 Core Grids A1–C1
Circuit Integrity Not Tested
Security Grids Remain Automatic

Potrząsnął z rezygnacją głową, ale zaraz potem uświadomił sobie, że właśnie uzyskał bardzo ważną informację: znał już koordynaty sieci w domku myśliwskim! Nacisnął F4.

SIEĆ F4 (DOMEK MYŚLIWSKI)
POLECENIE NIE MOŻE ZOSTAĆ WYKONANE. BŁĄD–505
(Brak kompatybilności, patrz podr. obsł. 4.09 – 4.11)

– Nie działa! – jęknęła Lex.
– Wiem!
Tim dotknął kolejnego kwadratu.

SIEĆ D4 (DOMEK MYŚLIWSKI)
POLECENIE NIE MOŻE ZOSTAĆ WYKONANE. BŁĄD–505
(Brak kompatybilności, patrz podr. obsł. 4.09 – 4.11)

Chłopiec starał się uspokoić i po kolei wszystko przemyśleć. Z jakiegoś powodu za każdym razem, kiedy próbował włączyć sieć, komputer informował go o błędzie. Brak kompatybilności... Co to mogło oznaczać?
Lex stuknęła go w ramię.
– Timmy...
– Nie teraz, Lex.
– Właśnie, że teraz – powiedziała i odciągnęła go od pulpitu.
Dopiero wtedy wyraźnie usłyszał parskanie raptorów.
Dobiegało z korytarza.

* * *

Welociraptory przegryzły już drugi pręt w świetliku nad łóżkiem Malcolma. Mogły teraz swobodnie wsadzać do środka głowy i parskać gniewnie na zebranych w pokoju ludzi, by po chwili wrócić do pracy nad prętem.
– Już niedługo – powiedział Malcolm. – Trzy, najdalej cztery minuty. – Zbliżył krótkofalówkę do ust. – Tim, jesteś tam? Tim!
Nie uzyskał odpowiedzi.

* * *

Tim ostrożnie wyślizgnął się z dyspozytorni i na drugim końcu korytarza, przy tarasie, ujrzał welociraptora. Ze zdumienia oczy o mało nie wyszły mu z orbit. W jaki sposób dinozaurowi udało się wydostać z chłodni?

Jednak już w następnej chwili zrozumiał swój błąd, gdyż na tarasie pojawił się drugi raptor. Drapieżnik wcale nie uciekł z lodówki, tylko przyszedł, a ściślej biorąc, wskoczył z zewnątrz. Chłopiec nie wierzył własnym oczom; potężne zwierzęta jednym susem pokonały wysokość co najmniej trzech metrów! Musiały mieć nieprawdopodobnie silne tylne łapy.

– Chyba mówiłeś, że one...

– Ciii!...

Tim starał się zebrać myśli, ale jednocześnie obserwował z przerażeniem i podziwem, jak na balkonie ląduje trzecie zwierzę. Przez jakiś czas dinozaury dreptały niezdecydowanie w miejscu, po czym ruszyły rzędem w kierunku dyspozytorni.

Starając się nie czynić najmniejszego hałasu, Tim naparł delikatnie na drzwi, by cofnąć się do pokoju, ale bez rezultatu. Drzwi były zamknięte. Pchnął je nieco silniej.

– Zatrzasnęły się – szepnęła Lex. – Spójrz. – Wskazała zainstalowany w ścianie czytnik kart magnetycznych, w którym świeciła się czerwona dioda. Majstrując przy komputerze, Tim niechcący uruchomił elektroniczne zamki.

Jak okiem sięgnąć, wzdłuż całego korytarza żarzyły się czerwone diody. Oznaczało to, że wszystkie drzwi są zamknięte. Nie mieli dokąd uciekać.

Nagle chłopiec dostrzegł skulone na podłodze ciało martwego strażnika. Przy jego pasku bieliła się karta magnetyczna.

– Chodź! – szepnął i pociągnął siostrę za sobą. Podbiegli do zwłok, Tim błyskawicznie złapał kartę, i natychmiast zawrócili, ale raptory już ich dostrzegły. Parskając groźnie, zatarasowały dzieciom drogę do dyspozytorni, po czym ruszyły powoli naprzód, kołysząc głowami w przód i w tył.

Szykowały się do ataku.

Tim zrobił jedyną rzecz, jaką w tej sytuacji mógł zrobić: za pomocą karty magnetycznej otworzył najbliższe drzwi, wepchnął Lex do środka i sam wskoczył za nią. W chwili kiedy drzwi zaczęły powoli zamykać się za nimi, raptory zasyczały głośno i ruszyły do ataku.

Domek myśliwski

Wydawało się, że każdy kolejny oddech Malcolma będzie ostatni. Matematyk spoglądał na raptory zamglonym wzrokiem. Harding zmierzył mu ciśnienie, zmarszczył brwi i powtórzył pomiar. Ellie Sattler drżała z zimna, mimo że owinęła się kocem, a Muldoon siedział na podłodze, oparty o ścianę. Wszyscy patrzyli w górę, wsłuchując się w szum dobiegający z krótkofalówki.

– Co się stało z Timem? – zapytał Hammond. – Wciąż nie daje znaku życia?

– Nie mam pojęcia.

– Paskudne, prawda? – szepnął Malcolm. – Cholernie paskudne.

Hammond potrząsnął głową.

– Kto by mógł przypuszczać, że wszystko potoczy się w taki sposób...

– Malcolm – odparła Ellie.

– Ja niczego nie przypuszczałem – poprawił ją matematyk. – Ja to obliczyłem.

– Proszę, dajcie już spokój – odezwał się Hammond ze zniecierpliwieniem. – On już od kilku godzin nie robi nic innego, tylko powtarza w kółko: „A nie mówiłem?" Przecież nikt nie chciał, żeby to się tak skończyło.

– Tu nie chodzi o chcenie, tylko o to, co próbowaliście osiągnąć. – Malcolm mówił bardzo cicho, z zamkniętymi oczami. – Czy myśliwy, idąc na polowanie do dżungli, aby zdobyć pożywienie dla rodziny, oczekuje, że uda mu się zapanować nad naturą? Nie. Wie, iż natura jest większa od niego, od jego wyobraźni, od jego zdolności pojmowania. Już prędzej modli się, aby okazała się dla niego łaskawa, ponieważ wie, że nigdy nie będzie mógł jej kontrolować. Jest zdany na jej łaskę i niełaskę.

Wy jednak doszliście do wniosku, że taka sytuacja zupełnie wam nie odpowiada. Postanowiliście zapanować nad naturą, i od tej chwili znaleźliście się w poważnych kłopotach, ponieważ tego po prostu nie da się zrobić. Nawet nie zawracajcie sobie tym głowy. Owszem, można zrobić łódkę, ale nie da się zrobić oceanu. Można zrobić samolot, ale nie da się zrobić powietrza. Dysponujecie znacznie skromniejszymi środkami, niż sądziliście w całej waszej arogancji.

– Przestałem za nim nadążać – stwierdził Hammond z westchnieniem. – Gdzie się podział Tim? Zawsze był bardzo rozsądnym chłopcem.

– Jestem pewien, że próbuje zapanować nad sytuacją – odparł Malcolm. – Podobnie jak wszyscy.

– Właśnie, a Grant? Co się stało z Grantem?

* * *

Grant dopadł tylnych drzwi głównego budynku – tych samych, przez które wyszedł zaledwie dwadzieścia minut temu – i szarpnął za klamkę, tylko po to jednak, aby przekonać się, że są zamknięte. Dopiero po chwili dostrzegł punkcik

czerwonego światła; działały elektroniczne zamki. Cholera! Obiegł budynek dokoła, wszedł do środka przez roztrzaskane główne drzwi i przystanął na chwilę przy przewróconym metalowym biurku, za którym nie tak dawno krył się z dziećmi. Zajrzał do kuchni, ale przekonał się, że jest pusta.

Przeskakując po dwa stopnie, popędził na piętro, lecz kiedy dotarł do szklanych drzwi z napisem: TEREN ZAMKNIĘTY, zobaczył, że one także dadzą się otworzyć tylko za pomocą karty magnetycznej.

Grant nie miał karty magnetycznej.

W głębi korytarza rozległo się parsknięcie raptora.

* * *

Sucha, szorstka skóra otarła się o policzek Tima, ostre pazury rozerwały mu koszulę, a chłopiec krzyknął i, przerażony, runął na plecy.

– Timmy! – pisnęła Lex.

Tim szybko zerwał się na nogi, trzymając w objęciach małego welociraptora, który, równie przestraszony jak on, świergotał głośno. Dzieci trafiły do „żłobka". Na podłodze leżały porozrzucane zabawki: żółta piłka, lalka i plastikowa grzechotka.

– To tylko ten maluch! – stwierdziła z ulgą dziewczynka. Raptor przytulił się mocno do szyi chłopca. Biedactwo musi być okropnie głodne, pomyślał Tim.

Kiedy Lex podeszła bliżej, zwierzątko natychmiast przeniosło się na nią i otarło się o jej kark.

– Dlaczego on to robi? – zapytała dziewczynka. – Może ze strachu?

– Nie wiem.

Lex oddała raptora bratu. Maluch na przemian skrzeczał i świergotał, podskakując mu z podnieceniem na ramieniu. Przez cały czas rozglądał się dokoła, wykonując głową szybkie ruchy. Widocznie był zadowolony, że wreszcie nie jest sam, i...

– Tim!... – szepnęła Lex.

Drzwi, nie zatrzasnęły się po ich wejściu, teraz otworzyły się i do pomieszczenia wkroczyły jeden za drugim dwa welociraptory.

Maluch zaczął świergotać jeszcze głośniej. Umysł Tima pracował na najwyższych obrotach, poszukując sposobu ucieczki. Może widok młodego osobnika sprawi, że drapieżniki nie rzucą się od razu w pogoń? Bądź co bądź, brzdąc należy do tego samego gatunku co one... Chłopiec postawił zwierzątko na podłodze, a ono pomknęło w kierunku dorosłych. Pierwszy raptor pochylił głowę i delikatnie obwąchał je.

Tim wziął Lex za rękę, po czym zaczął się stopniowo cofać w głąb pomieszczenia. Koniecznie musi znaleźć drugie drzwi, żeby...

Za ich plecami rozległ się przeraźliwy skrzek. Tim obejrzał się i zobaczył małego raptora wierzgającego bezradnie w paszczy dorosłego osobnika. Drugi welociraptor doskoczył natychmiast i złapał za podrygujące kończyny, usiłując wydrzeć zdobycz pobratymcowi. Na podłogę obfitym strumieniem popłynęła krew.

– One go zjadły! – szepnęła Lex z przerażeniem.

Raptory walczyły teraz o szczątki maleństwa, posykując groźnie i szczerząc na siebie zęby. Szczęśliwym trafem Tim znalazł jakieś nie zablokowane drzwi, otworzył je i pociągnął za sobą Lex.

Znaleźli się w pogrążonym w zielonym półmroku laboratorium, tu dokonywano ekstrakcji antyciał. Na monitorach o wysokiej rozdzielczości widać było powiększone, czarno–białe obrazy nieruchomych owadów – much, gzów i komarów, które miliony lat temu piły krew dinozaurów, a teraz zostały wykorzystane w celu przywrócenia do życia tych wielkich zwierząt. Popędzili przez opustoszałe laboratorium, słysząc za plecami zbliżające się szybko parskanie welociraptorów; minęli kolejne drzwi, w których musiał być zainstalowany alarm, gdyż teraz, kiedy gnali co sił w nogach wąskim korytarzem, towarzyszyło im przenikliwe wycie syreny oraz migotanie świateł. Tim miał wrażenie, że czuje już na karku gorący oddech dinozaura. Lex pochlipywała rozpaczliwie, starając się dotrzymać kroku starszemu bratu. Chłopiec dostrzegł naprzeciwko jeszcze jedne drzwi, z błękitnym symbolem zagrożenia biologicznego, rąbnął w nie całym ciężarem ciała, wpadł do kolejnego pomieszczenia, by w następnym ułamku sekundy zderzyć się z jakąś dużą postacią.

Lex wrzasnęła przeraźliwie.

– Spokojnie, dzieciaki – usłyszeli czyjś głos.

Tim zamrugał z niedowierzaniem, spoglądając na stojących nad nim Granta i Gennaro.

* * *

Grant potrzebował prawie dwóch minut, aby domyślić się, że martwy strażnik w głównym holu powinien mieć przy sobie kartę magnetyczną. Wziął ją i wraz z Gennaro poszedł na górę. Otworzyli szklane drzwi dzielące na pół długi korytarz i biegnąc w kierunku, skąd słychać było odgłosy walki, dotarli do żłobka, gdzie ujrzeli dwa raptory toczące pojedynek o szczątki młodego osobnika. Domyślili się, że dzieci uciekły do sąsiedniego pomieszczenia, więc nie zwlekając wpadli do laboratorium.

W polu widzenia pojawiły się raptory. Zwierzęta zachowywały się nieco ostrożniej, jakby zdziwione obecnością tak wielu ludzi.

Grant popchnął dzieci w kierunku Gennaro.

– Proszę zabrać je w jakieś bezpieczne miejsce.

– Ale...

– Najlepiej tam. – Grant wskazał ruchem głowy drzwi w ścianie po przeciwległej stronie pomieszczenia. – Do dyspozytorni. Tam nie powinno wam nic grozić.

– A pan? – zapytał Gennaro.

Raptory przez pewien czas stały przy drzwiach. Ruszyły powoli naprzód dopiero wtedy, kiedy znalazły się w komplecie. Instynkt stadnych drapieżców, pomyślał Grant. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Mam pewien plan – odparł. – Idźcie już!

Gennaro odszedł, prowadząc ze sobą dzieci.

Raptory w dalszym ciągu zbliżały się do Granta, przesuwając się jak cienie obok

superkomputerów oraz monitorów pokazujących zmieniające się sekwencje odszyfrowanego przez maszyny kodu. Już się nie wahały, tylko szły pewnie naprzód, kołysząc głowami w przód i w tył.

Grant usłyszał odgłos zamykających się drzwi i zerknął przez ramię. Cała trójka stała za szklaną taflą, obserwując w napięciu rozwój sytuacji. Gennaro pokręcił głową.

Uczony wiedział, co to oznacza: w sąsiednim pomieszczeniu nie było żadnych drzwi, przez które można by się dostać na górę, do dyspozytorni. Gennaro i dzieci znaleźli się w pułapce.

Teraz wszystko zależało wyłącznie od niego.

Grant poruszał się bardzo powoli, okrążając stopniowo pokój w taki sposób, aby odciągnąć raptory od Gennaro i dzieciaków. Zbliżał się w kierunku jeszcze jednych drzwi, opatrzonych błękitnym symbolem zagrożenia biologicznego. Miał nadzieję, że nie myli się w swoich przewidywaniach. Dinozaury były coraz bliżej. Grant wyczekał na odpowiedni moment, po czym odwrócił się gwałtownie, pchnął drzwi i wskoczył prosto w głęboką, ciepłą ciszę.

Miał rację.

Znalazł się dokładnie tam, gdzie chciał się znaleźć: w wylęgarni, w ścielącej się nisko mgle, wśród długich, niskich stołów, na których w podczerwonej kąpieli spoczywały setki jaj. Specjalne urządzenia bez przerwy poruszały stołami, a mgła rozpełzała się ku ścianom pomieszczenia, by tam zniknąć.

Paleontolog ruszył w głąb wylęgarni, ku oddzielonemu szklaną ścianą laboratorium, skąpanemu w powodzi ultrafioletowego światła. Jego ubranie jarzyło się jaskrawym błękitem. Grant przyglądał się naczyniom z odczynnikami, tackom z pipetami, stojakom wypełnionym probówkami...

Na nowym terenie raptory początkowo zachowywały się bardzo ostrożnie: nieufnie wciągały wilgotne powietrze i przypatrywały się kołyszącym się stołom. Zwierzę, które szło pierwsze, otarło zakrwawiony pysk szponiastą łapą. Dinozaury rozdzieliły się; każdy z nich wszedł w inną alejkę między stołami i niespiesznie ruszył naprzód, od czasu do czasu pochylając się, aby zajrzeć pod poruszające się stoły.

Szukały go.

Zgięty wpół Grant dotarł do tylnej ściany laboratorium. Ujrzał na stole metalowy cylinder z rysunkiem przedstawiającym trupią czaszkę nad dwoma skrzyżowanymi piszczelami oraz napisem: UWAGA, TOKSYNY A4, ZALECANA SZCZEGÓLNA OSTROŻNOŚĆ. Regis wspominał chyba, że to niezwykle silne trucizny; zaledwie kilka molekuł mogło w okamgnieniu pozbawić człowieka życia...

Ciężki cylinder nie dał się ani poruszyć, ani otworzyć. Grant ostrożnie wyprostował się i zerknął w kierunku dinozaurów; wciąż jeszcze przeszukiwały wylęgarnię.

Skoncentrował uwagę na cylindrze. Na jego idealnie gładkiej powierzchni nie mógł dostrzec niczego, co przypominałoby zamknięcie, ale niemal natychmiast zauważył, że górną część cylindra łączy z sufitem gruby prosty pręt, a tuż obok na

laboratoryjnym stole znajduje się przycisk. Niewiele myśląc wdusił go.

Rozległo się ciche syknięcie i cylinder powędrował po pręcie aż pod sam sufit.

Oczom uczonego ukazały się szklane półeczki zastawione małymi butelkami. Wszystkie miały takie samo oznaczenie, jakie znajdowało się na cylindrze. Zaczai odczytywać napisy: CCK–55... TETRA–ALPHA SECRETIN... THYMOLEVIN X–1612... W ultrafioletowym świetle zawartość buteleczek miała bladozielony kolor. W pobliżu szklanego regaliku dostrzegł na stole naczynie ze strzykawkami. Były bardzo małe, a każda z nich zawierała niewielką ilość zielonej substancji. Grant przysunął całe naczynie, po czym wziął jedną strzykawkę, ściągnął zębami ochronny futerał i przyjrzał się z bliska cienkiej igle. Następnie ruszył w kierunku zbliżających się raptorów.

Całe dorosłe życie poświęcił badaniu zwyczajów dinozaurów, a teraz wreszcie będzie miał okazję przekonać się, jak wiele zdołał się nauczyć. Welociraptory były niewielkimi mięsożernymi dinozaurami, takimi jak oviraptory, często podejrzewanymi o to, że włączały do swojej diety jaja innych gadów. Ponieważ wiele gatunków żyjących współcześnie ptaków zjada jaja swoich skrzydlatych kuzynów, Grant był pewien, że welociraptory chętnie pożerały jaja innych dinozaurów, kiedy tylko nadarzyła się ku temu okazja.

Zachowując maksymalną ostrożność, podkradł się do najbliższego stołu, powoli wyciągnął w górę rękę i zdjął największe jajo. Prawie dorównywało rozmiarami piłce futbolowej, było kremowe i miało drobne różowe kropeczki. Trzymając jajo jedną ręką, drugą wbił w nie igłę i wstrzyknął do środka całą zawartość strzykawki. W ultrafioletowym świetle jajo wydawało się jarzyć niezwykłą, bladoniebieską poświatą.

Grant schylił się i potoczył jajo po podłodze w kierunku dinozaurów. Raptory zatrzymały się, nasłuchując, ale szybko doszły do wniosku, że dziwny odgłos nie wiąże się z żadnym niebezpieczeństwem, i wznowiły powolną wędrówkę.

Jajo zatrzymało się kilka metrów od pierwszego raptora.

Cholera!

Grant ostrożnie powtórzył całą operację. Tym razem osiągnął znacznie lepszy rezultat, gdyż obły przedmiot poturlał się pod same nogi drapieżnika i otarł się o jego lewą łapę.

Raptor spojrzał ze zdziwieniem na niespodziewany podarunek, nachylił się, obwąchał uważnie jajo, trącił je pyskiem...

I zostawił. Welociraptory znowu ruszyły naprzód.

Grant wstrzyknął truciznę do trzeciego jaja, po czym zważył je uważnie w ręku, wziął zamach i potoczył je dużo szybciej, jakby grał w kręgle.

Jeden z raptorów usłyszał dudniący odgłos, schylił się, zauważył toczący się przedmiot, instynktownie rzucił się w pościg, dogonił jajo, otworzył pysk, chwycił je w szczęki... i zgniótł bez najmniejszego wysiłku.

Drapieżnik oblizał pysk, parsknął donośnie, po czym, głośno chłepcząc, zaczął pożerać zawartość jaja. Wyglądało na to, że czuje się znakomicie. Grant wychylił się najdalej jak mógł, aby obserwować jedzące zwierzę.

Nagle znieruchomiał jak głaz. Raptor patrzył wprost na niego.

Zwierzę parsknęło groźnie, po czym ruszyło w stronę uczonego, pokonując dzielącą ich odległość nieprawdopodobnie wielkimi susami. Grant stał jak sparaliżowany, kiedy nagle raptor wydał dziwny, bulgoczący odgłos i runął jak długi na podłogę. Jego ciałem wstrząsnęły potworne drgawki, z pyska zaczęła kapać piana, a gruby ogon uderzał w lewo i w prawo, obijając się o stoły.

O jednego mniej, pomyślał paleontolog.

Jednak zwierzę nie chciało łatwo zdechnąć. Jego agonia zdawała się ciągnąć bez końca. Grant szybko sięgnął po kolejne jajo, gdyż zauważył, że dwa pozostałe raptory zamarły w bezruchu, wsłuchując się w odgłosy wydawane przez zdychającego kolegę. Jeden z nich zrobił dwa ostrożne kroki i ponownie znieruchomiał, przyglądając się leżącemu na podłodze zwierzęciu.

Raptor rzęził teraz głośno, a piana płynęła mu z pyska tak obfitym strumieniem, że prawie nie było widać zza niej głowy. Drugi dinozaur pochylił się, uważnie przypatrując się wstrząsanemu drgawkami kuzynowi. Przesuwał głowę wzdłuż jego ciała, poczynając od łba, aż wreszcie, jakby po głębokim namyśle, wbił zęby w jego tylną łapę.

Zdychający raptor zaskrzeczał przeraźliwie, podniósł głowę, wykręcił do tyłu długą szyję i ugryzł napastnika w kark.

To już drugi, pomyślał Grant.

Ukąszone zwierzę ryknęło, odskoczyło do tyłu, po czym jednym uderzeniem uzbrojonej w ostre szpony łapy rozszarpało brzuch leżącemu dinozaurowi. Na podłogę wypadły gorące, dymiące wnętrzności, a rozpłatany raptor zaskrzeczał rozpaczliwie.

Napastnik cofnął się, jakby wyczerpany atakiem, przeszedł kilka kroków, nachylił się, a kiedy podniósł głowę, Grant zobaczył, że dinozaur trzyma w pysku pierwsze zatrute jajo. Pod naciskiem ostrych zębów skorupka pękła, a zawartość jaja zaczęła ściekać raptorowi po pysku.

Sekundę później zwierzę runęło jak trafione piorunem. Padając zahaczyło o stół, strącając na podłogę dziesiątki jaj.

Pozostał jeszcze trzeci drapieżnik, a Grant miał już tylko jedną strzykawkę z trucizną. Ponieważ niemal cała podłoga była zasłana potłuczonymi jajami, należało wymyślić jakiś inny sposób otrucia zwierzęcia. Uczony zastanawiał się nad tym, kiedy nagle usłyszał gniewne parsknięcie. Podniósłszy wzrok napotkał nieruchome spojrzenie dinozaura.

Przez długą, ciągnącą się bez końca chwilę, człowiek i zwierzę patrzyli sobie prosto w oczy, potem welociraptor ruszył naprzód. Szedł bardzo ostrożnie. Stracił całą pewność siebie, jaka charakteryzowała te zwierzęta, kiedy znajdowały się w grupie. Był sam, więc zachowywał czujność. Nie spuszczał wzroku z Granta. Paleontolog rozglądał się rozpaczliwie dokoła, ale nigdzie nie mógł dostrzec żadnej sensownej kryjówki. Nie mógł też nic zrobić...

A może jednak? Zaczął ostrożnie przesuwać się w lewo, w taki jednak sposób, żeby od raptora zawsze dzieliło go przynajmniej kilka stołów. Krok za krokiem, noga

za nogą...

Welociraptor zbliżał się coraz bardziej. Uczony wyraźnie słyszał jego powolny, świszczący oddech. W pewnej chwili niewiele brakowało, żeby Grant poślizgnął się na żółtku rozbitego jajka. Z trudem utrzymał równowagę, ale uderzył o krawędź stołu schowanym w kieszeni radiem.

Radio!

Wyszarpnął je błyskawicznie i włączył.

– Tu Grant, słyszycie mnie?

– Alan? – rozległ się zdumiony, ale zarazem uszczęśliwiony głos Ellie.

– Słuchaj mnie uważnie – powiedział cicho. – Mów, rozumiesz? Mów bez przerwy.

– Alan, to naprawdę ty?

– Mów, Ellie! – powtórzył z naciskiem, po czym pchnął radio po podłodze w kierunku zbliżającego się raptora, a sam skulił się za stołem i czekał.

– Alan? Alan, proszę, odezwij się do mnie!

Radio umilkło. Raptor powoli, ale nieprzerwanie szedł naprzód, posykując cicho.

Był to jedyny odgłos, jaki dało się usłyszeć w pomieszczeniu.

Co się z nią dzieje, do cholery? Czy nie zrozumiała, o co ją prosił? Dinozaur był coraz bliżej.

– Alan? – Cienki głosik, który wydobył się z krótkofalówki, sprawił, że zwierzę zatrzymało się i badawczo wciągnęło powietrze, jakby podejrzewało, że w pomieszczeniu znajduje się ktoś jeszcze.

– Alan, to ja! Nie wiem, czy mnie słyszysz.

Raptor odwrócił się od Granta i skierował w stronę radia.

– Alan, proszę!

Cholera, dlaczego nie pchnął krótkofalówki jeszcze dalej? W tej chwili raptor interesował się już tylko radiem, ale nadal znajdował się zbyt blisko. Grant wyraźnie widział guzłowate zgrubienia na skórze dinozaura i zakrwawione, wygięte jak szable pazury.

– Posłuchaj mnie, Alan... Alan?

Welociraptor pochylił się i ostrożnie dotknął nosem dziwnego przedmiotu. Był teraz całkowicie odwrócony od Granta. Potężny ogon znajdował się dokładnie nad głową paleontologa. Grant błyskawicznie wyciągnął w górę rękę, wbił igłę w ciało zwierzęcia i jednym ruchem opróżnił strzykawkę.

Dinozaur parsknął, podskoczył, po czym z zastraszającą prędkością odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, prezentując garnitur wyszczerzonych zębów. Przednia łapa wykonała gwałtowny ruch, odtrącając stół na bok, Grant zatoczył się do tyłu, przewrócił na plecy i nagle uświadomił sobie, że leży, zupełnie bezradny, przed rozwścieczonym, drapieżnym zwierzęciem.

– Alan?

Dinozaur podniósł uzbrojoną w pazury stopę, ale Grant rozpaczliwie odtoczył się na bok i kiedy raptor opuścił nogę, pazur tylko rozdarł koszulę na plecach uczonego. Grant poczuł rozlewające mu się po grzbiecie ciepło i zrozumiał, że został

zadraśnięty, ale mimo to toczył się dalej jak szalony, miażdżąc porozrzucane na podłodze jaja. Dinozaur kopnął ponownie; z rozbitego radia posypały się części, a raptor podniósł nogę do trzeciego kopnięcia. Grant zatrzymał się pod ścianą. Nie miał już dokąd uciekać. Skierował przerażone spojrzenie na zwierzę szykujące się do zadania ostatecznego ciosu...

Welociraptor zachwiał się, po czym runął bezwładnie na podłogę. Dyszał ciężko, a z pyska ciekła mu obficie piana.

Do wylęgarni wbiegł Gennaro z dziećmi. Grant dał im znak, żeby nie zbliżali się do raptora. Lex spojrzała na zdychające zwierzę i powiedziała:

– Ojejku!

Gennaro pomógł Grantowi wstać z podłogi, po czym wszyscy co sił w nogach popędzili do dyspozytorni.

Stan rzeczy

Tim stwierdził ze zdumieniem, że część prostokątów na ekranie głównego monitora pulsuje intensywną czerwienią.

– Co się stało? – zapytała Lex.

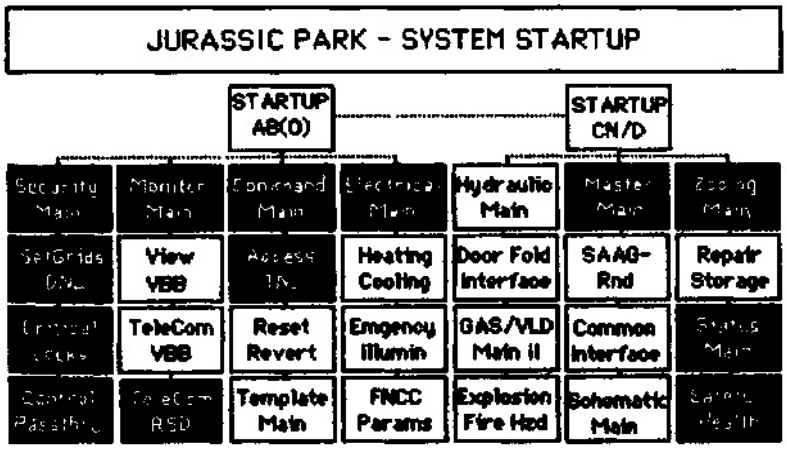

Chłopiec zauważył, że Grant wpatruje się uważnie w ekran, a nawet wyciąga rękę w kierunku klawiatury, ale zaraz potem potrząsa głową.

– Zupełnie się na tym nie znam – przyznał ze smutkiem doktor.

Tim błyskawicznie zajął miejsce w fotelu i kilka razy dotknął ekranu. Na jednym z monitorów pojawił się obraz przekazywany z pokładu statku zbliżającego się do Puntarenas. Od brzegu dzieliło go już tylko około dwustu metrów. Inny monitor pokazywał wnętrze pokoju w domku myśliwskim; raptory lada chwila mogły przedostać się do środka przez dziurę po rozbitym świetliku.

– Zrób coś, Timmy!

Dotknął SETGRIDS DNL, mimo że prostokąt znajdował się wśród tych, które pulsowały alarmująco.

Na ekranie natychmiast pojawiła się informacja:

UWAGA: WYKONANIE POLECENIA NIEMOŻLIWE
(NISKI STAN ZASILANIA AWARYJNEGO)

– Co to znaczy? – mruknął Tim.

– Mieliśmy już coś takiego – powiedział Gennaro. – Zapasowy generator dostarcza za mało energii. Musisz włączyć główne zasilanie.

– Dobra.

Niemal wsadził palec w ELECTRICAL MAIN.

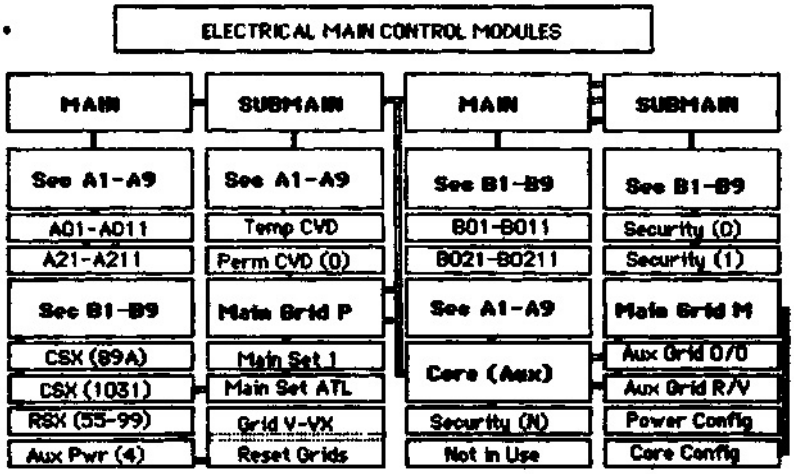

Chłopiec jęknął głośno.

– I co teraz zrobimy? – zapytał Grant. Cały obraz zaczął pulsować czerwienią.

Tim pstryknął w MAIN.

Żadnej reakcji.

Czując, jak ze strachu żołądek skręca mu się w ciasny supeł, chłopiec dotknął MAIN GRID P.

GŁÓWNA SIEĆ NIEAKTYWNA/DZIAŁA TYLKO
ZASILANIE AWARYJNE

Obraz nadal migotał. Tim spróbował szczęścia z MAIN SET 1.

WŁĄCZONE GŁÓWNE ZASILANIE

W pokoju zapaliły się wszystkie światła, a jednocześnie ustało pulsowanie kolorów na ekranach.

– Udało się!

Tim dotknął prostokąta z napisem RESET GRIDS. Przez chwilę nic się nie działo, a potem na głównym monitorze pojawiło się okno:

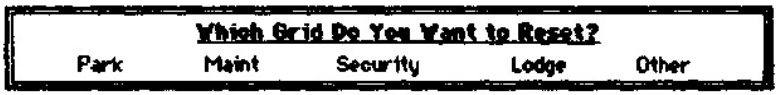

Grant powiedział coś, czego chłopiec nie zrozumiał. Zauważył natomiast zaniepokojone spojrzenie paleontologa.

Tim czuł, jak serce wali mu niczym młotem. Lex krzyczała coś do niego, a on nagle zapragnął, żeby już nigdy, ale to nigdy nie spojrzeć na monitor. Słyszał parskanie raptorów przedostających się przez świetlik do pokoju Malcolma, usłyszał, jak matematyk jęknął cichym głosem...

Dotknął słowa LODGE. aby włączyć sieć w domku myśliwskim.

PODAJ NUMER SIECI

Przez krótką, ale niewyobrażalnie okropną chwilę, nie mógł sobie przypomnieć numeru. F4! Szybko wcisnął odpowiedni klawisz.

URUCHAMIAM SIEĆ F4 W DOMKU MYŚLIWSKIM

Na ekranie monitora przekazującego obraz z domku myśliwskiego pojawił się najpierw snop iskier, a potem jaskrawy, oślepiający błysk.

– Coś ty narobił?! – krzyknęła Lex.

Jednak już w następnym ułamku sekundy obraz wrócił. Dwa raptory uwięzione w resztkach metalowej konstrukcji, która miała za zadanie wzmocnić świetliki, wiły się, skrzecząc przeraźliwie z bólu, podczas gdy Muldoon i pozostałe osoby przebywające w pokoju wznosiły radosne okrzyki, docierające do dyspozytorni za pośrednictwem włączonej krótkofalówki.

Grant poklepał Tima po ramieniu.

– Moje gratulacje! – zawołał. – Udało ci się!

Owacje trwałyby chyba bez końca, gdyby Lex nagle nie zapytała:

– A co ze statkiem?

– Jakim statkiem?

– Tym – odparła, wskazując ekran sąsiedniego monitora.

Budynki stojące na nabrzeżu wypełniały już niemal cały ekran, przesuwając się powoli w lewo, co świadczyło o tym, że statek szykuje się do cumowania. Na dziobie uwijało się kilku marynarzy.

Tim pośpiesznie wrócił na fotel i wpatrzył się w główny monitor. Wyglądało na to, że TELECOM VBB i TELECOM RSD mogą mieć coś wspólnego z telefonami. Na początek spróbował TELECOM RSD.

W PAMIĘCI JEST ZAREJESTROWANYCH 25 ROZMÓW I/LUB WIADOMOŚCI
CZY CHCESZ SIĘ Z NIMI TERAZ ZAPOZNAĆ?

Chłopiec wcisnął N.

– A jeśli dzwonili ze statku? – wtrąciła się Lex. – Może dowiedziałbyś się, jaki mają numer!

Zignorował ją.

PODAJ NUMER, Z KTÓRYM CHCESZ UZYSKAĆ POŁĄCZENIE, ALBO NACIŚNIJ F7

Tim nacisnął F7 i przez ekran zaczęły przesuwać się nazwy, nazwiska i numery. Było ich ogromnie dużo, a zadanie dodatkowo utrudniał fakt, że nie zostały uporządkowane alfabetycznie.

ST. ANNE B. (FREDDY) 708–3902

Pozostało tylko znaleźć sposób na uzyskanie połączenia. Na szczęście u dołu ekranu pojawił się odpowiedni napis:

DZWONISZ TERAZ CZY PÓŹNIEJ?

Pośpiesznie dotknął TERAZ.

NIESTETY, POŁĄCZENIE CHWILOWO NIE MOŻE ZOSTAĆ ZREALIZOWANE (BŁĄD–598)
SPRÓBUJ JESZCZE RAZ

Spróbował jeszcze raz.

Rozległ się sygnał, a potem seria elektronicznych piśnięć, kiedy komputer łączył się ze wskazanym numerem.

– I to wszystko? – zdziwił się Grant.

– Całkiem nieźle, Timmy – pochwaliła Lex brata. – Ale oni już prawie tam są.

Dziób statku niemal dotykał nabrzeża portu w Puntarenas. Z niewidocznego głośnika dobiegło donośne piśniecie, a potem rozległ się męski głos:

– Cześć, John, tu Freddy. Jak mnie słyszysz?

– Odpowiedz mu! – szepnęła Lex.

Wszyscy rzucili się do telefonów, podnosząc kolejno słuchawki, ale nie mogli trafić na właściwy. Dopiero po dłuższej chwili Tim dostrzegł aparat zainstalowany tuż obok pulpitu; na obudowie migało czerwone światełko.

– Halo, dyspozytornia? Tu Freddy. Jak mnie słyszycie? Odbiór. Tim złapał słuchawkę.

– Dzień dobry, mówi Tim Murphy, musi pan natychmiast...

– Powtórz, John, niezbyt dobrze cię odbieram.

– Nie wolno wam przybić do brzegu!

Zapadła cisza, a potem głos powiedział ze zdziwieniem:

– Dałbym głowę, że to jakiś cholerny dzieciak!

– Nie cumujcie! – krzyknął Tim. – Natychmiast wracajcie na wyspę!

– Czy on powiedział, że nazywa się Murphy? – zapytał głos.

– Nie wiem, nie usłyszałem – odparł inny, także należący do mężczyzny.

Tim spojrzał bezradnie na Gennaro, który wyciągnął rękę po słuchawkę.

– Daj mi to. Możesz dowiedzieć się, jak ten gość ma na nazwisko?

Na linii pojawiły się jakieś zakłócenia.

– ...sobie żarty robi.....bawi się tele.....w tym rodzaju...

Tim zajął się komputerem. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby dowiedzieć się, jak nazywał się tajemniczy Freddy.

– Słyszycie mnie? – powiedział Gennaro do mikrofonu. – Jeśli mnie słyszycie, potwierdźcie odbiór!

– Synu, nie wiem, kim jesteś, ale zupełnie nie udał ci się dowcip – nadeszła lekko zniekształcona odpowiedź. – Właśnie rzucamy cumy i bierzemy się do roboty, a ty albo się zaraz przedstaw, albo zjeżdżaj z tego kanału!

Na ekranie monitora wreszcie pojawiła się pożądana informacja:

FARRELL, FREDERICK, D. (kap.)

– W takim razie niech pan słucha mnie uważnie, kapitanie Farrell – powiedział Gennaro. – Jeżeli natychmiast nie zawróci pan statku i nie popłynie z powrotem na wyspę, naruszy pan paragraf 509 Ustawy o Ruchu Morskim, zostanie pozbawiony licencji i ukarany grzywną w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, z możliwością zamiany na pięć lat w kiciu. Zrozumiał mnie pan?

Odpowiedziało mu zdumione milczenie.

– Zrozumiał pan, kapitanie Farrell?

– Zrozumiałem... – wykrztusił wreszcie dowódca „Anne B.", a inny głos rzucił komendę „Wolno wstecz". Statek zaczął pomału oddalać się od nabrzeża.

Lex wydała radosny okrzyk, zaś Tim opadł bez sił na fotel i otarł mokre od potu czoło.

– Co to za Ustawa o Ruchu Morskim? – zapytał z zainteresowaniem Grant.

Gennaro wzruszył ramionami.

– Skąd niby mam wiedzieć?

Z ulgą obserwowali, jak z każdą chwilą zwiększa się odległość między statkiem a stałym lądem.

– Zdaje się, że najtrudniejsze już za nami – powiedział Gennaro.

Grant potrząsnął głową.

– Najtrudniejsze dopiero nas czeka.

SIÓDMA ITERACJA

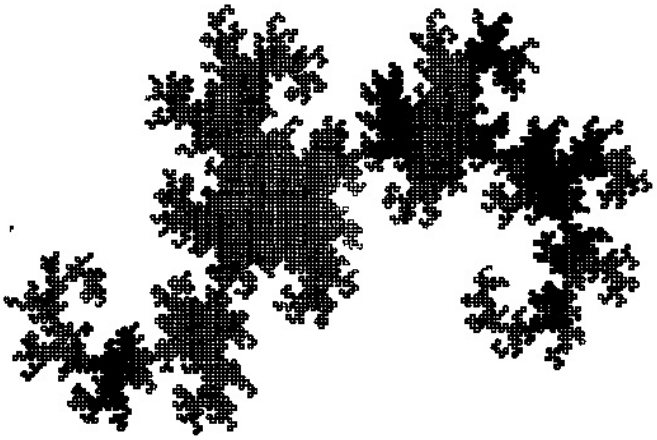

Trzeba będzie dużo odwagi, aby stawić czoło wnioskom, do jakich doprowadzi nas zastosowanie matematyki.

IAN MALCOLM

Zagłada świata

Malcolm został przeniesiony do innego pokoju i umieszczony w czystej pościeli. Hammond wyraźnie się ożywił, a nawet odzyskał część dawnej pewności siebie.

– No, jednak udało się zażegnać niebezpieczeństwo – stwierdził z zadowoleniem.

– Że co, proszę? – zapytał Malcolm słabym głosem.

– Zwierzęta nie wydostały się poza wyspę i nie rozprzestrzeniły się po świecie.

Malcolm podniósł się na łokciu.

– Ty naprawdę się tego obawiałeś?

– Naturalnie – odparł Hammond. – Przecież one nie mają żadnych naturalnych wrogów, więc kto wie, czy nie zniszczyłyby całej planety.

– Co za egocentryczny kretyn! – jęknął rozpaczliwie matematyk. – Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, o czym mówisz? Myślisz, że jest możliwe coś takiego jak zniszczenie Ziemi? Musiałbyś dysponować jakąś nieprawdopodobną siłą. – Malcolm opadł na łóżko. – Nikomu nie uda się zniszczyć tej planety, ani nawet jej porządnie zepsuć.

– Większość ludzi uważa jednak, że Ziemia jest poważnie zagrożona – odparł wyniośle Hammond.

– W takim razie informuję cię, że nie jest.

– Eksperci mają odmienne zdanie na ten temat.

Malcolm westchnął ciężko.

– Pozwól, że opowiem ci trochę o naszej planecie. Liczy sobie cztery i pół miliarda lat i przez większość tego okresu rozwijało się na niej życie. Dokładnie rzecz biorąc, pierwsza bakteria pojawiła się mniej więcej trzy miliardy osiemset milionów lat temu. Później przyszła kolej na organizmy wielokomórkowe, najpierw w oceanach, a potem także na lądzie. Po pewnym czasie zaczęły się zjawiać kolejne zwierzęta – bezkręgowce, płazy, dinozaury, ssaki – niczym wielkie dynastie, z których każda przeżywała rozkwit i upadek. Tło dla tych wydarzeń stanowiły gwałtowne zmiany wyglądu Ziemi: pojawiały się i nikły łańcuchy górskie, uderzały komety, wybuchały wulkany, oceany napełniały się, by niebawem wyschnąć, kontynenty przesuwały się z miejsca na miejsce... Zmiany, nic tylko nie kończące się, gigantyczne zmiany... Nawet w dzisiejszych czasach najbardziej rzucający się w oczy twór geologiczny, czyli Himalaje, świadczy o trwającym właśnie zderzeniu kontynentów. Ta planeta przeżyła już tak wiele, że z całą pewnością przeżyje także nas.

Hammond zmarszczył brwi. – To, że istnieje tak długo, wcale nie musi świadczyć o tym, że będzie trwała wiecznie – zauważył. – Gdyby wydarzyła się katastrofa nuklearna...

– Załóżmy więc, że się wydarzy – przerwał mu Malcolm. – Załóżmy, że będzie naprawdę okropna, że w jej wyniku zginą wszystkie rośliny i zwierzęta, a gleba rozgrzeje się na sto tysięcy lat do bardzo wysokiej temperatury. Nawet wtedy życie z

pewnością gdzieś przetrwa – może pod ziemią, a może w lodach Arktyki. Kiedy wreszcie ustąpią skutki katastrofy, życie ponownie zawładnie całą planetą, a ewolucja zacznie się od początku. Rzecz jasna, na osiągnięcie dzisiejszej różnorodności trzeba będzie poczekać parę miliardów lat, i nikt nie może dać gwarancji, że rezultat będzie taki jak to, co teraz widzimy dokoła, ale Ziemia odrodzi się po naszej szaleńczej zabawie, podobnie jak życie. Mimo że my uważamy inaczej.

– Ale jeżeli warstwa ozonu będzie się zmniejszać w takim tempie...

– To do powierzchni Ziemi zacznie docierać więcej promieniowania ultrafioletowego. I co z tego?

– Będzie powodować raka skóry.

Malcolm potrząsnął głową.

– Promieniowanie ultrafioletowe jest korzystne dla życia, ponieważ daje mnóstwo energii, a dodatkowo wywołuje mutacje, czyli zmiany. Liczne gatunki odniosą bardzo wiele korzyści.

– A jeszcze liczniejsze wyginą.

Matematyk westchnął głęboko.

– Myślisz, że coś takiego zdarzyłoby się po raz pierwszy? Nie wiesz, jak było z tlenem?

– Wiem, że jest niezbędny do życia.

– Owszem, teraz – odparł Malcolm. – Ale kiedy trzy miliardy lat temu pojawił się po raz pierwszy jako produkt przemiany materii pewnych komórek roślinnych, spowodował ogólnoplanetarny kryzys. Te komórki zanieczyszczały środowisko śmiertelnie niebezpieczną trucizną, produkując zabójczy gaz i stopniowo zwiększając jego zawartość w atmosferze. Na Wenus stężenie tlenu wynosi zaledwie jeden procent, na Ziemi natomiast rosło gwałtownie, by, dopiero stosunkowo niedawno, zmniejszyć się do dwudziestu jeden. Takiej dawki nie powinien znieść żaden żywy organizm!

– Co z tego wynika? – zapytał ze zniecierpliwieniem Hammond. – Że wkrótce zaczniemy oddychać trującymi gazami?

– Wcale nie. Chcę tylko powiedzieć, że życie samo da sobie radę. Z ludzkiej perspektywy sto lat to mnóstwo czasu. Sto lat temu nie mieliśmy jeszcze samochodów, samolotów, komputerów... To był zupełnie inny świat. Jednak w skali życia planety sto lat, ba, nawet milion lat, nic nie znaczy! Ziemia żyje i oddycha w innej, znacznie większej skali. Nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, w jak wielkiej, i nawet nie potrafimy zdobyć się na tyle pokory, aby spróbować to sobie wyobrazić. Mieszkamy tu przez czas krótszy niż mgnienie oka, i jeżeli znikniemy, na pewno nikt nie będzie po nas płakał.

– Wcale nie jest wykluczone, że znikniemy – zauważył poirytowany Hammond.

– Zgadzam się z tobą.

– W takim razie, co proponujesz? Żebyśmy przestali troszczyć się o środowisko?

– Oczywiście, że nie.

– A więc, co?

Malcolm zakasłał i wpatrzył się gdzieś przed siebie.

– Powiedzmy sobie jasno: to nie Ziemi grozi zagłada, tylko nam. Nie dysponujemy wystarczającą mocą, aby zniszczyć tę planetę, lub ją uratować, ale gdybyśmy zechcieli, może zdołalibyśmy ocalić samych siebie.

Pod kontrolą

Minęły cztery godziny. Nadeszło popołudnie i słońce zaczęło powoli zniżać się ku horyzontowi. W dyspozytorni znowu działała klimatyzacja, a komputer funkcjonował bez zarzutu. O ile mogli się zorientować, spośród dwudziestu czterech ludzi, jacy przebywali na wyspie, ośmiu straciło życie, a sześciu dalszych zaginęło bez wieści. Główny budynek oraz domek myśliwski były zabezpieczone przed atakiem, i wszystko wskazywało na to, że w północnej części Parku chwilowo nie ma żadnych dinozaurów. Z San José wyruszyła na pomoc silna jednostka kostarykańskiej Gwardii Narodowej oraz śmigłowiec sanitarny, który miał zabrać Malcolma do szpitala. Minio to podczas rozmów telefonicznych Kostarykańczycy zachowywali daleko idącą ostrożność, bez wątpienia czekając na wynik politycznych konsultacji między San José i Waszyngtonem. Należało tylko mieć nadzieję, że zakończą się one dość prędko, gdyż dzień chylił się ku końcowi, i gdyby nastąpiło jakieś opóźnienie, to śmigłowce przybyłyby na wyspę dopiero nazajutrz rano. Tymczasem ludzie na wyspie mogli tylko czekać. Statek był w drodze powrotnej, już bez trzech młodych raptorów, zabitych przez załogę. Wszystko wskazywało na to, że bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło. Tim zapoznał się na tyle z obsługą komputera, że bez trudu uzyskał od niego informację dotyczącą liczby dinozaurów na wyspie.

Całkowita liczba zwierząt			292
Gatunek	Powinno być	Jest	Wersja
Tyranozaury	2	1	4,1
Maiazaury	22	20	? ?
Stegozaury	4	1	3,9
Triceratopsy	8	6	3,1
Procompsognaty	65	64	? ?
Otnielie	23	15	3,1
Welociraptory	37	27	? ?
Apatozaury	17	12	3,1
Hadrozaury	11	5	3,1
Dilofozaury	7	4	4,3
Pterozaury	6	5	4,3
Hypsilofodonty	34	14	? ?
Euoplocefale	16	9	4,0
Styracozaury	18	7	3,9
Mikroceratopsy	22	13	4,1
Łącznie	292	203	

– Co się dzieje, do diabła? – zdumiał się Gennaro. – Dlaczego nagle zrobiło ich się mniej, niż do tej pory?

Grant wzruszył ramionami, zaś Ellie powiedziała:

– Jurassic Park powoli wraca pod naszą kontrolę.

– To znaczy?

– Odzyskuje równowagę. – Grant wskazał ekran jednego z monitorów, który pokazywał hypsilofodonta uciekającego przed grupą welociraptorów. – Wystarczyło,

żeby na kilka godzin zabrakło napięcia w ogrodzeniach, a zwierzęta zaczęły mieszać się ze sobą. Populacja zmierza szybko w kierunku równowagi – prawdziwej jurajskiej równowagi.

– Nie wydaje mi się, żeby to było dobre – powiedział Gennaro. – Te zwierzęta miały nigdy nie stykać się ze sobą.

– Teraz wszystko się zmieniło.

Na innym monitorze Grant dostrzegł gromadę raptorów pędzącą przez otwarte pole w kierunku młodego czterotonowego hadrozaura. Hadrozaur odwrócił się, ale zanim zdążył rzucić się do ucieczki, jeden z napastników skoczył mu na grzbiet i wpił się zębami w jego długą szyję, inne zaś rozorały ostrymi szponami brzuch i podcięły ścięgna w nogach. W ciągu sześciu minut było po walce.

Paleontolog przyglądał się temu w milczeniu.

– Czy tak to sobie wyobrażałeś? – zapytała Ellie.

– Już sam nie wiem, co sobie wyobrażałem. – Umilkł na chwilę, po czym dodał: – Nie, chyba jednak nie tak.

– Zdaje się, że wszystkie dorosłe raptory uganiają się teraz po Parku – zauważył Muldoon.

W pierwszej chwili Grant nie zwrócił uwagi na jego słowa, gdyż był zajęty obserwowaniem monitorów. Stegozaur poruszał w lewo i prawo kolczastym ogonem, krążąc wokół młodego tyranozaura, który przyglądał mu się ze zdziwieniem i od czasu do czasu bezskutecznie próbował zatopić zęby w pokrytym pancerzem cielsku. Dorosłe triceratopsy walczyły między sobą, zadając okrutne rany długimi rogami. Jedno zwierzę leżało już nieruchomo, martwe albo zdychające.

– Pozostała nam mniej więcej godzina dobrego światła, doktorze Grant – powiedział Muldoon. – Ma pan ochotę poszukać ich gniazda?

– Owszem – odparł uczony.

– Podejrzewam, że kiedy zjawią się tu Kostarykańczycy i zorientują w sytuacji, będą chcieli jak najszybciej zniszczyć wyspę – dodał myśliwy.

– Też tak uważam – zgodził się Gennaro.

– Zbombardują ją. Użyją napalmu albo gazu paraliżującego system nerwowy, ale na pewno zrobią to ze śmigłowców albo samolotów.

– Mam nadzieję – mruknął prawnik. – Ta wyspa przedstawia sobą zbyt wielkie zagrożenie. Wszystkie zwierzęta, jakie na niej przebywają, powinny zostać unicestwione, a im szybciej to się stanie, tym lepiej.

– To nie wystarczy – odparł Grant. Podniósł się z fotela. – W porządku, ruszamy.

– Nie wiem, czy mnie zrozumiałeś, Alan – powiedział Gennaro. – Moim zdaniem ta wyspa jest po prostu niebezpieczna i dlatego musi zostać zniszczona, łącznie ze wszystkimi zwierzętami, jakie na niej żyją. Zajmie się tym kostarykańska Gwardia Narodowa, i byłoby dobrze, gdyby nikt im w tym nie przeszkadzał. Rozumiemy się?

– Naturalnie – odparł paleontolog.

– O co ci więc chodzi? To czysto wojskowa operacja. Oni sami najlepiej dadzą sobie radę.

Grant czuł wyraźnie pieczenie na plecach, tam gdzie dosięgną! go pazur raptora.

– Niezupełnie – mruknął. – To my powinniśmy się tym zająć.

– Lepiej zostaw wszystko specjalistom – poradził mu Gennaro.

Grant przypomniał sobie, jak nie dalej niż sześć godzin temu znalazł przerażonego Gennaro skulonego w kabinie samochodu we wnętrzu siłowni, i ogarnęła go tak wielka wściekłość, że chwycił prawnika za klapy i grzmotnął nim o ścianę.

– Posłuchaj, draniu: ty też jesteś odpowiedzialny za tę sytuację, i byłoby dobrze, gdybyś zaczął zdawać sobie z tego sprawę!

– Przecież zdaję sobie... – wykrztusił Gennaro.

– Właśnie, że nie. Od samego początku spychasz odpowiedzialność, na kogo tylko się da.

– Co ty...

Jednak paleontolog nie dał mu dojść do głosu.

– Namówiłeś inwestorów do sfinansowania przedsięwzięcia, o którym prawie nic nie wiedziałeś, i nie nadzorowałeś go, mimo że masz w nim udziały. Nie kontrolowałeś poczynań człowieka, o którym wiesz, że jest notorycznym kłamcą, pozostawiając mu całkowitą swobodę w manipulowaniu najbardziej niebezpieczną technologią w historii ludzkości. I ty śmiesz jeszcze mówić, że zdajesz sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na tobie spoczywa?

– No, teraz już tak...

– Nieprawda, ty nadal jej unikasz, ale koniec z tym. – Puścił Gennaro, który zgiął się wpół, łapiąc ciężko powietrze, po czym zwrócił się do Muldoona: – Jakim uzbrojeniem dysponujemy?

– Sieciami i pałkami wstrząsowymi.

– Dobre są te pałki?

– Po zetknięciu się z ciałem wyzwalają impuls o wysokim napięciu, ale niskim natężeniu. Nikogo by nie zabiły, ale mogą na jakiś czas unieruchomić.

– To nam nic nie da – mruknął Grant. – A już na pewno nie w gnieździe.

– W jakim gnieździe? – zaniepokoił się Gennaro.

– W gnieździe raptorów – wyjaśniła mu Ellie.

– Raptorów?

Grant nie zwracał nie niego najmniejszej uwagi.

– Mamy obroże z radionadajnikami?

– Powinny gdzieś być.

– W takim razie proszę wziąć jedną. Jest może jeszcze coś, co dałoby się wykorzystać jako broń?

Muldoon pokręcił głową.

– Trudno. Niech pan weźmie wszystko, co uzna pan za stosowne.

Muldoon wyszedł z dyspozytorni, a Grant spojrzał na prawnika.

– Twoja wyspa śmierdzi, Gennaro, tak samo jak twój eksperyment. Trzeba tu posprzątać, ale żeby to zrobić, należy najpierw zorientować się w prawdziwych rozmiarach bałaganu, a to oznacza konieczność odnalezienia wszystkich gniazd dinozaurów, a szczególnie raptorów. Na pewno są dobrze ukryte. Musimy je

odszukać, zbadać, policzyć jaja i resztki ich skorup, żeby dokładnie wiedzieć, ile zwierząt naprawdę przebywa na wyspie. Dopiero wtedy będziemy mogli ją zniszczyć. Najpierw jednak czeka nas trochę pracy.

* * *

Ellie spoglądała na szklaną mapę, która akurat w tej chwili pokazywała rozlokowanie zwierząt na wyspie. Tim siedział przy klawiaturze.

– Największe zgromadzenie raptorów występuje w południowej części wyspy, w rejonie wzmożonej aktywności wulkanicznej. Może lubią ciepło?

– Są tam jakieś miejsca, które można wykorzystać jako kryjówki?

– Wygląda na to, że tak – odparła. – Potężne, wkopane głęboko w ziemię instalacje przeciwpowodziowe: rury, przepływy, przepompownie, i tak dalej. Dużo wilgoci i bardzo niewiele słońca.

Grant skinął głową.

– Tam je znajdziemy.

– Wydaje mi się, że powinno być jakieś wejście od strony plaży – powiedziała Ellie, po czym podeszła do chłopca siedzącego przy głównym pulpicie. – Tim, czy mógłbyś pokazać nam przekrój instalacji przeciwpowodziowych? – Chłopiec nie usłyszał. – Tim!

– Chwileczkę – odparł. – Chyba coś znalazłem.

– Co takiego?

– Nie oznakowany magazyn. Nie wiem, co w nim jest.

– To może być broń – powiedział Grant.

* * *

Magazyn znajdował się za budynkiem, w którym mieściły się generatory. Wspólnymi siłami udało im się podnieść stalową klapę, odsłaniając prowadzące w dół betonowe schody.

– Przeklęty Arnold! – warknął Muldoon, wchodząc na nie pierwszy. – Na pewno wiedział o tym przez cały czas.

– Niekoniecznie – odparł Grant. – Przecież nie starał się tu dostać.

– W takim razie Hammond. Ktoś musiał wiedzieć!

– Właśnie, a gdzie on się podział?

– Został w domku myśliwskim.

W pomieszczeniu, do którego prowadziły schody, znajdowało się mnóstwo masek przeciwgazowych. Kiedy weszli nieco dalej, w blasku latarek ujrzeli duże szklane sześciany wypełnione czymś w rodzaju czarnych, matowych kulek, przypominających wielokrotnie powiększone ziarenka pieprzu. Muldoon otworzył jeden z sześcianów, sięgnął do środka, wyjął kulkę i przyjrzał się jej uważnie.

– Niech mnie szlag trafi! – mruknął ze zmarszczonymi brwiami.

– Co to jest? – zapytał Grant.

– MORO–12 – odparł myśliwy. – Granaty z gazem działającym paraliżująco na

układ nerwowy. Całe mnóstwo granatów.

– W takim razie bierzmy się do roboty – powiedział ponuro Grant.

* * *

– On mnie lubi! – pisnęła z uciechą Lex. Stali całą grupą w garażu pod głównym budynkiem, przyglądając się małemu raptorowi, którego Grant schwytał w tunelu. Dziewczynka głaskała zwierzątko przez pręty, a ono ocierało się przymilnie o jej rękę.

– Na twoim miejscu byłbym ostrożny – zauważył Muldoon. – One potrafią paskudnie ugryźć.

– Ale on mnie lubi – powtórzyła dziewczynka. – Nazywa się Clarence.

– Clarence?

– Tak.

Muldoon trzymał małą skórzaną obróżkę z przytwierdzonym metalowym pudełeczkiem. Grant przyłożył ucho do słuchawek stanowiących komplet z tym urządzeniem i usłyszał wysokie, głośne popiskiwanie.

– Myślicie, że uda nam się mu to założyć?

– Mnie na pewno pozwoli – stwierdziła Lex.

– Lepiej nie – powiedział nieufnie Muldoon. – Nigdy nie wiadomo, co mu może strzelić do głowy.

– Ale on mnie lubi!

Myśliwy musiał ustąpić przed tym argumentem. Podał dziewczynce obrożę, a ona podsunęła ją dinozaurowi, żeby ten mógł dokładnie powąchać skórzany pasek. Następnie delikatnie wsunęła mu obrożę na szyję. Kiedy zapinała zatrzask, skóra zwierzęcia zabarwiła się intensywniej, ale po chwili młody raptor uspokoił się, przybierając zwyczajny kolor.

– Niech mnie licho! – mruknął Muldoon.

– Zupełnie jak kameleon! – ucieszyła się Lex.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego u raptorów – powiedział Muldoon ze zmarszczonymi brwiami. – Ten egzemplarz przyszedł na świat poza laboratorium i wyraźnie różni się od pozostałych. Aha, przy okazji... – Spojrzał na Granta. – W jaki sposób mogą się rozmnażać, skoro wszystkie są samicami? Nie wyjaśnił nam pan tej sprawy z fragmentami żabiego DNA.

– Nie chodzi konkretnie o żaby, tylko bardziej ogólnie o płazy – wyjaśnił paleontolog. – Tyle tylko, że to zjawisko najlepiej poznano i opisano właśnie u żab, a szczególnie u pewnych gatunków żyjących w Afryce Zachodniej.

– Co to za zjawisko?

– Zmiana płci, choć w gruncie rzeczy nie jest to aż takie proste, jak się wydaje.

Grant wyjaśnił, że wiele roślin i zwierząt przynajmniej raz w życiu zmienia płeć: orchidee, niektóre ryby, krewetki, a także żaby. Zaobserwowano, że żaby, które złożyły jaja, po pewnym czasie przeistaczały się w samce. Najpierw zaczynały naśladować ich zachowanie, potem do głosu dochodziły hormony, które prowadziły do powstania męskich gonad, a wreszcie osobniki te stawały się zdolne do

zapładniania samic.

– Chyba żartujesz! – wykrzyknął z niedowierzaniem Gennaro. – Dlaczego miałoby się tak dziać?

– Zmiany te zachodzą jedynie w środowisku, w którym występują wyłącznie osobniki jednej płci. W takiej sytuacji niektóre zwierzęta spontanicznie przeistaczają się z samic w samce.

– I myślisz, że to właśnie stało się z dinozaurami?

– Owszem, tak właśnie myślę, przynajmniej dopóty, dopóki nie znajdziemy lepszego wytłumaczenia. Jak tam, zabieramy się do tego gniazda?

* * *

Stłoczyli się w jeepie. Lex wyjęła z klatki małego raptora i przytuliła go mocno. Zwierzę zachowywało się nadzwyczaj spokojnie. Dziewczynka postawiła je na ziemi, ale ono ani myślało z tego skorzystać.

– Idź sobie! – zawołała Lex. – Sio!

Raptor dopiero wtedy odwrócił się i zniknął w zaroślach.

* * *

Muldoon prowadził samochód. Jeep podskakiwał na nierównościach drogi, kierując się na południe.

– Jak wygląda takie gniazdo? – zapytał Gennaro.

– Tego nikt nie wie – odparł Grant.

– Zdawało mi się, że je odkopywałeś?

– Odkopywałem skamieniałe pozostałości gniazd dinozaurów, mocno zdeformowane przez czas i ciężar milionów ton skał. Na podstawie znalezisk snuliśmy różne domysły i stawialiśmy hipotezy, ale tak naprawdę to nikt niczego na pewno nie wie.

Grant umilkł, przez chwilę wsłuchiwał się w elektroniczne popiskiwanie w słuchawkach, po czym dał znak Muldoonowi, żeby skręcił nieco na zachód. Wyglądało na to, że Ellie miała rację: gniazdo najprawdopodobniej znajdowało się na wulkanicznych terenach w południowej części wyspy. Paleontolog potrząsnął głową.

– Musicie zdawać sobie sprawę, że dysponujemy bardzo ograniczoną wiedzą na temat rodzinnych zwyczajów gadów. Nawet tych, które żyją w naszych czasach, takich jak na przykład krokodyle i aligatory. Niełatwo jest prowadzić nad nimi badania.

Było jednak powszechnie wiadomo, że u amerykańskich aligatorów na straży gniazda stoi jedynie samica, oczekując na chwilę, kiedy z jaj wyklują się młode. Samiec interesuje się partnerką tylko wczesną wiosną, gdy leży obok niej, czekając na chwilę, gdy będzie mógł spełnić akt seksualny. Kiedy dwa miesiące później samica zaczyna budować gniazdo, on już dawno jest gdzie indziej. Samica pilnie strzeże gniazda, a gdy młode zaczynają się wykluwać, często pomaga im wydostawać

się z jaj, a nawet zanosi je w pysku do wody.

– A więc aligatory opiekują się młodymi?

– Tak jest – odparł Grant. – Istnieje wśród nich też coś w rodzaju zbiorowej odpowiedzialności za potomstwo. Wystarczy, żeby młody osobnik zasygnalizował, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo, a każdy dorosły, jaki znajdzie się w pobliżu, natychmiast pośpieszy mu na ratunek, atakując z wściekłością tego, kto jego zdaniem, stanowi zagrożenie dla „dziecka".

– Aha... – mruknął Gennaro z niezbyt pewną miną.

– Ale przecież dinozaury to nie zwyczajne gady – zauważył Muldoon.

– Otóż to. Swoim zachowaniem w gnieździe powinny znacznie bardziej przypominać ptaki niż gady.

– Krótko mówiąc, nic nie wiesz na ten temat – stwierdził ze zniecierpliwieniem Gennaro. – Nie wiesz nawet, jak wygląda gniazdo?

– Nie.

– No, to chyba byłoby tyle, jeśli chodzi o tak zwanych specjalistów.

Grant puścił mimo uszu cierpką uwagę prawnika, gdyż poczuł wyraźny zapach siarki, a wkrótce potem jeep wjechał w kłęby pary wydobywające się ze szczelin w skalistym gruncie.

* * *

Ziemia była nie tyle ciepła, co wręcz gorąca, a tu i ówdzie w zagłębieniach gruntu kipiało błoto. Wydobywająca się pod dużym ciśnieniem para miała żółtawe zabarwienie i cuchnęła siarką. Gennaro czuł się tak, jakby szedł przez piekło.

Spojrzał na Granta, wsłuchującego się w popiskiwania wydobywające się ze słuchawek. Ubrany w dżinsy, kowbojskie buty i hawajską koszulę sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego. W przeciwieństwie do niego, Gennaro wcale nie był spokojny. Wręcz przeciwnie: był przerażony, że musi przebywać w tym diabelskim, śmierdzącym miejscu, gdzie lada chwila mógł paść ofiarą welociraptora. Nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób paleontologowi udało się do tego stopnia zapanować nad nerwami.

Podobnie jak tej kobiecie, Sattler. Szła przed siebie jakby nigdy nic, rozglądając się z zainteresowaniem.

– Czy ty się nie boisz? – zapytał Gennaro. – To znaczy, nie niepokoisz?

– Musimy to zrobić – odparł lakonicznie Grant.

Mijali coraz więcej gejzerów. Gennaro co chwila dotykał granatów z gazem paraliżującym, które miał przytroczone do paska.

– Dlaczego on się zupełnie nie denerwuje? – zapytał Ellie.

– Denerwuje się, tylko tego po nim nie widać. Poza tym robi to, o czym marzył przez całe życie.

Gennaro skinął głową, po czym zaczął się zastanawiać, czy istnieje coś, o czym on marzył przez całe życie. Ostatecznie doszedł do wniosku, że nic takiego nie ma.

Grant zmrużył oczy, oślepione blaskiem chylącego się ku zachodowi słońca. Kilkanaście metrów z przodu, za zasłoną z pary, pojawiło się jakieś zwierzę. Przez

chwilę przyglądało się ludziom, po czym uciekło.

– Czy to był nasz raptor? – zapytała Ellie.

– Całkiem możliwe. Albo inny, ale też młody.

– Myślisz, że próbuje odwrócić naszą uwagę?

– Kto wie...

Ellie opowiedziała mu o tym, jak przy domku myśliwskim raptory starały się zaprzątnąć jej uwagę, aby dać czas dwóm innym na przedostanie się na dół z dachu budynku. Takie zachowanie wskazywało na ogromne możliwości intelektualne tych zwierząt. Do tej pory uważano, że tylko kilka gatunków potrafi obmyślać wielostopniowe plany działania, a następnie je realizować: np. niektóre małpy i ludzie. Teraz okazało się, że do takiego działania zdolne są także dinozaury.

Raptor pojawił się znowu, przebiegł szybko kilka metrów po odkrytym terenie, zaskrzeczał głośno i zniknął im z oczu. Rzeczywiście, można było odnieść wrażenie, że próbuje ich gdzieś zaprowadzić.

Gennaro zmarszczył brwi.

– Jak bardzo one są inteligentne?

– Jeżeli założymy, że są blisko spokrewnione z ptakami, to powinniśmy przygotować się na spore niespodzianki. Niektórzy badacze twierdzą, że szara papuga pod względem umiejętności myślenia symbolicznego dorównuje szympansowi, a o szympansach wiemy już na pewno, że posługują się parajęzykiem. Przeciętna papuga jest równie rozwinięta emocjonalnie jak trzyletnie dziecko, ale jej inteligencja jest niezaprzeczalna.

– Tyle tylko, że jakoś nigdy nie słyszałem, by ktoś został zabity przez papugę – mruknął Gennaro.

* * *

Gdzieś z daleka dobiegał odgłos fal rozbijających się o brzeg. Zostawili już za sobą tereny wulkaniczne, przed nimi zaś rozciągał się rozległy obszar usiany obficie kamieniami i skałami. Mały raptor wspiął się na blok skalny, po czym nagle zniknął.

– Gdzie on się podział? – zapytała Ellie.

Elektroniczne popiskiwanie w słuchawkach Granta ucichło bez żadnego ostrzeżenia.

– Zgubiłem go.

Pobiegli naprzód i po krótkich poszukiwaniach odkryli wśród skał niewielki otwór. Jego średnica mogła wynosić najwyżej sześćdziesiąt centymetrów. Młody raptor wysunął z niej łebek, zamrugał szybko, i ponownie zniknął.

– Nawet nie ma mowy – stwierdził stanowczo Gennaro. – Nie zejdę tam.

Grant nic nie odpowiedział, tylko wraz z Ellie przystąpił do montażu sprzętu. Połączył długimi kablami małą kamerę wideo z przenośnym monitorem, a następnie przywiązał ją do linki, włączył i zaczął opuszczać do dziury.

– W ten sposób nic nie zobaczycie – powiedział prawnik.

– Zaczekaj, aż ustawi ostrość – odparł paleontolog.

Na monitorze widać było gładkie ściany ziemnego tunelu, a potem obraz zniknął,

gdyż oświetlenie stało się zbyt słabe, ale z głośnika zaczęły dobiegać popiskiwania i skrzeczenie wielu zwierząt.

– To chyba rzeczywiście gniazdo – powiedziała Ellie.

– Przecież nic nie widać! – zaprotestował Gennaro, ocierając pot z czoła.

– Ale słychać. – Grant wsłuchiwał się jeszcze przez chwilę w transmitowane z dołu odgłosy, po czym wyciągnął kamerę i położył ją na ziemi. – Zaczynamy. – Założył maskę przeciwgazową, położył się na brzuchu przy otworze i zajrzał do tunelu.

– Naprawdę chcesz tam iść? – wykrztusił Gennaro.

Grant skinął głową.

– Owszem, choć nie powiem, żebym był zachwycony tą perspektywą. Pójdę pierwszy, za mną Ellie, a potem ty.

– Zaraz, chwileczkę! – Gennaro czuł, jak pot ścieka mu strumyczkami z czoła. – Dlaczego najpierw nie wrzucimy tam granatów? Chyba to miałoby więcej sensu, prawda?

– Ellie, masz latarkę?

Podała ją Grantowi.

– No więc? – nie ustępował prawnik. – Co o tym myślicie?

– Pewnie, ja też wolałbym tak zrobić – powiedział Grant, zagłębiając się w otwór nogami naprzód. – Widziałeś kiedyś kogoś, kto umierał zatruty gazem paraliżującym?

– Nie.

– Gaz zazwyczaj powoduje konwulsje. Potworne konwulsje.

– Rozumiem, że to może być nieprzyjemne, ale...

– Przede wszystkim zależy nam na tym, żeby ustalić, ile zwierząt opuściło gniazdo – przerwał mu paleontolog. – Jeśli rap tory dostałyby konwulsji, gniazdo prawdopodobnie uległoby całkowitemu zniszczeniu. Dlatego nie możemy postąpić tak, jak proponujesz.

– Ale...

– To pan stworzył te zwierzęta, panie Gennaro – powiedziała Ellie oskarżycielskim tonem.

– Nieprawda!

– Może nie pan osobiście, ale na pewno pańskie pieniądze i wysiłki, których pan nie szczędził. Nie może pan ich teraz ot, tak sobie pozabijać, tylko dlatego, że jest pan trochę zdenerwowany.

– Wcale nie jestem zdenerwowany, tylko cholernie się boję, ponieważ...

– Za mną – rozkazał Grant, ucinając dyskusję. Ellie wręczyła mu pałkę wstrząsową. – Dobrze dopasowana ta nora... – mruknął, wciskając się w otwór.

Szarpnął się kilka razy, wyciągnął ręce przed siebie, a potem nagle zniknął.

Czarny otwór spoglądał na nich niczym pusty oczodół.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony Gennaro.

Ellie pochyliła się nad otworem tunelu, przez dłuższą chwilę nasłuchiwała uważnie, po czym włączyła krótkofalówkę.

– Alan? – powiedziała cicho do mikrofonu. Odpowiedziało jej długie milczenie, a potem rozległ się zduszony głos Granta.

– Jestem.

– Wszystko w porządku?

Tym razem cisza była jeszcze dłuższa. Kiedy Grant odezwał się ponownie, wydawał się czymś zdumiony, a nawet oszołomiony.

– Tak, wszystko w porządku...

Niemal paradygmat

John Hammond chodził nerwowo w tę i z powrotem po pokoju Malcolma. Był zniecierpliwiony i czuł się bardzo niepewnie. Po swoim ostatnim wybuchu Malcolm pogrążył się w czymś w rodzaju śpiączki, a Hammond zaczął się poważnie obawiać o życie matematyka. Oczywiście wezwano śmigłowiec sanitarny, ale jeden Bóg wiedział, kiedy maszyna dotrze na wyspę. Myśl o tym, że tymczasem Malcolm mógłby umrzeć, napełniała Hammonda lękiem i wściekłością.

Paradoksalnie przyczynił się do tego fakt, że tak bardzo nie lubił matematyka. Łatwiej byłoby znieść tę świadomość, gdyby chodziło o przyjaciela. Hammond zdawał sobie sprawę, że ewentualna śmierć Malcolma będzie stanowiła kolejny zarzut pod jego, Hammonda, adresem.

Poza tym w pokoju coraz bardziej cuchnęło. W ten sposób mogło śmierdzieć tylko gnijące ludzkie ciało.

– Wszystko... raj... – wyszeptał Malcolm, rzucając się w pościeli.

– Budzi się? – zapytał Hammond.

Harding pokręcił głową.

– Co on powiedział? Coś o raju?

– Nie zrozumiałem – odparł weterynarz.

Hammond wznowił wędrówkę po pokoju. Otworzył szerzej okno, żeby wpuścić więcej świeżego powietrza. Wreszcie, nie mogąc dłużej znieść milczenia, zapytał:

– Czy na zewnątrz już wszystko jest w porządku?

– Chyba tak – powiedział Harding. – Przynajmniej w tej okolicy.

– W takim razie wyjdę się trochę przejść.

– W porządku – odparł Harding, zwiększając przepływ w kroplówce, do której był podłączony Malcolm.

– Niedługo wrócę.

– W porządku – powtórzył weterynarz.

Hammond wyszedł, zastanawiając się, dlaczego uznał za konieczne usprawiedliwiać się przed Hardingiem, bądź co bądź swoim podwładnym.

Przedostał się przez otwartą bramę na drugą stronę ogrodzenia. Było już późne popołudnie. O tej porze mgła zazwyczaj nieco się przerzedzała, a czasem nawet wyglądało słońce. Stało się tak i teraz, co Hammond uznał za dobry znak. Bez względu na to, co mówili inni, on nadal uważał, że Park ma przed sobą przyszłość. Nawet gdyby ten impulsywny głupiec Gennaro kazał wszystko spalić do gołej ziemi.

Hammond wiedział, że w dwóch pilnie strzeżonych sejfach w głównej siedzibie InGen w Palo Alto znajduje się kilkadziesiąt zamrożonych embrionów. Wyhodowanie z nich dorosłych zwierząt nie powinno nastręczać żadnych problemów – na jakiejś innej wyspie, w zupełnie innej części świata. Jeżeli nawet tym razem pojawiły się pewne problemy, to za drugim podejściem będzie już wiadomo, jak je rozwiązywać. Postęp polega bowiem właśnie na rozwiązywaniu

kolejnych problemów.

Zastanawiając się teraz nad tym, doszedł do wniosku, że Henry Wu nie nadawał się do tej roboty, ponieważ z jednej strony był niedbały, z drugiej zaś miał obsesję na punkcie ciągłego dokonywania ulepszeń. Zamiast stwarzać dinozaury, on wolał je poprawiać. Całkiem możliwe, że w tym właśnie leżała główna przyczyna niepowodzenia przedsięwzięcia.

Tak, to wina Wu.

Trzeba było także przyznać, że John Arnold okazał się marnym głównym inżynierem. Co prawda miał znakomite referencje, ale był już zmęczony dotychczasową karierą zawodową, a w dodatku ciągle się czegoś obawiał. Nie potrafił we właściwy sposób zorganizować pracy i zbyt wiele ważnych spraw uchodziło jego uwagi.

Zarówno Wu, jak i Arnoldowi, brakowało jednej, podstawowej cechy: wyobraźni. Żaden z nich nie umiał stworzyć sobie wspaniałej wizji Parku odwiedzanego przez miliony dzieci, które z zachwytem oglądają bajkowe stwory, w cudowny sposób ponownie powołane do życia. Tak, na tym właśnie polega wyobraźnia: na umiejętności zobaczenia przyszłości, a następnie na zmobilizowaniu wszystkich sił, aby ta przyszłość stała się faktem.

Nie, ani Wu, ani Arnold zupełnie się nie nadawali.

Zresztą podobnie jak Ed Regis. Harding... Cóż, Harding w najlepszym razie był nijaki, Muldoon nie rozstawał się z butelką...

Hammond potrząsnął ze smutkiem głową. Następnym razem będzie rozważniej dobierał sobie ludzi.

Pogrążony głęboko w myślach, ruszył wąską ścieżką w kierunku swojego bungalowu. Minął jednego z robotników, który ukłonił mu się grzecznie, ale Hammond nawet tego nie zauważył. Tubylcy, co do jednego, byli niewiarygodnie bezczelni. Jeśli się nad tym zastanowić, to nawet wybór wyspy leżącej akurat w pobliżu wybrzeży Kostaryki pozostawiał wiele do życzenia. Następnym razem postara się nie popełnić takiego błędu.

Gdzieś przerażająco blisko rozległ się ryk dinozaura. Hammond odwrócił się tak gwałtownie, że stracił równowagę i runął jak długi na ścieżkę. Kiedy podniósł głowę, odniósł wrażenie, że między drzewami przesunął się cień młodego tyranozaura, podążającego szybko w jego kierunku.

Skąd mógł się tu wziąć? W jaki sposób wydostał się poza ogrodzenie?

Hammond poczuł, jak ogarnia go nieopisana wściekłość, ale w chwilę potem ujrzał uciekających co sił w nogach robotników, więc podniósł się z trudem i popędził na oślep w las po przeciwnej stronie ścieżki niż ta, po której dostrzegł dinozaura. Natychmiast wpadł w niemal całkowitą ciemność; stracił równowagę, upadł na rozmiękłą ziemię, wstał, zataczając się przebiegł kilka metrów, znowu upadł, wstał, ale nie zdołał utrzymać równowagi i stoczył się po stromym, porośniętym drzewami zboczu, by znieruchomieć dopiero u podnóża wzniesienia, z twarzą w strumyku płynącym niespiesznie między korzeniami drzew.

Co za głupiec ze mnie! – obsztorcował się w myślach. Żeby tak łatwo ulec panice!

Powinien był iść prosto do bungalowu.

Gramoląc się z powrotem na nogi, poczuł przeraźliwy ból w kostce. Ostrożnie dotknął opuchniętego miejsca; chyba złamał nogę. Zaciskając zęby zmusił się, aby to sprawdzić. Tak, nie ulega żadnej wątpliwości.

Złamana.

* * *

– Szkoda, że nie zabrali nas do tego gniazda – powiedziała w dyspozytorni Lex do Tima.

– To dla nas zbyt niebezpieczne – odparł. – Musimy tu zostać. Posłuchaj tego.

Nacisnął jakiś guzik i ze wszystkich głośników na terenie parku rozległ się ryk tyranozaura.

– Świetnie! – ucieszyła się dziewczynka.

– Ty też możesz to zrobić. A jeśli jednocześnie wciśniesz ten guzik, uzyskasz dodatkowy pogłos.

– Daj, spróbuję. – W chwilę potem ryk tyranozaura rozległ się ponownie, tym razem ze zdwojoną siłą. – Można go wydłużyć?

– Jasne – odparł Tim. – Wystarczy pokręcić tą gałką...

* * *

Leżący bezradnie u podnóża wzniesienia Hammond usłyszał kolejny, mrożący krew w żyłach ryk tyranozaura.

Boże.

Wydawało się, że to odgłos z innego świata. Starzec znieruchomiał, oczekując na to, co zrobi tyranozaur. Czy już dopadł któregoś z robotników? W dżungli jednak słychać było tylko granie cykad. Hammond dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że wstrzymał oddech, i z głośnym westchnieniem wypuścił powietrze z płuc.

W stanie, w jakim teraz się znajduje, na pewno nie uda mu się wspiąć na szczyt wzgórza. Będzie musiał zostać tutaj, a kiedy tyranozaur gdzieś sobie pójdzie, zacznie wzywać pomocy. Tymczasem chyba nic mu tutaj nie grozi.

– Timmy, ja też chcę spróbować! – rozległ się wzmocniony głos Lex. – Daj, teraz ja pohałasuję!

Dzieciaki!

Tyranozaur ryknął ponownie, ale teraz w jego głosie dało się wyraźnie słyszeć coś jakby melodyjny zaśpiew, na końcu zaś rozległo się wielokrotne echo.

– Całkiem nieźle – powiedziała dziewczynka. – Zrób tak jeszcze raz.

Przeklęte bachory!

W ogóle nie powinien był ich tu ściągać. Od samego początku były z nimi tylko kłopoty. Hammond sprowadził je wyłącznie dlatego, iż myślał, że obecność dzieci powstrzyma Gennaro przed zniszczeniem Parku, ale ten beznadziejny prawnik mimo wszystko postanowił to zrobić, a dzieciaki najwyraźniej dostały się do dyspozytorni i urządziły sobie świetną zabawę... Kto do tego dopuścił, do jasnej

cholery?

Poczuł, że serce łomocze mu w zastraszającym tempie, a w dodatku pojawiły się kłopoty z oddychaniem. Zmusił się do zachowania spokoju. Nie stało się nic złego. Co prawda zdoła wejść na wzniesienie, ale zarówno od bungalowu, jak i od głównego budynku powinno go dzielić nie więcej niż sto metrów. Hammond usiadł na wilgotnej ziemi, przez chwilę wsłuchiwał się w odgłosy dżungli, a potem zaczął wzywać pomocy.

* * *

Malcolm mógł już tylko szeptać.

– Wszystko... wygląda inaczej... po drugiej stronie...

Harding pochylił się nad nim.

– Po drugiej stronie?

Wydawało mu się, że matematyk mówi o śmierci.

– Kiedy... zmienia się.

– Co się zmienia? Malcolm długo zbierał siły.

– Paradygmat – szepnął wreszcie, z trudem poruszając spieczonymi wargami.

– Zmienia się paradygmat? – Harding wiedział, co Malcolm ma na myśli. Przez ostatnich dwadzieścia lat tak właśnie określano większość zmian zachodzących w nauce. „Paradygmat" znaczyło tyle samo co „wzór" albo „model", lecz w ustach naukowców nabierało dodatkowego znaczenia, mianowicie „pogląd na świat". Zmiany paradygmatu następowały wówczas, kiedy dokonywano bardzo ważnych odkryć, burzących dotychczasowy sposób postrzegania świata. Zdarzało się to niezmiernie rzadko – na pewno nie częściej niż raz na sto lat. Wielką zmianę paradygmatu spowodowała teoria Darwina, nieco mniejszą – mechanika kwantowa.

– Nie... – szepnął Malcolm. – Nie ma żadnych... paradygmatów... poza...

– Poza czym?

– Nie obchodzi mnie... już nic...

Harding westchnął ciężko. Mimo jego wysiłków matematyk zaczynał majaczyć. Miał bardzo wysoką gorączkę, a zostało im już bardzo niewiele antybiotyków.

– Co cię już nie obchodzi?

– Wszystko. Po drugiej stronie... wszystko... wygląda inaczej.

I uśmiechnął się.

W jaskini

– Pani oszalała – powiedział Gennaro do Ellie Sattler, przyglądając się, jak dziewczyna wpełza tyłem do otworu. – Tylko szaleniec może zrobić coś takiego!

Uśmiechnęła się.

– Ma pan rację – odparła, po czym wyciągnęła przed siebie ręce, zagłębiła się jeszcze bardziej... i zniknęła.

Otwór ział nieprzeniknioną czernią.

Gennaro oblał się zimnym potem i spojrzał na stojącego przy jeepie Muldoona.

– Nie pójdę tam – oświadczył.

– Właśnie, że pan pójdzie.

– Nie mogę tego zrobić. Naprawdę.

– Czekają na pana – powiedział Muldoon. – Nie ma pan wyboru.

– Diabli wiedzą, co jest tam na dole. Mówię panu, że nie mogę.

– Musi pan.

Gennaro odwrócił się, popatrzył na dziurę, po czym cofnął się o krok.

– Nie ma mowy. Nie zmusi mnie pan.

– Chyba nie – zgodził się Muldoon, wyciągając zza pleców krótki metalowy pręt z izolowanym uchwytem. – Miał pan kiedyś do czynienia z pałką wstrząsową?

– Nie.

– To właściwie nic wielkiego. Prawie nigdy nie powoduje śmierci ofiary. Najczęściej tylko pozbawia przytomności, niekiedy do tego stopnia, że potem trzeba szybko zmieniać bieliznę. Nie powoduje żadnych nieodwracalnych uszkodzeń – ma się rozumieć, u dinozaurów. Nie bardzo wiem, jak to jest z ludźmi, bo przecież są o tyle mniejsi...

Gennaro nie spuszczał wzroku z pałki.

– Nie odważy się pan.

– Myślę, że powinien pan tam zejść i pomóc liczyć te zwierzęta – powiedział Muldoon. – I radziłbym się pośpieszyć.

Prawnik spojrzał na czarny otwór ziejący w ziemi niczym rozdziawione, bezzębne usta, a potem na potężnie zbudowanego Muldoona, stojącego nieruchomo w odległości zaledwie kilku metrów. Gennaro odczuwał zawroty głowy, a pot ściekał mu z czoła strumyczkami. Niepewnym krokiem ruszył w stronę otworu. Z daleka wydawał się niezbyt duży, ale w miarę zbliżania się do niego rósł coraz bardziej.

– Mądry chłopiec – pochwalił go Muldoon.

Gennaro zaczął schodzić w taki sam sposób, w jaki wcześniej uczynili to Grant i Ellie, ale w ostatniej chwili rozmyślił się, cofnął i zanurzył w otwór głową naprzód, żeby przynajmniej widzieć, co go czeka. Na wszelki wypadek naciągnął na twarz maskę przeciwgazową.

Niespodziewanie zaczął spadać w dół, obijając się o ściany, które jednak już po chwili zbliżyły się do siebie. Stromy korytarz stawał się coraz węższy, aż wreszcie

ściany zaczęły uciskać jego ciało ze wszystkich stron. Gennaro parł rozpaczliwie naprzód, nie mogąc nawet głębiej odetchnąć. Nagle korytarz zamienił się w pionowy szyb i prawnik bezradnie runął w czarną pustkę. Lot nie trwał długo, gdyż już w następnym ułamku sekundy jego ciało zetknęło się z chropowatą betonową powierzchnią i Gennaro potoczył się po niej jak szmaciana lalka.

Głosy w ciemności. Ręce przesuwające się po jego ciele. Powietrze było zimne, jak w jaskini.

– ...porządku?

– Wygląda na to, że nic mu nie jest. W każdym razie oddycha.

– To dobrze.

Kobieca dłoń dotknęła jego twarzy.

– Słyszy mnie pan? – szepnęła Ellie.

– Dlaczego wszyscy szepczą? – zapytał.

– Dlatego – odparła, wskazując przed siebie.

Gennaro odwrócił się na brzuch i powoli podniósł się na nogi. Jego wzrok powoli zaczął się przyzwyczajać do ciemności. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, były oczy. Zielone, błyszczące oczy.

Dziesiątki oczu. Wszędzie dokoła.

Znajdowali się we trójkę na betonowej półce, czy też czymś w rodzaju wysokiego podestu, wznoszącego się na około dwa metry nad podłogą. Duże metalowe skrzynie odgałęźne zasłaniały ich przed wzrokiem dwóch dorosłych welociraptorów, stojących nie dalej niż półtora metra przed nimi. Zwierzęta na grzbietach miały brązowo–żółte, tygrysie pasy. Stały wyprostowane, podpierając się ogonami. Nie wydawały żadnego dźwięku, tylko rozglądały się uważnie dokoła, badając wszystkie zakamarki wielkimi, ciemnymi oczami. U stóp dorosłych kręciły się maleńkie raptory, nieco dalej zaś bawiła się młodzież, wydając donośne parsknięcia i próbując od czasu do czasu dorosłego ryku.

Gennaro nie śmiał nawet odetchnąć.

Dwa raptory!

Znajdował się zaledwie około pół metra nad nimi. Zwierzęta były wyraźnie podenerwowane, gdyż poruszały głowami w górę i w dół, a od czasu do czasu parskały gniewnie. Jednak po chwili uspokoiły się i odeszły w kierunku głównej grupy. Teraz, kiedy jego wzrok przyzwyczaił się już zupełnie do ciemności, Gennaro zobaczył, że trafił do czegoś w rodzaju ogromnej jaskini, tyle tylko, że wybudowanej przez człowieka, gdyż z betonowych ścian tu i ówdzie wystawały fragmenty zbrojenia. Sądząc po odgłosach, przebywało tu kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt raptorów.

– To kolonia – szepnął Grant. – Pięcioro albo sześcioro dorosłych, a cała reszta to młodzież i dzieci. Co najmniej dwa wylęgi: jeden w ubiegłym roku, a drugi w tym. Małe wyglądają na jakieś cztery miesiące. Przypuszczam, że wykluły się w kwietniu.

Jeden z najmniejszych raptorów, być może zaintrygowany nowym zapachem, wskoczył na betonową półkę i popiskując cicho ruszył w kierunku ludzi. Dzieliły go od nich zaledwie trzy metry.

– O Boże... – jęknął Gennaro.

Jednak niemal natychmiast za malcem ruszył dorosły osobnik, podniósł głowę i pyskiem delikatnie trącił wycieczkowicza, nakazując mu powrót. Brzdąc początkowo protestował, ale potem wlazł na wielką głowę, a następnie zsunął się w dół, po długiej szyi, aż na grzbiet dorosłego raptora. Dopiero tam zatrzymał się, odwrócił i zaświergotał coś głośno w kierunku trojga intruzów.

Jednak dorosłe raptory nadal zdawały się ich nie dostrzegać.

– Nic z tego nie rozumiem – wyszeptał prawnik. – Dlaczego nie atakują?

Grant potrząsnął głową.

– Nie widzą nas, a poza tym nie bronią złożonych jaj, więc są bardziej odprężone.

– Odprężone? – powtórzył z niedowierzaniem Gennaro. – Dobre sobie. Jak długo musimy tu zostać?

– Dopóki wszystkiego dokładnie nie policzymy – odparł paleontolog.

Zdaniem Granta w sztucznej jaskini znajdowały się trzy gniazda, a każdym z nich opiekowało się dwoje rodziców. Podział terytorialny odpowiadał mniej więcej położeniu gniazd, choć najmłodsze raptory poruszały się bez przeszkód po całej jaskini. Dorośli traktowali maluchy z wielkim pobłażaniem, natomiast byli znacznie bardziej surowi wobec podrostków, czasem karcąc ich nawet lekkim kłapnięciem zębów.

Niespodziewanie taki właśnie wyrośnięty raptor podszedł do Ellie i potarł głową o jej kolano. Dziewczyna zauważyła na szyi zwierzęcia skórzaną obrożę z nadajnikiem. Obroża była chyba zbyt mocno zaciśnięta, gdyż dinozaur oddychał dość ciężko i żałośnie popiskiwał.

Jeden z dorosłych osobników zainteresował się tymi bolesnymi dźwiękami i spojrzał w stronę, z której dochodziły.

– Myślicie, że mogę mu to zdjąć? – szepnęła Ellie.

– Tak, tylko szybko.

– W porządku.

Pochyliła się nad piszczącym zwierzęciem. Dwoje, a po chwili już troje dorosłych parsknęło gniewnie i zakołysało głowami.

Ellie głaskała młodego dinozaura, starając się go uciszyć, po czym sięgnęła do obroży i gwałtownym szarpnięciem oderwała taśmę, którą była spięta. W ogromnej przestrzeni ten odgłos zabrzmiał jak strzał z rewolweru. Tym razem już wszystkie raptory wzmogły czujność, a jeden z nich ruszył powoli w kierunku dziewczyny.

– Cholera! – zaklął pod nosem Gennaro.

– Nie ruszaj się! – rzucił szeptem Grant. – Zachowaj spokój.

Raptor minął obu mężczyzn, skrobiąc pazurami po betonowej posadzce, po czym zatrzymał się przed Ellie, która stała przy młodym dinozaurze, częściowo ukryta za metalową skrzynią. Wciąż jeszcze trzymała rękę na jego obroży. Dorosły osobnik kilka razy wciągnął podejrzliwie powietrze; jego głowę dzieliło od głowy Ellie zaledwie kilkanaście centymetrów, ale nie mógł dostrzec dziewczyny, gdyż stała za skrzynią odgałęźną. Zwierzę jednak nie wyzbyło się wątpliwości, gdyż wysunęło badawczo język...

Grant odpiął od paska granat i zacisnął palce na zawleczce, ale Gennaro ostrzegawczo położył mu rękę na ramieniu i wskazał ruchem głowy na Ellie.

Była bez maski.

Grant schował granat, wziął natomiast do ręki pałkę wstrząsową. Welociraptor w dalszym ciągu stał dwa kroki od dziewczyny.

Ellie cofnęła rękę, a rozpięta obroża zsunęła się i z metalicznym brzęknięciem spadła na beton. Zwierzę przechyliło głowę i zaczęło się już pochylać, aby zbadać źródło niezwykłego dźwięku, kiedy nagie młody raptor zaskrzeczał radośnie i pobiegł ku gromadzie rówieśników. Dorosły osobnik jeszcze przez chwilę pozostał przy dziewczynie, po czym odwrócił się i dostojnie wrócił na środek jaskini.

Gennaro odetchnął z ulgą.

– O Boże... Możemy już stąd znikać?

– Nie – odparł Grant. – Myślę, że możemy wziąć się do pracy. Założył noktowizyjne gogle i rozejrzał się po sztucznej jaskini. Bez trudu dostrzegł pierwsze gniazdo; było zrobione z błota i trawy i przypominało kształtem ogromny, płaski koszyk. W środku doliczył się pozostałości czternastu jaj. Rzecz jasna z tej odległości nie mógłby policzyć skorup, tym bardziej że większość z nich uległa rozbiciu na niezliczone, drobne fragmenciki, a sporo zostało wyrzuconych poza gniazdo, ale z łatwością porachował pozostawione w błocie zagłębienia. Prawdopodobnie welociraptory przygotowywały gniazdo na krótko przed złożeniem jaj. Grant dostrzegł także dowody świadczące o tym, że jedno jajo pękło podczas wysiadywania. A więc w tym wylęgu było najprawdopodobniej trzynaście młodych.

Drugie gniazdo rozpadło się na dwie części, ale Grant ustalił, że zawierało dziewięć jaj, w trzecim zaś było ich piętnaście, przy czym trzy uległy rozbiciu przed wykluciem się zwierząt.

– Ile mamy razem? – zapytał Gennaro.

– Trzydzieści cztery.

– A ile tu widzisz?

Grant pokręcił głową. Raptory były bez przerwy w ruchu, to pojawiając się na środku jaskini, to znów kryjąc się w najciemniejszych kątach.

– Usiłowałam je policzyć – szepnęła Ellie, sprawdzając notatki, jakie przez cały czas robiła przy świetle latarki. – Naturalnie tylko dokumentacja fotograficzna dałaby całkowitą pewność, ale wydaje mi się, że tych średnich jest trzydzieści trzy.

– A najmłodszych?

– Dwadzieścia dwa. Alan, zwróciłeś uwagę na pewną dziwną rzecz?

– Jaką?

– Na ich ustawienie. Małe bawiąc się biegają po całej jaskini, ale kiedy przystaną, choćby na kilka sekund, prawie zawsze kierują się pyskiem w kierunku tej ściany, a ogonem do tamtej.

– Bo ja wiem, Ellie... Myślisz, że chodzi o jakąś metastrukturę kolonii, jak u pszczół?

– Niezupełnie. Chyba o coś mniej wyraźnego. Nazwałabym to co najwyżej tendencją.

– I robią to tylko młode?

– Nie, wszystkie. Dorosłe też. Zresztą, sam popatrz. Mówię ci, ustawiają się w jednym kierunku.

Grant zmarszczył brwi. Wyglądało na to, że Ellie ma rację. Poruszając się zwierzęta nie przestrzegały żadnych reguł, ale kiedy stały lub przysiadały na tylnych łapach, najczęściej kierowały się pyskami ku jednej ze ścian.

– Niech mnie licho... – mruknął. – Może tu jest jakiś wiatr, albo coś w tym rodzaju...

– Nie czuję żadnego wiatru, Alan.

– W takim razie, o co tu może chodzić? O jakąś formę organizacji społecznej wyrażającej się przestrzennym uporządkowaniem jednostek?

– Chyba nie, bo nie widać nikogo, kto sprawowałby przywództwo. Gennaro wyciągnął rękę i jednym pstryknięciem podniósł tarczę zegarka.

– Wiedziałem, że kiedyś mi się to przyda – powiedział. Pod tarczą znajdował się kompas.

– Często używacie tego w sądzie? – zapytał Grant.

Prawnik pokręcił głową.

– Nie. To prezent urodzinowy od mojej żony – wyjaśnił, po czym odczytał wskazania kompasu. – Cóż... – mruknął. – Nie wydaje mi się, żeby zwracały uwagę na strony świata. Ustawiają się mniej więcej wzdłuż linii północny wschód–południowy zachód.

– Może po prostu coś słyszą, i starają się stanąć w taki sposób, żeby odbierać jak najsilniejszy sygnał? – powiedziała z zastanowieniem Ellie.

Grant zamyślił się głęboko.

– Albo to po prostu jakieś zwyczajowe zachowanie, które pozwala im na wzajemną identyfikację – ciągnęła dziewczyna. – Możliwe też, że są stuknięte – dodała z westchnieniem. – Że wszystkie dinozaury są stuknięte. Albo że w ten sposób porozumiewają się między sobą.

Grant wpadł na ten sam pomysł. Pszczoły przekazywały sobie informacje, wykonując coś w rodzaju tańca, dlaczego więc dinozaury nie miałyby zachowywać się w taki sam sposób?

– A właściwie dlaczego one siedzą tutaj, zamiast wyjść na zewnątrz? – zapytał Gennaro.

– Prowadzą nocny tryb życia.

– Wiem, ale można odnieść wrażenie, jakby starały się przed czymś ukryć.

Grant wzruszył ramionami i otworzył już usta, żeby coś powiedzieć, kiedy najpierw najmłodsze, a później także nieco starsze raptory zaczęły piszczeć i podskakiwać z podnieceniem. Dorosłe osobniki przypatrywały się temu przez chwilę, po czym wszystkie dinozaury jak na komendę pognały przed siebie prowadzącym w ciemność tunelem.

Hammond

John Hammond usiadł ciężko na wilgotnej ziemi na zboczu wzniesienia i przez dłuższą chwilę łapał ciężko powietrze. Boże, ależ tu gorąco, pomyślał. Gorąco i parno. Miał wrażenie, że oddycha przez mokrą gąbkę.

Spojrzał w dół, na strumień, od którego dzieliło go już co najmniej dwanaście metrów. Wydawało mu się, że minęło wiele godzin, odkąd wygramolił się z wody i rozpoczął mozolną wspinaczkę. Noga w kostce była opuchnięta i ciemnofioletowa. W ogóle nie mógł się na niej opierać, więc nie pozostało mu nic innego, jak tylko podskakiwać na zdrowej nodze, która teraz odwdzięczała się za to ćwiczenie potwornym bólem zmęczonych mięśni.

Na domiar złego czuł pragnienie. Przed opuszczeniem strumienia napił się z niego, choć wiedział, że nie postępuje najrozsądniej. Teraz miał zawroty głowy i kłopoty z utrzymaniem równowagi, ale zdawał sobie sprawę, że musi koniecznie dotrzeć na szczyt wzgórza, którędy biegła ścieżka. Już kilka razy wydawało mu się, że słyszy kroki idących nią ludzi, i wołał o pomoc, lecz jego słabe krzyki nie docierały tak daleko, i pomoc nie nadeszła. W miarę jak dzień coraz szybciej zmierzał ku końcowi, dla Hammonda stawało się jasne, że mimo złamanej nogi musi sam dobrnąć do ścieżki. Właśnie teraz starał się tego dokonać.

Przeklęte dzieciaki!

Hammond potrząsnął głową, usiłując odzyskać jasność widzenia. Jego wspinaczka trwała już ponad godzinę, a udało mu się przebyć dopiero jedną trzecią odległości dzielącej go od szczytu wzniesienia.

Był potwornie zmęczony i dyszał jak stary pies. Zdrowa noga bolała go od wysiłku, kręciło mu się w głowie. Rzecz jasna zdawał sobie sprawę, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo – na litość boską, przecież zaledwie kilkadziesiąt metrów stąd stoi jego bungalow! – ale musiał przyznać, że jest wykończony. Siedząc na zboczu, uświadomił sobie nagle, że w gruncie rzeczy wcale nie chce mu się iść dalej.

Właściwie, co w tym dziwnego? – pomyślał. Miał przecież siedemdziesiąt sześć lat, a to nie jest najlepszy wiek na tego rodzaju wycieczki, nawet jeśli wzięło się pod uwagę, że Hammond, jak na swoje lata, był w znakomitej formie. Po cichu miał nadzieję, że dożyje stu lat. To tylko kwestia odpowiedniego zadbania o siebie i zajmowania się w porę wszystkimi sprawami, jakie przynosiło ze sobą życie. Poza tym przecież ma jeszcze tyle do zrobienia! Budowa nowych parków, tworzenie nowych cudów...

Do jego uszu dotarł cichy świergot. Zapewne jakieś małe ptaszki, uwijające się w poszyciu. Przez całe popołudnie słyszał mnóstwo małych zwierząt. W lesie wprost roiło się szczurów, oposów i węży.

Świergot przybrał na sile, a w chwilę potem ze szczytu wzniesienia zaczęły toczyć się grudki ziemi. Coś szło w jego kierunku. Rzeczywiście, kilka sekund później zobaczył niewielkie ciemnozielone zwierzątko, zbliżające się szybkimi susami. Za

nim kicało jeszcze jedno, i jeszcze...

Procompy, domyślił się Hammond, i jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

Czyściciele.

Procompsognaty nie wyglądały groźnie. Rozmiarami dorównywały co najwyżej kurczakom i zachowywały się bardzo podobnie do nich, poruszając nerwowo małymi łebkami. Hammond wiedział jednak, że dysponują działającym powoli jadem, którego używają do dobijania okaleczonych zwierząt.

Okaleczonych zwierząt?...

Przodownik stada zatrzymał się w odległości około półtora metra, przysiadł na tylnych łapkach i wbił w człowieka spojrzenie niedużych, czarnych oczu. Pozostałe dołączyły do niego, usiadły rzędem, i także obserwowały Hammonda, od czasu do czasu podskakując i machając z ożywieniem przednimi, pięciopalczastymi łapkami.

– Sio! – zawołał, po czym cisnął w nie kamieniem. – Uciekajcie!

Miniaturowe dinozaury cofnęły się, ale tylko o pół metra. Nie okazywały lęku, jakby doskonale wiedziały, że nic im nie grozi.

Hammond ułamał gałąź z pobliskiego drzewa i zaczął nią wymachiwać, ale procompy tylko zaświergotały z ukontentowaniem i zaczęły chwytać pyszczkami liście, robić uniki i przeskakiwać nad gałęzią, jakby uznały, że stary człowiek postanowił trochę się z nimi pobawić.

Hammond cały czas myślał o ich jadzie. Pamiętał, że robotnik, który został kiedyś ukąszony, opowiadał, iż trucizna wprowadza człowieka w senność i błogi nastrój, nie powodując żadnego bólu.

Po prostu chciało się spać, i tyle.

Niech to diabli wezmą! – pomyślał gniewnie, złapał kolejny kamień, wycelował starannie i rzucił, trafiając jedno zwierzę w pierś. Zaskoczony dinozaur zaskrzeczał przeraźliwie; uderzenie było na tyle silne, że zwierzę fiknęło kozła do tyłu. Inne, widząc to, natychmiast nabrały respektu i cofnęły się o kolejne kilkadziesiąt centymetrów.

No, tak już lepiej.

Hammond ponownie zaczął wspinaczkę. Chwytając się oburącz gałęzi, podskakiwał na lewej nodze, starając się nie zwracać uwagi na ból. Zdołał w ten sposób pokonać jakieś trzy metry, kiedy jeden z procompsognatów skoczył mu na plecy. Hammond zamachał rozpaczliwie rękami; co prawda udało mu się strącić zwierzę na ziemię, ale przy okazji stracił równowagę, przewrócił się i stoczył kilka metrów w dół. Kiedy znieruchomiał, inny dinozaur doskoczył błyskawicznie do niego i ugryzł go w rękę. Hammond z przerażeniem ujrzał krew płynącą między palcami, poderwał się najszybciej jak mógł i ponownie ruszył pod górę.

Kolejny procomp wylądował mu na plecach. Starzec poczuł ostry ból, kiedy zwierzę wbiło zęby w mięśnie karku, wrzasnął przeraźliwie, zrzucił dinozaura i odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z napastnikami. Procompsognaty świergotały z podnieceniem, podskakując niczym kauczukowe piłeczki. Hammond czuł, jak z rany na karku płynie krew, rozlewając mu się po plecach ciepłym strumieniem.

Ku swemu zdumieniu zorientował się, że już nie stoi, lecz leży na wznak na

zboczu wzniesienia, czując, jak ogarnia go dziwne, ale jednocześnie miłe odprężenie. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie popełnił żadnego błędu i że analiza Malcolma była błędna. Hammond leżał spokojnie jak dziecko w kolebce, cudownie spokojny i zrelaksowany. Kiedy kolejny procomp zbliżył się, aby ugryźć go w kostkę, kopnął go zupełnie bez przekonania. Zwierzęta podchodziły coraz bliżej, a wkrótce obsiadły go, świergocząc niczym stadko podekscytowanych ptaków. Hammond uniósł głowę już tylko raz, kiedy mały dinozaur skoczył mu na pierś. Pomyślał ze zdziwieniem, że zwierzątko jest zdumiewająco lekkie, i nie poczuł żadnego bólu, kiedy drobne ząbki wbiły mu się w szyję.

Plaża

Biegnąc za dinozaurami krętym tunelem o betonowych ścianach, Grant nagle znalazł się na plaży. Przed sobą miał bezkresne wody Pacyfiku, dokoła zaś podskakujące z podnieceniem welociraptory. Zwierzęta uspokajały się stopniowo, jedno po drugim przechodziły w cień palm rosnących na skraju pasa drzew namorzynowych, gdzie stawały bez ruchu, wpatrując się na południe, w kierunku otwartego oceanu.

– Nic z tego nie rozumiem – przyznał Gennaro.

– Ani ja – odparł Grant. – Wiadomo tylko tyle, że na pewno nie lubią słońca.

Dlaczego dinozaury tak nagle opuściły gniazdo? Co sprawiło, że cała kolonia, jak na komendę, przeniosła się na plażę? Gennaro podniósł tarczę zegarka i spojrzał na kompas.

– Północny wschód–południowy zachód. Tak samo jak przedtem. Z tyłu, od strony dżungli, dobiegało ledwo słyszalne bzyczenie prądu płynącego przez metalowe ogrodzenie.

– Teraz przynajmniej wiemy, w jaki sposób wydostają się na zewnątrz – zauważyła Ellie.

Nagle do ich uszu dotarło dudnienie okrętowych silników i ze snującej się nad oceanem mgły wyłonił się spory statek, płynący z południa na północ.

– A więc dlatego tutaj przybiegły? – mruknął ze zdziwieniem Gennaro.

Grant skinął głową.

– Prawdopodobnie już od jakieś czasu słyszały jego silniki. Zwierzęta w milczeniu przyglądały się przepływającemu w pobliżu brzegu frachtowcowi. Granta najbardziej zdumiała koordynacja ich poczynań oraz umiejętność grupowego działania, choć może nie było w tym nic aż tak dziwnego. Obserwując stojące nieruchomo zwierzęta, starał się odtworzyć w pamięci przebieg wydarzeń, jakie rozegrały się w sztucznej jaskini.

Najpierw podniecenie wkradło się w szeregi młodych osobników, potem zareagowały dorosłe, a wreszcie wszystkie zwierzęta popędziły na plażę. Sugerowałoby to, że maluchy, jako obdarzone lepszym słuchem, pierwsze zareagowały na zbliżający się statek, dorosłe zaś poprowadziły całą ekspedycję nad ocean. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że teraz one właśnie sprawują przywództwo, kierując gromadą welociraptorów jak oddziałem wojska. Zajęły miejsca w mniej więcej dziesięciometrowych odstępach, a wokół każdego z nich skupiły się najmłodsze zwierzęta. Młodzież zajmowała miejsce między tymi grupkami, nieco bardziej z przodu.

Po dłuższej obserwacji Grant doszedł do wniosku, że wśród dorosłych także obowiązuje pewna hierarchia. Dokładnie pośrodku obozowiska raptorów urzędowała duża samica z charakterystyczną pręgą na głowie. O ile sobie przypominał, ta sama samica zajmowała także centralne miejsce w jaskini. Należało

przypuszczać, iż – podobnie jak u wielu gatunków małp – raptory skupiały się wokół przewodniczki stada, którą była właśnie ta z pręgą na głowie. Samce pełniły funkcje obronne, przebywając blisko zewnętrznych granic kolonii.

W przeciwieństwie do małp, które zazwyczaj bałaganiły i przemieszczały się bez ładu i składu, welociraptory przestrzegały ścisłej dyscypliny. Grantowi ponownie nasunęło się porównanie z oddziałem wojska. Nie mógł tego pojąć, choć, z drugiej strony, wcale nie był zanadto zdumiony. Paleontolodzy już od tak dawna wygrzebywali z ziemi skamieniałe kości, że zapomnieli, jak niewiele informacji można uzyskać na podstawie najlepiej nawet zachowanego szkieletu. Kości wiele mówią o wyglądzie zwierzęcia, o jego wadze i wzroście, o sposobie, w jaki były do nich przyczepione mięśnie, o chorobach, na jakie zwierzę cierpiało, ale prawie nic o zachowaniach stworzenia.

Jednak ponieważ paleontolodzy dysponowali jedynie szkieletami, w swoich badaniach opierali się właśnie na nich. Podobnie jak jego koledzy, Grant stał się prawdziwym ekspertem od czytania z kości, i stopniowo zaczął zapominać o tym wszystkim, czego nie mógł wydedukować na podstawie wykopalisk: że dinozaury w gruncie rzeczy mogły być zupełnie innymi zwierzętami, niż się powszechnie przypuszcza, że mogły mieć życie zorganizowane w całkowicie odmienny sposób, trudny do wyobrażenia dla istot żyjących wiele milionów lat później, i zupełnie nie pasujący do wyobrażeń o tym, jak powinno wyglądać życie gadów. Zresztą, jeżeli przyjąć założenie, że dinozaury były bardziej ptakami niż gadami...

– O Boże... – szepnął Grant.

Wpatrywał się w ustawione w zwarte formacje raptory, odprowadzające spojrzeniami przepływający statek, i nagle zrozumiał, czego jest świadkiem.

– One chyba strasznie chcą stąd uciec – zauważył Gennaro.

– Nieprawda – odparł Grant – Wcale nie chcą stąd uciekać.

– Nie?

– Nie. One chcą stąd migrować.

Zbliża się ciemność

– Migrować! – wykrzyknęła Ellie. – To fantastyczne!

– Zgadzam się – powiedział Grant z uśmiechem.

– A dokąd, twoim zdaniem?

– Nie mam pojęcia.

Nagle rozległ się łoskot wirników i zza zasłony mgły wypadły ciężkie bojowe śmigłowce. Raptory rozbiegły się w panice, kiedy jedna z maszyn przeleciała nisko nad linią brzegową, a następnie wylądowała na piasku. Otworzyły się metalowe drzwi, z wnętrza wyskoczyli żołnierze w oliwkowych mundurach i pobiegli w kierunku trojga ludzi. Grant zauważył, że w śmigłowcu są już Muldoon i dzieci. Żołnierze krzyczeli coś po hiszpańsku.

– Proszę z nami – powiedział jeden z nich po angielsku. – Bardzo proszę, nie ma czasu.

Grant rozejrzał się po plaży, ale raptory już zniknęły, jakby nigdy ich nie było. Żołnierze popychali go w stronę maszyny, więc pozwolił zaprowadzić się do wnętrza śmigłowca.

– Chcą nas stąd jak najszybciej zabrać! – wykrzyknął mu do ucha Muldoon. – Zaraz biorą się do roboty!

Żołnierze pomogli Grantowi, Ellie i Gennaro zająć miejsca w fotelach, po czym pokazali im, jak należy zapiąć pasy. Tim i Lex pomachali Grantowi. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo są młodzi, i jak ogromnie zmęczeni. Dziewczynka ziewnęła szeroko, po czym oparła głowę na ramieniu brata.

– *Señor*, czy pan tu dowodzi? – zapytał Granta jakiś oficer.

– Nie – odparł paleontolog. – Ja tu nie dowodzę.

– Więc kto?

– Nie wiem.

Oficer zadał to samo pytanie Gennaro, ale uzyskał identyczną odpowiedź.

Oficer spojrzał następnie na Ellie, nic jednak nie powiedział, tylko dał znak pilotowi i maszyna wzbiła się w górę z otwartymi drzwiami. Grant wytężył wzrok w nadziei, że zobaczy jeszcze jakiegoś raptora, ale śmigłowiec błyskawicznie znalazł się ponad drzewami i skręcił na północ.

– Co z innymi? – wykrzyczał pytanie w kierunku Muldoona.

– Zabrali już Hardinga i paru robotników – odparł myśliwy, starając się przekrzyczeć łoskot silnika. – Hammond miał wypadek.

Znaleźli go na zboczu pagórka przed jego bungalowem. Prawdopodobnie potknął się i upadł.

– Ale wszystko w porządku?

– Nie bardzo. Wcześniej znalazły go procompy.

– A Malcolm?

Muldoon tylko pokręcił głową.

Grant był zanadto zmęczony, aby odczuwać żal lub smutek. Odwrócił się i ponownie spojrzał w dół przez otwarte drzwi. Zapadał już zmierzch, ale udało mu się jeszcze dostrzec małego rexa pożerającego na brzegu laguny martwego hadrozaura. Drapieżnik podniósł zakrwawiony pysk i ryknął w kierunku przelatującego śmigłowca.

Gdzieś z daleka dobiegł huk eksplozji, a w chwilę potem ujrzeli inny śmigłowiec, krążący nad centrum obsługi turystów. Nagle budynek zniknął w pomarańczowej kuli ognia. Lex wybuchnęła płaczem, a Ellie objęła dziewczynkę i zasłoniła jej oczy.

Grant zauważył w dole stadko hypsilofodontów, skaczących wdzięcznie jak gazele, a potem nastąpił kolejny wybuch, maszyna zaś zwiększyła wysokość i skierowała się na wschód, nad ocean.

Paleontolog opadł na fotel. Myślał o dinozaurach gromadzących się na plaży i zastanawiał się, dokąd by się skierowały, gdyby mogły opuścić wyspę. Nagle uświadomił sobie, że już nigdy się tego nie dowie, i poczuł wielki smutek, ale zarazem ulgę.

Z kabiny pilotów wyszedł oficer i ponownie pochylił się nad nim.

– Czy pan tu dowodzi?

– Nie – odparł Grant.

– Proszę, *señor*, kto tutaj dowodzi?

– Nikt.

Śmigłowiec zwiększył szybkość, kierując się w stronę stałego lądu. Robiło się coraz zimniej, więc żołnierze zamknęli drzwi. W ostatniej chwili Grant jeszcze raz wyjrzał na zewnątrz i zobaczył wyspę na tle purpurowego nieba, otuloną mleczną mgłą, w której jeden po drugim zaczęły rozkwitać oślepiająco białe kwiaty wybuchów, aż wreszcie cała Isla Nublar wyglądała jak biała, rozjarzona wewnętrznym blaskiem perła na tle czarno–purpurowego jedwabiu.

Epilog
San José

Mijały dni. Władze Kostaryki potraktowały ich bardzo dobrze, umieszczając w jednym z najlepszych hoteli w stolicy. Mogli swobodnie poruszać się po całym mieście oraz kontaktować się, z kim tylko chcieli, ale nie wolno im było opuszczać kraju. Codziennie odwiedzał ich młody człowiek z ambasady USA, pytał, czy czegoś im nie trzeba, i powtarzał, że rząd Stanów Zjednoczonych czyni wszystko co w jego mocy, aby umożliwić im jak najszybszy powrót do domów. Fakty przedstawiały się jednak w ten sposób, że na wyspie stanowiącej formalnie własność Kostaryki zginęło wielu ludzi oraz że niewiele brakowało, by doszło tam do poważnej katastrofy ekologicznej. Kostarykański rząd uważał, że został wprowadzony w błąd przez Johna Hammonda, który podał nieprawdziwe dane na temat planów zagospodarowania Isla Nublar. Biorąc to wszystko pod uwagę, trudno było się dziwić, że gościom nie pozwolono odlecieć do ojczyzny. Władze nie zezwoliły nawet na pogrzeb Hammonda i Malcolma, oczekując wyniku dyplomatycznych negocjacji.

Granta codziennie zabierano do innej instytucji rządowej, gdzie za każdym razem przesłuchiwał go inny, grzeczny i inteligentny, pracownik. Musiał bez końca powtarzać całą historię. W jaki sposób poznał Hammonda. Co wiedział o jego planach. Kiedy dostał faks z Nowego Jorku. Dlaczego przybył na wyspę. Co się na niej stało.

I tak dalej, i tak dalej.

Przez dłuższy czas uczony podejrzewał, że próbują przyłapać go na kłamstwie, albo że chcą dać mu coś do zrozumienia, choć nie miał pojęcia, co by to mogło być. Wreszcie, kiedy pewnego popołudnia siedział na leżaku przy hotelowym basenie, obserwując pluszczących się Tima i Lex, pojawił się jakiś Amerykanin w szortach i koszuli khaki.

– Jeszcze nie mieliśmy okazji się spotkać – powiedział. – Nazywam się Marty Guitierrez. Pracuję w stacji naukowej Carrara.

– To pan natrafił na pierwszy egzemplarz procompsognata? – zapytał Grant, ściskając mu dłoń.

– Zgadza się. – Guitierrez usiadł na wolnym leżaku. – Założę się, że chciałby pan jak najprędzej wrócić do domu?

– Owszem. Zostało mi jeszcze tylko kilka dni na prowadzenie wykopalisk. W Montanie pierwszy śnieg pojawia się już w sierpniu.

– Czy właśnie dlatego Fundacja Hammonda wspierała badania prowadzone pod wyższymi szerokościami geograficznymi? – zapytał Guitierrez. – Może przypuszczali, że łatwiej znajdą tam nienaruszony materiał genetyczny?

– To całkiem prawdopodobne. Guitierrez skinął głową.

– Z tego Hammonda był niezły spryciarz.

Grant nic nie odpowiedział. Przez jakiś czas mężczyźni siedzieli w milczeniu, obserwując dokazujące w wodzie dzieci.

– Władze nic wam o tym nie powiedzą – odezwał się wreszcie gość – bo chyba uważają, że jesteście odpowiedzialni za to, co się stało na wyspie, a może nawet trochę się was boją, ale na wiejskich obszarach Kostaryki dzieją się dość dziwne rzeczy.

– Ataki na dzieci?

– Nie, to już się szczęśliwie skończyło. Chodzi o coś innego. Wiosną w rejonie Ismaloyi, na północ stąd, jakieś nieznane zwierzęta dokonały dziwnych szkód w zasiewach. Codziennie pozostawiały po sobie wyjedzony wąski pas, prowadzący w idealnie prostej linii od brzegu morza w kierunku gór i dżungli.

Grant wyprostował się jak ukłuty szpilką.

– Zupełnie jakby odbywała się jakaś migracja – dodał Guitierrez. – Co pan o tym myśli?

– A jakie to zasiewy?

– To właśnie jest najdziwniejsze. Zjadały wyłącznie strąki agamy i soję, a od czasu do czasu porywały także kurczaki.

– Żywność o dużej zawartości lizyny... – mruknął Grant. – Co się stało z tymi zwierzętami?

– Przypuszczalnie odeszły w głąb dżungli. W każdym razie ostatnio nie udało się znaleźć żadnych świeżych śladów. Rzecz jasna, odnalezienie ich w dżungli będzie bardzo trudne; nawet dobrze wyposażona ekspedycja mogłaby spędzić w górach kilka lat i niczego nie znaleźć.

– A my musimy tutaj siedzieć, ponieważ...

Guitierrez wzruszył ramionami.

– Rząd boi się. Kto wie, czy nie pojawi się więcej tajemniczych zwierząt, co oznacza więcej kłopotów. Starają się być ostrożni.

– A pan myśli, że będzie więcej zwierząt? – zapytał paleontolog.

– Nie wiem. Pan wie?

– Nie – odparł Grant. – Nie wiem.

– Ale podejrzewa pan, że tak?

Grant skinął głowa.

– Owszem. Prawie na pewno.

– Zgadzam się z panem. – Guitierrez wstał z leżaka i pomachał dzieciom pluszczącym się w basenie. – Przypuszczalnie odeślą dzieci do domu – powiedział. – Nie mają żadnego powodu, żeby je tu przetrzymywać. – Włożył okulary przeciwsłoneczne. – Życzę panu miłego pobytu, doktorze Grant. Kostaryka to uroczy kraj.

– Czy mam przez to rozumieć, że muszę tu zostać?

– Wszyscy musimy tu zostać, doktorze Grant – odparł Guitierrez z uśmiechem, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku wejścia do hotelu.

***

Bevitore